

KOLEJNA POWIEŚĆ
AUTORA BESTSELLEROWEGO

SEDINUM



SZACHOWNICA

LESZEK
HERMAN



LESZEK
HERMAN
SZACHOWNICA



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Cnota to złoty środek pomiędzy dwoma występami.
ARYSTOTELES

PROLOG

*Nowy Jork, Stany Zjednoczone
Początek lata 1829 roku*

Powóz minął kościół Świętej Trójcy i skręcił w poprzeczną ulicę, której północna pierzeja zastawiona była rusztowaniami, a u jej wylotu w zachodzącym słońcu połyskiwały takielunki cumujących w porcie żaglowców. Na kościelnym zegarze wybiła właśnie godzina dwudziesta.

Szeroką żwirową aleją podążały kobiety okutane w długie spódnice i chusty, ciągnąc za sobą niesforne dzieci, mężczyźni wlokący wózki z przeróżnymi dobrami, elegancy dżentelmeni w surdutach i wysokich cylindrach, a między nimi przedzierały się mniejsze i większe powozy, których woźnice co i rusz pokrzykiwali na tarasujących drogę maruderów. Południowa pierzeja ulicy zabudowana była dwu- i trzypiętrowymi kamienicami, między którymi tu i ówdzie zachowały się pojedyncze drzewa. Po drugiej zaś jej stronie stała rozbierana właśnie wysoka palisada z drewnianych bali - dawna fortyfikacja oddzielająca miasto od pozostałej części wyspy. Nieco dalej rozpościerało nad drogą swe rozłożyste konary cudem zachowane tutaj drzewo namorzynowe^[1]. Dało ono początek stowarzyszeniu kupców pod nazwą Porozumienie Buttonwood^[2], które za kilkadziesiąt lat miało się przekształcić w największą na świecie giełdę papierów wartościowych.

Powóz minął właśnie monumentalny fronton Federal Hall, w którym jeszcze do niedawna rezydował George Washington, i potoczył się dalej, w kierunku wylotu ulicy. Za nim u stóp ośmiu niebotycznych kolumn ratusza zostali handlarze, którzy ładowali swój towar na wózki i paki, chcąc zdążyć do domu przed zachodem słońca.

Woźnica ściągnął lejce i powóz skręcił w brukowaną drogę, przy której jeden po drugim wyrastały wielkie drewniane magazyny, poprzątkane biednymi czynszowymi kamienicami. Nad dachami domów w oddali widać

było obracające się koła holenderskiego wiatraka. Z okien i z otwierających się co i raz drzwi tawern i szynków wylewały się pijackie śmiechy i śpiewy we wszystkich możliwych językach.

Konie, stukając kopytami o kamienie, wjechały między kolejne magazyny i po chwili powóz znalazł się w porcie. Pod drewnianymi wiatami i przy ścianach baraków i składów piętrzyły się hałdy worków i ogromne beczki, a przy nabrzeżu kołysały się mniejsze i większe żaglowce. Gdzeniegdzie jeszcze na drewnianych trapach uwijali się tragarze, wnosząc na pokład statków rozmaite walizy i skrzynie, ale przy większości żaglowców załadunki już zakończono, a z bulajów oświetlonych migotliwym światłem świec dochodziły wesole głosy stojących na wachcie marynarzy.

Słońce wisiało już nad samym horyzontem, a między budynkami na nabrzeżach i w wąskich zaułkach prowadzących w głąb wyspy rosły coraz większe plamy mroku. Cień powoli rozlewał się po porcie, podkreślany przez palące się wokół lampy.

Gdzieś w oddali na nabrzeżu trzaskało wesoło ognisko.

Powóz minął kilka kołyszących się na wodzie i pobrzękujących takielunkiem żaglowców i zatrzymał się w cieniu, tuż obok pogrążonego w ciemności drewnianego magazynu.

Woźnica zeskoczył na ziemię i otworzył drzwi powozu.

Wyciągnął rękę w kierunku wnętrza, z którego wysunęła się dłoń w ciemnej rękawiczce.

- Jaśniepani. - Woźnica schylił głowę.

Kobieta w ciemnej sukni i kapeluszu, z opuszczoną na twarz woalką, powoli wysiadła z powozu.

- James - powiedziała cicho z westchnieniem. - Tyle razy cię prosiłam, żebyś tak do mnie nie mówił.

- To przyzwyczajenie, jaśnie... *madame*.

- Dziesięć lat to aż nadto, żeby zmienić zwyczaje.

Kobieta rozejrzała się wokół i po chwili jej wzrok zatrzymał się na wielkim, trzymasztowym żaglowcu. Na jednym z masztów powiewała biała bandera z czerwoną gwiazdą, a na burcie widniały litery układające się w nazwę firmy żeglugowej.

Stangret podążył spojrzeniem za wzrokiem kobiety.

- Nadal uważam, że to nieroztropne, ja... *madame*.

- A czy mamy inne wyjście, James?

Kobieta uniosła woalkę. Ciemna, skromna suknia mogła w oczach postronnych przydawać jej poważnego, nawet podeszłego wieku, ale ten kamuflaż nie skrywał zgrabnej kibici, a spod koronkowej zasłony wyłoniły się wielkie, zielone oczy.

- *Madame*, niech pani wsiądzie z powrotem do powozu i broń Boże z niego nie wysiada. A najlepiej niech *madame* nawet z niego nosa nie wystawia. - James rozejrzał się z niepokojem dookoła.

- Chciałam tylko rozprostować nogi. Tyle godzin w tej landarze.

- Trudno, *madame*. To port. Nie uchodzi damie. Jeszcze jakieś pijane łachudry nadejdą.

- Nie ma czasu, James. - Kobieta energicznie pokręciła głową i podała woźnicy białą kopertę. - Pójdiesz na pokład, każesz odszukać porucznika i dasz mu ten list. I niech jak najszybciej tu przyjdzie.

Stangret skłonił się damie, odwrócił i szybkim krokiem ruszył w kierunku ogromnego żaglowca. Kobieta przez chwilę jeszcze przyglądała się odchodzącemu mężczyźnie, po czym zrobiła krok w kierunku powozu. Zebrała szerokie fałdy sukni i miała właśnie wspiąć się do środka, gdy gdzieś w pobliżu rozległ się jakiś szmer.

Odwróciła się zaniepokojona.

Na kamiennym bruku rozległ się stuk kroków i po chwili z ciemności wychynęła wysoka postać w długim czarnym płaszczu.

Kobieta znieruchomiała wpatrzona w mroczną sylwetkę. Migoczące światło latarni przy powozie nie wydobywało szczegółów postaci, ale ona dobrze wiedziała, kto to jest.

Mężczyzna zrobił jeszcze krok i stanął. Teraz dopiero zobaczyła jego jasne włosy i niebieskie oczy. Pamiętała je.

Wypisana była w nich pogarda. I zachłanność. Jak zawsze. Nic się nie zmieniło.

- To ty - powiedziała cicho.

Zacisnęła dłonie i schowała je w fałdach sukni. Nie chciała, żeby zobaczył, jak drżą.

- Myślałaś, że zrezygnuję? Że ci odpuszczę?

- Myślałam, że nigdy więcej cię nie zobaczę.

Mężczyzna obrzucił kobietę zimnym spojrzeniem. Uśmiechnął się. Nienawidził jej.

Jak to możliwe, że kiedyś...

- Kochałem cię - rzucił z pogardą. Wpatrywał się w nią intensywnie. Te jej zielone oczy.

Po raz pierwszy zobaczył ją, gdy miała siedemnaście lat. Była prawdziwą pięknoscią, diaboliczną. Nadal jest piękna. Po tylu latach. Jak to możliwe, do diabła, że jest jeszcze piękniejsza?

- Nigdy mnie nie kochałeś. - Kobieta zacisnęła usta. - Chciałeś mnie tylko posiąść. Twoja rodzina nigdy nie zgodziłaby się na taki związek. Dobrze o tym wiedziałeś.

- Więc postanowiłaś mnie okraść!

- Okradłam złodzieja!

- I zapłacisz za to - warknął zimno. - Ale najpierw oddasz to, co zabrałaś.

W zielonych oczach kobiety zapaliły się ogniki złości.

- Niech cię piekło pochłonie!

Mężczyzna sięgnął pod płaszcz i wyjął pistolet.

- Prędzej czy później tak będzie, ale ty już tego nie zobaczysz.

Podniósł dłoń i wycelował.

Kobieta wpatrywała się w lufę pistoletu i czuła, jak ogarnia ją spokój. Przemknęło jej przez myśl, że to chyba prawda, tak, przed śmiercią widzi się całe życie, które przelatuje przed oczami tysiącem obrazów.

Przypomniała sobie te wszystkie wydarzenia, wszystko, co doprowadziło ją tutaj, na drugi kraniec świata.

A więc to koniec? To tak wszystko się kończy?

I wtedy padł strzał.

Richmond, Wirginia
Prawie dwieście lat później

Szpakowaty mężczyzna w czarnym garniturze wskazał ich palcem, a następnie wyrzucił drewnianym młoteczkiem w podkładkę leżącą na blacie wysokiego stolika.

Patryk, który właśnie zamierzał upić łyk musującego wina z wysokiego, plastikowego kieliszka wręzonego mu przy wejściu, zachłysnął się i zaczął kaszleć.

- Trzy tysiące po raz pierwszy! - krzyknął szpakowaty facet i rozejrzał się po sali. - Po raz pierwszy! Po raz drugi!

- Co ty wyczyniasz?! - wycharczał Patryk, krztusząc się tanim szampanem i patrząc z niedowierzaniem na swoją towarzyszkę. - Zwariowałaś?

- Jest! - krzyknął mężczyzna prowadzący aukcję i wskazał kobietę w szarym kostiumie. - Trzy tysiące pięćset! Po raz pierwszy!

- Boże! Masz szczęście! - jęknął Patryk, wycierając dłonie o spodnie. - Co ci odbiło? Za mało mamy tutaj emocji? Brak ci rozrywek?

- Nie wygaduj głupstw - syknęła jego partnerka i podniosła rękę.

- Co ty robisz? - Patryk wpatrywał się w nią w osłupieniu.

- Cztery tysiące pięćset! - Aukcjoner wyrzucił ponownie młoteczkiem i wyciągnął rękę w ich kierunku. - Pani w białej sukience! Po raz pierwszy!

Patryk w pierwszej chwili chciał wyrwać towarzyszącej mu dziewczynie katalog aukcji, którym posługiwała się podczas licytacji, ale z ulgą zobaczył, że kobieta w szarej garsonce ponownie podnosi rękę.

Przemknęło mu przez myśl, że szczęśliwie nie wybrali się na aukcję arabskich ogierów, której reklamy także widzieli w jakimś magazynie, ale ledwie zdążył odetchnąć, a jego dziewczyna ponownie podniosła dłoń.

Chryste! Co ona wyprawia? Po co on się w ogóle zgodził, żeby tu przyjechać?

Dzień wcześniej, gdy wjeżdżali na parking schowany za szpalerem starych drzew przed bramą wjazdową na teren rezydencji George'a Washingtona w Mount Vernon, miał jakieś złe przeczucia.

Ale zepchnął je do podświadomości. Dzień był tak pogodny, a posiadłość tak rozległa i imponująca, że trudno było słuchać jakichś mrocznych podszeptów.

Najpierw wybrali się na przechadzkę po rozświetlonych słońcem ogrodach, górnym ze strzyżonymi trawnikami i kwiatami i dolnym, warzywno-ziołowym, który w swoim czasie był oczkiem w głowie Marthy Washington, żony pierwszego prezydenta. Park otaczający ogrody i budynki okalał rezydencję ze wszystkich stron, a od wschodu spływał nad brzeg Potomaku. Od tej strony wielki kolonialny dwór osłonięty rzędem ośmiu kolumn przywoływał na myśl oczywiście *Przeminęło z wiatrem*.

Od *Przeminęło z wiatrem* zresztą nie było ucieczki. Dawne baraki mieszkalne niewolników, liczne grafiki z pracującymi na polach bawełny robotnikami, wojna o niepodległość i wojna secesyjna odmieniane były przez wszystkie przypadki we wszystkich folderach i na wszystkich tablicach informacyjnych.

W różnych częściach kolonialnej posiadłości można było zresztą natknąć się także na poubieranych w stroje z epoki pracowników i różnego rodzaju rekonstruktorów historycznych w mundurach armii brytyjskiej lub kurtkach amerykańskiej policji stanowej.

Zwiedzanie ogromnego terenu zajęło im kilka godzin. A pogoda była tak piękna, że nie mogli się oprzeć, żeby nie posiedzieć także na trawie, nad brzegiem Potomaku. Później spędzili kolejną godzinę w Muzeum i Centrum Edukacji George'a Washingtona, gdzie wpatrywali się w figury ojców założycieli podpisujących Deklarację niepodległości i oglądali dziesiątki pamiątek po pierwszym prezydencie.

W holu dworu, jak wszyscy przyjeżdżający, stanęli przed oszkloną gablotą, żeby spojrzeć na klucz do Bastylli, który po jej zburzeniu, w tajemniczych okolicznościach trafił w ręce Washingtona. Zardzewiały stalowy przedmiot, który był świadkiem jednego z największych przewrotów w dziejach Europy.

Zmęczeni, wylądowali w końcu w miejscowej restauracji Mount Vernon

Inn, gdzie usiedli w sieni, czekając, aż maitre d'hotel zaprosi ich do stolika.

Patryk od niechcienia sięgnął po plik folderów i kolorowych reklamówek, które leżały przed nimi na stoliku. Młyn i destylarnia dawnego majątku Mount Vernon, w której do dzisiaj można było kupić słynną whisky, historyczne restauracje w pobliskiej Alexandrii i Waszyngtonie, hotele w całej Wirginii.

Patryk przerzucił kilka prospektów i już miał odłożyć je na stolik, gdy

jego wzrok zatrzymał się na ostatniej stronie kolorowej broszury, reklamującej Muzeum Historii i Kultury w Richmond.

- Popatrz. - Szturchnął siedzącą obok szczupłą dziewczynę, ubraną w białą luźną sukienkę, z jasnymi włosami związanymi na karku czarną wstążką. - Mają tam coś ze Szczecina.

- Co takiego? - Dziewczyna oderwała nieco nieprzytomny wzrok od folderu reklamującego hotele na historycznych amerykańskich plantacjach i spojrzała na Patryka.

- Jutro jest aukcja. - Uśmiechnął się. - Wystawiają jakiś zabytkowy kuferek, przywieziony do Stanów z północnych Niemiec.

- Kochanie - dziewczyna uśmiechnęła się pobłaźliwie - wiemy, że jesteś z Warszawy, ale Szczecin to jednak nie północne Niemcy. Od dłuższego już czasu - dodała z przekąsem.

- Sama mieszkasz w Warszawie od roku. - Patryk odwzajemnił jej uśmiech i podniósł folder. - Posłuchaj. Datowany na połowę osiemnastego wieku. Warsztat północnoniemiecki, prawdopodobnie ze Szczecina. Przywieziony do Stanów przez niemieckich emigrantów na początku dziewiętnastego wieku...

- Ale co to jest? - Dziewczyna oparła się o Patryka i zajrzała mu przez ramię.

- Kuferek - powiedział i parsknął śmiechem.

- Żartujesz?

- Drewniany, dekorowany masą perłową i kością słoniową, wyściełany jedwabiem.

- Kuferek?

- Kuferek łowcy wampirów! - Patryk otworzył szeroko oczy i udając przerażenie, spojrzał na dziewczynę, po czym, widząc jej minę, znowu parsknął śmiechem.

Wyrwała mu folder i przebiegła wzrokiem po reklamie aukcji, którą organizowało muzeum w Richmond.

- Kuferek służył pierwotnie jako pudełko na biżuterię - przeczytała. - Prawdopodobnie dopiero gdy trafił do Stanów Zjednoczonych, zaczęto go używać jako podręcznego zestawu do obrony przed wampirami...

Dziewczyna przerwała i spojrzała na chłopaka z niedowierzaniem.

- Zwyczaj ten był rozpowszechniony na początku dziewiętnastego wieku - kontynuowała po chwili. - A pod koniec stulecia wrócił do łask na

fali popularności powieści gotyckich o wampirach.

- Ale czad! - zawołał Patryk. - Pierwsze słyszę, że coś takiego w ogóle istniało.

- Na zawartość kufierka składają się krucyfiks, dwa różańce, flakonik, w którym prawdopodobnie była niegdyś woda święcona, oraz pięć srebrnych kul.

- Kul?

- Kul do pistoletu. - Dziewczyna podniosła wzrok i spojrzała z zaafowaniem na chłopaka. - Wierzono, że jedynie srebrnymi kulami można zabić wampira.

Przez chwilę wpatrywali się w kolorową fotografię dekoracyjnej drewnianej skrzyneczki.

- Ale zobacz jeszcze, co tu piszą. - Patryk wyrwał dziewczynie folder. - Z kufierkiem wiąże się pewna tajemnica - przeczytał. - We wnętrzu znaleziono bardzo stary weksel z Pruskiego Banku Państwowego, opiewający na sumę sześćdziesięciu tysięcy talarów. Nie wiadomo, jakiej transakcji dotyczył weksel ani w jaki sposób wiązała się ona z kufrem.

Podniósł rozbawiony wzrok i spojrzał na zapatrzoną w przestrzeń dziewczynę.

- Niezła historia - parsknął. - Takie rzeczy to chyba tylko w Stanach są możliwe.

Dziewczyna odgarnęła włosy i spojrzała na chłopaka z namysłem.

- Jak daleko jest do Richmond? - spytała.

- To na południe jakoś - odpowiedział Patryk, sięgając po telefon. - Siedemdziesiąt mil na południe - uzupełnił po chwili, wpatrując się w ekran komórki.

- Czyli jakieś sto dwadzieścia kilometrów.

Od strony sali nadszedł nagle ubrany w czerwony surdut maitre d'hotel i uśmiechając się, zaprosił ich do stolika.

- Półtorej godziny. - Dziewczyna wstała i ruszyła za szefem sali. - Możemy znaleźć jakiś hotel w Richmond, żeby nie wracać potem do Nowego Jorku po nocy...

- Hotel? - Patryk odsunął krzesło i spojrzał na dziewczynę. - W Richmond? Przecież mieliśmy zwiedzać Waszyngton! Po co mamy tam jechać?

- Jestem ciekawa po prostu.

- Miasto jak miasto. Tam nie ma nic spektakularnego raczej. Zaraz. - Spojrzał podejrzliwie na swoją partnerkę. - Ty chyba nie chcesz.

- No a co w tym złego? Chciałabym zobaczyć kuferek łowcy wampirów na własne oczy.

- Zwariowałaś! - Patryk spojrział na dziewczynę z niedowierzaniem. - Mamy się tarabanić sto kilometrów po to tylko, żeby zobaczyć jakieś gówniane pudełko?

- Aukcja odbywa się w Muzeum Historii i Kultury Wirginii. Będzie co zobaczyć przy okazji.

- Chciałem zwiedzić Waszyngton, a nie jakieś wiejskie muzeum.

- No to mamy przecież całe dzisiejsze popołudnie. Jest dopiero trzynasta. - Dziewczyna spojrzała na zegarek.

Przy stoliku pojawił się kelner i z czarującym uśmiechem podał Karen kartę dań.

Patryk westchnął i przewrócił teatralnie oczami.

Aukcjoner grzotnął młoteczkiem o stół i wycelował rękę w kierunku przerażonego Patryka.

- Dziesięć tysięcy po raz pierwszy! - Mężczyzna powiódł wzrokiem po sali, zatrzymując na chwilę spojrzenie na szycownej kobiecie w szarym kostiumie. - Dziesięć tysięcy po raz drugi!

- Coś ty najlepszego narobiła?! - syknął Patryk do dziewczyny. Spojrzał z nadzieją na nobliwą damę w szarościach. - Chryste, może ta baba jeszcze podniesie rękę?!

Aukcjoner zawiesił na chwilę głos, rozejrzał się po sali i walnął młotkiem w stół po raz ostatni.

- Dziesięć tysięcy po raz trzeci! Sprzedane! - Wycelował palec w kierunku pochylonej i zdenerwowanej dziewczyny Patryka. - Sprzedane uroczej pani w białej sukience! Gratuluję!

Uśmiechnął się do dziewczyny.

Z zaplecza wyszedł pomocnik aukcjонера, podszedł do stołu, zamknął zabytkowy kuferek i zabrał go na zaplecze.

Patryk złapał się za głowę.

- Dziesięć tysięcy dolców! Pojebało cię?! To pięćdziesiąt tysięcy złotych!

Dziewczyna usiadła wreszcie na swoim krześle i powachlowała się

muzealnym katalogiem.

- Boże! Ale to było emocjonujące.

- To cała nasza kasa!

- Nie cała. - Dziewczyna pokręciła głową. - Przecież sprzedałam samochód miesiąc temu. Mam teraz na koncie sześćdziesiąt tysięcy.

- Miałaś kupić mniejszy i bardziej oszczędny.

- To nie kupię. W Warszawie jest dobra komunikacja. - Dziewczyna spojrzała na Patryka z ciągle jeszcze malującym się na twarzy przejęciem.

- Ale po co ci, do cholery, to stare pudło z południa Stanów?!

- Nie z południa Stanów, tylko z północnych Niemiec. Poza tym jestem przekonana, że jak będę chciała, to sprzedam to jeszcze z zyskiem.

- Komu?!

- Czytałeś? Jest tam stary weksel z pruskiego banku. Nie interesuje cię, skąd mógł się tam wziąć? Intuicja mi mówi, że z tym kuferkiem łączy się jakaś niezwykła historia.

- Tak - mruknął z przekazem Patryk. - Pomyłony pastor z Richmond zastrzelił pewnie jakąś rozczochną dziewczynkę, która wylazła ze studni.

- Coś ci się pomieszało. Ona nie była wampirem.

- Kto?

- No ta dziewczynka. Poza tym w tamtych czasach nie było jeszcze kaset wideo.

- O czym ty mówisz, na miłość boską?!

- Oj, Patryk!

Za ich plecami pojawił się nagle młody mężczyzna i pochylił nad krzesłem dziewczyny.

- Dobry wieczór - powiedział cicho. - Jeśli mógłbym prosić panią o jakiś dokument. Potrzebujemy pani danych do sporządzenia umowy sprzedaży, pani...

- Lindberg. - Dziewczyna skinęła głową i sięgnęła po torebkę. - Karen Fleming Lindberg.

Patryk patrzył, jak jego dziewczyna wyciąga z torebki paszport, a w jego głowie przesuwały się obrazy kłopotów związanych z zakupem artefaktu. Zezwolenie na wywóz ze Stanów - cholera wie, gdzie to załatwiać - do tego pewnie jakieś cło.

Zamiast zwiedzać Wschodnie Wybrzeże, będą teraz łazić po urzędach. No i to spojrzenie Karen, kiedy mówiła o tym głównianym pudle! Znowu ją

ponosi.

Boże! Czy to możliwe, że znowu wszystko się zaczyna?
I wtedy rozległ się wystrzał.

Rozdział 1

*Dawno, dawno temu...
W królestwie Prus.*

Wtedy, na początku jesieni, gdy karetą telepiącą się na nierównościach brukowanej drogi jechała z księżną do zamku jej brata, przez głowę by jej nie przeszło, że wszystko tak się potoczy. Aczkolwiek, gdyby brała pod uwagę tylko dwa ostatnie lata swojego życia, to właściwie nie powinna być jakoś specjalnie zaskoczona.

Wiktoria Podhorska, dobrze urodzona panienska z Połowian na Nowogródczyźnie, czyli zapadłej dziury na końcu świata, trafiła najpierw jako dwórka na książęcy zamek XII ordynata, a rok później do Berlina, na dwór swojej aktualnej pani i mentorki, księżnej Fryderyki.

Opuszczenie rodzinnego domu w Połowianach było dla niej prawdziwą traumą. Przez pierwsze szesnaście lat swojego życia, jeśli nie liczyć kilku wizyt w Wilnie u ciotki i wyjazdów z matką do Nowogródka, praktycznie nie opuszczała domu. Ale tak się złożyło, że jej młodsze lata przypadły na trudne czasy. Majątek w Połowianach, zrujnowany w czasie wojen i insurekcji, nie przynosił takich dochodów, żeby zapewnić trzem córkom jakikolwiek liczący się posag, a i dwaj starsi bracia także nie mieli lepszych widoków na przyszłość.

Podhorscy, stara kresowa rodzina, utytułowana i kiedyś zamożna, ale przez wojny, powstania i zabory zubożała, osiadła na chylącym się ku ruinie dworzyszczu i połaciach zaniedbanej ziemi, która nie dawała najmłodszemu pokoleniu żadnych nadziei na przyszłość.

Zatem na dwa lata przed ową jesienią Wiktoria, najstarsza córka nowogródzkiej linii rodu, skończyła siedemnaście lat i znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Posagu żadnego, widoków na zamążpójście tym bardziej, jedyna alternatywa, która malowała się upiornie w nadchodzącej szybko przyszłości, to był klasztor lub służba. Tak więc

gdy jak grom z jasnego nieba spadła nagle wiadomość, że zjeżdżająca na miesiąc do zamku księżna weźmie ją do siebie dla towarzystwa, przez chwilę była w siódmym niebie. Ale gdy dwa miesiące później powóz jej ojca mijał fosę, a po chwili otworzyły się przed nimi wrota zamkowej kordegardy, miała wrażenie, że wjeżdża właśnie do więzienia, z którego nie będzie ucieczki.

Miesiąc na książęcym dworze minął jednak jak z bicza strzelił. Może dlatego, że oprócz niej były tu jeszcze trzy inne dwórki, z którymi mogła miło spędzać czas. Zwłaszcza że księżna i jej młodziutka córka nudziły się na kresach śmiertelnie i bez przerwy wymyślały jakieś zabawy i gry towarzyskie, byle tylko jakoś wypełnić czas. Księżniczka Eliza, młodsza od Wiktorii o trzy lata, okazała się zresztą przemiłą towarzyszką dziewczęcych psot, a i zupełnie odczuć nie dawała dzielącej je różnicy pochodzenia.

Wiktorii doskonale znała język niemiecki, a to dzięki swojej babci ze strony matki, inflanckiej szlachciance, dla której niemiecki był drugim językiem ojczystym. Gdy więc minął sezon, a księżna Fryderyka zbierać się zaczęła do powrotu, niespodziewanie Eliza zaproponowała jej wyjazd do Berlina.

Wiktorii, której podróż taka wydała się przerażająca niewyobrażalnie wręcz, udała się po poradę do matki. A gdy usłyszała to, co właściwie spodziewała się usłyszeć - że w Berlinie będzie żyła w luksusowych warunkach, pozna świat, a może i jaką szansę na małżeństwo tam znajdzie - z bólem serca, że dom rodzinny opuszcza już na zawsze chyba, ale i przekonaniem, że ciężarem dla rodziców dzięki temu nie będzie, zgodziła się towarzyszyć księżniczce.

I w ten oto sposób jesienią trafiła do berlińskiego pałacu jaśniepaństwa, a czas zaczął jej upływać na towarzyszeniu młodziutkiej księżniczce w jej podróżach między Berlinem a dobrami jej ojca w Wielkim Księstwie Poznańskim. Miotła się bez przerwy jak opętana: odwiedzała ojca w Poznaniu, zaraz potem wracała do matki lub też po prostu spędzała lato na wsi, a na zimę uciekała do miasta.

Życie Wiktorii zmieniło się nie do poznania. Bale, rauty i spotkania, w których uczestniczyła jako towarzyszka księżniczki, plotki z życia berlińskich wyższych sfer i zwierzenia, których stała się powierniczką, poszerzyły wprawdzie jej horyzonty, ale i ugruntowały przekonanie, że w tak wysokie progi nie zajrzy nigdy żaden kawaler, który chciałby się

o nią starać.

Praktycznie niewidzialna prowincjuszka, stale w cieniu jednej z najlepszych, jeśli nie najlepszej partii w berlińskim towarzystwie, skromnie schowana gdzieś z boku i skromnie ubrana. Któż zainteresowałby się kimś takim? Najwyżej któryś z oficjeli księżnej lub jej pracowników. W zasadzie Wiktoria wcale by się temu nie opierała, gdyby znalazł się jakiś miły, rozsądny dzierżawca, kupiec czy rządca. Młodzieńcze marzenia o księciu na białym koniu dawno wywietrzały jej z głowy, ale problem w tym, że tych z kolei kawalerów onieśmiała jej bliska konfidencja z księżniczką.

Przy księżniczce jednak sporo korzystała, opanowała na przykład język angielski. Wprawdzie nie spodziewała się jakoś wyjątkowo często go używać, przydawał się do konsultacji licznych epistoł jej pani, do których ta wplatała angielskie zdania, ale ostatnimi czasy nigdy nie było wiadomo, co się wydarzy, a i jaka zdolność okaże się przydatna.

Tak upłynęły dwa lata.

Gdzieś w połowie września Wiktoria, która właśnie wróciła do Berlina, dowiedziała się, że za trzy tygodnie, we włościach na Pomorzu należących do rodziny księżnej Fryderyki, szykują się polowania, a ich ukoronowaniem miał być wielki bal maskowy na zamku jej brata.

Z bratem księżnej wiązała się pewna wstydliva tajemnica, o której za często w domu Fryderyki nie wspomniano. Ludwik Ferdynand poległ w bitwie z Francuzami, przebity szablą przez jednego z francuskich huzarów, osierocając dwoje malutkich dzieci, którymi praktycznie zajęła się księżna, nie chcąc zostawiać ich pod wyłączną opieką płochęj matki. Akurat to leżało wprawdzie w ich interesie, ale to nie ta sprawa była powodem tej towarzyskiej anatemy. Wiktorii opowiedziała o niej oczywiście Eliza. Z wypiekami na twarzy streściła historię związku księcia Ludwika z córką bogatego kupca z Berlina, historię okropnego skandalu, który był utrapieniem dla rodziny i który zakończył się „podrasowaniem” - jak to określiła Eliza, chichocząc - pani Henrietty i nadaniem jej tytułu baronowej.

Baronowa, ku utrapieniu rodziny księżnej, prowadziła życie wystawne i pełne rozrywek. Zwłaszcza organizowane przez nią bale i rauty, na które ściągala pomorska arystokracja, cieszyły się wielką sławą. Jeszcze za czasów księcia Ludwika urządzano w jego włościach huczne polowania na

polach i mokradłach ciągnących się wokół starego zamku po horyzont, a baronowa twierdziła obecnie, że podtrzymuje tylko w ten sposób męzowskie tradycje. Z czasem Wiktoria dowiedziała się również, że i sam Ludwik był niezłym utrapieniem dla rodziny. Hulaka, lekkoduch, z powodu wyjątkowej urody, którą zresztą posiadali wszyscy bracia Fryderyki, nazywany Pruskim Apollem, pił litrami szampana i wydawał ogromne sumy pieniędzy na rozmaite rozrywki, i gdyby nie wojna z cesarzem Francuzów, ani chybi zapiłby się na amen. Był jednak doskonałym żołnierzem i rodzina tylko to po jego śmierci starała się zapamiętać i uwypuklić.

Ale pozostawała baronowa Henrietta, dożywotniczka włości Ludwika i niefrasobliwa matka dwojga księżątek z nieprawego łóża, z którą nie wiadomo było, co począć.

Kareta podskoczyła na jakiejś nierówności w brukowanej drodze. Drewniane pudło zatrzeszczało, a z zewnątrz dobiegło siarczyste przekleństwo woźnicy.

Wiktoria wyjrzała przez okno. Wzdłuż drogi ciągnęły się pola, poprzecinane wąskimi duktami, przy których rosły stare wierzby. Powóz wpadł w zakręt i po chwili pojawiły się wokół smukłe sosny, a zaraz potem las zgęstniał, a na drodze rozlały się cienie drzew.

Wiktoria była po raz pierwszy na tych terenach. Do Poznania jeździły traktem dużo bardziej na południe, przez Landsberg nad Wartą^[3].

- Dlaczego my się tak śpieszymy? - odezwała się rozbudzona z drzemki Eliza, wyglądając z zaciekawieniem przez okno.

- Jest późno - odpowiedziała księżna. - Stangret chce zdążyć przed zmrokiem.

- A gdzie w ogóle jesteśmy?

- Dojeżdżamy już. Powinniśmy być na miejscu za pół godziny.

Wyglądały przez dłuższą chwilę przez okna, słuchając monotonnego stukotu kopyt. Słońce powoli zniżało się nad horyzontem, przenikając jeszcze ostatnimi promieniami między koronami drzew.

- Po raz pierwszy jedziemy na bal do baronowej - odezwała się ponownie

Eliza, spoglądając na matkę. - Nigdy wcześniej nie chciałaś w balach

uczestniczyć. Jest jakiś szczególny powód?

- I dopiero teraz zdecydowałam się o to zapytać, córko - zakpiła księżna.

- Nudzę się. - Księżniczka wzruszyła ramionami. - Domyślam się, że chodzi o jakieś nudne regulacje dotyczące włości wuja Ludwika, które przy okazji chcesz z baronową omówić. Dziwne skądinąd, że wuja Augusta nikt jakoś nie gani, a przecież związał się z kobietą tej samej proveniencji.

Księżna znacząco wskazała oczami Wiktorię, która siedziała ze wzrokiem wbitym w przesuwające się za oknem drzewa, ale której uwadze oczywiście ta drobna reprimenda nie uszła.

- Nie uchodzi panience w twoim wieku o takich rzeczach rozprawiać - odpowiedziała wymijająco księżna. - A twój wuj August sam potrafi się doskonale bronić przed plotkami.

Kareta szarpnęła nagle w bok, a pudło gwałtownie się przechyliło. Wiktoria poleciała na przeciwległą ścianę, a Eliza głośno krzyknęła i złapała się mocno za jedwabną zasłonkę.

Z zewnątrz dobiegł nagle głośny krzyk woźnicy i rzenie koni. Pudło berliny przechyliło się na bok i rozległ się przeraźliwy trzask, a po chwili głośne szuranie i protestacyjny charkot łamiącego się na szutrowej nawierzchni drewna.

I wreszcie kareta znieruchomiła, mocno przechylona na prawą stronę.

Przez chwilę słychać było nerwowe parskanie przerażonych koni i postukiwanie jakichś połamanych drewnianych części.

- O żeby cię rozkulbaczyło, szatanie! Do stu diabłów!

Do wnętrza karety dotarło polskie przekleństwo, łomot butów zeskakującego z kozła woźnicy i po chwili chrzęst kroków na drodze. Ktoś szarpnął za drzwi i zajrzał do wnętrza.

- Czy nic jaśniepaniom się nie stało? - Lokaj obrzucił przestraszonym wzrokiem wnętrze berliny. - Oś poszła. Skaranie boskie!

- Nie imputujesz chyba, Janie, że nam się jaka kara należała? - zażartowała słabym głosem Eliza, poprawiając kapelusz.

- Nigdy w życiu, panienko, ja tylko...

- Janie! - przerwała księżna, zebrała fałdy sukni i zaczęła wysiadać z karety. - Pomóż mi, łotrze! Widzisz, że ledwo się wydostać stąd mogę.

Wiktoria, rozcierając łokieć, w który uderzyła się, gdy kareta miotało po drodze w tę i we w tę, poderwała się, żeby pomóc swojej dobrodziejce, ale księżna jakoś poradziła sobie z wyłączną pomocą lokaja.

- Co teraz? - zwróciła się do stangreta klęczącego obok przednich kół karety.

- Słać do zamku trzeba - odburknął woźnica, wysuwając głowę spod połamanej belki sterczącej z przechylonego koła. - Oś pękła i resor pokrzywiony. Nic tu się nie da zrobić. Karetę do kowala trzeba zawlec - zawyrokował.

Wiktoria pomogła wysiąść Elizie i rozejrzała się wokół.

Na drodze było już miejscami ciemno. Ostatnie promyki światła migotały między pniami drzew. Berlina z wymalowanym na drzwiach księżącym herbem stała okulawiona na środku drogi, a przed nią cztery kare konie parskały raz po raz, rzucając nerwowe spojrzenia w głąb lasu.

Oprócz stangreta towarzyszyli im jeszcze dwaj lokaje. Jeden jechał na koźle, a drugi z tyłu, na małej ławeczce za pudłem berliny.

- No nic - westchnął Jan. - Trza konia wyprzęgać. Mus to mus. Na szczęście to niedaleko. W godzinę tu nowy powóz dojedzie.

- Zaraz będzie całkiem ciemno. - Eliza stanęła przy Wiktorii i obie przyglądały się, jak dwaj lokaje mocują się z niespokojnym wałachem.

- Na szczęście mamy latarnie - odburknął woźnica.

Eliza, która rozglądała się z zaciekawieniem dookoła, pochyliła się nagle do Wiktorii i konspiracyjnie szepnęła jej do ucha:

- Wiesz, co ludzie tutaj opowiadają? - Podniosła zabawnie brwi. - Że w pomorskich lasach żyją wampiry. - Posłała dziewczynie znaczące spojrzenie, kiwając głową. - Według tutejszych wierzeń w nocie księżycowe wychodzą z grobów i podchodzą pod domy we wsiach albo czają się na rozstajach dróg.

Wiktoria uśmiechnęła się kpiąco.

- Nie wierzysz chyba w takie zabobony?

- Nie, ale słyszałam, że w wielu grobach przebite osinowymi kołkami zwłoki spoczywają. Mówił nam o tym jeden pastor z Berlina, który na Pomorzu się urodził. Pomorzanie mają swoje legendy - zakończyła księżniczka filozoficznie.

Wiktoria pokręciła głową z namysłem i jednocześnie powątpiewaniem.

- To bardziej pozostałość po stosach aniżeli obyczaje ludu. A i po wojnie z Napoleonem mnóstwo tutaj bezimiennych mogił po wsiach.

- Ale wyobraź sobie tylko, że nagle między drzewami przemyka postać w długim czarnym płaszczu.

Eliza podniosła rękę i wskazała jakiś nieokreślony punkt w ciemniejącym o zmroku lesie. Wiktoria powiodła wzrokiem za jej palcem.

- Lepiej tak nie żartować. Za trzy dni będzie pełnia.

Księżniczka parsknęła śmiechem.

- Od kiedy tyś taka bojaźliwa?

- Ja niespecjalnie, ale jak twoja matka to usłyszy, to ani chybi obie spędzimy cały tydzień zamknięte na klucz.

Przez chwilę obie beztrąsko chichotały.

Eliza nagle umilkła, wpatrzona w coś w oddali.

Wiktoria, wciąż rozbawiona, zobaczyła, że księżniczka pobladała.

- Chyba w złą godzinę powiedziałam o tych wampirach - szepnęła cicho.

Wiktoria odwróciła się i poczuła, że po plecach przebiegł jej dreszcz.

Lokaj zapalił już latarnie przy karecie. Stały więc obie na obrzeżu plamy światła, a droga, ciemniejąc, biegła między drzewami i znikwała w oddali.

Na jej końcu na czarnym koniu jechała w ich kierunku jakaś postać w długiej czarnej pelerynie, której poły rozchyłały się przy każdej fuli galopu.

- Dziewczęta! - Księżna wskazała głową powóz. - Natychmiast do środka!

- Ale mam - zaprotestowała niepewnie Eliza, wpatrując się ze strachem, ale i fascynacją w nadjeżdżającą postać.

- Natychmiast! Powiedziałam!

Księżniczka z ociąganiem wsiadła do karety, a tuż za nią Wiktoria.

Tymczasem tajemniczy jeździec zbliżył się już na tyle do tkwiącego na drodze zaprzęgu, że dojrzeć było można, że wampirza peleryna to w rzeczywistości elegancki płaszcz, pod którym krył się młody najwyraźniej dzentelmen.

Jego koń przeszedł w klus i po chwili, parskając, ulegając silnej ręce swojego pana, zatrzymał się przed stojącymi przed kareta lokajami i woźnicą.

- Czy pomocy wam nie trzeba, pani? - Mężczyzna ukłonił się wyglądającej na drogę i wyraźnie zaniepokojonej, choć trzymającej wysoko głowę księżnej.

- A panicz tak sam o tej porze? - Uprzedzając księżną, zagadnął go Jan, obrzucając podejrzliwym spojrzeniem czarny płaszcz młodzieńca i modny szafirowy fular upięty w fantazyjną kokardę.

- Znam tu każdy kamień. - Jeździec ściągnął wodze i przestępujący z nogi na nogę rumak stanął spokojnie. - Mój koń zresztą także. Nawet nieprzytomnego dowiózłby mnie na miejsce.

- Czyli dokąd, młodzieńcze? - zapytała księżna, obdarowując młodego mężczyznę coraz bardziej przychylnym spojrzeniem.

- Do Dertzow.

- To widać często się panu zdarza wracać do domu nieprzytomnym - mruknął pod nosem Jan.

- Udaję się do rodziców. - Jeździec puścił mimo uszu uwagę lokaja i uklonił się. - Przepraszam, że się paniom nie przedstawiłem. Bruno von Enckevort. Czy mogę jakoś pomóc?

Wiktoria, schowana za firanką, przyglądała się z zainteresowaniem mężczyźnie. Eliza, siedząca za matką, nie miała tak łatwo, ale, w miarę możliwości, starała się dojrzeć jak najwięcej zza pleców księżnej.

Młody mężczyzna odrzucił płaszcz i zeskoczył z końskiego grzbietu. Trzymając konia za uzdę, podszedł do karety i kopnął w uszkodzone koło.

- Niedobrze - westchnął. - Drewniana oś. Teraz już ze stali patentowej robią, na smar olejowane.

- To stary powóz - mruknął woźnica.

Wiktoria cofnęła się odruchowo w głąb karety, gdy mężczyzna podniósł nagle wzrok i spojrzał prosto na nią.

W jego niebieskich oczach na chwilę pojawiła się ciekawość, a tuż potem ślad rozbawienia. Miał harde spojrzenie i jakieś takie... Nie wiedziała, jak je nazwać. Najbardziej pasowało chyba określenie: zachłanne. Jakby życie paliło się w nim pełnym ogniem.

Wysoki, szczupły i jasnowłosy.

I Wiktoria nagle poczuła się tak, jakby ktoś wypchnął ją na moment z jej poukładanego życia, odmierzanego godzinami wizyt, rozmów, spacerów po parku, towarzyszenia księżnej przy organizowanych przez nią koncertach czy czytaniu jej książek. I przez chwilę zobaczyła to swoje życie oczami kogoś innego.

Jak strasznie jest pozbawione widoków na przyszłość.

Tyle razy rozmawiała z Elizą na temat różnych młodych

dżentelmenów, którzy odwiedzali pałac jej matki w Berlinie. Eliza zawsze się z nich natrzęsała, obie sobie zresztą z nich dworowały, chociaż księżniczka dla wszystkich była uprzedzająco miła.

I mimo że nie myślała o przyjęciu awansów żadnego z nich, to miała jednak przynajmniej taką możliwość.

Wiktoria natomiast, za każdym razem, gdy spojrzenie któregoś z tych młodych adoratorów zatrzymywało się na niej, czuła się jak oszustka.

Paradoksalne, bo to przecież oni polowali na posag. Mimo że żaden z nich nie był bezinteresowny, to ona, ze swoją niską pozycją i brakiem grosza przy duszy czuła się tak, jakby ściągając ich zainteresowane spojrzenia, sama była czemuś winna.

Nie chodziło przy tym o żadną przyzwoitość, cnotę czy cokolwiek z tych rzeczy. Po prostu miała wrażenie, że nikomu nie ma nic do zaoferowania, a każdy zwracający na nią uwagę młodzieniec tylko tracił czas.

- Dertzow? To się świetnie składa przecież. - Rozradowany głos księżnej przywołał ją do rzeczywistości. - Toż przecie jedzie pan, młodzieńcze, w tę samą stronę co i my. A będzie pan z pewnością szybciej niż Jan na którejś z tych naszych chabet. - Księżna machnęła ręką w kierunku zaprzęgu. - Proszę zajechać do zamku i prosić, żeby natychmiast wysłali po nas powóz.

Jako że robiło się już coraz ciemniej, a za moment nad lasem miała zapaść czarna noc, Bruno von Enckevort nie czekał, tylko dosiadł konia, skinął siedzącym w powozie damom i ruszył galopem przed siebie.

Wiktoria, odprowadzając go wzrokiem, nie miała pewności, czy to na nią spojrzał przed odjazdem, czy tylko jej się to wydawało. A najgorsze, że w ogóle powstało jej w głowie, żeby się nad tym zastanawiać.

- Enckevort, Enckevort... - Eliza z namysłem spojrzała na matkę. - Nie kojarzę tego nazwiska.

- To pewnie jakaś pomorska rodzina. - Księżna pokręciła głową. - Ważne, że był na tyle miły, żeby nam pomóc.

- Jeśli można, jaśniepani - odezwał się drugi lokaj, zaglądając do wnętrza karety. - To najstarszy syn hrabiego Karla Christiana von Enckevorta z Dertzow i Hohenziethen.

- A ty skąd to wiesz, Haraldzie?

- Toż przecie ja w Landsbergu się urodziłem, jaśniepani. Wszyscy tutaj

dobrze znają Enckevortów.

- Przystojny, prawda? - Eliza rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Wiktorii.

- Eliza! - Księżna popatrzyła na córkę ze zgrozą. - Nie przystoi panience takie uwagi robić.

- Oj, mammo.

- Żadne „oj, mammo”, moja panno. A jak już jesteśmy przy temacie kawalerów - księżna chrząknęła i spojrzała znacząco - u baronowej Henrietty.

- U cioci znaczy - wtrąciła niewinnie Eliza, rzucając porozumiewawcze spojrzenie Wiktorii.

- Nawet nie próbuj mnie w ten sposób denerwować. - Księżna pokręciła głową. - No więc u baronowej będzie gościł syn mojego kuzyna, Adam. I chciałabym, żebyś spojrzała na niego przychylnie. Na pewno będzie niejedna okazja na balu.

- Mammo.

- Nic ci się nie stanie, a to doskonała partia.

- A więc to dlatego jedziemy na ten bal do cioci...

- Do baronowej!

- Pał diabli!

- Elizo!

Eliza westchnęła manifestacyjnie.

- Mam dość tych nudnych fircyków! Żeby jeszcze z którym dało się porozmawiać o czymś innym niż bale i rauty albo plotki na temat królewicza Wilhelma i jego planów matrymonialnych.

- Kochanie, to dobrze wychowani młodzieńcy. Wiedzą, że z młodą damą nie należy poruszać niektórych tematów. Żadnej panienki, poza tobą, niestety, nie interesuje sytuacja geopolityczna Prus.

Wiktoria uśmiechnęła się pod nosem.

Doskonale wiedziała, że Eliza nie interesowała się polityką. Wymyśliła to głównie po to, żeby odstraszać co bardziej namolnych i mało interesujących kawalerów, którzy jako dodatku do posagu szukali ułożonej i małomównej kury domowej.

Elizę pasjonowała sztuka, malarstwo zwłaszcza. Potrafiła całymi godzinami malować pejzaże w ogrodzie lub sceny biblijne, a przede

wszystkim portrety członków rodziny. O ile tylko zdołała oczywiście zmusić kogoś do pozwania.

Rozmowę przerwał tętent kopyt i stukot kół, a po chwili na drodze przed księżącą karetą zatrzymał się powóz, a zaraz za nim bryka z fernalami, którzy mieli zająć się uszkodzoną karetą. Trochę potrwało, zanim służba przeniosła wszystkie bagaże z karety do powozu, ale w końcu księżna i towarzyszące jej dwie młode damy ruszyły w dalszą drogę.

Wiktoria od niechcienia przysłuchiwała się rozmowie, którą kontynuowały jej towarzyszki w nowym środku lokomocji. Księżna roztaczała przed córką rzekome zalety syna swojego kuzyna, a Eliza drobnymi złośliwościami odpierała jej ataki.

Za oknem przesuwają się kolejne pola, widoczne tylko jako jaśniejsze plamy na tle ciemnych grup drzew przy drodze, co jakiś czas zabłysło w świetle księżycy jakieś jezioro lub staw w kępie drzew. Wiktoria wpatrywała się w tę ciemność, widząc odbijające się w szybie kontury swojej twarzy.

Co sobie pomyślał ten pomorski szlachcic, widząc ją w karecie? Czy od pierwszego rzutu oka rozpoznał w niej dwórkę, służącą do towarzysztwa? Czy może wziął ją za jakąś kuzynkę albo może nawet równoprawną towarzyszkę jej dwóch dobrodziejek. Może teraz, myśląc o niej, jeśli w ogóle o niej jeszcze myśli, wspomina ją jako jakąś hrabiankę, jakąś tajemniczą podróżniczkę, zmierzającą na zamek w sąsiedztwie dóbr jego ojca?

Może ma nadzieję, że jeszcze ją zobaczy?

A może ta chwila jego złudzeń jest wszystkim, na co ona może liczyć..

Pod kołami powozu zaterkotał nagle bruk. Przy drodze wyrosły stare lipy, a po chwili zobaczyła majaczące między drzewami światła zabudowań.

Kareta zwolniła i zakreśliła w jakąś aleję, przy której rosły ogromne, stare drzewa. Na jej końcu widać było bramę, przy której paliły się latarnie. Wiktorii przemknęło przez myśl, że baronowa widać zadbała o to, żeby zjeżdżający na zamek goście nie błądzili.

Powóz wjechał na wielki dziedziniec, przy którym stały, także rozświetlone teraz migotliwym światłem latarni, budynki z pruskiego muru, zakreślił i potoczył się wybrukowaną drogą w stronę zamczyska.

Wiktoria z ciekawością wyglądała przez okno. Zamek nie był duży, ale regularny, zamknięty w czworobok i poprzedzony dziedzińcem paradnym, na który prowadziła kolejna brama. Widziała palące się na podjeździe latarnie i światła w oknach.

A nad dachem, na bezchmurnym, aksamitnym jak welur niebie świecił księżyc. Tak intensywnie, że wydawał się wielkim srebrnym lampionem.

Gdy więc karetą mijała filary otwartej na oścież bramy, Wiktoria, wpatrzona w jasną, owalną tarczę, przypomniała sobie nagle opowieści Elizy o wampirach.

Tymczasem powóz zatrzymał się przed schodami do głównego wejścia, przy których stało już dwóch służących. Były wreszcie na miejscu.

Rozdział 2

Richmond, Wirginia

Wystrzał sprawił, że Patryk, zestresowany już i tak przebiegiem ostatnich wydarzeń, ze strachu nieomal podskoczył. Odwrócił się gwałtownie w stronę, z której dobiegały właśnie jakieś nerwowe okrzyki, i zamarł.

W sali obok grupka ludzi przekrzykiwała się, ciesząc się najwyraźniej z udanej aukcji, a z rąk do rąk przechodziły dwie dopiero co otwarte butelki szampana. Okrzyki, które uznał za nerwowe, były jednak zdecydowanie entuzjastyczne.

Patryk zacisnął zęby i zaklął pod nosem.

Karen przed chwilą zostawiła go samego i poszła w ślad za pracownikiem galerii na zaplecze, żeby załatwić wszystkie formalności.

Dziesięć tysięcy dolców! Ta wariatka wydała prawie całe swoje oszczędności. Pięćdziesiąt tysięcy! I na co? Na jakiś drewniany badziew. Żeby jeszcze była pewność, że jest autentyczny. Ale ta cała historia z północnymi Niemcami i warsztatem szczecińskim może być tylko jakąś durną teoryjką byłych właścicieli tego szajsu, którzy chcieli po prostu sprzedać to jak najlepiej. Poza tym, nawet jeśli to rzeczywiście warsztat szczeciński, to co z tego, na miłość boską?! Od kiedy ona została kolekcjonerką patoantyków?

- Patryk!

Patryk spojrział w kierunku, skąd dobiegł go właśnie sceniczny szept.

Karen stała przy drzwiach na zaplecze i kiwała do niego ręką. No chociaż tyle okazała rozsądku, że nie chce podpisywać papierów bez swojego prawnika - pomyślał, podnosząc się i ruszając w jej kierunku.

W tym samym momencie podeszła do Karen owa elegancka dama w szarym kostiumie, która także licytowała upiorny artefakt.

- Chciałabym pogratulować pani wygranej. - Kobieta uśmiechnęła się do Karen. - No cóż, wygrał lepszy, a właściwie bardziej zasobny.

- Polemizowałbym z tym - mruknął Patryk, stając obok Karen

i rzucając kobiecie zaciekawione spojrzenie.

Karen popatrzyła na niego z naganą.

- Mężczyźni... - Kobieta obrzuciła Patryka rozbawionym i protekcjonalnym spojrzeniem i uśmiechnęła się porozumiewawczo do Karen. - Czy mogłabym zapytać, z jakiego powodu zainteresowała się pani tą akurat szkatułą? Jeśli oczywiście to nie tajemnica.

Karen przez chwilę wpatrywała się w kobietę, jakby zaskoczona jej pytaniem.

- Przeczytałam, że to warsztat szczeciński - odpowiedziała w końcu z wahaniem. - I że pochodzi z Pomorza, a ja akurat.

- Jestem Szwedką i mieszkam w Warszawie - wtrącił Patryk z niewinnym uśmiechem.

- Jestem związana z Pomorzem przez rodzinę matki - dokończyła Karen, ignorując złośliwości chłopaka.

- Ach tak. - Kobieta pokiwała głową. - To nawet ładne zrządzenie losu. Po dwustu latach kuferek wróci do miejsca swoich narodzin. Oczywiście żałuję, że nie zostanie w Waszyngtonie, ale cóż. - Uśmiechnęła się smętnie.

- A pani czemu właściwie była nim zainteresowana? - zapytał Patryk.

- Reprezentuję Muzeum Historii Amerykańskiej z Waszyngtonu. Jestem historyczką. Ta szkatuła od razu mnie zaciekała, jak tylko miesiąc temu zobaczyłam program aukcji. Niestety, budżet muzeum na ten cel zamykał się dla mnie kwotą pięciu tysięcy dolarów. Co i tak zresztą, według naszych ostrożnych szacunków, było powyżej wartości tego przedmiotu.

Patryk podniósł brwi i popatrzył znacząco na Karen.

Odpowiedziała mu cierpkim skrzywieniem ust.

- Czyli to chodzi o tę zawartość? Te przybory łowców wampirów? To jakiś amerykański mit? - Zdezorientowana spojrzała na kobietę.

- Skądże. - Muzealniczka parsknęła pogardliwie. - Szkatuła przez całe lata była przechowywana na plantacji Arnim Creek pod Williamsburgiem. Nie wiadomo, kiedy tam trafiła, według rodzinnych podań wraz z pierwszymi osadnikami z Niemiec, ale to nic pewnego. Stanowi zatem jakąś część historii Wirginii. Natomiast właśnie się trochę obawiałam, że kupi i zniszczy to niezainteresowany historią fascynat wampirologii i spiskowych teorii dziejów. Wie pani, tych wszystkich bzdur na temat ojców założycieli.

Karen, podnosząc brwi, ostrożnie skinęła głową. Oczywiście nie miała

pojęcia, o co chodzi, ale czuła intuicyjnie, że jako nabywczynie artefaktu nie powinna raczej chwalić się taką ignorancją.

- Według byłego właściciela szkatuła pochodzi z połowy osiemnastego wieku, ale ja bym ją raczej datowała na początek osiemnastego. - Kobieta, nieświadoma kompletnego braku rozeznania Karen, kontynuowała: - Nie wiadomo oczywiście, w jaki sposób ta szkatułka wiąże się z gubernatorem, poza bredniami w stylu Lyndona LaRouche^[4] lub jeszcze gorszymi z rozmaitych portali internetowych, ale na pewno jest to coś raczej prozaicznego. Szachownicę łączy się wprawdzie z masonerią, ale ja byłabym ostrożna. Poza tym najpierw trzeba byłoby datować tę inskrypcję, możliwe, że jest dużo późniejsza...

- Pani Lindberg. - Z biura na zapleczu wyłonił się młody asystent kierownika galerii i spojrział niecierpliwie na Karen. - Czy możemy panią prosić?

- Oczywiście. - Karen skinęła głową, patrząc z niezdecydowaniem na historyczkę z waszyngtońskiego muzeum. Chętnie by jej jeszcze posłuchała. O jakiej inskrypcji ona mówiła? A szachownica? Co to za szachownica?

- Gratuluję raz jeszcze nabytku. - Kobieta uśmiechnęła się do obojga. - Porozmawiałabym z państwem dłużej, ale niestety też muszę lecieć, czeka na mnie kierowca. Nie mam prawa jazdy, korzystam z usług obsługi muzeum. Życzę wszystkiego dobrego i do widzenia.

Karen obejrzała się za kobietą, po czym popatrzyła na młodego pracownika galerii, który spoglądał na nią z łagodną irytacją.

- Idziemy - zakomenderował Patryk i delikatnie popchnął Karen w kierunku biura galerii.

Kierownik galerii, korpulentny i nieco przysadzisty mężczyzna, stał akurat przy swoim biurku, gdy Karen i Patryk weszli do gabinetu. Na ich widok uśmiechnął się jowialnie i wyciągnął do nich rękę.

- Bardzo miło państwa poznać. Nazywam się Peter Tremblay. Jestem szefem działu sprzedaży naszego muzeum. Gratuluję zakupu.

Przywitał się najpierw z Karen, potem z Patrykiem, po czym obszedł biurko i wskazał obojgu krzesła. Jego asystent skinął dyskretnie głową i wyszedł.

- Pani Lindberg. - Kierownik spojrzał na Karen. - Właściwie formalności jest niewiele. Zwyczajowa umowa sprzedaży i tak dalej. Po naszej stronie jest także załatwienie zgody na wywóz z kraju. Dostaniemy ją jutro...

- Jutro? - Patryk nie wytrzymał. - Ale my jutro rano chcieliśmy wyjechać.

- Niestety. - Kierownik pokręcił z żalem głową. - Nie mamy na to wpływu. Proszę mi wierzyć, że to i tak błyskawicznie. Gdyby nie to, że wcześniej uzgodniliśmy sprawę z odpowiednimi władzami, to na pozwolenie czekaliby państwo miesiąc. Braliśmy po prostu pod uwagę, że aukcję może wygrać ktoś spoza Stanów.

- Ale możemy liczyć, że dostaniemy te dokumenty rano?

- Patryk. - Karen spojrzała na chłopaka z wyrzutem.

- Postaramy się załatwić tę sprawę jak najszybciej. - Peter Tremblay uśmiechnął się z wyrozumiałością do Karen. - Poza tym i tak będziemy musieli poczekać na potwierdzenie przelewu z pani banku. Jak tylko nadejdzie, będą mogli państwo odebrać wylicytowany przedmiot osobiście lub dostarczymy go kurierem w dowolne miejsce.

Patryk spojrzał nagle na Karen. Coś go tknęło.

- A ty w tym swoim szwedzkim banku możesz nagle przelać dziesięć tysięcy dolców? W dodatku w innej walucie? - spytał.

- A dlaczego nie? - Karen wzruszyła ramionami. - Limit operacji dziennych to jakiś milion koron. Czyli sto tysięcy euro - dodała wyjaśniająco.

- Ale potwierdzenie przyjdzie do jutra?

- Mam nadzieję. - Karen spojrzała na Patryka nieswojo. - Teraz, jak o tym wspomniałeś, to zacznę się tym oczywiście martwić.

- Czy wszystko jest w porządku? - zapytał Tremblay, spoglądając niepewnie to na Karen, to na Patryka. Nie zrozumiał z ich dialogu ani słowa, ponieważ Patryk kwestię wypłacalności Karen zapobiegawczo postanowił omówić w języku polskim.

- W jak najlepszym. - Karen uśmiechnęła się do niego promiennie. - Zastanawiamy się po prostu, czy zdołamy przedłużyć nasz pobyt w hotelu.

- Zaczął się sezon, to prawda. - Tremblay skinął głową. - Jeśli będą mieli państwo z tym kłopot, to polecam motel. Najbliższy jest na wyjazdówce w kierunku Waszyngtonu. Tuż za miastem.

- Dziękujemy. Poradzimy sobie. - Karen podpisała w końcu ostatni papier i przesunęła dokumenty w stronę kierownika, na którego twarzy odmalowała się wreszcie ulga.

Karen miała wstać, gdy przypomniała sobie o wątpliwościach, które zasiała w niej historyczka z waszyngtońskiego muzeum.

- Dlaczego właściwie pańskie muzeum postanowiło sprzedać tę szkatułę? - Spojrzała na Tremblaya. - To w końcu element tutejszej historii. Dowiedzieliśmy się właśnie, że rzekomo wiąże się jakoś z gubernatorem Wirginii.

Karen nie miała oczywiście bladego pojęcia, o jakiego gubernatora chodzi. Aktualnego czy może jakiegoś z osiemnastego wieku, a może z czasów wojny o niepodległość. Liczyła na to, że kierownik ją zaraz oświeci.

- Gubernatorem Wirginii? - Tremblay popatrzył na Karen z zaskoczeniem, rozwiewając momentalnie jej złudzenia. - Pierwsze słyszę, szczerze mówiąc. Ale to nie muzeum wystawiło na aukcję ten przedmiot. Ja nie podejmuję decyzji o zakupach. Nie jestem nawet historykiem - powiedział urzędnik i uśmiechnął się przepraszająco. - Ale boleję oczywiście, że nasze muzeum ma ograniczone fundusze. Kupujemy z reguły pamiątki bezspornie związane z historią i kulturą stanu. Niestety, nie możemy sobie pozwolić na wszystko.

- Więc to nie muzeum sprzedało ten kuferek? - upewniła się Karen.

Tremblay pokręcił głową.

- My tylko go wyceniliśmy i udostępniliśmy na naszej aukcji.

- A kim jest sprzedający?

- Niestety, pani Lindberg. Nie mogę tego zdradzić. Sprzedający chciał zachować anonimowość. - Tremblay schował dokumenty do teczki i podniósł się z fotela, dając tym samym znak, że z jego strony spotkanie jest zakończone. - Jak tylko dostanę jutro wszystkie papiery i jak przyjdzie potwierdzenie przelewu z pani banku, od razu do państwa dzwonię.

Pół godziny później Karen i Patryk siedzieli w małej knajpce przy bocznej uliczce, niedaleko muzeum. „Knajpka” to może nie było najwłaściwsze określenie, jak oboje przyznali tuż po wejściu. Lokal wyglądał bardziej jak te powielane w setkach filmów bary z łóżami wzdłuż wielkich okien, gdzie przesiadywali bohaterowie amerykańskich historii

o nastolatkach, a kelnerki chodziły w kolorowych fartuszkach i podawały im burgery albo placek z jabłkami. Jedyne, co go różniło, to wygląd zewnętrzny, dopasowany do starej, kolonialnej zabudowy - czerwone ceglane ściany i ciemna, prawie czarna stolarka z oknami, w których odbijały się konary stojących przy drodze starych, rosochatych drzew.

- Zachwycające. - Karen patrzyła w zamyśleniu w okno, za którym po przeciwnej stronie ulicy stał ceglany budynek z kremowobiałymi kolumnami, wynurzający się zza kipiącej czerwieni grupy szkarłatnych, amerykańskich dębów. Wzdłuż chodnika ciągnęło się niskie ogrodzenie z piaskowca i czerwonej cegły.

- No - mruknął Patryk, wpatrując się w talerz z ogromnym burgerem, który postawiła przed nim właśnie kelnerka. - Ale ja jestem głodny.

- Co? - Karen oderwała wzrok od okna i spojrzała zdezorientowana na swojego chłopaka. - Ja mówiłam o tym mieście. Nie spodziewałam się, że będzie takie piękne.

- No jest okay. - Patryk nie zerknął nawet w okno, podniósł burgera i wbił w niego zęby.

- Jak ty to możesz jeść? - Karen wzięła widelec i włożyła go w talerz z sałatką, spoglądając na Patryka z niesmakiem. - Pomijam już, że jak uporasz się z tym czymś, to będziesz chyba potrzebował prysznic.

- Przecież idziemy do hotelu, nie? - spytał Patryk między ogromnymi kęsami burgera. - Chętnie bym się zdrzemnął.

- Jest dopiero trzynasta - jęknęła Karen.

- No dokładnie, drzemka po obiedzie.

- Wybij to sobie z głowy! Jesteśmy w Stanach! Po raz pierwszy i pewnie ostatni w życiu, a ty chcesz sobie spać?

- Ty kupiłeś właśnie dla kaprysu drewniane gówno za dziesięć tysięcy dolców, a ja nawet się zdrzemnąć nie mogę? - Patryk wytarł usta serwetką i popatrzył łakomie na pozostałą połowę burgera.

- A twój durnowaty kurs pilotażu?

- To zupełnie co innego. - Patryk zamarł na moment z drugą częścią burgera przy ustach.

- Jasne. - Karen parsknęła ironicznie, sięgnęła po butelkę z wodą mineralną i nalała sobie do szklanki. - Słuchałeś w ogóle, co mówiła ta historyczka z muzeum w Waszyngtonie?

- Jaka historyczka? - Patryk przymknął oczy z rozkoszy, pałaszując

kolejny fragment ogromnej buły. - Aa... - mruknął z pełnymi ustami. - Ta, co licytowała. No szkoda, że jednak nie wygrała.

- Czyli nie słuchałeś. - Karen pokiwała głową ze zniechęceniem.

- A co ty właściwie zobaczyłaś takiego ciekawego w tym pudle? To, że jest ze Szczecina? I to wszystko? Jakby było ze Szwecji, tobym jeszcze to pojął, ale Szczecin?

- Nie wiem, prawdę mówiąc. - Karen wzruszyła ramionami. - Intuicja.

- Intuicja ci kazała wydać taką kasę. Ta wycieczka do Stanów kosztowała majątek, nie wiem, z czego będziemy żyć po powrocie. Mnie zostało jakieś sześć, siedem koła na koncie, a cały czas przecież używam karty kredytowej.

Karen, puszczając mimo uszu słowa swojego chłopaka, wyjęła z torebki długopis, rozejrzała się dookoła, po czym wstała i podeszła do baru, a po chwili wróciła z plikiem kartek wyrwanych z notatnika.

- Ta babka powiedziała, że szkatuła była przechowywana na jakiejś plantacji. Arnim Creek, o ile pamiętam, pod Williamsburgiem. - Zanotowała. - Trafiła tam wraz z pierwszymi osadnikami z Niemiec. Potem wspomniała coś o tym gubernatorze Wirginii, że nie wiadomo, co go łączy ze szkatułką.

- O ojcach założycielach coś tam też mówiła - wtrącił Patryk z pełnymi ustami.

- Tak, że są jakieś spiskowe teorie na ich temat.

- I o jakiejś szachownicy - dodał Patryk.

- No właśnie. - Karen zanotowała kolejny punkt. - Szachownica. Widzę, że coś jednak usłyszałeś. Ta babka mówiła jeszcze, że szachownica to masoński symbol, a ci ojcowie założyciele byli przecież masonami. Całe to towarzystwo związane z Deklaracją niepodległości było przecież powiązane z masonerią. Może to o to chodzi?

- Jakbym trafił w sam środek *Skarbu narodów*^[5] - zakpił Patryk, wycierając usta chusteczką.

- A, i jeszcze o jakiejś inskrypcji mówiła. Inskrypcja. - Karen zanotowała i podniosła wzrok na Patryka. - Nie uważasz, że to fascynujące? Mamy przynajmniej motyw przewodni dla zwiedzania Stanów. Tak byśmy się pętali po Piątej Alei, Parku Centralnym albo oglądali jedno po drugim muzea w Waszyngtonie.

- Ja wciąż mam jednak nadzieję, że zobaczymy Central Park - mruknął Patryk, sięgając po wodę mineralną. - Jest środa. Wczoraj mieliśmy zwiedzić Mount Vernon i Waszyngton, a dzisiaj i do piątku Nowy Jork. Tymczasem siedzimy w Richmond i nawet tutaj nic nie widzieliśmy poza Muzeum Sztuki i Kultury. Wróć! Muzeum, poza salą aukcyjną, też nie widzieliśmy.

- Ależ ty jesteś marudny. - Karen pokręciła głową z dezaprobatą. - Spontan! Nie masz jeszcze trzydziestki nawet, nie musisz się trzymać kurczowo planów.

Patryk odsunął od siebie talerz i westchnął ciężko.

Był prawnikiem. Lubił się trzymać planów. Wiek nie miał nic do tego.

- To co proponujesz? - spytał.

- Jedziemy do Williamsburga.

Patryk patrzył przez chwilę na Karen nieruchomo.

- Zwariowałaś.

- No zobacz. - Karen wyciągnęła w jego kierunku tablet. - Piękne miasteczko. Z zachowanym skansenem historycznym z epoki kolonialnej.

Półtorej godziny później biała toyota minęła zawieszoną nad jezdnią zieloną tablicę informacyjną i zjechała z drogi międzystanowej numer sześćdziesiąt cztery na boczną szosę do Williamsburga.

- I jak masz zamiar znaleźć tę plantację? - Patryk oderwał wzrok od przedniej szyby i spojrzał z uśmiechem na Karen.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Zapytamy kogoś.

- Kogo?

- Ja wiem? - Karen sięgnęła po tablet. - Może w jakimś miejscowym muzeum albo w jakiejś informacji turystycznej?

- Najlepiej byłoby, gdyby udało się nawiązać kontakt z tą historyczką. Mogliśmy zapytać tego faceta z galerii o namiary na nią.

- Nic by nie powiedział. - Karen przesuwiała palcem po ekranie, czytając kolejne linki do różnego rodzaju atrakcji turystycznych Williamsburga. - Kto sprzedał szkatułkę, też przecież nie chciał zdradzić. Słyszałeś.

- Może po prostu poszukamy jej w Waszyngtonie? Powiedziała przecież, że pracuje w jakimś muzeum.

- Znowu ten Waszyngton. Serio wolisz oglądać to, co widziałeś już

w setkach filmów? - Karen pokręciła głową z rozbawieniem. - Popatrz, jak tu pięknie. Prawdziwe kolonialne Stany Zjednoczone. W dodatku miasto skansen.

Między starymi drzewami pojawiły się stylizowane budynki z gankami wspartymi na drewnianych kolumnach i ceglane fasady starych domów.

- Piszą tutaj, żeby zaparkować w Visitor Center przy Visitor Center Drive. - Karen podniosła wzrok i rozejrzała się. - Tu chyba musiałbyś skręcić gdzieś w prawo.

Jakby na zawołanie, przy drodze wyrosła tablica z wielką strzałką i napisem Visitor Center. Patryk zwolnił i po chwili wjeżdżał na zastawiony samochodami parking przed sporym budynkiem.

- Tu jest cała obsługa, widzę. - Rozejrzał się dookoła, zatrzymując się na drodze przed budynkiem. - Pewnie sprzedaż biletów, pamiątek i takie tam.

- Hotel też jest. - Karen wskazała brodą tablicę informacyjną.

- Poczekaj tutaj. - Patryk zjechał na bok i wyłączył silnik. - Pójdę zapytać, co i jak. I przy okazji spytam o tę plantację.

Karen skinęła głową, a Patryk wysiadł i zniknął w czeluściach rozległego gmachu z czerwonej cegły.

Minęło może pięć minut, gdy pokazał się ponownie w drzwiach prowadzących do holu budynku.

- Kupiłem bilety. Łazić wszędzie można wprawdzie za darmo, ale żeby wejść do muzeów, ogrodów i różnych takich, trzeba zabulić. - Pomachał przed nosem Karen dwoma kartonikami.

Toyota ruszyła i wytoczyła się ponownie na aleję wjazdową.

- Nie parkujemy?

- Taka miła dziewczyna po cichu mi poradziła, żeby pojechać nieco dalej, bo stąd będzie kawałek do centrum. - Patryk uśmiechnął się do siebie.

- Miła dziewczyna? - Karen obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Poradziła, żeby zaparkować przy kościele baptystów. Tam jest darmowy parking.

- Cóż za bezinteresowna młoda Amerykanka - zakpiła Karen.

- Nic nie poradzę, że jestem taki ponętny. - Patryk parsknął śmiechem.

- Niestety, nie miała pojęcia, co to za plantacja. Powiedziała, że pierwsze słyszy taką nazwę.

Kościół baptystów okazał się jednym z nielicznych nowych budynków,

który nie odwoływał się do stylu kolonialnego. Prosta, nakryta płaskim dachem bryła założona na rzucie litery E.

Patryk zaparkował na wielkim, całkowicie ukrytym za rozrośniętymi drzewami parkingu i zaraz potem, po przejściu dwóch przecznic, cofnęli się do przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku.

Ulice, przy których stały zrekonstruowane lub drobiazgowo odtworzone kolonialne domy, z wysokimi dachami, ceglanymi kominami, z pobielonymi drewnianymi werandami, wyglądały jak scenografia historycznego filmu. Zwłaszcza że co chwilę przechodziła tędy kobieta ubrana w długą suknię czy fartuch z epoki albo mężczyzna w mundurze z okresu rewolucji amerykańskiej. Przejeżdżały też powozy zaprzężone w konie lub ciągnięte przez krowy wozy drabiniaste. Z kolonialnych sklepików i warsztatów dochodziły dźwięki dzwonków, stukanie narzędzi stolarskich albo łomot młotów kowala. Słysząc było bębny i piszczałki, a z wielkiego trawnika przed pałacem gubernatora dobiegały gromkie pokrzykiwania ubranych w angielskie mundury rojalistów.

Po blisko dwóch godzinach spacerowania między zabytkowymi, pięknymi niczym domki dla lalek domami bogatych kupców i oficerów i mniejszymi, obitymi białym lub kremowym sidingiem domkami mniej zamożnych mieszkańców dawnego Williamsburga wykończona para opadła na ławę przy stylowej tawernie, w której, jeśli wierzyć opisom, stołowali się George Washington i Thomas Jefferson.

Patryk, którego w rzeczywistości miasteczko zachwycało i w głębi duszy cieszył się, że dał się namówić na tę wyprawę, zachowywał pozory obojętności. Karen, która klikała fotki praktycznie każdemu budynkowi i większej skrzynce na listy, oczywiście od razu go przejrzała, ale w ferworze podziwiania kolonialnych artefaktów nie znalazła odpowiedniego momentu, żeby mu to wytknąć.

- Williamsburg to dawna osada Middle Plantation - przeczytała z tabletu, którego praktycznie nie zamykała, co chwilę coś w nim sprawdzając. - Założona w tysiąc sześćset trzydziestym drugim roku przez osadników holenderskich, niemieckich i polskich. - Podniosła wzrok i spojrzała porozumiewawczo na Patryka. - W tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, gdy spłonęło Jamestown, jedna z najstarszych amerykańskich osad i pierwsza stolica Wirginii, mieszkańcy przenieśli się tutaj właśnie, a osada zmieniła nazwę na Williamsburg, na

cześć angielskiego króla Wilhelma Trzeciego Orańskiego.

- Zwiedzaliśmy pałac królewskiego gubernatora. - Patryk z wdzięcznością spojrział na szklanki i dzbanek zimnej wody z cytryną, które właśnie postawił przed nimi kelner. - Może to o tego gubernatora chodziło?

- Plantacja Arnim Creek stoi rzekomo gdzieś w okolicy, a tutaj z kolei pałac gubernatora - podjęła z entuzjazmem Karen. - Zaczyna pasować.

- Tylko jeszcze się nie dowiedzieliśmy, gdzie ta farma leży.

- Może to jakaś historyczna nazwa, a miejscowi znają to miejsce pod zupełnie inną?

- Możliwe. - Patryk wypił łyk zimnej wody. - Ale to oznacza, że raczej jej nie znajdziemy. Pomijając, że nie wiem, po cholere w ogóle jej szukamy.

- Wzdłuż rzeki James, od Richmond do Williamsburga, stoi wiele zachowanych kolonialnych plantacji. - Karen, puszczając mimo uszu słowa Patryka, wciąż przeglądała rozmaite linki. - W jednej z nich, Berkeley, urodził się nawet prezydent William Henry Harrison, który trzy tygodnie po zaprzysiężeniu zmarł na zapalenie płuc...

- Nie narządził się - zakpił Patryk.

- Wiedziałaś, że w Williamsburgu jest druga, po Harvardzie, najstarsza uczelnia w Stanach? - Karen podniosła wzrok znad tabletu. - College of William and Mary. Możemy tam pójść, zostało nam jeszcze sporo czasu. Może tam ktoś będzie wiedział o tej plantacji?

- Sporo czasu do czego?

- Do osiemnastej, wtedy zamykają. Pij szybciej i idziemy.

Główny budynek uczelni, nazwany na cześć słynnego angielskiego architekta sir Christophera Wrena, odbudowany drobiazgowo na podstawie osiemnastowiecznych rysunków, wznosił się dokładnie na osi głównej drogi Williamsburga - alei Księcia Gloucester. W jego wnętrzu złociły się stare boazerie, pięły rzeźbione schody, a na ścianach wyłożonych wzorzystymi tapetami wisiały portrety słynnych absolwentów uniwersytetu.

Oprowadzający zwiedzających młody człowiek opowiadał o historii uczelni, związanych z nią słynnych postaciach, kolejach losu w czasie wojny secesyjnej, kiedy to gmach został zajęty przez wojska Unii i podpalony przez pijanych kawalerzystów.

- Nie masz wrażenia, że tutaj cały czas utrzymuje się duch

konfederatów? - szepnął Patryk do słuchającej przewodnika Karen.

- Już w pałacu gubernatora to zauważyłam. Czytałam, że jeszcze w latach pięćdziesiątych popierano tutaj segregację rasową.

- Może jakoś go zagadniemy, kiedy będziemy przechodzić do kolejnej sali. - Patryk westchnął niecierpliwie. - To zwiedzanie, razem z kampusem, potrwa pewnie jeszcze z godzinę. Nie wiem, czy mam ochotę słuchać o tych wszystkich tajnych bractwach, absolwentach i rektorach. To może interesuje

Amerikanów.

- Ciszej - syknęła Karen, łowiąc niezadowolony wzrok jakiejś starszej pani, która obrzuciła Patryka poirytowanym spojrzeniem.

Student skończył opowiadać o studium na uczelni niemieckim imigrancie z połowy dziewiętnastego wieku, który jako pierwszy w Stanach rozpropagował zwyczaj ubierania choinki w Boże Narodzenie, odpowiedział na kilka pytań, a następnie przeszedł do rozwoju uczelni w dwudziestym wieku, co Patryk skwitował głębokim westchnieniem.

- Może akurat dobrze się składa - szepnęła do niego Karen, kiedy przewodnik zaczął opowiadać o leżącej w sąsiedztwie uczelni plantacji Highland, w której urodził się prezydent James Monroe, a którą przekazał uczelni w darze kolejny jej właściciel.

Młody człowiek wskazał dłonią schody na piętro, a sam odsunął się na bok, czekając, aż cała grupa wejdzie na górę.

- Teraz - syknęła Karen. - Lepszej okazji nie będzie.

Nie czekając na Patryka, ruszyła w kierunku studenta.

- Bardzo przepraszam - zwróciła się do chłopaka, sięgając po najbardziej uwodzicielski z uśmiechów w swoim repertuarze. - A propos plantacji w pobliżu... Czy wiesz może, gdzie leży Arnim Creek?

- Arnim Creek? - Przewodnik wydał wargi i pokręcił głową. - Nie jestem stąd. Przyjechałem z Maine - dodał wyjaśniająco. - W dodatku studiuje prawo. Ale może ktoś w administracji kampusu będzie wiedział.

- Arnim Creek? - Starsza pani, która chwilę wcześniej spiorunowała wzrokiem Patryka, zatrzymała się na pierwszym stopniu schodów i odwróciła.

- Taką nazwę podała nam znajoma z muzeum w Waszyngtonie - odpowiedziała nie do końca zgodnie z prawdą Karen.

- To bardzo stara nazwa. - Starsza pani popatrzyła na Karen i Patryka

z nowym zainteresowaniem. - Właściwie znana tylko z opracowań historycznych. Od połowy dziewiętnastego wieku to miejsce nazywane jest Farmą Lintonów.

- Aaa. - Młody przewodnik pokiwał głową. - Farma albo plantacja Lintonów! To wiem. Trzeba chyba na Jamestown wyjechać.

- Nie, młody człowieku. - Starsza pani pokręciła głową. - Droga międzystanową numer pięć, przez most na Chickahominy i dalej w kierunku Richmond. To bardzo stara droga, jeszcze z czasów kolonialnych.

- Można zwiedzić tę farmę? - zapytała Karen, patrząc na starszą panią z podziwem. Pytali wszystkich przewodników i pracowników w miasteczku, a tu proszę, przypadkowo pojawia się taka miła staruszka.

- Rok temu zwiedzałam wszystkie plantacje wzdłuż James River i wpuszczono nas tam. - Starsza pani skrzywiła się na wspomnienie wycieczki do farmy. - Ale to własność prywatna, a właściciel jest bardzo, powiedziałabym, ekstrawagancki. Ale możecie spróbować. - Uśmiechnęła się do Karen tajemniczo.

Pół godziny później Karen i Patrykowi udało się zgubić w ogrodach kampusu, do którego poszła grupa zwiedzających. Gdy wyjeżdżali z Williamsburga, dochodziła osiemnasta. Tuż za miasteczkiem rozciągały się tereny pól golfowych, ogromne ogrody przy prywatnych rezydencjach i winnice porastające pagórki, ale kiedy minęli most nad rzeką Chickahominy, wjechali w bardziej dziewicze tereny.

Stary kolonialny trakt, wiodący wzdłuż rzeki James, przebiegał praktycznie cały czas przez gęste lasy. Słońce stało jeszcze na tyle wysoko, że sosny i dęby wirginijskich puszczy były prześwietlone złotym blaskiem, a na drodze układały się granatowe cienie drzew.

- Wiedziałeś o tym, że to dokładnie tutaj wylądował okręt Johna Smitha? - Karen podniosła głowę znad tabletu, którego praktycznie nie wypuszczała z rąk, i spojrzała na Patryka. - To on był założycielem Jamestown i pierwszym gubernatorem Wirginii. Jego posąg stoi na brzegu Jamestown.

- Jakiego Johna Smitha? - Patryk zmarszczył brwi.

- Tego od Pocahontas. Smith i jego towarzysze zostali schwytani przez Indian z plemienia Matoaka i gdyby nie córka wodza, wszyscy by zginęli.

To prawdziwa historia, jak się okazuje.

- A ta cała masakra piłą mechaniczną?

- Co takiego? - Karen spojrzała na Patryka kompletnie zbita z tropu.

- No ten film. - Patryk oderwał na moment wzrok od drogi. - To nie tutaj się przypadkiem działo?

- *Teksańska masakra piłą mechaniczną?* - Karen postukała się palcem w czoło. - Nie w Teksasie raczej?

- Czekaj. - Patryk parsknął śmiechem. - Nie masakra. Coś innego... Wiem! *Zły skręt?* Nie, *Droga bez powrotu!* Tam też było szlachtowanie piłą mechaniczną. Na autostradzie jest jakaś kraksa i młodzi ludzie zjeżdżają w boczne drogi, żeby znaleźć objazd.

- I co? - Karen patrzyła na Patryka jak na wariata.

- I oczywiście trafiają na zapuszczoną farmę, gdzie mieszkają zmutowani mordercy.

- Chryste! Co ty pleciesz? - Karen pokręciła głową i pochyliła się nad tabletem. Przez chwilę w milczeniu czytała.

- Akcja działa się w Wirginii - powiedziała w końcu cicho.

- No! Nie mówiłem?! - Patryk uśmiechnął się szeroko. - Zajebiste!

- Ale zdjęcia kręcono w Kanadzie.

- Ale pozostałe pięć części tutaj!

- Nieprawdopodobne, że nakręcono aż pięć części tego gówna.

- A *Milczenie owiec?* Też działo się w Wirginii. I *Przepowiednia*. I *Silent Hill*. O! I jeszcze taki koszmarny horror o parze, która wybrała się na wycieczkę w miejscowe lasy.

- Patryk! - Karen spojrzała na swojego chłopaka z ironicznym uśmiechem. - Ćwiczę pięciobój od dziecka i biegam codziennie. W razie czego ucieknę. Gorzej z tobą.

- Ja chodzę na siłownię.

- Raz na miesiąc. Jak ci się przypomni.

Patryk parsknął śmiechem i spojrzał na Karen z rozbawieniem.

Poznali się rok wcześniej. Jego kancelaria prowadziła sprawę spadkową babki Karen. Willa przy Alejach Ujazdowskich w Warszawie, skomplikowany testament ostatniej właścicielki oraz odszkodowanie za majątek pozostawiony na terenie Litwy. Mimo że do sprawy włączyła się angielska, dobrze umocowana w Wilnie kancelaria przyjaciół wuja Karen, końca postępowania nie było widać. Chociaż z Litwy dochodziły już

pierwsze sygnały, że wszystko może skończy się wreszcie ugodą.

Związki zadziergnięte w sytuacjach kryzysowych rzekomo były najtrwalsze. Tak słyszał. Jeśli to była prawda, to biorąc pod uwagę to, co przeszli rok wcześniej, gdy ugrzęźli w podziemiach ruin pewnego zamku pod Brasławiem, powinno ich złączyć niczym żelazobeton.

- Lepiej pilnuj drogi. - Karen spojrzała na ekran nawigacji. - Zaraz powinien być zjazd na lewo.

Za zakrętem ukazała się wyrwa w gęstej zieleni lasów, a na jej środku jakieś zabudowania.

Patryk zwolnił. Po lewej stronie widać było kierunkowskaz.

Toyota potoczyła się jeszcze sto metrów, a następnie zatrzymała na poboczu.

- Co się dzieje? - Karen rozejrzała się, a następnie spojrzała na Patryka.

- Popatrz. No bez jaj. To jest dokładnie to miejsce, w którym ci kretyni z tego filmu pytali o drogę.

Karen podążyła za wzrokiem Patryka.

Przy drodze stała zaniedbana stacja benzynowa, przed którą sterczały dwa rdzewiejące dystrybutory. Za pawilonem widać było jakąś rozlatującą się szopę, a przed nią stał stary pick-up.

- Pewnie większość stacji na prowincji tak tutaj wygląda. Przestań się wygłupiać.

Patryk podniósł brwi i wrzucił kierunkowskaz.

- *Wrong turn!* - powiedział grobowym głosem. - Na twoją odpowiedzialność.

Toyota zjechała z głównej trasy i potoczyła się wąską drogą numer sześćset trzystaście.

Kilka kilometrów dalej droga, meandrująca do tej pory między lasami, wypadła na otwartą przestrzeń łąk i pól, po czym po kilku milach znowu wbiła się w gęstwinę starych olch i jesionów.

Przez wysoko sklepienie drzewa wpadało światło nisko stojącego już nad horyzontem słońca. Niespodziewanie wzdłuż drogi pojawiło się białe, zbite z desek ogrodzenie, a w perspektywie ukazała się brama wjazdowa. Dwa smukłe filary z czerwonej cegły, a za nimi długa aleja wjazdowa, na końcu której widać było jakiś budynek.

Patryk zwolnił i zatrzymał się przed zjazdem. Przy bramie stała

drewniana, przesłonięta nieco rozrośniętymi krzewami tablica z napisem „Linton Plantation”.

- Wjeżdżamy? - zapytał Karen z powątpiewaniem.

- No a po co tutaj jechaliśmy? Oczywiście. Nie ma żadnego zakazu.

- Informacji o tym, że można zwiedzać, też nie. Cennika, parkingu, takich rzeczy...

Karen popatrzyła na niego, jakby nie była pewna, czy żartuje, czy mówi poważnie.

- Przecież nie zawrócimy i nie pojedziemy z powrotem.

Patryk wzruszył ramionami i wcisnął pedał gazu.

Toyota ruszyła i wjechała między szpaler dębów.

Karen z fascynacją wyglądała przez okna. Zbliżali się do miejsca, gdzie przez dziesiątki lat przechowywana była owa tajemnicza szkatuła, która trafiła tutaj z leżącego na drugiej półkuli Szczecina.

Na końcu alei wznosił się dom - jak wszystko chyba w Wirginii - z czerwonej cegły. Dwukondygnacyjny, z frontonem wspartym na czterech, niegdyś zapewne śnieżnobiałych kolumnach. Za domostwem widać było obszerny ogród z trawnikiem sięgającym samego brzegu rzeki. Tuż obok dworu rosły zaś dwa ogromne, szkarłatne dęby amerykańskie.

Toyota powoli objechała gazon i zatrzymała się przed ganekiem.

Karen wysiadła pierwsza.

Zrobiła kilka kroków i stanęła przed frontonem budynku. Drzwi były zamknięte, tak jak i wszystkie okna. Dwór wydawał się opuszczony. Karen przemknęło przez myśl, jak bardzo różni się to miejsce od pulsującego życiem (no niech będzie, że w bardzo komercyjny sposób) Williamsburga. Tutaj panowała cisza. I tylko z okalającego dom ogrodu dobiegały śpiewy i pohukiwania ptaków.

Karen weszła na ganek i stanęła przed drzwiami.

Tuż za nią na schody wszedł Patryk.

Wyciągnęła rękę, żeby nacisnąć dzwonek, kiedy za plecami usłyszała charakterystyczny szczęk. Doskonale wiedziała, co wydaje taki odgłos. W końcu od dziecka uprawiała pięciobój.

Ktoś odbezpieczył i naładował strzelbę.

Rozdział 3

*Dawno, dawno temu...
W królestwie Prus.*

Wtedy, na początku jesieni, gdy leśnymi duktami gnał galopem do tego starego zamczyska na mokradłach, tej zapadłej dziury na Pomorzu, przez głowę by mu nie przeszło, że wszystko tak się potoczy. Aczkolwiek, gdyby brał pod uwagę tylko dwa ostatnie lata swojego życia i czyny, których się dopuścił, to właściwie nie powinien być jakoś specjalnie zaskoczony.

Doskonale urodzony kawaler, z bogatej, utytułowanej, wpływowej, osiadłej na Pomorzu rodziny. Tej zapuszczonej po wojnach z Francuzami krainy na wschód od Berlina, której nie cierpiał i do której nie znosił wracać. Przypominała mu matkę. Matkę, która go opuściła, gdy był malutkim dzieckiem, i której nienawidził. Tak wielu rzeczy zresztą nienawidził, że miał wrażenie, że odcisnęło się to już w jego oczach na stałe. Że ta nienawiść płonie w nich nieustającym ogniem jak pochodnia.

Wciąż był jeszcze dzieckiem, gdy jego ojciec ożenił się ponownie. Z wyfiokowaną, pyszną, pretensjonalną i młodszą od swojego oblubieńca o ćwierć wieku córką jakichś dalekich krewnych. Tak zaczął o niej myśleć jednak długo potem. Kiedy już opuścił dom rodzinny, o co oczywiście szybko zadbał jego kochany tatuś, usuwając go zapobiegliwie z pola widzenia i z komnat swojego nowego rodzinnego gniazdka. Najpierw szkoła z internatem, później szkoła wojskowa, długie miesiące na poligonach i w koszarach. Swoją przyszywaną rodzinę widywał tylko z okazji świąt i jakichś uroczystości, a potem przestał widywać właściwie w ogóle.

Gdy raz na jakiś czas pozwalał sobie, żeby myśleć trzeźwo, racjonalnie, to musiał jednak przyznać, że macocha nigdy nie dała mu odczuć tego, że jest przybranym synem i przybranym bratem jej licznego potomstwa, które jego ojciec płodził rok w rok, zgodnie z biblijnym

nakazem - co rok, to prorok.

Odkąd skończył dwadzieścia lat, macocha nie ustawała w staraniach, żeby znaleźć mu jakąś posażną pannę. Na początku wcale nie było to znowu aż tak bardzo niezbędne. Miał spory majątek po babce i bardzo dobry start, który - cokolwiek by o nim mówić - zapewnił mu jednak ojciec, więc teoretycznie mógł poszukać sobie panny i bez jakiegoś oszołamiającego posagu, za to urodziwej. Stać go było na to.

Ale ojciec, poza dużym funduszem, z którego mógł czerpać, zostawił mu także niezabliźnioną ranę. Po braku domu, miejsca na ziemi, po braku matki. Pozbawił go także korzeni, milcząc do końca życia na temat swojej byłej żony. Tak jakby nigdy nie istniała. A to było trochę tak, jakby on też nigdy nie istniał. Jakże miałby zatem myśleć o ustatkowaniu się, kiedy sam nie miał swojego miejsca pod słońcem?

Tak więc gdy jego uczynna i głupia jak kaczka, jak często ją w myślach nazywał, macocha co i rusz podsyłała mu jakieś bilety wizytowe i zaproszenia na kolejne rauty i bale, na których wystawiała niczym zarodową klacz następną, tłustą i spoconą z emocji *Fraulein* z dobrego, pruskiego rodu, on wolał bawić się ze swoimi druhami z pułku. Wypijać hektolitry rumu w spelunach Berlina czy Stuttgartu, gdzie przez pewien czas stacjonował jego pułk i gdzie miał też rezydencję jego ojciec, a w najlepszym wypadku, jeśli już mowa o niewiastach, korzystać z profesjonalnej obsługi berlińskich lupanarów.

Ale takie życie kosztowało.

Fundusz, który początkowo zdawał się niewyczerpany, nagle zaczął przezierać dnem. Żołd, choć całkiem przyzwoity, na prowadzenie życia na poziomie, do jakiego przywykł do tej pory, już nie wystarczał. Do tego dochodziły coraz bardziej intensywne zabiegi macochy, do których przyłączył się także w końcu i jego ojciec, zmierzające do szybkiego znalezienia zamożnej panny. A na domiar złego ojciec zaczął tracić cierpliwość dla tego, co nazywał próżniactwem i birbanckim marnowaniem życia, a co on sam nazywał niezależnością.

Zatem na dwa lata przed ową jesienią pechową najstarszy syn szacownej arystokratycznej rodziny, ukochany kompan oficerów z pułku i wciąż pożądany kawaler do wzięcia w berlińskim towarzystwie skończył dwadzieścia pięć wiosen i znalazł się w sytuacji ze swojego punktu

widzenia nie do pozazdroszczenia. Pieniądze szybko topniały, widoków na awans jak na razie nie było, na domiar złego interesy ojca po wojnach z Napoleonem bardzo mocno podupadły, a i ziemia przynosiła obecnie coraz mniejszy dochód. Na tych wschodnich rubieżach Prus co i rusz zresztą wybuchały bunty chłopstwa, w którym ferment i wrogie szlachcie napięcie buzowały od rewolucji francuskiej prawie nieustannie.

Tak więc widoki, które malowały się upiornie w nadchodzącej szybko przyszłości, oscylowały wokół życia z żołądu, w oczekiwaniu na awans, za którym przysłyby większe apanaże, względnie wokół szybkiego ożenku. Zatem gdy któregoś dnia dostał do rąk kolejne pismo od macochy z zaproszeniem na raut, na którym mógł poznać pewną posażną baronównę, córkę bogatego niczym indyjski maharadża posesjonata z Meklemburgii, pomyślał, że może jednak czas się ustatkować.

I jak na siebie, trwał w tym postanowieniu dość długo.

Dopóki jej nie zobaczył.

Panna była brzydka jak noc. Ale żeby to jeszcze. Głupia jak gęś i zadufana w sobie jak paw.

Po godzinie spędzonej z nią na balu, gdy podczas piasów podeptała mu palce u stóp tak, że musiał je moczyć w wodzie z ziołami przez tydzień zgoła, żeby dojść do siebie, miał ochotę prędzej strzelić sobie w łeb, niż się ożenić.

Po tym niefortunnym balu, rozsierdzony utratą tak doskonałej partii, która i jemu życie mocno by uprościła, ojciec wezwał go do siebie.

Jechał na miejsce w strachu, że ojciec, latami straszący go zmianą testamentu, w końcu do tego czynu dojrzał. A ojciec nie był w najlepszej kondycji. Ostatnio kaszlał tak, jakby miał sobie płuca wypluć.

Gdy tylko otworzyły się drzwi pałacu, nie czekając, rzucił bagaż i płaszcz lokajowi i pognął do gabinetu. Ogromna komnata tonęła w zielonej poświacie słońca, wpadającego tutaj przez liście starych lip, a ojciec, za ogromnym biurkiem czającym się w jednym z kątów niczym jakaś bestia na niedźwiedzich łapach, wyglądał jak chmura gradowa.

I to wtedy ją zobaczył.

Miał wrażenie, że ojciec nie był z tego powodu szczęśliwy. Możliwe, że nie zdążył schować jej do sejfu, ale możliwe też, że zrobił to specjalnie, żeby się na nim odgryźć i przypomnieć mu o matce.

Drewniana szkatuła, dekorowana kością słoniową.

Pierwszy raz okradł ojca wiele lat temu.

Ojciec nie był święty. Handlował pokątnie sfalszowanymi potwierdzeniami służby książęcej, która synów zamożnych dzierżawców, a bywało, że i bogatych kupców oraz handlarzy, zwalniała z obowiązkowej służby wojskowej.

I to w taki sposób zarobione pieniądze ukradł właśnie swojemu staruszkowi. Można by powiedzieć, że okradł złodzieja.

Ojciec nie mógł robić za wiele hałasu z uwagi na swoje malwersacje, ale wściekłość kazała mu kogoś ukarać. Zresztą nie było takie pewne, że wiedział, kto tak naprawdę stał za tą kradzieżą. Padło zatem na sekretarza, podrzędnego grajka marzącego o karierze kompozytora, który dochrapał się nawet stanowiska dyrektora miejskiej opery, skąd trafił właśnie na dwór ojca. Biedak wyleciał na bruk, a zasądzone koszty sądowe spłacał ojcu jeszcze przez kilka lat.

A teraz stał jak rażony gromem i wpatrywał się jak sroka w gnat w zawartość szkatuły. Była rzekomo bezcenna, ale fakt jej posiadania mógł ściągnąć na właściciela niewyobrażalne wręcz kłopoty. Nie wiedział, czy ojciec przesadzał, gdy mówił, że ujawnienie zawartości szkatuły mogłoby się skończyć poważnym deliktem politycznym, a nawet wojną, ale i tak był wstrząśnięty. W dodatku wiedział o działalności ojca, który był protektorem kilku łóż masonskich, co w tym kontekście także stawiało go w niefortunnym świetle.

I stał tak, rozważając wszystkie swoje aktywa i pasywa, i słuchał, jak ojciec, machając mu nim przed nosem, zaczął mówić o testamencie i o tym, że ma stanąć na własnych nogach. I już widział siebie, jak rezygnuje ze stylu życia, do którego przywykł, jak odwracają się od niego koledzy, nawykli do jego hojnego towarzystwa, i jak musi żebrać o kolejną belkę na pagonach.

I wtedy podjął tę decyzję.

A potem upłynęły dwa lata.

Gdzieś w połowie września śmietankę towarzyską Berlina poruszyła wieść o polowaniach organizowanych w dobrach księcia Ludwika Ferdynanda, okupowanych przez ich dożywotniczkę i owdowiałą metrese księcia, baronową Henriettę.

Wiktoria obudziła się przed siódmą. Księżniczka Eliza wstawiała

zazwyczaj po ósmej, a księżna właściwie nigdy wcześniej jak o dziewiątej. Wiktoria miała zatem ponad godzinę dla siebie, którą zazwyczaj wykorzystywała na przeglądanie swojej odzieży, spacerowanie po ogromnym pałacu księżnej w Berlinie, wizyty w kuchni i rozmowy z kuchennymi i pokojówkami, które bardzo lubiła, bo działały odświeżająco po sztywnych konwersacjach z kuzynami czy gośćmi Elizy, jeśli tylko zrobili jej tę łaskę oczywiście i zechcieli z nią porozmawiać.

Przed wszystkim jednak wykorzystywała wolny czas na pisanie listów. Do domu, do babci pod Królewcem, do kuzynek. Pisanie listów stało się dla niej ważne przy księżniczce, która z tego towarzyskiego obowiązku uczyniła wręcz sztukę. Tak jak i księżniczka, Wiktoria miała niezbędne do prowadzenia korespondencji przedmioty, a więc *portefeuille*, czyli dużą, zamykaną na kluczyk, płaską teczkę, gdzie przechowywała papier listowy i zaostrzone gęsie pióra. A na stoliku koło łóżka zawsze stał kałamarz z inkaustem.

Ale tego dnia obudziła się w zupełnie nowym miejscu. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą przeplatające się wstęgi i wicie roślinne, pomiędzy których wystawiały mordki dziwne stwory i zwierzęta. Widziała w życiu mnóstwo sztukaterii w rozmaitych pałacach i zamkach, w których bywała ze swoimi chlebobawczyniami, ale ten zamek był wręcz nimi opleciony. Z każdej ściany patrzyły na nią jakieś schowane za kroksztynami oczy diabełków lub elfów, a sufity wyglądały wręcz jak dekoracje na tortach weselnych.

Wiktoria ubrała się i wymknęła cicho ze swojego pokoju.

Z jej zakwaterowaniem łączyły się zawsze pewne drobne niedogodności, jak często nazywała je księżna. Z jednej strony oczywiście Wiktoria nigdy nie zatrzymywała się w pokojach przeznaczonych dla gości, ale z drugiej, pokoje służby były poniżej jej pozycji. W domach księżnej to oczywiście dało się rozwiązać bez problemu, gorzej było na wszelkich wyjazdach i gościnach.

Jej pokój w zamku baronowej Henrietty mieścił się w skrzydle południowym, w którym na parterze była kuchnia. Apartamenty baronowej oraz jej gości znajdowały się w głównym budynku. Rozpościerał się z nich piękny widok na jezioro, podczas gdy Wiktoria widziała wyłącznie dziedziniec zamkowy.

Aby dostać się do pokoju Elizy, musiała przemierzyć całe skrzydło

południowe, a następnie wejść bocznymi schodami na górę, mijając po drodze komnaty innych gości.

Z topografią całego budynku głosem nieznoszącym sprzeciwu zapoznała ją wczoraj surowa, ubrana na czarno ochmistrzyni, która zaprowadziła ją także do jej pokoju, pokazując po drodze inne pomieszczenia zamku, z których Wiktoria zapamiętała szczególnie ogromną salę balową na piętrze oraz dwie sale na parterze, w których stały szeregi rycerskich zbroi, a na ścianach wisiały całe kolekcje białej broni i poroża dziesiątek nieszczęsnych, pomordowanych w okolicznych lasach stworzeń.

Pani domu okazała się postawną, zażywną damą, która jeszcze teraz, przed czterdziestką, zachwycała urodą. Gdy po wczorajszych przygodach ściągnęły wreszcie na zamek, baronowa przywitała je w sieni, stojąc na malowniczych schodach niczym królowa.

Wiktorii, która ze swojej pozycji niedostrzeganej damy do towarzystwa widziała o wiele więcej niż inni, nie umknął malujący się na twarzy kobiety dystans do księżnej. Ale nie dziwiło jej to. W końcu, decyzją króla, odebrano jej dzieci i przekazano na wychowanie księżnej Fryderyce. Baronowa Henrietta musiała to przełknąć, tak jak musiała znosić pełne wyższości spojrzenia berlińskiej arystokracji, która nie mogła jej darować tego, że zwykła córka kupca wyszła za mąż za księcia.

Księżna Fryderyka jednak nie zabroniła bratowej widywać córki i syna. Wprost przeciwnie, sama nawet organizowała wyjazdy swoich bratanków do matki, z drugiej strony patrząc jednak niechętnie na wybitnie rozrywkowy tryb życia bratowej. Relacje obu pań należałoby nazwać zatem trudnym sojuszem.

Wiktoria zeszła bocznymi schodami na sam dół i pamiętając, że z niewielkiej sieni przy samej kuchni było wyjście do ogrodów, udała się tam.

Zamek miał kształt czworoboku, który tworzyły średniowieczne jeszcze mury pamiętające, jeśli wierzyć tym bajaniom ochmistrzyni, templariuszy. Od strony frontowej w kurtynowej ścianie była wyrwa zamieniona na reprezentacyjną bramę wjazdową, którą poprzedzał szeroki podjazd, zawieszony nad ciągnącym się dookoła zamku parowem, w zamierzchłych czasach będącym fosą. Zamczysko stało na wyspie, od

trzech stron otoczonej wodami jeziora. Od frontu odcinał je od lądu szeroki kanał, przez który na wyspę wiódł kamienny most. Przed mostem rozciągał się zaś reprezentacyjny dziedziniec, przy którym stały oplecione dzikim winem budynki stajni, powozowni i ogromnych kamiennych stodół.

Wiktoria otworzyła stalowe, ciężkie, okute drzwi i po chwili stanęła przed furką prowadzącą do ogrodu. W sąsiedztwie kuchni miał charakter użytkowy, chociaż geometryczny i elegancki, dalej zaś przechodził w regularnie strzyżone partery, wypełnione kwiatami i kolorowym tłuczniem, tworzącym zakrętas i symbole z herbów ostatnich właścicieli.

Wiedzę tę przekazała hurtem Wiktorii ochmistrzyni, upominając ją jednocześnie, żeby sama nie zapuszczała się za bardzo do okalającego zamek od północy parku angielskiego, który dalej przechodził w półdziki las. Bywało tam często grząsko, a dalej były regularne bagniska, w których mogła przepaść bez śladu.

Wiktoria obeszła cały półwysp, weszła na pomost nad jeziorem, przespacerowała się parkiem między ogromnymi dębami i bukami i doszła do końca ogrodu, gdzie za niskim kamiennym ogrodzeniem odchodziła w głąb lasu wąska ścieżka.

Potrafiła poruszać się po bagnach. W Połowianach, na obrzeżach należącego do ojca lasu, także były torfowiska i moczary i nie miałyby żadnego problemu z tym, żeby rozpoznać niebezpieczny grunt i nie zapuszczać się tam, gdzie byłoby to ryzykowne. Powoli zbliżał się jednak koniec jej wolnego czasu i za chwilę powinna już stawić się u księżniczki.

Wróciła do zamku przez dziedziniec, do wnętrza dostała się kuchennym wejściem i bocznymi schodami weszła na samą górę, gdzie znajdowały się komnaty gości baronowej.

Przed śniadaniem goście zaczęli gromadzić się w jednej z wielkich sal na parterze, przez jej okna widać było dziedziniec zamkowy. Stoły ustawione w literę E, z centralnie usytuowanym miejscem baronowej, tworzyły otwartą przestrzeń na środku sali.

- Chryste, co ta kobieta tutaj przygotowała? - szepnęła księżna do Elizy. - Czy jej się wydaje, że to Camelot i ucztą u króla Artura?

Eliza uśmiechnęła się porozumiewawczo do Wiktorii.

Stojący przy drzwiach lokaj zapowiadał głośno każdego gościa, który wchodził przez drzwi do jadalni.

- A oto i drugi marnotrawny braciszek mojej matki. - Eliza, korzystając

z okazji, że jej matka rozpoczęła właśnie kurtuazyjną rozmowę z jakąś kuzynką, cofnęła się i stanęła tuż obok Wiktorii.

Próg jadalni przekroczył wysoki, barczysty mężczyzna w generalskim mundurze, a u jego boku dreptała młodzianka, śliczna dziewczyna.

- Książę August Fryderyk z... - ryknął lokaj i na moment się zawahał. - Z małżonką - dokończył.

Wiktoria ze zdziwieniem odnotowała wpadkę lokaja.

- Jak myślisz, dlaczego lokaj się potknął, biedak? - Księżniczka, jakby czytając jej w myślach, uśmiechnęła się złośliwie. - Tak, tak. - Pokiwała głową, rzucając Wiktorii ironiczne spojrzenie. - Żyją na kocią łapę.

- Czy to jest ten drugi wujek, o którym wspomniałaś w drodze? - Wiktoria przyglądała się dyskretnie młodziankiej towarzyszącej księcia.

- Tak właśnie. Dwaj ukochani najmłodszy braciszki mojej mamy tak nas urządzili. - Eliza pokiwała głową z udawanym zgorznięciem. - Obie moje ciocie to córki berlińskich kupców. Bogate wprost nieprzyzwoicie wprawdzie, ale urodzeniem nawet tobie, moja droga, do pięt nie dorastają.

Wiktoria przełknęła gładko sformułowanie „nawet tobie” i uśmiechnęła się skromnie. Eliza potrafiła być niekiedy bardzo złośliwa.

- Mój Boże. - Księżniczka nagle zasłoniła się wachlarzem. - Zobacz, tam pod oknem, po lewej. Tajny radca von Danckelmann.

- Ten, którego księżna swatała ci dwa miesiące temu? - Wiktoria wyjrzała ostrożnie zza pleców przyjaciółki, lustrując opasłego jegomościa w wybitnie niemodnej już peruce i o bladym, upudrowanym obliczu.

- Tak, to prawdziwa trauma, ale miałabym za to połowę prowincji i z pięć zamków.

- Myśl pozytywnie. Miałabyś gdzie się przed nim schować.

Obie chichotały przez krótką chwilę, ukrywając się za plecami innych gości.

- Adam Karl Wilhelm, książę de Montbeliard! - ryknął nagle znowu lokaj, a w drzwiach pojawił się przystojny blondyn w modnym jedwabnym fularze pod brodą.

- Córeczko - syknęła ostrzegawczo księżna do Elizy, podnosząc znacząco brwi.

- O losie - jęknęła księżniczka, odwracając się dyskretnie do Wiktorii. - To wszak ten kuzyn mamy, który z mojego powodu został tutaj, biedak, ściągnięty.

Wiktoria cofnęła się skromnie na bok, pozwalając, by księżna i jej córka przywitały się ze wszystkimi po kolei. Rzadko kto interesował się dwórką, co miało swoje złe i dobre strony.

Złe, bo oczywiście niemile łechtало resztki jej próżności, które wydawało się, że całkiem już stłumiła, ale czasem, jak widać, dawały o sobie znać. A dobre, bo mogła się przyglądać wszystkim z boku, praktycznie niezauważalna.

Książę Adam sprawiał bardzo dobre wrażenie. Miły uprzedzająco, uśmiechnięty, jako jeden z niewielu kuzynów księżnej podszedł do niej i uklonił się szarmancko, obrzucając ją jednocześnie długim spojrzeniem, pod którym o włos, a by się zarumieniła.

Uratował ją dystans, który miała do siebie. W jej rzeczywistości nie istniała sytuacja, w której jakiś książę spojrzalby na nią inaczej niż jak na służkę swojej kuzynki.

Eliza odpierała ataki matki, tym razem bez specjalnego przekonania. Widać było, że książę zrobił i na niej dobre wrażenie. Ale nie byłaby sobą, gdyby nie szepnęła Wiktorii na boku, że zaraz po śniadaniu jadą na przejażdżkę, żeby jak najdalej od tego zamieszania się znaleźć.

Jak księżniczka postanowiła, tak się oczywiście stało. Jakiś czas później, przebrane w suknie do konnej jazdy, znalazły się przed stajnią.

Eliza poprawiła kapelusz, patrząc jednocześnie z niepokojem na wyprowadzonego przez stajennego konia.

- Jesteś pewien, dobry człowieku, że to rzeczywiście bezpieczne? - Dotknęła powątpiewająco siodła i szarpnęła za wystający z jego boku hak.

- Oczywiście, jaśniepani... - Stajenny skinął głową z uśmiechem. - Baronowa uwielbia jazdę konną. A w tym siodle to nawet za lisem jeździ. To całkowicie nowy koncept, który baronowa sprowadzić specjalnie z Francji kazała.

Wiktoria obrzuciła wzrokiem siodło.

Uprzytomniła sobie nagle, jak rzadko jeździła konno przez dwa ostatnie lata. To znaczy, oczywiście jeździła z Elizą na spacer po Berlinie i po Poznaniu, gdy księżniczka wyjeżdżała z ojcem, ale co to było za jeżdżenie. Stęp zaledwie. W dodatku pod bacznym okiem towarzyszących im opiekunów. Do jazdy używały damskich siodel oczywiście, na których jedyne, co dama w sukni zrobić mogła, to dać się wieźć z godnością.

- Panienko, nie wiem, czy to dobry pomysł. Sportowe siodło, kto to

widział? - odezwał się Jan, który miał im towarzyszyć w przejażdżce. - To damom nie uchodzi.

Wiktoria dotknęła dłonią owego haka, który taki niepokój wzbudził w księżniczce. Rzecz w tym, że był trzeci. Damskie siodła posiadały dwa takie haki, nazywane „kulami”. To przez nie przekładała prawą nogę amazonka, lewą jednocześnie trzymając w strzemieniu.

Pozwalało to na siedzenie w miarę prosto do kierunku jazdy i jako taką kontrolę nad koniem. Ale nikt nie wymagał przecie od dam, aby jeździły szybciej niż stępem. Nie uchodziło zresztą, chociaż było sporo kobiet, które buntowały się przed owymi skostniałymi obyczajami i nawet w polowaniach brały udział. Jak choćby baronowa, jak się okazuje.

Wiktoria złapała dłonią za hak i szarpnęła nim mocno. Stwierdziła, że trzecia kula była chyba dla zapewnienia dodatkowej stabilności lewej nogi. Pomyślała, że to mogło rzeczywiście być dobrym rozwiązaniem, ale widziała coś takiego po raz pierwszy.

- Ja chętnie pojedę na tym siodle - zwróciła się do księżniczki. - A tobie zwyczajne siodło niech założą.

- Jesteś pewna, moja droga?

- Ja bym radził się nad tym jeszcze zastanowić, jaśnie panienko - odezwał się Jan, który mocno na kredyt tytułował tak Wiktorię.

- Przecież i tak jedziemy tylko na spacer. - Wiktoria sięgnęła po wodze od stajennego. - Drugiego konia proszę osiodłać zwyczajnym siodłem - zwróciła się do chłopaka, który ukłonił się i zawrócił do stajni.

Minęło jeszcze dobrych kilka minut, zanim znalazły się obie na końskich grzbietach i wraz z trzymającym się dyskretnie z tyłu Janem ruszyły w kierunku wyjazdu na pola.

- I co powiesz na temat księcia? - Eliza nie wytrzymała i natychmiast, jak tylko znalazły się poza zabudowaniami, pochyliła się ku Wiktorii. - Jak go znajdujesz?

- Nie miałam przecie żadnej okazji, żeby z nim porozmawiać. - Wiktoria odpowiedziała dyplomatycznie. - Ale przyznaję, że jest bardzo urodziwy.

- No tak - westchnęła Eliza. - Jest także bardzo miły, ale to wszystko jednak zupełnie na darmo.

- Czemu na darmo? Skoro ci się podoba? Może warto byłoby posłuchać księżnej?

- Ja nie wiem, po co mama tak nalega na to szukanie dla mnie na gwałt męża. Mam dopiero siedemnaście lat wszak. Pieniądzy nam nie brakuje i nic się nie stanie, jeśli dobrych kilka lat nawet jeszcze obejdę się bez tego.

Wiktoria spojrzała na Elizę z rozbawieniem.

- Nie chciałabyś się zakochać? - zapytała.

- No oczywiście - odparła i zachichotała Eliza. - Ale chciałabym, żeby to się stało jakoś tak naturalnie, a tu ciągle te swaty, przez które czuję się jak klacz na sprzedaż.

Wiktorii przemknęło przez głowę, że przy majątku Elizy i przy jej pozycji w berlińskim światku to raczej marne były na to szanse, ale wołała to zachować dla siebie.

- Bardziej dla ciebie powinniśmy poszukać jakiegoś kawalera. - Eliza uśmiechnęła się, spoglądając na Wiktorię z rozbawieniem. - Na przykład tego mrocznego jeźdźca, tego wampira, który nam przy karecie wczoraj pomagał. Widziałam, że zrobił na tobie spore wrażenie.

Wiktoria prychnęła pobłaźliwie.

- Słyszałaś, co mówił Harald? To najstarszy syn jakiegoś miejscowego hrabiego. Gdzie on spojrzałby na mnie?

- Nigdy nie wiadomo.

- Oj wiadomo, wiadomo. - Wiktoria ściągnęła wodze, zmuszając konia do obejścia zwisającej nad drogą gałęzi. - Poza tym co ty mi tu imputujesz?

Eliza parsknęła śmiechem, patrząc na przyjaciółkę z ironią.

- Ależ oczywiście, że zrobił na tobie wrażenie. Już nie wmówisz mi, że było inaczej.

- Nawet jeśli by tak było, jak mówisz - Wiktoria odpowiedziała przyjaciółce równie ironicznym uśmiechem - to i tak nigdy w życiu go więcej nie spotkam.

W myślach zaś dodała - na szczęście.

- Możliwe, że się mylisz. - Eliza tajemniczo uniosła brwi.

- Co masz na myśli?

- Przecież pojutrze jest ten cały bal maskowy, który ciotka organizuje na koniec polowań. Ściągnie tutaj całe miejscowe towarzystwo.

- O Chryste! - Wiktoria westchnęła. - Zupełnie o tym nie pomyślałam.

- Będziemy musiały coś wymyślić.

- Już ty lepiej nie myśl o pomorskich wampirach, tylko o tym, jak księcia sobie wokół palca owinać.

Eliza parsknęła z przekąsem.

- Rzeczywiście, moja droga. O niczym innym nie marzę, jak tylko o tym, żeby w wieku siedemnastu lat wylądować jako matrona w jakiejś zapadłej dziurze, czy gdzie on tam mieszka...

- W Berlinie mieszka.

- No ale cały sezon bym musiała siedzieć z daleka od rodziców, kuzynów, przyjaciółek.

- No na tym mniej więcej, o ile potrafię to sobie wyobrazić, polega zamążpójście.

- To wolałabym poczekać z tym do trzydziestki.

- Wtedy możliwe, że do wyboru zostanie ci już tylko tajny radca von Danckelmann.

Eliza roześmiała się głośno, zapominając na moment o manierach księżniczki.

Konie wjechały między niewielki lasek, za którym mieniła się zielenią ciągnąca się po horyzont, ogromna łąka.

Wiktoria podniosła głowę do słońca. Była druga połowa września, a lato nie odpuszczało.

Na pozbawionym prawie chmur niebie jaśniało słońce, a drzewa wciąż jeszcze były soczyście zielone.

Wjechały na niewielkie wzniesienie, z którego rozciągał się doskonały widok na okolicę.

- Ten las należy jeszcze do ciotki. - Eliza skinęła głową w kierunku ciemnozielonego masywu na horyzoncie. - Ale tuż za nim...

Nie zdążyła skończyć, bo na jednej z polnych dróg w oddali usłyszały jakieś głośne przekrzykiwania się. Dwaj jeźdźcy na koniach najwyraźniej kłócili się lub przekomarzali, śmiejąc się głośno i usiłując ściągnąć na ziemię jeden drugiego.

- A cóż to za głupcy? - Eliza pokręciła głową z niezadowoleniem.

Wiktoria ściągnęła wodze zaniepokojonego konia i poklepała go po szyi.

Jan przyśpieszył i po chwili znalazł się za plecami Elizy.

Nagle rozległ się strzał. Przez chwilę widać było jakiś tumult. Na odległej o kilkaset metrów drodze wzniósł się pył, a po chwili, niespodziewanie, spomiędzy drzew wyskoczył kary koń i galopem ruszył przez łąkę w kierunku lasu.

Wiktoria ze zdumieniem spostrzegła, że koń biegnie sam.

- Sam koń biegnie! - krzyknął Jan. - To bałwany! Spadł któryś.

Koń pędził jak szalony, z szyją wygiętą w pałąk i fruującymi przy siodle strzemionami.

Jakby tego było mało, rozległ się naraz głośny krzyk i za uciekającym koniem ruszył jeden z jeźdźców. Gnał, uczepiony szyi karego wierzchowca, kurczowo trzymając wodze.

Wiktoria zobaczyła, że na łąkę wypadł drugi z mężczyzn i trzymając się za nogę, głośno krzyczał. I to najwyraźniej w ich kierunku.

- Boże! - jęknęła Eliza. - Koń go poniósł! To jakiś dzieciak!

- Jak wpadnie między drzewa, to zwolni. - Jan podjechał do Elizy i poklepał uspokajająco jej konia, który nerwowo ruszał uszami i przestępował z nogi na nogę.

- Albo go zrzuci i połamie mu kości - westchnęła Wiktoria.

Przyjęło się, że nie uchodziło panience zbyt forsować się na spacerach. Sport, wszelka aktywność fizyczna czy gimnastyka były wyłączną domeną mężczyzn. Ale trudno było zachować te zwyczaje, mając dwóch starszych braci i temperament po babce, która jeszcze w czasach, w których to wręcz karalne było, brała udział w polowaniach. Wiktoria, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, jeździła już także w męskim siodle i bardzo tej możliwości panom zazdrościła.

Ale skoro miała do dyspozycji tylko damskie, to cóż było robić. O niewielu rzeczach, przy swojej wrodzonej skromności, potrafiła powiedzieć, że robi je doskonale. Śpiewała średnio, na fortepianie grała tylko, jeśli ktoś ją do tego zmusił, taniec jej dość dobrze wychodził, ale nie miała ku niemu za wielu okazji. Ale co jak co, jeździć konno potrafiła.

Wypchnęła gwałtownie konia i strzeliła go bacikiem po boku. Zaskoczony koń ruszył, a gdy się zorientował, że nie była to pomyłka, dosiadająca go niewiasta rzeczywiście zaś chce jechać nieco szybciej, w dodatku najwyraźniej wie, co robi, ruszył jak szatan.

Wiktoria usłyszała za sobą krzyki Jana i Elizy. Pochyliła się i mocniej docisnęła nogi do kul. Teraz dopiero przyznała, że ten nowy wynalazek przy lewym boku siodła rzeczywiście się do czegoś nadaje.

Koń, wystający w stajni całymi dniami, korzystał z okazji, żeby się wyszumieć, i gnał jak opętany, a Wiktoria, nisko pochylona nad jego szyją, jeszcze go popędzała.

Kasztan z nieszczęśnikiem na grzbiecie rwał za oswobodzonym samotnym koniem jak szalony, a do linii lasu zostało już tylko kilkaset metrów. Wiktoria pędziła prostopadle do kierunku ich biegu, mając nadzieję, że dopadnie konia z dzieciakiem przed drzewami.

Nie zdążyła zagrozić im drogi. Znalazła się kilkanaście metrów za chłopcem.

Trzasnęła bacikiem ponownie i chwyciła silniej wodze. Wiedziała, że jeśli chce zatrzymać pędzącego przed nią konia, to musi podjechać do niego od prawej strony. Gdyby próbowała sięgnąć po wodze od lewej, mogłaby polecieć z konia na plecy, a zablokowane nogi w strzemieniu i kulach pewnie złamałyby jej kręgosłup.

Las zbliżał się nieubłaganie. Trzasnęła konia jeszcze raz i ambitne zwierzę wyrwało do przodu. Odległość między nią a chłopakiem zaczęła się powoli zmniejszać.

Do lasu zostało może ze sto metrów, kiedy zrównała się z kasztanem.

Od razu zauważyła, że siedzący na nim chłopiec ma może ze dwanaście lat. A może i mniej. Przerażony, przyciskał się z całej siły do pleców konia, w ogóle nad nim nie panując.

Jeśli koń wpadłby przy tej prędkości między drzewa, to pierwsza gałąź ściągnęłaby chłopaka na ziemię, a pnie drzew i kamienie na drodze rozwaliby mu czaszkę na miazgę.

Wielokrotnie słyszała o wypadkach, gdy koń wlokący za sobą jeźdźca, który nie wyswobodził się w porę ze strzemion, zamieniał go w zakrwawione strzępy.

Przycisnęła nogę do kuli i wychyliła się. Trzymając wodze lewą ręką, prawą sięgnęła nad szyją swojego konia, usiłując złapać skórzane paski ogłowia. Wyrwanie chłopakowi wodzy mogło się skończyć tragedią.

Do lasu zostało może z trzydzieści metrów, gdy poczuła pod palcami zimną skórę pasków podgardla. Chwyciła je kurczowo i mocno pociągnęła, licząc na to, że koń otrzeźwieje, kiedy poczuje nacisk wędzidła.

Szarpnęła mocniej i poczuła, jak zdenerwowane zwierzę zwolniło, parskając i plując. Samotny koń wpadł między drzewa, a Wiktoria miała tylko nadzieję, że nie zrobi sobie krzywdy, zaczepiając o coś pustymi, objającymi mu się o boki strzemionami.

Szarpnęła mocniej za ogłowie i kasztan przeszedł z galopu w nerwowy kłus. Gdy wjechali do lasu, zdążył się uspokoić na tyle, że głośno dysząc,

zwolnić do stępa.

- Nic ci nie jest? - zapytała chłopca, który cały czas siedział przytulony do końskiego grzbietu.

Chłopiec pokręcił przecząco głową.

- To lepiej zejść.

Chłopiec skinął głową, uciekając wzrokiem, po czym posłusznie zeskoczył i chwycił za wodze, odciągając konia od Wiktorii. Zwierzę głośno dyszało i parskalo, wciąż rozchylając nerwowo chrapy.

Wiktorii teraz dopiero zauważyła, w jakim nieładzie jest jej suknia, która podsunęła się do góry, odsłaniając nogi, co pewnie musiało speszyc chłopaka. Szybko ją wygładziła i poprawiła kapelusz.

W samą porę, bo do lasu wpadł właśnie Jan, a tuż po nim przybiegł zdyszany może czternastoletni chłopak.

Przez chwilę patrzył z niedowierzaniem na Wiktorię i wreszcie spojrzał z malującą się w oczach paniką na młodszego chłopca.

- A Belial? - spytał.

- Co wyście narobili? - Jan zeskoczył z konia i podbiegł do Wiktorii. - Nic panience nie jest? Na Boga! Jak można było tak ryzykować? Toż to szaleństwo!

- Boże! Jeśli coś się Belialowi stanie, to nie wiem, co my pocniemy. -

Starszy chłopak usiadł na ziemi i schował twarz w dłoniach.

- Jakiemu Belialowi, do diabła? Kim wy w ogóle jesteście? To ziemie baronowej, kto wam pozwolił robić tutaj takie awantury?

- Belial to koń naszego starszego brata. Jak się dowie, że go wzięliśmy, to nas zabije - odezwał się w końcu młodszy chłopak.

- Jesteśmy z Hohenziethen - odpowiedział starszy z chłopców. - Jestem Eugen von Enckevort, a to mój młodszy brat Aleksander. Wyjechaliśmy do szaraków postrzelać.

Jan pokręcił głową z dezaprobatą.

- No i kara boska was spotkała za to!

Wiktorii zeszywniała, słysząc nazwisko. Pomyślała, że to niepodobna, żeby takie przypadki się zdarzały. Czy to możliwe, że to młodszy bracia tego przystojnego wampira? Jak on miał na imię? Bruno!

- Pani lepiej jeździ konno niż nasz brat - odezwał się niespodziewanie młodszy chłopiec, wpatrzony z niekłamanym podziwem w Wiktorię.

- Boże! Rzeczywiście! - Eugen podniósł głowę. - Tak jeżdżącej damy

jeszcze nie widziałem.

- I więcej nie zobaczysz! - Jan popatrzył gniewnie na Wiktoria. - Jak się księżna o tym wszystkim dowie, to nigdy już na konia pani wsiąść nie pozwoli. Po takim galopie koń powinien stępem pochodzić, bo kolki dostanie. - Spojrzał na starszego z braci. - Wsiadaj na niego, bo już trawę żreć zaczął. Paść może.

- Janie. - Wiktoria podjechała do lokaja i schyliła się ku niemu. - Księżna nie może się o niczym dowiedzieć. Powiemy, że to ty żeś konia dogonił.

- Ale jakże to tak?

- Tak i już. A wy słyszeliście? - Odwróciła się do braci. - W domu ani słowa na ten temat, bo mnie spała na stosie. Nasz wierny sługa Jan uratował ci życie, młodzieńcze - powiedziała i spojrzała na Aleksandra. - Zrozumiałeś?

- Tak, panienko, ale to nie w porządku.

- Wsiadaj na konia i jedź stępem do domu - rozkazała starszemu chłopcu. - Ten kary szatan pewnie sam do stajni już trafił. A ty, Janie, weźmiesz panicza Aleksandra i odwieziesz go. I pilnuj, żeby żadnych galopad panicz Eugen więcej nie robił.

- Ale. - Jan zaniemówił. - Mam same panienki zostawić? Na drodze?

- Poradzimy sobie. - Wiktoria złapała za wodze. - A wy ani mru-mru. - Przyłożyła palec do ust, patrząc porozumiewawczo na obu chłopców.

Obaj niechętnie pokiwali głowami.

Wiktoria poprawiła raz jeszcze kapelusz, zawróciła i ruszyła w kierunku odchodzącej od zmysłów Elizy.

Do zamku wracały w znacznie gorszych nastrojach niż na początku wycieczki. Eliza, nie mogąc dojść do siebie po „tych wariackich wydarzeniach”, jak je nazwała, nie mogła także darować Wiktorii lekkomyślności. W najbliższej rodzinie księżniczki były przypadki śmierci w czasie dzikich gonitw po polach i polowań, dlatego zrozumieć nie mogła, jak sama z siebie Wiktoria mogła na coś takiego się narażać.

Zapewnienia Wiktorii, że jeździ konno lepiej niż tutejsi luzacy, nie odniosły skutku i dopiero gdy zdołała wtrącić, że dwaj łobuzy okazali się braćmi ich nocnego wybawcy, Eliza na moment przestała strofować przyjaciółkę.

- Sama widzisz, że to musi być znak. - Uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd ruszyły w drogę powrotną.

- Chyba raczej groźba, żebym trzymała się z daleka - prychnęła Wiktoria. - Po cóż Bóg w swojej nieskończonej mądrości miałby narażać na śmierć najmłodszego syna hrabiego?

- Oczywiście, że znak. - Eliza uparcie pokiwała głową. - Wskazał ci, że jesteś w tej rodzinie po prostu niezbędną.

- Moja droga, dawno nie słyszałam już od ciebie nic bardziej absurdałnego.

Eliza, wciąż jeszcze trochę zła, nie mogła powstrzymać uśmiechu. W Berlinie, w Poznaniu, generalnie wszędzie otaczali ją ludzie, którzy jej nadskakiwali i mówili głównie to, co chciała usłyszeć, a przynajmniej to, co im się wydawało, że chce usłyszeć. Wiktoria natomiast mówiła to, co miała na myśli. Często bez ogródek, a czasem, zanim zdołała pomyśleć.

Gdy wjechały na podzamcze, zrobiła się już prawie pora obiadu.

Wiktoria odprowadziła Elizę do jej pokoju, wezwała służącą, a następnie zostawiła przyjaciółkę, wyplątującą się z burej sukni do konnej jazdy, i wyszła na korytarz.

Była właśnie w połowie drogi na pierwsze piętro, kiedy od strony pokojów baronowej usłyszała nagle podniesiony męski głos. Po chwili dołączył do niego równie zirytowany kobiecy.

Wiktoria zatrzymała się u stóp schodów, a następnie, zaintrygowana, podeszła do drzwi do biblioteki, za którą znajdowały się apartamenty baronowej. Drzwi były otwarte na oścież, a z głębi dobiegały nadal podniesione głosy.

Na środku biblioteki stały dwa ogromne globusy oraz stół, a na nim wielki lichtarz. Wiktoria, po krótkiej chwili wahania, weszła do środka i zrobiła kilka kroków w kierunku uchylonych drzwi do komnaty baronowej. Głowę by dała, że kobiecy głos należał właśnie do baronowej, i była bardzo ciekawa, z kim gospodyni tak się wyklóca.

Drgnęła, przestraszona, gdy z wnętrza pokoju dobiegł nagle dźwięk kroków. Ktoś zbliżał się do drzwi. Wiktoria na moment stanęła jak wryta. Droga powrotna oznaczała, że ten ktoś, kto właśnie zmierzał w jej kierunku, i tak dogoni ją na schodach.

Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ktoś oskarżył ją o wścibstwo. Przemknęło jej przez myśl, że jednak jej poczynania dokładnie wszak tym

były. Nie da się ukryć.

Po drugiej stronie biblioteki było przejście do niewielkiego, ciemnego pomieszczenia, z którego, jak pamiętała opowieści ochmistrzyni, było wejście do archiwum w skrzydle północnym. Podbiegła tam i schowała się za załomem muru.

W ostatniej chwili. Z pokoju baronowej wypadła nagle pokojówka i siąkając nosem, przebiegła przez bibliotekę. Była wyraźnie przestraszona. Wiktoria kojarzyła ją dlatego, że dziewczyna była mocno przeziębiona. Dzisiaj rano, gdy Wiktoria przechodziła przez sień przy kuchni, widziała, że siedziała z kucharką przy wielkim stole w jadalni dla służby i kaszłała. Wiktoria zapamiętała unoszący się w powietrzu zapach gorącej herbaty z miodem i jakimiś ziołami.

Przez moment rozmyślała, jakie to przewinienie musiała mieć na sumieniu biedna dziewczyna, że wymagało to aż wizyty u pani domu. Zazwyczaj takimi sprawami zajmowała się ochmistrzyni. Nikt nie zawracał przecież głowy jaśniepani jakimiś głupstwami. Męski głos musiał niewątpliwie należeć do jakiegoś starszego lokaja lub kamerdynera.

Wyjrzała ostrożnie do biblioteki. Pomyślała, że długo nie może stać w tej ciemnej sieni, bo zaraz ktoś ją tutaj nakryje. Choćby i ten kamerdyner.

Spojrzała za siebie. W głębi pomieszczenia, w grubym na dwa metry murze tkwiły stare, drewniane, okute w stalowe zawiasy drzwi. Podeszła do nich i złapała za klamkę. Miała kształt łba jakiegoś stworzenia.

Drzwi były otwarte, a tuż za nimi ciągnęła się amfilada pomieszczeń, w których stały regały wypełnione oprawionymi w skórę księgami, dziesiątkami woluminów i starych dokumentów. Rząd wysokich okien w południowej ścianie archiwum otwierał się na dziedziniec.

Wiktoria nie miała jakiejś szczególnej uwagi dla starych manuskryptów. W Połowianach było niewielkie archiwum gospodarcze, ale to były jakieś faktury i rachunki ojca, straszliwe nudziarstwo. Czytała oczywiście wszystko, co tylko wpadło jej w ręce, ale nie było to szczególnie wielkie osiągnięcie. Gazety czy nowe książki trafiały do dworu jej rodziców tak rzadko, że za każdym razem było to małe święto. Ale to miejsce tutaj przypominało jakieś tajemnicze klasztorne skryptorium. Widziała w wyobraźni, jak ubrani w ciemne habity mnisi przepisują mozolnie stare księgi, a na stołach palą się świece.

Zafascynowana, przeszła wzdłuż całego długiego pomieszczenia

i dotarła do kolejnych drewnianych drzwi. Prowadziły na wieżę. Rzekomo były tam jeszcze resztki wyposażenia dawnej warowni - rdzewiejące rusznice, topory, halabardy, a w lochu pod wieżą leżały podobno nawet szczątki skazańców...

- A cóż pani tutaj robi?

Wiktoria, która miała akurat przed oczami wyobraźni pobielełe piszczele średniowiecznych katorżników, stanęła jak wryta. Przekonała się właśnie, że powiedzenie o tym, że serce może podejść do gardła, nie jest takie znowu przesadzone.

Struchlała, obróciła się i zobaczyła, że tuż za nią stoi, patrząc na nią uważnie, ksiązę Adam.

- Ksiązę - powiedziała i dygnęła speszona.

- Panno Wiktorio. - Ksiązę skłonił głowę. - Chyba pani nie przestraszyłem? - dodał z malującą się w oczach ironią.

- Przeciwnie. - Wiktoria odetchnęła. - Wystraszył mnie pan. Było nie było, stoję wszak przed wejściem do kazamatów - zażartowała. - A odpowiadając na pytanie, zwiedzam.

Spojrzała na księcia buńczucznie, usiłując przybrać pewny siebie wyraz twarzy. Ale była przekonana, że mężczyzna doskonale widzi jej niepewność i zmieszanie.

- To bardzo przepraszam w takim razie. - Ksiązę ukłonił się z jawnie kpiarskim uśmiechem. - Jeśli jest pani nadal ciekawa i chętna na dalsze zwiedzanie, to pokażę pani wieże i kazamaty.

Podniósł pytająco brwi.

- Jeśli jest pan taki miły - odpowiedziała, zanim zdążyła to przemyśleć.

Ksiązę, swoją nonszalancją i urokliwą butą, najwyraźniej ją prowokował. Może myślał, że zupełnie zawstydzona, ukłoni się i umknie przed nim jak przestraszona pensjonarka.

Spojrzała na niego uprzejmie i niezręcznie wygładziła swoją suknię. Przypomniała sobie, że nadal ma na sobie strój do konnej jazdy, włosy w rozsypce i że właśnie przecież śpieszyła do swojego pokoju, żeby temu wszystkiemu zaradzić.

- W takim razie zapraszam. - Ksiązę szarpnął za drewniane wierzeje, otwierając wyjście do mrocznego korytarza, z którego powiało chłodem. Znajdowały się tutaj drewniane schody. Jeden bieg prowadził na parter, gdzie było bezpośrednie wejście z krużganków, drugi natomiast wiódł do

wejścia wykutego w potężnej ceglanej ścianie.

Wieża we wnętrzu przypominała ogromny, wydrążony krater, na którego dnie, za stalową kratą, widać było tonące w mroku lochy.

Książę stanął na żelaznej kracie.

- To tutaj, pod moimi nogami, są właśnie owe kazamaty, o których pani wspomniała. Wrzucano tam skazańców. I to rzekomo ich kości gdzieś tam jeszcze leżą, ale to oczywiście bzdury - prychnął książę z nonszalanckim rozbawieniem. - Kości pewnie należą do jakiegoś upieczonego i zeżartego na ucztę dzika albo jelenia. To bardzo w stylu mojego pradziada.

- Pradziada? - Wiktoria spojrzała na księcia z zaskoczeniem. - Myślałam, że zamek należał do rodziny księżnej Fryderyki.

- Matka księżnej Fryderyki i moja babka były siostrami, a ich ojciec był ostatnim właścicielem zamku z linii ze Schwedt. Miejscowi nazywali go Szalonym Margrabią.

Wiktoria rozejrzała się po wnętrzu wieży. Po jej ceglanych ścianach pięły się na górę drewniane, zszarzałe ze starości schody.

- Proszę się nie obawiać, wytrzymają. - Książę, widząc jej powątpiewające spojrzenie, zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Jestem bez mała dwa razy cięższy.

Widząc jej zakłopotanie, uśmiechnął się nonszalancko i ruszył przodem.

Wiktoria przez chwilę patrzyła, jak wchodzi po trzeszczących schodach, po czym ruszyła za nim.

Ostatni fragment wejścia na wieżę trzeba było pokonać wąskimi, krętymi schodami, wykutymi w murze. Książę pchnął drewniane drzwi i zniknął w plamie światła.

Wiktoria wyszła tuż za nim i westchnęła.

Wieża zwieńczona była tarasem, okolonym krenelażem, w którym szczyrzyły zęby spróchniałe już nieco blanki. W dawnych czasach musiała stanowić ważny punkt obserwacyjny. Rozciągał się z niej widok po horyzont. Dookoła widać było pola i gęste lasy, a wokół wyspy zamkowej mieniło się w słońcu jezioro. Dziedziniec z tej wysokości wydawał się podwórkiem przed domkiem dla lalek.

- Ależ pięknie. - Wiktoria podeszła do krenelażu i ostrożnie wyjrzała.

- Proszę uważać. - Książę wskazał oczami zniszczone przemurowania.

- Dawno nie było tutaj remontu. Dlaczego dokonała pani takiego wyboru? -

zapytał, gdy Wiktoria obeszła całą wieżę i przystanąła, wpatrując się w podzamcze, na którym stajenni wyprowadzali właśnie ze stajni konie i prowadzili je na padoki.

- Wyboru? - Spojrzała na księcia zdezorientowana.

- Mam na myśli moją ciotkę. Jest pani wszak jej dwórką.

Wiktoria uśmiechnęła się pod nosem. Syty głodnego nie zrozumie.

- Nie miałam wyboru - odparła, wpatrując się w drogę wiodącą do zamku, którą jechał właśnie jakiś mały powóz. - Skąd pomysł, że mogłam wybierać w czymkolwiek? To, że znalazłam się na dworze księżnej Fryderyki w Berlinie, to jednak najlepsze, co mogło mnie spotkać.

- Nie chciałem pani urazić. Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale z pani urodą mogła pani chyba niejedno złamać serce.

Prośbie o wybaczenie śmiałości przeczyło spojrzenie księcia, w którym błąkały się rozbawienie i prowokacyjna zaczepka.

- Czyimś złamanym sercem bym się nie najadła, drogi panie.

- Zależy czyim, droga pani.

Wiktoria popatrzyła na księcia, łowiąc jego przekorny uśmiešek.

Niepodobna. Czyżby z nią flirtował? I czy przypadkiem to, co mówił, nie było aby nieco dla niej obraźliwe? Pewnie jest przyzwyczajony do kobiet, które padają mu do stóp.

- Jeśli ma księżę na myśli bogate zamążpójście - Wiktoria uśmiechnęła się z lekką ironią - to Litwa po wojnach ostatnich nie zdążyła obrodzić jeszcze w zbyt wielu bogatych ziemian, którzy panną bez posagu by się zadowolili.

Księżę oderwał plecy od krenelażu, przy którym stał kilka metrów od Wiktorii, i podszedł bliżej.

- Skąd założenie, że musi chodzić od razu o małżeństwo. Proszę tak na mnie nie patrzeć. - Roześmiał się, widząc pełne niedowierzania spojrzenie Wiktorii. - Zważ, pani, że rozmowa nasza jest czysto teoretyczna. Mój kuzyn August na przykład, daleko nie szukając, ze swoją młodziutką kochanką są o wiele szczęśliwsi niż wiele znanych mi par, które złączyły konwenanse i rodziny.

Wiktoria nie mogła uwierzyć, że stoi właśnie na szczycie średniowiecznej wieży z księciem de Montbeliard i rozmawia na temat... No właśnie, na jaki temat właściwie rozmawiają?

- O ile słyszałam, ta młoda dama jest bajecznie bogata.

- Tak jak i mój kuzyn. Zatem nic to nie znaczyło dla niego.

Wiktoria poczuła, że rozmowa z księciem przypomina szachy. I staje się chyba coraz bardziej niebezpieczna.

- Moja babka zawsze powtarzała, że człowiek bez moralności jest najniegodziwszym ze stworzeń - odparła w końcu bez przekonania, wygrzebując z pamięci łacińską sentencję.

Książę pochylił się ku Wiktorii.

- Wolę inną złotą myśl Arystotelesa - powiedział cicho. - „Cnota to złoty środek między dwoma występkami”.

Wiktoria odsunęła się od księcia i spojrzała na niego z irytacją.

- A ja jeszcze inne, drogi panie. - „W miarę możliwości należy unikać błędów”.

Książę parsknął głośnym śmiechem.

Wiktoria rzuciła mu urażone spojrzenie, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo na dziedzińcu rozległ się nagle stukot kół powozu.

Zaciekawiona, zerknęła w dół.

Pod frontowe schody podjechał właśnie niewielki powóz z ogromnymi kołami. Wiktoria widywała takie w Berlinie. Nazywano je faetonami, a jeździli nimi najczęściej młodzi, bogaci dżentelmeni, których pociągały szybkość i ekstrawagancja tych pojazdów.

Z zamku wyszedł jakiś mężczyzna w czarnym surducie i z jasnymi włosami związanymi na karku wstążką. Był wyraźnie wzburzony.

Woźnica zeskoczył z powozu i usłużnie wyciągnął rękę, żeby pomóc mężczyźnie. Ten jednak wskoczył sam do bryki i chwycił lejce. Gdy na moment odwrócił się do służącego, Wiktoria ze zdumieniem spostrzegła, że to Bruno von Enckevort. Zaskoczona, odruchowo odsunęła się od krenelażu.

Książę wychylił się przez krenelaż. W tym samym momencie Bruno von Enckevort szarpnął cuglami i dwa czarne konie zerwały się do biegu. Powóz przetoczył się przez brukowany dziedziniec i pomknął w kierunku bramy wyjazdowej.

- W miarę możliwości należy unikać błędów - powtórzył książę, spoglądając na Wiktorię z pobłażliwym uśmiechem. - To byłby błąd ogromny.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Wiktoria poczuła, że się zaczerwieniła.

Książę odprowadził wzrokiem powóz, dopóki nie zniknął między drzewami.

- Młody hrabia to birbant. Lepiej proszę się mieć na baczności.

- Co też pan za głupoty opowiada? Dlaczegoż miałabym się mieć na baczności? Nie ma ku temu żadnych powodów!

Miała wrażenie, że zareagowała przesadnie, ale książę zaskoczył ją tymi insynuacjami. Najpierw Eliza, a teraz ten bezczelny libertyn!

- Zaczerwieniła się pani jak pensjonarka. - Książę wciąż spoglądał na nią z rozbawieniem.

Wiktoria rzuciła mu urażone spojrzenie, oderwała dłonie od krenelażu, obróciła się i ruszyła w kierunku schodów.

- No, proszę się na mnie nie gniewać. - Książę ruszył za nią, głośno się śmiejąc.

Straciła tutaj tyle czasu. I to na flirtowaniu z mężczyzną, którego księżna Fryderyka swata właśnie Elizie. Boże przenajświętszy!

Schodząc po drewnianych schodach, przemknęło jej przez myśl, że może to dwaj młodszy bracia nie dotrzymali słowa i młody hrabia wpadł tutaj, żeby jej podziękować. Ale dlaczego byłby taki wzburzony?

Może więc powód tej wizyty był zupełnie inny?

Gdy szła korytarzem w kierunku swojego pokoju, wciąż miała przed oczami sylwetkę najstarszego z braci von Enckevortów, a w uszach śmiech księcia Adama.

Rozdział 4

Lasy Wirginii

Karen obróciła się, łowiąc po drodze przerażony wzrok Patryka, i spojrzała w kierunku, z którego przed chwilą dobiegł charakterystyczny dźwięk odbezpieczanej strzelby.

Pod koroną czerwonego dębu, kilka metrów od schodów, stał mężczyzna w wojskowej kamizelce khaki i celował do nich z myśliwskiej strzelby powtarzalnej.

Oczywiście tylko Karen, od lat strzelająca do tarczy, zauważyła rodzaj broni. Dla Patryka była to giwera, z której mierzył do nich jakiś drab. A dopiero co rozmawiali przecież o złym skrucie i zmutowanych degeneratach kryjących się po lasach Wirginii.

- Czego tu szukacie? - zagrzemiał mężczyzna i zrobił w ich kierunku kilka kroków.

Karen przełknęła ślinę. Mężczyzna, mimo że wyglądał na kogoś sporo po sześćdziesiątce, sprawiał wrażenie, że mógłby bez trudu poradzić sobie z trzema dwudziestolatkami.

- Powiedziano nam, że farmę można zwiedzić - odpowiedziała, nie spuszczać z mężczyzny wzroku.

- Na tablicy jak wół jest napisane, że do osiemnastej!

Karen spojrzała skonsternowana na Patryka, na którego twarzy wymalowane były słowa: „A nie mówiłem?”.

- Przepraszamy, nie zauważyliśmy. - Karen westchnęła. - Przyjechaliśmy tutaj specjalnie z Nowego Jorku, właściwie to z Richmond, tam nocujemy, bo braliśmy udział w aukcji...

- Mówisz z obcym akcentem. - Mężczyzna nadal trzymał broń przy biodrze. - A ty? - Spojrzał na Patryka. - Powiedz coś, młodzieńcze!

Patryk przełknął ślinę. Spojrzał w popłochu na Karen. Chryste! Co on ma powiedzieć? Przedstawić się?

- Nie jesteśmy Amerykanami - wydukał w końcu. - Jestem Polakiem.

- A ja Szwedką - wtrąciła Karen.

- Turyści? - ni to spytał, ni parsknął mężczyzna.

- Tak, zwiedzaliśmy Williamsburg...

- Ona mówiła, że byliście na jakiejś aukcji w Richmond. - Mężczyzna wskazał strzelbą Karen. - To co w końcu?

- A to jedno wyklucza drugie? - Karen poczuła, że zaczyna się irytować. - Zwiedzamy, ale przy okazji wzięliśmy udział w aukcji w muzeum w Richmond. Chcieliśmy obejrzeć plantację, skąd pochodzi kupiona przez nas pamiątka. Dlaczego pan nas straszy tą strzelbą?

- To prywatny teren. - Mężczyzna przerwał i zmarszczył nagle krzaczaste brwi. - Jaka pamiątka? - Obrzucił Karen podejrzliwym wzrokiem.

- Szkatuła. Taka z gadżetami łowców wampirów - palnął Patryk, nie zauważając, że Karen posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Szkatuła? - Mężczyzna otworzył usta i uśmiechnął się z niedowierzaniem. - Szkatuła Arnimów? Ktoś ją wystawił na sprzedaż? A to dobre. Skąd wiedzieliście, że pochodzi akurat stąd? - zapytał podejrzliwie, patrząc na Karen i Patryka.

- Chciało ją kupić muzeum w Waszyngtonie, ale moja dziewczyna je przelicytowała. - Patryk rzucił Karen pełne pretensji spojrzenie. Dzisiaj zwiedzaliby spokojnie Waszyngton. Albo Filadelfię.

- A więc nie zaginęła - mruknął do siebie mężczyzna. Podniósł strzelbę, zabezpieczył ją i ruszył na schody, w kierunku wciąż spoglądających na niego niepewnie Karen i Patryka. - W drodze wyjątku w takim razie oprowadzę was po plantacji. - Mężczyzna wspiał się na ganek i podszedł do drzwi wejściowych. - Jestem Henry Linton. Przypominam jednak, że zwiedzanie jest do osiemnastej, a jest prawie dwudziesta. - Rzucił surowe spojrzenie Patrykowi. - Ale za to mi pomożesz, młody człowieku.

Linton przewiesił strzelbę przez ramię i wszedł do wnętrza domu.

Karen zerknęła na stojącego nieruchomo Patryka i uniosła pytająco brwi.

- W czym ja mam mu niby pomóc? - szepnął Patryk, pochylając się do niej. - Może chodzi o oprawienie zwłok jakichś turystów?

- Przestań gadać głupoty! - syknęła Karen ze zniecierpliwieniem.

- Wchodzicie? - Mężczyzna stanął w holu i odwrócił się, wzrokiem

ponaglając nieproszonych gości.

Karen szturchnęła Patryka i przestąpiła próg.

Jej chłopak wszedł za nią z ociąganiem, a po chwili wielkie, rzeźbione drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Dom sprawiał wprawdzie wrażenie, jakby czasy jego świetności skończyły się już wiele lat temu, ale wciąż był imponujący. W holu, wyłożonym pociemniałą ze starości boazerią, przy jednej ze ścian pięły się na piętro schody, których poręcz oplatała brzuch wykonanej z hebanu rzeźby ciemnoskórej kobiety, trzymającej nad głową kosz pełen owoców. Na ścianach wisiało jeszcze kilka starych, pociemniałych obrazów, ale więcej było plam po tych, które jakiś czas temu stąd zniknęły.

Mężczyzna zatrzymał się na środku holu i spojrzał na rozglądających się niepewnie po wnętrzu gości.

- Macie ze sobą tę szkatułę? - zapytał.

Karen i Patryk wymienili się spojrzeniami.

- Nie dostaliśmy jej jeszcze. - Karen pokręciła głową z wahaniem. - Muzeum czeka na potwierdzenie przelewu z mojego banku.

- Szkoda. - Mężczyzna podrapał się po brodzie. - Widziałem ją tylko na zdjęciu. Zaginęła, a według mojej matki została sprzedana przez dziadka jeszcze przed wojną. Co was w ogóle skłoniło do jej zakupu? Interesujecie się wampirologią?

- Impuls. - Karen wzruszyła ramionami, rzucając wieloznaczne spojrzenie Patrykowi. - Moja mama urodziła się w Szczecinie. Rodzina do tej pory tam mieszka. A szkatuła przecież pochodzi właśnie stamtąd.

- Czyli jesteście Polką z pochodzenia i macie rodzinę na Pomorzu? - Mężczyzna wpatrywał się w Karen z uwagą. - A to dopiero! Chodźcie ze mną! - rzucił nagle i ruszył przed siebie.

Patryk uniósł brwi i spojrzał pytająco na Karen.

Karen wzruszyła ramionami i poszła w ślad za gospodarzem.

Przeszli przez hol, potem przez długi korytarz i znaleźli się nagle na tyłach domu, a wkrótce z powrotem na zewnątrz. Od tej strony widać było ścieżkę, która meandrując, prowadziła w głąb parku.

Niebo było już ciemne, a stare drzewa szumiały. Pomiedzy nimi prześwitywały tylko odbicia i refleksy na rzece. Nad farmą powoli zapadał zmierzch.

Mężczyzna ruszył przed siebie i po chwili widzieli tylko jego plecy pomiędzy drzewami.

Karen i Patryk wpatrywali się niepewnie w niknącą w parku ścieżkę i oddalającego się gospodarza.

- Mamy iść za nim? - Patrykowi perspektywa ciemniejącego lasu wokół domu i spaceru z wyglądającym jak niedźwiedź gospodarzem zdecydowanie średnio się podobała.

- No a co? Mamy teraz uciec? - Karen, kamuflując nerwową wymianę zdań z Patrykiem, uśmiechnęła się do mężczyzny, który stanął i zniecierpliwiony skinął na nich głową. - Idziemy - powiedziała cicho i szturchnęła Patryka.

- To się źle skończy - mruknął Patryk. - On mi się nie podoba. Tak się zaczynają wszystkie filmy o debilnych turystach zwiedzających lasy Wirginii.

- Nabiłeś sobie głowę tymi durnymi filmami. Co się może wydarzyć?

- Na przykład może nas porządną piłą mechaniczną.

- Patryk... - Karen westchnęła z rezygnacją i ruszyła za gospodarzem.

Patryk, chcąc nie chcąc, poszedł za nią.

Między drzewami nagle pojawił się niewielki budynek, z czterema kolumnami od frontu. Mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami i po chwili na oścież je otworzył.

Wewnątrz panował półmrok, w którym widać było niknące w głębi schody.

Karen i Patryk stanęli obok gospodarza i przyglądali mu się niepewnie.

- To grobowiec - powiedział mężczyzna i skinął ręką do środka.

Przez głowę Patryka przemknęła wisielcza myśl, że z każdą kolejną sekundą robi się coraz ciekawiej. Po chwili wahania weszli jednak do środka i zeszli za mężczyzną na dół.

We wnętrzu grobowca na kamiennym wyniesieniu leżały dwie trumny. Bliższe prawdy było jednak określenie sarkofagi. Wykonane z kamienia, z wyrytymi na wierzchu krzyżami i jakimiś rzeźbionymi dekoracjami.

Mężczyzna pochylił się nad jedną z płyt i dmuchnął mocno, a leżący tutaj nie wiadomo jak długo kurz podniósł się i zamienił w chmurę migoczących drobinek.

- Tu leżą pierwsi właściciele plantacji. - Mężczyzna wpatrywał się w dwa kamienne nagrobki. - Przybyli tutaj na przełomie osiemnastego

i dziewiętnastego albo na początku dziewiętnastego wieku z północnych Niemiec. Rzekomo właśnie z Pomorza.

Karen pochyliła się nagle nad płytą i przetarła ręką kamienną nawierzchnię.

- Popatrz. - Spojrzała roziskrzonym wzrokiem na Patryka.

- Co to jest?

- Gryf! - Karen przetarła ręką pozostałą część płaskorzeźby, odsłaniając jakieś inne symbole i dekoracje.

- No właśnie. - Mężczyzna skinął głową. - To podobno herb Pomorza. To prawda?

- Zgadza się! - Karen skinęła energicznie głową i ukucnęła przy sarkofagu. Wyjęła z kieszeni telefon. - Mogę zrobić fotki? - Podniosła wzrok na właściciela plantacji.

Patryk obserwował ją z mieszanymi uczuciami. W dalszym ciągu nie czuł się tutaj pewnie, ale zaczął to już składać na karb dotychczasowych doświadczeń. Psychoza.

Karen natomiast, która studiowała w Warszawie archeologię, była najwyraźniej w swoim żywiole. Patryk spoglądał na nią z niepokojem. Jego dziewczyna miała ogromne zdolności wplątywania w kłopoty siebie i jego przy okazji.

- Arnim? Nazywali się Arnim? - Karen przetarła ręką napisy na płycie.

- Tak, kochaniutka. - Linton pokiwał głową i usiadł na kamiennej płycie, opierając strzelbę o podłogę. - On był Niemcem, a ona Polką. Podobno, bo te stare opowieści to się wszystkie kupy nie trzymają. - Podniósł głowę i rozejrzał się po sklepionym wnętrzu grobowca. - Stare dzieje - mruknął do siebie.

- Czyli pana rodzina odkupiła od Arnimów tę plantację? - Karen odsunęła się i sfotografowała dwie kamienne płyty.

- Nie, kochaniutka. Córka ostatniego z Arnimów wyszła za mąż za mojego prapradziadka Archibalda Lintona i wniosła mu tę farmę w posagu. Archibald był pastorem. Niestety, trzeba to powiedzieć, mocno zidiociałym. - Gospodarz parsknął śmiechem. - To on właśnie przerobił szkatułę Arnimów na podręczny kufer łowców wampirów. Ale za tą szkatułą ciągnie się pewna utrapiona legenda.

- Legenda? - Karen posłała Patrykowi porozumiewawcze spojrzenie i wbiła zafascynowany wzrok w Lintona.

- Jeśli chcecie posłuchać, to zapraszam do domu. - Mężczyzna wstał i podniósł strzelbę. - Przy okazji mi pomożesz, młody człowieku - powiedział do Patryka. - Nie jesteś aby elektrykiem?

Patryk pokręcił głową.

- Prawnikiem.

- O masz ci los - jęknął Linton. - Kogo jak kogo, ale papug to zdecydowanie mi tutaj nie brakuje. Idziemy!

Kilka minut później znaleźli się ponownie we wnętrzu domu, a niedługo potem w ogromnej, zacienionej grubymi zasłonami i pełnej zakurzonych książek bibliotece. Henry Linton wyszedł na chwilę, zostawiając Karen i Patryka samych, i wrócił kilka minut później z tacą, na której pobrzękiwały dzbanek z mrożoną herbatą i trzy filiżanki.

- Siadajcie! - huknął, wskazując brodą stolik pod oknem. - Jakiś czas temu jeszcze była tu kobieta do pomocy, ale po rozwodzie nie mam głowy do szukania nowej gospodyni.

Para niefortunnych gości usiadła posłusznie i czekając, aż gospodarz porozstawia spodki, dyskretnie rozglądała się dookoła.

- Ten kominek pamięta jeszcze czasy starego domu, który stał tutaj do tysiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego. - Linton wskazał brodą ogromne kamienne palenisko, schowane za frontonem z piaskowca. - Mój pradziad Henry Linton I dorobił się na handlu drewnem i w miejscu starego domu postawił ten oto. - Mężczyzna podniósł rękę i zatoczył nią dookoła. - Stary dom nazywany był w rodzinie dworem Arnimów, tak jak i pierwsza plantacja.

Karen oderwała zafascynowany wzrok od kominka i spojrzała na Lintona.

- Mogę zrobić fotki?

- A proszę bardzo. - Gospodarz po raz pierwszy uśmiechnął się pod nosem. - Oprócz kominka z dawnego dworu Arnimów zostały także drzwi wejściowe oraz ta rzeźba na schodach.

Karen wstała i podeszła do kominka.

- Bardzo piękny. - Przejechała palcem po kamiennych rzeźbieniach.

- Ale chcieliście posłuchać o szkatule. - Mężczyzna odstawił dzbanek i usiadł.

Karen wróciła do stolika i usiadła obok Patryka, wbijając zaciekawiony

wzrok w gospodarza.

- Wszystko zaczęło się od Wilhelma i Josephine von Arnimów. - Linton wypił łyk mrożonej herbaty i odstawił filiżankę na talerzyk. - Przybyli tutaj na początku dziewiętnastego wieku i kupili tę ziemię. Pieniądze mieli podobno ze sprzedaży gospodarstwa w Niemczech, ale wedle innych wersji tych bajdurzeń moich babek nie mieli przy sobie ani grosza...

- To jak kupili ziemię? - zapytał niecierpliwie Patryk.

- No dlatego właśnie mówiłem, że nic się kupy nie trzyma w tych opowieściach.

- W szkatule zachował się przecież weksel z Pruskiego Banku - przypomniała sobie Karen. - Sześćdziesiąt tysięcy talarów. To rzeczywiście mogły być pieniądze ze sprzedaży jakiegoś gospodarstwa.

- No nie wiem. - mruknął Patryk po polsku.

- O co ci chodzi? - zapytała Karen z irytacją i zdziwieniem.

- Coś mi w tym nie pasuje.

- Nie mówmy przy nim po polsku. To niegrzeczne. - Karen popatrzyła przepraszająco na Lintona. - Mówił pan, że Josephine była Polką.

- Tak. - Linton pokiwał głową w zamyśleniu. - Może rzeczywiście to prawda z tym wekslem. Poza tym jakoś musieli wejść w posiadanie tej ziemi.

- A skąd pochodziła Josephine? Jak to się w ogóle stało, że trafiła z jakimś Niemcem do Stanów?

- Matka powtarzała, że Josephine pochodziła podobno z jakiejś Wielkiej Polski.

W ustach Amerykanina dwa ostatnie słowa zabrzmiały tak, jakby nagle czymś się udławił.

- Wielkiej Polski? - Karen spojrzała na Patryka zdumiona. - Jakiej Wielkiej Polski? O co mu może chodzić?

- Wielkopolski!

- Fakt! - Karen stuknęła się dłonią w czoło.

- To w sumie prawdopodobne - przytaknął Patryk. - To były wówczas Prusy przecież. Zaraz, zaraz! Może to dlatego tutaj trafili?

- Dlaczego? - Karen sięgnęła po tablet. - Wielkie Księstwo Poznańskie, a nie Prusy - przeczytała w Wikipedii.

- Pod całkowitą kontrolą Prus. - Patryk skrzywił się lekceważąco. -

Mezalians! Niemiecka rodzina szlachecka nie chciała zaakceptować jakiejś Polki, więc dwa zakochane gołąbki uciekły do Stanów.

Patryk zreflektował się, że z kolei z rozpędu nadal mówi po angielsku, a ich gospodarz słucha go, milcząc wieloznacznie.

- To znaczy... Nie chciałem pana urazić - zwrócił się niepewnie do Lintona. - Głośno myślę.

- Ale możesz mieć rację, młody człowieku. To by wiele tłumaczyło. - Henry Linton pokiwał głową w skupieniu. - Za wyjątkiem opowieści o wampirach.

Na chwilę w bibliotece zapanowała cisza.

- Więc jednak coś jest na rzeczy z tą szkatułą? - zapytała ostrożnie Karen. - Mówił pan przecież, że to pana pradziad przerobił ją na kufer łowcy wampirów.

- Tak, ale już wtedy pokutował przesąd, że Wilhelm i Josephine uciekli z Pomorza w związku z tym właśnie...

- W związku z wampirami? - Patryk patrzył na Lintona z nowo obudzonym niepokojem.

Może za łatwo jednak ulegli tej atmosferze niezobowiązującej rozmowy przy herbacie?

- Tak właśnie, młody człowieku. - Linton pokiwał głową. - Rzekomo oboje wyjechali z Europy dlatego, że ich zdemaskowano.

- Zdemaskowano? - Karen zmarszczyła brwi, wpatrując się z niedowierzaniem w mężczyznę. - Że niby byli wampirami?

- No ja tylko powtarzam wam legendy, które ciągnęły się za rodziną przez całe lata. Ludzie powtarzali brednie, że mój prapradziad Archibald.

- Ten pastor?

- Właśnie. Że tak naprawdę to on zamordował Wilhelma i Josephine, jak tylko zorientował się, że ma do czynienia z wampirami. W innej wersji, już po ich śmierci, otworzył grobowiec i przebił ciała swoich teściów osikowymi kołkami.

- Chryste. - jęknął Patryk.

- Ale co było podstawą tych rojeń? - Karen wpatrywała się z fascynacją w Henry'ego Lintona. Spodziewała się jakichś spiskowych tajemnic amerykańskiej masonerii z czasów wojny o niepodległość, a tymczasem słuchają opowieści Mary Shelley. - Przecież skoro uciekli do Stanów przed takimi oskarżeniami, to skąd się tutaj wzięły te plotki?

- Nie mam pojęcia, kochanieńka. - Linton sięgnął po filiżankę z herbatą. - Powtarzam tylko to, co sam słyszałem. Pod koniec dziewiętnastego wieku dokonano podobno nawet komisijnego otwarcia sarkofagów i oczywiście brednie o osinowych kołkach się nie potwierdziły, ale nie przeszkodziło to ciemnocie w dalszym kolportowaniu tych nonsensów.

- A szkatuła? - spytał Patryk. - Jaki miała z tym związek?

- Możliwe, że żaden. Archibald Linton użył jej po prostu, bo była stara i odpowiednio się prezentowała. - Linton skrzywił się ironicznie. - Ale mówiło się także o tym, że Josephine przywiozła w niej coś bardzo wartościowego i niebezpiecznego jednocześnie. Coś, co ściągnęło na nią kłopoty nawet za oceanem. Nie uciekła przed nimi...

Karen przez moment siedziała ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

- Coś niebezpiecznego? I nie wie pan, co to mogło być? Jakaś tajemnica? Może dokumenty?

- Nie mam pojęcia. - Linton pokręcił głową. - Wiadomo tylko, że sporo osób usiłowało potem to znaleźć. W tym mój dziadek, który stracił na tych poszukiwaniach nawet sporo pieniędzy. Podobno tylko ostatni Arnimowie widzieli zawartość szkatuły, a później ona zaginęła. Do tej pory miejscowi opowiadają różne bzdury, że na terenie plantacji ukryty jest gdzieś bezcenny artefakt, za który wielu ponoć oddało życie. Jedna z wersji mówi nawet, że zrabowali ją piraci i że skarb leży w ładowni żaglowca, który zatonął w drodze do Europy. Takie miejscowe legendy. - Linton uśmiechnął się lekceważąco.

- A szachownica? - Karen przypomniała sobie nagle o swoich notatkach i sięgnęła do torby. - Na szkatule umieszczona jest szachownica i podobno także jakaś inskrypcja.

- Ja nigdy nie widziałem tej szkatuły na oczy. - Henry Linton pokręcił głową.

Podniósł się i spojrzał z namysłem w kierunku jednej z oszklonych szaf bibliotecznych.

- Ale są przecież zdjęcia.

Podszedł do regału, otworzył oszkloną witrynę i zaczął przesuwając palcem po starych okładkach.

- To chyba tutaj będzie. - Postukał palcem w jeden z grzbietów, po czym wyciągnął stary, zakurzony album oprawiony w skórzane okładki.

Wracając do stołu, wertował strony, przesuwając wzrokiem po fotografiach.

- Jest! - Zatrzymał się na jednej z kart i spojrzał z triumfem na Karen.

Przez chwilę cała trójka przypatrywała się kilku czarno-białym fotografiom. Na każdej z nich widać było szkatułę stojącą na jakimś stoliku niedaleko wielkiego okna.

- No niby jest jakaś dekoracja na pokrywie. Ale widać tylko zarys. - Patryk przekreślił głowę, usiłując dojrzeć szczegóły zdjęcia. - Czy ja wiem, czy to szachownica?

- Cztery pola wyraźnie widać - stwierdziła Karen i pokazała palcem środek zdjęcia. - Czemu myśmy właściwie tego nie widzieli w tym folderze?

- Bo w folderze szkatuła była otwarta, żeby zaprezentować zawartość. Ten cały pistolet, srebrne kule i te pozostałe wampiryczne gadzety.

- Może to i jest szachownica, ale symbole masońskie mają więcej pól. - Karen sięgnęła po tablet. - Do wolnomularstwa należało sporo wybitnych niemieckich postaci, z rodziną panującą włącznie. Właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby to był jakiś gadżet masoński.

- No więc właśnie - potwierdził Linton. - Skoro trafiła tutaj z Niemiec, to nie mogła mieć nic wspólnego z amerykańskimi masonami. Ja zawsze uważałem, że to wszystko brednie. Ale moja matka opowiadała mi, że jeszcze przed wojną nie brakowało chętnych na jej zakup. I w końcu, chyba tuż przed wojną, dziadek ją sprzedał. Swoją drogą, to nieprawdopodobne, że pojawiła się po stu latach na aukcji.

- Nie chciał pan jej odzyskać? - Karen oderwała wzrok od jednej z fotografii i spojrzała na gospodarza. - Czemu muzeum nie powiadomiło pana o tej aukcji?

- A po cholere byłyby mi ta szkatuła potrzebna? - Henry Linton parsknął i zamknął z trzaskiem album. - Miałbym marnować pieniądze na takie głupoty? Ledwie ten dom udaje mi się jakimś cudem utrzymać, chociaż mój syn robi wszystko, żeby mnie nakłonić do jego sprzedaży. A jeszcze majątek wydaję na dom spokojnej starości w Charleston, gdzie mieszka moja matka.

Karen i Patryk przypatrywali się, jak mężczyzna odstawia z powrotem album do szafy. Tematu rodzinnych niesnasek woleli raczej nie zgłębiać.

Oszklone drzwiczki zaskrzypiały, gospodarz odwrócił się

i niespodziewanie wskazał głową Patryka.

- Miałeś mi pomóc, młody człowieku.

- Oczywiście^ - Patryk rzucił Karen zaniepokojone spojrzenie. - Co mógłbym zrobić?

- Musiałem coś zepsuć w komputerze. - Mężczyzna podrapał się po brodzie. - Nie mogę się połączyć z internetem ani odebrać poczty, ani nic. Założyłem, że ktoś w twoim wieku na pewno będzie wiedział, co i jak, ale skoro jesteś prawnikiem.

- Chyba sobie jednak z tym poradzę. - Patryk uśmiechnął się z ulgą.

Wizja przenoszenia zwłok z jakiegoś lochu w piwnicy do zamrażarki utkwiała mu w głowie na tyle, że nawet półgodzinna spokojna rozmowa z domniemanym mordercą nie zdołała go od niej oderwać. No ale skoro chodziło tylko o komputer.

- To proszę ze mną. - Linton otworzył drzwi, ukryte między regałami biblioteki, i skinął ręką do wnętrza. - To mój gabinet. Zapraszam. Tam stoi to utrapienie.

Karen, korzystając z chwili nieobecności obu mężczyzn, sięgnęła po telefon i podeszła ponownie do kominka. Stała dokładnie naprzeciw ogromnego paleniska i zrobiła zdjęcie.

Ściana wewnątrz kominka wyłożona była granitowymi kamieniami i przypominała te wielkie kominki z amerykańskich drewnianych domów, jakie oglądała zawsze w amerykańskich filmach, ale zewnętrzna obudowa, wykonana z piaskowca, przywodziła raczej na myśl tradycyjne kominki ze starych dworów w Anglii czy w Niemczech. Nad kominkiem wisiał wielki, poczerniały portret jakiejś kobiety.

Karen sfotografowała płótno, a następnie obejrzała zdjęcia na podglądzie. I dopiero gdy powiększyła ujęcie, zwróciła uwagę na dziwny geometryczny wzór, który znajdował się dokładnie na samym środku obudowy kominka, tuż nad paleniskiem.

Przez chwilę wpatrywała się w dekorację, po czym sięgnęła ponownie do galerii zdjęć i zaczęła przesuwac fotografie, aż znalazła w końcu tę, która ją interesowała.

Płaskorzeźby na dwóch sarkofagach. Był tam ten sam motyw.

Upłynęło może dwadzieścia minut, gdy Patryk pojawił się w drzwiach do gabinetu, a tuż za nim wyraźnie zadowolony Henry Linton.

Karen, która się zorientowała, że jakiś czas temu minęła już dziewiąta, czekała na nich z rosnącą niecierpliwością. Mieli przed sobą długą podróż do Richmond. W dodatku praktycznie całą przez ciemne lasy Wirginii.

- Zwracam honor prawnikom. - Linton poklepał Patryka po ramieniu. - Pani chłopak doskonale sobie poradził.

- Brak synchronizacji z routerem, firewall, wi-fi - mruknął Patryk do Karen po polsku. - Usiłował pewnie wszystko sam naprawić i w zasadzie wszystko spierdolił.

Kilka minut później, po podziękowaniu za możliwość zwiedzenia domu i herbatę, znaleźli się w holu. W otwartych drzwiach widać było całkowitą ciemność, która spowijała dom ze wszystkich stron.

- Nie boi się pan tutaj sam mieszkać? - zapytała Karen, zatrzymując się na ganku i rozglądając dookoła.

Ogromne stare dęby cicho szumiały, a znad rzeki dochodził rechot żab i miarowy świergot cykad.

- Tam dalej, w dawnych barakach niewolników, mieszkają moi pracownicy. - Linton skinął głową w stronę parku, gdzie w oddali rzeczywiście majaczyło jakieś światelko. - Poza tym nie poznaliście moich trzech psów. Spuszczam je na noc. Trzy rottweilery. Razem jakieś ćwierć tony mięśni i zębów. Sam się ich boję - zarechotał Linton.

Patryk wzdrygnął się, a Karen nagle sobie przypomniała o płaskorzeźbie znad kominka.

- Zapomniałam spytać - powiedziała i sięgnęła po tablet. Przejechała palcem po ekranie i wyciągnęła urządzenie w kierunku mężczyzny. - Co oznacza ten symbol? Jest nad kominkiem oraz na sarkofagach.

- Proszę wybaczyć jej tę ciekawość. Nie wspomniała, że studiuje archeologię. - Patryk posłał Karen kpiące spojrzenie.

- Jak Indiana Jones? - zażartował Linton.

- Właśnie. - Patryk uśmiechnął się do niego porozumiewawczo, a Karen obrzuciła obu panów ironicznym spojrzeniem.

Linton wziął od Karen tablet i popatrzył na ekran urządzenia. Na fotografii widać było wyryte w piaskowcu znaki. Trzy krzyże i trzy orły.



Mężczyzna przez moment przypatrywał się niewyraźnym symbolom.

- Ten znak jest także nad wejściem do grobowca - powiedział w końcu, uśmiechając się do swoich wspomnień, jak uznała przyglądająca mu się Karen.

- To herb Arnimów. - Linton oddał Karen tablet. - A przynajmniej tak zawsze twierdziła moja matka. Nigdy tego nie sprawdzałem. Mój ojciec mówił kiedyś, że herb został nieco zmieniony na pamiątkę przybycia Wilhelma i Josephine do Stanów.

- A ja myślałam, że to amerykańskie orły. - Karen włożyła tablet do torby. - Zaczęłam się zastanawiać, czy to nie jest przypadkiem ta inskrypcja, o której mówiła nam historyczka z Waszyngtonu.

- Gdybyście chcieli odwiedzić Charleston, to moja matka z radością by z wami porozmawiała. Pewnie pamięta jeszcze mnóstwo rozmaitych historii. A gdyby jeszcze mogła dostać do rąk tę szkatułę, byłaby wniebowzięta. Dom spokojnej starości Garden Hall, jakby co.

Karen i Patryk pożegnali się, a chwilę później biała toyota objechała gazon przed domem i wjechała w ciemną aleję, wiodącą do bramy wjazdowej na teren plantacji.

Droga do Richmond wiodła w całkowitej ciemności. Światła pojawiały się jedynie w pobliżu jakichś miejscowości lub przy stojących gdzieś stacjach benzynowych czy przydrożnych barach. Karen,

obserwując wykrajaną z ciemności jezdnię wśród ciągnących się ogromnych połaci lasów, przypomniała sobie jakiś stary artykuł, który czytała może rok wcześniej. Wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych było bardzo zalesione. Wycięte niegdyś w pień dziewicze puszcze zostały odtworzone, a tereny zajmowane obecnie przez lasy były większe nawet niż te, które rozciągały się tutaj w dziewiętnastym wieku.

- Co miałeś na myśli, mówiąc: no nie wiem? - Karen oderwała wzrok od przedniej szyby i spojrzała na chłopaka.

Patryk wydawał się zamyślony. Od wyjazdu z farmy jeszcze się nie odezwał.

- Co? - Podniósł brwi. - Kiedy?

- Jak wspomniałam o tym, że w szkatule był weksel z Pruskiego Banku - przypomniała. - Że to mogła być kasa ze sprzedaży jakiejś ziemi na Pomorzu.

- A... - Patryk pokiwał głową. - No właśnie.

- Co niby?

- Rzecz w tym, że mnie się wydaje, że to był weksel zakupu, a nie sprzedaży. Widziałem na zdjęciach. Pewny nie jestem na sto procent, ale tak na osiemdziesiąt.

- Zakupu? - Karen popatrzyła na chłopaka, zbita z tropu. - W sensie, że ktoś coś kupił za sześćdziesiąt tysięcy talarów?

Patryk skinął głową.

- Logiczne byłoby, że mieli kasę na start w Stanach ze sprzedaży czegoś na Pomorzu. - Karen zagryzła wargi. - Ale zakupu?

- No zastanów się. - Patryk uniósł brwi. - Jeśli wśród miejscowych krążyły legendy o czymś bezcennym. - spojrzał na Karen - no i jeżeli ci przesiedleńcy rzeczywiście przywieźli coś o wartości sześćdziesięciu tysięcy talarów, to te legendy w tym momencie zaczynają się zgadzać. Sześćdziesiąt tysięcy to było wtedy dużo?

- Bardzo dużo. Tyle mógł kosztować jakiś wielki, naprawdę wielki majątek w Prusach. Może to przez tę wysokość sumy na wekslu narodziły się te wszystkie legendy. - Karen wpatrywała się w drogę. - Ale jeśli ta para rzeczywiście przywiozła ze sobą coś tak cennego, to mogli mieć jakieś układy z miejscowymi władzami. Może to były jakieś akcje, jakieś dokumenty własnościowe, które były jakimiś kartami przetargowymi tutaj.

- Mnie bardziej niepokoi coś innego - mruknął Patryk.

- Z tym wekslem?
- Co? - Patryk zmarszczył brwi i popatrzył na Karen zdezorientowany.
- Nie, nie... - Pokręcił głową. - To nie ma nic z tym wspólnego.
- To o czym ty mówisz?
- Laptop Lintona.
- Laptop? - Karen zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w swojego chłopaka. - Co z nim było nie tak?
- Miał zainstalowany program szpiegujący.
- Karen otworzyła szeroko oczy.
- Jaki program?
- Program, który monitoruje wszystkie czynności użytkownika. Wszystko, co robisz, co piszesz, co oglądasz w necie.
- Może ten jego syn mu zainstalował, żeby w razie potrzeby pomóc mu zdalnie?
- Patryk pokręcił głową.
- To nie był program do zdalnej kontroli pulpitu. To działa zupełnie inaczej. Taki Team Viewer na przykład pozwala na dostęp do systemu operacyjnego po to, żeby rzeczywiście pomóc komuś na odległość. A to u Lintona to była aplikacja jak te, które instalują w korporacjach. Pracuje w tle i zapisuje każde działanie na zasadzie monitorowania czynności wykonywanych na komputerze, a potem wysyła raporty. Zapisuje wszystkie uruchamiane programy, treść maili, odwiedzane strony internetowe, wiadomości w komunikatorach. Nawet to, co pokazywała kamerka, lub co kto mówił przez słuchawki czy głośnik.
- Co ty mówisz? - Karen patrzyła na Patryka z malującym się na twarzy oszołomieniem. - Kto mógł mu coś takiego zainstalować? To robi jakiś trojan? Mógł to dostać pocztą?
- Patryk znowu pokręcił głową.
- Wątpię. Takie programy instaluje się specjalnie. Z tego, co wiem, to raczej nie można tego zainstalować za pomocą trojana dołączonego do jakiegoś syfiastego maila.
- Czyli ktoś to zrobił celowo? - Karen spojrzała z nagle obudzonym niepokojem w przednią szybę. - Może to ten jego syn jednak? Kontroluje go?
- Ja też podejrzewam, że to ten syn. - Patryk skinął głową. - Słyszałaś, co mówił Linton. Że synalek nie może się doczekać, aż ojciec sprzeda

farmę. Pewnie liczy na kasę. Dlatego nie chciałem o tym wspominać przy Lintonie, bo wywołałbym jakieś rodzinne piekło.

- Ale w ten sposób ta aplikacja dalej śledzi Lintona, tak? Czy usunąłeś ją?

Patryk pokręcił głową.

- Przecież to nie nasza sprawa. A jeśli ten syn śledzi ojca po to właśnie, żeby go ustrzec przed jakimiś trefnymi inwestycjami albo oszustami z netu? Lepiej się do tego nie mieszać.

- Boże... - Karen wpatrywała się w Patryka ze zgrozą. - Wspomniałeś coś o kamerce i głośnikach. Przecież ta apka w takim razie zapisała także to, co ty tam robiłeś.

- I co z tego?

- A jeśli nagrała cię na kamerce?

- Nie wymyślaj. - Patryk zmarszczył brwi i spojrzał na Karen z ironicznym uśmiechem.

Przez moment jechali w ciszy.

- To znaczy - podjął Patryk po chwili - to właściwie całkiem możliwe. Te korporacyjne programy są dość proste, można je sobie ściągnąć z netu, ale pewnie są też i bardziej zaawansowane. Teoretycznie mogą sobie wyobrazić, że każde uruchomienie komputera na przykład uruchamia kamerkę i głośnik.

- Czyli ktoś mógł cię widzieć?

Karen wpatrywała się w Patryka z napięciem.

- Eee. - Patryk pokręcił głową. - To bzdura. Komu by to było potrzebne? - Spojrzał na Karen i uśmiechnął się, widząc jej minę. - Wyluzuj. Nawet jeśli ten syn mnie zobaczył, to co mu z tego przyjdzie? Pewnie zresztą weźmie mnie po prostu za jakiegoś informatyka, którego Linton wezwał na pomoc.

Obok drogi mignęła oświetlona stacja benzynowa, a po chwili światła małego budynku zostały z tyłu, a toyota ponownie wjechała w las.

Następny dzień upłynął Karen i Patrykowi na włóczeniu się po Richmond i zwiedzaniu miejscowych atrakcji turystycznych. Spacerowali po klimatycznych kolonialnych uliczkach, podziwiali stare ceglane budynki i szperali w sklepach z miejscowymi antykami. Nie chcieli wyjeżdżać dalej, ponieważ cały czas czekali na jakieś wieści z galerii. Około trzynastej

wylądowali w końcu w niewielkiej, przytulnej restauracji na obiedzie, co chwilę spoglądając na wiszący na ścianie zegar lub na swoje komórki.

- Koszmarna strata czasu - mruknął z niezadowoleniem Patryk, skubiąc od niechcenia sałatkę z łososiem. Nie był specjalnie głodny, spodziewając się intuicyjnie kłopotów, zjadł potężne śniadanie w hotelu. - Mogliśmy już dawno być z powrotem w Nowym Jorku i wreszcie pójść obejrzeć Central Park albo wjechać na Empire State Building.

- Czyli robić dokładnie to, co wszyscy w Nowym Jorku. Razem ze zdziczałą bandą turystów z Chin i Japonii - powiedziała ze złością Karen.

- Snobka.

- Nie snobka, tylko wolę poznawać taką Amerykę. - Skinęła głową w kierunku okna. - Zamiast tej z folderów i seriali.

- Przecież tutaj także są sami turyści. Myślisz, że ci sympatyczni ludzie po drugiej stronie ulicy to miejscowi?

Karen spojrzała niechętnie w kierunku zapamiętane fotografującej wszystko grupki Azjatów i chciała coś odpowiedzieć, ale akurat zadzwonił jej telefon.

- Nareszcie. - Westchnęła, gdy spojrzała na wyświetlacz. - Dzięki Bogu! Dzień dobry - zaświergotała wesoło do słuchawki. - Właśnie czekaliśmy na telefon od pana. Mam nadzieję, że wszystko jest już w porządku. Co takiego?

Patryk podniósł głowę i popatrzył na Karen. Była wyraźnie skonsternowana.

- Ale jak to możliwe? Jest pan pewien? Może to jakaś awaria?

- Co się stało? - nie wytrzymał Patryk.

Karen ściągnęła brwi i pokręciła głową.

- Nie wiem, jak to mogło się stać. To jakiś absurd. Tak, jestem pewna! Mam środki na koncie!

Patryk podniósł brwi.

- Zaraz będziemy u pana w takim razie. Bank nie potwierdził przelewu - warknęła do Patryka, gdy skończyła rozmawiać.

Przez chwilę stukwała telefonem o stół, po czym sięgnęła po tablet i zaczęła nerwowo przesuwając palcem po ekranie.

- I co teraz? - Patryk skinął na kelnera i sięgnął po swój portfel.

- Szukam jakiegoś namiaru na mój bank. Zadzwoń tam.

- Raczej nic nie działasz. Pewnie mają jakieś ograniczenia, o których

nie wiedziałaś. A nawet jeśli coś załatwisz, to kasa i tak nie wpłynie od razu.

- Przecież nie mogę zrezygnować z tej szkatuły!

- No trochę już za późno. Przede wszystkim obciążą cię kosztami, a sprzedający może jeszcze wytoczyć ci proces.

- Patryk. - Karen spojrzała z irytacją na chłopaka. - Nie pomagasz.

Podniosła telefon i wystukała znaleziony numer szwedzkiego banku.

Piętnaście minut później była jeszcze bardziej zdenerwowana niż na początku.

- Szlag! - przerwała rozmowę i walnęła telefonem o blat, ściągając na siebie wzrok kilku osób przy sąsiednich stolikach.

- Może zapłacimy kartami kredytowymi? - zaproponował Patryk. - Może się jakoś uzbiera?

- Nie uzbiera. Mam limit dzienny. Trudno. - Karen westchnęła i sięgnęła ponownie po telefon. - Będę musiała prosić dyskretnie o pomoc rodzinę.

- Kogo? Rodziców?

- Nie rodziców. Powiedziałam przecież: dyskretnie. - Karen znalazła właściwy numer i podniosła telefon do ucha.

Patryk pokiwał głową.

- I w ten oto sposób w świetnie rozkręcającą się awanturę w Stanach wciągnięty został właśnie nasz wujaszek - powiedział z przekąsem.

Wuj Karen - Igor, którego Patryk poznał rok wcześniej, dokładnie w tym samym czasie, w którym poznał Karen, teoretycznie był architektem i nawet prowadził jakieś biuro projektowe w Szczecinie. Tak naprawdę jednak, wraz z grupą ekscentrycznych znajomych z Londynu, zajmował się jakąś przedziwną działalnością, z którą Patryk zetknął się, prowadząc sprawę spadkową Flemingów.

Przez trwające od roku utarczki z warszawską i litewską administracją Patryk zdążył trochę poznać zarówno wuja Karen, jak i jego znajomych, ale w dalszym ciągu ich działalność, a zwłaszcza to, w jaki sposób Igor Fleming doszedł do naprawdę sporych pieniędzy, było dla niego niejasne. Jako prawnik wołał jednak nie wiedzieć za dużo.

Tak czy inaczej, pół godziny później pieniądze wpłynęły na konto galerii przy muzeum w Richmond, a Peter Tremblay momentalnie odzyskał

dobry humor.

- Mam do pani pewną prośbę, pani Lindberg - odezwał się koncyliacyjnym tonem, gdy jego asystent zniknął na zapleczu. - Ta szkatuła nie była oczywiście ani najdroższym, ani najcenniejszym przedmiotem, który wystawiliśmy na wczorajszej aukcji, ale z oczywistych powodów budzi zainteresowanie. Zwróciła się do nas dziennikarka z miejscowej gazety z pytaniem, czy mogłaby porozmawiać z nabywcą szkatuły. Obiecałem, że najpierw poproszę panią o zgodę...

- Z gazety? - Karen spojrzała ze zdziwieniem na Patryka.

- „Richmond Times”, to najpopularniejszy dziennik w Wirginii. - Tremblay uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Dla nas to też byłaby dobra reklama, gdyby zgodziła się pani na krótką rozmowę.

Zanim Karen zdążyła odpowiedzieć, do gabinetu Tremblaya wszedł asystent, dzierżąc w rękach szkatułę. Postawił ją z pietyzmem na biurku szefa i stanął za jego plecami.

- Oto jest! - powiedział z namaszczeniem Tremblay.

Karen wpatrywała się jak urzeczona w drewniany kuferek. Szkatuła miała mniej więcej trzydzieści centymetrów długości i piętnaście szerokości. Stała na malutkich nóżkach, przypominających szpony jakiegoś ptaszyska.

Zrobiona była z ciemnego drewna, a na każdym jej boku wyrzeźbiono scenkę rodzajową, której poszczególne elementy wykonane były z masy perłowej lub kości słoniowej.

Patryk wpatrywał się zafascynowany w niewielki pistolet oraz skrzętnie ułożone w malutkich przegródkach różańce i krucyfiks. Były tam również malutkie, poczerńiałe kule i flakonik z grubego, matowego szkła.

Karen natomiast od razu zwróciła uwagę na coś innego. Na to, co było na jej pokrywie.

- Zobacz. - Szturchnęła Patryka i dotknęła palcem niewielkiego czworoboku, w którym widać było wytarte fragmenty masy perłowej. Najwyraźniej kiedyś układała się w regularne czarno-białe kwadraty.

- Szachownica - szepnęła z przejęciem po polsku.

- Dziesięć tysięcy dolców. - Patryk westchnął, wyjmując ze szkatuły stary pistolet i kule. - Ciekawe, czy sprzedając to wszystko oddzielnie, da się uzyskać lepszą cenę? Poza tym wątpię, że to srebro.

Tremblay sięgnął do swojego biurka i wyjął granatową torbę z grubego

plastiku, z logo muzeum w Richmond. Postawił ją na biurku obok szkatuły.

- Torba oczywiście gratis - oświadczył i uśmiechnął się jowialnie.

Dwie godziny później Patryk i Karen znaleźli się w przytulnej, wyłożonej drewnem knajpce, przywodzącej na myśl angielskie puby z Soho. Łoża, w której usiedli, oddzielona była od reszty pomieszczenia stojakiem, w którym tkwiły rośliny o wielkich, błyszczących, pstrokatych liściach, a siedziska obite były ciemną imitacją skóry.

Na drewnianej ławie stała główna przyczyna spotkania - prawdziwa puszka Pandory, jak zaczął ją określać Patryk - szkatuła Arnimów.

Klimatyczne miejsce spotkania przy jednej z bardziej urokliwych uliczek starego Richmond wybrała Ann Clooney, dziennikarka „Richmond Times”, która zadzwoniła do Karen tuż po tym, jak oboje z Patrykiem, dzierżącym w rękach torbę z cennym nabytkiem, opuścili muzeum.

- Ostatnio widziałam ją pięć lat temu - powiedziała dziennikarka, przypatrując się z niekłamanym zachwytem szkatule. - Właściciel wypożyczył ją na wystawę historyczną w muzeum w Arlington.

Ann Clooney, bardzo uradowana tym, że Karen i Patryk zgodzili się z nią porozmawiać, po zadaniu kilku grzecznościowych pytań w rodzaju: czy dobrze się bawią w Stanach, czy to ich pierwsza wizyta i jak znajdują Richmond, przeszła w końcu do tematu, który najbardziej ją interesował.

- Rodzinna historia Lintonów ma bardzo wiele luk - powiedziała, gdy Karen streściła jej to, co usłyszeli od Henry'ego Lintona. - Przede wszystkim samo nazwisko von Arnim budzi wątpliwości. Pięć lat temu usiłowałam znaleźć cokolwiek na temat członków tej rodziny, którzy z początkiem dziewiętnastego wieku wyemigrowali z Niemiec. Arnimowie posługiwali się niemieckim von, sugerując, że Wilhelm i Josephine należeli do starej niemieckiej szlachty. Pisałam do Niemiec, do różnych stowarzyszeń genealogicznych, ba... nawet znalazłam kontakt do stowarzyszenia rodu von Arnim, i nikt nie potrafił mi niczego powiedzieć.

- To jednak dwieście lat - mruknął Patryk. - Pomorze trafiło do Polski, a podczas wojny wiele archiwów, bibliotek, prywatnych, rodzinnych zbiorów zostało bezpowrotnie zniszczonych.

- To prawda. - Ann Clooney pokiwała głową. - Ale zawsze trafia się na jakiś ślad. Von Arnimowie mają właściwie dość dobrze opracowane drzewa genealogiczne, ale niestety, nie udało mi się odnaleźć żadnego Wilhelma,

który wraz z Polką z Wielkopolski uciekł do Stanów.

- Może zmienili nazwisko? - odezwała się Karen, wciąż wpatrująca się w szkatułę. - Henry Linton opowiadał nam o prześladowaniach w Niemczech.

- Wątek wampiryczny to kolejny słaby punkt. Według wszelkiego prawdopodobieństwa stoi za nim wyłącznie pastor Archibald Linton. Ale zmiana nazwiska jest rzeczywiście bardzo prawdopodobna. Wielu przesiedleńców z Europy zaczynało w Ameryce nowe życie z nowym nazwiskiem.

- A te miejscowe legendy o jakichś dokumentach czy tajemnicach, które rzekomo znajdowały się kiedyś w szkatule?

- To najprawdopodobniej lokalny folklor. - Dziennikarka uśmiechnęła się pod nosem. - Nie przeczę, że doniesienia o otwieraniu grobów, o poszukiwaczach skarbów są prawdziwe, ale wydaje mi się, że to typowe legendy, które narodziły się już po tym, jak szkatuła opustoszała.

- A wiadomo, kiedy to się stało? - przerwała jej Karen.

- Archibald Linton ożenił się z Konstancją von Arnim około roku czterdziestego piątego. I niedługo potem szkatuła została przemianowana na podręczny kuferek łowcy wampirów. Zatem już wtedy musiała być pusta. Jest natomiast coś, co może świadczyć o tym, że zawartość szkatuły zniknęła dokładnie w roku dwudziestym dziewiątym.

Ann Clooney powiodła spojrzeniem po twarzach Karen i Patryka.

- Co takiego? - nie wytrzymała Karen.

- Inskrypcja - odpowiedziała dziennikarka z tajemniczym uśmiechem. - I to ona wiąże rzeczywiście szkatułę z ówczesnym gubernatorem Nowego Jorku.

- Nowego Jorku? - Karen popatrzyła ze zdziwieniem na Patryka. -

Myśmy zakładali, że chodzi o gubernatora Wirginii.

- Otóż właśnie. - Dziennikarka sięgnęła po szkatułę i przysunęła ją do siebie. - Osoba nowojorskiego gubernatora, jednego z ojców założycieli, którego podpis znajduje się na Deklaracji niepodległości, każe się raczej domyślać, że zawartością były jednak jakieś ważne papiery. Mogły to być listy albo tajne dokumenty. Możliwe, że Wilhelm lub nawet Josephine utrzymywali jakieś tajne konszachty z ówczesnymi najwyższymi władzami Nowego Jorku.

- Ale skąd ta teoria? - Karen przypominała sobie w tym momencie

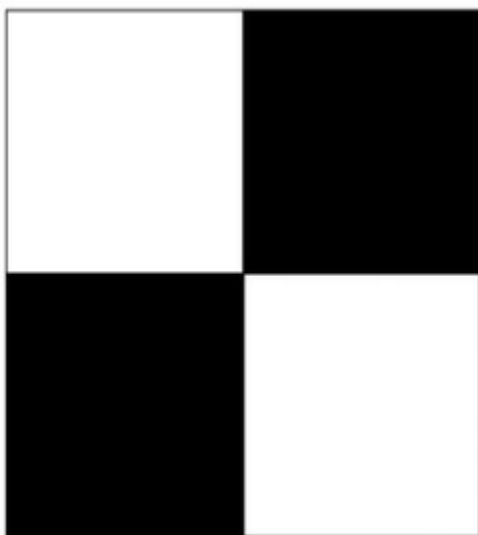
wątpliwości, które w tej dokładnie kwestii wyraziła historyczka z muzeum w Waszyngtonie. Nazwała je nawet bredniami w stylu Lyndona i spiskowymi teoriami na temat ojców założycieli.

Karen przyjrzała się dziennikarce pod innym kątem. Właściwie nie miała pojęcia o tym wszystkim, o czym rozmawiali. Nie miała jak tego zweryfikować. A ta kobieta mogła być przecież właśnie wyznawczynią owych spiskowych teorii dziejów, z których natrzęsała się historyczka z Waszyngtonu.

Ann Clooney tymczasem ostrożnie przesunęła palcami po pokrywie.

- Na samym środku, w tym miejscu - powiodła palcem wzdłuż wyrzeźbionego w pokrywie czworokąta - była kiedyś szachownica. Jeszcze teraz widać resztki masy perłowej. Pierwotnie wyglądała tak.

To powiedziawszy, sięgnęła do swojej torebki i wyjęła długopis i notatnik, a po chwili naszkicowała czarno-biały czworobok.



- To już wiemy - wtrąciła Karen, korzystając z okazji, gdy dziennikarka była zajęta rysowaniem. - Mówiła nam o tym ta kobieta z muzeum. Mówił także Henry Linton. Nawet pokazał nam stare fotografie, na których szachownica była lepiej widoczna.

- Tak. - Ann Clooney pokiwała głową. - Mówi się, że to mógł być symbol masoński. Tyle że wiąże się go zazwyczaj z Niemcami. Szkatuła powstała prawdopodobnie na początku osiemnastego wieku. Tymczasem spójrzcie...

Ostrożnie nacisnęła jeden z boków szachownicy i nagle mały

kwadracik odskoczył. Clooney podważyła paznokciem bok płytki i wyjęła ją delikatnie.

Karen i Patryk, zbici z tropu, prawie jednocześnie pochylili się nad stołem, zaglądając do środka niewielkiej skrytki.

- Szkatuła pierwotnie była puzderkiem na biżuterię jakiejś niemieckiej elegantki. Możliwe zresztą, że należała do rodziny Wilhelma. Ta skrytka nie jest niczym nadzwyczajnym w tym kontekście. Pewnie kryła ulubiony drobiazg albo liściki miłosne. Te puzderka tak właśnie budowano. Znacznie bardziej interesujące jest to, co znajduje się na spodzie tej płytki. - Podniosła szachownicę, odwróciła ją i położyła na stole. - Pochodził z Wirginii. Na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku był gubernatorem Nowego Jorku. Wcześniej - przewodniczącym Sądu Najwyższego. Zawsze był jednym z najzacieklejszych zwolenników niepodległości Stanów Zjednoczonych. Sygnatariusz Deklaracji niepodległości i oczywiście mason. Umarł na udar w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym. Nazywał się John Jay.

Karen, zafascynowana, wpatrywała się w drewnianą płytkę, na której ktoś blisko dwieście lat wcześniej wyłobił inskrypcję.

JOHN JAY
1829

Rozdział 5

*Dawno, dawno temu...
W królestwie Prus.*

Obiad podano w jednej z tych sal na parterze, w których pod ścianami rzędem stały zbroje, a na ścianach wisiały chorągwie, szable i rapiery pamiętające dawne wojny i krwawe zajazdy. W czasach, gdy zamek był warownią, a nie tak jak teraz, zbyt kowną myśliwską rezydencją, sala była komnatą komendanta, w której przyjmowano znamienitych gości, książęcych posłów lub trzęsących się ze strachu mieszczan z niedalekiego grodu, z którymi zakonnicy cały czas darli koty.

Komnata była wypełniona duchami dawnych jej użytkowników bądź ofiar, tak jakby z każdego kąta patrzył na siedzących przy stole jakiś skryba, zakonnik albo okuty w stal rycerz. Mimo słonecznego dnia panował tutaj półmrok, a żeby go rozproszyć, na długim, nakrytym białą serwetą stole paliły się wielkie kandelabry, których migoczące światło jeszcze bardziej podkreślało nastrój.

Gospodyni nie zeszła na obiad. Kamerdyner przeprosił wszystkich w jej imieniu, tłumacząc swoją panią nagłym osłabieniem wywołanym nadmiarem emocji.

Obiad toczył się zatem bez baronowej, a rozmowy siłą rzeczy ograniczały się do mającego się odbyć następnego dnia polowania, które to mocno ekscytowało panów, wymieniających się uwagami na temat terenów wokół zamku oraz przygotowanych dróg i przeszkód w okolicznych lasach. Panie skupiły się z kolei na balu, który miał być ukoronowaniem łowów, i oczywiście radośnie rozprawały o sukniach, kreacjach i dodatkach.

Wiktoria, siedząca przy końcu stołu i pogrążona w swoich myślach, nie brała udziału ani w jednej, ani w drugiej dyskusji, chociaż w obu niewątpliwie miałyby niejedno do powiedzenia. Ciągle miała przed oczami odjeżdżający sprzed zamku powóz młodego von Enckevorta i bardzo była z siebie niezadowolona, że pozbyć się tego obrazu z wyobraźni nie może.

No i jeszcze te bezczelne uwagi księcia.

Na samą myśl o jego aluzjach na temat małżeństwa, a właściwie jego bezcelowości robiło jej się wstyd. Głównie przed Elizą, którą przecież księciu właśnie swatano. Zastanawiała się akurat, czy nie powinna jej właściwie o tej rozmowie opowiedzieć, gdy zdała sobie sprawę, że wokół zapadła cisza.

Podniosła wzrok i napotkała wpatrzone w siebie spojrzenie kilku osób przy stole. Przede wszystkim zaś uprzejme, ale lekko już urażone córki pani Katariny von Walter, osobistej przyjaciółki pani domu.

Dziewczyna, widząc, że Wiktoria w końcu zareagowała, uśmiechnęła się i podniosła brwi z lekką ironią.

- Przepraszam, zamyśliłam się. - Wiktoria, w którą wpatrywali się teraz prawie wszyscy przy stole, poczuła, że się czerwieni. Na twarzach widziała dziwną mieszaninę ciekawości i konsternacji. O co ta młoda Anna von Walter ją zapytała?

- Pytałam, jak to jest być Polką - powtórzyła dziewczyna, jakby czytając w myślach Wiktorii. - I jednocześnie musieć siedzieć przy stole w naszym towarzystwie. Musi nas pani nienawidzić?

- Panna Wiktoria wcale nie musi siedzieć z nami przy stole - odezwał się niespodziewanie książę. - Ma wolną wolę i w każdej chwili może nas opuścić. Jak zresztą każdy.

- Ale przyzna pan, książę, że sytuacja panny Wiktorii jest nieco inna.

- Myślę, że ani panna Wiktoria, ani my, jak tutaj jesteśmy, nie mieliśmy wielkiego wpływu na decyzje możliwych tego świata - zakpił książę.

- Ale na grabież skarbcza wawelskiego na przykład już tak. To w końcu nasz król wydał taki rozkaz.

- Co też pani opowiada? - obruszył się jeden z goszczących u baronowej generałów. - Dwór już wielokrotnie dementował te kłamstwa!

- Jakoś nie zauważyłem, żeby nosiła pani żeliwną biżuterię^[6] - zakpił ponownie książę.

- Noszę wyłącznie rodzinne precjoza. - Anna von Walter uśmiechnęła się do księcia niewinnie i nad baterią srebrnych półmisków, porcelanowych waz i kryształowych kielichów przeniosła wzrok na Wiktorię. - Ale pani ciągle się nie wypowiedziała. A ja jestem po prostu ciekawa.

W jej spojrzeniu Wiktoria zauważyła jednak odrobinę złośliwości. Na

wargach dziewczyny błąkał się niepewny uśmieszek.

- Może mnie pani uznać za płocho, ale staram się nie myśleć na ten temat. - Wiktoria przywołała na twarz wyraz zakłopotania. - Nikomu nic z tego tytułu nie przybędzie, gdy ja akurat będę boleć nad nieszczęściami Rzeczypospolitej.

- I nie boli pani, że Prusacy zagarnęli polskie ziemie, zniszczyli wasze archiwa, zbiory, nawet skarbiec królewski?

- Jeszcze raz powiadam, że kradzież polskiego skarbcza to bezpodstawne oszczerstwa! - huknął generał. - Insynuacje rozpuszczane przez szpiegów rosyjskiego cara!

- Powtarzam tylko to, co można usłyszeć w Berlinie. - Anna von Walter wzruszyła ramionami. - Wiele się mówi o tej skandalicznej kradzieży. Także we Wrocławiu, gdy bywaliśmy u rodziny, sporo o tym słyszałam. Mam zaszczyt przyjaźnić się z Emmą von Anhalt-Bernburg z Hoyn, twoją kuzynką, panie. - Anna rzuciła przeciągłe spojrzenie księciu Adamowi. - I to od niej bardzo dużo na ten temat się dowiedziałam. Zdziwiłbyś się, książę, jakie twoja kuzynka ma rozeznanie.

- To może lepiej jednak, żeby pani tego nie powtarzała - odezwał się cicho książę. - Ujmę to może i pani przynieść.

- Moje niewinne pytanie wywołało tyle emocji. - Anna von Walter pokręciła głową z wystudiowanym strapieniem.

- Anno, może jednak zakończ już ten temat - odezwała się siedząca do tej pory cicho, jakby przestraszona śmiałością córki, Katarina von Walter.

- Ale mamom_ - Anna nie chciała się poddać. - Cóż złego jest w zadawaniu pytań?

- Niestosownych? - wtrąciła niewinnym tonem Eliza.

- Niestosowne jest to, że nasza biedna Wiktoria w wyniku tych wydarzeń musiała iść na służbę do obcej rodziny.

Wiktoria schyliła głowę. Teoretycznie ta Niemka stała po jej stronie. Mówienie w towarzystwie pruskiej arystokracji i generałów o tym, że to Prusy zagarnęły polskie ziemie, było chyba jakąś modną w Berlinie ekstrawagancją, manifestacyjnym okazywaniem współczucia ofiarom. Ale Wiktoria czuła, że dziewczyna wcale nie pała do niej sympatią.

- Wiktoria nie jest u nas na służbie! - odezwała się księżna Fryderyka, torpedując lodowatym spojrzeniem dziewczynę.

- Ależ nie miałam nic złego na myśli. - Anna von Walter spojrzała na Wiktorię z ujmującym uśmiechem. - Szanuję pracę ludzi niżej urodzonych. Polaków także.

- Bardzo mi pani schlebia. - Wiktoria uśmiechnęła się równie ujmująco. - Pomijając moje urodzenie, prawdopodobnie błahy jest dla pani fakt, że moja rodzina z Litwy się wywodzi.

- A czy to jest jakaś różnica? - Dziewczyna patrzyła na Wiktorię z autentycznym zdziwieniem.

- Mniej więcej taka, jakbym panią nazwała Austriaczką.

- Nie dotknęłoby mnie to specjalnie.

- Toteż ja także specjalnie dotknięta nie jestem.

Przez moment mierzyły się wzrokiem.

- Co za czasy nastały, że niewiasty przy stole na temat polityki prawią - odezwał się basowym głosem brat księżnej Fryderyki.

- Kogo jak kogo, ale ciebie, Auguście, o przywiązanie do konwenansów bym nie podejrzewała - mruknęła cicho księżna.

Wiktoria spojrzała dyskretnie na młodziutką towarzyszkę księcia. Burzliwej rozmowie przysłuchiwała się w milczeniu, spokojnie jedząc krem z borowików. Po słowach księżnej zaczerwieniła się, ale może tylko tak się wydawało. Lichtarze rzucały migotliwe światło na twarze wszystkich przy stole.

Księżna skinęła ręką do jednego z lokajów, który natychmiast odsunął jej krzesło.

- Bardzo dziękuję za wspólny posiłek. Ta ekscytująca i nowoczesna rozmowa na temat polityki nieco mnie zmęczyła. - Rzuciła wymowne spojrzenie w kierunku Anny. - Jeśli państwo pozwolicie, to udam się na odpoczynek.

Po swoim debiucie towarzyskim na dworze baronowej Henrietty, jak całe zajście z właściwym sobie wisielczym poczuciem humoru określiła Eliza, Wiktoria postanowiła kolację sobie darować.

- Jesteś pewna, moja droga? - Eliza obrzuciła ją współczującym spojrzeniem. - Nie powinnaś się przejmować tym, co mówiła ta młoda Walterówna. Zwłaszcza na temat urodzenia.

- Po prostu nie jestem głodna. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chętnie zostanę w pokoju z książką.

- Jak uważasz, kochana.

Wiktoria odprowadziła Elizę na parter, a sama udała się do swojego pokoju. Przez blisko półtorej godziny rozkoszowała się świętym spokojem i tym, że nie niepokojona może się poświęcić książce, co zazwyczaj tylko przed snem, późnym wieczorem, się zdarzało. Nagle poczuła pragnienie. Przez jakiś czas usiłowała je lekceważyć. Wybiła chyba dziewiąta, kiedy pomyślała w końcu, że zejdzie na dół do kuchni i poprosi kuchenną o szklanek wody lub mleka.

Zeszła bocznymi schodami na dół i znalazła się w sieni, z której wejście prowadziło do kuchni, przez dużą izbę wykorzystywaną przez służbę na swoją jadalnię. Tutaj także ochmistrzyni wydawała wszystkim poranne instrukcje.

Problem był w tym, że z sali dochodziły głosy i śmiechy. Wiktoria pomyślała, że widać trafiła akurat na chwilę odpoczynku służby lub też na późną kolację i postanowiła ich nie niepokoić. Zawróciła i miała zamiar wejść na schody, gdy usłyszała, jak jakaś dziewczyna afektowanym głosem mówi coś o duchach.

Wiktoria, zaintrygowana, przystanąła i nadstawiła uszu.

- Jeszcze babka mi opowiadała, że za jej czasów widywano na wieży zjawę. Pojawiała się zawsze w trzecią środę miesiąca. A przecie dokładnie w ten dzień stara Kranicha z wieży spadła.

- Takie bajdy to w każdym zamku można usłyszeć - odezwał się lekceważąco jakiś młody służący.

Wiktoria rozpoznała głos Haralda, stangreta księżnej Fryderyki, i uprzytomniła sobie, że w gościnę wszyscy przyjechali z własną, liczną służbą. Zatem było to także wielkie wydarzenie dla miejscowych. Tyle nowych, intrygujących znajomości.

- Ale nie tyle, co tutaj - upierała się dziewczyna. - Na tym dziedzińcu płonęły stosy. Ostatnia czarownica tylko, Ursula Klatt jej było, od stosu się uratowała, bo Szalony Fryderyk był przeciwnikiem tych praktyk.

- Ale jego ojciec, margrabia Filip, to był okrutnik i kanalia - odezwał się przyciszony głos jakiegoś starszego mężczyzny. - Własnoręcznie kilka wyroków na te biedaczki zatwierdził. A stosy to sama prawda. Tutaj na środku ustawiano. A Kranicha to na powrozie lnianym była z wieży spuszczana.

- Co ty bajdurzysz, stary. - Wiktoria rozpoznała głos kucharki. - Toć nawet ty tego pamiętać nie możesz.

W izbie rozległy się głośnie śmiechy.

- Na powrozie, powiadam. Jakby nie spadła, to dowód miał być to na konszachty z diabłem. A niedługo potem na tortury wzięli męża tej biedaczki. Na żelaznym krześle go męczyli, ale się nie przyznał. No i spalili go.

Przez chwilę Wiktoria słyszała stukanie łyżek i kielichów.

- A ja wam o upiorach opowiem - odezwał się nagle kolejny młody głos. - W dawnych czasach, jeszcze jak Gryfici tu panowali, żołdaki z drużyny zamkowej porywali dziewczki z okolicznych wsi i miast. I kiedyś jedną z nich na śmierć zamęczyli.

Wiktoria usłyszała rubaszne śmiechy, a niedługo potem głośny trzask ścierki.

- No i się zebrali kmiotkowie, na zamek wpadli i wszystkich wyrznęli w pień. - Młody głos kontynuował swoją opowieść pośród śmiechów. - A komturowi to łeb ucięli. No i do dziś jeszcze, a sam żem widział, można spotkać wokół zamku jeźdźca bez głowy, jak między drzewami.

- Ty żeś widział, baranie! - Kompan młodego służącego się roześmiał.

- Jak Boga kocham, żem widział! Tam, jak się mokradła zaczynają!

- Głupiś! Pewnie po nocy któryś z panów z karczmy wracał.

- Bez głowy, jełopie?

- Bez głowy to oni zawsze stamtąd wracają. I bez sakiewek.

Izbę znowu wypełniły głośnie śmiechy, a po chwili przedarł się kolejny głos. Wiktoria poznała Haralda. Przypomniała sobie, że stangret mówił, że pochodzi z Pomorza.

- A jak o upiorach mowa, to ja wam powiem. - Chłopak stukał chyba kielichem, żeby uciszyć towarzystwo w izbie. - I to nie w dawnych czasach się działo, a teraz, za życia naszego.

W kuchni zrobiło się ciszej.

- Z dziesięć років może nazad, w Dertzow to się wydarzyło. W nocy, w czasie pełni, burza straszliwa przyszła. Połamało drzewa na cmentarzu, pioruny waliły w ziemię. Spaliło się kilka chat. I wtedy to deszcz podmył kaplicę w parku landlordów, a z niej trumny wymyło. Jeszcze mi ojciec powiadał, że rankiem kości i trupy w błocie się walały. No i wtedy właśnie to zobaczyli.

Wiktoria, która sama nadstawiła uszu, usłyszała, że woźnica dla dramaturgii przerwał i sięgnął najwyraźniej po swój kielich.

- Co zobaczyli? No mówże!

- A że jeden z trupów miał nogi splecione powrozem, a głowę odciętą i luzem do trumny wrzuconą.

- Chryste! - Młoda dziewczyna była przerażona. - Wampir?

- Mówiono potem, że to była pierwsza żona dziedzica, która w połogu umarła. Georgina jej było.

- Brednie! - krzyknął głośno ten sam stary sługa, który wcześniej o czarownicach opowiadał. - Te plotki rozpuścił Żyd z Landsbergu, któremu Karl von Enckevort za zapasy do kuchni nie zapłacił, bo stęchłe się okazały!

- Ja tam nie wiem. Powtarzam, co żem sam słyszał. Do dzisiaj się gada.

- Harald ściszył głos.

- Głupoty opowiadasz, Haraldzie! - przerwała mu kucharka. - Niech żadna nie waży się o tym pleść w czasie jutrzejszego polowania! A tym bardziej na balu! - zwróciła się najwyraźniej do kuchennych. - Bo awantura z tego może być straszliwa! Panowie z Dertzow będą wszak u nas jutro gościć. Nie chcę tu żadnych kłopotów!

W izbie przy kuchni rozległ się dźwięk szurania butami i odsuwania krzeseł.

Wiktoria z ręką na poręczu na moment zamarła, a potem szybko, starając się zrobić to jak najciszej, ruszyła po schodach na górę.

Po rewelacjach, które przed chwilą usłyszała, odechciało jej się nawet pić. Już nie mogła się doczekać, aż opowie o wszystkim Elizie. Chyba pytia ją natchnęła w tym lesie na widok Brunona von Enckevorta, że tak od razu o wampirach pomyślała.

Niepodobna.

Następny dzień jednak, już od wczesnych godzin rannych, rozpoczął się rejdachem. Przygotowania do polowania i rautu spowodowały, że służba biegała po zamku i wokół niego, usiłując dotrzymać kroku ochmistrzyni, która gromkimi okrzykami wydawała rozkazy, kierując swoimi podwładnymi niczym generał na polu bitwy.

Na bardzo wczesnym śniadaniu ani Eliza, ani Wiktoria się nie pojawiły. Niegustująca w polowaniach Eliza zażądała śniadania do pokoju, a Wiktoria oczywiście dotrzymała jej towarzystwa.

Wokół księżniczki cały czas uwijały się pokojowa oraz jej pomocnice

szykujące dla niej stroje na raut, który miał się odbyć w trakcie polowania - w końcu kobiety też musiały mieć jakąś rozrywkę - oraz na herbatę na koniec łowów. Wiktoria zatem nie miała możliwości, żeby porozmawiać z przyjaciółką, a i sama Eliza wydawała się zdenerwowana, co Wiktoria kładła na karb matrymonialnych oczekiwań księżnej.

Na śniadaniu pojawili się natomiast wszyscy mężczyźni oraz sporo gości, którzy wczesnym rankiem przybyli do zamku wraz z towarzyszącymi im luzakami, służbą i dodatkowymi końmi. Na wielkiej polanie nieopodal podzamcza, gdzie miał się odbyć raut, służba ustawiała już stoły i parasole, a kuchenne znosiły tace, naczynia i szkło.

Zbiórkę przed polowaniem tradycyjnie urządzano na wielkim podwórku na podzamczu. Tutaj gromadziły się wszystkie konie, dojeżdżacze trzymali w ryzach sfory psów, a panie z parasolkami nad głową zebrane na łące tuż obok oczekiwały, aż huntsman zadmie w róg i cała czereda wyruszy na łowy.

Na plac zjeżdżali powoli uczestnicy z najbliższego sąsiedztwa, którzy nie musieli zabierać ze sobą koni na wymianę ani służby, a przez główną bramę wtaczały się powozy ich rodzin, które w oczekiwaniu na koniec łowów miały się bawić na urządzonym przez baronową pikniku pod zamkiem.

I na szczęście wciąż była piękna pogoda.

Wiktoria upewniła się, że nie będzie potrzebna Elizie, wciąż zaabsorbowanej negocjacjami z matką i jej Kammerfrau^[7], po czym wymknęła się z zamku bocznym wejściem i przez ogród, a potem mostem nad kanałem dostała się na podzamcze i ruszyła w kierunku wyjścia na łąki nad jeziorem.

Pogoda była taka piękna, że chciała wyrwać dla siebie trochę wolnego czasu. Wiedziała, że gdy wrócą do Berlina, powoli nadejdzie jesień, deszcze i smętne, szare dni, więc chciała na zapas nacieszyć się słońcem i zielenią.

Przeszła ścieżką nad brzegiem jeziora i udała się w kierunku lasu. Była w połowie drogi, gdy zobaczyła przed sobą jadącego w jej kierunku jeźdźca. Najwyraźniej śpieszył na polowanie. Ubrany zgodnie z angielską modą, w czerwony rajtrok, białą kamizelkę i białe pantalone. Kiedy podjechał bliżej, zobaczyła jasne włosy.

W pierwszej chwili pomyślała tylko o tym, żeby gdzieś się ukryć. Na polnej dróżce, wzdłuż której rosły wprawdzie rosochate wierzby, mało było ku temu możliwości. Mogła się schować za którymś z pni, ale pewnie by ją dostrzegł i tylko głupio by to wyszło. Jeszcze musiałaby wymyślać dziwactwa, czemu to nagle za drzewo skoczyła.

Rada nierada, postanowiła zatem stawić czoła hrabiemu.

A Bruno von Enckevort, gdy tylko ją zobaczył, zwolnił do stępu i wreszcie się zatrzymał na polnej drodze, spoglądając na Wiktorię z uśmiechem z wysokości swojego wielkiego czarnego konia.

Wiktoria przemknęła zachwyconym wzrokiem po karym rumaku. A więc to był ten Belial, obiekt pożądania młodszych braci hrabiego.

- Znowu się spotykamy. - Bruno uklonił się nieco przesadnie dwornie. - Panna Wiktoria, o ile pamiętam?

- Zadziwiająca pamięć, zważywszy, że nas sobie nie przedstawiono.

Wiktoria zganiła siebie w duchu, że mogła to być zbyt wyzywająca uwaga i tylko zdradzała niepotrzebnie jej brak obojętności wobec tego mężczyzny. Brak obojętności? Boże, naprawdę tak to nazwała? Co się z nią dzieje?

Bruno pokazał radośnie zęby w szerokim uśmiechu.

- Miałem przyjemność porozmawiać wczoraj z księżną Fryderyką - wytłumaczył. - Oczywiście od razu zapytałem, kim były jej dwie czarujące towarzyszki.

Wiktorii przemknęło przez myśl, że musiał w takim razie rozmawiać z księżną w czasie tej swojej wizyty, kiedy to taki wzburzony wybiegł z zamku. Ale to chyba nie księżna go tak zdenerwowała? Tak czy siak, pomyślała, że w tym momencie nie może już udawać sama przed sobą intrygującej nieznajomej, spotkanej na drodze w lesie.

W oczach tego jasnowłosego dziedzica pewnie wielkich włości jest nie dość, że zwykłą dwórką, to jeszcze Polką.

Jak książę o nim powiedział? Że to birbant. I że to byłby wielki błąd...

- No więc już pan wie, że nie jestem nikim ważnym - odpowiedziała, zanim zdołała pomyśleć.

Bruno obrzucił ją taksującym spojrzeniem. A raczej to ona za takie je uznała.

- Ale i tak mam wielką nadzieję, że zobaczymy się dzisiaj jeszcze, po polowaniu. - Ściągnął wodze i poklepał konia, który zaczął się już

niecierpliwie nieoczekiwanym przestojem. - Bardzo miło było z panią porozmawiać. Muszę się jednak śpieszyć, bo wyjadą beze mnie. - Uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że zobaczymy się po polowaniu.

To mówiąc, ukłonił się, a Belial od razu ruszył do przodu.

Po kilku krokach jednak niespodziewanie zahamował, a Bruno się odwrócił.

Wiktoria, która miała właśnie ruszyć dalej, spojrzała na niego zaskoczona.

- Zapomniałbym o najważniejszym. - Hrabia pokręcił głową, jakby dziwiąc się własnej niefrasobliwości. - Chciałbym prosić, żeby obiecała mi pani taniec na jutrzejszym balu. Albo najlepiej dwa!

Wiktoria, zaskoczona, uśmiechnęła się niepewnie. Nawet nie rozważała jeszcze, czy w ogóle weźmie udział w balu.

- Jeśli obowiązki pozwolą mi tam być... - zaczęła ostrożnie - to z przyjemnością.

Bruno uśmiechnął się szeroko, szturchnął konia i ruszył galopem w kierunku ukrytych w zieleni zabudowań podzamcza.

- Ależ oczywiście, że idziesz na bal, moja droga! - Eliza pokręciła głową z dezaprobatą, podnosząc z trawy lotkę. - Ja zawsze myślałam, że ty nie przepadasz za tańcem, ale w tej sytuacji po prostu musisz. - Zawiesiła głos i popatrzyła na Wiktorie wymownie.

Ze spaceru Wiktoria wróciła wprost na polanę pod zamkiem, na której trwał już w najlepsze piknik. Mimo że Eliza nie miała do niej żadnych pretensji, to księżna obrzuciła ją karcącym spojrzeniem. No tak, dwórka jej córki zostawiła ją na pastwę losu samą wśród innych dam, przyjezdnych z pobliskiego miasteczka, a - o zgrozo - nawet dzierżawców, których baronowa zaprosiła na loterię i gry zespołowe. To była z jej strony jednak niesubordynacja.

- Nie ma żadnej sytuacji. - Wiktoria się wychyliła i odbiła lotkę. - Po prostu nieopatrznie zgodziłam się z nim zatańczyć. Hrabia mnie po prostu zaskoczył.

- Jak na wampira przystało.

Obie się roześmiały, a lotka upadła ponownie w trawę.

- Za dobre to my w tego volanta^[8] nie jesteśmy. - Wiktoria uderzyła

paletką o swoją suknię. - Ale właśnie, skoro wspomniałaś o wampirach, to usłyszałam wczoraj coś niebywałego.

Zaciekawiona Eliza podeszła bliżej, ale w tym samym momencie podbiegła do nich nagle grupka dzieci.

Wiktoria od razu rozpoznała wśród nich Aleksandra. Chłopiec patrzył na nią zachwyconym wzrokiem.

- Panno Wiktorio, to są moje siostry. - Wskazał na dwie młodsze od siebie dziewczynki. - Weronika i Juliana. Bardzo chciały panią poznać.

Wiktoria spojrzała na chłopca zaniepokojona i ledwie zauważalnie uniosła brwi.

- Powiedziałem im, że jest pani najmiłszą i najurodziwszą panią w zamku. - Chłopiec się zaczerwienił. - To od razu zechciały panią zobaczyć.

Eliza schowała twarz za wachlarzem, zza którego widać było jedynie jej rozbawione oczy, którymi wpatrywała się z lekkim niedowierzaniem w Wiktoria.

Obie dziewczynki dygnęły i przywitały się z Wiktoria, a tuż potem z Eliza. Jedna z nich trzymała wiązki polnych kwiatów, a druga woreczek, w którym pobrzękiwały kolorowe kamienie.

- A nasz brat Eugen pojechał na polowanie - pochwaliła się dziewczynka z kwiatami, nazwana Juliana. - Ale Bruno był zły, bo musi go teraz pilnować. A Aleks jest za mały, dlatego nie pojechał.

Chłopiec zmarszczył nos i szturchnął siostrzyczkę.

Eliza parsknęła śmiechem, po czym zasłoniła się ponownie wachlarzem.

- A ja zbieram kolorowe kamyki - pochwaliła się druga z dziewczynek, podnosząc woreczek, w którym widać było garstkę niewielkich polnych otoczków. - Czy to prawda, że pani jest prawdziwą księżniczką? - zwróciła się do Elizy.

- Tak, kochanie, najprawdziwszą. - Eliza złożyła wachlarz i uśmiechnęła się do dziewczynki.

- A pozwoli nam pani obejrzeć zamek? Bruno nam mówił, że jest tam wypchany niedźwiedź.

Eliza rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Wiktorii.

- Ciocia Henrietta nie będzie miała chyba nic przeciwko temu. - Mrugnęła do niej. - Oczywiście, kochanie, że możecie - zwróciła się do

Weroniki. - Tylko bądźcie ostrożni i nie zróbcie sobie gdzieś krzywdy. Jest tam sporo starej broni, lepiej się do niej nie zbliżajcie.

- Ale do niedźwiedzia możemy? - upewnił się Aleksander.

- Do niedźwiedzia możecie. - Eliza ponownie zasłoniła się wachlarzem, żeby nie urazić chłopca tym, że krztusi się ze śmiechu.

- Dziękujemy. - Weronika dygnęła i obie z siostrą pobiegły w podskokach w kierunku mostu, za którym na tle zieleni wznosił się zamek.

Aleksander uklonił się elegancko obu paniom i pognał w ślad za siostrami.

- Nie wiem, jak wygląda sytuacja z jego starszym bratem, ale niewątpliwie serce Aleksandra zdobyłaś na amen. - Eliza roześmiała się otwarcie, widząc zaambarasowaną minę przyjaciółki. - Zobacz, jak to niewiele potrzeba. Wystarczy, że lepiej od nich jeździsz konno.

Wiktoria uśmiechnęła się ironicznie.

- Obawiam się, że powyżej piętnastego roku życia to może zadziałać wprost przeciwnie.

Chciała właśnie wrócić do przerwane go tematu, gdy z podzamcza dobiegły ich głośne krzyki i śmiechy, a po chwili na dziedziniec wpadło kilku jeźdźców w czerwonych i czarnych rajtrokach.

- Tak wcześnie? - Eliza spojrzała ze zdumieniem na Wiktorię. - Nie ma jeszcze szesnastej, a przecież skończyć mieli przed zmrokiem.

- Pewnie jakiś koń okulał. - Wiktoria wzruszyła ramionami. - Widziałam, że fornale w lesie porozstawiali całkiem spore przeszkody.

Podwórzec podzamcza oddzielony był od łąki, na której odbywał się piknik, niskim kamiennym murem. I to tam zaczęły się gromadzić wypatrujące uczestników polowania grupki pań z parasolkami, między którymi biegały, machając i krzycząc radośnie, czeredy dzieciaków.

Jeden z jeźdźców oddzielił się nagle od pozostałych trzech towarzyszy i ruszył w kierunku ogrodzenia. Koń przeskoczył mur, wzbudzając entuzjazm wśród publiki, która zaczęła bić brawo śmiałkowi.

Mężczyzna uklonił się paniom przy murze i zgrabnie omijając parasole i grupy grających w volanta lub siedzących na kocach na trawie osób, podjechał do przypatrujących mu się z oddali Elizy i Wiktorii. Jeździec ściągnął wodze i koń wolnym kłusem okrążył kobiety.

- Książę. - Eliza skinęła uprzejmie głową mężczyźnie. - Efektowne zakończenie polowania. - Zasłoniła się dłonią od słońca. - Ale chyba

troszkę za wcześnie, czy nie mam racji?

- Koń rotmistrza von Borcka okulał. Pan rotmistrz zdecydował się zakończyć polowanie, postanowiłem mu towarzyszyć w drodze powrotnej do zamku.

- Bardzo szlachetnie, biorąc pod uwagę wiek pana rotmistrza. - Eliza skinęła głową z uznaniem. - Ale dobrze się składa, że pan jest, księżę. Proszę pomóc mi nakłonić Wiktorię do udziału w jutrzejszym balu.

- Oczywiście. - Księżę uśmiechnął się do Elizy i spojrzał na Wiktorię. - Nalegam. Ponadto nie może pani nie przyjść, gdyż wtedy nie mógłbym z panią zatańczyć.

- No teraz, moja droga, nie masz już wyjścia. - Eliza stuknęła wachlarzem. - Skoro drugi już kawaler poprosił o taniec.

- A kim był pierwszy? - zapytał księżę i popatrzył na Wiktorię z malującym się na twarzy rozbawieniem, wymieszanym z ledwie dostrzegalną ironią.

Wiktoriana, doskonale tę ironię wyczuwająca, rzuciła księciu spojrzenie, w którym nie udało jej się ukryć irytacji.

- Hrabia von Enckevort - odpowiedziała za Wiktorię Eliza, nieświadoma dwuznacznych niedopowiedzeń między księciem a jej przyjaciółką.

- Karl von Enckevort? Niemożliwe! - Księżę otworzył szeroko oczy z udawanym zdumieniem. - Hrabia ma jeszcze ochotę na tańce?

- No skądże. - Eliza się roześmiała. - Jego najstarszy syn Bruno.

- No proszę... - Księżę posłał Elizie spojrzenie pełne niedowierzania, a Wiktoriana, całkowicie wbrew sobie, oblała się rumieńcem. - W miarę możliwości należy unikać błędów. To byłby zatem błąd nie do naprawienia, gdyby panna Wiktoriana opuściła jutrzejszy bal.

Wiktoriana, chociaż aluzje i złośliwości księcia ją irytowały, postanowiła nie dać się sprowokować i uśmiechnęła się niewinnie.

- W takim razie rzeczywiście chyba się nad tym zastanowię. Nie mogłabym wszak stracić takiego zaszczytu. Tańca z panem, księżę.

Księżę roześmiał się głośno, wzbudzając zainteresowanie grupki osób siedzących przy stolikach pod największym namiotem na polanie. Była wśród nich także baronowa Henrietta, która na moment odwróciła się w kierunku rozmawiającej trójki.

Wiktoriana przez chwilę wydawało się, że w jej spojrzeniu dostrzegła cień

dezaprobaty. Czyżby baronowa nie była zadowolona z jej spoufalania się z wyższymi sobie?

Sama swój status zawdzięczała skandalowi i nieprzejeźdanemu stanowisku nieżyjącego męża. Czy możliwe, że byłaby aż taką hipokrytką?

Wiktoria nie miała jeszcze możliwości porozmawiania z gospodynią. Właściwie tylko przy powitaniu i podczas śniadania zamieniła z nią dwa, trzy słowa, nie potrafiła jej więc sprawiedliwie ocenić.

Księżę rozmawiał jeszcze przez chwilę z Elizą, po czym przeprosił, oznajmił, że musi się odświeżyć po polowaniu, i odjechał w kierunku zamku.

- Widzę, że księżę de Montbeliard zrobił na tobie bardzo dobre wrażenie - odezwała się niespodziewanie za plecami Wiktorii i Elizy księżna Fryderyka. - Bardzo się cieszę.

Eliza odwróciła się zaskoczona i posłała matce zniecierpliwione spojrzenie.

- Doprawdy nie ma najmniejszego powodu, żeby się cieszyć - powiedziała ze znużeniem. - To znaczy, oczywiście jest. Mimo końca września jest piękna pogoda. Pan nam zesłał kolejny cudowny dzień.

- Twoje złośliwości, córeczko, są zupełnie daremne. - Księżna pokręciła głową, uśmiechając się protekcyjnie. - Nie bądź dziecinna i przyznaj, że Adam de Montbeliard to doskonała partia.

- To niewątpliwie. Patrzy na niego łakomie cały szwadron matek mających córki na wydaniu.

- Dziecko, po kim ty masz to sarkastyczne poczucie humoru?

- Mamy wprowadzić panteon dziwaków w drzewie genealogicznym, ale w moim przypadku to po prostu inteligencja.

Wiktoria odwróciła głowę, żeby ukryć uśmiech, a księżna Fryderyka głęboko westchnęła.

- Zgłosiłam was do poprowadzenia loterii fantowej na zbożny cel. Wprowadzić twoja inteligencja tam się specjalnie nie przyda, córeczko, ale przynajmniej potrzebujący na tym zyskają. Chodźcie ze mną.

Eliza wzniosła oczy ku niebu, wymieniła się porozumiewawczym spojrzeniem z Wiktoria i ruszyła za matką w kierunku białego namiotu, pod którym zgromadziło się już sporo dam.

Zabawy na pikniku dopiero zaczęły się rozkręcać. Na dziedzińcu pod

stajniami zjeżdżało z wolna coraz więcej jeźdźców, a w końcu wpadła tam cała czereda roześmianych i przekrzykujących się luzaków i pomocników, a wraz z nimi sfory głośno ujadających psów. Polowanie z wolna dobiegało końca. Pod kolorowymi baldachimami czekały na wszystkich stoły z jedzeniem i piciem, a po wielkim, szafirowym trawniku przechadzały się pogrążone w plotkach i żartach grupki. Zaproszeni goście spacerowali po parku i ogrodach wokół zamku, a dwóch specjalnie oddelegowanych do tego celu lokajów wprowadzało chętnych na wieżę, skąd mogli podziwiać okolicę.

A stara, średniowieczna wieża, pamiętająca krwawe wojny, zajazdy, okutych w zbroje rycerzy, mnichów i spętanych więźniów, których wrzucano do jej lochów, wznosiła się nad zieloną płaszczyzną trawników, plamami kwiatów i koronami drzew niczym niemy świadek setek lat mrocznych występków i zbrodni, które się tutaj rozegrały.

Była także niemym świadkiem wydarzeń, które działy się teraz.

Bała się. To był głupi pomysł. Ten zamek był pełen zakamarków i ciemnych miejsc, z których, jak jej się ciągle wydawało, ktoś na nią patrzył. I te wszystkie wypchane zwierzęta i dziesiątki poroży z czaszkami ustrzelonych jeleni i łosi. Ale najgorsze były obrazy. Tak stare, że z tej starości pociemniałe. Jacyś nieznani ludzie, kobiety w długich czarnych sukniach, mężczyźni w zbrojach albo dziwnych krótkich portkach ukryci w mroku wieloletnich nawarstwień, zanieczyszczeń, sadzy z kominków. Dawno zmarli, przerażający, schowani w ciemności, z której widać było tylko ich oczy.

Wzdrygnęła się. Trzęsła się i miała wrażenie, że stara szafa, w której się ukryła, zacznie zaraz od tego jej trzęsienia skrzypieć.

W wąskiej szparze niedomkniętych drzwi widziała fragment drewnianej podłogi, kawałek wielkiego łóża z baldachimem i kolejny koszmarne obraz, który nad nim wisiał.

A teraz nad tym łóżem pochylał się ten mężczyzna. Właściwie nie robił nic złego, ale intuicyjnie wyczuła, że nie zachowuje się normalnie. Tak jakby sam się czegoś bał. No i to, co zrobił. Była przekonana, że na pewno nie chciałby, żeby to widziała.

Gdy zaskrzypiała podłoga na korytarzu przed drzwiami, była już w tej szafie. Przez chwilę myślała, że wszystko to część zabawy, dopóki go nie

zobaczyła. Najpierw usłyszała klucz w zamku. Mężczyzna wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Usłyszała wyraźnie, jak ponownie przekręcił klucz i zaraz potem zatrzeszczała klamka, jakby sprawdzał, czy na pewno są zamknięte. Później ominął łożo i zniknął na chwilę za nim. Słyszała jakieś stuki i skrzypienie, a niebawem mężczyzna wyniósł jakieś zawiniątko i położył na łożu. Nie widziała dokładnie, co to jest, zasłaniał widok swoją sylwetką, ale była pewna, że nie powinna tego widzieć, a gdyby dowiedział się, że to zobaczyła, stałoby się coś straszego.

Mężczyzna wyjął coś z tego tobołka albo tylko sprawdzał, czy nadal tam jest. Widziała, jak wziął zawiniątko, ponownie zniknął z pola widzenia, znowu rozległo się dziwne skrzypienie i po chwili stanął na środku pokoju.

Wystarczyłoby, żeby spojrzeć w kierunku szafy, a mógłby ją dostrzec. Jak się trzęsie ze strachu. Tych kilka sekund, w których stał nieruchomo, jakby nad czymś się zastanawiając, ciągnęło się w nieskończoność, a ona przestała oddychać.

Ale błogosławione są chwile, które nie nadeszły.

Mężczyzna ruszył, a niedługo potem usłyszała, jak trzasnęły drzwi i znowu zachrobotał zamek.

Siedziała skulona jeszcze przez moment, zanim zdecydowała się wydostać z szafy. Mimo że nadal biło jej serce i truchlała na myśl, że mężczyzna może wrócić, wygrała ciekawość.

Skoczyła za łożo z baldachimem i rzuciła się na kolana.

Pod łożem były tylko niewielkie kłębki kurzu, ale za to zaskrzypiała podłoga. Stare dębowe deski miały do tego pełne prawo, ale przecież słyszała, co się działo wcześniej - cichy stuk i skrzypienie, a to nie były deski podłogi. I wtedy zobaczyła cieniutką szparkę w listwie przypodłogowej. Wsadziła tam palce i pociągnęła. Listwa odskoczyła, odsłaniając wnękę, która wyglądała jak większa mysia dziura.

A wewnątrz leżało to coś. Zawinięte w lnianą szmatkę.

Sięgnęła po nią i z bijącym sercem zaczęła odsupływać ukryty wewnątrz przedmiot.

Rozdział 6

*Charleston,
Karolina Południowa*

Toyota zamrugała kierunkowskazem i zjechała na prawy pas, opadający łagodnym łukiem w kierunku jakichś zabudowań.

- To zjazd na Florens. - Karen podniosła wzrok znad tabletu. - Czemu nie trzymasz się dziewięćdziesiątki piątki?

- Tak będzie krócej. - Patryk, wciąż jeszcze zły, że musiał wstać skoro świt bez mała, wzruszył ramionami. - A poza tym to ty chciałaś zwiedzać amerykańską prowincję. To teraz będziemy oglądać krajobrazy rolne i jechać razem z hodowcami bydła. - Skinął głową w kierunku jadącego przed nimi trucka z naczepą, w której najwyraźniej tkwiły jakieś nieszczęsne zwierzęta.

- Złośliwiec. - Karen westchnęła z rezygnacją. - Naprawdę nie cieszysz się, że zobaczymy Charleston? Przecież to legendarne miasto. Praktycznie to tutaj rozpoczęła się wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych. I tutaj walczył Kazimierz Pułaski.

- Przeczytałaś to w Wikipedii - mruknął Patryk, nie odrywając wzroku od szosy. - Zaraz pewnie usłyszysz o huraganie Hugo.

- O czym? - Karen rzuciła chłopakowi zdziwione spojrzenie, po czym pochyliła się nad tabletem. - A, faktycznie! W osiemdziesiątym dziewiątym miasto zniszczył cyklon. Dziesiątki historycznych domów zostało zrujnowanych, a sporo ulic znalazło się pod wodą - przeczytała.

- Ty mi tu nie mydl oczu cyklonem i ulicami pod wodą. - Patryk popatrzył na Karen spode łba. - Tylko powiedz, o czym ty zamierzasz rozmawiać z tą staruszką. Jak my w ogóle wytłumaczymy to najście? Że niby kim my jesteśmy?

- A musimy cokolwiek tłumaczyć? - Karen parsknęła. - Odwiedzamy po prostu panią Linton. Słyszałeś, co powiedział jej syn? Że ona bardzo

chętnie przyjmuje gości.

- Gości, a nie natrętów, którzy będą jej zawracać głowę jakimś starym pudłem wydobytym z odmetów rodzinnej przeszłości. Nie mogę uwierzyć, że jedziemy taki kawał, żeby zapytać o wydrapane durnowate brednie - parsknął Patryk. - John Jay! Tysiąc osiemset dwadzieścia dziewięć. To przecież data jego śmierci. Może ten cały pomyłony pastor to wydrapał i cała tajemnica. Albo któraś z Lintonówien miała z nim romans.

- I dlatego wydrapała datę jego śmierci? - zakpiła Karen.

- Równie głupie założenie jak to, że kryje się za tym masońska tajemnica.

- Patryk! - Karen przysunęła się do chłopaka i położyła mu głowę na ramieniu. - Już skończ to marudzenie. Jedziemy na wspaniałą wycieczkę po najpiękniejszych regionach Stanów. Nawet nie wyobrażałam sobie, że zobaczymy takie fajne, historyczne miejsca. Cała ta szkatułowa tajemnica to dla mnie tylko pretekst.

- Teraz tak mówisz - mruknął nieco już udobruchany Patryk. Nie chciał się jeszcze do tego przyznać. - A potem znowu będziemy po nocach jeździć po lesie.

Samochód dojechał do skrzyżowania z szosą numer pięćdziesiąt dwa. Patryk zatrzymał się na światłach i rozejrzał w obie strony. Drogą cały czas mknęły samochody osobowe i ogromne TIR-y.

- To miejsce wygląda dokładnie jak z tego filmu *Oszukać przeznaczenie*. - Spojrzał na Karen z uśmiechem. - W tej części, w której bohaterowie zatrzymali się na wjeździe na autostradę, a jakaś laska miała wizję, że z TIR- a pospadają na szosę ogromne bele drewna i zabijają dziesiątki ludzi.

- Boże! - Karen podniosła głowę i postukała się palcem w czoło. - Czy ty nie możesz mieć mądrzejszych skojarzeń? Ja wiem? Literackich na przykład. Przychodzą ci do głowy tylko takie z najdurniejszych filmów.

- Jakie mam mieć niby skojarzenia literackie z drogą międzymiastową numer pięćdziesiąt dwa?

- A właśnie! - Karen nagle sobie o czymś przypomniała i sięgnęła po swój tablet.

Patryk nacisnął pedał gazu i samochód wjechał na szosę, zakręcił i pomknął w kierunku miasteczka Florens.

- Zobacz, co znalazłam. - Karen pochyliła głowę nad ekranem. - Wiesz,

kim była Elisabeth von Arnim?

Patryk energicznie pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

- Angielska pisarka, córka kupca. Wyszła za mąż za niemieckiego hrabiego z Pomorza, Henninga Augusta von Arnima. Z Rzędzin pod Szczecinem. Poznała go w Rzymie podczas wakacyjnego wyjazdu. Wtedy jeszcze studiowała w Londynie i dorabiała sobie jako guwernantka i nauczycielka. - Karen popatrzyła na Patryka z malującym się na twarzy podnieceniem. - Czaisz? Historia prawie jak z *Rebeki* Daphne du Maurier. Mąż okazał się sztywnym mrukiem, a biedna dziewczyna, zamknięta w wielkim pomorskim dworzyszczu, zaczęła pisać powieści, żeby nie umrzeć z rozpacz. Jej pierwsza, autobiograficzna powieść *Elżbieta i jej ogród* przyniosła jej prawdziwą sławę.

- I co to ma wspólnego z naszym powalonym śledztwem szkatularskim? - Patryk prychnął powątpiewająco. - Poza nazwiskiem von Arnim?

- Elżbieta rozwiodła się z mężem. - Karen, niezrażona złośliwościami Patryka, czytała dalej. - Pisanie przyniosło jej spory majątek, a na starość wyjechała do Stanów i umarła... - Podniosła głowę i spojrzała zaaferowana na Patryka. - Umarła w Charleston!

- Karen. - Patryk westchnął. - Ale to się działo sto pięćdziesiąt lat po wydarzeniach szkatularskich. Ona zmarła w dwudziestym wieku! Przecież widzę stąd. - Skinął głową w kierunku tabletu, łapiąc podejrzliwe spojrzenie Karen.

- Patrz lepiej na drogę. - Karen wsunęła tablet do kieszeni w drzwiach. - Przecież nie twierdzę, że to ma bezpośredni związek z Josephine i Wilhelmem. Po prostu szukam punktu zaczepienia.

- Nikt nie kwestionuje tego, że von Arnim to pomorska arystokracja, ale słyszałaś, co mówiła ta dziennikarka? Nie udało jej się znaleźć żadnych powiązań z tą rodziną.

- To, że jej się nie udało odnaleźć, nie znaczy, że ich nie ma.

- Niby racja. - Patryk zwolnił na rogatkach Florens i zjechał na szosę w kierunku kolejnej miejsciny po drodze do Charleston.

Pół godziny później mijali pierwsze zabudowania północnych dzielnic Charleston, a na drodze pojawiło się więcej samochodów. TIR-y,

ciężarówki i samochody transportowe ze zwierzętami ustąpiły miejsca SUV-om i przemykającym co jakiś czas żółtym autobusom szkolnym.

- Ten dom spokojnej starości Garden Hall jest na wyspie James Island, nad samą zatoką. - Karen podniosła wzrok znad ekranu tabletu.

- Wiem, sprawdziłem trasę. - Patryk wrzucił kierunkowskaz i zjechał na drogę omijającą zagęszczające się przedmieścia Charleston.

Kilkanaście minut później znaleźli się na estakadzie nad rozległymi moczarami wzdłuż rzeki Ashley River, nad którymi na horyzoncie widać było budynki miasta. Toyota zjechała długim ślimakiem na główną drogę James Island, by po kolejnych kilku minutach wbić się w starą, historyczną zabudowę północnych kresów wyspy.

Dom spokojnej starości Garden Hall stał nad samą zatoką Charleston, oddzielony od ulicy gęstą masą starych drzew i wysokim ceglany murem. Między prętami bramy wjazdowej widać było elewacje dużego budynku w stylu kolonialnym, otoczonego dookoła galeriami wspartymi na białych kolumnach.

- I co teraz? - Patryk spojrzał na Karen.

- No nie widzisz? Tam jest domofon. - Karen wskazała brodą skrzynkę na słupku przed bramą.

- Ale co ja mam powiedzieć?

- Prawdę. Że chcielibyśmy odwiedzić panią Barbarę Linton.

- A jak zapytają, kim jesteśmy?

- Powiedz, że przysłała nas jej syn Henry Linton w sprawach rodzinnych.

- Ale...

- Oj, Patryk! - zniecierpliwiła się Karen. - To nie obóz karny ani więzienie, tylko luksusowy dom spokojnej starości. - Wysiadła z samochodu, trzasnęła drzwiami i podeszła do domofonu.

Patryk widział, jak Karen powiedziała coś do czarnej skrzynki, a po chwili brama zaczęła się otwierać. Dziewczyna odwróciła się i dwornym gestem ręki, ze zjadliwym uśmiechem wskazała Patrykowi drogę.

Młoda kobieta, ubrana w granatowo-biały kostium przypominający dziewiętnastowieczne uniformy służby, wprowadziła Karen i Patryka do holu i kazała poczekać. Po chwili w drzwiach pokazała się inna siostra i skinęła do nich przyjaźnie.

- Pani Barbara przyjmie państwa w ogrodzie. - Uśmiechnęła się jowialnie do Patryka. - Jest taka piękna pogoda, że szkoda, żeby państwo siedzieli w pokoju. Zaraz podamy sweet tea.

- Dziękujemy bardzo. - Patryk odwzajemnił uśmiech pielęgniarki i oboje ruszyli za kobietą przez hol, a potem przez jasny korytarz, na którego końcu widać było otwarte szeroko drzwi prowadzące na taras.

Gdyby nie krzątająca się dyskretnie obsługa, miejsce przypominałoby raczej wiejski hotel. Ogromny taras tonął w zieleni stojących tuż obok wielkich platanów, a szmaragdowy trawnik opadał łagodnie w kierunku zatoki.

Przy stolikach siedziało kilku starszych panów grających w karty lub pograżonych w rozmowie. Nieco dalej, w zielonym półcieniu liści platanów, przez który przedzierały się błyski słońca, siedziały dwie kobiety. Siostra podeszła do nich, pochyliła się i po chwili wskazała głową stojących w drzwiach do budynku Karen i Patryka. Jedna ze staruszek podniosła się i ze śmiechem oddaliła w kierunku innej grupy pań, a druga z ciekawością zlustrowała czekających na audiencję gości.

Szkatuła, postawiona z namaszczeniem przez Patryka na środku stolika, w świetle słońca rozbłysła odcieniami brązu starego drewna i resztkami pastelowych kolorów zachowanego perłowego zdobienia.

Barbara Linton wpatrywała się w nią z nostalgią i fascynacją.

- Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś ją zobaczę - powiedziała cicho.

- Widziała ją pani? - zapytała Karen zaskoczona. - Pani syn twierdził, że jego dziad sprzedał ją przed wojną.

- Oczywiście się myli. - Barbara Linton się uśmiechnęła. - Nigdy nie interesowałam się rodzinnymi legendami, w przeciwieństwie do mojego teścia właśnie. Ale to był wpływ z kolei mojego męża. Mąż zawsze miał za złe ojcu, że zmarnował mnóstwo pieniędzy na bezsensowne poszukiwania tych legendarnych dokumentów...

- Czyli szkatuła była jeszcze na plantacji po wojnie?

- Tak, moja droga. - Staruszka uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Briana poznałam jeszcze, gdy byłam w liceum, ale wtedy nie zwracał na mnie uwagi. Był ode mnie sporo starszy, a poza tym ja byłam córką nauczyciela z Richmond, a on synem bogatych plantatorów. Wpadłam mu w oko dopiero tuż przed maturą i zaczęliśmy się spotykać. Pierwszy raz na

farmie byłam chyba w pięćdziesiątym trzecim. Brian miał wówczas takiego ogromnego forda czy chevroleta, już nie pamiętam, którym jeździliśmy na potańcówki.

Starsza pani na chwilę umilkła, wydobywając z przeszłości stare obrazy.

- W pięćdziesiątym szóstym urodził się Henry, ale już wtedy regularnie od dwóch lat bywałam na farmie Lintonów. Matka Briana za mną nie przepadała, ale za to John, jego ojciec, mnie uwielbiał. I to on pokazał mi szkatułę. Pamiętam, jak wyjmował po kolei te wszystkie rzeczy i o nich opowiadał. - Staruszka skinęła głową w kierunku stojącej na stole skrzynki. - I to on także opowiadał mi potem te wszystkie rodzinne legendy. Pamiętam, że jeszcze w latach siedemdziesiątych teść ciągle gdzieś jeździł. Na farmę przyjeżdżali też ciągle jacyś ludzie. Nawet prowadzili poszukiwania wokół domu, kopali doły niedaleko grobowca. Ale nic z tego nie wyszło. A szkatuła zniknęła chyba pod koniec lat sześćdziesiątych. Mój teść w końcu stracił serce do tych poszukiwań.

- Powiedziała pani, że były w niej dokumenty? - zapytała Karen.

- Tak zawsze twierdził teść, ale nie pamiętam dlaczego. - Starsza pani pokręciła głową. - Możliwe, że miało to coś wspólnego z Johnem Jayem właśnie. Teść spodziewał się znaleźć stare dokumenty z czasów wojny o niepodległość, które rzekomo Josephine przechowywała w tej szkatule. Był maniakalnie zakochany w tej epoce. Na farmie do dzisiaj jest sporo pamiątek z tego okresu. Gromadził listy, grafiki, książki, wszystko, co tylko mu wpadło w ręce.

Karen, zasłuchana w opowieści starszej pani, przypomniała sobie bibliotekę na plantacji Arnim Creek i długie szeregi książek oraz starych woluminów.

- Skąd zatem wzięły się te legendy o ukrytym na farmie artefakcie? - odezwał się Patryk.

Starsza pani parsknęła śmiechem.

- Poszukiwania, którym mój teść namiętnie oddawał się latami, przy użyciu rozmaitego sprzętu, na który przeznaczal zresztą mnóstwo pieniędzy, nie uszły oczywiście uwadze miejscowych. Pracownicy farmy byli przecież świadkami tych zwariowanych poczynań, a potem opowiadali różne głupoty w okolicy, po knajpach. Do dzisiaj przecież jeszcze o tym gadają. A poza tym te legendy o wampirach. - Staruszka się uśmiechnęła. -

Pamiętam je jeszcze z dzieciństwa. Nawet moja matka zawsze mnie ostrzegała, żebym uważała na siebie, bo o farmie Lintonów mówiło się wtedy różne rzeczy. Do najbardziej ekscytujących zabaw dzieciaków z pobliskich wsi należało wówczas zakradanie się do grobowca. Raz czy dwa nawet ktoś się tam włamał.

Starsza pani zamarła z uśmiechem na ustach i wzrokiem wbitym w przestrzeń.

- A potem zaczęło się kręcić wokół nas sporo podejrzanych typów - podjęła swoją opowieść po chwili, ale już bez uśmiechu. - Wszystko zaczęło się od głupiego artykułu w jakimś brukowcu o zasięgu krajowym. Ktoś opisał historię Josephine i Wilhelma, podając sporo faktów wprawdzie, ale przytaczając także wszystkie zwariowane legendy i opowieści. A że ludzie uwielbiają takie rzeczy, więc na farmę zaczęły ścinać tłumy pomyłców żywiących się spiskowymi teoriami dziejów. Brian był początkowo zadowolony, bo turystyka historyczna w Wirginii to ogromnie dochodowa działalność, a naszą farmę turyści jak do tej pory omijali w drodze do Jamestown, Williamsburga czy większych plantacji.

- Mąż zmienił zdanie później? - zapytała Karen, gdy starsza pani ponownie się zamyśliła.

- Dwa razy pod naszą nieobecność było włamanie. Czasy się zmieniły. Kiedyś na farmie było mnóstwo służby, w latach siedemdziesiątych dojeżdżały już tylko dwie panie z pobliskiego miasteczka, a do ogrodu przyjeżdżała wyspecjalizowana firma. Pamiętam, jak Brian się kłócił z ojcem. Poszło o jakieś listy, które rzekomo teść przechowywał, a Brian miał na nie kupca. Ale teść się uparł i powiedział, że ich nie odda, bo tylko one mogą doprowadzić do wyjaśnienia tajemnicy Arnimów. Brian nazwał ojca starym durniem, trzasnął drzwiami i wyszedł.

- Listy? - Karen spojrzała na Patryka, który podniósł oczy ku niebu.

- Podobno Josephine dostawała listy z Niemiec i rzekomo przetrwały w rękach rodziny. Nigdy ich nie widziałam, ale słyszałam związane z nimi opowieści. Zresztą opisano je nawet w tym sławetnym artykule, który ścinał na nas kłopoty. Jak widać, ktoś kiedyś je widział.

- Jakie to były opowieści? - Karen patrzyła na Barbarę Linton z fascynacją.

- Na pewno je już słyszeliście. Była tam podobno wzmianka o żaglowcu o nazwie Albion, którym Josephine rzekomo wysłała jakieś

ważne wieści do Europy.

- Pan Linton opowiedział nam, że zawartość szkatuły skradli piraci i teraz leży ona na dnie Atlantyku - odezwał się Patryk, rzucając Karen spojrzenie pełne ironii.

- Tak, takie opowieści też słyszałam, ale to już czysta fantazja. Zapamiętałam natomiast coś, co może, niestety, świadczyć o tym, że listy przepadły na zawsze.

- Przepadły? - Karen upewniła się, czy dobrze usłyszała.

Barbara Linton pokiwała głową i uśmiechnęła się melancholijnie.

- Jesteście kolejnymi osobami, którym o tym mówię. Mój wnuk twierdzi, że w ten sposób napędzam na farmę turystów, ale biorąc pod uwagę, że mój syn w ogóle zrezygnował z prowadzenia tam jakiegokolwiek działalności i utrzymuje się wyłącznie z dywidend, to i tak psu na budę.

- Nie zamierzamy poszukiwać skarbów. - Karen uśmiechnęła się uspokajająco. - Za tydzień wracamy do Polski.

Patryk uśmiechnął się pod nosem, a Barbara Linton ponownie pokiwała głową.

- Jeśli kogoś interesowałoby moje zdanie na ten temat, to uważam, że cała ta historia została wyssana z palca przez kolejne pokolenia Lintonów, a zwłaszcza pomyłonego pastora Archibalda. Ale wracając do listów. - Westchnęła. - To był koniec lat siedemdziesiątych, mój teść był już wtedy bardzo schorowany. Nikogo w owym czasie nie interesowały te legendy. Henry wyjechał na studia, a mojego męża nigdy te sprawy nie obchodziły. Któregoś dnia mój teść powiedział, że wszystko ma w głowie.

- Co takiego? - zapytał Patryk. - W głowie?

- Tak powiedział, a pamiętam to dokładnie, co do słowa, bo się przestraszyłam, że teść zaczyna majaczyć, że umiera. - Barbara Linton znów westchnęła. - Byłam z nim sama w domu i od razu chciałam biec dzwonić po pogotowie, ale zatrzymał mnie i powtórzył: „Listy ukryłem, ale jeśli będziecie chcieli, to je znajdziecie. Wszystko, co potrzebne, jest w głowie...”. Gdy powtórzyłam to potem mężowi, skomentował to po swojemu: „Stary pewnie zniszczył te listy, a można było za nie dostać naprawdę dobrą cenę”.

- W głowie? - Karen patrzyła na staruszkę skonsternowana. - Czyli założyliście, że zapamiętał po prostu ich treść, a potem zniszczył?

- Tak wszyscy to zrozumieliśmy. Nie jestem tylko pewna, czy mówił

o głowie czy głowach. To była stresująca sytuacja, bałam się, że mu się bardzo pogorszyło. A potem jeszcze wrócił zdenerwowany Brian i mimo oporów teścia wezwał pogotowie. Nikogo więc wówczas to gadanie nie interesowało. Dopiero kilka lat później, już po śmierci teścia, zaczęły się roztrząsania, co też mógł mieć na myśli, ale jako że nie znaleźliśmy ani żadnych jego notatek czy notesów, ani tych listów w jego rzeczach, uznaliśmy, że rzeczywiście wszystko zniszczył.

- Teść znał niemiecki? - zapytał nagle Patryk.

- Nie znał. - Barbara Linton pokręciła głową. - Domyślam się, do czego pan zmierza. Listy rzekomo były napisane w języku angielskim, dlatego łatwo przyszło mu zapamiętać ich treść. Ale sami widzicie, jakie to wszystko bzdury. Dlaczego z ówczesnych Prus miałyby przychodzić listy pisane po angielsku? Raczej oczywiste, że rodziny przesiedleńców pisały do nich w swoich ojczyznych językach.

- Uważa pani, że listy były.

- Sfabrykowane? - Kobieta skinęła głową z uśmiechem. - Bardzo możliwe. To byłoby nawet bardzo w stylu pastora Archibalda.

- Ale szkatuła jednak istnieje - odezwała się Karen, spoglądając w kierunku wciąż stojącego na stole, jak wyrzut sumienia, drewnianego kufierka.

- Tak, moje dziecko. - Barbara Linton uśmiechnęła się. - W każdej legendzie jest ziarno prawdy.

Ciemnoskóra opiekunka poprawiła poduszkę pod głową starszej, przysypiającej przy sąsiednim stoliku kobiety, po czym wolnym krokiem przeszła obok Patryka i Karen, uśmiechnęła się uprzejmie do pani Linton i zniknęła we wnętrzu budynku.

Gdy znalazła się na korytarzu, przystanąła i wyjęła z kieszeni telefon.

Przysunęła go do szyby i zrobiła szybko zdjęcie, po czym wybrała numer i przesłała fotografię.

Przez chwilę spoglądała na ekran, po czym ponownie wybrała numer.

- Pani Linton ma właśnie gości - powiedziała cicho do słuchawki, spoglądając w okno, za którym widać było stolik pod konarami platana. - Młody mężczyzna i dziewczyna. Oboje mówią z akcentem. Przywieźli ze sobą takie drewniane, wyglądające na stare pudełko. Wysłałam zdjęcie.

Krótko słuchała w milczeniu, po czym skończyła rozmowę, schowała

telefon do kieszeni i ruszyła korytarzem w kierunku schodów.

Barbara Linton przypatrywała się Karen, która siedziała zamyślona, ze wzrokiem bezwiednie wbitym w stojącą na stole szkatułę.

- I co zamierzasz, drogie dziecko, zrobić z tą nietypową pamiątką ze Stanów? - zapytała z dobrotliwym uśmiechem.

- Pamiątką? - Karen spojrzała nieco nieprzytomnie na starszą panią. - A, ze szkatułą. - Uśmiechnęła się skrepowana. - Mój wuj na wsi pod Szczecinem, gdzie rodzina prowadzi agroturystykę, kończy właśnie odbudowywać stary dwór. Szkatuła będzie tam pięknym eksponatem.

- Czyli wróci na Pomorze. - Barbara Linton spojrzała melancholijnie na artefakt. - Bardzo piękna klamra, ale trochę mi szkoda jednak, że nie zostanie w Wirginii.

Karen uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- W Wirginii za to zostaną związane z nią legendy.

- Masz rację, moja droga.

- A propos legend - podjęła Karen. - Wiedziała pani od początku o tej inskrypcji pod wiekiem? Tej z datą i nazwiskiem gubernatora? Czy teść nie mówił nigdy na ten temat czegoś więcej? To strasznie ciekawe - dodała usprawiedliwiająco, widząc zmarszczone brwi Patryka, który obawiał się, że starsza pani uzna ich w końcu za owych pomyleńców, którzy nawiedzali jej farmę.

- Niewiele. - Barbara Linton pokręciła głową. - Wspominał tylko o powiązaniach, które Josephine lub Wilhelm mogli mieć z Partią Republikańską, z którą John Jay, jako gubernator Nowego Jorku, a później Prezes Sądu Najwyższego, był wówczas skonfliktowany.

Starsza pani umilkła, całkowicie nieświadoma tego, że na temat polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych początku dziewiętnastego wieku ani Karen, ani Patryk nie mają bladego pojęcia.

- Mój teść wymyślił nawet, że skoro ostatni ślad wiedzie do Johna Jaya, to tam należy szukać - podjęła po chwili w zamyśleniu. - Po długich staraniach uzyskał dostęp do zachowanych spisów inwentarzowych siedziby Jayów w Bedford House, a nawet do archiwaliów gospodarczych. Ale co on mógł tam znaleźć? Nawet jeśli rzeczywiście John Jay ukrył coś w Katonah, to przecież nie znalazłoby się to w żadnych spisach. Prędzej by to gdzieś замуrował. - Starsza pani parsknęła śmiechem. - Ale mój teść

i takie warianty brał pod uwagę. Oczywiście na tego typu poszukiwania nigdy nie dostał pozwolenia. Ani od lokalnych władz konserwatorskich, ani od departamentu spraw wewnętrznych.

Karen, słuchająca z fascynacją wspomnień seniorki, zanotowała oczywiście w pamięci nazwy geograficzne, zastanawiając się, czy Patryk zgodzi się na kolejną wycieczkę.

- Zresztą zawsze wydawało mi się to strasznie naciągane. - Kobieta podjęła po chwili namysłu. - Pomyślcie. - Spojrzała na wpatrujących się w nią Patryka i Karen. - Co dwoje imigrantów, którzy dopiero co przyjechali z Europy, mogło mieć wspólnego z głównymi rozgrywającymi ówczesnej polityki Stanów Zjednoczonych? To przecież nonsens.

- To co w takim razie może oznaczać ta inskrypcja? - zapytał Patryk, stwierdzając w duchu, że nieszczęsna inskrypcja to jedyna płaszczyzna, na której potrafi nawiązać rozmowę z panią Linton.

- Ktoś mógł to wydrapać dużo później. - Starsza pani wzruszyła ramionami. - Nie wiadomo przecież, jak stary jest ten napis, nigdy nie robiono żadnych badań. Pomijając zupełnie, że byłyby one dość absurdalne w kontekście głupot o wampirach i skarbach ukrytych pod pokładem statku piratów.

Karen i Patryk uśmiechnęli się dyplomatycznie.

Karen, obiecując sobie przy tym, że musi poczytać na temat historii Stanów Zjednoczonych, a Patryk, myśląc, że na określenie wieku wydłubanej inskrypcji raczej nie byłoby szans. Coś tam słyszał o dendrochronologii, czyli określaniu wieku drewna na podstawie rocznych przyrostów usłojenia, ale podejrzewał, że w ten sposób nie dałoby się raczej datować wyrytych w drewnie napisów.

Rozmawiali jeszcze o tym, jak bardzo urzekły ich Wirginia i całe Wschodnie Wybrzeże, że nie zdążyli obejrzeć jeszcze tylu rzeczy, a już muszą wracać do Europy. Karen, widząc, że sprawia tym przyjemność starszej pani, szczerze zachwyciła się plantacją jej rodziny i zachowanym pięknym domem. Nawet nie zauważyli, jak upłynęły dwie godziny i przyszła pora na lunch.

Na tarasie pojawiły się pielęgniarzy, zaczęły budzić drzemiących pod markizami pensjonariuszy i pomagać im w pokonywaniu długiej drogi do jadalni.

- Coś mi się jeszcze przypomniało - powiedziała nagle pani Barbara,

gdy pożegnali się już i podziękowali za miłe przyjęcie. - Teść kiedyś wspomniał, że odnalazł ten żaglowiec.

- Ten z listów? - zapytała Karen. - Al.

- Albion - przytaknęła pani Linton i pokiwała głową. - Nazywał się Albion. Został wybudowany w tysiąc osiemset dziewiętnastym roku, a w tysiąc osiemset dwudziestym drugim zatonął u wybrzeży Irlandii. Nie wiem, jak udało mi się to akurat zapamiętać.

- Albion - powtórzyła zaintrygowana Karen.

- Tak się nazywał - przytaknęła pani Linton. - W tysiąc osiemset dwudziestym drugim płynął z Nowego Jorku do Liverpoolu.

Mężczyzna z długimi, jasnymi włosami, zebranymi na czubku głowy w węzeł, stał przy panoramicznym oknie, które zajmowało całą ścianę gabinetu, i wpatrywał się w tonącą w słońcu ulicę. Chociaż prawdę powiedziawszy, tonały w słońcu jedynie najwyższe piętra stojących przy niej wysokich kamienic, których wyłożone piaskowcem ściany i przeszklone wstęgi okien oślepiały wręcz blaskiem. Ale im niżej, tym mniej było światła, a ulice chowały się już zupełnie w upalnym cieniu późnego popołudnia.

Ian Howe był właścicielem firmy inwestycyjnej, która prowadziła interesy na Wschodnim Wybrzeżu od trzydziestu już lat. Jako młody chłopak po studiach zaczął pracę w niewielkim, ale całkiem prężnym biurze maklerskim, które z czasem zaczęło się rozrastać i zajmować coraz szerszą działalnością. Dziesięć lat po tym, jak w taniej - z dzisiejszego punktu widzenia, a na którą wówczas musiał zarabiać dwa miesiące - marynarce od Brook Brothers stanął w progu biura, został najpierw współnikiem, a kolejne dwa lata później jego prezesem.

Waszyngton o tej porze roku był piękny, jego skromnym zdaniem oczywiście. Uwielbiał wychodzić z biura po osiemnastej i wracać parę przecznic piechotą, a dopiero gdzieś w okolicach New York Avenue wsiąść w końcu do jadącej za nim cierpliwie limuzyny i jechać do domu w Woodley Park. Jego żona zajmowała się niegdyś handlem nieruchomościami, teraz zaś jedynie działalnością charytatywną i organizacją imprez kulturalnych. Dwoje dzieci wybrało studia w Europie, we wspólnym gronie widywali się jedynie podczas świąt.

Ale Ian specjalnie z tego powodu nie cierpiał. Zawsze był samotnikiem. Waszyngton od początku mu odpowiadał. Miasto, o którym

się mówiło, że jeżeli chcesz mieć tutaj przyjaciela, to kup sobie psa. Ian psa także nie potrzebował, ale po ogromnym ogrodzie przy Woodland Drive biegał oczywiście golden retriever, ulubieniec żony.

Idealne życie. Brakowało tylko amerykańskiej farmy. Najlepiej w Wirginii, a jeszcze lepiej nad rzeką James.

I w ten właśnie sposób trafił w okolice Williamsburga, gdzie stojąc przed bramą Arnim Creek, postanowił, że plantacja musi być jego. Pierwszą ofertę złożył Lintonom blisko piętnaście lat temu. Arnim Creek, jedyna historyczna plantacja w Wirginii, która od początku dziewiętnastego wieku była własnością prywatną i nie przeszła w ręce jednego z wielkich trustów hotelarskich lub nie trafiła do narodowego pocztu historycznych rezydencji. Kilkaset hektarów lasów i stary dom, w którym zgromadzono pamiątki z czasów wojny secesyjnej, a i starsze, z początku wieku. Ian marzył o tym, żeby przywrócić tej rezydencji dawny blask, odnowić domy niewolników, park.

Potem składał propozycję zakupu średnio co roku. Oczywiście ten stary kiep Henry Linton III wszystkie odrzucał. Gość żył skromnie, ale całkowicie mu to wystarczało, a utrzymywał się z mądrych decyzji kapitałowych ojca. Syn Henry'ego mieszkał w Nowym Jorku. Ian usiłował go jakoś podejść. Kilka razy się z nim nawet spotkał, ale okazało się, że James Oswald Linton nie ma żadnego wpływu na decyzje ojca. Matka Henry'ego, Barbara, nie chciała nawet z nim rozmawiać. Pewnie pod wpływem syna odmawiała zgody na jakiegokolwiek odwiedzin.

Arnim Creek stała się w końcu obsesją Iana.

Także związane z nią legendy, które dodatkowo czyniły farmę cenniejszą. Legendarną szkatułę pastora Archibalda Lintona namierzył wiele lat temu. Była własnością pewnego kolekcjonera z Filadelfii, który pozwolił mu ją obejrzeć. Rzeczywiście pochodziła z początku osiemnastego wieku. Warsztat północnoniemiecki. Zdołał nawet namierzyć zakład w niemieckim mieście Stettin, gdzie ją wykonano. Duperele ze środka były oczywiście dodane przez pomyłonego pastora, ale za to inskrypcja pod wiekiem zafascynowała Iana. Jeżeli istniały jakieś nieodkryte dokumenty, listy czy cokolwiek związane z Johnem Jayem, z pewnością od razu stałyby się sensacją.

W przeciwieństwie do Johna Lintona, Ian otrzymał zgodę na drobiazgowo poszukiwania w zachowanej rezydencji Johna Jaya, Bedford

House pod Nowym Jorkiem. Bez rezultatów.

O tym, że istniały listy, w których mogły się kryć jakieś wskazówki odnośnie do tej historii, wiedział od dawna. Nie było to zresztą tajemnicą. Od czasów pierwszego artykułu na temat tajemnic Wirginii, który ukazał się w siedemdziesiątym szóstym w „New York Post”, systematycznie pisano o tym w każdym sezonie ogórkowym.

Po śmierci kolekcjonera z Filadelfii jego rodzina wystawiła szkatułę na sprzedaż. Iana nie interesowała ona aż tak bardzo, żeby za nią przepłacać. Zdołał ją przecież obejrzeć dość dokładnie. Nie za darmo oczywiście, kolekcjoner przed śmiercią wpadł w kłopoty finansowe i za wgląd w swoje szpargały zażądał sporej sumki. Ian nie chciał zatem po raz drugi płacić za tę głównianą szkatułę, tym bardziej że zorientował się już, że oprócz skrytki za szachownicą nie kryła żadnych więcej niespodzianek.

Mimo to liczył jednak, że uda mu się ją zdobyć. Tymczasem ktoś go ubiegł. A Howe nie lubił, kiedy ktoś mu wchodził w drogę. I ciekawy był także, kogo szkatuła aż tak bardzo zainteresowała, że był skłonny zapłacić zawyżoną cenę.

Dzwonek komórki wyrwał go z zamyślenia.

- Ustaliliśmy ciekawe fakty na temat tych dwojga. - W głośniku rozległ się głos jednego z jego współpracowników. - Obawiam się, szefie, że chyba się nieco pomyliliśmy co do nich.

- W jakim sensie? - Ian poczuł od razu niepokój wymieszany z irytacją. Nie tolerował ludzi, którzy stawali mu na drodze.

- To chyba jednak nie są przypadkowi turyści. Wuj dziewczyny jest współwłaścicielem spółki eksploracyjnej. Firma ma siedzibę w Londynie, a zajmuje się badaniami dna morza, konserwacją infrastruktury podwodnej, ale także - mężczyzna na moment zawiesił głos - poszukiwaniem wraków. Dowiedzieliśmy się, że kilka lat temu na wydobyciu okrętu jakiegoś szwedzkiego króla zarobili naprawdę sporo kasy.

- Przecież oni są tutaj na wycieczce.

- Chyba niezupełnie. W Nowym Jorku zatrzymali się w apartamencie należącym do jednej ze współwłaścicielek tej spółki poszukiwawczej. A teraz w dodatku są w Charlestonie.

- Przyjęła ich? - Ian na wspomnienie tego, ile razy Barbara Linton odmówiła mu spotkania, natychmiast poczuł złość.

- Niestety.

- Wiedźma! - warknął Ian. - Trudno. Nie spuszczać ich z oczu.

Rzucił telefon na biurko, przez chwilę nerwowo stukał palcami w blat, a potem ponownie sięgnął po smartfon.

Wyspę James Island opuścili w europejskiej porze obiadowej, więc Patryk był już niezłe głodny. Żeby nie komplikować sobie życia szukaniem jakiejś restauracji w samym centrum, obiad zjedli na szybko w przydrożnym kfc.

Patryk, syty, zatem zadowolony z życia, a ponadto ożywiony perspektywą wyęsknionego powrotu do Nowego Jorku, chętnie dał się przekonać do podziwiania uroków Charlestonu, po którym przechadzali się po obiedzie.

Miasto, nazywane perłą Południa, było naprawdę zachwycające. Kolorowe, charakterystyczne dla starego Południa budynki, strzeliste wieże kościołów, malownicze parki i wszechobecne palmy.

Karen rozglądała się dookoła, usiłując zapamiętać każdy szczegół miasta, bo wiedziała, że nigdy pewnie już tu nie wróci. W beztróskim zwiedzaniu przeszkadzało jej jednak ciągle rozpamiętywanie szczegółów rozmowy z Barbarą Linton.

- Wiesz, co mnie najbardziej w tej historycznej części Stanów zdziwiło? - Patryk obejrzał się za przejeżdżającą ulicą białą bryką ciągniętą przez dwa białe konie. - Tutejszy stosunek do zabytków...

Karen, słuchając Patryka jednym uchem, nieco zdziwił wybór tematu.

- Zawsze słyszałem, jak Polacy natrząsają się z Amerykanów, że nie mają historii - kontynuował jej chłopak. - To całe gadanie, kurwa, z wyższością, że stoi za nami tysiąc lat państwowości, kultura i tradycja! Ale żebyśmy chociaż potrafili to docenić. A tymczasem zobacz tutaj. Amerykanie dbają o swoje zabytki z takim pietyzmem, że my im do pięć nie dorastamy. Te osiemnastowieczne dwory kolonialne, te kamienice, te farmy z drewna, a u nas? Śląskie pałace w gruzach, na Pomorzu dawne piękne wsie zastawione blokami, między którymi stoją ocieplone styropianem chałupy i domy z płaskimi dachami. Jak się przejedzie po Wirginii, to ma się wrażenie, że Polska to najbrzydszy kraj świata.

- Zapominasz, że jestem siostrzenicą architekta. - Karen uśmiechnęła się pod nosem. - To u nas w rodzinie tradycyjnie jeden z ulubionych tematów utyskiwań.

- Ale nie mam racji? - Patryk wskazał ręką tablicę, na której zachęcano do odwiedzenia Fortu Sumter, który dwunastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku zaatakowali konfederaci, rozpoczynając tym samym wojnę secesyjną. - Porównaj ten fort do twierdzy Modlin, a to właściwie najbardziej zadbana fortyfikacja w Polsce. To się w głowie nie mieści!

Karen nagle zbladła.

Stała i zaczęła gorączkowo przesuwać palcem po ekranie telefonu.

- Co ty robisz? - Patryk odwrócił się i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Karen przesunęła jeszcze kilka fotografii i nagle znieruchomiała ze wzrokiem wbitym w ekran.

- Co się stało? - Patryk patrzył z niepokojem na Karen, na której twarzy malowało się osłupienie.

- Patryk... - wydukała Karen i podniosła wzrok na chłopaka.

- Co się stało, do diabła?!

- Ja chyba wiem, gdzie są ukryte te listy!

Rozdział 7

Nad ogródkiem letnim małej knajpki w jednej z bocznych uliczek od Broad Street rozpościerał konary stary dąb, z którego zwisały długie, powiewające na wietrze falbany spanish moss, hiszpańskiego mchu - dekoracyjnego porostu rozslawionego przez amerykańskie filmy kręcone na plantacjach Karoliny Południowej. Tłum ludzi przelewał się wąską uliczką między pastelowymi budynkami i dolepionymi do nich białymi jak śnieg drewnianymi werandami, a stoliki małej knajpki huczały od rozmów i śmiechów.

Przy jednym z nich Karen grzebała nerwowo w swojej wielkiej torbie, a Patryk usiłował skupić na sobie uwagę jednego z miotających się po lokalu i ogródku kelnerów.

- Nie możesz teraz pić! Zwariowałaś chyba! - Karen wyciągnęła w końcu z torby tablet i położyła go przed sobą na stole.

- Muszę się napić, bo inaczej nie dam rady. - Patryk ponownie pomachał do udającego, że go nie widzi, czarnoskórego kelnera.

- A kto będzie prowadził?

- Jedziemy jutro rano! Do rana wytrzeźwieję. Poza tym ty też masz prawo jazdy.

Karen westchnęła niecierpliwie, podnosząc wzrok znad tabletu.

- To jest automat. Nie potrafię prowadzić automatów. Jeszcze gdyby to były jakieś znane mi miejsca, ale tutaj?

- No to musisz zdać się na mnie. Dzień dobry panu, jakoś się pan nie śpieszył. - Patryk uśmiechnął się z przekąsem do uśmiechniętego kelnera, który stanął wreszcie przed ich stolikiem.

Karen westchnęła jeszcze raz i przejechała wzrokiem po kolejnej stronie linków w Google.

Nie mieli żadnego kontaktu do Henry'ego Lintona. Nie było powodów prosić go o namiar. Na farmę trafili w końcu jako zwykli, może trochę tylko nietypowi turyści. Liczyła, że w sieci znajdzie się oficjalna strona plantacji, skoro właściciel wpuszczał turystów i była nawet tablica z godzinami

otwarcia.

Po przewinięciu kilkudziesięciu adresów wreszcie ją znalazła. Jednak była. Link do strony Linton Plantation z małym dopiskiem - Arnim Creek.

Otworzyła i przejechała wzrokiem po kilku grafikach przedstawiających farmę pod koniec dziewiętnastego wieku i kilku aktualnych fotkach. Pod nimi był krótki rys historyczny, a na górze strony pasek, w którym znalazła upragnione słowo - kontakt.

Dwa numery analogowe i komórka.

Karen sięgnęła po telefon i wystukała pierwszy numer. Nikt nie odebrał. Drugi okazał się w ogóle nieaktualny. Pozostała komórka.

- Słucham?! - Karen aż podskoczyła, gdy niespodziewanie, już po pierwszym sygnale rozległ się basowy głos Henry'ego Lintona.

- Dzień dobry. Karen Lindberg. - Przycisnęła mocniej komórkę. W ogródku było dość głośno. - To ja kupiłam na aukcji szkatułę Arnimów, pamięta mnie pan? Byliśmy u pana wczoraj.

- A tak, pamiętam. Wiem, że byliście u mojej matki, dzwoniła do mnie.

- Tak, tak. Bardzo miła starsza pani. - Karen nie wiedziała, w jakim świetle Barbara Linton przedstawiła ich synowi, wołała zatem dyplomatycznie nie ciągnąć tematu.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał oficjalnym tonem Henry Linton.

Karen odetchnęła głęboko. Patryk pochylił się nad stolikiem, starając się słyszeć rozmowę.

- Pani Barbara opowiedziała nam o listach z Niemiec, które przychodziły do pana prababki Josephine, a które odnalazł pana dziadek.

- Stary wariat je zniszczył. - Henry Linton parsknął. - Rodzinna legenda. Ja osobiście wątpię, czy w ogóle istniały.

- A jeśli powiedziałabym, że domyślam się, gdzie się teraz znajdują? - wypaliła Karen, a w słuchawce zapadła nagła cisza.

- Zapytałbym oczywiście gdzie - odezwał się po dłuższej chwili Linton.

- Mogę jedynie zdradzić, że na farmie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale.

- Czy to możliwe, że źle panią oceniłem? - przerwał jej Linton. W jego głosie zabrzmiał chłód. - Czy mam rozumieć, że chce pani ze mną coś negocjować?

- Niczego nie chcę negocjować. - Karen pokręciła odruchowo głową,

czego oczywiście Linton nie mógł widzieć. - Chciałabym po prostu być przy ich znalezieniu i je obejrzeć.

- Karen - syknął Patryk. - Chyba nie chcesz jechać na tę farmę? - zapytał szeptem.

Karen pokręciła głową, jakby opędzała się od namolnego owada.

- I to wszystko? - spytał podejrzliwie Linton.

- Oczywiście. Nie chcę nic w zamian. Zresztą jest możliwe, że mogę się jednak mylić.

- Kiedy chcecie przyjechać?

- Jutro. Jeszcze jesteśmy w Charleston.

- Okay, hmm. - Linton przez chwilę się nad czymś zastanawiał. - Wracam jutro dość późno, więc zapraszam po siedemnastej.

- Wcześniej i tak nie dojedziemy, więc bardzo nam ta godzina odpowiada. W takim razie jesteśmy umówieni. - Karen, unikając wzroku Patryka, pożegnała się i dopiero wtedy odłożyła telefon na stół.

- To już gorzej tego załatwić nie mogłaś - warknął Patryk. - Powiedziałaś mu, że wiesz, gdzie jest cenny rodzinny artefakt, za który, jeśli wierzyć jego matce, sporo ludzi chciało im zapłacić.

- Przecież nie powiedziałam, gdzie on jest!

- Ale on wie, że wiesz. Nikt nie będzie wiedział, że tam jedziemy. Nie mamy tutaj znajomych, a nasze rodziny i bliscy myślą, że zwiedzamy właśnie Nowy Jork! A notabene, fakt, że tego nie robimy, jest czystym szaleństwem.

- Po co ty oglądasz tyle tych gównianych horrorów? Tylko miesza ci się we łbie przez to. Co może się nam tam stać? Raczej będzie wdzięczny, że pomogliśmy mu to znaleźć.

Ciemnoskóry kelner, pobrząkując tacą, postawił na ich stoliku ogromny kufel piwa i butelkę wody mineralnej, uśmiechnął się do Karen i odszedł do kolejnej pary spragnionej zimnych napojów.

- Ja na jego miejscu bym nas zabił dla czystej przyjemności. - Patryk sięgnął od razu po piwo i wypił spory łyk, po czym odetchnął głęboko. - Od razu lepiej.

Karen, ignorując zjadliwe żarty chłopaka, sięgnęła po szklanekę i z rozkoszą wypijała łyk zimnej wody mineralnej. Była szesnasta, a temperatura oscylowała w okolicach trzydziestu sześciu stopni.

- Jedyne, co mnie martwi, to ten program w jego laptopie -

przypomniała Patrykowi.

- A mnie akurat nie. - Patryk pokręcił głową z przekonaniem. - Pomyśl o tych wszystkich oszustach czających się na zamożnych starszych ludzi. W Stanach pewnie jest jeszcze więcej pomysłowych bandziorów, którzy kradną na wnuczka, policjanta, prokuraturę czy co tam jeszcze. A do tego te wszystkie trojany w lewych wiadomościach, dzięki którym można przechwycić hasła do kont bankowych i inne dane. Dzięki temu programowi syn Henry'ego Lintona ma po prostu baczenie na ojca i pewność, że nie sprzeda on nagle całej plantacji za bezcen albo nie zadłuży jej w jakimś wirtualnym kasynie.

- Może rzeczywiście masz rację. - Karen oparła głowę na złożonych dłoniach. - Boże, jak tutaj jest gorąco - powiedziała i westchnęła ciężko.

- To gdzie są w końcu te listy? - zapytał Patryk, patrząc na Karen z urazą. - Nie powiedziałaś.

Karen uśmiechnęła się pod nosem.

- Pamiętasz ten motyw rzeźbiarski, na który zwróciłam uwagę? Takie trzy orły i trzy gwiazdki?

- Listy są w kominku? - Patryk spojrział na Karen z niedowierzaniem. - A co niby skłoniło cię, żeby tak pomyśleć?

- Ja nie powiedziałam, że są w kominku. Daję ci tylko wskazówkę, żebyś sam się domyślił. - Karen uśmiechnęła się złośliwie.

- Ten niby herb Arnimów? - Patryk sięgnął po kufel. - Muszę cię rozczarować. W przeciwieństwie do ciebie stąпам mocniej po ziemi i zamiast wymyślać cuda na kiju, to sprawdziłem.

- Niby co?

- Ten motyw z orłami to nie jest herb rodziny von Arnimów. Ich herb to poprzeczne biało-czerwone pasy na tarczy. Jak to się ma do twojej teorii? - Spojrział na Karen z prowokacyjnym uśmiechem.

Karen zmarszczyła brwi.

- Linton mówił coś, że ta płaskorzeźba to tylko nawiązanie do herbu, a nie herb dosłownie.

- Trzy orły a czerwone pasy, to jakie to nawiązanie?

Karen, która tymczasem znalazła wizerunek herbu rodu von Arnim, patrzyła na ekran tabletu z namysłem.

- Ale to nic nie zmienia w kwestii listów - powiedziała w końcu. - Nawet jeśli Wilhelm i Josephine przywłaszczyli sobie nazwisko i herb tej

niemieckiej rodziny, a w rzeczywistości byli z gminu i nazywali się Glampke na przykład.

- I zdołali nawiązać kontakty z amerykańskimi politykami ze środowiska Johna Jaya? - Patryk postukał się w czoło. - Cała ta rodzinna legenda to rozdmuchana przez ich potomków bzdura, a szkatułę możliwe, że przed wyjazdem po prostu komuś ukradli.

Karen wzruszyła ramionami.

- Tak czy siak, mam nadzieję, że listy są tam, gdzie się domyślam.

- Czyli gdzie? - zapytał szybko Patryk, mając nadzieję, że weźmie Karen z zaskoczenia.

- Czyli dokładnie tam, gdzie się domyślam, że są. - Karen uśmiechnęła się złośliwie.

Patryk pokręcił głową z irytacją i sięgnął po kufel.

Pomyślał, że chociaż tyle dobrego, że zostają tutaj na noc i nigdzie nie musi już jechać.

Następny ranek upłynął Karen i Patrykowi na leniwym wylegiwaniu się w motelu, pod obracającym się wiatrakiem, mielącym z uporem godnym lepszej sprawy rozgrzane powietrze. W drogę wyruszyli dopiero przed południem. Zatem gdy wjechali w lasy w okolicach Williamsburga, dzień powoli zbliżał się już do końca.

Toyota zjechała z głównej drogi na pobocze i zatrzymała się przed wjazdem na teren plantacji. Brama była otwarta, a w głębi alei wjazdowej widać było oświetlony skłaniającym się już z wolna ku zachodowi słońcem fronton domu. Park okalający farmę pogrążony był w spokoju i przedwieczornej ciszy, a niebo między drzewami na wschodzie nabrało ciemnogrnatowej barwy.

- Pakujemy się w kłopoty - wycedził przez zęby Patryk.

- Jedziemy odwiedzić miłego starszego pana w pięknej, wiejskiej posiadłości. - Karen pokręciła głową ze zniecierpliwieniem.

Była podekscytowana. Od rana nie mogła się doczekać, aż tutaj przyjadą i zajrzą do tej sprytnej skrytki. Oczywiście nie była pewna na sto procent, że to, co wymyśliła, to prawda, ale intuicja jej podpowiadała, że to może być właśnie tam.

Podejrzane było tylko to, że domownicy przez pięćdziesiąt lat tego nie odkryli. Może po śmierci Johna Lintona, głowy rodu, byli zajęci innymi

problemami. Barbara Linton mówiła zresztą, że jej mąż zajmował się biznesem i nie interesował się poszukiwaniami swojego ojca. Historia Wirginii także go podobno nie interesowała. Młody Henry wyjechał na studia, Barbara sama musiała się zajmować domem i farmą. Rodzinne legendy wywietrzały wszystkim z głowy.

Uśmiechnęła się pod nosem.

- I co cię tak bawi? - Patryk oderwał wzrok od przedniej szyby i spojrzał na Karen.

- Gra słów - odpowiedziała. - Na co my czekamy? Jedziemy. - Skinęła głową w kierunku bramy.

Patryk wcisnął pedał gazu i toyota potoczyła się w kierunku dworu.

Gdy wjeżdżali na gazon przed domem, otworzyły się drzwi i stanął w nich Henry Linton.

- Jestem ciekaw, co też pani wymyśliła - powiedział, przepuszczając Karen i Patryka przodem.

Kiedy weszli do domu, Karen rozejrzała się po wnętrzu. Znowu tutaj byli. Po lewej stronie od wejścia wspinały się na piętro schody z rzeźbioną balustradą i rzeźbą kobiety z dzbanem nad głową. Pod nimi stała stara, obita materiałem w szaro-zielone pasy sofa, a po dwóch stronach holu otwarte na oścież drzwi prowadziły do sąsiednich pomieszczeń.

- Zapraszam - powiedział Linton i wskazał dłonią drzwi do biblioteki. - Tam możemy porozmawiać.

Karen zrobiła kilka kroków w kierunku Lintona, ale zamiast wejść do biblioteki, przystanęła obok mężczyzny i spojrzała w stronę szczytu schodów.

- Pani Barbara opowiedziała nam, że pana dziadek tuż przed śmiercią zdradził jej, że listy ma w głowie. Wszyscy zrozumieli to dosłownie.

- A jak można było inaczej? - Linton wzruszył ramionami. - Mój dziadek przed śmiercią zmagał się z alzheimerem. Pamiętał bardzo dawne wydarzenia, a zapominał, co działo się godzinę wcześniej.

- Gdy byliśmy tutaj dwa dni temu, zrobiłam sporo zdjęć. - Karen wyjęła ze swojej torby tablet i przejechała palcem po ekranie. Przez chwilę przeglądała galerię zdjęć, aż zatrzymała się przy jednym z nich. Podniosła wzrok na Lintona i podała mu tablet.

Patryk podszedł bliżej i zajrzał Karen przez ramię.

- Pytałam pana o ten motyw rzeźbiarski, który znajduje się na kominku

i na grobowcu Wilhelma i Josephine. - Karen wyciągnęła dłoń i pokazała palcem coś na fotografii. - Z dołu nie sposób tego rozpoznać, ale poprzednim razem weszłam na schody i zrobiłam fotkę z góry. - Przesunęła palcem po urządzeniu i po chwili na ekranie ukazało się kolejne zdjęcie. - I proszę bardzo.

Brodaty mężczyzna wsadził rękę pod rozpiętą, wypuszczoną na spodnie kraciastą koszulę i pogłaskał rękojeść wetkniętego za pasek przedmiotu. Dzięki temu był spokojniejszy.

Wyszedł z baraku, spojrzął w kierunku wznoszącego się na lekkim wzgórkę domu i ruszył do kojców. Podszedł do pierwszej klatki i odsunął metalowy rygiel. Czarny, muskularny rottweiler podniósł pysk i popatrzył na niego czujnie.

Linton z miną pokerzysty wpatrywał się przez moment w zdjęcie na tablecie, po czym podniósł wzrok i spojrzął na Karen.

- Nie odkryła pani Ameryki - powiedział z uśmiechem. - O tym wszyscy wiedzą od dawna.

- Chodzi ci o ten wianek? - Patryk przekrzywił głowę. - O kurde! Z góry to wygląda jak to koło z krzyżami i orłami. Faktycznie!

- Ale to żadne odkrycie. - Linton pokręcił głową z pobłażliwym uśmiechem.

Wyrzeźbiona z hebanu lub jakiegoś innego ciemnego drewna kobieta trzymała jedną ręką wazon nad głową, a na włosach miała coś, co z dołu wyglądało jak opaska lub wianek. Z góry ów wianek układał się w charakterystyczny motyw, który zauważyli poprzednio na kominku.

- Ale nie o samą opaskę mi chodzi. - Karen powiększyła palcami fotografię. - Ten motyw wygląda tak, jakby zakrywał linię cięcia. Proszę zobaczyć. - Wskazała palcem. - Orły i gwiazdki zachodzą na ledwie widoczną szparę.

Linton zmarszczył brwi, pochylił się nad ekranem, a następnie podniósł wzrok i popatrzył na wznoszącą się nad nimi postać kobiety.

- Coś takiego - mruknął, a następnie wbiegł po schodach i opierając się o poręcz, wbił wzrok w głowę ciemnoskórej kobiety. - Jak to możliwe, że tego nikt nigdy nie zauważył?

Karen się uśmiechnęła.

- Przebywając obok czegoś na co dzień, traci się dystans i nie widzi rzeczy, które dla obcych są od razu zauważalne.

- Jeżeli będziecie szukać listów, to mam je w głowie - zacytował Patryk z zadartą głową, patrząc, jak Linton usiłuje osiągnąć czaszkę tajemniczej niewolnicy.

- Tak nie da rady. - Linton cofnął rękę, zbiegł po schodach i ruszył w kierunku drzwi na tyły domu. - Potrzebna nam drabina! - Dobiegł ich jeszcze jego oddalający się głos.

Po chwili wrócił, taszcząc rozkładaną aluminiową drabinę i śrubokręt. Postawił ją przy schodach i oparł o korpus rzeźby. Złapał za stalowe prowadnice i potrząsnął, sprawdzając stabilność.

- Może ja wejść - odezwał się Patryk. - Nie chciałbym pana urazić, ale jestem sporo lżejszy.

- Dobra! Włóż, młody człowieku. - Linton skinął głową i odsunął się od drabiny. - Ja ją potrzynam.

Karen podniosła wzrok i patrzyła, jak Patryk wspina się po aluminiowych stopniach. Dotarł do czarnej jak heban głowy i się wychylił. Ostrożnie złapał za wyrzeźbione w drewnie loki i podważył je śrubokrętem. Górna część głowy powoli i z cichym jazgotem pozwoliła się odkręcić. Patryk ostrożnie podniósł drewniany czerep i zajrzał do wnętrza głowy.

Na moment zamarł.

- No i co tam jest? - nie wytrzymała Karen, nie mogąc opanować ciekawości.

Patryk sięgnął do środka rzeźby i po chwili wyjął zwinięty, obwiązany sznurkiem rulon i gruby zakurzony brulion w twardych okładkach.

- Miałaś rację. - Spojrzał na Karen z góry.

- Schodź, młodzieńcze! - zniecierpliwiał się Linton. - Ależ jestem ciekaw tych staroci.

Patryk zszedł ostrożnie po drabinie i po chwili cała trójka stała, wpatrując się w trzymane przez niego przedmioty.

- Dziadek robił remont tego holu. - Linton podrapał się po brodzie. - Rzeźba wyjechała wtedy do pracowni stolarskiej i wróciła dopiero po jakimś czasie. Wtedy mogła powstać ta skrytka. Bo aż mi się nie chce wierzyć, że była tutaj od dziewiętnastego wieku - stwierdził i pokręcił głową z niedowierzaniem. - Idziemy do biblioteki! - Linton ruszył przodem, dopadł wielkiego stołu i odsunął leżące na nim gazety i magazyny.

Patryk ostrożnie położył na stole artefakty i przez moment stali nieruchomo, przyglądając im się w milczeniu. Karen w końcu nie wytrzymała, sięgnęła po rulon i zdjęła sznurek, którym był obwiązany. Gruba tekturowa okładka kryła w sobie plastikową, a w niej z kolei było kilka pożółkłych ze starości kartek.

- Czy to są te listy? - Patryk spojrział na Lintona.

- A skąd ja mam to wiedzieć? - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Pierwszy raz widzę je na oczy. Ale to już widziałem. - Dotknął dłonią brulionu. - Dziadek notował w tym notesie wszystkie swoje uwagi, spostrzeżenia i rozmaite niestworzone teorie na temat szkatuły i jej zawartości, a także wilkołaków, wampirów i wszystkich tych bredni, o których latami tutaj po wsiach gadano.

Patryk chciał otworzyć brulion, ale wstrzymał się i popatrzył na Lintona.

- Mogę? - spytał.

- Oczywiście, sam jestem ciekaw. Dziadek nigdy mi nie pokazał całości, tylko czasem jakieś swoje rysunki.

Patryk ostrożnie przełożył okładkę. Na pierwszej stronie namalowany był ów symbol z grobowca, kominka i, jak się okazało, głowy niewolnicy przy schodach - trzy orły przenikające się z trzema krzyżami.

- To są krzyże maltańskie - powiedział do siebie i przełożył stronę. Był na niej ten sam motyw, tylko rozbity na dwie części. Oddzielnie naszkicowane były trzy krzyże i oddzielnie trzy orły. A niżej widniał znak zapytania.

- To nie są żadne listy - odezwała się Karen, do tej pory pogrążona w milczącym studiowaniu pożółkłej zawartości rulonu.

- Jak to? - Patryk podniósł głowę znad notatnika. - A co to jest?

- Jakies dokumenty. - W głosie Karen brzmiało rozczarowanie. - Ty pewnie będziesz lepiej wiedział, bo to są papiery zapewne z prawnej kancelarii.

- Dokumenty? - zainteresował się Linton. Sięgnął do kieszeni po okulary i ubiegając Patryka, wziął od Karen starą teczkę.

- O mój Boże! - jęknął po chwili, przeglądając z niedowierzaniem papiery. - A ojciec tego szukał całymi latami.

- A co to jest? - Patryk patrzył z zainteresowaniem na formalne pieczęcie. - Jakiś akt, z tego, co widzę.

- Dokładnie. - Linton pokiwał głową. - Masz dobre oko, synu. To akt własności. No to dzięki wam, nieźle się właśnie wzbogaciłem. - Podniósł wzrok i spojrzał z rozbawieniem na przypatrujących mu się z ciekawością Karen i Patryka. - Moja matka o tym nie wiedziała. - Linton potrząsnął teczką. - Babka zresztą także chyba, chociaż kto ją tam wie, miała swoje sposoby na dziadka.

Linton uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Ale czego on właściwie dotyczy? - zapytała Karen, nie mogąc powstrzymać ciekawości. - O ile oczywiście zechce pan nam zdradzić.

- Akt własności pewnej chaty w ustronnym miejscu, którą mój dziadek kupił jeszcze przed wojną. To była, że tak powiem, czysto męska sprawa. Teraz jest warta majątek, od lat sześćdziesiątych nikomu nic już tam nie sprzedali. Teraz to ścisły rezerwat.

Od strony okien rozległo się nagle głośne ujadanie.

- Psy? - Linton podniósł głowę. - A co one tutaj robią? Kto je wypuścił?!

Gospodarz podniósł się i podszedł do okien.

Do jednego psiego głosu dołączyły nagle dwa następne i z podjazdu słyhać było już wściekle szczekanie dobywające się z trzech potężnych psich gardeł.

„Trzy rottweilery. Razem jakieś ćwierć tony mięśni i zębów. Sam się ich boję”. Karen przypomniała sobie, jak Linton opisał swoje psy, i dreszcz przeszedł jej po plecach. Miała nadzieję, że jeśli skądś się urwały, to nie wpadną teraz do domu.

- Nie podoba mi się to. - Linton przeszedł przez bibliotekę, wszedł do swojego gabinetu i po chwili wrócił, dzierżąc w ręku strzelbę.

Patryk obrzucił przestraszonym wzrokiem gospodarza, a następnie zerknął w stronę okien.

- Coś się dzieje?

- No właśnie nie wiem. Nigdy nie spuszczaamy psów w dzień. Mało prawdopodobne, że się wyrwały. Ktoś musiał je wypuścić.

Nagle trzasnęły drzwi wejściowe. Cała trójka jak na komendę spojrzała w tamtą stronę. Linton odruchowo uniósł strzelbę i wycelował w kierunku drzwi.

- A, to ty, Greg - powiedział z ulgą, widząc wysokiego, barczystego brodacza. Spuścił strzelbę lufą w dół i popatrzył na mężczyznę ze złością. -

Następnym razem cię postrzelę. Kto te psy spuścił? Co się tam dzieje?

Brodacz wycelował nagle w Lintona pistolet.

- Cofnij się, Linton! - warknął. - I lepiej nie łap za tę strzelbę, bo pożałujesz!

- Zwariowałeś?! - Henry Linton patrzył na swojego pracownika szeroko otwartymi oczami. - Co ci odbiło, do cholery?!

- Powiedziałem: cofnij się! - Brodacz skinął pistoletem w stronę stołu. - Wy też! - rzucił do stojących przy stole skamieniałych z zaskoczenia Karen i Patryka.

- Co ty robisz, Greg?! Odjechało ci?! - Linton ze stanu kompletnego zaskoczenia przeszedł w stan wściekłości. Poczzerwieniał i wpatrywał się w swojego pracownika z wypisaną na twarzy furią.

- Zamknij się, Linton! Trzymaj ręce przy sobie i stań tam dalej z nimi! I ani kroku!

Karen i Patryk odsunęli się posłusznie od stołu i stanęli na środku pomieszczenia. Linton powoli zrobił krok w ich kierunku.

- Chcesz mnie okraść?! Za mało ci płacę? W pierdłu kasa nie będzie ci potrzebna, skurwysynu!

- Zamknij się, stary durniu!

Brodacz z wciąż wycelowanym pistoletem podszedł do stołu. Nie spuszczać oka z Lintona, położył dłoń na oparciu jednego z krzeseł.

Karen, która do tej pory stała całkowicie sparaliżowana strachem, nie myślała nawet, z jakiego powodu brodacz wpadł do biblioteki. Miała oczywiście przed oczami wszystkie amerykańskie filmy gangsterskie, w których różnego rodzaju bandziory napadały na mieszkających na uboczu ludzi, strzelaniny i tego typu akcje, ale sytuacja, w której właśnie się znaleźli, była dla niej całkowicie abstrakcyjna.

Do momentu, w którym brodacz nie podszedł do stołu.

Czyżby chodziło mu o te archiwalia? Czy możliwe, że ludzie w tej okolicy nadal wierzą w tutejszy skarb, a ten drab połakomił się na odkryte właśnie artefakty?

Tymczasem brodacz, który nie spuszczał z oka Lintona, musiał na moment odwrócić wzrok, żeby skoordynować zebranie rozrzuconych po stole historycznych szpargałów.

I ten jeden krótki moment wykorzystał Linton.

Płynnym ruchem podniósł strzelbę i trzymając ją jedną ręką, strzelił

bez ostrzeżenia do mężczyzny. Brodacz wrzasnął i runął na stół, przewracając stojące obok krzesło.

Zdażył jednak wystrzelić z pistoletu kilka kul. Jedna z nich rozbiła wielką stojącą lampę, druga roztrzaskała okno, a trzecia dosięgła Lintona, który złapał się za pierś i z jękiem runął na podłogę.

Brodacz zsunął się ze stołu i upadł na ziemię, ściągając za sobą jeden z papierów i sztambuch, który łopocząc kartkami, wylądował tuż obok niego. Mężczyzna przez chwilę jeszcze charkotał i znieruchomiał.

Karen oprzytomniała i rzuciła się na pomoc Lintonowi. Złapała jego rękę, usiłując ocenić szkody, jakie zrobił postrzał. Od razu zauważyła, że kula weszła w pierś w okolicach serca. Cały przód koszuli i kamizelka były zakrwawione.

Drżącymi rękami chwyciła telefon i znalazła numer alarmowy.

- On nie był sam - wyrzęził nagle Linton, spoglądając na Karen. - To z pewnością Howe! Groził mi. Musicie zabrać te papiery i uciekać! Oni zaraz tu będą.

- Wzywam policję. - Karen złapała go za rękę i ścisnęła. - Niech pan nic nie mówi.

Linton podniósł głowę i poruszył się, jakby chciał wstać, ale natychmiast opadł z jękiem na podłogę.

- Uciekajcie stąd!

- Farma Lintonów! - Karen rzuciła do słuchawki, gdy tylko usłyszała głos operatora. - Dwóch mężczyzn postrzelonych. Jeden nieprzytomny. Przyjeżdżajcie natychmiast! To był napad! Na zewnątrz są groźne psy! Co? Nie, nie! Jesteśmy tylko przypadkowymi turystami!

- On nie żyje! - Patryk odzyskał głos i z szeroko otwartymi z przerażenia oczami wpatrywał się w leżącego w kałuży krwi bandziora. - Kurwa! On nie żyje!

Dopiero teraz dotarło do niego, że psy na zewnątrz po usłyszeniu strzałów wpadły w prawdziwy amok i biegały, przeraźliwie ujadając. Prawdopodobnie czuły też zapach obcych osób, co doprowadzało je do szału.

Gdy tylko o tym pomyślał, z holu dobiegł głośny łomot, jakby jakiś wielki ciężar rzucił się na drzwi wejściowe.

- Karen! - Patryk z paniką w oczach spojrzał na pochyloną nad Lintonem dziewczynę. - Słyszałaś, co on powiedział? Że tutaj zaraz będą

kolesie tego draba!

Z holu dobiegł kolejny łoskot, a na zewnątrz musiało coś się przewrócić, bo doszedł do nich brzęk rozbijanego szkła.

- Ja pierdolę! - Patryk rozejrzał się dookoła. - Te psy zaraz się tutaj wedrą!

Karen podniosła głowę i obrzuciła nieprzytomnym wzrokiem hol, skąd dobiegały odgłosy skaczących na drzwi rottweilerów.

- Samochód stoi pod samymi schodami. - Poderwała się i podbiegła do okna.

- I co z tego? - spytał Patryk drżącym z emocji głosem. - To są trzy rottweilery! Rozszarpią nas na strzępy, zanim zejdziemy ze schodów.

Drzwi wejściowe ponownie załomotały, a pies na zewnątrz zaniósł się wściekłym charkotem, drapiąc zapamiętałe drewno.

- Musimy je jakoś odciągnąć! - Karen zrobiła krok w stronę holu, zatrzymała się niezdecydowanie i spojrzała na leżącego Lintona. - Nie możemy go tak zostawić.

- Przecież mu nie pomożemy. Pogotowie jest w drodze! - Patryk aż się skulił na dźwięk kolejnego odgłosu abordażu, jaki przypuściły rottweilery.

- Drzwi na tyłach! - Karen ruszyła w stronę holu, po czym zatrzymała się i wróciła do stołu. Starając się nie wdepnąć w kałużę krwi, ukucnęła przy stole i podniosła z podłogi dokument i sztambuch. Ze stołu zgarnęła dwa pozostałe listy i tablet i wrzuciła do plecaka.

Wybiegli do holu akurat w momencie, gdy drzwi ponownie załomotały, a ze ściany obok posypał się tynk. Przebiegli korytarzem na tyły domu i wpadli do bocznego pomieszczenia, z którego prowadziło wyjście do parku. Tego samego, z którego dwa dni wcześniej wyszli do grobowca Wilhelma i Josephine.

Karen złapała za kłamkę i otworzyła drzwi. Prowadziły na boczną werandę, z której zwieszały się tutaj długie liany winorośli.

- Co robisz? - Patryk wyjrzał na zewnątrz. Od frontu dochodziły dzikie odgłosy trzech rozwścieczonych psów.

- Musimy je tutaj ściągnąć. - Karen zatrasnęła drzwi i rozejrzała się w panice po pomieszczeniu. - Może czymś je zwabimy? Gdzie może być lodówka?

- W kuchni - jęknął Patryk. - Nie mam pojęcia, gdzie jest kuchnia. Boże! Zginiemy tutaj!

- Zaraz będzie policja. Uratują nas.

- Zaraz?! - jęknął Patryk. - Z Richmond? Za półtorej godziny!

- Nie z Richmond! To lokalna policja. Z Williamsburga chyba! Pół godziny!

- Te psy nas zezrą w pięć minut. Albo te bandziory przyjadą wcześniej. Ten koleś pewnie wezwał ich jeszcze nim tu przylazł.

Z głębi domu doszedł ich nagle łoskot czegoś przewracającego się na posadzkę, a tuż potem głośny brzęk tłuczonego szkła. I wreszcie charakterystyczny miękki odgłos psich łap i budzący grozę charkot dobywający się z gardła zwierzęcia.

- Musiały się wedrzeć przez okno na tyłach! - Patryk dopadł drzwi do pomieszczenia i zatrzasnął je. Karen chwyciła za blat stojącej pod ścianą komody i z trudem odsunęła ją od ściany.

- Ja to zrobię, a ty trzymaj te drzwi! - Patryk rzucił się do komody i szarpnął wściekle. Ciężki mebel z potępińczym jękiem przesunął się po kamiennej posadzce. Karen skoczyła do Patryka i razem popchnęli komodę, która szurając, przesunęła się kolejne centymetry. Oboje napięli mięśnie i szafka dotarła w końcu do drzwi.

W samą porę, bo niedługo potem na drzwi z wściekłością skoczył pies.

Patryk odsunął się i ze wzrokiem wbitym w łomoczące drzwi i trzeszczące zawiasy stanął na środku pomieszczenia.

- Musimy wszystkie trzy tam ściągnąć. - Karen chwyciła stojącą w kącie miotłę i walnęła nią w drzwi.

- Chryste! - Patryk odskoczył, gdy drzwi prawie wyrwały się z ościeżnicy pod ciężarem rottweilera.

Gdzieś w korytarzu słychać było szczekanie i odgłosy biegnących psów.

Po chwili tuż obok usłyszeli warkot dobywający się z trzech potężnych gardeł.

Karen wyrznęła kilka razy miotłą w drzwi.

Oszalałe z wściekłości rottweilery rzuciły się na nie, drapiąc pazurami w futrynę.

- Jesteś pewna, że były trzy? - Patryk podszedł do wyjścia na zewnątrz, uchylił je i spojrział przez szparę.

- Tak mówił Linton. Trzy rottweilery. Pierwszy wdarł się przez drzwi na tyłach, a teraz słyszałeś dwa następne.

- To mamy jedyną szansę. - Patryk wciągnął głośno powietrze. - Albo zostajemy tutaj i liczymy, że policja dojedzie na czas.

- Nie mam pojęcia, co policja robi w takim wypadku - jęknęła Karen. - Pewnie je zastrzelą.

- Chyba że będą z jakimiś rakarzami. - Patryk wyjrzał ponownie przez drzwi. - Jeśli rozwały drzwi tarasowe albo jakieś okno na tyłach, to znaczy, że głównego wejścia nie sforsowały. Będą mieć daleko. Mamy szansę zdążyć do samochodu.

- Biegnij pierwszy! - Karen chwyciła miotłę i jeszcze raz wyrzuciła ją w drzwi. - Won, kundle!

- Zwariowałaś? - Patryk spojrzał na dziewczynę z przerażeniem.

- Jak pobiegniemy oboje, to się zorientują. Odciągnę ich uwagę. Ja biegam szybciej niż ty. Leć!

Walnęła kilka razy w drzwi, a psy ponownie natarły z impetem.

Karen nawet nie chciała myśleć, co by z nimi zrobiła, gdyby teraz po tym wszystkim ich dopadły. Pokazała niecierpliwie oczami Patrykowi wyjście i przyłożyła palec do ust, aby był cicho, żeby nie usłyszały, jak otwiera drzwi zewnętrzne.

Patryk cicho otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Miał wrażenie, że serce wyrwie mu się zaraz z klatki piersiowej, względnie, że zemdleje, a wtedy te bestie go po prostu pożrą.

Wziął kilka głębokich oddechów, a następnie, starając się robić to jak najciszej, pobiegł wzdłuż bocznej ściany budynku. Gdy dopadł narożnika, wyjrzał ostrożnie zza niego na front.

Samochód stał na podjeździe. Wokół w żwirze widać było ślady psich łap. Na drzwiach odznaczały się liczne rysy po pazurach.

Obejrzał się. Karen jeszcze nie wybiegła z sieni. Pewnie odliczyła czas niezbędny do tego, żeby dobiegł do samochodu. Ryzykowne, bo co, jeśli psy go usłyszą i nawet gdy wsiądzie do samochodu, wypadną przed front? Karen będzie odcięta.

Zamknął na chwilę oczy i ruszył biegiem w kierunku toyoty.

Karen walnęła po raz ostatni w drzwi, po czym zrobiła kilka kroków w kierunku wyjścia. Gdy stanęła w progu, rzuciła miotłą, trafiając dokładnie w środek skrzydła i wywołując kolejny zmasowany atak

rottweilerów.

Ruszyła biegiem w kierunku narożnika budynku, gdy nagle za jej plecami rozległ się głośny łomot. Odwróciła się na moment i usłyszała najpierw skowyt jednego z psów, a niedługo potem mrozący krew w żyłach charkot. Wiedziała, że to komoda musiała runąć na ziemię.

Była już przy narożniku, kiedy kątem oka zauważyła, jak z budynku wypada pierwszy pies, a tuż za nim dwa pozostałe.

Rozdział 8

*Dawno, dawno temu...
W królestwie Prus.*

Późnym popołudniem, gdy słońce stało już na tyle nisko, że cienie kładły się na trawnikach długimi duchami drzew, koni i budynków, a światło miało już ten charakterystyczny dla jesiennych wieczorów kolor ciemnego złota, odbyło się uroczyste zakończenie polowania. Na podzamczu pomocnicy i stajenni rozłożyli pokotem upolowaną zwierzynę, wszyscy uczestnicy stanęli w szeregu jak podczas musztry, a huntsman złożył uroczysty raport z przebiegu polowania i ogłosił króla i wicekróla łowów.

Wiktoria, która nie lubiła tego ceremoniału, wycofała się na tyły tłumu zgromadzonego przy murowanym ogrodzeniu podzamcza. Damy nagradzały oklaskami i perlistym śmiechem krótkie przemowy uczestników i żarty huntsmana.

Nigdy nie udało jej się odgraniczyć tych dwóch kłopotliwych faktów, a mianowicie tego, że jedzenie, które podawano jej podczas każdego posiłku, musiało przecież skądś się wziąć. Jako dziecko wierzyła, że to dobry Bóg zsyła je wprost do spiżarni, ale starsi bracia szybko ją uświadomili, że śniadania, obiady i kolacje muszą być poprzedzone złożeniem ofiary z jakiegoś nieszczęsnego bażanta, głuszca, dzika czy jelenia.

W jej domu rodzinnym polowanie było częścią życia codziennego, tak jak zajmowanie się ogrodem, gdzie także przecież ścinano róże czy malwy, pozbawiając je życia, lub gdy na rosół musiał dać głowę pod topór jakiś kogut z gospodarstwa. Traktowała to jak niezbyt przyjemny, ale stanowiący nieodłączną część życia aspekt.

Polowania w wielkich majątkach miały jednak świetną oprawę, a pokot był niejednokrotnie tak ogromny, jak sterty ofiar na średniowiecznych polach bitew. Zanim więc huntsman i sygnaliści zadęli w rogi, zanim odprawiono ceremoniału składania hołdu zabitej zwierzynie, poprosiła

o zwolnienie jej z obowiązku towarzyszenia w uroczystości i udała się na spacer wokół wyspy. Okrążyła zamek od strony północnej, gdzie rozciągał się park, a dalej ciemniał już złowrogo las nad bagniskami, i poszła na tyły zamku, gdzie nad samym brzegiem jeziora był taras z balustradą, na której stały kamienne amfory, a z nich spływały kaskady kwitnących jeszcze sezonowych kwiatów.

Od kontemplowania widoków oderwały ją głośnie śmiechy i krzyki. Odwróciła się i zobaczyła zbiegającą schodami z tarasu przy zamku czeredę dzieciaków. Byli wśród nich także Aleksander i jego dwie młodsze siostry. Chłopak zauważył Wiktorię, uklonił się jej szarmancko i pognął za resztą dzieciarni.

Wiktoriana uśmiechnęła się pod nosem i ruszyła w kierunku schodów. Była już najwyższa pora, żeby przygotować się do kolacji. Za chwilę panowie zostaną przy ognisku, gdzie będą sami siebie nawzajem podziwiać i komplementować, a panie udadzą się poprawiać toalety przed wieczerzą. Tym razem księżna już by jej nie darowała kolejnego spóźnienia.

Ale nie zdążyła dotrzeć do swojego pokoju. Trafiała w sam środek awantury, a wszystko wskazywało na to, że polowanie skończy się skandalem.

Wiktoriana postanowiła iść do swojego pokoju przez salę książęcą, dlatego też weszła po schodach na pierwsze piętro i ponownie znalazła się przy wejściu do biblioteki, za którą mieściły się prywatne pokoje baronowej. Drzwi do biblioteki były uchylone i dobiegały stamtąd przyciszone głosy. Tym razem jednak chciała przemknąć dyskretnie przez korytarz, nie interesowały jej kolejne awantury u baronowej. Swoją drogą, pomyślała, mijając wejście do biblioteki, baronowa musi mieć chyba naprawdę sporo kłopotów ze służbą i mnóstwo problemów na głowie przez to polowanie i całą czeredę gości w zamku.

Prawie udało jej się dojść do wejścia prowadzącego do sali książęcej, gdy usłyszała za plecami, jak drzwi do biblioteki stają otworem.

- I kogóż my tu mamy? - Za plecami usłyszała damski głos. Z niewiadomych powodów był on pełen szyderstwa.

- Słucham? - Odwróciła się zdziwiona.

W progu biblioteki stała Katarina von Walter i patrzyła na Wiktorię wzrokiem, w którym widać było drwinę i, co dziwniejsze, pewną

podejrzliwość.

- Co pani tutaj robi? - zapytała obcesowo Katarina von Walter, patrząc na Wiktorię tak, jakby spodziewała się niezwłocznie wyczerpujących informacji.

- To korytarz - odpowiedziała Wiktorja, ganiąc się w duchu, że ponownie nie udało jej się powstrzymać przed nazbyt zuchwałą reakcją. Ale kobieta najwyraźniej była wrogo do niej nastawiona. Czy to przez tę nieszczęsną rozmowę z jej córką przy śniadaniu?

- Wiem, co to za część budynku, moja droga. - Katarina von Walter zacisnęła usta. - Pytanie brzmi, co pani tutaj robi, podczas gdy reszta gości bawi się na zewnątrz. Także księżna Fryderyka i księżniczka Eliza.

- Udaję się do swojego pokoju. - Wiktorja patrzyła na Niemkę coraz bardziej zdziwionym wzrokiem. Czuła, jak narasta w niej irytacja, ale i niepokój.

- Panno Wiktorio. - W drzwiach, za plecami pani von Walter, pojawiła się baronowa i skinęła na Wiktorię. - Proszę tutaj do nas wejść. Chciałabym z panią porozmawiać.

- Czy coś się stało? - Wiktorja patrzyła na gospodynię z rosnącym napięciem.

- Proszę do środka. - Baronowa odsunęła się i przepuściła Wiktorię do wnętrza biblioteki.

W środku, przy jednym z globusów, stał tyłem książę Adam i milczał. Nie spojrzał nawet w jej kierunku, gdy weszła. Na jednej z otoman przy kominku siedziała zaś Anna von Walter i spoglądała na Wiktorię z dziwnym wyrazem twarzy.

- Panno Wiktorio. - Baronowa stanęła przed Wiktorją i westchnęła. - Panna Anna właśnie poinformowała mnie, że z jej pokoju zniknęła kolia, drogocenna pamiątka rodzinna.

Baronowa przerwała i spojrzała uważnie na Wiktorię.

W bibliotece zapanowało milczenie. Wiktorja przez dłuższą chwilę nie wiedziała, co może ją łączyć z zaginięciem jakiejś kolii, gdy nagle zaświtało jej w głowie, że... To niemożliwe!

- Dlaczego mnie akurat pani o tym mówi? - zapytała, spoglądając na baronową.

- Kolia była na miejscu jeszcze dzisiaj rano - podjęła baronowa. - Anna ją przymierzała, chciała bowiem włożyć ją do śniadania. Zaniechała tego

pomysłu, gdyż kolia nazbyt strojna jej się na taką okazję wydała. Ale dzięki temu doskonale pamięta, że o godzinie ósmej kolia była jeszcze w pokoju.

- Nadal nie wiem, co mam z tym wspólnego. - Wiktoria czuła rosnącą z wolna złość.

- Nie była pani na śniadaniu. Nie była pani także na rozpoczęciu polowania, a na piknik spóźniła się pani. Księżna Fryderyka mi o tym wspomniała.

Baronowa Henrietta przyglądała się uważnie Wiktorii.

- Opuściła pani także uroczyste zakończenie polowania.

- Cóż za niegrzeczność, swoją drogą - wtrąciła Katarina von Walter. - Jeźdźcy oczekiwali wszak naszej uwagi.

- Katarino. - Baronowa spojrzała przeciągle na przyjaciółkę.

- Na śniadaniu nie byłam, gdyż dotrzymywałam towarzystwa księżniczce Elizie. - Wiktoria, zanim zaczęła mówić, policzyła w myślach do dziesięciu. Pomyślała, że tylko zimna krew zdoła jej pomóc w tej sytuacji. - Księżniczka to z pewnością potwierdzi. Przed polowaniem natomiast wybrałam się na spacer. Spotkałam tam hrabiego von Enckevorta i zamieniłam z nim kilka słów. Wprost ze spaceru przyszedłam na piknik.

- Wczoraj na kolacji również pani nie było - odezwała się Anna von Walter. - Rzekomo dlatego, że źle się pani czuła. Wcześniej natomiast w doskonałym zdrowiu nakrył panią księżę. Myszkowałam pani w archiwum.

- Anno! - Baronowa spiorunowała dziewczynę wzrokiem. - Miarkuj się. Czy może pani wytłumaczyć, co robiła wieczorem na korytarzu skrzydła południowego? Dokładnie w czasie kolacji?

- Wtedy, gdy rzekomo była pani niedysponowana - wtrąciła ponownie Anna von Walter.

Wiktoria przypomniała sobie, że powiedziała Elizie, że nie jest głodna. Prawdopodobnie Eliza zamieniła to w złe samopoczucie, gdyż jako wymówka lepiej to pewnie zabrzmiało. Cała Eliza.

- Zeszłam do kuchni, żeby poprosić o coś do picia - odpowiedziała ostrożnie.

Baronowa pokręciła głową.

- Kucharka ani służebne pani w kuchni nie widziały.

- Ponieważ służba akurat jadła kolację. Nie chciałam przeszkadzać i wróciłam do siebie.

- Bardzo wygodne wytłumaczenie - prychnęła Katarina von Walter.

- Skoro kolia była na swoim miejscu dzisiaj rano, jakie znaczenie ma to, gdzie byłam wczoraj wieczorem? - Wiktoria popatrzyła na Annę z niechęcią.

- Jeszcze nie wiadomo, czy komuś innemu także coś nie zginęło - syknęła Anna von Walter i spojrzała na księcia, jakby szukając u niego wsparcia. Ale książę pochylił tylko głowę i zacisnął usta.

Wiktoria spojrzała na młodą Niemkę z mieszaniną złości i urazy. Jak to możliwe, że na podstawie tak błahych przesłanek oskarżyły ją o kradzież?

- Dobrze. - Baronowa westchnęła. - W takim razie z całą pewnością nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żeby ktoś przeszukał pani pokój?

- Oczywiście, że nie. - Wiktoria pokręciła głową.

Kilka minut później stała w progu i patrzyła, jak ochmistrzyni przetrząsa jej prywatne rzeczy. Wyciąga z szafy ubrania, sprawdza kieszenie sukni i grzebie w zakamarkach jej sakwojażu.

Czuła się tym wszystkim zbrukana do tego stopnia, że nie marzyła już o niczym innym, jak o tym, żeby wyjechać z tego miejsca. Nieważne, w jakim charakterze. Bo co będzie, jeśli ktoś jej tę kolię podrzucił? Zostanie uznana za złodziejkę, odwiozą ją do karceru i skończy w jakimś przerażającym więzieniu dla kobiet. A na domiar złego rzuci to również cień na reputację Elizy i jej matki. Wiadomo dlaczego.

- Wygląda na to, pani baronowo, że niczego tu nie ma. - Ochmistrzyni odłożyła w końcu podróżną torbę Wiktorii na łóżko i obrzuciła chłodnym spojrzeniem Annę von Walter.

- Nie mamy jednak pewności, czy kolia nie została ukryta w innym miejscu - skomentowała to od razu Katarina von Walter.

- Właśnie! - zawtórowała jej córka, którą efekt komisijnego przeszukania pokoju najwyraźniej rozczarował.

- Dosyć! - przerwała baronowa. - Podejrzenia wobec panny Wiktorii nie potwierdziły się, nie ma zatem żadnego powodu, byśmy dalej ją prześladowały. Proponuję skończyć na tym tę żalospisną awanturę. Jestem tutaj gospodynią, dlatego poczuwam się do winy i wynagrodzę tę stratę.

Katarina von Walter się zachnęła.

- Nie wygłupiaj się, Henrietto! Nigdy na to nie pozwolę!

- W takim razie proponuję, żeby się rozejść. - Baronowa niczym generał na polu bitwy wskazała ruchem głowy korytarz prowadzący do

głównego skrzydła zamku.

Ochmistrzyni ukłoniła się baronowej i zniknęła jak duch na schodach do kuchni. Anna, nie ukrywając rozczarowania, podażyła za matką.

Baronowa poczekała chwilę i zwróciła się przyciszonym głosem do Wiktorii:

- Doceń to, moja droga, że nie zgodziłam się, żeby powiadomić o wszystkim księżną. Taki afront musiałby wpłynąć na jej stosunek do ciebie.

- Ale ja niczego nie zrobiłam - powiedziała z urazą Wiktorii. - Nigdy w życiu niczego nie ukradłam.

- Uwierz mi, dziecko, że w tych sferach to akurat nie ma żadnego znaczenia. Jeśli pogłoska o tym skandalu rozeszłaby się w Berlinie, to księżna musiałaby się ciebie pozbyć.

Baronowa westchnęła, położyła dłoń na ramieniu Wiktorii, po czym poszła w ślad pań von Walter.

Pół godziny później Eliza, z wystudiowaną obojętnością poddająca się zabiegom swojej pokojowej, w końcu nie wytrzymała, ruchem ręki powstrzymała ją przed dopinaniem kolejnych haftek sukni i odwróciła się do siedzącej z nosem na kwintę Wiktorii.

- Powiesz mi w końcu, co cię tak zasmuciło, czy nadal będziesz siedziała jak na skazaniu?

Wiktorii w odpowiedzi tylko ciężko westchnęła.

- Ktoś ci jakąś nieprzyjemność zrobił? Może jakiś mężczyzna? - Eliza ruchem głowy odprawiła pokojową, która ukłoniła się i dyskretnie zniknęła za drzwiami.

Księżniczka, zaprawiona w bojach z liczną niczym pruska armia służbą w pałacu swojej matki w Berlinie, wstała, podeszła cicho do drzwi i gwałtownie je otworzyła.

Młodsza pokojowa była jednak na tyle przytomna, żeby wiedzieć, kiedy można sobie pozwolić na niedyskrecję, i zniknęła już chwilę wcześniej na schodach.

- A teraz mów wszystko jak na spowiedzi. - Eliza usiadła na krześle przy toalecie i wbiła zafrasowany wzrok w przyjaciółkę. - Czy jakiś mężczyzna czynił ci nieprzyzwoite awanse?

Wiktorii pomyślała, że z tym to akurat poradziłyby sobie bez

dramatów, ale niesprawiedliwe oskarżenia, bazujące w dodatku najwyraźniej na jej pochodzeniu i narodowości, sprawiały, że czuła się bezsilna z żalu i złości.

Po upartych naleganiach Elizy opowiedziała w końcu o ostatnich wydarzeniach, a z rozpędu wyjawiała także, że i księżę Adam brał w nich udział. Jego prawdopodobnie wszak na świadka wezwała Anna von Walter, gdy tylko dowiedziała się o ich nieszczęsnym tete-a-tete na wieży zamkowej.

- Bardzo nieładnie z jej strony - skomentowała dyplomatycznie Eliza, gdy Wiktoria skończyła mówić. - Ale księżę, z tego, co mówisz, wydawał się tą sytuacją zaambarasowany chyba?

- Tak mi się zdaje. - Wiktoria pokiwała głową. - Wyglądał tak, jakby chciał się znaleźć gdzie indziej, ale nie mógł chyba odmówić udziału w tej maskaradzie baronowej, pod jej dachem.

- Pożałowania godne. - Eliza ściągnęła brwi. - Niemniej kolia, z tego, co zrozumiałam, naprawdę zniknęła...

Wiktoria, zszokowana, spojrzała na nią z urazą.

- Nie podejrzewasz chyba, że coś było na rzeczy w tych oskarżeniach?

- Ależ skąd. - Eliza prychnęła. - Nie wygłupiaj się. Twierdzę jednak, że kolia rzeczywiście zniknęła, co dla cioci Henrietty jest niemałym problemem. A jeśli się jeszcze okaże, że komuś innemu również coś zginęło. - Eliza, ku zdumieniu Wiktorii, parsknęła śmiechem. - Mama miałaby używanie.

- Baronowa akurat zachowała się bardzo przyzwoicie - zaprotestowała Wiktoria. - Nie miała zresztą innego wyjścia, musiała to wyjaśnić. Została postawiona przed tym faktem, tak samo jak księżę Adam.

Eliza uśmiechnęła się pod nosem.

- Zdradzę ci pewną tajemnicę. - Ściszyła głos i pochyliła się nad zaciekawioną Wiktoria. - Anna von Walter jakieś dwa lata temu była swatana księciu. Biedaczka, bardzo liczyła na to małżeństwo. Chyba się dokumentnie w księciu zadurzyła. Ale on nie okazał jej żadnego zainteresowania. - Eliza westchnęła. - Myślę, że jego przyjazd tutaj jest dla niej sporym strapieniem. Zwłaszcza że już się rozniosła wśród gości plotka, że księżę przyjechał tutaj z mojego powodu.

Eliza ponownie ciężko westchnęła.

- Sądzisz, że to dlatego mnie akurat dokucza? - spytała zaskoczona

Wiktoria.

- Mnie by się nie ośmieliła, więc bardzo możliwe - prychnęła Eliza. - Proponuję przestać się tym przejmować. Poza tym pamiętaj, że jutro jest bal, a ty masz praktycznie cały kajecik wypełniony.

- Nie wiem, czy w tej sytuacji w ogóle wezmę udział w balu. - Wiktoria pokręciła głową ze znużeniem. - Pod ostrzałem krytycznych spojrzeń Anny, jej matki i pewnie wielu innych gości, którym w tajemnicy o wszystkim wypaplały.

- Ależ oczywiście, że weźmiesz. - Eliza pokiwała głową z pewnością siebie.

W jej oczach, ku zaniepokojeniu Wiktorii, nagle pojawiły się jakieś chochliki, a to zazwyczaj wróżyło problemy. Jak na przykład wtedy, gdy udały się same do parku w Berlinie. Wcześniej wyprowadziły w pole towarzyszące im dwórki, a potem szantażowały je, że nikomu nie mogą o tym nawet wspomnieć.

- Postaramy się coś poradzić na niecne zakusy plotkar - powiedziała Eliza, uśmiechając się pod nosem z entuzjazmem.

- Już się boję, co też znowu wymyśliłaś. - Wiktoria uśmiechnęła się nerwowo.

Przemknęło jej przez myśl, żeby tylko pomysły Elizy jeszcze większych problemów na jej głowę nie sprowadziły.

Spędziła jeszcze z Elizą na miłej pogawędce z pół godziny i wreszcie pożegnała się i ruszyła do swojego pokoju. W korytarzu paliły się jeszcze kinkiety i czuć było zapach świec, który Wiktoria lubiła, ale który kojarzył się jej także z samymi nieszczęściami. Wiele domów na Kresach szło z dymem przez drobną nieuwagę. Wystarczyło, że ktoś zasnął w fotelu i nieuwważnym ruchem strącił lichtarz na dywan, żeby dom stanął w ogniu. W zamku dopiero po godzinie dwudziestej drugiej lokaje chodzili po korytarzach i gasili płonące lichtarze i kinkiety. Pewnie nie był to stały obyczaj, a jedynie wprowadzony na czas pobytu licznych gości.

Wiktoria, pogrążona w rozmyślaniach nad nowoczesnymi technikami oświetlenia stearyną^[9], o których słyszała, o mały włos, a wpadłaby na jakiegoś postawnego mężczyznę, który schodził właśnie po schodach. Przez moment myślała, że to jakiś lokaj, i chciała go wyminąć bez słowa, gdy zauważyła, że to sam książę August, brat jej chlebobawczyń.

- Książę. - Ukłoniła się, odsuwając się na bok.

- Panno Wiktorio. - Mężczyzna skłonił grzecznie głowę i nie czekając na jej reakcję, wyminął ją i ruszył korytarzem w kierunku pokoi dla gości.

Wiktorcia, zaskoczona tym, że książę zapamiętał jej imię, zbiegła po schodach piętro niżej i udała się do swojego pokoju.

Tymczasem całkiem niedaleko, zaledwie dwanaście kilometrów na wschód, w otwartą na oścież bramę wjeżdżała niewielka kawalkada jeźdźców i czarna berlina ciągnięta przez dwa białe wałachy. Karetą minęła bramę i potoczyła się długim podjazdem w kierunku wielkiego, piętrowego dworu nakrytego wysokim, mansardowym dachem. Na podjeździe paliły się latarnie, a za dworem szumiały drzewa parku.

- Nareszcie w domu. Jak dobrze, że mamy to już za sobą - powiedział z widoczną ulgą mężczyzna ubrany w czerwony, niemodny od co najmniej dziesięciu lat surdut. Miał długie ciemne włosy, związane na karku wstążką.

- Mówisz, jakbyśmy co najmniej do Wiednia wyjeżdżali, a nie do sąsiedniego majątku, odległego w dodatku o siedem mil jedynie - parsknęła ironicznie kobieta okryta płaszczkiem obramowanym gronostajami. - Poza tym jutro znowu tam jedziemy.

- Na Boga! Co też ty opowiadasz, Johanno? Po jakiego diabła?! - Mężczyzna, który oparł wcześniej głowę o skórzaną kanapę, poderwał się i spojrzał na żonę z niekłamanym zdumieniem.

- Karl, ty żyjesz w jakimś innym świecie. - Kobieta pokręciła z niezadowoleniem głową. - Toż przecie na bal jedziemy!

- O Chryste! - Karl von Enckevort oparł się ponownie o kanapę i ciężko westchnął. - Zupełnie zapomniałem.

- Tatku, a o tym, że obiecałeś nas zabrać do lasu na wycieczkę, też zapomniałeś? - zapytała z niepokojem siedząca naprzeciwko rodziców dziewczynka.

- Nie, Weroniko, o tym pamiętam. - Mężczyzna uśmiechnął się dobrodusznie.

- No oczywiście - skwitowała ironicznie jego małżonka. - Do lasu, na jakieś spacer, gdzie chorobę jaką można złapać, to kontent. Ale przypominam ci, mężu, że bal to poważna sprawa. Musimy w końcu wyswatać twojego najstarszego syna. - Kobieta odwróciła się do jadącego

obok powozu konno młodzieńca. - Bruno, czy jakaś młoda dama nie zwróciła przypadkiem twojej uwagi u baronowej?

- Ależ oczywiście, Johanno. - Bruno uśmiechnął się i puścił oko do siedzących w powozie dwóch siostrzyczek, Weroniki i Juliany.

Obie zachichotały.

- To nie jest temat do żartów - zachnęła się Johanna. - Czas ucieka.

Bruno wzniosł oczy do nieba i pokręcił głową.

Dwaj jadący za czarnym ogierem chłopcy parsknęli śmiechem.

- No właśnie, Bruno - odezwała się po krótkiej chwili milczenia Juliana. - Nawet Aleksander już się zakochał, a ty kiedy zamierzasz?

- Juliana! - Młodszy z chłopców zaczerwienił się i spojrzał ze złością na siostrę. - Lepiej trzymaj buzię na kłódkę!

- Zakochałeś się! Zakochałeś się!

- Jak się nie zamkniesz, to powiem, co robiłaś w zamku!

- Aleksandrze! - Matka ofuknęła syna. - Jak ty się odzywasz do siostry?

- Co robiłaś w zamku? - Karl von Enckevort otworzył oczy i spojrzał z niepokojem na starszą z córek.

- Nie robiłam nic złego! - zaperzyła się dziewczynka. - Aleksander przedstawił nas panience Wiktorii, która go uratowała...

Dziewczynka zakryła usta dłonią.

- Uratowała? - Matka dziewczynek odwróciła się gwałtownie w kierunku Aleksandra, który patrzył na obie siostry z morderczym błyskiem w oczach. - Jak to uratowała? Przed czym?

- Przed niczym, mamusiu. - Aleksander pokręcił głową. - Juliana plecie głupoty.

- Uratowała, bo spadłeś z Beliala! Ojejku! Tego też miałam nie mówić.

- Nie ja spadłem, tylko Eugen.

- Zamknij się! - warknął starszy brat i kopnął Aleksandra w strzemię.

- Z Beliala? - Uśmiechający się do tej pory pod nosem Bruno zmarszczył brwi i spojrzał groźnie na młodszych braci.

- To nic takiego. - przestraszony Eugen wsunął głowę w ramiona. - Nic się nam nie stało.

- Któryś wsiadał na Beliala? - Bruno patrzył ze złością na chłopców.

- Co robiłaś w zamku? - Ojciec spoglądał z coraz większym niepokojem na starszą córkę.

- Oj, tatku.

- Ty coś wiesz na ten temat? - Mężczyzna zwrócił się dla odmiany do młodszej córki. Weronika, siedząca z opuszczoną głową, tylko pokręciła nią, zaprzeczając.

- Pourydam wam łby, obiecuję! - warknął Bruno, torpedując wzrokiem młodszych braci.

- Johanno. - Karl von Enckevort spojrział na swoją żonę. - Z wszelkich klęsk, które spowodowały twoje dzieci, ty będziesz się jutro tłumaczyła. Ja zostaję w domu. Słowo daję, jak wieprze, które w szkodę wlaży.

- Nie zrobiliśmy żadnych szkód. Co też tatko! - Juliana wydeła usta i zrobiła obrażoną minę. - To wszystko wina Aleksandra!

- Zamknij się, smarkulo! - Młodszy z braci szarpnął wodze i podjechał bliżej powozu. - To Eugen wystraszył Beliala, nie ja!

- Zamknij się! - Eugen uderzył bacikiem młodszego brata.

- Nie wyjdziecie z lochu przez tydzień! Wszyscy - warknął ojciec.

- Nie mamy lochów!

- Czas najwyższy to naprawić, jak widać.

W ten oto sposób wszystkie tajemnice młodszego rodzeństwa von Enckevort spektakularnie, w świetle księżyca i latarni migoczących przed dworem wyszły na jaw. Powóz zwolnił i wjechał na gazon.

Gdy z domu wysypała się na schody garstka służących, Karl von Enckevort cały czas jeszcze rozmyślał, jak wymigać się od jutrzejszego balu. Jego najstarszy syn natomiast solennie obiecywał sobie w duchu porozmawiać poważnie z Aleksandrem i Eugenem, a nawet ich zabić, jeśli będzie taka potrzeba, ale przed oczami wyobraźni miał jednak wciąż postać Wiktorii.

Toteż Johanna, obserwująca go dyskretnie i jak większość matek kierująca się szóstym zmysłem, od razu poczuła, że z tego to mogą być jednak kolejne kłopoty.

Sobota zaczęła się śniadaniem, na którym wiało chłodem, jakby odbywało się ono za kołem podbiegunowym bez mała, a nie w czasie wyjątkowo upalnej jesieni na Pomorzu.

Wiktorii nie odezwała się ani słowem, a gdy baronowa, która starała się jakoś podtrzymać rozmowę, dała w końcu za wygraną i podziękowała wszystkim, szepnęła Elizie, że idzie napisać kilka listów,

i umknęła do swojego pokoju.

Podczas tego poranka miała wrażenie, że ani Anna von Walter, ani książę nie spuszczają z niej oka. Raz czy dwa, gdy podnosiła głowę, aby podziękować służącemu, który stawiał przed nią jakąś potrawę, lub gdy sięgała po coś na stół, natykała się na ich spojrzenia. Niechętne w przypadku Anny von Walter i nieokreślone księcia.

Przez chwilę zastanawiała się nawet nad tym, co też książę myśli sobie o niej po tym incydencie, ale potem i to ją zmęczyło.

Aby nie kusić więcej losu, wybrała drogę przez kredens za jadalnią, wyszła na boczne schody i po chwili była już u siebie w pokoju.

Nie nacieszyła się jednak długo samotnością i świętym spokojem, gdyż zaraz właściwie, jak tylko skupiła się na pisaniu listu do matki i sióstr do Połowian, ktoś zastukał.

W drzwiach stała pokojówka. Wiktoria ją doskonale pamiętała. To była ta przeziębiona dziewczyna, którą jakiś kamerdyner tak ostro potraktował u baronowej, że aż umknęła stamtąd zapłakana, ledwie wpadając na Wiktorię na schodach.

Nadal musiała być chora, bo pociągała nosem.

Pani baronowa zapraszała Wiktorię do siebie, do biblioteki.

Chwilę później Wiktoria szła za pokojówką z duszą na ramieniu, spodziewając się wszystkiego, co najgorsze.

Jeśli okazało się, że podczas wczorajszych uroczystości, kiedy to wszyscy praktycznie byli w ogrodach zamkowych i na podzamczu, jeszcze komuś coś zginęło, to tym razem się nie wywinie. Te dwie zołzy nie spoczną, dopóki żandarm nie zabierze jej stąd do karceru. Najłatwiej rzucić winę na biedną dwórkę, która miała to nieszczęście, że plątała się po zamku jak nieprzytomna. A jakaż to byłaby wyrafinowana zemsta na Elizie. Jaka dwórka, taka pani. Baronowa miała rację, plotki pewnie ciągnęłyby się za tymi wydarzeniami przez całe lata. Przez lata Berlin by wspominał, jak to zaufana dwórka księżnej okradła gości w zamku baronowej.

Gdy więc całe prawie życie przebiegło jej przed oczami, mimo że za kradzież nie karano już w Prusach śmiercią od stu lat bez mała, Wiktoria stanęła przed drzwiami biblioteki, myśląc o wszystkim, co najgorsze.

Pokojówka wpuściła ją do środka, ukloniła się i uciekła.

Wiktoria natomiast minęła próg i stanęła jak wryta.

Pod oknem, pogrążeni w pogodnej rozmowie, stali baronowa oraz, o zgrozo, Bruno von Enckevort!

Na jej widok baronowa uśmiechnęła się szeroko i podeszła bliżej.

- Tak myślałam właśnie, po naszej wczorajszej rozmowie, że nie należysz raczej, moja droga, do tuzinkowych osób. - Baronowa patrzyła na Wiktorię rozbawionym spojrzeniem, w którym kryła się przekora. - Gdybym wiedziała, że tak dobrze jeździ pani konno, to zupełnie inaczej zorganizowałabym wasz pobyt tutaj.

Wiktoria, kompletnie zaskoczona, przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Od razu natomiast przypomniała sobie dwóch młodszych braci Brunona. To łobuzy! Pewnie nie udało im się utrzymać języka za zębami.

- I jak pani znajduje moje siodło? - Baronowa trzymała się tematu, który jak widać bardzo był bliski jej sercu.

- Doskonale. - Wiktoria skinęła głową. - Pozwala utrzymać równowagę nawet podczas galopu.

- Prawda? - Baronowa uśmiechnęła się szeroko. - To prawdziwy dramat, że my, kobiety, nie możemy czerpać takiej samej przyjemności z jazdy konnej jak mężczyźni. Ale niedługo to się zmieni, zobaczy pani.

Wiktoria, skołowana przemianą baronowej, która nie dalej jak wczoraj jawiła się niczym rozstawiająca wszystkich po kątach imperatorowa, a dzisiaj, zdawać się mogło, że nie ma bardziej poczciwej osoby, dopiero po chwili zauważyła, że stojący skromnie z boku Bruno trzyma coś za plecami.

- Są dla pani. - Młodzieniec podszedł do niej i wyciągnął w jej kierunku ogromny bukiet kwiatów. - Proszę przyjąć moje najszczerze podziękowania. Gdyby nie pani, to pewnie mój ukochany Belial połamałby sobie nogi. - Bruno uśmiechnął się łobuzersko. - Nie wspominając o moim bracie. Chociaż, Bogiem a prawdą, to sam chętnie bym mu skręcił kark za te wygłupy, których z Eugenem się dopuścili.

- Proszę nie wierzyć w te pogróżki - wtrąciła baronowa. - Chociaż to bracia przyrodni, to Bruno skoczyłby za nimi w ogień.

- W rzeczy samej. - Bruno skłonił się baronowej. - Na szczęście słyszeć tego nie mogą. - Uśmiechnął się porozumiewawczo do Wiktorii.

- Zostawię was samych, moje dzieci. - Gospodyni wskazała ręką sofę przy kominku. - Pokojówka zaraz poda wam coś do picia. Ja muszę, niestety, dopilnować przygotowań przed balem, gdzie, mam nadzieję, także

się spotkamy.

To mówiąc, rzuciła Wiktorii wieloznaczne spojrzenie, po czym ruszyła w kierunku drzwi. Wychodząc, zostawiła je otwarte na oścież.

- Jak to możliwe, panie hrabio, że nigdy się nie poznaliśmy w Berlinie?

- spytała Wiktoria, siadając na otomanie i ściskając w ręku bukiet jak tarczę.

- Progi księżnej jak widać za wysokie dla mnie. - Bruno usiadł naprzeciw Wiktorii. - Poza tym nie gustuję aż tak w życiu towarzyskim. Jeśli tylko mogę, to trzymam się z daleka.

Wiktoria podniosła brwi. A książę wszak mówił, że Bruno von Enckevoort to birbant i hulaka?

- Moja macocha jest wstrząśnięta. - Bruno parsknął śmiechem. - Nie była pewna, czy w ogóle wypada tutaj przyjeżdżać i dziękować pani.

- A czemuż to?

- Ponieważ przyznaję tym samym, że wiem, że jechała pani konno galopem, co prawdziwej damie rzekomo nie przystoi. Nie żebym się z tym zgadzał - dodał od razu Bruno.

- Wychowałam się z dwoma starszymi braćmi. - Wiktoria wzruszyła ramionami, uśmiechając się niepewnie. - Musiałam im dotrzymać kroku. Moja babcia także uwielbiała jeździć konno, mam to chyba po niej.

- Aleksander pieje z zachwyty na pani temat.

Wiktoria się roześmiała.

- Dobrze, że nic mu się nie stało. Baronowa chyba lubi szybką jazdę? - zmieniła temat. - Stajenny nam powiedział, że to ona kazała sprowadzić z Francji to nowe siodło.

- O tak. - Bruno się uśmiechnął. - W dodatku lubi jeździć samotnie, a to już prawdziwy skandal. Tak przynajmniej twierdzi moja macocha. Ale baronowa niewiele sobie robi z konwenansów.

Wiktoria przypomniała sobie awanturę u baronowej, której była świadkiem, a zaraz potem Brunona, który wzburzony odjeżdżał sprzed zamku. Teraz jej się zdało natomiast, że byli w bardzo dobrej komitywie.

- Pamięta pani, że obiecała mi dwa tańce na balu? - Bruno spojrzał na Wiktorię prowokacyjnie.

- A przed chwilą wszak powiedział pan, że nie przepada za przyjęciami?

Bruno uklonił się dwornie.

- Pani obecność zmienia ją w wielce pożądaną rozrywkę.

Wiktoria uśmiechnęła się i obrzuciła młodego hrabiego drwiącym spojrzeniem. A jednak birbant. Jak to było? Przez moment usiłowała przypomnieć sobie sentencję Arystotelesa, którą zacytował książę. „Cnota to złoty środek między dwoma występkami”.

Rozmowę na moment przerwała pokojówka, która wniosła do biblioteki tacę z herbatą i ciasteczkami.

- Panie hrabio, takie, jak pan lubi. Dzisiaj rano pieczone. - Uśmiechnęła się zalotnie do młodzieńca, ukloniła i zniknęła za drzwiami.

- Jest pan bardzo popularny. - Wiktoria sięgnęła po dzbanek i nalała herbaty do filiżanek.

- Mój ojciec prowadził wspólne interesy jeszcze z księciem Ludwikiem Ferdynandem. Bywałem tutaj już jako mały chłopiec.

Bruno rozejrzał się po bibliotece.

- Zamek kryje wiele tajemnych przejść. - Podniósł brwi. - Książę Ludwik pokazał mi kiedyś jedno, które prowadziło z korytarza przy kuchni na piętro, ukryte w ścianie za boazerią. A są inne, które prowadzą do komnat i do lochów pod zamkiem.

- Słyszałam, że książę był wytrawnym żołnierzem. - Wiktoria przypominała sobie liczne rozmowy z Elizą na temat dwóch ukochanych młodszych braci księżnej Fryderyki.

- To prawda, ale najważniejsza była dla niego muzyka.

- Muzyka? - zapytała Wiktoria zaskoczona.

Bruno pokiwał głową.

- Zamek, kiedy tylko bywał w nim książę, rozbrzmiewał muzyką od świtu do nocy. Książę był także kompozytorem. Sam mistrz Ludwig van Beethoven powiedział o nim, że gra nie jak książę, ale jak prawdziwy wirtuoz.

Wiktoria patrzyła na opowiadającego o swoim dzieciństwie młodzieńca, a w uszach wciąż miała słowa księcia Adama na jego temat. Miała wrażenie, że książę rzucił jakiś zły czar na nią i sprawił, że teraz nie tak łatwo poddawała się urokowi tego „wampira”, jak uparcie nazywała go Eliza. Najbardziej ją ciekawiła jednak ta przerażająca historia, którą służba opowiadała na temat jego matki. Nie mogła jednak o to zapytać. Co by sobie o niej pomyślał.

Bruno odstawił filiżankę na stolik i wstał.

- Pora na mnie - powiedział. - Zabieram pani czas, a przecież trzeba się do balu przygotować. Jeśli zostało jeszcze jakieś miejsce w pani karnecie, to najchętniej i trzeci taniec chciałbym sobie zamówić.

Bruno spojrział przeciągle na Wiktorię i uśmiechnął się łobuzersko.

Wesoły chłopak z sąsiedztwa znowu ustąpił miejsca birbantowi z Berlina.

Niemniej Wiktoria poczuła, że i tak, całkowicie wbrew sobie, się zaczerwieniła.

Dziesięć minut później zdawała szczegółową relację z wizyty Elizie, która siedziała na krześle przy toalecie i chłoneła każde słowo Wiktorii.

- I co? Zgodziłaś się? - zapytała z wypiekami na twarzy.

- No oczywiście, że nie. - Wiktoria wzruszyła ramionami. - Po pierwsze, hrabia nie zapytał wprost, tylko w żartach, i wyszłabym na jakąś desperatkę, przyjmując tę ofertę, a po drugie, co by sobie ludzie pomyśleli, gdybym trzy razy z rzędu z nim tańczyła?

- Że podobasz się hrabiemu von Enckevortowi.

- Że usiłuję go złowić raczej. - Wiktoria uśmiechnęła się z ironią. - Że zagięłam na niego parol, bo grosza przy duszy nie mam.

- Ale pomyśl. - Eliza oparła się o krzesło i spojrzała w sufit. - Nie chciałabyś zostać hrabiną na Hohenziethen?

- Nie dworuj sobie ze mnie, Elizo.

- Za mało masz pewności siebie, moja droga. - Eliza odwróciła się do lustra i zerknęła w nim na przyjaciółkę. - Jesteś bardzo urodziwa, co mężczyźni szczególnie sobie cenią, bardzo inteligentna, co cenią sobie już mniej wprawdzie, ale to nadal zaleta, a poza tym...

- Elizo - przerwała jej Wiktoria. - Nawet gdybym była piękna jak Helena trojańska, to bez posagu żaden młodzieniec mający średnio inteligentną matkę nawet na mnie nie spojrzy.

- Nie mów hop, moja droga. Nie wiem, jak wygląda sytuacja finansowa von Enckevortów, ale może jest na tyle dobra, że stać ich na piękną i mądrą żonę dla najstarszego syna.

- Pięknych, mądrych i bogatych dam nie brakuje.

Eliza parsknęła śmiechem.

- Ależ ty jesteś pesymistką.

- Realistką raczej.

Wiktoria uśmiechnęła się cierpko i sięgnęła po grzebień, szykując się do rozczesania długich włosów Elizy.

Powóz minął bramę na dziedziniec zamkowy, objechał starą studnię i zatrzymał się przed głównym wejściem. Stangret zeskoczył z kozła i otworzył drzwi, z których wysiadła Johanna von Enckevort. Kobieta podniosła wzrok i obrzuciła spojrzeniem obrośnięty bluszczem fronton zamku. Drzwi otworzył lokaj cały w ukłonach.

- Dzień dobry, pani hrabino. Czy mam panią zaanonsować pani baronowej?

- Dzień dobry, Lotharze. - Johanna uśmiechnęła się do lokaja. - Właściwie to chciałabym porozmawiać z panną Wiktoria Podhorską. To dwórka księżnej Fryderyki.

- Oczywiście, pani hrabino. - Lothar uklonił się i wskazał dłonią drzwi do ulokowanej obok sieni, nakrytej sklepieniem antykamery. - Proszę poczekać, już śpieszę.

Wiktoria, którą pokojówka powiadomiła o przybyciu hrabiny, na moment zaniemówiła, a potem w panice rzuciła się do lustra, żeby poprawić na sobie suknię, przeczesała włosy i z duszą na ramieniu ruszyła za jasnowłosym lokajem, nie mając zielonego pojęcia, czego może się spodziewać.

Hrabina von Enckevort na widok smukłej, zielonookiej dziewczyny podniosła brwi i westchnęła. Pomyślała, że przynajmniej gust jej pasierb ma doskonały.

- Panna Wiktoria, jak mniemam. - Hrabina skinęła głową wystraszonej najwyraźniej dziewczynie. - Nie miałyśmy okazji się poznać ani nawet porozmawiać wcześniej. Tuszę, że bawi się pani wybornie u baronowej?

Wiktoria, nadal lekko zdezorientowana, skinęła głową. Hrabina von Enckevort, mimo że młodsza od baronowej i nieposiadająca jej władczości i charyzmy, napawała ją jednak lękiem i nieśmiałością. Czy to dlatego, że była macochą mężczyzny, który... Nie dokończyła myśli, gdyż w jej głowie narodziło się podejrzenie, które skutecznie ją wyparło.

- Może przejdziemy się po ogrodzie? - Hrabina wskazała ręką okno. - Szkoda tak pięknej pogody, żeby siedzieć w tej ciemnej, klasztornej izbie.

Południowy ogród pysznił się jeszcze wszystkimi kolorami sezonowych kwiatów, chociaż liście szumiących nad brzegiem jeziora

buków i wierzb przybrały już barwę ciemnej zieleni, w której połyskiwały złote przebarwienia.

- Moja droga, nie będę cię trzymała w niepewności. - Hrabina weszła w cień płaczącej wierzby i zatrzymała się na żwirowej ścieżce, wzdłuż której strzelały w niebo wysokie włoskie topole.

Nad wyglądającym jak puzderko czekoladek ogrodem wznosiła się ceglana skała południowej fasady zamku, która pamiętała średniowieczne bitwy, gdy Pomorze oblegały to wojska brandenburskie, to polskie, a twierdzy strzegli joannici.

- Hohenziethen i Dertzow to spore majątki - zaczęła dyplomatycznie hrabina. - Jest też sporo folwarków, dzierżaw, ale majątek od czasów Napoleona jest zadłużony, a mój mąż zmaga się z nieustannymi problemami finansowymi. Bruno jest najstarszym synem Karla i to on przejmie gospodarstwo, ale nie poradzi sobie bez dobrej partii. Rozumiesz, oczywiście, co chcę przez to powiedzieć?

Wiktoria milczała, wpatrując się w połyskujące wody jeziora. Spodziewała się właśnie to usłyszeć, ale i tak ją to dotknęło.

- Nie bierz tego do siebie, moja droga. Bruno jest odpowiedzialnym młodzieńcem i pewnie dobrze wie, że ma określone obowiązki w stosunku do rodziny.

- Dlaczego pani mi to mówi właściwie? - Wiktoria spojrzała w końcu na hrabinę.

Spodziewała się zobaczyć złość w jej oczach, to byłoby chyba prostsze do przyjęcia, ale Johanna von Enckevort miała zatroskany wyraz twarzy.

- Ponieważ zauważyłam, że nie jesteś pani obojętna mojemu synowi. Wiem też, że specjalnie do pani dzisiaj przyjechał. - Hrabina westchnęła i popatrzyła na Wiktorię tak, jakby chciała już skończyć tę rozmowę. - Chciałam cię lojalnie uprzedzić, że nie dopuścimy do tego, żeby Bruno zrujnował sobie życie.

Wiktoria zacisnęła usta i opuściła głowę.

- Nie chciałabym także, żeby Bruno dowiedział się o tej rozmowie. - Hrabina rzuciła Wiktorii znaczące spojrzenie. - Jeśli darzysz go ciepłymi uczuciami, to wiesz, że tak będzie najlepiej. I dla niego, i dla ciebie.

Rozdział 9

Richmond, Wirginia

Patryk zatrzasnął drzwi i spanikowany spojrzał w kierunku budynku. Psy musiały okrążyć dwór od prawej strony, bo gdyby biegły lewą, słyszełiby je z bocznej sieni. Tymczasem usłyszeli, dopiero jak wywalily drzwi tarasowe. Patryk, przy swojej niewielkiej znajomości psiego behawioryzmu, zakładał, że psy posługują się prostą logiką, więc wracając na front, pewnie wybiorą tę samą drogę. Wbił więc wzrok w prawy narożnik, a stres spowodował, że gdy usłyszał hałas i jazgot, cały czas sądził, że psy przybiegną z przeciwnej strony niż Karen. Gdy usłyszał zatem jej głos i szczekanie z jednej i tej samej - lewej, przez chwilę siedział otepiały.

Dopóki nie zobaczył wybiegającej zza narożnika budynku Karen, która głośno coś do niego krzyczała. Zaraz za nią na front wypadła sfera czarnych muskularnych psów, które wyglądały jak ucieleśnienie najgorszych koszmarów kynofoba.

Patryk zamarł, a następnie w przeblysku świadomości przekręcił kluczyk w stacyjce i wdepnął pedał gazu. Toyota ruszyła z piskiem opon, wyrzucając spod kół chmurę kurzu i rujnując wyżwirowany podjazd. Patryk sięgnął do klamki drzwi pasażera i szarpnął nią. Drzwi otworzyły się na oścież, a zawiasy głośno zaskrzypiały.

Patrykowi wydawało się, że wszystko to dzieje się całymi minutami, ale w rzeczywistości były to jedynie sekundy. Karen dopadła samochodu i wskoczyła do wnętrza. Niezamknięte drzwi otworzyły się na całą szerokość.

Tuż przed pyskiem pierwszego z rottweilerów, który jako pierwszy wypadł zza rogu budynku. Pies skoczył dokładnie w momencie, gdy Karen chowała drugą nogę do wnętrza samochodu. Szczęki rottweilera rozwarły się o włos od jej łydki i zacisnęły mocno na nogawce džinsów.

Karen krzyknęła głośno, gdy pies szarpnął za nogawkę, prawie wyrywając ją z wnętrza samochodu. Toyota, z otwartymi na oścież

drzwiami i uwieszonym na niej rottweilerem, ruszyła wokół gazonu po podjeździe. Pies, zapierając się łapami o żwir, nie puszczał swojej zdobyczy.

- Kopnij go! - krzyknął przerażony Patryk, który nie wiedział, czy ma przyśpieszyć, czy wprost przeciwnie, zahamować i złapać szamoczącą się bezładnie i usiłującą uwolnić się od brytana Karen.

Dziewczyna chwyciła się kurczowo oparcia, przesunęła w fotelu i kopnęła psa w pysk.

Nawet w takiej sytuacji miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Pies, wylądowany od końca ogona do czubka nosa czystą adrenaliną, nawet tego jednak nie poczuł. Tuż za nim pojawiły się dwa kolejne i przeraźliwie szczekając, usiłowały złapać Karen za nogę.

Karen podciągnęła nogę i po raz drugi z całej siły kopnęła psa w pysk. Z takim samym skutkiem jak poprzednio.

Patryk wcisnął pedał gazu. Toyota zaryczała i skoczyła do przodu. Pies, nadal kurczowo trzymając zębami nogawkę spodni Karen, zaparł się tylnymi łapami w żwir.

- Boże! Zrób coś! Spodnie! - Patryk sięgnął lewą ręką i złapał Karen.

- Co spodnie?! - wrzasnęła histerycznie Karen.

- Zdejmij spodnie!

Karen, trzymając się kurczowo siedzenia, rozpięła jedną ręką rozpiorek i błyskawicznie wysunęła biodra z dżinsów, dziękując przy okazji opatrności, że były to akurat zwykłe dżinsy, a nie któreś z tych potwornie obcisłych ze stretchem, które miała w bagażu.

Pies nadal szarpał wściekle materiał. Karen wysunęła obie nogi z nogawek i po chwili dżinsy zostały w zębach rottweilera, a Karen, w samych koronkowych figach, siłą bezwładności poleciała do wnętrza auta.

Patryk wdepnął pedał gazu i toyota ruszyła w kierunku bramy wjazdowej. Jej światła przemknęły po drzewach ciemnego parku. Gdy samochód zakręcił w aleję wjazdową, drzwi uderzyły w rosnący na rogu trawnika spory krzew rododendronu i z trzaskiem się zamknęły.

Trzy rottweilery dopadły dżinsów Karen i z wściekłością zaczęły rozrywać je na strzępy. Widząc odjeżdżający samochód, jeden z psów rzucił się za nim w pościg. Po chwili dwa pozostałe poszły w jego ślady.

Toyota wypadła na drogę tuż przed przejeżdżającego TIR-a. Światła

samochodu oślepiły Patryka, który o mały włos nie zjechał na pobocze. Ryk klaksonu i skowyt hamulców toyoty spłoszyły psy, które na moment stanęły, a następnie rzuciły się wzdłuż ogrodzenia, wściekle szczekając.

Patryk wdepnął gaz, przyśpieszył i po chwili samochód minął ostatnie metry białego płotu Arnim Creek, zostawiając trzy ujadające rottweilery za sobą.

Chwilę później hałas wokół domu ucichł. Trzy psy pozostawiły zmaltretowane resztki podartych na strzepy dżinsów Karen i rozbiegły się wokół budynku, obwąchując zapamiętałe każde miejsce i każdy metr terenu, po którym stąpali obcy.

Brama wjazdowa była otwarta, ale rottweilery skupiły się na prowadzeniu własnego śledztwa wokół domu.

Tymczasem w bibliotece, przy dwóch postrzelonych mężczyznach leżących na wzorzystej podłodze z czerwonego dębu i orzecha amerykańskiego, rozlewały się coraz większe plamy krwi.

Kilkaset metrów dalej, w małej, schowanej między drzewami przy drodze zatoczce, zapaliły się reflektory. Samochód powoli wyjechał na drogę i skręcił w kierunku szosy międzystanowej numer pięć.

Z daleka dochodził przytłumiony dźwięk syren policyjnych.

Toyota stanęła u wylotu drogi numer sześćset trzynaście na główną trasę w kierunku Richmond. Po drugiej stronie na zaniedbanej stacji benzynowej paliły się już światła, a przy rdzewiejących dystrybutorach nadal stał stary pick-up.

- Mówiłem, że to się źle skończy? - jęknął Patryk. - *Wrong turn!* Trzeba było mnie słuchać!

Wcisnął pedał gazu i ścisnął kierownicę.

- Jedź na Williamsburg! - Karen nagle złapała go za rękę.

- Dlaczego?!

- Nie słyszałeś? Linton mówił, że ten cały Greg kogoś wezwał!

- Skąd pewność, że będą jechać akurat od strony Richmond, a nie Williamsburga? - Patryk wpatrywał się z wahaniem w ciemną, niknącą między drzewami drogę.

Karen odetchnęła głęboko.

- Rachunek prawdopodobieństwa.

- I to wszystko?

- Decyduj. Tak czy siak, mamy szansę, że wpadniemy na ich samochód. Pewnie już wiedzą, że jeździmy białą toyotą z wypożyczalni.

Patryk zagryzł wargi, spojrział w jedną, potem w drugą stronę, po czym skręcił w kierunku Williamsburga.

Kilkadziesiąt kilometrów dalej, w miejscu, z którego prawie cudem udało się odjechać Karen i Patrykowi, na podjeździe przed domem Lintonów stały trzy samochody. Na każdym błyskały światła.

Dookoła biegały trzy rottweilery i co chwilę z wściekłością dopadały drzwi któregoś z aut, gdy tylko usłyszały jakąkolwiek próbę ich otwarcia czy choćby uchylenia.

- Będziemy musieli je zastrzelić - mruknął pod nosem Carter Moore, zastępca szeryfa hrabstwa James City, uderzając palcami w kierownicę.

- Nie wiemy, co się dzieje wewnątrz budynku - odparł jego kolega, wyglądając z niepokojem przez uchylone okno. - Może to jakiś żart, a Linton śpi. On zawsze spuszcza na noc te kundle.

- Brama była otwarta, a Linton nie odbiera - mruknął Carter, odwracając się w stronę alei dojazdowej. - Gdzie ten cholerny bałwan?!

Ze stojącej obok karetki pogotowia wyrzwał sanitariusz i postukał palcem w cyferblat zegarka.

- I co ja mam niby zrobić? Wiem, że czas biegnie. - Moore wzruszył ramionami, wskazując sanitariuszowi aleję dojazdową.

- Trudno - powiedział, westchnął i w końcu sięgnął do kabury. - Linton może potrzebować pomocy. Musimy zastrzelić te bydlaki. Jak ja nie znoszę tej roboty...

Sięgnął do klamki i powoli nacisnął. W szczelinie między progiem a drzwiami ukazał się oświetlony światłami żwir podjazdu. Psy, biegające wokół karetki, na odgłos otwieranych drzwi momentalnie znalazły się przy samochodzie szeryfa.

- No widzisz. - Moore zatrzasnął drzwi i spojrział na swojego kolegę. - Nie da rady. Jeśli Martinez nie przyjedzie za minutę, to je zastrzelę. Szkoda zwierzaków, ale nie możemy ryzykować.

- Martinez odsypiał, ledwie go dobudziłem. - Drugi z policjantów, rudawy blondyn o imieniu Mike, pochodził z Jamestown i znał prawie wszystkich w okolicy. - Pracują u Lintona na dwie zmiany. Miał tu być

dopiero jutro rano.

- A rakerz?

- Byłby jeszcze później.

- Kto odbierał to zgłoszenie? - Zastępca szeryfa popatrzył podejrzliwie na kolegę. - Ty czy Sara?

- Ja. - Mike pokiwał głową. - Operator powiedział, że dzwoniła jakaś kobieta z obcym akcentem. Mówiła, że są turystami.

- I gdzie oni są? - Moore rozejrzał się dookoła. - Żadnego samochodu na podjeździe. - Nagle zamarł ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt niedaleko samochodu. - Kurwa!

Sięgnął gwałtownie po latarkę do schowka i po chwili snop światła wystrzelił przez półotwarte okno w kierunku schowanego w ciemności pobocza podjazdu.

- Co tam jest? Widzisz? - Spojrzał na kolegę.

- Kurtka albo spodnie. - Mike zbladł. - I krew chyba na tym widać. Ja pierdołę! Mam nadzieję, że rottweilery nie pożarły tych ludzi.

Przycisnął nos do szyby, chcąc przyjrzeć się dokładniej zakrwawionym szczątkom. Gdy nie dało to pożądaných rezultatów, wcisnął przycisk i przednia szyba zjechała w dół do połowy.

I w tym samym momencie w szczelinę, z jazgotem i warczeniem, wepchnęła się zaśliniona morda z białymi zębami.

Carter odsunął się gwałtownie i zaklął.

- Dobra! Koniec tego dobrego. - Sięgnął do kabury i wyjął służbowy pistolet Smith & Wesson. - Siła wyższa.

Sięgnął do klamki, ale nagle po wnętrzu samochodu przemknęły światła. Na podjazd wtoczył się podrapany pick-up i zatrzymał obok schodów na ganek.

Psy od razu rzuciły się w kierunku nowego intruza, ale nagle jakby straciły swoją zapalczywość.

Z samochodu wysiadł tęgi, ciemnowłosy mężczyzna i podniósł dłoń. Psy, wciąż jeszcze podniecone, przysiadły jednak na zadach, wpatrując się w przybysza.

Mężczyzna rzucił jakąś komendę i ruszył w kierunku zabudowań w głębi posesji. Trzy rottweilery posłusznie pobiegły w ślad za nim.

Carter otworzył drzwi i wysunął nogę.

- Może jednak lepiej poczekać. - Mike spojrział ze strachem w kierunku

oddalających się psów. - Niech Martinez je zamknie.

Kilka minut później pogotowie zabierało nieprzytomnego Lintona, a na podjeździe zatrzymał się kolejny samochód. Tym razem koronera z Williamsburga.

- Kurwa, co za jatka. - Mike rozejrzał się po wnętrzu biblioteki.

- Ta kobieta mówiła, że to napad? - Carter ukucnął przy plamie krwi wokół zwłok brodatego mężczyzny.

Mike skinął głową.

- Wszystko wskazuje na to, że Linton go postrzelił, ale facet zdążył oddać kilka strzałów.

- Dlaczego ci turyści nie poczekali? - Carter wpatrywał się w foliową torbę, w której tkwiły pozostałości spodni Karen.

- Psy ich gdzieś wywlokły?

- Nie bądź durniem. - Carter pokręcił ze zniecierpliwieniem głową.

- Popatrz. - Mike wskazał palcem ślad na podłodze. - Musiała wdepnąć w krew.

Obaj, ze wzrokiem wbitym w podłogę, przeszli przez hol, a następnie przez pomieszczenia na tyłach budynku i znaleźli się w końcu w bocznej sieni. Na posadzce leżała wywrócona komoda. Wokół wałało się mnóstwo szkła, które zgrzytało pod butami.

- Na tyłach są rozbite przeszklone drzwi w salonie. Tamteży psy musiały się wdrzeć do wnętrza. - Mike podrapał się w brodę. - Brodacz postrzelił Lintona, sam zginął. Psy wpadły w szal...

- Więc gdzie są ci cholerni turyści? - Carter pochylił się przy otwartych na oścież drzwiach prowadzących do sieni. Widniały na nich ślady zadrapań i resztki zakrzepłej krwi. - Trzeba to zbadać. - Wskazał palcem zniszczenia. - Nie wiadomo, czyja to krew.

- Wiesz, co ludzie opowiadają o tej farmie? - Mike nagle spojrzał na Cartera.

- Co?

- Że przodkowie Lintona byli wampirami.

- Kurwa, Mike. - Zastępca szeryfa spojrzał na kolegę jak na wariata. -

Nie wyjeżdżaj mi tu tylko ze *Zmierzchem*.

- No powtarzam tylko, co ludzie mówią.

- Że niby wampiry ich wywlokły do lasu?

- Albo wilkołaki. Wampiry i wilkołaki rzekomo toczą wojnę od zamierzchłych czasów.

Carter postukał się palcem w czoło i zrobił duży krok nad wywróconą komodą.

- No przecież wszystko się zgadza. - Mike poszedł w ślad za swoim przełożonym. - Psy nienawidzą wilkołaków, dlatego wpadły w szal.

- Mike! Słowo daję. - Carter spojrzał na podwładnego z niedowierzaniem.

- Szefie. - W progu sieni stanęła młoda policjantka. - Koroner pyta, czy mogą zabierać ciało.

- Już idę. - Carter rozejrzał się i nagle przystanął.

Nad bocznymi drzwiami paliła się mała latarenka, która oświetlała jedynie fragment ganku. Najbliższe sąsiedztwo domu tonęło jednak w mroku. Od schodów przy ganku wiodły ślady psich łap, a ziemia obok ścieżki była miejscami tak zryta, jakby przebiegła tędy cała wataha.

- Może schowali się za tymi drzwiami, przystawili komodę, a potem uciekli? - przeczytał Carterowi w myślach Mike.

Carter zanotował w pamięci, żeby wyjaśnić tę kwestię, po czym wrócił do wnętrza domu.

- Jak Linton odzyska przytomność, to wszystko się wyjaśni - odezwał się beztrząsco Mike.

- Jak odzyska - mruknął Carter, wchodząc do holu.

Teoretycznie sprawa wyglądała prosto. Ewidentnie brodacza został zastrzelony przez Lintona, a Linton dostał kulę od niego. Zgadzały się naboje i broń. Tylko dlaczego ci cholerni turyści uciekli? Czy rzeczywiście chodziło o psy? Zaatakowały ich i musieli się bronić, dlatego odjechali...

- Jeszcze jest to. - Młoda policjantka stanęła u podnóża schodów i wskazała ruchem głowy stojącą obok drabinę.

Carter podniósł wzrok. Widział tę rzeźbę jakiś czas temu, gdy przyjmował zgłoszenie od matki Lintona, kiedy na farmę włamali się jacyś durnie. Rzeźba kobiety, chyba z początku osiemnastego wieku. Zaraz.

- A czemu ona nie ma głowy? - Spojrzał na policjantkę.

- Głowa jest tam. - Dziewczyna odwróciła się i wskazała dłonią stół w bibliotece, na którym leżała górna część głowy niewolnicy.

Richmond przed godziną dwudziestą drugą przypominało wielki,

rześciście oświetlony, kolorowy lunapark. Przez historyczne trakty i pasaże, przy których wznosiły się barwne kamienice, przeszklone oranżerie hoteli, galerie i ogródki restauracji, przepływała rzeka radosnych i roześmianych turystów oraz mniej licznych, świadczących raczej rozmaite usługi, jednak równie podnieconych piątkowym wieczorem tubylców.

Karen i Patryk, w nastrojach bardzo dalekich od kontentowania zaczynającego się oficjalnie weekendu, wpatrywali się w przednią szybę, pogrążeni w niewesołych rozważaniach. Którym, notabene, oddawali się przez ostatnią godzinę podróży z Arnim Creek.

- Uciekliśmy właśnie z miejsca zbrodni - burknął Patryk, który oczami wyobraźni widział już ostateczny koniec swojej kariery adwokackiej.

- Przecież te psy by nas rozszarpały - zachnęła się Karen. - Poza tym słyszałeś, co mówił Linton. Żebyśmy uciekali.

- I co? - Patryk obrzucił powątpiewającym spojrzeniem jej gołe nogi. - To chcesz powiedzieć policji? Że Linton kazał nam uciekać. W dodatku w gaciach. Po co mi w ogóle kazałaś jeździć po tej turystycznej dzielnicy? - Skinął głową w kierunku kolorowych świateł nad ogródkami kawiarnianymi.

- Bo tylko tutaj może być stragan z jakimiś ciuchami.

- Tutaj? Z ciuchami?

- A gdzie? O tej porze? - Karen spojrzała na Patryka z niedowierzaniem z powodu jego niedomyślności. - Indiańskie sukienki, jakieś konfederackie spódnice, na pewno muszą tym gdzieś tutaj handlować.

- Jeśli pójdziemy na policję z tobą ubraną w długą do kostek spódnicę konfederacką, to nas od razu zamkną w szpitalu dla wariatów. Zwłaszcza jak zaczniesz opowiadać o szkatule łowców wampirów.

- Sam widzisz, że nie możemy iść na żadną policję.

- Karen! Tu nie ma z czego żartować. To poważna sprawa!

- Tam! - Karen wyciągnęła rękę w kierunku kilku oświetlonych straganów, na których wisały całe naręczka kolorowych ciuchów.

Patryk zatrzymał się przy krawężniku, a Karen sięgnęła do klamki i nagle zatrzymała się w połowie ruchu.

- No właśnie. - Patryk uśmiechnął się ironicznie. - Jak tam chcesz wyjść?

- Ściągaj koszulę!

- Zwariowałaś? - Patryk odruchowo rozejrzał się dookoła. Po chodniku

przeszła właśnie grupa roześmianych młodych ludzi.

- Przecież oddam ci, jak kupię sobie jakieś dzinsy. - Karen spojrzała niecierpliwie na chłopaka. - No ściągnij! Szkoda czasu.

Patryk westchnął ciężko, wyszarpnął koszulę ze spodni i zaczął rozpinać guziki. Po chwili Karen, w szarej męskiej koszuli od Karla Lagerfelda, związanej w pasie odpiętym od torby paskiem, wysiadła z samochodu i ściągnając spojrzenia przechodniów, zniknęła między straganami.

Patryk uśmiechnął się z zakłopotaniem do dwóch czarnoskórych kobiet, które chichocząc, obrzuciły go taksującym spojrzeniem. Pocieszył się w myślach, że właściwie to przecież nie ma się czego wstydić. Oprócz tego może, że siedzi z gołą klatką w białej toyocie z napisem na drzwiach Budget Rent a Car. Gdyby to był jeszcze jakiś mustang albo corvette.

Dziesięć minut później, gdy już się zdołał przyzwyczaić do spojrzeń przechodniów, podniósł wzrok i spojrzał ze zniecierpliwieniem w stronę straganów. Akurat w momencie, gdy zza jednego z nich wyszła dziewczyna w brudnożółtej, obcisłej, króciutkiej sukience, z falującymi na piersiach frędzlami. Dopiero po dłuższej chwili poznał, że to Karen. I to tylko dlatego, że trzymała w ręku jego koszulę.

- Lepiej nic nie mów. - Karen ostrzegła go, gdy tylko wsiadła do samochodu. - Zabrałam T-shirt i bieliznę na zmianę. Nie przypuszczałam, że na jednodniowej wycieczce stracę spodnie.

- Nic nie mówię, ale... - zaczął, wsuwając ramiona w rękawy koszuli.

- Nic innego nie było. To stragany z pamiątkami. Zapomniałeś już, gdzie my jesteśmy? Jamestown, John Smith? Pocahontas? Szukałam dzinsów, ale były tylko męskie spodnie z grubego płótna.

- Co teraz? - zapytał, patrząc na opięty żółtym materiałem biust Karen.
- Musimy iść na policję. Może zadzwoń tam znowu.

- Przecież ja dzwoniłam pod dziewięćset jedenaście! Gadałam z operatorem, a nie policją. Nie mam pojęcia, gdzie dzwonić.

- A pod dziewięćset jedenaście nie można?

- Tam się dzwoni tylko, żeby zgłosić nagłe wypadki.

- A co to jest, jak nie nagły wypadek?! Chcemy złożyć zeznania.

- Najpierw gdzieś się zatrzymajmy. Musimy czym prędzej obejrzeć te listy i notes.

Patryk podniósł brwi i spojrzał na Karen z niedowierzaniem.

- Przecież Linton zastrzelił jakiegoś faceta! - wydukał. - Na naszych oczach! A ty chcesz oglądać jakieś szpargały? Które notabene ukradliśmy z miejsca zbrodni.

- Zabezpieczyliśmy tylko. - Karen poczuła się urażona. - Żeby nie wpadły w łapy innych bandziorów. Poszukajmy jakiegoś hostelu. Przecież i tak będziemy musieli tutaj przenocować.

Patryk, który już otwierał usta, żeby zaprotestować, wstrzymał się. Pomyślał, że to chyba rzeczywiście racja. Do Nowego Jorku było przecież z sześć godzin drogi, a na policji mogą ich zatrzymać godzinę, dwie, a może i dłużej.

Szukanie niedrogiego hostelu zajęło pół godziny. W większości pokoje były zajęte lub zarezerwowane. Wolną klitkę znaleźli w końcu dopiero wtedy, gdy zdecydowali się bardzo obniżyć standardy. Konsjerż w obskurnej recepcji wściekle niebieskiej kamieniczki, przemianowanej na hotel o filmowo-pretensjonalnej nazwie North and South, najpierw przyjrzał im się podejrzliwie, bo nie wyglądali raczej jak typowi, obwieszeni okularami słonecznymi i słomkowymi parasolami turyści. Chwilę później jednak, gdy ocenił znad lady ledwie zakrywającą górę ud indiańską spódniczkę Karen i nobliwą koszulę Patryka, który mimo usilnych starań wciąż wyglądał na tego, kim był, czyli prawnika na urlopie, na jego twarzy pojawił się uśmiech zrozumienia.

- Na godziny nie wynajmuję - zastrzegł się, uśmiechając się porozumiewawczo do Patryka. - Cała doba albo proszę szukać gdzie indziej.

- To nie to, co pan myśli - burknął Patryk.

- Tak, tak. - Pokiwał głową konsjerż i rzucił na blat klucz. - Pokój numer czterdzieści trzy, czwarte piętro.

Pokój okazał się wyposażonym w standardowe, tanie meble nijakim wnętrzem, którego jedno okno wychodziło na front, a drugie, przy mikroskopijnym aneksie kuchennym, na stalowe schody ewakuacyjne, dostawione do bocznej ściany budynku, gdzie przebiegał wąski, ciemny przesmyk łączący główne ulice.

- Cudowne miejsce - zakpił Patryk, wyglądając przez okno, za którymi były schody. W dole, przy brudnych ceglanych ścianach, stały kontenery na śmieci i walały się sterty kartonów.

Karen wcisnęła jeden z przycisków koło drzwi i wiatrak na suficie zaczął się niemrawo obracać, poruszając wilgotne, gęste jak syrop powietrze.

- Trudno. - Westchnęła. - Na jedną noc wystarczy.

- Chyba że nas zamkną w areszcie, to wtedy będziemy mieli nieco lepsze warunki - zakpił Patryk, siadając z rozmachem na łóżku, które protestacyjnie zaskrzypiało.

Karen usiadła obok niego i sięgnęła do plecaka.

Ostrożnie wyjęła notes i trzymając go w dwóch palcach, dokładnie obejrzała. Na okładce widać było kilka czerwonych plam.

- O rany. - Patryk skrzywił się z niesmakiem. - To krew tego bandziora. Tylko nie kładź tego na łóżku, gdzieś będziemy musieli spać przecież.

Karen położyła notes na podłodze, wstała i poszła do łazienki. Wróciła po chwili, trzymając w garści papier toaletowy. Ukucnęła i starannie wytarła notes.

- Zatarłaś właśnie ślady na dowodzie rzeczowym - mruknął Patryk, patrząc z niechęcią na poczynania dziewczyny.

- Jakim dowodzie? Nie przesadzaj. - Karen pokręciła głową. - Powiemy, że się samo starło. Poza tym na co to niby jest dowód? Kula w tym bandziorze to jest dowód niepodważalny, żadnego innego nie trzeba.

- To się źle skończy.

Karen, nie słuchając Patryka, otworzyła ostrożnie grube skórzane okładki i spojrzała na pierwszą stronę.

- Ciekawe, co miał na myśli, szkicując ten symbol Arnimów jako oddzielne orły i krzyże - powiedziała do siebie w zamyśleniu.

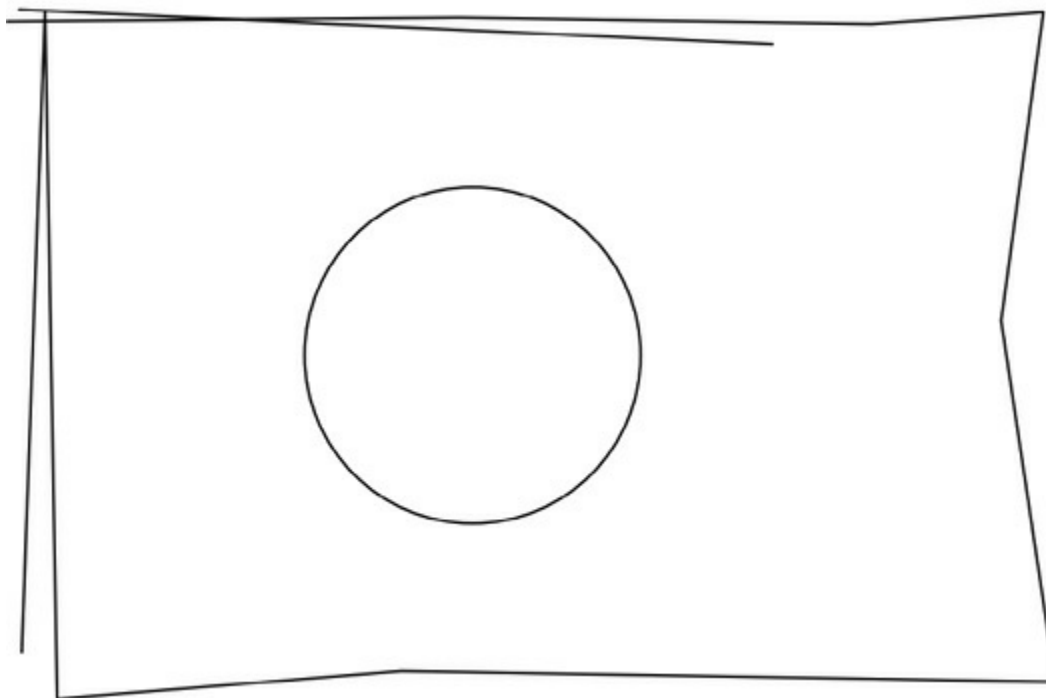
- Nic - stwierdził dobitnie Patryk. - Pewnie kombinował i tak sobie nabazgrał. Równie dobrze mógł oddzielnie naszkicować każdego gównianego orła i każdy cholerny krzyż maltański.

Karen przekartkowała notes. Na kolejnych stronach były różnego rodzaju zapiski, opisy spotkań z jakimiś ludźmi, notatki, daty i rysunki. Przewijały się wzmianki na temat wampirów, ale chodziło bardziej o symbolikę w kulturze Wirginii i Wschodniego Wybrzeża niż sensacyjne teorie. Na jednej z ostatnich zapisanych stron były dwa kolejne szkice wykonane czarnym mazakiem i pokolorowane dodatkowo flamastrami.

Karen zatrzymała się na stronie z rysunkami i wpatrzyła w dziwne symbole.

- Wyglądają jak jakieś logo - odezwał się Patryk, zaglądając jej przez ramię. - Albo klocki - zakpił.

Pierwszy rysunek przedstawiał naszkicowany odręcznie purpurowy prostokąt z czarną kropką.



Pod rysunkiem drukowanymi literami zapisane było słowo ALBION, a niżej dwie daty - 1819 i 1822. Na końcu widniał spory znak zapytania.

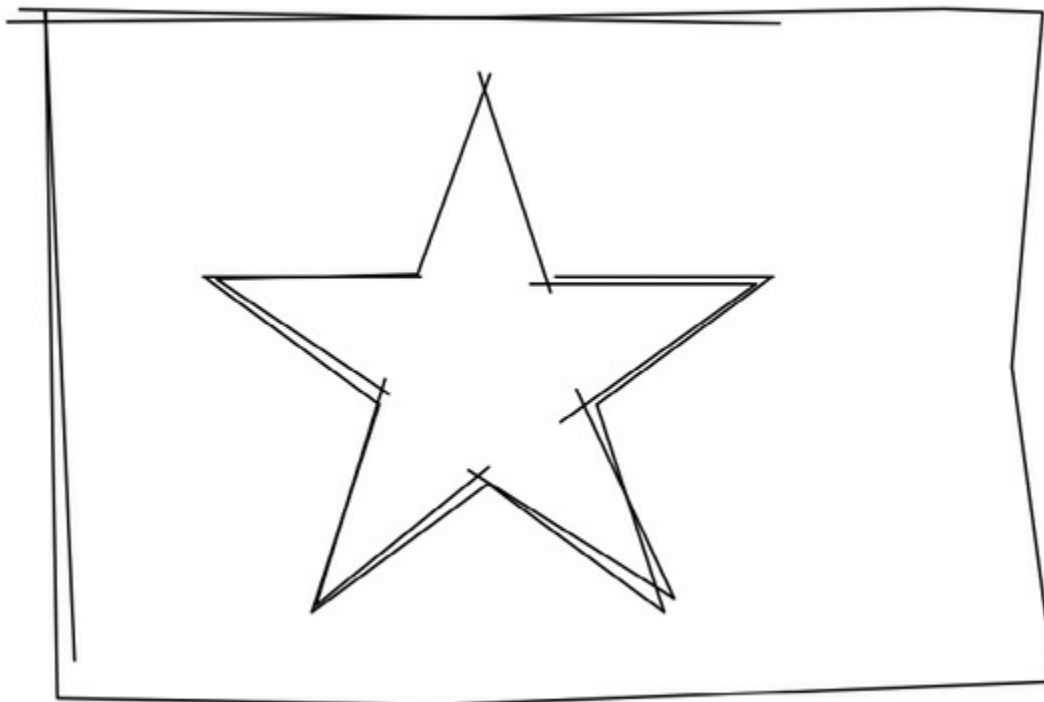
Karen sięgnęła po tablet i wpisała w wyszukiwarkę frazę „purpurowy prostokąt z czarną kropką”. Na ekranie pojawiło się od razu mnóstwo odnośników do społeczności LGBT, cała kolekcja stron z wzornictwem przemysłowym oraz kilka reklam producentów banerów.

- Przecież Barbara Linton mówiła o żaglowcu o nazwie Albion, który zatonął u wybrzeży Irlandii - odezwał się ponownie Patryk. - Zatonął w tysiąc osiemset dwudziestym drugim.

- No pamiętam. - Skinęła głową Karen. - Ale co on ma wspólnego z tym symbolem?

- A ten drugi?

Na dole strony naszkicowany był jeszcze jeden rysunek. Mały czworobok. Tym razem biały z czerwoną gwiazdą.



Patryk sięgnął dłonią na kolana Karen i przerzucił kartkę.

Pierwszy wiersz kolejnej strony zaczynał się od imienia i nazwiska amerykańskiego gubernatora oraz daty - John Jay? 1829? Oba wyrażenia kończyły się znakami zapytania.

- Ani słowa o tych symbolach - powiedziała Karen do siebie. - Co one mogą oznaczać?

- E tam. - Patryk wstał energicznie i podszedł do okna. - Gadamy o głupotach, a musimy iść na policję. Lepiej się pośpieszmy.

Wyjrzał przez okno. Przy ulicy stało kilka samochodów. W budynkach naprzeciwko paliły się światła, a zza rogu dochodziły odgłosy przejeżdżających samochodów. Ulica, przy której usytuowany był hotel, leżała z boku centrum miasta, w nieco zapuszczonym kwartale. Po chodniku przechodziły co jakiś czas grupki ludzi, a nad ulicą rozczapierały się oświetlone światłem latarni, rosochate konary jakichś starych drzew.

- Zobaczą, gdzie tutaj jest najbliższy posterunek. - Patryk sięgnął po telefon i uruchomił przeglądarkę. - Kilka przecznic dalej... - Podniósł wzrok i spojrzał na Karen. - Co ty robisz?

Karen położyła wcześniej notes na łóżku, a teraz starannie

fotografowała każdą stronę.

- Przecież będziemy musieli to oddać - odpowiedziała, nie przerywając. - Nie będziemy mieli już okazji, żeby do tego zajrzeć.

Patryk wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno. Z jednego z samochodów wysiadło dwóch mężczyzn. Rozejrzeli się dookoła i ruszyli przez jezdnię.

Jeden zadarł głowę i spojrzał w górę. Jego wzrok na moment spotkał się ze wzrokiem Patryka. Mężczyźni po chwili zniknęli z pola widzenia, a Patryk w dalszym ciągu wyglądał na ulicę. We wzroku faceta było coś dziwnego. Tak jakby go poznał.

Patryk przez chwilę jeszcze wpatrywał się w ulicę, ale nagle odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do drzwi. Otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Podszedł do balustrady i wychylił się. W tym samym momencie, w którym mężczyzna, którego zobaczył z okna, spojrzał w górę.

Wystarczyło, żeby wzrok Patryka ponownie zetknął się ze wzrokiem mężczyzny, by stało się jasne, że coś najwyraźniej jest mocno nie w porządku. Patryk oderwał ręce od balustrady i rzucił się biegiem do pokoju. Słyszał, jak trzy piętra niżej mężczyźni biegną po schodach. Zatrzęsnał drzwi i przekręcił zamek. Rozejrzał się w panice po pomieszczeniu.

Karen w dalszym ciągu fotografowała kolejne strony notesu.

Patryk spojrzał w kierunku okna, za którym były schody ewakuacyjne.

Podbiegł do Karen. Zabrał notes i listy i wrzucił je do plecaka.

- Co ty robisz? - Cofnęła się i spojrzała na niego zaskoczona. - Jeszcze nie skończyłam, zdążymy na tę policję.

- Zbieraj się! - syknął Patryk. Chwycił torbę i wskazał głową okno.

- Co się dzieje? - Karen patrzyła na niego przestraszona.

W tym momencie rozległo się stukanie, a po chwili głośny łomot.

Karen przez chwilę stała jak sparaliżowana i wpatrywała się w drzwi. Patryk szarpnął okno i odsunął je do góry. Pomyślał, że to są przecież te cholerne amerykańskie okna, które się podnosi i które w filmach zawsze opadają na czyjeś palce.

- Karen! - warknął i przełożył nogę przez parapet.

Karen odzyskała w końcu sprawność umysłu i ruszyła w ślad za Patrykiem.

Stalowe schody zaskrzypiały. Patryk szarpnął okno, które z trzaskiem

się zamknęło. Była bardzo niewielka szansa, że bandyci nie zorientują się od razu, gdzie się oboje podziali.

Pordzewiałe schody wiły się w stalowych splotach, opadając stopniowo ku wąskiej uliczce między ślepyimi ścianami sąsiednich budynków. Karen i Patryk zbiegali w dół, łomocząc butami po stalowych stopniach. Gdy byli na drugim piętrze, usłyszeli, jak nad nimi otwiera się okno. Patryk, pokonując kolejny zakręt, zobaczył, jak na schody wyskakuje jeden z facetów.

Schody skończyły się drabiną, którą trzeba było odblokować. Karen szarpnęła za mocujący ją uchwyt i po chwili stalowy stelaż zleciał z łomotem w dół.

Karen i Patryk jedno po drugim zaczęli schodzić po stalowych prętach, a nad ich głowami łomotały stopnie. Gdy Karen zeskoczyła na bruk, dwaj ścigający ich mężczyźni byli już na pierwszym piętrze.

Patryk, gdy tylko znalazł się na ziemi, rzucił się do biegu za Karen. Ominęli kontenery na śmieci, Patryk w przyływie natchnienia, inspirowanego filmami sensacyjnymi, przewrócił stojący przy ścianie kubeł, z którego wysypała się masa śmieci i wylała jakaś śmierdząca substancja. Mając nadzieję, że któryś z bandziorów się na niej poślizgnie, Patryk wyskoczył za Karen na główną ulicę i oboje ruszyli w kierunku samochodu.

Prawie od razu zorientowali się, że obok toyoty po chodniku chodzi jakiś ubrany w czarną koszulkę polo Afroamerykanin.

Możliwe nawet, że uznaliby go za tubylca, względnie zabłąkanego na obrzeżach rozrywkowych dzielnic Richmond turystę, gdyby nie to, że na ich widok stanął jak wryty, a następnie rzucił się w ich kierunku jak wściekły rottweiler.

Rozdział 10

Dwaj ponurzy mężczyźni znosili właśnie z ganku stalowe nosze z czarnym, zapiętym na zamek workiem. Trzeci z pomocników otworzył tylne drzwi samochodu koronera i po chwili zwłoki znalazły się w jego wnętrzu.

Od strony zabudowań gospodarczych wracał akurat Martinez. Miał wypisane na twarzy przerażenie. Bał się z kilku powodów co najmniej. Pierwszym bezapelacyjnie była utrata dobrej pracy, zaraz potem natomiast obawy co do tego, że policja wygrzebie jego szemraną przeszłość. Dopiero gdzieś na końcu listy zmartwień znajdował się zwalisty brodacz, którego Martinez znał dopiero od miesiąca. Jego śmierć ani go grzała, ani ziębiła, ale okoliczności, w jakich do tego doszło, powodowały, że znowu zaczął myśleć, że ma wrzody żołądka.

Gdy był przy schodach, samochód koronera ruszył i potoczył się w kierunku bramy wyjazdowej. Martinez przełknął ślinę, odetchnął i z miną, jakby szedł na skazanie, wszedł do wnętrza domu.

Carter Moore, balansując na aluminiowej drabinie, pochylił się ostrożnie nad drewnianym czerepem niewolnicy i zajrzał do jego wnętrza.

- No i co tam jest? - Mike nie wytrzymał.

- Niczego tu nie ma - mruknął Carter i zaczął schodzić.

- Ciekawe, czy to się jakoś wiąże? - Mike podrapał się w brodę, spoglądając w kierunku wnętrza biblioteki. - Znasz te opowieści o ukrytym tutaj skarbie? - Przeniósł wzrok na kolegę. - Może na przykład coś znaleźli i dlatego się pożarli. Może to było coś cennego?

- A ten dalej swoje. - Carter pokręcił głową. - Jak nie wampiry, to skarb.

- Kasa to zawsze niezły powód, żeby się mordować. - Mike wzruszył ramionami.

- A co by tu robili w takiej sytuacji ci turyści? I dlaczego odjechali?

- Znaleźli się przypadkiem po fakcie? Przestraszyli się i uciekli? Albo te psy ich przegoniły?

- No właśnie, psy. Same wylazły?

Mike ściągnął usta w ciup, po czym ponownie wzruszył ramionami.

W progu stanął Martinez i rozejrzał się niepewnie po holu.

- Jestem - powiedział, patrząc na Cartera. - Chciał pan rozmawiać, szeryfie.

- Tak, wejdź tutaj, Martinez. - Carter skinął ręką. - Przede wszystkim, kiedy pojechałeś do domu? Czy gdzie tam pojechałeś...

- O dziewiętnastej przyjechał Marsden.

- Kto? - Carter podniósł wzrok znad notatnika.

- Greg. - Martinez skinął głową w kierunku podjazdu, z którego dopiero co zabrali zwłoki brodacza. - Pracujemy na zmiany, od ósmej do ósmej.

- Ci turyści już tutaj byli?

Martinez skinął głową.

- Nawet ich widziałem, bo akurat wysiadali z samochodu. Przyjechali wozem z wypożyczalni z Nowego Jorku. Ładna dziewczyna i koleś z ciemnymi włosami.

- A ten cały Greg? Widział ich?

- Taa. - Skinął głową Martinez. - Nawet skomentował, że dziewczynę toby.

- Od kiedy on tu pracuje? - przerwał mu Mike. - Pamiętam, że pracowałeś razem z Bobem i grubym Johnem.

- Gruby nadal robi, Bob odszedł. A ten Marsden to tak od miesiąca tu był.

Z jeszcze jednym, który go zmieniał. Tamten się Garcia nazywał.

- Zamykałeś teraz psy. - Carter przypomniał sobie o rottweilerach. - One same się wydostały? Przegryzły siatkę?

Martinez pokręcił głową.

- Boksy były zamknięte. Ktoś je wypuścił. Musiał to zrobić Marsden.

- Szefie. - Z biblioteki wyszła policjantka. Trzymała w rękach laptop. - Mam tutaj kilka nagrań z ostatnich dni. Z kamerki.

Dziewczyna postawiła laptop na stole i stuknęła w enter. Na ekranie ukazał się Linton, który narzekał na niedziałającą pocztę, a po chwili na jego miejscu usiadł ciemnowłosy młody mężczyzna.

- O, to on! - odezwał się nagle Martinez.
- Czyli kto? - Carter zmarszczył brwi. - Znasz go?
- To ten turysta, co był tu z tą laską.
- Koleś jest chyba informatykiem, bo pomagał Lintonowi coś tam naprawić - odezwała się młoda policjantka. - W dalszej części nagrania gadają o jakichś wirusach i trojanach.
- Carter pokiwał głową. Przypadkowi turyści okazali się pomocni.
- To dzisiejsze nagranie? Nic tam więcej nie ma?
- To nagranie z wtorku, szefie.
- Z wtorku? - Carter podniósł brwi. - Dziewczyna przecież powiedziała, że są przypadkowymi turystami, a dzisiaj jest piątek.
- No właśnie - przytaknęła policjantka, znacząco kiwając głową.
- Jesteś pewien, że to ten koleś? - Carter spojrzał na Martineza.
- Martinez skinął zdecydowanie głową.
- Facet nie wyglądał mi na informatyka - dodał. - Informatycy to oberwańcy, a ten był schludny jak jakiś prawnik.

Patryk zaklął, gdy rękaw jego koszuli rozdarł się, szarpnięty przez jakąś zadrę w leżącej przy jednej ze ścian stercie starych drzwi i desek. Wpadli tutaj z Karen z głównej ulicy, gdy jezdnią przejeżdżał akurat spory samochód dostawczy i na moment stracili z oczu trzech ścigających ich bandziorów.

Patryk ledwie mógł nadążyć za Karen. Od dziecka uprawiała pięciobój i biegła prawie codziennie. Podejrzewał, że gdyby była sama, żaden z bandytów nie miałby z nią szans, a tak musiała czekać na niego.

Ledwie dysząc, dobiegł za swoją dziewczyną do wąskiej uliczki na tyłach budynków.

Karen szarpnęła klamkę stalowych drzwi, obok których stała bateria śmietników, a gdy nic to nie dało, podbiegła do następnych. Tym razem drzwi stanęły otworem.

Wpadli na zaplecze jakiegoś lokalu. Karen przemknęła obok dwóch młodych, czarnoskórych chłopaków w białych kubrakach, a Patryk tuż za nią, o mały włos nie wywracając na ziemię wózka z sałatkami.

Jeden z kucharzy krzyknął za nimi, ale Patryk nie dosłyszał, o co mu chodziło. Pewnie była to zresztą jedynie jakaś obelga.

Karen pchnęła kolejne drzwi i nagle znaleźli się w przyciemnionym

wnętrzu nocnego klubu. Tuż za drzwiami ciągnął się niemały, rześcicie oświetlony barek, wokół którego stało sporo głośno śmiejących się osób. Trochę dalej widać było parkiet, na którym grała mocno oldskulowa muzyka.

Na ich szczęście jednak w lokalu było sporo ludzi.

- Spróbujemy wyjść głównym wejściem. - Karen skinęła na Patryka i zaczęła się przedzierać przez tłum podrygujących w rytm starego hitu balangowiczów.

Byli na obrzeżach parkietu, po drugiej jego stronie, gdy drzwi na zaplecze stanęły otworem i do wnętrza wpadli trzej mężczyźni. Patryk, który w przeciwieństwie do Karen co chwilę się oglądał, zobaczył ich pierwszy i odruchowo skoczył za plecy jakiegoś potężnego, roztańczonego Afroamerykanina.

- Są tutaj - syknął do Karen, która przystanęła i obejrzała się. Mężczyźni rozglądali się po lokalu, zadzierając głowy ponad tłumem gości.

Karen odwróciła się i za plecami tańczących przemknęła do przepierzenia, za którym było kilka łóż, a dalej wąski korytarz, prowadzący najwyraźniej do wyjścia. Wlewał się przez niego strumień nowych gości.

Patryk ruszył za nią. Byli prawie u wylotu korytarza, gdy nagle gdzieś z tyłu rozległ się jakiś hałas. Patryk odwrócił się i zobaczył, że przez tłum protestujących gości bezceremonialnie przedzierają się w ich kierunku trzej bandyci. Patrykowi serce od razu podskoczyło do gardła i pognał za Karen.

Wbiegli w wąski korytarz i przepychając się między wchodzącymi do lokalu parami i grupkami bardzo młodych w większości ludzi, pobiegli do wyjścia. Patryk, kierując się impulsem i jednocześnie ryzykując pobicie przez ochroniarza, wyrzucił stojący u wylotu korytarza stolik. Ten z łoskotem runął na ziemię, a leżące na nim gadzety, rozmaite foldery i prospekty zachęcające do odpowiedzialnego stosowania antykoncepcji rozsypały się pod nogi wchodzących, blokując na moment wejście.

Karen wyminęła powiększający się tłumek gości i wbiegła w drzwi, a Patryka zatrzymał jeden z muskularnych ochroniarzy.

- Ty tego przypadkiem nie zrobiłeś, koleś - warknął. - Widziałem. To takie zabawne ci się wydaje?

Patryk nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, i nie wiadomo, jak by się ta sytuacja dla niego skończyła, gdyby w głębi korytarza nie wybuchła nagle głośna awantura. Popchnięta na ścianę dziewczyna głośno krzyknęła

i walnęła torebką przepychającego się obok niej faceta. Jej towarzysz zatarasował mu drogę, w następstwie czego dostał pięścią w nos.

- *Shit!* - Ochroniarz puścił Patryka i rzucił się w kierunku kotłujących się gości.

Patryk, korzystając z okazji, wypadł przez drzwi na zewnątrz i zatrzymał się na środku chodnika. Przed wejściem kłębił się tłum nieszczęśników czekających, aż selekcjonerzy łaskawie wpuszczą ich do środka. Patryk rozejrzał się i zobaczył Karen, która po drugiej stronie ulicy niecierpliwie machała do niego rękami. Gdy spostrzegła, że ją zauważył, odwróciła się i wpadła do wnętrza najbliższej restauracji.

Patrykowi przemknęło przez myśl, że z boku to musi wyglądać tak, jakby to on ją gonił, a nie, że oboje byli ścigani, po czym rzucił się w ślad za swoją dziewczyną. Gdy wpadł na jezdnię, z piskiem opon zatrzymał się przed nim wielki mercedes. Patryk rzucił się w bok, prawie wpadł pod kolejny na drugim pasie i wreszcie znalazł się po przeciwnej stronie ulicy.

Szarpnął przeszklone drzwi i wpadł do środka nastrojowego, stylizowanego na kolonialne klimaty wnętrza.

Stojący przy wysokim pulpicie maitre d'hotel spojrzał na niego, podnosząc wysoko brwi.

Patryk rozejrzał się dookoła w popłochu.

- Przed chwilą weszła tutaj moja dziewczyna...

- Pocahontas? - Szef sali uśmiechnął się drwiąco. - Niestety, nie udało mi się jej zatrzymać.

- Dokąd poszła?

- Pobieгла na zaplecze... Proszę pana! Ale tam nie wolno! Nie wolno tam wchodzić! - Maitre d'hotel odwrócił się za Patrykiem, który go wyminął i pobiegł w kierunku stalowych drzwi prowadzących do kuchni.

Zdenerwowany szef sali przez moment zastanawiał się, czy nie pobiec w ślad za dwojgiem pomyleńców, po czym sięgnął po telefon i wybrał numer ochrony.

Karen kątem oka zauważyła, że Patryk wpadł za nią na zaplecze, i ruszyła między wielkimi kotłami, rusztami i stołami ze stali nierdzewnej, na których kilku pomocników kucharza ustawiało właśnie dziesiątki kolorowych przystawek.

Biegając, kurczowo trzymała paski swojego plecaka, tak jakby ktoś

miał zaraz za nie złapać i zerwać jej go z pleców. Większa część jej umysłu skupiona była na poszukiwaniu drogi ucieczki, ale niewielki fragment usiłował wydedukować, kto mógł ich ścigać. Czy to byli fanatyczni poszukiwacze skarbów związanych z tym całym debilnym wątkiem wampirycznym? Czy zorganizowana grupa przestępcza - bo że była to grupa przestępcza, to w świetle aktualnych wydarzeń raczej nie było już żadnych wątpliwości - ścigałaby ich, gdyby te listy i notatnik nie miały żadnej wartości?

Po co komu to było potrzebne? Czy znajdują się tam jakieś wskazówki, jak dotrzeć do dokumentów Johna Jaya?

Na końcu kuchni były drzwi prowadzące do części magazynowej. Karen orientowała się, że z każdej restauracyjnej kuchni musi być na tyłach wyjście na potrzeby wynoszenia śmieci i odpadków.

Usłyszała, jak Patryk wbiega za nią na korytarz i po chwili stanęli przed kolejnymi drzwiami.

Karen złapała za wielką stalową poręcz i szarpnęła. Ani drgnęły.

Co za pech. Szarpnęła jeszcze raz. Bez skutku.

- No nie - jęknął Patryk. - Zamknięte?

Karen rozejrzała się po korytarzu. Gdzieś tutaj musiał wisieć klucz. Orientowała się nieco w zwyczajach pracowników. Przez pół roku pracowała jako kelnerka w barze w Lund w Szwecji. Kelnerzy i pomocnicy nie mogli przecież za każdym razem latać do kogoś, kto dzierżyłby go w kieszeni.

Patryk przejechał palcami po wystającej framudze. Widział to w filmach, aczkolwiek w rzeczywistości nie znał nikogo, kto wpadłby na taki kretyński pomysł.

Oprócz głównego wyjścia w korytarzu były jeszcze jedne drzwi.

Karen je otworzyła. Ze środka doszedł niezbyt przyjemny zapach. Kantorek na śmieci.

Ale z kantorka, jak się okazało, były oddzielne drzwi prowadzące na zewnątrz.

Karen przepchnęła się między kontenerami i szarpnęła za wajchę. Stalowe drzwi jęknęły i stanęły otworem.

- Czekaj! - Patryk, który wdarł się do pomieszczenia na odpadki tuż za Karen, złapał ją za ramię, gdy zrobiła krok w kierunku wyjścia. - Co robimy? Musimy mieć jakiś plan. Będziemy tak uciekać po całym mieście?

Z tobą w tej kiecce mocno zwracamy uwagę.

- To co, wracamy do samochodu?

- Pewnie tego się akurat spodziewają i ktoś tam został.

- No to nie ma wyjścia. Musimy dostać się na jakiś posterunek policji. -

Karen westchnęła na samą myśl o związanych z tym kłopotach.

- W końcu mówisz z sensem. - Patryk wychylił się przez drzwi i rozejrzał po kolejnej wąskiej uliczce na tyłach zabudowy. - Idziemy - rzucił.

Wymknęli się z kantorka na śmieci i pod osłoną stojących pod ścianami zadaszonych blachą wiat przemknęli do końca bocznej przecznicy i znaleźli się na ocienionym drzewami chodniku następnej ulicy.

Za rozświetlonymi witrynami w parterach i w suterrenach widać było liczne mniejsze i większe lokale. Przy wielu działały jeszcze letnie ogródki, wypełnione teraz światłami i muzyką.

- Czekaj! - Karen syknęła do Patryka, który chciał właśnie wyjść z kryjącego ich cienia bocznej uliczki. Pochyliła się nad swoją komórką. - Szukam najbliższej komendy - wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie Patryka. - To gdzieś koło ratusza. - Podniosła głowę i rozejrzała się. - Co to za ulica? Gdzie my w ogóle jesteśmy?

- Patrzysz w Google i mnie pytasz, gdzie jesteśmy? - Patryk patrzył na najbliższe fasady budynków w poszukiwaniu tabliczek z numeracją.

- Musimy przedostać się na Bank Street, a potem na Franklina.

- Roosevelta?

Karen pokręciła niecierpliwie głową.

- Edwarda. To jakiś socjolog czy ktoś tam - mruknęła znad komórki. - To gdzieś przy ratuszu. Ten klasycystyczny pałac, który wygląda jak Biały Dom. Widzieliśmy go przedwczoraj.

- To na północ. - Patryk zajrzał Karen przez ramię. - Kilka przecznic stąd.

- W takim razie nie mamy wyjścia. - Karen schowała komórkę do kieszeni i wyrzała ostrożnie zza narożnika na główną ulicę. Szerokim chodnikiem przechodziły grupki ludzi. Piątkowy wieczór dopiero się rozkręcał.

- Miejmy nadzieję, że ich zgubiliśmy - mruknął bez specjalnego przekonania Patryk i ruszył za Karen.

Mężczyzna, który kilka minut wcześniej wybiegł z nocnego klubu, zatrzymał się na chodniku i sięgnął do kieszeni po telefon. Skinął ręką swoim dwóm kolegom, którzy przebiegli przez ulicę i zniknęli za drzwiami najbliższego lokalu.

- Uciekli nam - rzucił, jak tylko uzyskał połączenie. - Wyglądają dość charakterystycznie, więc dopadniemy ich. Słucham?

- Dziewczyna ma na sobie krótką brązową kieckę - odpowiedział, gdy usłyszał pytanie o to, co to znaczy charakterystycznie. - Pocahontas. No Pocahontas! Nie, nie żartuję - potwierdził. - Pewnie zechcą się dostać na najbliższy posterunek. Tak, przy Franklin Street!

Mężczyzna przez chwilę słuchał.

- Tak jest. - Gdy jego rozmówca przerwał połączenie, wsadził komórkę do kieszeni marynarki. - *Shit!* - warknął pod nosem, rozejrzał się w obie strony, a następnie przebiegł przez ulicę i w ślad za swoimi kolegami wpadł do pierwszej z brzegu knajpy.

Karen i Patryk, rozglądając się czujnie dookoła, przemykali kolejną przecnicą.

Stare ceglane kamienice, często jeszcze z dziewiętnastego wieku, ustąpiły wysokim, nowym budynkom z elewacjami wykończonymi kamieniem i ceramiką. W parterach pojawiły się eleganckie lokale i lobby znacznie lepszych hoteli niż ten, z którego Karen i Patryk właśnie uciekli.

- Zapłaciłem z góry. - Patryk z sarkazmem rozwiął wątpliwości Karen, czy zaraz przypadkiem nie zaczną ich ścigać, oprócz policji i bandziorów, także właściciel podejrzanego hostelu. - To był hotel na godziny. Czy syn Lintona byłby zdolny do takich wyczynów?

Patryk przystanął przed przejściem dla pieszych. Z narożnego wejścia do pubu wylała się na chodnik grupa roześmianych młodych ludzi.

- Jego syn nazywa się James Oswald. - Karen ruszyła przez przejście. - To kto to jest Howe?

- Jaki Howe? - Patryk spojrział na Karen zdezorientowany.

- Linton, zanim stracił przytomność, powiedział: „To z pewnością Howe!”. Nie słyszałeś?

- Karen. - Patryk parsknął. - Ja byłem w szoku! Ledwie pamiętam, o czym sami rozmawialiśmy.

- Ale ja pamiętam. Linton powiedział: „To z pewnością Howe!”. I dodał jeszcze, że ten Howe mu groził.

- Przecież my tak naprawdę nic nie wiemy o Lintonie. - Patryk nerwowo obejrzał się za siebie. - Może miał długi? Może ten Howe to jakiś jego wkurzony wierzyciel?

- A program szpiegujący? - Karen poprawiła plecak. - A ten Greg? To wszystko byłaby sprawka wierzyciela? Stracił kasę na interesach z Lintonem i jeszcze by inwestował w takie poczynania?

- W nic nie inwestował. Gregowi płacił Linton. Ten wierzyciel mógł go tylko podstawić, dzięki czemu miał swojego człowieka pod jego dachem.

- Linton powiedział, że nieźle się wzbogacił dzięki nam - odezwała się znowu Karen, gdy minęli kolejną przecznicę.

- Przez ten akt własności? - Patryk wyminął trzech idących wolnym krokiem i żywo o czymś rozmawiających młodych ludzi. - Żartował. Akt własności można odtworzyć. Archiwalny dokument nie jest niezbędny.

- Mówił coś o tym, że ta działka jest teraz warta majątek. - Karen wciąż nad czymś się zastanawiała. - I czemu to miała być niby męska sprawa?

- Powiedział, że to chata w ustronnym miejscu. Może jego dziadek z kimś się tam spotykał po prostu.

- W jakimś rezerwacie? - prychnęła powątpiewająco Karen.

- W jakim rezerwacie?

- No Linton powiedział, że tam jest teraz ścisły rezerwat. Nie prościej byłoby kupić mieszkanie w mieście? Chata w rezerwacie?

- A to kochankę można mieć jedynie z miasta? Może to wieśniaczka? Może wyjeżdżał w delegację, a w rzeczywistości spędzał upojny weekend na totalnym zadupiu.

- Widzę, że do skoku w bok jesteś profesjonalnie przygotowany.

- Oczywiście. - Patryk wydał wargi. - A jako prawnik pozbawię konkubinę, czyli ciebie aktualnie, jakichkolwiek praw do czegokolwiek.

- Prawa do słuchania tych głupot chętnie sama się zrzeknę.

- Kurwa! - krzyknął nagle Patryk, który w trakcie rozmowy cały czas czujnie się rozglądał.

Karen, zdezorientowana, odwróciła się i zobaczyła, jak na końcu kwartału z poprzecznej ulicy wychodzą dwaj mężczyźni. Nawet gdyby miała wątpliwości, czy to na pewno są ci sami, którzy ich ścigali, to zachowanie mężczyzn, rozglądanie się i rozbiegany wzrok pozbawiłyby ją złudzeń.

- Wiejemy! - wrzasnął Patryk i przyśpieszył kroku. Karen

pogratulowała mu w myślach rozsądku. Gdyby nagle rzucił się do ucieczki, niewątpliwie zostałoby to odnotowane przez wszystkich na ulicy.

Patryk podbiegł do jakichś drzwi i szarpnął za klamkę. Okazały się zamknięte.

Dzielnica, w której się znaleźli, nabrała cech bardziej oficjalnych. Dookoła wznosiły się wysokie biurowce, a w parterach więcej było banków i biur niż restauracji. Mniej, niestety, było też ludzi na ulicach.

- Zobaczyli nas! - krzyknął nagle Patryk i rzucił się do ucieczki. Karen ruszyła za nim, nawet się nie oglądając.

Na skrzyżowaniu skręcili w prawo, a u wylotu ulicy, na wzgórzu pojawił się oświetlony jak na scenie ratusz.

Kolejny zakręt, krótki kawałek i znaleźli się na ulicy Franklina.

Karen na moment odwróciła się i zobaczyła, że odległość między nimi a bandziorami zmniejsza się z każdą chwilą.

Wyprzedziła Patryka i wskazując mu otwartą bramę w mijanej kamienicy, wpadła do środka. We wnętrzu znajdował się wielki, wyłożony marmurem hol, z którego na wyższe piętra wiodły malownicze, zabiegowe schody. Po drugiej stronie była otwarta brama na podwórze. Karen przebiegło przez myśl, że na wyższych piętrach są pewnie tylko mieszkania. Może ktoś by im i otworzył, ale możliwe także, że prześladowcy dopadliby ich wcześniej. A nie jest powiedziane, że ktokolwiek wpuściłby do środka dwoje wariatów. Uprzytomniła sobie, że cały czas ma na sobie przecież indiańską kieckę.

Rzuciła się do wyjścia na drugą stronę budynku i już na progu zorientowała się, że znaleźli się w pułapce. Podwórze za budynkiem było zamknięte wysokim stalowym ogrodzeniem.

- Na górę - krzyknęła do biegnącego za nią Patryka.

Pomyślała, że nie ma wyjścia. Może na najwyższej kondygnacji będzie jakieś wyjście na dach.

- Zwariowałaś? Na dach? - Patryk skręcił i przeskakując po dwa stopnie, pobiegł po schodach za Karen. Byli na drugim piętrze, gdy usłyszeli, że do holu wbiegają ich prześladowcy.

Karen odruchowo złapała za klamkę jakichś drzwi i ze zdziwieniem skonstatowała, że lokal był otwarty. Wpadli do środka i oddychając ciężko, zatrzymali się w korytarzu.

Karen powiodła spojrzeniem po wnętrzu, stwierdzając, że to biuro,

a nie mieszkanie. Wyglądało jak kancelaria. Na regale w głębi jednego z pomieszczeń zobaczyła baterię prawniczych wydawnictw.

Na korytarzu rozległy się kroki. Karen zamarła. Prześladowcy pobiegli jednak wyżej, na schodach słycać było oddalający się tętent ich kroków.

- Na dół? - Patryk ruszył do drzwi. Karen zdążyła pomyśleć, że to chyba rzeczywiście jedyna szansa, po czym odgłosy kroków rozległy się ponownie.

- Jeśli tutaj wpadną, to koniec z nami - jęknął Patryk.

Karen rozejrzała się nerwowo. Z ostatniego pokoju dobiegała cicha muzyka. Dlaczego nikogo nie ściągnęło ich wtargnięcie? Może ktoś wyszedł na moment?

Za wysokimi portfenetrami widać było oświetlone domy po drugiej stronie ulicy. Z dołu dochodziły hałasy i śmiechy. Przypomniała sobie, że gdy wbiegała w bramę budynku, zarejestrowała, że trochę dalej był spory ogródek letni. To z niego dobiegały te odgłosy.

Podbiegła do okna, otworzyła je na oścież i się wychyliła.

Ogródek był nakryty szerokimi markizami.

- Nie chcesz chyba...? - Patryk stanął obok niej i spojrzał z przerażeniem. - To drugie piętro.

- Wolisz, żeby nas dorwali?

- Zabiorą to gównem z twojego plecaka i koniec, a tutaj grozi nam kalectwo!

- A jeśli nas gdzieś wywiozą? Byliśmy świadkami strzelaniny u Lintona. Markiza jest nad parterem. To może ze cztery metry. - Karen wychyliła się, usiłując ocenić wysokość.

- Przecież ta markiza się wyjebie pod naszym ciężarem! Na tych ludzi pod spodem!

Rozsądna uwaga Patryka miała dużą siłę przekonywania, ale w tym momencie zachrobotyły otwierane drzwi.

Karen, starając się nie myśleć, co będzie potem, przełożyła nogi przez parapet i zsunęła się, zwieszając się na rękach. Spojrzała w dół i widząc przerażony wzrok Patryka, puściła krawędź parapetu.

Czarny cadillac escalade minął budynek ratusza, skręcił na Franklin Street i potoczył się wolno wzdłuż ulicy. Ruch o tej porze był niewielki. W dzielnicy urzędów, kancelarii i oficjalnych siedzib różnych rządowych

i lokalnych władz dzień pracy skończył się kilka godzin wcześniej. Zaczął się natomiast weekend w podmiejskich domach, chatkach za miastem lub ustronnych posiadłościach na wybrzeżu.

Pasażerka limuzyny wpatrywała się w przyciemnioną szybę. Rozglądając się nerwowo po ulicy, zastanawiała się jednocześnie, jak to możliwe, że to wszystko się stało. Linton wylądował w szpitalu, gdzie nadal walczył o życie, a drugi baran znalazł się w kostnicy. Jak to możliwe, że tak to spaprała? A właściwie nie ona spaprała, tylko ci dwaj krety!

Samochód minął kilka przecznic i zwolnił przy jednym z wysokich budynków w stylu art deco, na którego parterze znajdowała się stylowa wprawdzie, ale i bardzo snobistyczna restauracja.

Nagle w jednym z okien drugiego piętra pojawiła się szczupła dziewczyna w sukience słynnej indiańskiej księżniczki. Wydostała się na zewnątrz, złapała się rękami parapetu i zeskoczyła. Wprost na bordową tapiserię bajeranckich markiz nad ogródkiem letnim szpanerskiej restauracji.

Markiza ugięła się pod jej ciężarem, podtrzymujące ją słupki zatrzęszczały, a ze stojących tuż obok nich stolików pospadały talerze i kieliszki. Jakaś kobieta głośno krzyknęła, a kilka innych osób zerwało się z krzeseł i z przerażeniem wybiegło na chodnik przed lokalem.

Zszokowana pasażerka limuzyny spojrzała w okno, z którego wyskoczyła dziewczyna, i zobaczyła w nim chłopaka, idącego właśnie w ślady Pocahontas.

- Skreć w prawo! - rzuciła do kierowcy. - Omiń kwartał i wyjeżdż następną przecznicą!

Patryk patrzył z przerażeniem, jak Karen spada na markizę, a po chwili z lokalu na ulicę wybiegają ludzie. Jego dziewczyna przewróciła się na bok, przeturlała po bordowej szmacie i w ostatniej chwili złapała się za jej brzuch. Zeskoczyła na ziemię.

Patryk nie zdążył zobaczyć, że spojrzała w górę, bo właśnie wydostawał się na parapet. Złapał się rękami za jego stalowe obrzeże i patrząc w dół, zeskoczył. Poczuł, jak markiza napina się pod jego ciężarem, a coś pod nią przewraca się z hukiem. Kątem oka spostrzegł, że z okna wychylił się jeden ze ścigających ich mężczyzn, po czym zwałił się na bok i poleciał w dół, w o wiele gorszym stylu niż Karen. Ta ostatnia

sarkastyczna myśl zdołała nie wiadomo kiedy powstać mu w głowie, gdy spadał na ziemię.

Gdyby w ostatniej chwili nie złapał markizy, niewątpliwie grzmotnąłby plecami w chodnik, a to zdecydowanie nie skończyłoby się tak niewinnie, jak zazwyczaj kończy się w filmach, które oglądał.

Gdy znalazł się bezpiecznie dwiema nogami na ziemi, widząc, jak przestraszeni goście restauracji rozbiegają się na boki, prawie od razu ruszył biegiem za oddalającą się Karen. Za plecami usłyszał, jak markiza z hukiem zwała się na stojące pod nią stoliki.

Czarny cadillac wyjechał z bocznej uliczki i z piskiem opon zatrzymał się przy chodniku.

Tuż przed biegnącą Karen.

Dziewczyna zatrzymała się gwałtownie, a zaraz za nią jej chłopak. Chcieli wyminąć samochód i biec dalej, ale tylne drzwi limuzyny otworzyły się, a ze środka wyjrzała kobieta i energicznie skinęła do nich głową.

- Wsiadajcie! Natychmiast!

Rozdział 11

*Dawno, dawno temu...
W królestwie Prus.*

"Wkrótce po niefortunnym tete-a-tete w zamkowych ogrodach hrabina von Enkevort pożegnała się chłodno i wsiadła do swojej karety, a Wiktorja z zaciśniętymi ze złości i żalu pięściami wbiegła po schodach do sieni. Chciała jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju.

Czuła się oczywiście okropnie. Jak łowczyńni męskich serc, chociaż w tym kontekście to akurat o serca raczej nie chodziło. Jak w ogóle hrabina mogła coś takiego pomyśleć? Nie żeby nie przemknęło jej to przez głowę. Która dziewiętnastoletnia, zagrożona staropanieństwem dziewczyna na widok tak uroczego kawalera jak Bruno von Enkevort nie pomyślałaby o ślubie? Ale jak hrabina w ogóle na to wpadła, że ona może dybać na jej syna? To znaczy, wcale nie dybała, ani na Brunona, ani na niczyjego syna! To tylko głupiutkie żarty Elizy. Owszem, spoglądała na niego czasem, ale na Boga, czy to było aż tak widoczne?

- A ostrzegałem. - Za plecami usłyszała nagle czyjś męski głos.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła stojącego na schodach księcia Adama. Patrzył na nią z łagodnym uśmiechem.

Jeszcze tylko litościwego uśmiechu tego libertyna jej brakowało.

- Nie wiem, o czym pan mówi, książę. - Wiktorja skinęła grzecznie głową, ukloniła się i nie czekając na odpowiedź, ruszyła przez salę z trofeami myśliwskimi w kierunku bocznej sieni.

- Mówiłem, że lepiej będzie mieć się na baczności?

Wiktorja spostrzegła, że książę idzie tuż za nią. Stała i spojrzała na niego z irytacją. Odpowiedział jej drwiącym uśmiechem.

- Co pana skłoniło do tego, żeby teraz akurat mi o tym przypomnieć? – rzuciła poirytowanym głosem.

- Proszę się tak nie denerwować. - Książę podszedł bliżej. Teraz dopiero spostrzegła, że ma bardzo niebieskie oczy. W dodatku podkreślone

jeszcze przez szafirowy fular. - Po prostu domyślam się, jaki powód mogła mieć wizyta hrabiny.

- Niby jaki, książę?

- No proszę mi nie próbować wmawiać, że hrabina przyjechała tutaj tylko po to, żeby przespacerować się z panią po ogrodach. - Książę parsknął. - Więc jeśli nie przyjechała pogratulować zaręczyn, to jedynie po to, żeby panią ostrzec przed zakusami na jej syna.

- Jest pan impertynencki! - Wiktoria ruszyła ponownie w kierunku drzwi do bocznej sieni.

- Ale przynajmniej szczerzy. - Książę ruszył za nią. - Po cóż miałbym prawić pani dusery? Czy coś dobrego z tego przyjść może?

Wiktoria zatrzymała się w progu sieni.

- Poza tym, że grzeczność i kultura nakazują, żeby złym słowem nie ranić?

- Ależ nie chcę pani ranić i pani dobrze o tym wie. Lepiej się pogodzić z rzeczywistością, niż żyć ułudą. Powinna pani wiedzieć, że niektórym mężczyznom zapobiegliwa macocha bardzo jest na rękę. Dzięki temu sami swoich błędów naprawiać nie muszą.

- Insynuuje pan, książę, że hrabia jakieś błędy zdążył poczynić?

- Proszę nie brać tego do siebie.

- A do kogóż bym miała?

Przez chwilę wpatrywali się w siebie z napięciem.

I nagle książę pochylił się i objął Wiktorię. Zupełnie zaskoczona tym niespodziewanym obrotem spraw, znieruchomiała w jego objęciach, pozwalając, by ją pocałował. Miała wrażenie, że ta chwila trwa wieczność, nie miała też pewności, czy nie oddaje właśnie jego pocałunków. Oprzytomniała, gdy książę przejechał dłonią po jej plecach i mocniej ją do siebie przycisnął. Gwałtownie go odepchnęła i ponownie stanęła naprzeciwko, łapiąc oddech i wpatrując się w siebie z niedowierzaniem.

Wiktoria pierwsza doszła do siebie. Odwróciła się i pobięła przez sieni. Słyszała za plecami, że książę nie ruszył się z miejsca.

Dobiegła wreszcie do swojego pokoju. Wpadła do środka i oparła się o drzwi, ciężko oddychając. W głowie miała zamęt. Tak jakby ktoś nagle zamieszał kijem w rzece o mulistym dnie. Jedno, co przebijało się do jej świadomości, to pytanie, jak ona, do diabła, powie o tym Elizie?

Godzinę później Eliza stanowczo odrzuciła wymówki Wiktorii, która stwierdziła, że nie chce jednak iść na bal, po czym otworzyła swoją szafę.

Przejechała palcami po kolekcji sukien, które zabrała z Berlina, i zatrzymała dłoń na niebieskiej, mieniącej się niczym turkusowa droga mleczna, na którą ktoś sypanął garść diamentów.

- Tę suknię włożysz! - powiedziała dobitnie i wyjęła z szafy turkusową chmurę bławatu.

- Elizo. - Wiktorii zaniemówiła. Nawet nie dlatego, że nie spodziewała się po Elizie takiej łaski, bardziej dlatego, że nie potrafiła sobie wyobrazić siebie w czymś tak spektakularnym.

- Nie wiem, po co w ogóle ją zabrałam. - Eliza przekrzywiła głowę krytycznie. - Dla mnie zawsze wydawała się zbyt strojna. Wiesz przecież, że wolę proste stroje, klasyczne.

- Nie zrobię w niej nawet jednego kroku. - Wiktorii pokręciła głową. - Będę zbyt zawstydzona. Taką suknię może włożyć tylko bardzo pewna siebie i wyniosła dama. Ja będę wyglądała jak przebieraniec.

- Od tego właśnie jest to. - Eliza uśmiechnęła się i wyjęła z dużego pudła turkusową, przyozdobioną brokatem maskę. - Nikt cię nie pozna - dodała z entuzjazmem.

- Przecież gdy ktoś zapyta, kim jestem, to będę musiała...

- A kto ci każe? - przerwała jej Eliza. - To bal maskowy. Będziesz, jak już wspomniałam, tajemniczą pięknoscią.

- Kim?! - Wiktorii otworzyła szeroko oczy.

- Czemu ty się tak przejmujesz? - Eliza otwarcie się roześmiała. - To bal maskowy. Wszyscy będą się zastanawiać, kim jesteś, i nikt nie zgadnie. Natrzemy uszu tym dwóm birbantom.

- W jaki niby sposób?

- Na pewno zwrócą uwagę na egzotyczną nieznajomą, która tymczasem potraktuje ich jak natrętów. - Eliza patrzyła na przerażoną Wiktorię z rozbawieniem. - Będziesz się świetnie bawić. Przymierz!

- Ale Elizo...

- Przymierz! Bez gadania! Poza tym przyjedziesz na bal powozem.

- Jak to powozem?! - Wiktorii czuła, że traci właśnie kontrolę nad swoim życiem.

- Moja droga. - Eliza westchnęła, jakby miała do czynienia z kimś bez rozumu. - Przecież jako tajemnicza nieznajoma nie możesz wejść na bal

przez kredens i służbówkę!

Zmierzch pod koniec września na Pomorzu nadchodził już po dziewiętnastej. Przed ósmą, gdy na podzamczu, na wspinającej się do zamku alei i na samym zamkowym dziedzińcu płonęły już latarnie, przy bocznej ścianie, ukryty za gęstą zielenią drzew, zatrzymał się powóz. Od strony głównej bramy wjazdowej wjeżdżali już pierwsi goście, a na podwórcu podzamcza stajenni i stangreci ustawiali karety i poili konie.

Harald, któremu Eliza zagroziła, że jeśli komukolwiek wspomni tylko o ich działaniach, to czeka go kara niewypowiedziana, siedział na kozle, wielce podekscytowany udziałem w spisku. Gdyby tylko mógł, zmusiłby nawet konie, żeby przestały parskać i zachowywały się ciszej. Ale konie, jak to konie, zdziwione, że w takim nietypowym miejscu stanęły, wymieniały się po swojemu złośliwymi uwagami na temat głupoty stangreta.

Punkt ósma otworzyły się drzwi na tyłach zamku i okryta lekkim płaszczkiem wyszła z nich oszałamiająca piękność w turkusowej sukni, która w dochodzących z dziedzińca światłach mieniła się srebrem i złotem.

Harald na moment otworzył usta i zapomniał je zamknąć, a następnie zeskoczył z kozła i z rozmachem otworzył drzwi karety.

Chwilę później powóz ruszył i schowany za szpalerem drzew, a potem za zabudowaniami na tyłach podzamcza wyjechał na boczną drogę biegnącą wzdłuż zachodniego brzegu jeziora. Harald dziękował opatrności, że od dobrych dwóch tygodni nie było deszczu, dzięki czemu rozjeżdżone boczne drogi były przejezdne. Dwa, trzy dni ulewy zamieniłyby je w gliniaste bajory, w których koła ugrzęzłyby w mgnieniu oka.

Kareta przetoczyła się polną drogą, później skrajem lasu i wreszcie wyjechała na główny trakt. Harald strzelił batem i konie, cały czas dziwiąc się wyjątkowej głupocie swoich opiekunów, którzy ledwie wyciągnęli je ze stajni, a już kazali wracać z powrotem, ruszyły rażno do zamku, tym razem normalnym, wiejskim traktem.

Sala książęca zajmowała bez mała połowę pierwszego piętra. Od dziedzińca doświetlały ją cztery wysokie, tkwiące w grubej na prawie półtora metra ścianie okna. Cztery takie same okna znajdowały się po

stronie przeciwnej, z widokiem na jezioro. Wykuto je niczym w skale w średniowiecznych murach zamczyska podczas przebudowy, która miała miejsce sto lat wcześniej. W bocznej ścianie zaś znajdował się ogromny kominek z piękną płaskorzeźbą, okoloną wyrzeźbionymi naręczami roślinnych pnączy.

Nad taflą drewnianej, intarsjowanej podłogi wisiał strop, zdobiony plotącymi się w kształt ogromnych kół i przecinającymi się niczym łańcuchy sztukateriami, między którymi szczyrzyły zęby rozmaite maskarony.

Złoczone ramy portretów i obrazów odbijały się w tafli posadzki niczym w wodzie, a rozświetlające salę kryształowe żyrandole migotały setkami świec.

Przy południowej ścianie, na specjalnie przygotowanym na bal podeście, czekała już orkiestra. Jeden z muzyków grał na skrzypcach jakąś spokojną melodię, która płynęła między gośćmi jak cichy, brzęczący strumyk.

Baronowa, w prostej, wzorowanej na greckich tunikach sukni, w towarzystwie kilku innych dam stała pod jedną ze ścian, wydając co chwilę dyskretne polecenia krążącym po sali lokajom i specjalnie ściągniętym z miasteczka kelnerom.

Tajemnicą poliszynela było, że na balach najlepiej czuły się młode mężatki i wdówki. To one niczego już nie musiały, a były na tyle młode, żeby cieszyć się jeszcze życiem towarzyskim. To im wolno było olśniewać urodą i pysznić się sukniami. Mogły pozwolić sobie nawet na flirty z czarującymi młodzieńcami, nie narażając jednocześnie swojej reputacji. W zupełnie innej sytuacji były panny na tak zwanym wydaniu. Presja, która na nich ciążyła, odbierała im z reguły całą przyjemność uczestniczenia w zabawie. Licytowane, oceniane, przeliczane na wartość ojcowskich hektarów, czuły się na balach jak na skupie bydła. Ale, paradoksalnie, nie zajmowali się tym głównie panowie, a przede wszystkim zasiadłe po kątach matrony i ciotki, które niczym sępy obserwowały salę, czekając tylko na jakiegokolwiek odstępstwo od konwenansów - zbyt śmiały taniec, zbyt głośny śmiech, o jedną za dużo przekąskę czy wypitą szklaneczkę ponczu, by jakieś nieszczęsne dziewczę pograżyć w matni plotek, szeptów i pogłosek, a w najgorszym wypadku towarzyskiej infamii.

Była jednak pewna kategoria panien, które mogły cieszyć się względną swobodą.

Decydowała o tym rzadka zbieżność kilku istotnych parametrów. Przede wszystkim był to oczywiście posag, później nazwisko, a na końcu uroda, która w takiej sytuacji była już tylko wisienką na torcie. Złośliwi panowie takie szczęściary na balach nazywali „koronnymi gęsiami”, dowodząc tym samym, że intelekt nie był najważniejszą rzeczą, której od damy oczekiwali.

Nikt oczywiście nie ośmieliłby się nazwać tak Elizy. Nawet postronnie, na boku. System przekazywania informacji był na tyle wówczas sprawny, że mogłoby to się skończyć źle prędzej dla autora takiej szykany niż dla księżniczki.

Eliza zatem, we względnie dobrym humorze i bez specjalnych oczekiwań, przechadzała się z matką po sali, łowiąc pożądliwe spojrzenia młodzieńców i krwiożercze uśmiechy matek innych dziewcząt. Myślni była jednak daleko od balu. Co chwilę spoglądała w kierunku otwartych na oścież drzwi, przy których stali dwaj lokaje w czerwonych liberiach, czekała bowiem na przybycie Wiktorii, już ciesząc się na poruszenie, jakie z pewnością to wywoła.

Bruno w towarzystwie macochy, przeszczęśliwej z okazji udziału w najelegantszym w sezonie balu na Pomorzu, oraz udęczonego, oderwanego od książek i psów ojca stał w jednym z kątów sali, oddając się luźnej rozmowie z podchodzącymi co chwilę sąsiadami i znajomymi. Tak jak Eliza, zerkał jednak co chwilę w kierunku wejścia na salę.

Teoretycznie on i Eliza czekali na tę samą osobę.

Książę Adam przechadzał się między grupkami znajomych, ciesząc się tym, że nie wszyscy go rozpoznają. Już podczas polowania i rautu po nim zarejestrował rzecz jasną, że wokół niego zacieśnia się powoli pierścień oczekujących na jakikolwiek sygnał panien, a zwłaszcza ich matek. Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że był tutaj pierwszą partią, ale starał się być ostrożny. Gdyby okazał więcej, niż trzeba, zainteresowania jakiejś młodej damie albo zatańczył z nią, o zgrozo, więcej niż jeden raz, wpędziłby ją w piekło nadziei, oczekiwań, a potem odrzucenia i szykan. Chodził zatem jak pewny siebie wielki kocur, świadom swojej siły,

a jednocześnie niespokojny. Cały czas miał przed oczami Wiktorię. Nie uważał wcale, że posunął się za daleko. Sztuka polegała na tym, żeby określonych rzeczy nie robić na oczach innych, a nie, żeby nie robić ich w ogóle. Cel przyjazdu na Pomorze jednak wcale mu nie umknął. Księżna Fryderyka oczekiwała po nim nadal, że okaże zainteresowanie Elizie. I oczywiście zrobiłby to z przyjemnością, a nawet względny entuzjazmem, ale w przeciwieństwie do jej matki doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma u Elizy żadnych szans. Nawet gdyby stanął na głowie.

Wiedział o czymś, o czym plotkował już cały Berlin, a czego jeszcze nie dopuszczała do świadomości księżna Fryderyka.

Myśli Elizy zaprzętał wyłącznie Wilhelm.

Anna von Walter, ukryta za migoczącą malutkimi kryształkami maseczką, jednym uchem słuchała narzekań matki, ale wciąż wodziła oczami po sali, usiłując zdemaskować poszczególne osoby. U baronowej oczywiście, jako gospodyni, maseczka była tylko rekwizytem. Co chwilę zresztą jej uchylała, chcąc się przywitać z kimś znajomym lub dodać animuszu jakiejś onieśmiałej grupce osób z sąsiedztwa.

Anna nie rozpoznawała księcia Adama. Musiał tak się przebrać, że trudno go było wyłowić z całego czasu powiększającego się tłumu gości. Nie miała już żadnych nadziei z nim związanych, ale nadal była gotowa pokrzyżować plany każdej innej, która okazałaby mu względy.

Anna nienawidziła Elizy. Nie mogła tego oczywiście okazać, Eliza była zbyt wysoko notowana w środowisku i jakakolwiek próba podważenia jej autorytetu skończyłaby się dla Anny fatalnie. Nawet przy majątku jej ojca.

Nienawidziła jej szczerze i całkowicie bezinteresownie. Z powodu jej pozycji, z powodu jej pochodzenia, a także narodowości. Uważała Elizę za intruza, który wkupił się w łaski berlińskiej socjety i zadziera nosa, sięgając po coś, co jej się nie należy. Także słyszała rozchodzące się po Berlinie niczym fala powodziowa plotki na temat Wilhelma i Elizy i z jednej strony uspokajało ją to względem księcia Adama, ale z drugiej, oburzało do żywego.

Jak ta bezczelna, pewna siebie uzurpatorka mogła w ogóle pomyśleć, że jej się to uda?

Gdy wybiła dwudziesta pierwsza, baronowa uznała, że czas wzajemnej adoracji dobiegł końca i dała sygnał orkiestrze. Po pierwszych taktach, na sali zapanowała konsternacja. Nobliwe matrony i panowie w średnim wieku patrzyli w stronę orkiestry z lekkim popłochem, ale wśród młodzieży dało się wyczuć wyraźnie entuzjastyczne poruszenie.

Eliza, widząc malujące się na twarzy matki oburzenie, zasłoniła się wachlarzem i uśmiechnęła pod nosem. Baronowa nie brała jeńców. Musiała to jej przyznać. Walc wiedeński wykonany został po raz pierwszy podczas kongresu wiedeńskiego, zaledwie cztery lata wcześniej, i wywołał prawdziwy skandal. Do tej pory co bardziej tradycyjne osoby manifestacyjnie opuszczały sale na pierwsze dźwięki walca, a grano go jedynie w najbardziej nowoczesnych salonach. Szybki rytm tańca oraz publiczne obejmowanie się par uchodziło w wielu domach za niemoralne.

Po chwili jednak na parkiet wyszły pierwsze, najodważniejsze pary, a oburzenie stonowały tace z przepyszными przekąskami, które baronowa dyskretnym ruchem ręki kazała roznosić między gośćmi.

Gdy walc dobiegł końca, rozległy się z kolei takty kontredansa i tym razem na parkiecie zrobiło się tłoczno. Następnie przyszła pora na kadryla i wydawać by się mogło, że bal wpadł już we właściwe koleiny i wszystko potoczy się gładko, gdy nagle niespodziewanie przez salę przebiegł szmer, a tańczące najbliżej wejścia pary najwyraźniej straciły rytm.

Eliza, którą krążenie między gośćmi zniosło nieco w głąb sali, żeby coś zobaczyć zza pleców tańczących, wspięła się na palce.

W drzwiach, obserwowana przez zezujących na nią lokajów, stała zjawiskowa postać w turkusowej sukni. Nieco spłoszona, rozglądała się dookoła, nieświadoma chyba nawet, że to na nią akurat patrzą wszyscy, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Eliza, powstrzymując się od śmiechu, obserwowała dyskretnie gości. Panowie wpatrywali się w Wiktorię z jawnym zachwytem, poszturchiwani przez swoje towarzyszki, które usiłowały odwrócić ich uwagę od tajemniczej damy. Eliza nie mogła podejść do Wiktorii jako pierwsza, bo co bardziej domyślni od razu by się zorientowali, że piękność w turkusowej sukni jest jej dziwnie bliska, liczyła zatem na młodzież. I nie przeliczyła się.

Wiktoria, niepewnie się rozglądając w tłumie gości, zdołała dotrzeć jedynie do połowy sali, gdy nieoczekiwanie podszedł do niej jeden

z odważniejszych kawalerów.

Umówiły się, że kiedy ktoś zacznie zbyt mocno się narzucać, wtedy dopiero Eliza uratuje ją z opresji, udając, że poznała w niej swoją daleką krewną lub przyjaciółkę.

Ale okazało się to zbyt uczucie. Księżniczka patrzyła z rozbawieniem, jak Wiktoria zgrabnie tańczy kadryla z paniczem von Borckiem ze Stargordtu, a kilku innych młodych panów czyha tylko, żeby poprosić ją o następny taniec.

- Kim jest ta młoda dama? - Za plecami usłyszała nagle męski głos.

Odwróciła się i zobaczyła księcia Adama. Poznała go tylko dlatego, że na moment podniósł maseczkę, odsłaniając twarz.

- Wydaje mi się znajoma. - Eliza zmarszczyła brwi, patrząc z namysłem na tańczącą Wiktoria. Chciała uprawdopodobnić na przyszłość swoją wersję dalekiej kuzynki, gdyby przyszło jej tłumaczyć się z tego komuś. Pomyślała, że nadarzyła się oto okazja. - A to nie jest córka hrabiego von Wintzingerodego?

Księżę przekrzywił głowę, wpatrując się w Wiktoria.

- Nie pamiętam, żeby była aż tak urodziwa - mruknął niepewnie. - Ale widziałem ją ostatnio dobrych kilka lat temu.

- Może zatem brzydkie kaczątko zmieniło się w łabędzia? - Eliza zasłoniła usta wachlarzem.

Księżę rozejrzał się po sali i udając brak zainteresowania, zapytał:

- Czy twoja dwórka nie pojawi się na balu?

- Wiktoria? - Eliza spytała z niewinnym wyrazem twarzy. - Rozboliła ją głowa. Postanowiła się położyć.

- Biedaczka. - Księżę pokiwał głową z udawaną troską. - Obiecałaś mi taniec, kuzynko - przypomniał Elizie i wyciągnął do niej dłoń.

Eliza skinęła głową i po chwili oboje dołączyli do tańczących kolejnego kadryla.

Wiktoria bawiła się wyśmienicie. Po pierwszym strachu, że ktoś ją rozpozna i zdemaskuje jako oszustkę, nie zostało ani śladu. Nawet nie wiedziała, że taniec może być tak przyjemny, gdy dzieli się go z doskonałymi tancerzami, którzy w dodatku nadskakiwali jej na każdym kroku. Gdy po trzecim z kolei tańcu podszedł do niej kolejny młodzieniec, przeprosił ją i wymawiając się tym, że musi odpocząć, umknęła w stronę

stołu, na którym stały wielkie wazy z ponczem i karafki z oranżadą.

Już wcześniej rozglądała się dyskretnie, chcąc z tłumu gości wyłowić znajome osoby. Elizę poznała oczywiście od razu, głównie zresztą dzięki księżnej, która jej nie odstępowała, chroniąc zapewne przed błędami natury matrymonialnej. Kobiety były ubrane barwnie i większość zdobyła się na jakieś fikuśne dodatki, symbolizujące znaną postać historyczną lub epokę. Gorzej było z mężczyznami.

Mimo że był to bal maskowy, znakomita większość ubrała się w czarne, eleganckie surduty, do czego dochodziły białe, szare lub czarne spodnie. Wszyscy mieli oczywiście maseczki na twarzach, co przy jednolitym umundurowaniu zdemaskowanie poszczególnych osób czyniło bardzo trudnym. Poza ekstremalnymi wyjątkami, jak radca królewski Albert von Danckelmann, którego dzięki jego tuszy trudno było pomylić z kimś innym, lub księżę August Fryderyk, którego zdradzała potężna postura oraz towarzystwo drobnej i ślicznej faworyty.

Wiktoria przemykała wzrokiem po twarzach panów, chcąc rozpoznać w którymś Brunona lub księcia. Obu zamierzała unikać jak ognia, ale jak mogła to zrobić, gdy nie wiedziała, który gdzie się kryje.

Większość panów wybrała dyskretne białe maski zakładane na twarz, które czyniły ich podobnymi do woskowych lalek. Ale były też karnawałowe, czarne lub białe, dekorowane wstążkami bądź koronką. Znalazło się także kilka tych okropnych, które z niepojętej dla Wiktorii przyczyny niektórym w takich sytuacjach wydawały się zabawne. Maski doktora plagi. Straszne, przypominające dziób koszmarnego ptaka, które zakładano w karnawale weneckim. Wiktoria dostrzegła chyba trzech panów w takich maskach, którzy zaśmiewając się, straszili nimi równie wesołe towarzyszek.

Zatrzymała się w końcu przy stole. Tuż obok stała grupka kobiet. Gdy się zbliżyła, posłały jej niechętnie spojrzenia. Wiktoria wymięła je i podeszła do miejsca, gdzie stały karafki z napojami. Właśnie zamierzała nalać sobie oranżady, kiedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyrósł obok niej jakiś mężczyzna.

- Służę. - Sięgnął po szklanekę i nalał jej świeżej cytrynowej oranżady.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się, biorąc od niego napój.

- Czy mógłbym liczyć na kolejny taniec? - Mężczyzna miał czarną maskę z doczepionymi do niej równie czarnymi piórami. Albo go nie

poznała, albo był to jeden z okolicznych dziedziców, którego wcześniej nie miała okazji widzieć.

- Jeśli to tylko nie będzie kadryl - odpowiedziała. - Po kilku tak skocznych tańcach potrzebuję dłuższej chwili odpoczynku.

- Czuję, że następny taniec po przerwie to będzie jednak kontredans. - Mężczyzna wbił w Wiktorię uważne spojrzenie. - Taniec na tyle spokojny, że pozwala nawet na towarzyską pogawędkę.

- O ile znajdziemy wspólny język. - Wiktoria posłała mu kokieteryjny uśmiech.

- Mam wrażenie, a nawet pewność, że nie będzie z tym kłopotu.

Mężczyzna nachylił się nad uchem Wiktorii.

- Wszyscy tutaj zachodzą w głowę, kim jest ta tajemnicza, oszałamiająca piękność w turkusowej sukni - szepnął. - Może uchyli pani rąbka tajemnicy?

- Nie mam pojęcia, o jaką piękność chodzi, drogi panie.

- Tu jest rzeczywiście sporo ludzi, ale niechybnie dostrzegłaby ją pani w lustrze.

- Żartowniś z pana. - Wiktoria spojrzała uważniej w oczy okolone czarną maską. - Ale czymże byłby bal maskowy, gdyby każdy wiedział, kto kryje się za przebraniem?

- Farsą oczywiście, ale farsą i tak jest zazwyczaj.

Wiktoria, której akurat w tym momencie pełne nieukrywanego niesmaku spojrzenie rzuciła przechodząca nieopodal Anna von Walter, zasłoniła usta wachlarzem, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Nie dość, że żartowniś, to jeszcze cynik. Cóż za piorunująca mieszanka.

Mężczyzna w czarnej masce uśmiechnął się samymi kącikami ust.

- Czyżby lubiła pani niebezpiecznych mężczyzn?

- Nie uchodzi mi na takie pytania odpowiadać. - Wiktoria spojrzała na swojego rozmówcę z rozbawieniem i przyganą jednocześnie. - Ale zostawię pana z tą niewątpliwie frapującą dla pana zagadką.

Mężczyzna ukłonił się dwornie, a Wiktoria zwinęła wachlarz i uśmiechając się do siebie, ruszyła przez salę w kierunku wyjścia.

Anna von Walter podziękowała grzecznie kręcącemu się obok niej od dobrych kilku tańców młodzieńcowi i wymawiając się zmęczeniem, ruszyła

w ślad za turkusową damą. Młodzieniec był synem pewnej bardzo szacownej, ale za to bardzo zubożałej rodziny i nawet specjalnie nie ukrywał, że chętnie poświęciłby swoją wyjątkowo pociągającą - co musiała niechętnie mu przyznać - powierzchowność, żeby tylko podreperować rodzinny majątek.

Ale wśród takich akurat przystojniaków Anna mogła przebierać jak w ulęgawkach. Jej posag starczyłby na remont Tadź Mahal, a nawet wybudowanie obok drugiego takiego mauzoleum. I jeszcze pewnie sporo by zostało.

Arogancka piękność wyszła tymczasem z sali i zniknęła jej z oczu. Cóż za zuchwałość!

Gdy inne dziewczęta musiały dbać o to, żeby nigdzie samotnie się nie pokazywać, i sterczały jak kołki, podpierając ściany, w obawie, żeby salonowe plotkary nie wzięły ich sobie za cel, ta zuchwała panna ot tak, na oczach wszystkich, wychodzi. W dodatku tuż po wyjątkowo intymnej rozmowie z jakimś kawalerem! Niepodobna!

Kimże ona była, żeby tak sobie lekceważyć obyczaje?

Anna usłyszała już krążące po sali plotki, że to mogła być nawet któraś z księżniczek z rodziny panującej, która tutaj, incognito, postanowiła się rozerwać. Mówiono także, że to jakaś kuzynka Elizy. Ale czemu wcześniej nikt jej tutaj nie widział? Czyżby zatrzymała się w sąsiedztwie? Ale że sama odważyła się przyjechać? Aż tak była przekonana, że maseczka zapewni jej bezpieczeństwo, lub co gorsza, tak wszystkich sobie lekceważyła, że nie przywiązywała do tego wagi?

Anna podeszła do jednej z Borkówien i zaproponowała jej krótki spacer po korytarzach zamku, żeby z okien popatrzeć na jezioro, które dzisiaj prezentowało się wyjątkowo pięknie w świetle księżyca.

Wiktoria wymknęła się do holu i uśmiechając się do stojących tutaj i pograżonych w rozmowie grupki gości, ruszyła ku schodom. Świadoma odprowadzających ją spojrzeń i komentarzy, które szeptały do siebie stojące na półpiętrze dziewczęta, zbiegła na parter.

Z sieni na parterze wiodły wąskie i długie schody, które pozornie pograżały się w podziemiach zamku, ale w rzeczywistości prowadziły na taras na jego tyłach. Poziom dziedzińca wewnętrznego był dobrych kilkanaście metrów wyżej niż teren za zamkiem, więc z tarasu z kolei

wiodły następne długie schody do ogrodu.

Wiktoria zebrała długą suknię i ruszyła w dół. Chciała odetchnąć nocnym powietrzem i zobaczyć księżyc nad jeziorem. Pamiętała, że dzisiaj miała być pełnia. Pchnęła wielkie przeszklone drzwi i stanęła w progu kamiennego portalu.

Westchnęła z zachwytem. Na balustradzie paliły się latarnie, zalewając posadzkę mlecznym, migotliwym światłem. Za plecami miała niebotyczną ceglana ścianę zamku - dawny mur obronny fortecy joannitów, w którym babka księcia Ludwika Ferdynanda, księżna Dorota, wykuła okna, przebudowując zamczysko na myśliwską rezydencję. Ale najpiękniejszy widok rozpościerał się na zalane srebrnym światłem księżycą jezioro.

Wiktoria odetchnęła głęboko ciepłym jeszcze wrześnieowym powietrzem, przesyconym zapachem lasu i jeziora, w którym wyczuć było można także gorzki zapach pobliskich bagien, i wyszła na taras.

I wtedy dopiero zauważyła, że nie jest tutaj sama. Przy balustradzie stała ta sama pokojówka, którą Wiktoria pamiętała z kłótni w pokojach baronowej, ta sama, która wybiegła stamtąd z płaczem. Obok niej, tyłem do Wiktorii, stał jakiś dżentelmen. Gdy dziewczyna zauważyła wychodzącą na taras Wiktorię, spuściła spłoszona wzrok i cicho powiedziała coś do mężczyzny. A kiedy ten się obrócił, Wiktoria ze zdumieniem spostrzegła, że to Bruno von Enckevort.

Miał zsuniętą z twarzy maskę, więc poznała go od razu.

Młodzieniec przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, po czym skinął dyskretnie pokojówce, która ze spuszczoną głową przemknęła obok Wiktorii i zniknęła w drzwiach zamku.

A tuż po niej pojawiła się w nich Anna von Walter z towarzyszącą jej przyjaciółką. Teraz zaskoczona była cała wpatrująca się w siebie nawzajem czwórka.

- Moje panie. - Bruno uklonił się w końcu Wiktorii i wyglądającym na lekko wstrząśnięte kobietom i szybkim krokiem ruszył do środka.

Wiktoria i dwie kobiety przez chwilę patrzyły na siebie równie, chociaż każda z innego powodu, zmieszane, po czym Wiktoria ukloniła się i w ślad za von Enckevortem weszła do zamku.

Wiktoria dopiero wspinając się po stromych kamiennych schodach, uświadomiła sobie, że Bruno jej nie poznał. Zachodziła w głowę, co mogło

go łączyć z tą pokojówką? Pamiętała, że widziała ją wybiegającą z komnat baronowej, zapłakaną, a w tle słychać było czyjś podniesiony głos. Więc to jednak był Bruno? Zresztą niedługo potem widziała go z wieży. Wielce wzburzonego, jak wychodzi z zamku i wsiada do powozu. To wtedy książe wspomniał jej, że Bruno to byłby wielki błąd.

Teraz zastaje go na tarasie w poufałej rozmowie z tą samą dziewczką. Co, na Boga, mogło ich łączyć?

I niestety, Wiktoria, od dwóch lat żyjąca w wielkim, berlińskim pałacu, w którym pracował cały garnizon pokojówek, doskonale zdawała sobie sprawę, że raczej nic dobrego.

Cóż może łączyć młodego dziedzica i biedną dziewczynę? Aż wstyd pomyśleć.

Gdy znalazła się w holu, z góry gruchnęła muzyka. Kolejny skoczny taniec porwał pewnie większość gości, w końcu była jeszcze wczesna godzina. Chyba nawet północ nie wybiła.

Przystanąła na moment, słuchając muzyki, i pomyślała, że nie ma już ochoty na zabawę. Najchętniej schowałaby się w swoim pokoju, zamknęła drzwi na klucz i utonąła w jakiejś książce. Eliza nie wstanie jutro wcześniej niż w południe, więc miała sporo czasu dla siebie. Na uzalenie się nad sobą. Zdała sobie sprawę, że widok tej dziewczyny i Brunona bardzo ją zabolął. Gdyby miała myśleć racjonalnie, to przecież oczywistością było, że nic tej pary nie czeka. Ale bolała ją utrata złudzeń i to, że wyidealizowany obraz romantycznego jeźdźca, który zatrzymał się na drodze, żeby im pomóc, właśnie stłukł się jak przynoszące nieszczęście zwierciadło.

Wiktoria westchnęła, otworzyła cicho drzwi do zbrojowni i przemknęła przez ciemne i opustoszałe pomieszczenie. Gdy znalazła się w bocznej sieni, tuż obok kredensu, pomyślała sarkastycznie, że oto właśnie spełnia się wizja Elizy - tajemnicza nieznajoma wymyka się z balu przez kredens i służbówkę. Cóż za ironia losu.

Na piętrze miała skręcić w długi, ciemny korytarz, który prowadził do jej pokoju, kiedy spostrzegła nagle, że fragment dębowej boazerii przy schodach wygląda tak, jakby lekko się skrzywił. Zaintrygowana, podeszła bliżej i przejechała palcem po grubej rysie. Drewno cicho skrzypnęło i się uchyliło.

Wiktoria zamarła. Bruno opowiadał o tajemnych przejściach, których pełno rzekomo w zamku być miało. Czy to jedno z nich?

Złapała dębową klepkę i pociągnęła. Fragment boazerii otworzył się, ukazując mroczną wnękę, w której pięły się pod górę strome ceglane schody.

Wiktoria zawsze miała smykałkę do penetrowania podejrzanych miejsc, strychów, starych lamusów, lodowni, po których jej bracia myszkowali, szukając butelek gorzałki lub wina. Często wychodziła z takich jam umorusana i rozczochrana jak nieboskie stworzenie, jak mawiała jej matka, grożąc, że po raz ostatni z braćmi ją puszcza samopas.

Wiktoria uśmiechnęła się do swoich wspomnień i zajrzała ostrożnie do wnęki. Schody, lekko zakręcając, niknęły gdzieś w górze. Wiktoria pomyślała, że co szkodzi sprawdzić, i postawiła stopę na pierwszym stopniu.

Z duszą na ramieniu, czy nie obudzi jakiegoś śpiącego nietoperza albo, co grosza, szczura, wspięła się na górę i znalazła przed uchylonymi drzwiczkami, za którymi widać było jakiś korytarz. Po chwili namysłu stwierdziła, że to przecież nic innego, jak korytarz na poddaszu, a więc tajemne przejście to nic innego, jak schody służbowe, którymi nie rzucając się w oczy, pokojówki mogły schodzić na parter.

Zamierzała się wycofać, gdy spostrzegła nagle, że drzwi po drugiej stronie korytarzyka są półotwarte, a we wnętrzu widać jakąś parę.

Zmieszana Wiktoria zauważyła, że to ta sama pokojówka, na którą co i rusz wpadała. Przed nią zaś, tyłem do Wiktorii, stał jakiś mężczyzna w ciemnym surducie. Rozmawiali, dziewczyna mówiła podniesionym głosem. Nagle zaczęła krzyczeć, a mężczyzna zamknął jej usta dłonią.

Przerażona Wiktoria zmartwiała. Dziewczyna szarpała się i usiłowała się wyrwać z rąk swojego oprawcy. Mężczyzna nagle popchnął ją na łóżko.

Wiktoria w tym momencie chciała się dyskretnie wycofać. Stwierdziła, że są pewne granice, których nawet jej wścibstwo nie zdoła przekroczyć. Nie była już dzieckiem i doskonale wiedziała, co dzieje się dalej, gdy mężczyzna pcha dziewczynę na łóżko.

Pokojówka chciała się zerwać, ale mężczyzna popchnął ją ponownie, chwycił poduszkę i przycisnął nią głowę dziewczyny.

Wiktoria o mały włos nie krzyknęła. Zasłoniła gwałtownie usta dłonią, bojąc się nawet poruszyć. Widziała, jak dziewczyna szarpie się, miota na łóżku, macha rękami i nogami i wreszcie nieruchomieje. Wiktoria też znieruchomiała. Czuła się tak, jakby ktoś rzucił na nią zły czar, nie była

pewna, czy zdoła się w ogóle jeszcze poruszyć. Mężczyzna nagle drgnął, tak jakby coś usłyszał, i odwrócił się.

I wtedy sparaliżowana strachem Wiktoria zobaczyła maskę doktora plagi. Potworny dziób i dziury wycięte w miejscu na oczy. Jej umysł zwolnił, widziała wręcz, jak maska powoli, bardzo powoli się obraca i w końcu wbija w nią wzrok.

Przerażenie na krótki moment odjęło Wiktorii rozum. Patrzyła jak zakłęta w koszmarną ptasią twarz i myślała, że mijają całe minuty.

Ocknęła się, gdy potwór drgnął. Szarpnęła ścianką, zatrzasnąwszy ją przed nosem, i rzuciła się w dół do ucieczki, ryzykując, że w długiej balowej sukni skręci na schodach kark.

Kiedy znalazła się w sieni na piętrze i zobaczyła ciemną perspektywę korytarza wiodącego do jej pokoju, stwierdziła, że doktor śmierć dopadnie ją jeszcze przed drzwiami. Sprzyjało mu, że wszyscy goście byli na balu, a cała służba biegła między salą książęcą a kuchnią, nie mając ani chwili, żeby odetchnąć.

Szarpnęła drzwi do pomieszczenia, przez które służba wchodziła na salę balową, a po chwili następną. Nagle otworzyła się przed nią świetlista przestrzeń, z setkami płonących świec i wirującymi w tańcu parami. Za plecami usłyszała tętent kroków na schodach.

Wpadła na salę i ruszyła biegiem między tańczącymi. Na sali na moment zapanowała konsternacja. Kilka par przestało tańczyć, a tłum gości rozstał się przed biegnącą Wiktorią.

Wypadła do holu, zbiegła po schodach na parter i przez główne drzwi wybiegła na dziedziniec. Harald miał czekać na nią o drugiej, tymczasem gdy mijala hol, stojący tam wielki zegar wybijał właśnie dwunastą.

Wiktoria zbiegła po schodach. Na ostatnim schodku, potykając się, prawie upadła. Złapała równowagę i pod osłoną ciemnych ścian zamku, utykając, pobiegła do tylnego wejścia.

Na schodach tymczasem, w świetle jarzącego się niczym wielki karnawałowy lampion księżycy, błysnęły dziesiątki kryształków, którymi udekorowany był pantofelek Wiktorii.

Rozdział 12

Richmond, Wirginia

Czarny cadillac escalade minął parę przecznic, skręcił i wyjechał na Broad Street - jedną z głównych ulic Richmond, która prosto jak strzełił przecinała miasto ze wschodu na zachód. Karen i Patryk, oszołomieni ostatnimi wydarzeniami, wpatrywali się teraz z całkowitym zaskoczeniem w siedzącą naprzeciwko elegancką kobietę.

- To pani? - zapytała w końcu Karen. - Co pani tutaj robi?

- Obawiam się, że nasze drogi, nie po raz pierwszy zresztą, nie przecięły się przypadkowo. - Kobieta odwróciła się i wyjrzała przez okno.

Patryk zmarszczył brwi. Coś tutaj nie grało.

Cadillac ponownie zawrócił i jedną z ulic w pobliżu ratusza wrócił na E. Franklin Street. Kierowca zwolnił. Na chodniku stał jeden z mężczyzn, przed którymi dopiero co Karen i Patryk w dramatycznych okolicznościach uciekali.

- Proszę jechać! - krzyknęła nagle Karen. - To ci bandyci!

Samochód zamiast przyśpieszyć, zatrzymał się przy krawężniku. Na przednie siedzenie wskoczył potężnie zbudowany Afroamerykanin i posłał Karen uśmiech pełen podziwu.

- Naprawdę niezła akcja z tym wyskakiwaniem przez okno. Szacun.

- Kim pani jest? - Karen spojrzała ze złością na kobietę.

- Już się przedstawiałam. Jestem historykiem z Muzeum Historii Amerykańskiej w Waszyngtonie. A prywatnie byłam żoną Henry'ego Lintona. Jennifer Linton. Jakoś niezręcznie mi powiedzieć, że miło mi państwa widzieć. - Kobieta uśmiechnęła się ironicznie.

Karen osłupiała.

- Dlaczego pani tego nie powiedziała na licytacji?

- A po cóż miałabym o tym mówić? - zapytała zdziwiona. - To moja prywatna sprawa.

- Czyli to pani stoi za tą całą strzelaniną? Ten człowiek, ten cały Greg,

to pani go wynajęła?!

- Co też pani opowiada? - Jennifer Linton uśmiechnęła się protekcyjnie. - Nie mam z tą sprawą nic wspólnego. W przeciwieństwie do was. Szuka was policja.

- Czego pani chce? Szkatuły? - Karen przyglądała się kobiecie, usiłując poukładać sobie w głowie wszystkie wydarzenia. Linton nie wspomniał o byłej żonie, ale w zasadzie czemu miałyby to robić? Czy to ona zatem stoi za tym programem szpiegującym? To ona mogła podstawić tego bandziora Grega, ale.

- Szkatuła nie jest mi do niczego potrzebna, moje dziecko. - Jennifer Linton pokręciła zdecydowanie głową. - Znam ją doskonale. Chciałabym natomiast, żeby zwróciła mi pani rzeczy, które ukradliście z farmy. Nie są pani własnością.

- Pan Henry kazał nam je zabrać. Ostrzegaliśmy nas, że ktoś będzie chciał je ukraść, i jak widzę, ostrzegaliśmy nas przed panią.

- Jeszcze raz pani mówię, że nie mam nic wspólnego z wydarzeniami na farmie. Tę sprawę wyjaśnia policja. Już z nimi rozmawiałam.

- Ale wie pani, że w tych szpargałach nie ma listów? - zapytał nagle Patryk.

Karen, która nie spuszczała kobiety z oka, dałaby sobie rękę uciąć, że przez twarz Jennifer Linton przebiegł ledwie zauważalny grymas.

- Już wcześniej mówiłam wam przecież, że nie wierzę w te bzdury, które latami narosły wokół szkatuły.

- I dlatego najęła pani bandziorów, żeby ścigali nas po całym mieście? - przerwał jej Patryk.

- Skradliście cenne rzeczy, które należą do rodziny mojego męża. W świetle prawa mój syn jest ich właścicielem, a was szuka policja.

- Pan Henry Linton jeszcze żyje. Chyba się pani trochę pośpieszyła ze swoim synem - prychnął Patryk.

- To jednak w żadnym wypadku nie jest wasza sprawa. Proszę wybierać, albo oddajcie mi rzeczy, które ukradliście z farmy, albo jedziemy od razu na policję. Złożę zeznania, które mogą was mocno obciążyć.

- Nas? - Karen podniosła głos. - Trzech bandytów ścigało nas po mieście.

- Uciekliście z hotelu - przerwała jej Jennifer Linton i podniosła kciuk.

- Włamaliście się do kancelarii notarialnej. - Uniosła palec wskazujący. -

A potem dokonaliście bandyckiej dewastacji lokalu.

- Przecież powiemy policji o tym, że pani nas ściągała. - Karen patrzyła na kobietę z mniejszą już pewnością siebie. Rzeczywiście mogła im zaszkodzić.

- Miałam do tego pełne prawo. Rzeczy, które trzyma pani w plecaku, należą do rodziny mojego męża.

- Byłego męża - wtrącił Patryk.

- To bez znaczenia. Jestem matką jego syna.

- Po co pani notes teścia? - Karen spojrzała na kobietę spokojnie. Mierzyła siły na zamiary i doszła do wniosku, że nic nie wskórają.

Zwłaszcza że na samym początku tej rozmowy usłyszała, jak rozległ się cichy stuk blokowanych zamków w drzwiach, a facet obok kierowcy miał przy sobie broń.

- Przecież to cenna pamiątka rodzinna. - Kobieta uśmiechnęła się do Karen, tak jakby musiała tłumaczyć jakąś oczywistą rzecz komuś mocno upośledzonemu. - Chyba nie sądzi pani, że zamierzam szukać skarbów pastora Archibalda?

Jennifer Linton roześmiała się, patrząc na Karen i Patryka z politowaniem.

Cadillac tymczasem ponownie zakręcił i wjechał na ulicę, która Karen wydała się znajoma.

Przejechał wzdłuż oświetlonego stylowymi latarniami chodnika i zatrzymał się przed ażurowym zadaszeniem nad drzwiami wejściowymi do hotelu North and South.

- Jesteśmy na miejscu. - Jennifer Linton obrzuciła spojrzeniem obdrapaną elewację hotelu i popatrzyła na Patryka. - Gdybyście nie zaczęli niepotrzebnie uciekać, to dawno mielibyśmy tę przykrą sprawę za sobą. Poproszę o archiwalia mojego męża. - Kobieta przeniosła wzrok na Karen.

W samochodzie na chwilę zapanowała cisza.

Karen nie uśmiechało się wprawdzie oddawać czegokolwiek tej aroganckiej kobiecie, ale zdawała sobie doskonale sprawę, że nie ma wyjścia. Nie dlatego oczywiście, że przekonała ją siła argumentów, ale raczej argument siły w postaci pistoletu za pazuchą draba na przednim siedzeniu.

Sięgnęła po plecak i wyjęła z niego notes i starą teczkę z aktem własności.

Jennifer Linton wzięła do rąk oba artefakty i podniosła wzrok na Karen.

- To wszystko?

- Chce pani mnie przeszukać? - Karen uśmiechnęła się zgryźliwie. - Szkatuła, tak jak pani słusznie zauważyła, jest moją własnością.

- Nie było tam niczego więcej?

- Gdzie „tam”? - Karen uniosła brwi.

Jennifer Linton zacisnęła usta.

- Tam, gdzie to znaleźliście.

- Niestety. To, co pani trzyma w rękach, to wszystko.

Kobieta przerzuciła kilka kartek w notesie, rzuciła okiem na akt własności tajemniczej działki w rezerwacie i uśmiechnęła się.

- Radziłabym wam nie mieszać się więcej w nie swoje sprawy. Macie już wystarczająco dużo kłopotów.

- Czy to groźba? - zapytał Patryk.

- Oczywiście. - Kobieta pokiwała głową z ironicznym uśmiechem. - Myślicie, że pozwolę, żeby dwoje awanturników okradło moją rodzinę z cennych pamiątek?

- Co pani za bzdury opowiada? - zachnął się Patryk. - Niczego nie ukradliśmy.

- Czy mi się wydaje, czy uciekliście z miejsca przestępstwa? - Kobieta uśmiechnęła się drwiąco. - Poza tym niezależnie od tego, jak pan to sobie nazwie, zabraliście stamtąd cenne przedmioty.

- Henry Linton kazał nam je zabrać! Ostrzegł nas, że na farmę mogą przyjechać wspólnicy Grega i żebyśmy uciekali! - Karen, którą arogancja kobiety powoli wyprowadzała z równowagi, podniosła głos. - Ale pani przecież doskonale wie, kto miał tam przyjechać.

Jennifer Linton spojrzała na Karen z ironią.

- Naprawdę, pani fantazje są zabawne, ale najwyższa pora...

- Jak tylko Henry Linton odzyska przytomność, to potwierdzi naszą wersję!

- Najwyższa pora się pożegnać - powiedziała kobieta i stuknęła lekko ręką w oparcie fotela kierowcy.

W drzwiach rozległ się cichy stuk. Kierowca wysiadł z samochodu, obszedł go dookoła i z nonszalanckim uśmieszkiem na twarzy otworzył dwornie drzwi przed Karen.

- Dobrze wam radzę. - Jennifer Linton zwróciła się do nich przez półotwarte tylne okno. - Jeśli nie chcecie mieć jeszcze większych kłopotów, lepiej trzymajcie się od mojej rodziny z daleka.

Przyciemnione okno zamknęło się i cadillac bezgłośnie odpłynął od krawężnika.

Ian Howe drgnął, gdy na nocnym stoliku zaterkotała komórka. Spędzał właśnie spokojny piątkowy wieczór z książką. Pomyślał, że z zewnątrz musiał wyglądać całkiem nobliwie. W wygodnej jedwabnej pidżamie, w wielkim łóżku z czasów wojny secesyjnej, które jego żona dziesięć lat temu kupiła na jakiejś aukcji w Filadelfii. Sam się uśmiechnął do siebie na absurdalność tego porównania.

Sięgnął po telefon i spojrzął na wyświetlacz.

- Słucham? - rzucił z głębokim westchnieniem. Miał nadzieję na jakieś pozytywne wiadomości. To, co się stało na farmie Lintona, wyprowadziło go z równowagi. Strzelanina?

Głęb wdarł się do domu i zagroził Lintonowi pistoletem. To nie miało się prawa zdarzyć.

Ale niestety się wydarzyło. To jeszcze raz utwierdziło go w przekonaniu, że najslabszym ogniwem w jakiegokolwiek sprawie zawsze jest czynnik ludzki.

Na ludziach generalnie nie można było polegać. Zawsze coś psuli.

Howe, starając się powstrzymać irytację, słuchał przez dłuższą chwilę tego, co miał do powiedzenia jego rozmówca. Jednocześnie otworzył przysłany film.

Na nagraniu zrobionym telefonem widać było wybiegających z jakiegoś lokalu ludzi i zeskakującego na rozpięte nad stolikami markizy młodego człowieka. Mężczyzna spadł na kraniec zadaszenia, po czym zeskoczył na chodnik i oglądając się co chwilę za siebie, pobiegł w ślad za uciekającą dziewczyną w stroju Pocahontas.

- Chryste - jęknął Howe.

Sprawa, która miała być załatwiona dyskretnie i dyplomatycznie, trafi teraz pewnie do ogólnokrajowych mediów. A na pewno do internetu.

- Już jest w internecie - pozbawił go złudzeń jego rozmówca.

- Czy wiemy przynajmniej, jak oni wpadli na to, gdzie były ukryte te archiwalia?

- Niestety. Chociaż należy przypuszczać, że to Barbara Linton powiedziała im coś, co naprowadziło ich na ślad.

- Jesteś pewny, że nie ukryli listów?

- Nie, szefie, ale na pewno nie mieli ich przy sobie ani w samochodzie.

Ian Howe, odkładając telefon na nocną szafkę, stwierdził, że nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Po pierwsze, jeśli Henry Linton jednak nie przeżyje, to jego syn z pewnością wystawi Arnim Creek na sprzedaż. Kilkuletnia batalia o przejęcia zabytkowej rezydencji wreszcie dobiegnie końca. No a po drugie, przez tych dwoje upierdliwych natrętów z Europy znalazł się jednak jakiś trop w sprawie dotyczącej pamiątek po Johnie Jayu, względnie po tym, czym mogła być w rzeczywistości pierwotna zawartość szkatuły.

Howe, konstatując, że nic bardziej optymistycznego z tej całej historii więcej już dzisiaj nie wyciągnie, wrócił do czytania książki.

Karen, po wejściu do pokoju hotelowego, dowlokła się do łóżka i ciężko usiadła na nakrytym szaroburą kapą materacu. Zdjęła plecak i rzuciła go na stojący obok fotel.

- No to koniec - stwierdziła i westchnęła.

- Koniec jeżdżenia po nocy po podejrzanych miejscówkach i koniec pościgów - stwierdził Patryk, ściągając przez głowę podartą koszulę. - Jeszcze tylko musimy iść na policję i może uda nam się wyjść cało z tej opresji, o ile nie zabronią nam wyjeżdżać z miasta.

- Mogą to zrobić? - Karen spojrzała na Patryka z powątpiewaniem.

- Oczywiście. - Patryk cisnął koszulę na łóżko i ukucnął przy swojej torbie. - Odjechaliśmy z miejsca zbrodni, zabierając ze sobą ważne dowody rzeczowe, dokładnie tak jak powiedziała ta baba. Mogą nas nawet wsadzić, do wyjaśnienia.

- I co, mamy to tak zostawić? Przecież Henry Linton straci te archiwalia.

- Już je stracił. Nie wierzę, że ona mu to odda. Chyba że okażą się dla nich bezwartościowe. W końcu co im po akcie własności jakiejś działki? - Patryk wyjął z torby czarny T-shirt i rzucił na łóżko. - Najgorzej, że ona może się wyprzeć tego, że coś od nas dostała, i wyjdziemy na złodziei. Nawet przed Lintonem. Jak udowodnimy, że komuś tego nie opchnęliśmy?

- To co powiemy policji? Że gdzie są te archiwalia?

- Nie mam pojęcia. - Patryk westchnął. - Wpakowaliśmy się w kłopoty. Ale jak mówiłem, że zjazd z głównej drogi do tej plantacji to *wrong turn*, to się ze mnie nabijałaś.

- A musimy iść na policję?

- Musimy! - Patryk zaczął rozpinąć pasek przy spodniach, szarpiąc się z ciasnymi szlufkami. - Odjechaliśmy z miejsca przestępstwa. Mamy wprawdzie usprawiedliwienie w postaci tych psów, ale mogą się przyczepić, że nie czekaliśmy przy drodze.

- Przecież Linton nas ostrzegł, że zaraz przyjadą koleśki tego Grega.

- Ja to wiem i ty to wiesz, ale jeśli baba wyprze się, że coś od nas dostała.

- Dostała! - parsknęła ze złością Karen. - Odebrała nam siłą! Ci jej ludzie mieli broń. A ten cały Greg był na bank wynajęty przez nią.

- Ale jeśli się wyprze - dokończył Patryk - to będzie wyglądało, jakbyśmy to ukradli i po prostu zwiali.

Karen w zamyśleniu wpatrywała się w okno.

- Co oni się spodziewają tam znaleźć? - spytała w końcu. - Widziałam, jak się zmieniła na twarzy, kiedy wspomniałeś, że tam nie ma tych listów.

- Karen! - Patryk nagle zatrzymał się ze ściągniętymi do połowy ud dzinsami. - Przecież zrobiłaś zdjęcia!

Karen zamarła.

- Jezu! Faktycznie! Zapomniałam przez to wszystko. - Sięgnęła do plecaka i wyszarpnęła z niego telefon. Po chwili siedziała z pochyloną głową i przyglądała się każdemu zdjęciu po kolei.

- Ten akt własności też sfotografowałaś?

- Wszystko sfotografowałam.

- Najpierw prysznic. - Patryk ściągnął do końca spodnie i w samych bokserkach pochylił się i zabrał Karen komórkę.

- No co ty robisz? - Karen podniosła głowę. - Oddaj ten telefon!

- Najpierw prysznic, potem idziemy na policję!

- Jest druga!

- Im dłużej będziemy zwlekać, tym gorzej to się dla nas skończy.

Pół godziny później na posterunku policji stanowej przy ulicy Franklina Patryk słuchał, jak Karen po raz trzeci streszcza dyżurnemu policjantowi wydarzenia, które rozegrały się kilka godzin wcześniej na

farmie Lintona.

Po malowniczym opisie szkatuły i prawdopodobnej wizji sprowadzenia jej do Stanów, którą roztoczyła przed policjantem Karen, młody funkcjonariusz w końcu się poddał i stwierdził, że do przesłuchania dwojga dziwnych Europejczyków potrzebna jest jednak wyższa szarża.

W następstwie tego Karen i Patryk znaleźli się w ustronnym pokoju, w którym oczekiwali na przyjscie dyżurującego oficera.

- Pamiętaj, że mówimy tylko same ogólności. - Patryk pochylił się do Karen. - Uciekaliśmy przed psami, byliśmy przerażeni i dopiero teraz w Richmond postanowiliśmy przyjść i zeznawać.

- Przecież to w zasadzie prawda - syknęła Karen.

- Na szczęście to, kto kogo postrzelił, nie budzi raczej wątpliwości, więc miejmy nadzieję, że nie będzie im się chciało rozgrzebywać za bardzo kontekstu.

- A ten Howe? - przypomniała sobie nagle Karen. - Mówimy o nim?

Patryk ściągnął usta.

- Mówimy - przytaknął i skinął głową. - Lepiej tego nie ukrywać.

Drzwi do pomieszczenia otworzyły się i do środka wszedł postawny czarnoskóry mężczyzna.

- Sierżant Dylan Pawlowsky - przedstawił się i usiadł naprzeciwko Karen i Patryka. - Ustaliłem, że śledztwo w tej sprawie prowadzi biuro szeryfa hrabstwa James City w Williamsburgu. Prawdopodobnie będą chcieli porozmawiać z wami osobiście, ale oczywiście wysłucham was. Uprzedzam, że rozmowa jest nagrywana.

Karen i Patryk skinęli głowami. Karen odruchowo spojrzała w kąt, gdzie wisiała kamera.

- To pani dzwoniła pod numer alarmowy? - zapytał policjant, gdy Karen powtórzyła swoje zeznania.

- Tak, to ja dzwoniłam.

- Jak to się stało, że trafiliście w tym momencie na farmę Lintonów? Leży na uboczu. Powiedziała pani dyżurnej, że jesteście przypadkowymi turystami, a z tego, co pani mówi, wynika, że byliście tam już wcześniej.

- Byłam w szoku. - Karen wzruszyła ramionami. - Na podłodze leżeli dwaj postrzeleni mężczyźni, a za drzwiami szalały trzy psy. Chodziło mi właściwie o podkreślenie, że nie mam pojęcia, kim jest ten drugi mężczyzna i o co mogło chodzić. Ta pani zapytała, czy to jakaś rodzina

kłótnia.

- Rozumiem - przytaknął policjant i skinął głową. - Dlaczego nie poczekaliście na przyjazd służb?

Karen spojrzała na Patryka.

- Ten człowiek spuścił psy, które dostały się do domu. Ledwie zdołaliśmy stamtąd uciec - odpowiedziała.

- Nie mogliście poczekać przy drodze?

- Henry Linton kazał nam uciekać. Obawiał się, że ten Greg mógł z kimś współpracować - wtrącił Patryk. - Powiedział, że jakiś Howe mu groził.

- Howe? - Sierżant powtórzył nazwisko.

- Powiedział, że to na pewno Howe - wtrąciła Karen. - I że musimy uciekać. Że zaraz pewnie tu będą.

- Czyli dlatego baliście się czekać?

Karen skinęła głową.

- Czy jest coś jeszcze, co chcielibyście dodać? - Sierżant spojrzał najpierw na Karen, a potem na Patryka. - Pan jest informatykiem? - zapytał nieoczekiwanie.

- Prawnikiem - odparł zaskoczony Patryk, którego na moment zainteresował wiszący na drzwiach plakat reklamujący popularne miejsca weekendowego wypoczynku.

- Rozumiem. - Mężczyzna skinął głową, po czym podniósł się i nieco oficjalnie uśmiechnął do obojga. - Mam prośbę, żeby państwo nie opuszczali przez następnych kilka dni stanu. Jak wspomniałem, ludzie od szeryfa z Williamsburga będą chcieli pewnie z wami rozmawiać.

- W przyszłym tygodniu wracamy do Europy - wspomniał Patryk. - W piątek mamy samolot.

- Na pewno skontaktują się wcześniej. - Sierżant uśmiechnął się uspokajająco.

Jennifer Linton nalala sobie czerwonego wina, wypila duży łyk i spojrzała na leżące na marmurowym blacie wyspy kuchennej obszarpane okładki starego notesu dziadka swojego byłego męża.

Widziała ten sztambuch po raz pierwszy. Cholerny Indiana Jones Linton. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień, ale więcej było w tym sarkazmu niż nostalgii.

Henry po raz pierwszy zabrał ją na plantację mniej więcej rok po tym, jak zaczęli się spotykać. John Linton był już bardzo stary, ale zachował pełnię władz umysłowych. Nie przepadali za sobą, on uważał ją za snobkę z Waszyngtonu i nawet słyszała kiedyś, jak mówił Henry'emu, że mógł sobie znaleźć lepszą dziewczynę.

Parsknęła. Prędzej ona mogła sobie znaleźć lepszego faceta. Wzięła butelkę i opróżniony kieliszek, a do drugiej ręki notes, i przeszła z tym wszystkim do swojego biurka. Zapaliła lampkę i usiadła.

Otworzyła sztambuch i spojrzała na pierwszą stronę. Symbol z kominka i grobowca, rzekomy herb Arnimów, którą to bzdurę zweryfikowała prawie na samym początku znajomości z Henrym, o co bardzo obraziła się na nią jego matka.

Nie miała wtedy nic złego na myśli. Była młodą asystentką na Uniwersytecie Waszyngtońskim, zajmowała się badaniami historii wschodnich Stanów, a Wirginia, z racji początków państwowości amerykańskiej, wyjątkowo ją interesowała. Historia rodziny Lintonów nie była niczym aż tak wyjątkowym. Bardzo wielu imigrantów przywoziło tutaj ze sobą podkolorowane historie rodzinne, herby, do których nie mieli praw, i nostalgiczne wspomnienia. Ale plantacja ją zachwyciła. Ten stary dom nad rzeką James, zabudowania, park...

Jennifer złapała się na tym, że zamiast przeglądać notes, wpatruje się zamyślona w przestrzeń.

Pokręciła głową, odpędzając wspomnienia, i spojrzała ponownie na połówkę kartki.

Poniżej herbu z kominka były inne rysunki. Herb rozbity na części składowe, same orły i oddzielnie krzyże. No tak, ona też szła tym tropem. Ale herbów niemieckiej szlachty z orłami i krzyżami było tyle, że okazało się to ślepą uliczką. Ponadto dowodziło tylko, że miała rację i pierwsi Arnimowie posklecali sobie herb z różnych heraldycznych elementów. Pal diabli po co.

Przekartkowała sztambuch, zatrzymując się nad naszkicowanymi wizerunkami wampirów i pochówków wampirycznych - poprzebijanych osikowymi kołkami zwłok. Wzdrygnęła się. John miał dobrą rękę. Jego rysunki były plastyczne i wierne, a w dodatku dość koszmarnie.

Sporo notatek na temat dziewiętnastowiecznych legend i opowieści o wampirach, których było dużo na Wschodnim Wybrzeżu. Dotarła

wreszcie do strony, na której John wspomniał o żaglowcach. Słyszała o tym wielokrotnie, ten słynny, legendarny żaglowiec Albion, na którym rzekomo coś miało zostać gdzieś wywiezione, jacyś piraci coś ukradli, czy co tam bredzili ludzie w okolicy.

Krótką notatką „Albion - 1819-1822” a obok rysunek - prostokąt z małą kropką.

Jennifer zmarszczyła brwi. Coś jej to mówiło. I nie miała pewności, czy przypadkiem kiedyś już o tym nie rozmawiała z Henrym.

Zajrzała ponownie do notesu. Jeszcze jeden rysunek i zapisek: „John Jay? 1829?”.

Czyli John Linton zachodził w głowę, o co chodziło z wygrawerowaną na szkatule inskrypcją, i jak widać, do niczego nie doszedł. Czyli nic ponad to, co już wiedziała.

Zamknęła sztambuch i westchnęła. Będzie musiała przejrzeć go dokładnie.

Zanim go odda.

Sięgnęła po teczkę z aktem własności.

Ciekawe, czemu stary to ukrył. Do czego służyła dacza w lesie męskiej części rodziny Lintonów, oczywiście wiedziała. Henry urządził tam raz czy dwa męskie wypady. Chłanie na umór, pływanie kajakami i głupawe żarty. Podobno jego dziadek wyjeżdżał tam z kochanką. Wielka tajemnica poliszynela, o której i tak wiedziały wszystkie kobiety w rodzinie. Dla nich to też była wygoda. Raz na jakiś czas pozbywały się z domu chłopów i mogły cieszyć się własnym towarzystwem.

Pamiętała, że ten teren był dość cenny już w czasach jej młodości. Kupiony jeszcze przed wojną, teraz stanowił unikatową własność w obrębie zamkniętego rezerwatu. Nie była tylko pewna, czy na działkę nie nałożono przypadkiem, w razie chęci sprzedaży, obowiązkowego wykupu przez władze stanowe. I to po cenach regulowanych. To pewnie mocno by obniżyło jej atrakcyjność.

Przekartkowała dokument i spojrzała na zegar. Dochodziła druga. Czas odpocząć. Jutro trzeba będzie dalej porządkować bałagan zrobiony przez nadgorliwych durniów.

Gdy tylko wrócili do hotelu i weszli do pokoju, Patryk od razu wyjął tablet.

- Zdjęcia tych archiwaliów zapisałaś w Google? - Odwrócił się do Karen.

- Oczywiście - przytaknęła.

Patryk z tabletem w rękach usiadł na łóżku i zaczął przesuwać kolejne fotografie.

- Co się stało? - zainteresowała się Karen, siadając obok.

- Chcę coś sprawdzić - mruknął. - Wydaje się, że coś nam umknęło. Jak oglądaliśmy ten akt własności za pierwszym razem, nie zwróciłem na to uwagi...

- Na co? - Karen pochyliła się nad tabletem.

- Gdzie to było. - Patryk przeglądał kolejne strony dokumentu.

- Ale o co chodzi? - zniecierpliwiła się Karen.

- Jest! - Patryk zatrzymał się gwałtownie i powiększył zdjęcie palcami.

- Wiedziałem! - Spojrzał triumfalnie na Karen. - Zobacz!

To mówiąc, podsunął jej tablet.

Karen przez moment wpatrywała się w fotografię strony aktu notarialnego, w końcu podniosła głowę i spojrzała na Patryka z irytacją.

- Nie znam się na tym prawnym bełkocie - powiedziała. - Nawet do końca nie rozumiem, co tu jest napisane. Mój angielski nie obejmuje sądowego.

- Tu popatrz! - przerwał jej Patryk i postukał palcem w ekran urządzenia. - Na posterunku wisiał plakat reklamujący rezerwat i coś mi podpowiadało, że to musi być to. Skojarzyłem po opisie.

- Beerhead. - przeczytała Karen. - I co to ma niby wspólnego.

I w tym momencie zamilkła i ponownie pochyliła się nad tabletem.

- To jest miejsce położone w głuszy - powiedział Patryk z przejęciem. - Do tego stopnia, że akt własności podaje wyłącznie współrzędne geograficzne, a dodatkowo używa jedynie środowiskowej nazwy. Ten notariusz napisał „miejsce znane pod nazwą”.

- Beerhead - przeczytała Karen.

- To nie może być przypadek. - Patryk patrzył na nią zaaferowany.

- Ale przecież archiwalia były w głowie niewolnicy.

Patryk uśmiechnął się protekcyjnie.

- Oczywiście, nie pamiętasz już, co mówiła Barbara Linton?

- Oczywiście, że pamiętam...

- Na pewno wszystko? - Patryk podniósł brwi.

- No pamiętam, oczywiście, że pamiętam. - Karen spojrzała w okno, usiłując przypomnieć sobie słowa matki Lintona. - „Listy ukryłem, ale jeśli będziecie chcieli, to je znajdziecie. Wszystko, co potrzebne, jest w głowie”. Jakos tak. - Spojrzała na Patryka niepewnie.

- A potem dodała, że nie jest tylko pewna, czy mówił o głowie czy głowach - powiedział Patryk z triumfem.

- Beerhead. - Karen powtórzyła tajemniczą nazwę. - Głowa piwa.

- To jest ta potoczna nazwa. Słowo oznacza pianę w szklance piwa. Pewnie wiąże się ze zwyczajami Lintonów, którzy przyjeżdżali tam wyłącznie na imprezki.

- Hmm. - Karen siedziała ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. - Sądysz, że John Linton mógł tam ukryć listy Josephine?

- Nie mam pojęcia. - Patryk wzruszył ramionami.

- Ta baba nie zna wspomnień Barbary Linton. Nie słyszała nic o głowie. Oni mają notes, ale akt własności tej daczy nic im nie da, skoro nie znają historii z głową.

- Karen. - Patryk spojrział nagle na swoją dziewczynę z niepokojem. - Nawet nie kombinuj.

- Nic nie kombinuję. O co ci chodzi?

- Przecież widzę, że chodzi ci po głowie wyjazd do tego Beerhead.

- No a jeśli nawet? - zapytała Karen, spojrzała na Patryka z niewinną miną i pochyliła się nad tabletem, wpatrując się w stary akt notarialny.

- Po pierwsze, policjant prosił, żeby nie wyjeżdżać z miasta.

- Ze stanu! Prosił, żeby nie wyjeżdżać ze stanu!

- A po drugie, wiesz, jaki to jest rezerwat?

Karen podniosła głowę i spojrzała na Patryka. Patrzył na nią dziwnym wzrokiem.

- No jaki?

- Narodowy Rezerwat Rozlewisk Rzeki Aligatorów.

Rozdział 13

Biuro szeryfa hrabstwa James City mieściło się w zachodniej części Williamsburga. Wielki, nowiutki gmach z czerwonej cegły wyglądał jak połączenie antycznej świątyni z dziewiętnastowiecznym fortem. Główne wejście, które prowadziło także do rejonowego sądu, flankowały cztery potężne ceglane kolumny, nad którymi wznosił się trójkątny szczyt. Dookoła budynku rozciągały się ocienione przez rozrośnięte już drzewa parkingi.

Parkingi w tej części miasta stanowiły zresztą sześćdziesiąt procent zabudowy. Przy każdej siedzibie firmy, większym sklepie, restauracji czy szkole rozciągały się całe pola miejsc postojowych. Patrząc na mapę, nie dało się ukryć, że samochód był w dalszym ciągu fetyszem amerykańskiej urbanistyki.

Carter pisał właśnie protokół z wczorajszej akcji na farmie Lintonów, gdy do jego niewielkiej pakamery zajrzała młoda posterunkowa. Oparła się o framugę i zastukała w uchylone drzwi.

- Nie mogę teraz, Mia - mruknął Carter, nie odwracając się nawet do policjantki.

- Nie zajmę ci dużo czasu, ale musisz to zobaczyć.

Carter oderwał wzrok od ekranu monitora i z westchnieniem spojrzał na podwładną.

- No co jest? - zapytał.

- Dwie sprawy. Trzy właściwie. - Policjantka podeszła do biurka Cartera i podała mu telefon. - Wczoraj w centrum było małe zamieszanie. Obejrzyj to sobie.

Carter wziął telefon i wbił wzrok w ekran urządzenia. Na nakręconym komórką filmiku widać było, jak na markizę przy jakiejś restauracji zeskakuje dziewczyna w indiańskiej sukience.

- Co ty mi tu pokazujesz? - Carter się zirytował. - Jakaś narąbana

Pocahontas.

- Patrz dalej!

Carter wrócił do oglądania filmiku. Dotarł do końca i podniósł brwi.

- To ten koleś?

- Najwyraźniej - potwierdziła policjantka. - Nie można mieć stuprocentowej pewności, w końcu to filmik z komórki, na YouTube w dodatku, ale to na pewno on.

- Sądzisz, że po silnych przeżyciach na farmie aż tak się najebali?

- Jakąś godzinę później, po drugiej w nocy, dotarli na posterunek przy Franklina. Byli trzeźwi. Oficer dyżurny przysłał nam nagranie z ich przesłuchania.

- Gdzie jest?

- Zapisałam ci już.

Zastępca szeryfa zamknął swój protokół, który, jak się zresztą obawiał, w świetle aktualnych wydarzeń mógł się okazać w kilku co najmniej punktach nieaktualny, i zajął do katalogu sprawy Lintonów.

Po chwili na ekranie ukazało się wnętrze pokoju przesłuchań z posterunku przy Franklina.

- Howe - powtórzył Carter. - Czyli Linton miał z kimś porachunki. Mamy coś na jego temat?

- W bazie nie ma. To znaczy jest dwóch Howe'ów, ale w ogóle nie pasują.

- Wygląda więc na to, że tych dwoje Europejczyków po prostu przez przypadek znalazło się w niewłaściwym miejscu.

- Nic nie powiedzieli o tej rozbabraniej rzeźbie - przypomniała policjantka.

- Może Linton zajmował się, nie wiem - Carter wzruszył ramionami - jakąś konserwacją, a oni akurat przyjechali.

- Możliwe - zgodziła się policjantka Mia. - Ale jest jeszcze coś. Monitoring przed salonem jubitera na rogu Franklina.

Wstała, stanęła obok Cartera i pochyliła się nad klawiaturą jego komputera.

Na ekranie ukazał się narożnik ulic, a po chwili przed kamerą wpadli młody mężczyzna i dziewczyna w brązowej, króciutkiej sukience. Nagle przy krawężniku zatrzymała się czarna limuzyna. Otworzyły się drzwi, a dwójka młodych ludzi wsiadła do środka.

- Wiesz, kto jest właścicielem tego cadillaca? - zapytała posterunkowa, patrząc porozumiewawczo na swojego szefa.

- No mów, do diabła!

- Jennifer Linton, była żona naszej ofiary.

Carter odchylił się w fotelu i spojrział bykiem na swoją podwładną.

Pięknie. Wyglądało zatem, że sprawy tych gównianych porachunków nie da rady tak łatwo zamknąć.

Toyota zwolniła, jakby niepewnie, a następnie zjechała na plac przed stacją benzynową, przed którą stało kilka pick-upów, a obok pękate, pokraczne zbiorniki na gaz. Nad pawilonem, w którym mieścił się niewielki sklep, widniał niepokojący napis „Aligator River Marina”. Po drugiej stronie drogi w wąskim kanale cumowało kilka niewielkich łódek z drewnianymi nadbudówkami i miejscem na transport towarów lub przewóz turystów. Droga zaś wiodła aż do widocznego między drzewami wjazdu na most, przy którym stała tablica z napisem „Aligator River Bridge”.

Za kanałem i za stacją kipiała zieleń, a właściwie złowieszcza gęstwina zielonych bagiennych roślin, spomiędzy których tu i ówdzie sterczały konary całkowicie wyschniętych drzew. Wzdłuż brzegów rzeki ciągnęły się plaże utkane poczerniałymi korzeniami przewróconych roślin i w połowie zanurzonymi pniami, sterczącymi z wody jak wraki zatopionych okrętów.

- I co dalej? - zapytał sarkastycznie Patryk. - Od dobrych kilkudziesięciu kilometrów znajdujemy się na terenie Karoliny Północnej, a dopiero co policja nakazała nam pozostać w stanie. W stanie Wirginia oczywiście.

- Nie nakazała, tylko prosiła - powiedziała Karen, rozglądając się dookoła.

Z mapy w Google, którą trzymała otwartą na tablecie od dobrych dwudziestu minut, wynikało, że za mostem nad Rzeką Aligatorów rozciągają się ogromne, poprzetykane setkami kanałów mokradła, przez które tylko gdzieniegdzie poprowadzono bite, ledwie przejezdne drogi. Gdzieś w tym pierwotnym wręcz lesie znajdowała się dziura o nazwie Beerhead, której nikt oczywiście nie naniósł na żadne mapy.

- Musimy kogoś zapytać. - Karen otworzyła drzwi i wysiadła.

- Myślisz, że ktoś wie, gdzie się znajduje ta dacza? - Patryk wysiadł

z samochodu i przeciągnął się. Kolejne cztery godziny za kółkiem.

Niby byli w Stanach, ale nie spodziewał się raczej, że ich wyprawa za ocean przebiegnie w konwencji filmu drogi. A tymczasem w Nowym Jorku czekał na nich superluksusowy apartament tej bogatej Angielki, przyjaciółki wuja Karen. Co za strata.

- Przecież mamy współrzędne. Możemy pokazać na mapie.

- Tak czy siak, będziemy musieli wynająć kogoś z łodzią.

- Może są tutaj kajaki? - Karen spojrzała w kierunku przystani z dziwacznymi łodziami.

- Chcesz płynąć kajakiem przez rezerwat aligatorów?! - Patryk postukał się palcem w czoło, patrząc na Karen z niedowierzaniem.

- Widziałam reklamy. - Karen wzruszyła ramionami.

- Pewnie pływa się nimi tylko po przybrzeżnych, cywilizowanych kanałach, niedaleko przystani. Względnie musisz podpisać dokument, że wypożyczając kajak, zdajesz sobie sprawę, że na koniec urlopu rodzina może dostać twoje resztki w czarnym worku.

Karen wzniosła oczy do nieba i weszła do sklepiku.

Wnętrze wyglądało jak na każdej stacji benzynowej. Regały ze słodyczami, z chipsami i sokami, w których było wszystko oprócz soków z owoców. Za ladą w głębi stał młody chłopak i znudzony wyglądał przez okno, na moment tylko się ożywił, gdy zobaczył wchodzącą do środka Karen.

Karen uśmiechnęła się do chłopaka, wyciągnęła tablet i pokazała na mapie miejsce, dokąd chcieliby się dostać.

- To tylko łodzią. - Chłopak pokręcił głową. - Musicie wynająć kogoś, kto was zawiezie.

- A gdzie możemy to zrobić? Te łodzie, które tutaj stoją, są do wynajęcia? - Wskazała ręką przystań za drogą.

- To wszystko tylko transport przez rzekę, nie płyną dalej. Musicie spróbować po drugiej stronie mostu, w East Lake albo w porcie przed przeprawą na Outer Banks^[10].

Chłopak pochylił się nad tabletem i pokazał palcem oba miejsca.

- A kajaki? - przypomniała sobie Karen, gdy już podziękowali i ruszyli do drzwi.

- Zapomnijcie. - Chłopak się uśmiechnął. - To za daleko. Poza tym nie

traficie. No i to jakieś dwie godziny drogi, a jeśli nie macie prowiantu, to lepiej coś tutaj kupcie. - To mówiąc, wskazał brodą regały na środku sklepu.

Piętnaście minut później, zaopatrzeni w zafoliowane kanapki z ogromnych bułek, herbatniki i wodę mineralną, dojeżdżali do drugiego końca mostu nad Rzeką Aligatorów. Na horyzoncie widać było ciągnący się masyw brudnej zieleni, z której sterczały rosochate sosny i wielkie, usychające cedry.

Samochód minął przyczółek i wjechał między szpaler sosen. Wzdłuż drogi ciągnął się kanał, a kilkaset metrów dalej pojawił się pierwszy zjazd do stojącej przy drodze nieruchomości. Był to schowany między wysokimi drzewami stary dom, przed którym rdzewiała jakaś półciężarówka, a przy wjeździe na posesję leżała wywrócona do góry dnem łódź.

- To jest to East Lake? - mruknął grobowym głosem Patryk, gdy mijali kolejny zapuszczony dom, wyglądający niczym żywcem przeniesiony z amerykańskich horrorów.

- Tutaj piszą, że wyspy Outer Banks to same domy bogaczy. - Karen podniosła wzrok, odprowadzając spojrzeniem kolejną posiadłość, na której stała rozsypująca się przyczepa, a dookoła leżały rdzewiejące pozostałości jakichś sprzętów.

- My jesteśmy na terenie rezerwatu - mruknął Patryk. - Do Outer Banks to nawet nie dojedziemy. I co ja mam robić? - spytał bezradnie. - Zatrzymujemy się tutaj i pytamy o łódkę?

- Spróbujmy. Może tu?

W głębi sporej działki stał pierwszy zadbanej dom, odremontowany drewniany bungalow, przed którym parkował błyszczący lakierem van. Po wielkim trawniku przed domem na kosiarce-tractorku jeździł mężczyzna w czapce z daszkiem.

Patryk zjechał na pobocze i zatrzymał się przed otwartą bramą. Tuż obok stała tradycyjna amerykańska skrzynka na listy.

Karen pomachała przyjaźnie do gospodarza i po chwili kosiarka podjechała pod samą bramę.

- Łódź? - Mężczyzna zdjął czapkę i wytarł spoconą twarz własną koszulką. - Tutaj to średnio. Przy zjeździe z mostu jest wypożyczalnia kajaków, ale kajakiem raczej bym nie radził. Musicie pojechać do końca

drogi i tam przed mostem na Outer Banks skręcić w prawo. W porcie jest sporo łodzi, na pewno ktoś was zabierze. A czego wy tam szukacie? Tam nic nie ma. - Mężczyzna spojrzał podejrzliwie na Karen i Patryka.

- Taka sentymentalna wycieczka, poznaliśmy się tam - odpowiedziała Karen, spoglądając z uśmiechem na Patryka.

Patryk przewrócił oczami.

- Jedziecie odnaleźć dawną magię? A to życzę szczęścia. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, włączył silnik kosiarki i pomachał im, wycofując traktorek na trawnik.

Kierując się wskazówkami mijanych tubylców, Patryk zatrzymał się przed budynkiem wyglądającym jak tawerna. Stał niedaleko nabrzeża, przy którym kołysały się żaglówki i niewielkie łodzie motorowe. Trochę dalej widać było ogrodzoną marinę, gdzie cumowały większe jachty.

Po krótkim spacerze wzdłuż pomostów okazało się, że wynajęcie łodzi w sezonie, i to na kilka godzin, będzie bardzo trudnym przedsięwzięciem, a wręcz niewykonalnym. O tej porze roku większość łodzi była już zarezerwowana, nawet spływy kajakowe były organizowane miesiąc wcześniej.

Zniechęceni wrócili do samochodu i po chwili namysłu stwierdzili, że chętnie napiliby się kawy, a w przypadku Patryka zjedli nawet jakiegoś hamburgera.

Tawerna była wypełniona gośćmi, ale miła kelnerka znalazła dla nich stolik w głębi lokalu. Tuż przy oknie, co szybko wbrew pozorom okazało się minusem, ponieważ przez wielkie oszklone witryny słońce grzało jak w szklarni.

Karen wypłała łyk gorącego napoju i dyskretnie się skrzywiła.

- Teraz mamy w planach cztery godziny w samochodzie. - Patryk westchnął i rozejrzał się po lokalu. Większość gości to byli prawdopodobnie turyści lub właściciele miejscowych domów letnich, ale między nimi krzatali się także miejscowi. Prawdopodobnie obsługa łodzi i pracownicy okolicznych hoteli i knajp.

- Szybko się poddajesz - skomentowała Karen z ironią. - A przecież mieliśmy odnaleźć dawną magię.

- Nawet dla tak poważnej sprawy ryzykowanie pożarcie przez aligatora to za dużo. Poza tym z nadżartego przez aligatora mnie nie będziesz miała

żadnego pożytku. - Patryk zobaczył, że zza baru wychodzi kelnerka z tacą, na której nawet stąd widać było wielkiego hamburgera, i automatycznie wpadł w dobry humor.

- Tutaj są też niedźwiedzie. - Karen wypijała kolejny łyk kawy, po czym poddała się i odstawiła filiżankę na spodek. - Poza tym polemizowałabym z tym pożytkiem, który rzekomo mam aktualnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Patryk złapał ją pod stołem za nogę, a Karen, chichocząc, odsunęła się.

Kelnerka z porozumiewawczym uśmiechem postawiła przed Patrykiem talerz, a następnie pochyliła się nad stolikiem.

- Słyszałam, że poszukujecie łódki?

Karen podniosła brwi i uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Poszukujemy - potwierdziła.

- Może będę mogła wam pomóc. - Dziewczyna pochyliła się konspiracyjnie do Karen i wskazała siedzącego przy barze mężczyznę. - To Stary Sam, pływa przede wszystkim z myśliwymi, ale teraz, poza sezonem łowieckim, ma mniej roboty. Ludzie wolą nowocześniejsze i bardziej zadbane łodzie. Jeśli wam nie przeszkadzają warunki, to mogę mu szepnąć słówko.

- Absolutnie nie przeszkadzają. - Karen zdecydowanie pokręciła głową.

- Jak zwykle nie skonsultowałaś tego ze mną. - Patryk podniósł niezadowolony wzrok znad talerza z hamburgerem, gdy kelnerka odeszła w stronę baru.

- Na dwie godziny podróży nie będą ci potrzebne prysznic ani leżak.

- Może najpierw zobaczylibyśmy tę łódź?

- Może zaraz się uda - syknęła Karen, kopiąc Patryka pod stołem.

Od strony baru zmierzał ku nim starszy brodaty mężczyzna ubrany w burą kamizelkę i T-shirt. Na głowie miał wiekową wojskową czapkę z daszkiem. Gdy stanął przy stoliku, zdjął ją i ukłonił się Karen.

- Podobno szukacie podwózki?

Karen przytaknęła z uśmiechem, a Patryk obrzucił mężczyznę podejrzliwym spojrzeniem.

- Jestem Sam. - Mężczyzna usiadł obok Patryka. - Mam łódź z silnikiem. To miejsce, gdzie chcecie płynąć, znam bardzo dobrze, bo to tereny łowieckie. Chodzi wam o budę Beerhead, mam rację?

Patrykowi przemknęło przez głowę, jak zadziwiająco szybko

rozchodziły się tutaj informacje.

Karen ostrożnie skinęła głową.

- Nikt tam dawno nie przyjeżdżał. - Mężczyzna obrzucił taksującym spojrzeniem Patryka. - Jesteście znajomymi właścicielami?

- W pewnym sensie. - Karen się zawahała.

- W porządku. - Mężczyzna rozłożył uspokajająco ręce. - To nie moja sprawa. Do łodzi musimy kawałek podjechać. Pojedziecie ze mną.

Stary, zdezelowany pick-up telepał się na nierównej gruntowej drodze. Po lewej stronie ciągnął się sosnowo-cedrowy las, po prawej, za pasmem przybrzeżnej zieleni przerywanej gdzieś prywatnymi posesjami, na których stały najczęściej zaniedbane, rozklekotane drewniane bungalowy, rozlewała się zatoka.

- Z każdym dniem wplątujemy się w coraz gorsze kłopoty. - Patryk nerwowo rozglądał się dookoła. - Teraz to już nie jest nawet *wrong turn*, ale jakaś martwica mózgu, że tu jedziemy.

Karen westchnęła.

- Ta dziura pod Warszawą, gdzie zgubiliśmy się, szukając daczy twoich znajomych, była o wiele bardziej *creepy* niż to tutaj - powiedziała, obserwując jadący przed nimi samochód.

- Józefów? - parsknął Patryk. - Wolałbym znaleźć się tam nocą sam niż tutaj w południe.

- Masz mózg wyprany przez amerykańskie kino.

Stary pick-up skręcił w otwartą na oścież bramę i zatrzymał się przed niskim domem, z którego w niektórych miejscach płatami odchodziła farba. Obok stało kilka sosen, walały się sterty żelastwa, a pod drzewami, nakryte brezentem, leżały jakieś stare łodzie i kajaki. Za domem widać było zatokę i pomost, przy którym cumowały dwie łodzie.

Jedna z nich, drewniana, z której również płatami złaziła farba, miała niewielką nadbudówkę i dziwaczny stalowy pomost na rufie. Na burcie czarną farbą wymalowana była nazwa Tequila.

Ian Howe patrzył chłodno na siedzącą naprzeciwko niego kobietę. Miała na sobie elegancką popielatą garsonkę i ciemne okulary. Mały ogródek letni przy restauracji w centrum Waszyngtonu, ustronne miejsce, gdzie nikt ich nie znał.

- Jak to się stało? - spytał z nieukrywaną irytacją. Zaczynał żałować, że w ogóle nawiązał z nią kontakt.

Kobieta nasypała do filiżanki z kawą łyżeczkę cukru i zaczęła powoli mieszać.

Howe odniósł wrażenie, że robi to dla zyskania na czasie.

- Dziewczyna, której płacę za dyskretną obserwację teściowej, dała mi znać, że teściową odwiedziło tych dwoje Europejczyków. A następnego dnia, prosto z Charlestonu, pojechali do Lintona. To nie mógł być przypadek. Musieli się czegoś dowiedzieć, to oczywiste.

- Ale ja nie pytam o kolejność wydarzeń - przerwał Howe - tylko o to, jak w ogóle dopuściła pani do tej strzelaniny? Kto to wymyślił?

- Jeden z głąbów po prostu okazał się nadgorliwy. - Kobieta ciężko westchnęła. - Wszystko działo się za szybko. Wiedziałam, że coś znaleźli, bo ten cały debil Marsden podejrzwał z zewnątrz, że coś wyciągają z rzeźby na schodach. Linton nigdy nie pozwoliłby nam do tego zajrzeć.

- Więc wymyśliła pani kradzież? - Howe parsknął. - W dodatku tak partacką!

- Marsdenowi nic by nie udowodnili. - Jennifer uśmiechnęła się zimno. - Archiwalia by zniknęły, a trudno oskarżyć kogoś o kradzież czegoś, co nie istniało. Każdy prawnik by to podważył. Względnie udowodniłby, że Linton sprzedał cenne zabytkowe przedmioty kupcom z Europy, a żeby nie płacić podatku, oskarżył o kradzież Bogu ducha winnego pracownika.

- Linton miałby świadków w postaci tych dwojga.

- Którzy dopiero co kupili zabytkową szkatułę, a ich rodzina zajmuje się poszukiwaniem skarbów.

- Widzę, że też ich pani sprawdziła? - powiedział Howe z mimowolnym uznaniem.

- Oczywiście. Już po tym, jak mnie pokonali podczas licytacji szkatuły.

- Tylko że coś poszło nie tak. - Howe ponownie się zasepił.

- Nie coś, tylko mój durny mąż. Nie wzięłam pod uwagę, że zawsze pętał się z tą swoją strzelbą. Ale do głowy by mi nie przyszło, że zechce jej użyć w takiej sytuacji. - Jennifer Linton zacisnęła ze złością usta i poprawiła okulary. - No ale Marsden zginął i nikogo już nie wsypie - podsumowała. - A postrzelili się nawzajem, więc generalnie nie ma sprawy.

- Nie ma sprawy? - Howe przypatrywał się kobiecie z lekkim niepokojem. Chyba jej trochę nie docenił. Nic dziwnego, że Linton się z nią

rozwiódł. Gdyby nie wymuszona przez matkę intercyza, pewnie nie zostawiłaby mu grosza przy duszy.

- Wracając do tematu. - Jennifer Linton sięgnęła po swoją torbę. - To, co mam tutaj, na pewno poprawi panu humor, panie Howe.

Położyła na stole stary skoroszyt i delikatnie popchnęła go w kierunku mężczyzny.

Howe wziął do rąk sztambuch i otworzył na chybił trafił. Akurat na stronie z rysunkiem wampira i krótkim opisem wierzeń, które na temat wampirów występowały w Północnej i Południowej Karolinie.

- I tylko to było w tej rzeźbie? - zapytał.

- Był jeszcze akt własności pewnej posesji, chociaż trudno to nazwać posesją. - Jennifer wzruszyła ramionami. - Nie mam pojęcia, dlaczego dziadek ukrył go razem z notesem. Do niczego się panu ten dokument nie przyda.

- Jakiej posesji? - Howe podniósł wzrok znad notesu.

- Dacza, którą Lintonowie kupili jeszcze w latach trzydziestych. W okolicach rezerwatu aligatorów, niedaleko Outer Banks.

- Ma pani ten akt własności przy sobie? Chciałbym jednak rzucić okiem.

- Tak myślałam. - Kobieta uśmiechnęła się z przekąsem i sięgnęła do torby.

Howe wziął do ręki i przekartkował stary dokument.

- Widziała pani już wcześniej ten sztambuch? - zapytał, oddając jej dokument i ponownie biorąc do ręki notes Johna Lintona.

Jennifer z uśmiechem na ustach pokręciła głową.

- Wcześniej nie, ale oczywiście przejrzałam notes i niestety, nie ma tam nic ciekawego. Jako historyk szukałam interesujących odkryć, czegoś, co rzeczywiście rzuciłoby światło na tę rzekomą tajemnicę rodzinną. Niestety, większość notatek to banały lub głupoty. Jedyne, co nie ulega wątpliwości, to talent plastyczny Johna.

Howe pokiwał głową.

Wypił kawę do końca i sięgnął po swoją teczkę. Wyjął z niej grubą kopertę i położył na stole.

- Zgodnie z umową - powiedział cicho. - Proszę darować sobie przeliczanie, lepiej nie robić tutaj widowiska.

Chwilę później Howe wracał piechotą do biura. Stary sztambuch kosztował znacznie więcej, niż był wart, ale Howe był człowiekiem interesu i zdawał sobie sprawę, że na wartość tej inwestycji składały się nie tylko sam notes, lecz także cała operacja jego zdobycia. Pal diabli, jak partacko zaplanowana i przeprowadzona.

Gdyby sztambuch pozostał w rękach Lintona, nigdy nie miałby szansy, żeby do niego zajrzeć. Nawet pewnie rzucić okiem nie byłoby mu dane, więc współpraca z tą niebezpieczną kobietą jednak się opłacała.

Zwłaszcza że już przy pierwszym zerknięciu do sztambucha odkrył rzecz niebywałą. Wracał do swojego biura, czując ekscytację. Tak jakby kolejny puzzle miał właśnie trafić na swoje miejsce.

Nie ufał Jennifer Linton ani trochę. Nie wiedział zatem, czy mówiąc, że nic w notesie nie zwróciło jej uwagi, kłamała, czy rzeczywiście nie zobaczyła tego, co dla niego było jasne od pierwszej chwili.

„John Jay, 1829”. Przecież to nie chodziło o gubernatora! Że też nikt do tej pory na to nie wpadł. Stary John Linton pewnie to gdzieś wygrzebał. Nie starczyło tylko czasu biedakowi, żeby to zweryfikować.

Narodowy Rezerwat Rozlewisk Rzeki Aligatorów leży na ogromnym półwyspie wciśniętym między zatokę Croatan Sound oraz Rzekę Aligatorów. Jego północny cypel przecina droga, która przez dwa nisko zawieszony nad wodą mosty wiedzie na archipelag wysp Outer Banks. Port, a właściwie chaotycznie ulokowana na brzegach półwyspu ni to osada, ni to marina, w której obok nowych, bogatych domostw stoją rozlatujące się bungalowy oraz przyczepy campingowe, leży na wschodnim brzegu półwyspu. Północny cypel zaś to wyspy i wysepki poprzecinane rozlewiskami nazwanymi Północnym Jeziorem. Na południe od drogi, wokół której skupia się niewielka, zamieszkała część tego terenu, na powierzchni sześćdziesięciu tysięcy hektarów rozlewają się poprzecinane kanałami, niedostępne drogą lądową bagienne ostępy.

- Sześćdziesiąt tysięcy to właściwie nie jest aż tak dużo - pocieszyła się Karen, rozglądając się dookoła z ciekawością, ale i niepokojem, który zasiała w niej informacja, że gdy wpłyną w kanały rezerwatu, urwie się zasięg.

- Rezerwat na Wolinie ma dziesięć, Kampinos chyba z czterdzieści - prychnął Patryk, wpatrując się w brzegi rzeki. - I tam nie ma dinozaurów.

- Rezerwat to tylko część bagien - odezwał się Stary Sam, drapiąc się po głowie. - Małeńka. Na południe rozciągają się bagienne tereny łowieckie, też chronione, dalej rezerwaty Mattamuskeet, Park Emily i Richardson, Wielkie Posępne Bagna. Razem to ze czterysta tysięcy hektarów. A na połowie tego terenu brak zasięgu.

Karen spojrzała na Amerykanina z lekką irytacją. Chyba czytał im w myślach, że się tak wstrzelił w temat, bo raczej mało prawdopodobne, że mówi po polsku. Poza tym po raz trzeci przypomniał o tym cholernym zasięgu. Braku zasięgu!

- Cudownie - mruknął Patryk, wciągając wyżej nogi na platformę dla myśliwych, którą to okazała się dziwna konstrukcja na rufie łodzi.

Łódź od dobrych dwudziestu minut płynęła wzdłuż brzegów Rzeki Aligatorów. Wyprawa jak do tej pory zajęła im godzinę, a pokonali dopiero północne rozlewiska i połowę rzeki. Kilka minut wcześniej Stary Sam oznajmił, że teraz trzeba się rozglądać za wlotem w kanał na wysokości jeziora Whipping Creek, co ani Karen, ani Patrykowi nic nie powiedziało oczywiście.

Silnik łodzi terkotał, krztusząc się co jakiś czas, co za każdym razem wywoływało napad lęku u Patryka, mającego przed oczami wizję atakującego łódź aligatora.

- Od kiedy te tereny są pod ochroną? - zapytała Karen.

- Od lat siedemdziesiątych mniej więcej, jakoś tak - mruknął Stary Sam, sięgając do szafki pod pulpitem w sterówce i wyciągając butelkę whisky. - Napijcie się? - Machnął nią w kierunku Patryka.

- Chyba nie powinien pan pić? - Patryk zmarszczył brwi. - A jak coś się stanie?

- A co ma się stać? - Mężczyzna zarechotał. - Pływam tutaj od czterdziestu lat. No i jest! - Skinął nagle ręką w kierunku otwierającego się w gęstej zieleni przesmyku.

Łódź wpłynęła w kanał i zaczęła się przedzierać w głąb lasu. Warkot silnika spłoszył stado wodnych ptaków, które poderwały się i głośno protestując, wbiły się nad ich głowami w niebo.

- Nie mogę uwierzyć... - zaczął Patryk, ale umilkł, widząc spojrzenie Karen.

- Znowu zamierzasz lamentować? - zapytała i westchnęła. - Uwierzyłybyś, że będziemy zwiedzać takie miejsca? A ty narzekasz.

- Zacząłem mówić - powiedział dobitnie Patryk - że nie mogę uwierzyć, że John Linton schował w takim miejscu jakieś ważne dokumenty. Co to za absurdalny pomysł!

- Słyszałaś, co mówiła Barbara Linton. - Karen wzruszyła ramionami. - Że w Arnim Creek bez przerwy ktoś się kręcił. Pewnie to miejsce było jego schronieniem. Może bywał tutaj często na starość. Poza tym to fakt, kto by szukał tutaj ważnych dokumentów? Tym bardziej były tutaj bezpieczne.

- To dziecinada. - Patryk pokręcił głową z ironią. - O rany! - Uniósł się nagle, wpatrując się w coś na brzegu.

Łódź, terkocząc, mijała stojący w wodzie na palach rozsypujący się drewniany dom. Dach zapadał się do wnętrza budynku, a po zmurszałych ścianach wspinały się macki jakichś roślin. Przed domem sterczał z wody dziurawy pomost.

- To chyba nie jest to Beerhead? - Karen odwróciła się, odprowadzając wzrokiem tonącą w bagnie ruinę.

- To tylko chata Samuela. - Machnął lekceważąco ręką Stary Sam. - Taki myśliwski grajdół. Właściciel umarł wiele lat temu. Od tego czasu nikt tutaj nie był. Kiedyś było tutaj więcej takich miejsc, ale po tym, jak zrobili rezerwat, większość się rozsypała.

Mężczyzna wypił spory łyk z butelki i schował ją do szafki.

Krypa minęła chatę i skrzyła w kolejne zakole kanału.

Jennifer wysiadła przed swoim apartamentowcem, skinęła głową portierowi i wbiegła do windy. Jadąc na górę, patrzyła na zmieniające się cyferki pięter i gorączkowo myślała, co robić. Nie mogła pozwolić, żeby ją ubiegli. Ani Howe, ani ci Europejczycy. Jeśli Linton przeżyje, nigdy nie zgodzi się na sprzedaż farmy, a już nawet się odgrażał, że przekaże ją jakiemuś towarzystwu historycznemu. A jeśli nie przeżyje, a jej syn zgodzi się sprzedać plantację, to Howe, pod pretekstem remontu, rozbierze dom i grobowiec i cegła po cegle przeszuka całą posiadłość. Jego fascynacja okresem wojny o niepodległość i czasami Waszyngtona sprawi, że zrobi to choćby dla czystej przyjemności. Nawet jeśli nie wierzy w te opowieści o tajnych dokumentach Johna Jaya czy tajemniczej zawartości szkatuły. A dla dokumentów pewnie będzie gotów zrobić bardzo wiele.

Jennifer wpadła do mieszkania, rzuciła torebkę na sofę i wybrała numer szpitala, w którym leżał Henry. Nie zawadzi robić dobre wrażenie.

- Szpital uniwersytecki w Richmond, słucham. - W słuchawce rozległ się głos dyżurnej.

- Leży u państwa mój mąż, Henry Linton. Chciałam się dowiedzieć, czy odzyskał przytomność. Czy można go odwiedzić?

- Chwileczkę, sprawdzę. - Dyżurna odłożyła telefon, a do Jennifer dobiegły odgłosy stukania na klawiaturze i czyjeś podniesione głosy.

W tle rozległ się nagle sygnał połączenia.

Jennifer spojrzała na wyświetlacz. Pomyślała, że Henry może jednak poczekać, i odebrała.

Drab z agencji, z której usług korzystała, brał zbyt wiele za swoje starania, żeby go lekceważyć.

- Pani Linton. - W słuchawce usłyszała głos mężczyzny, który towarzyszył jej w samochodzie podczas rozmowy z Europejczykami. - Tych dwoje wyjechało dzisiaj rano z Richmond. Około dziewiątej.

- Czy to takie ważne? - zapytała z irytacją. Spodziewała się informacji na temat Garcii, drugiego jełopa zatrudnionego u Lintona, który zapadł się pod ziemię.

- Biorąc pod uwagę kierunek, w którym się udali - słyszała, że mężczyzna się śmieje, to sędzę, że to jednak panią zainteresuje.

- Czyli dokąd się udali? - Jennifer zaczynała tracić cierpliwość. Zobaczyła, że oddzwania właśnie do niej szpital z Richmond.

- Wyjechali na Interstate dziewięćdziesiąt pięć, w kierunku Petersburga. Jennifer zmarszczyła brwi. Na południe? Czyżby znowu jechali do Charlestonu?

Szybko skończyła rozmowę i otworzyła mapę w Google.

Przez chwilę przyglądała się trasie i nagle ją oświeciło.

Przecież oni pojechali na Outer Banks!

Kanał rozszerzył się nagle w niedużą deltę i wpadł do większego rozlewiska, które ciągnęło się dalej zakolami. Wzdłuż brzegów pojawiały się co i rusz łachy piachu, z których sterczały czarne konary jakichś obumarłych roślin. Mimo usilnych wysiłków Patrykowi nie udało się dostrzec ani jednego aligatora. Sam nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Na filmach gady te najczęściej wchodziły albo wychodziły z rzeki na ląd, gdy jacyś delikwenci płynęli akurat łodzią, a tu nic.

Łódź minęła jeszcze jeden zakręt i nagle przy brzegu pojawił się nieco

szerszy kawałek plaży, a na nim wychodzący w wodę pomost. W głębi lądu zaś stała ustronna dacha męskiej części rodziny Lintonów.

Karen aż wstała z ławki na łodzi, żeby jej się przyjrzeć.

Dom był niewielki, wyglądał jak skromna południowa farma. Otaczały go wsparte na drewnianych kolumnach galerie, na które wspinały się zdziczałe pędy kwitnących na biało pnączy. Wszystkie okna miały pozamykane okiennice, a na drzwiach frontowych w poprzek przybita była deska.

- Jesteśmy. - Stary Sam rzucił linę na sterczący z pomostu kołek, o mały włos nie wpadając przy tym do wody. - To i całe Beerhead!

Rozdział 14

*Dawn
o,
dawno
temu...
W król
estwie
Prus.*

Wiktoria nie zmrużyła oka. Przez całą noc leżała skulona z otwartymi oczami i wpatrywała się w drzwi. Czekwała, aż na korytarzu rozlegną się kroki. Będą się zbliżały, będzie słyszała je coraz głośniejsze i w końcu ten ktoś zatrzyma się pod jej pokojem, a zza drzwi usłyszy jego oddech. Mijała godzina za godziną, aż w końcu zrobiło się jasno. Najpierw rozjaśniło się niebo nad folwarkiem od strony wsi, a potem pierwsze promienie słońca wpadły przez okno i najpierw musnęły ściany, a potem rozlały się złocistą plamą na dębowych deskach podłogi.

Wiktoria wstała z łóżka, dopiero gdy usłyszała dobiegające z korytarza kroki i dziewczęce śmiechy. W skrzydle, w którym znajdował się jej pokój, mieszkały także inne dwórki. Wszystkie pewnie cieszyły się tym, że żadna z jaśnie panien po wczorajszym balu nie wstanie przed południem.

Jedno spojrzenie w lustro wystarczyło Wiktorii, by stwierdzić, że nikomu raczej nie przyjdzie do głowy, żeby łączyć ją z tajemniczą damą w lazururowej sukni. Zaciśnięte usta, blada cera i wielkie cienie pod oczami po nieprzespanej nocy. Wyglądała strasznie, ale miała nadzieję, że dzięki temu nie rozpozna jej także doktor plagi. Szybko się umyła, związała włosy w kok i przebrała się w skromną, szarą sukienkę, w której wyglądała jak własna ciotka.

Gdy przechodziła korytarzem obok kuchni, dobiegły ją jakieś rozgrzane, ciche głosy kucharek. Bała się pomyśleć, o czym mogły mówić. Czy ktoś znalazł już tę biedną pokojówkę? Może nie stawiała się

rankiem do pracy? A może wprost przeciwnie, nikt jej jeszcze nie znalazł i tylko zachodzą w głowę, co się mogło stać.

Wiktoria przemknęła przez główny hol, wbiegła po schodach na drugie piętro i po chwili była już pod pokojem Elizy.

- Na miłość boską! - Księżniczka przywitała ją załamaniem rąk. - Nareszcie jesteś. Ja tu umieram z nerwów, co się wczoraj stało, że tak nagle wybiegłaś z balu. Nawet nie wiesz, jakie to wrażenie zrobiło na niektórych panach! - Parsknęła śmiechem i odwróciła się beztrąsko do lustra.

Wiktoria stała w milczeniu i rozważała wszelkie następstwa, jakie miałyby powiedzenie przyjaciółce o wszystkim, co wczoraj widziała.

Ale może to wszystko jej się po prostu przywidziało? Za dużo emocji, za dużo ponczu. Może ta pokojówka nadal żyje, a ona była tylko świadkiem jakiejś nieprzyzwoitej, perwersyjnej zabawy. Niektórzy panowie dość często ulegali wdziękowi służby i stwierdzenie tego faktu nie było niczym specjalnie odkrywczym. Ona natomiast była zdenerwowana po spotkaniu na tarasie z Brunonem, mogła pewne rzeczy źle sobie skojarzyć.

Wiktoria nagle poczuła, że zrobiło jej się słabo. Musiała natychmiast usiąść.

Czy to możliwe, że doktor śmierć to był Bruno?

- Opowiadaj w końcu, co się wydarzyło na balu. - Eliza rzuciła jej niecierpliwe spojrzenie. - Nie chcesz chyba, kochana, żebym cię ciągnęła za język? A co ty się tak szaro i skromnie dzisiaj ubrałaś? - Zmierzyła Wiktorię od stóp do głów.

Wiktoria poczuła, że chyba cała krew odpłynęła jej z twarzy. Podeszła do krzesła obok toaletki Elizy i opadła na nie ciężko.

Bruno był przecież wcześniej na tarasie z tą pokojówką. O czymś z nią rozmawiał, a ona była niesłychanie wzburzona. Maskę doktora plagi mógł od kogoś pożyczyć albo niezauważony nawet ukraść.

- Wiktoria! - Dobięł do niej nagle poirytowany głos księżniczki. - Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Przed rozmową, na którą wciąż Wiktoria nie była gotowa, uratowało ją stukanie do drzwi. Do pokoju weszła młodsza pokojowa. Miała wypisane na twarzy, że dysponuje jakimiś nowymi plotkami i musi koniecznie się nimi podzielić ze swoją panią.

- Dzień dobry, jasnie panienko, dzień dobry, panienko Wiktorio. -

Dygnęła i od razu, zaaferowana, podeszła do toaletki. - Straszne zamieszanie od rana - powiedziała konspiracyjnie.

- A cóż to się stało? - Eliza spojrzała z ciekawością na dziewczynę.

- Inga, pokojówka pani baronowej, nie wstała rano. Pan Libitz, kamerdyner pani baronowej - wyjaśniła dziewczyna na wszelki wypadek - kazał po nią w końcu posłać. No i okazało się, że biedaczka nie żyje!

- Nie żyje? - Eliza osłupiała i spojrzała na pobladłą Wiktorię.

- To znaczy najpierw posłali po doktora do miasteczka, ale od razu ponoć było widać, że ducha wyzionęła. Chorowała biedaczka od kilku tygodni. Suchoty najpewniej.

- Boże. - Eliza zasłoniła usta wachlarzem. - Takie nieszczęście.

Wiktoria schowała dłonie w fałdach sukni, żeby nie zdradzić, że drżą. Więc nic się jej nie przywidziało. Doktor plagi naprawdę istniał.

- Dziewczęta, pośpieszcie się! - W drzwiach stanęła księżna Fryderyka.

- Pastor nie będzie specjalnie na was czekał.

Kościół we wsi stał na wzgórzu wznoszącym się nad brukowaną kocimi łbami drogą. Prosta, surowa świątynia z granitowych głazów. Główne wejście, do którego wiodły kamienne schody wykute w skarpie, tkwiło w zwróconej ku drodze ścianie szczytowej. Ceglany szczyt najeżony sterczynami i zwieńczony ceglana iglicą górował nad wspinającymi się na wzgórze wiernymi jak surowy strażnik ich sumień.

Wiktoria nie mogła się przyzwyczaić do tych pomorskich, pancernych, wykonanych z kamienia i cegły i pozbawionych wież świątyń. Kojarzyły jej się bardziej z koszarami niż z kościołem.

Siedziała teraz na zawieszanej nad nawą emporze i dyskretnie obserwowała obecnych na mszy mężczyzn. Balustrady empory, dekorowane malowidłami ze scenami ze Starego Testamentu, przywodziły jej teraz na myśl wyłącznie okrutne i grzeszne skojarzenia.

Kościół był wypełniony gośćmi baronowej, którzy w skupieniu słuchali pastora, przejętego wyjątkową mszą, na którą trafiło tylu znamienitych wiernych.

Kim był doktor plagi? Wiktoria podniosła głowę i dyskretnie powiodła wzrokiem po twarzach mężczyzn na galerii. Większość nawet nie ukrywała, że jest zaspana po wczorajszym balu, i skrycie ziewała, chowając się za złożonymi dłońmi.

Przypomniała sobie księcia Augusta Fryderyka, którego spotkała na korytarzu, schodzącego z poddasza. Cóż mógł tam robić? Czy to możliwe, że to on był tym okrutnikiem? Spojrzała na siedzącą obok niego śliczną dziewczynę. Książę miał pogodny wyraz twarzy i uśmiechał się co chwilę do swojej towarzyszki. Trudno było uwierzyć, że to on kilka godzin wcześniej z zimną krwią zamordował nieszczęsną pokojówkę. I po cóż właściwie miałby to robić?

Wiktoria przeniosła wzrok na radcę Danckelmana, ale już pierwsze spojrzenie na jego tuszę kazało zdecydowanie wykluczyć go z podejrzanych.

W tym momencie zobaczyła natomiast, że miejsca na emporze przeznaczone dla dziedziców z zamku są puste. Nie było baronowej. Rozejrzała się i stwierdziła, że na mszę nie przyszedł także książę Adam. Jego to akurat nawet by o to podejrzewała, ale baronowa? Musiała mieć poważny powód, żeby nie towarzyszyć na mszy swoim gościom i zapewne rozczarować swoją nieobecnością pastora.

Jakby czytając w myślach Wiktorii, pastor, poinformowany zapewne o śmierci młodej pokojówki, zaczął mówić o nieuchronności śmierci, potrzebie pojednania z Bogiem, a także konieczności uporządkowania spraw doczesnych, tak aby niezalutnione nie ciążyły jak kamienie u szyi. Wiktoria, zawsze kierująca się zdrowym rozsądkiem, a od czasu, gdy na dworze księżnej Fryderyki wpadły w jej ręce traktaty Voltaire'a, gorąca zwolenniczka racjonalizmu i wolności światopoglądowej, słuchała słów księdza z dystansem.

Po mszy pastor stanął przy drzwiach i starał się zagadnąć dobrym słowem każdego z wiernych, ze szczególnym uwzględnieniem oczywiście tych najbardziej utytułowanych. Z tego też względu cały w ukłonach nadskakiwał księżnej Fryderyce przez bez mała piętnaście minut, które Elizie i Wiktorii nieskończonością wręcz się wydały. Ale księżna, będąc starszą i ukochaną siostrą księcia Ludwika Ferdynanda, dawnego pana tutejszych włości, szczególną pozycję w oczach pastora miała.

Księżna do zamku wracała powozem, natomiast w drodze wyjątkowej wspaniałomyślności Elizie i Wiktorii zezwoliła na spacer z kościoła piechotą.

- Po tym, jak wczoraj wyszłaś z sali balowej, pytało o ciebie mnóstwo osób, zwłaszcza młodych panów. - Eliza trajkotała radośnie. - Rozpuściłam

plotkę, że jesteś moją daleką kuzynką, i biedna mama sama nie wiedziała, o co chodzi. - Księżniczka parsknęła śmiechem. - Ale wyobraź sobie, że miejscowe plotkary okazały się i bez mojej pomocy niesłychanie twórcze. Tajemnicza nieznajoma w turkusowej sukni była, według nich, księżniczką z rodziny królewskiej, która incognito tutaj bawiła.

Eliza, schowana za wachlarzem, roześmiała się swobodnie.

- A wiesz, kto najbardziej o ciebie dopytywał? - zapytała, przewracając oczami. - Mój niedoszły oblubieniec, książę Adam. Tańczyłaś z nim w końcu? Bo tyłu miałaś adoratorów, że nawet nie zauważyłam.

- Możliwe. - Wiktoria na moment oderwała myśli od tajemnego przejścia, w którym jej wyobraźnia tkwiła praktycznie bez przerwy. - Tańczyłam z kilkoma wyjątkowo pewnymi siebie arogantami, więc możliwe, że któryś z nich to mógł być on.

Przez moment bała się, że urazi tym księżniczkę, było nie było, daleką krewną księcia, ale Eliza ponownie się roześmiała.

Spojrzała w końcu na milczącą Wiktorię.

- Jesteś strasznie blada - powiedziała, przypatrując się przyjaciółce z uwagą. - A wyszłaś z balu wszak przed północą, zatem czasu na to, żeby wyspać się do woli, miałaś aż nadto. Powiesz mi w końcu, co się stało?

Wiktoria cały czas biła się z myślami, czy nie zrzucić z siebie tego ciężaru i opowiedzieć o wszystkim Elizie, ale wciąż nie była na to gotowa.

- A cóż miało się stać? Poczulałam się zmęczona po prostu. Obtańcować tyłu fatygantów? - Zmusiła się do uśmiechu. - Wymknęłam się zatem po angielsku.

Skończyły się zabudowania wsi, a przy drodze wyrósł kamienny mur, za którym szumiały wielkie stare buki. Wiejska droga odbijała w lewo i wybiegała w pola, a na wprost wiodła aleja, na której końcu widać było bramę prowadzącą na podzamcze.

Eliza, uspokojona w kwestii humoru Wiktorii, trajkotała dalej o wczorajszym balu, a Wiktoria, pogrążona w swoich rozmyślaniach, słuchała jej piąte przez dziesiąte.

I tak dotarły przez podzamcze na most wiodący na wyspę, na której wznosił się zamek.

Nim jednak znalazły się na dziedzińcu, wyminął je powóz. Objechał studnię i zatrzymał się przed drzwiami frontowymi.

Wiktoria weszła do holu za Elizą i stanęła jak wryta. W tej samej antykamerze, w której wczoraj czekała na nią hrabina, zobaczyła teraz chyba całą rodzinę Enckevortów. Na środku pomieszczenia stał wysoki mężczyzna w niemodnym surducie, którego mina zdradzała, że w istocie za wiele z mody i nowinek sobie nie robi, a tuż obok niego stały grzecznie dwie dziewczynki, które Wiktoria poznała już przed polowaniem. Nieco dalej, wpatrując się w wielkie malowidło nad kominkiem, stał Aleksander.

Właśnie odwrócił się, żeby odpowiedzieć na pytanie kogoś w głębi pokoju, gdy jego spojrzenie padło na Wiktorię.

- Panienska Wiktoria! - Chłopiec rozpromienił się i wybiegł do holu. - Dzień dobry, księżniczko. - Ukłonił się grzecznie Elizie, wpatrując się jednak w Wiktorię. - Przyjechaliśmy właśnie, żeby usprawiedliwić moją głupią siostrę i bardzo panią przeprosić za kłopot...

- Aleksandrze! - huknął jego ojciec. - Bardzo przepraszam panienski za tego młodego natręta. Księżniczko, paniensko Wiktorio. - Hrabia Karl von Enckevort ukłonił się.

Dwie dziewczynki dygnęły, a z pokoju wyszedł niespodziewanie Bruno.

Wiktoria poczuła prawie od razu, że zbladła. Z kilku co najmniej powodów.

Nie zdążyli jednak zamienić ze sobą ani słowa, ponieważ na schodach pojawiła się baronowa.

- Bardzo przepraszam, że kazałam państwu czekać. - Uśmiechnęła się do obu mężczyzn. - To zaszczyt gościć panów ponownie w moich progach.

Wiktoria zauważyła, że pomimo uśmiechu i pozorów radości baronowa była bardzo zdenerwowana. Na jej twarzy malowała się wyraźnie jakaś troska i Wiktoria zastanawiała się, czy to wizyta sąsiadów wprowadziła ją w taki stan, czy też śmierć pokojówki.

- Nie zabierzemy dużo czasu. - Karl von Enckevort ukłonił się baronowej. - Przyjechaliśmy, żeby omówić pewną sprawę, nieomal kryminalną. - Spojrzał w tym momencie znacząco na młodszą z córek, która zaczerwieniła się i spuściła głowę.

- Proszę. - Baronowa wskazała ręką drzwi do sąsiadującego z holem pokoju. - Tutaj będzie z pewnością wygodniej. Lothar! - zwróciła się do stojącego przy drzwiach lokaja. - Poproś służącą, niech poda kawę i coś do chrupania dla dzieci. - Uśmiechnęła się do dwóch dziewczynek.

- Bardzo proszę zostać z nami. Ta sprawa dotyczy także pani. - Bruno zwrócił się niespodziewanie do Wiktorii.

- Będę ci towarzyszyć - odezwała się cicho Eliza, która za nic w świecie nie dałaby się pozbawić takiej rozrywki.

- Baronowo. - Hrabia, gdy już wszyscy usiedli, spojrzał na gospodynię nieco zakłopotany. - Doszły nas słuchy, że jednej z dam zaginęła cenna pamiątka rodzinna. - Hrabia przerwał na chwilę, tylko po to, żeby spiorunować wzrokiem młodszą z córek.

- Ale ja niczego nie zrobiłam! - Dziewczynka wydeła usta. - To wszystko przez Aleksandra! Bo nas poganiał!

- Juliano! - Ojciec spojrzał surowo na córkę, a potem na syna, który właśnie otwierał usta, żeby zaprotestować. - Ani się waż, Aleksandrze! No więc. - Hrabia westchnął. - Zapewne przedziwne się to wyda, ale chyba wiem, gdzie ta kolia się znajduje.

W pokoju zapanowała cisza jak makiem zasiał.

Ochmistrzyni otworzyła drzwi i stanęła przy nich, czekając, aż cała gromada wejdzie do pokoju. Wiktorii i Eliza zatrzymały się w progu, zaglądając jedynie z zaciekawieniem do wnętrza.

- Ja tylko chciałam przymierzyć. - Juliana podniosła piąstkę do oczu. - Pokój był otwarty, a ten naszyjnik leżał tu, na toaletce. Chciałam tylko przymierzyć.

- No i co było potem? - zapytał niecierpliwie jej ojciec.

- A potem Aleksander. To jego wina!

- Juliano!

- Aleksander wpadł tutaj i kazał mi natychmiast wychodzić. Tak mnie poganiał, że w pośpiechu upuściłam naszyjnik...

Dziewczynka zakryła oczy piąstkami i wykrzywiła usta w podkówkę.

- I co dalej? - Karl von Enkevort od dawna znał wszystkie jej sztuczki.

- No i jak Aleksander zaczął krzyczeć.

- Nie krzyczałem!

- Aleksandrze! - Hrabia spiorunował wzrokiem syna.

- No więc jak Aleksander zaczął wrzeszczeć.

- Juliano! Ty wredna.

- Aleksandrze!

- No więc przestraszyłam się - Juliana spuściła głowę - że wejdzie ta

pani i zobaczy na podłodze kolie, i będzie wiedziała, że ją mierzyłam. To ją kopnęłam pod łóżko.

Aleksander ukucnął i najpierw zajrzał, a następnie zanurkował pod łóżko, i po chwili, nieco zakurzony, z przejęciem podał baronowej migoczący we wpadającym przez okno świetle naszyjnik.

- A to dopiero. - Baronowa westchnęła z niedowierzaniem i uśmiechnęła się pod nosem. - Bardzo dziękuję, kochanie, że nam o tym powiedziałaś. - Podeszła do ciągle strapionej dziewczynki i pogłaskała ją po głowie.

Juliana popatrzyła na baronową nieco zdziwiona.

- Naprawdę? - spytała. - I nie gniewa się pani?

- Oczywiście, że nie. Przecież najważniejsze, że naszyjnik się znalazł i wszystko dobrze się skończyło. - Baronowa rzuciła przelotne, porozumiewawcze spojrzenie Wiktorii. - Oczywiście zostajecie państwo na obiad - zwróciła się do hrabiego, który uklonił się jej z uśmiechem.

- Z ogromną przyjemnością. Pani kucharka, baronowo, jest niedościgniona w swoim fachu.

- Należą się pani od nas przeprosiny - odezwał się Bruno do Wiktorii, gdy wyszli na korytarz, a ochmistrzyni zamknęła pokój. - Moje rodzeństwo sprawia pani same kłopoty. Najpierw Aleksander, a teraz Juliana.

Eliza rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Wiktorii i podeszła do baronowej, po czym obie ruszyły w kierunku schodów.

- Słyszę zatem, że ta pożałowania godna historia jednak rozniosła się po okolicy. - Wiktorii umknęła wzrokiem przed spojrzeniem mężczyzny.

- Niestety. - Bruno ściszył głos. - Anna von Walter nie należy chyba do osób, które cnotę dyskrecji specjalnie sobie cenią. Bardzo żałuję, że nie było pani na balu. - Bruno zmienił nagle temat, a Wiktorii od razu poczuła niepokój. - Wyczekiwałem pani przez cały wieczór. Obiecała mi pani trzy tańce wszak. - Uśmiechnął się.

- Dwa jedynie. - Wiktorii odwzajemniła uśmiech, ale czuła, że nie było w nim żadnej radości. Rozmowa z młodym dziedzicem sprawiła, że znów przed jej oczami pojawił się ten mały pokoik na poddaszu i ukryte w ścianie, tajne przejście.

I nieznamy w masce doktora plagi.

- Księżniczka zdradziła nam, że źle się pani czuła. Jest pani jeszcze bardzo blada, ale mam nadzieję, że wszystko już dzisiaj w porządku?

- Na szczęście tak. - Wiktoria skinęła głową. - Słyszał pan o tej biednej pokojówce? - Zmieniła temat i spojrzała czujnie na swojego rozmówcę. Nie zmienił się na twarzy. Albo więc miał żelazne nerwy, albo jeszcze nie dotarła do niego ta smutna wiadomość. - Nazywała się Inga - kontynuowała. - Umarła dzisiaj w nocy. Podobno na suchoty.

- Inga Franke? - Bruno teraz dopiero okazał zaskoczenie. - Inga Franke nie żyje? Mój Boże! - Westchnął. - Ale ona przecież.

Wydawał się bardzo przejęty. Wiktoria obserwowała go i dałaby sobie rękę uciąć, że śmierć dziewczyny nie była mu obojętna.

- Tak jest zawsze. Ja także pierwsze, co pomyślałam, to że wszak widziałam ją jeszcze wczoraj. - Wiktoria znowu dyskretnie obrzuciła spojrzeniem zamyślnego hrabiego. Była ciekawa, czy ta mała prowokacja jakoś go poruszy.

- Nie to miałem na myśli. - Bruno pokręcił głową. - Po prostu nie wiedziałem, że chorowała na suchoty.

Zamyślony, co nie umknęło uwadze Wiktorii, przystanął i przepuścił ją przodem. Przy schodach, z opuszczoną skromnie głową, czekała na Wiktorię Eliza.

- Zobaczmy się na obiedzie. - Bruno uklonił się obu dziewczętom i zbiegł po schodach. Gdy był na półpiętrze, podniósł wzrok i spojrzał na wpatrującą się w niego Wiktorię. Sprawiał wrażenie rozkojarzonego, ale Wiktoria przede wszystkim myślała o tym, co powiedział. Nie wiedział, że chorowała na suchoty. Pośrednio wszak dowodziło to zażyłości. Dlaczego bowiem miałby wiedzieć czy nie wiedzieć o chorobie jakiejś służącej. W dodatku służącej z sąsiedniego majątku, co tym dziwniejszym to czyniło.

Bruno nie pojawił się na obiedzie. Jego ojciec wytłumaczył go nagłą sprawą, którą niezwłocznie trzeba było załatwić.

Anna von Walter okazała uprzejmą radość z odnalezienia rodzowego naszyjnika. Wiktoria była przekonana, że to umiarkowanie wynikało z zawodu, że to jednak nie ona stała za jego zniknięciem. Karl von Enkevort za to z entuzjazmem chwalił kuchnię baronowej, a jego najmłodszy syn Aleksander siedział wpatrzony w Wiktorię jak w obrazek, co niezmiennie doprowadzało do śmiechu Elizę.

Wiktoria co jakiś czas łowiła przelotne spojrzenia księcia Adama. Po wydarzeniach minionej nocy jednak jego niespodziewany pocałunek

blahym czymś wręcz jej się wydawał, niewartym tego, żeby się nad tym pochylać. Zwłaszcza że czymś takim od początku był dla księcia. Ignorowała zatem jego spojrzenia, skupiona na uprzejmej rozmowie z Augustą, faworytą księcia Augusta Fryderyka, którą tym razem obok niej posadzono, a która przemiłą towarzyszką się okazała, wdzięczną najwyraźniej za zupełnie swobodną rozmowę oraz brak przygany i niezdrowej ciekawości, którą inne damy jej okazywały.

Wiktoria, mimo pozorów beztronski, nie mogła pozbyć się sprzed oczu sylwetki w upiornej, ptasiej masce. I nawet teraz, patrząc na to przemiłe dziewczę, córkę berlińskiego kupca, nie mogła przestać zastanawiać się nad tym, co na poddaszu w przeddzień balu robił jej towarzysz - książę August.

Właściwie to każdy mężczyzna siedzący teraz przy stole wydawał jej się podejrzany. Z drugiej strony zaś, mógł to być przecież któryś z gości, który zatrzymał się w oficynie lub gospodzie we wsi, a który nie stołował się z najbliższą rodziną i przyjaciółmi. Albo w ogóle ktoś z sąsiedztwa, kto przybył tylko na bal.

- Wiktoria! - syknęła do niej Eliza. - Ty w ogóle mnie dzisiaj nie słuchasz. A pytałam cię właśnie, czy nie wydaje ci się, że baronowa jest jakaś markotna?

Wiktoria odruchowo spojrzała na baronową, która słuchała akurat jakiejś przydługiej opowieści księżnej Fryderyki, ale na jej twarzy malował się cień.

- W istocie - odparła szeptem, pochylając się do księżniczki. - Zauważyłam to już na tym spotkaniu z panienkami von Enckevort.

- No i nie była w kościele na mszy - dodała Eliza. - Sądzę, że to śmierć tej biedaczki tak na nią wpłynęła. To jednak spore obciążenie dla gospodyni.

- A właśnie. Zupełnie bym zapomniała. - Jakby wywołana do odpowiedzi, odezwała się nagle baronowa. - Wczoraj w nocy książę Adam - baronowa popatrzyła wymownie na księcia - znalazł na schodach pewną niezwykle szykowną część damskiej garderoby.

Przy stole rozległy się przyciszone śmiechy i szepty. Baronowa umilkła, uśmiechnęła się uspokajająco do wyraźnie zbulwersowanej księżnej Fryderyki i podniosła dłoń, przywołując lokaja.

- Zapewniam, że to całkiem przyzwoita część garderoby - kontynuowała wśród śmiechów mężczyzn. - Otóż książę i Theo von Borck

wyszli na chwilę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, i wówczas na schodach znaleźli to.

Baronowa odebrała od lokaja błyszczący we wpadającym przez okna świetle, dekorowany kryształkami pantofelek.

- Jeśli ktoś zna damę, która zgubiła ten przepiękny bucik, prosimy o pomoc w jej znalezieniu.

Baronowa odstawiła bucik na tacę, a lokaj uklonił się i wyszedł z jadalni.

Wiktoria w tym momencie zbladła, a gdy spojrzała na Elizę, zobaczyła jeden wielki znak zapytania, który księżniczka miała wymalowany na twarzy.

- Jak to się stało, książę? - odezwała się Anna von Walter, patrząc z kokietyjnym uśmiechem na księcia Adama. - Proszę nam zdradzić coś więcej.

- To oczywisty znak, kuzynie, że najwyższa pora znaleźć księżniczkę z bajki. - Książę August Fryderyk spojrzał nieco kpiąco na swojego krewniaka.

Nad stołem rozległy się śmiechy.

- Właściwie to Theodor pierwszy zauważył bucik. - Książę wzruszył ramionami, uśmiechając się skromnie. - A zatem to jego los usiłuje nakłonić do małżeństwa, a nie mnie.

- Obaj jesteście siebie warci - mruknęła pod nosem księżna Fryderyka i posłała Elizie wymowne spojrzenie. Księżna pogodziła się już wprawdzie z tym, że z Elizy i księcia de Montbeliard nie będzie pary, ale nie oznaczało to oczywiście, że nie mogła mieć o to pretensji do córki.

- A czy ten pantofelek nie należał przypadkiem do tej tajemniczej nieznajomej, która tak niespodziewanie opuściła wczoraj bal? - kontynuowała swoje śledztwo Anna von Walter, gdy ucichły już śmiechy i docinki po słowach księżnej. - Wydaje mi się, że takie buciki miała na sobie właśnie ona.

- Jesteś niezwykle spostrzegawcza, pani. - Książę Adam posłał Annie spojrzenie, w którym kryła się, zamaskowana uprzejmym uśmiechem, odrobina ironii.

- Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, książę, jak bardzo. - Anna odplaciła się księciu równie ironicznym spojrzeniem.

Wiktoria była wstrząśnięta obrotem spraw, jaki przybrała jej zguba,

o której notabene całkowicie zapomniała. Wybiegając w nocy z zamku, była tak przerażona, że do swojego pokoju dotarła ledwie żywa, cały czas obawiając się, że prześladowca w ptasiej masce ją dogoni. Że zaczął się gdzieś na korytarzu przy kuchennych schodach i wyskoczy na nią niespodziewanie z ciemności. Kiedy już leżała w łóżku, usiłowała sobie przypomnieć, gdzie mogła zgubić ten nieszczęsny pantofelek Elizy. Gdy to się nie powiodło, obiecała sobie przejść następnego dnia tą samą trasą i spróbować go odnaleźć. Zupełnie pomijając koszmarny kontekst, te pantofle jednak kosztowały pewnie majątek.

- Jak to się stało? - szepnęła do niej księżniczka. - Widziałam wprawdzie, jak wybiegasz z sali balowej, i oniemiałam, jeśli mam być szczerą, ale nie sądziłam, że to wszystko. - szukała przez moment określenia - nabierze aż takiego dramatyzmu - dokończyła dyplomatycznie.

- Musimy później porozmawiać. - Wiktoria miała na myśli przede wszystkim stratę wartościowego przedmiotu. Chociaż pantofelek się odnalazł, Eliza w tej sytuacji i tak nie mogła go przecież odzyskać.

- I to jak najszybciej, moja droga.

- Elizo! - rozległ się nagle głos Anny von Walter. - Tak szepczecie sobie z Wiktoria na boku, a ja słyszałam, że tajemnicza nieznajoma twoją kuzynką była rzekomo. Może uchylisz nam tu rąbka tajemnicy?

- Co też ty, dziecko, opowiadasz? - obruszyła się księżna Fryderyka. - I ja bym nic na ten temat nie wiedziała?

- Powtarzam tylko ploteczki, które usłyszałam na balu - broniła się Anna.

- Jak sama to bardzo trafnie nazwałaś - Eliza posłała jej słodki uśmiech - to wszak były tylko ploteczki.

- Za każdą plotką czy to jakimiś pogłoskami lub szeptankami często prawdziwe, niewymyślone historie stać mogą - skomentowała filozoficznie Anna. - Czyż nie mam racji, księżę?

- No cóż, moi państwo. - Księżę podniósł wzrok i z udawanym zakłopotaniem rozejrzał się po twarzach przypatrujących mu się z ciekawością gości. - W obliczu takich faktów nie mam wyjścia i muszę się przyznać. Wszystko, co o mnie mówią, to niestety prawda.

Gromki wybuch śmiechu rozładował na moment atmosferę.

Wiktoria, korzystając z okazji, że wszyscy goście zaczęli komentować słowa księcia, żartując sobie lub przypominając jakieś historie

z przeszłości, spojrzała na niego uważnie.

A więc zgubiła pantofelek na schodach. Teraz sobie to przypomniwała. Wybiegła z zamku i pobiegła do południowego skrzydła. Pamiętała teraz, że wbiegała po wąskich, kuchennych schodach, a do tej pory bolały ją zdarte palce lewej stopy.

Theodor von Borck? To był przecież ten kawaler, który jako pierwszy do niej podszedł. Tańczyła z nim dwa razy. Bardzo miły, ale i bardzo pewny siebie, nawet arogancki. Jak na dziedzica najrozleglejszych dóbr na Pomorzu przystało. Bardzo stara rodzina i bogata, chociaż bez tytułu.

Theodor von Borck zatrzymał się wraz z dwoma braćmi w miasteczku nieopodal. Wysoki, barczysty. Wiktoria pamiętała, że miał na oczach czarną opaskę, w której wyglądał jak pirat. Nawet tak z niego zażartowała.

Czy to on mógł być doktorem plagi?

Jak najbardziej. I sylwetką, i osobowością odpowiadał. Mógł przecież, goniąc ją, zdjąć maskę przed drzwiami do sali balowej i założyć własną, która z powodzeniem mieściła się w kieszonce jego surduta. A potem wybiec za nią na schody. Księżę zbiegiem okoliczności pojawił się po drodze i tylko dzięki temu Theodor nie pobiegł za nią.

Z pokojówką mogło go łączyć przecież cokolwiek. Wiktoria pomyślała, że tak naprawdę niczego nie wie na temat tej biednej dziewczyny. Służba często zmieniała miejsca pracy. Równie dobrze dziewczyna mogła służyć jakiś czas temu u rodziny von Borcków i tam w jakiś sposób wpaść w kłopoty.

Pograżona w swoich myślach, znowu nie usłyszała Elizy.

- Teraz już nie masz wyjścia. - Księżniczka groźnie zmarszczyła brwi. - Jesteś tak bardzo zamyślona, że na pewno coś cię trapi. Powiesz mi wszystko jak na spowiedzi.

Obiad tymczasem dobiegł końca. Najpierw pożegnała się ze wszystkimi księżna Fryderyka, oznajmiając, że zdecydowanie musi odpocząć, a następnie baronowa, która usprawiedliwiając się bólem głowy, udała się od razu do swych pokojów, tym samym wymigując się od poobiedniej przechadzki po parku i kolejnych towarzyskich pogaduszek.

Wiktoria też najchętniej by się wymigała od tych atrakcji, ale Eliza niespodziewanie zapalała ogromną chęcią zobaczenia w końcu zamkowych ogrodów i chociażby kawałka mokradeł za parkiem.

Chwilę później szły zatem alejką między formowanymi w pękate

stożki bukszpanami i cisami, a za szpalerem rosnących przy brzegu włoskich topoli i wierzb migotały wody jeziora.

- Popatrz. - Wiktoria wskazała Elizie esy-floresy usypane z kolorowego tłucznia. - To są figury z herbów właścicieli zamku. Nawet kolorystycznie odpowiadają heraldycznym[^]

- A co ty mi tu opowiadasz? - przerwała niecierpliwie Eliza. - Czy ja się kiedykolwiek interesowałam ogrodnictwem?

- No przecież chciałaś zobaczyć ogród.

- A tam. Ogród jak ogród. Opowiadaj natychmiast, co się działo na balu i dlaczego byłaś taka przestraszona rano.

Wiktoria umilkła i przez chwilę szła z opuszczoną głową.

- Wczoraj, jeszcze przed balem. - Postanowiła zacząć od rzeczy najmniej ważnych. Lojalność nakazywała powiedzieć o tym od razu, ale przyszło jej do głowy, że może dzięki temu teraz Eliza skupi się na tym małym skandaliku, a ona zyska trochę czasu na poukładanie sobie w głowie innych spraw. - No więc wczoraj, wracając do siebie, spotkałam na korytarzu księcia. - Wiktoria westchnęła. - Przez chwilę rozmawialiśmy, a następnie on niespodziewanie mnie pocałował.

Zamilkła i spojrzała na księżniczkę, która wpatrywała się w nią w napięciu.

- Pocałował cię? - spytała z niedowierzaniem. - A to łobuz!

- Zapewniam cię, że w żaden sposób go nie zachęcałam.

- Czy ten zgubiony pantofelek ma z tym coś wspólnego? - Eliza patrzyła na Wiktorię z malującym się na twarzy oburzeniem, wymieszanym jednak z dziką ciekawością.

- W jakim sensie mógłby mieć. - Wiktoria zmarszczyła brwi, nie bardzo wiedząc, co Eliza ma na myśli. - Nie sugerujesz chyba, że podczas balu.

- Wyszłaś sama. - Księżniczka pokiwała głową. - Już sam ten fakt niektórym dziewczętom groziłby towarzyską infamią, nie było cię długo, a teraz okazuje się, że zgubiłaś pantofelek?

Przez chwilę na siebie patrzyły, Eliza poważnie, a Wiktoria z niedowierzaniem. W końcu, zupełnie wbrew sobie, Wiktoria parsknęła głośnym śmiechem.

- Że niby ja i książę? Podczas balu? Boże drogi, co też ci się roi. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła? - zapytała po chwili.

- Zła? Z powodu swatów mamy? - Eliza uśmiechnęła się drwiąco. - Skądże. Chociaż mama pewnie nie byłaby zachwycona tym, jaki obrót przyjęły jej knowania.

Obie przez chwilę chichotały, po czym Eliza spojrzała na Wiktorię z malującym się na twarzy niepokojem.

- Muszę cię jednak ostrzec. Jeśli miałabyś jakieś romantyczne nadzieje w związku z księciem.

- Co też ty mówisz? - Wiktoria uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie zrozum mnie źle. Ja uważam cię za najlepsze, co mogłoby spotkać każdego mądrego mężczyznę, ale.

- Możesz być całkowicie spokojna. - Wiktoria przerwała jej, kręcąc z przekonaniem głową.

Ścieżka wzdłuż brzegu jeziora meandrowała, omijając stare drzewa. Mineły południowy ogród i wyszły na tyły zamku, gdzie spływały w dół szerokie kamienne schody.

Wiktoria, pochmurniejąc, spojrzała w tamtym kierunku.

To na tarasie, na ich szczycie, Bruno rozmawiał z tą biedną dziewczką, Ingą. No i widziały to także Anna von Walter i jej towarzyszka. Czy to nie była przypadkiem siostra albo kuzynka tego Theodora? Chyba Amelia miała na imię?

Wiktoria pokręciła głową, odsuwając od siebie mroczne myśli.

Zamek wznosił się nad ogrodem jak wysoka na kilkadziesiąt metrów skała. Od tej strony jego ściany pozbawione były jakichkolwiek dekoracji, gzymsów, balkonów, pilastrów czy czegokolwiek, co zdobiło dziesiątki pałaców, które Wiktoria widziała w swoim życiu. Potężna ściana dawnej fortecy, w której dopiero później wykuto okna.

Wiktoria poddała się urokowi tego miejsca. Ogród i połyskujące w słońcu jezioro spowijały zamek niczym wykwintne, zielono-błękitne szaty, w których mieniły się jak klejnoty kwitnące czerwienią i złotem byliny.

Od północy ogród zrobił się bardziej cienisty. Na trawnikach, między ogromnymi bukami i dębami, leżały wielkie plamy słońca, a im dalej w głąb parku, tym bardziej dziki stawał się angielski ogród, a zieleń nieujarzmiona. A jeszcze dalej rozciągały się bagna.

- A co to takiego? - Eliza puściła nagle ramię Wiktorii i podeszła do gęstego krzewu, za którym w trawie coś leżało. Pochyliła się i podniosła

jakiś czarny kawałek skóry czy kartonu.

Wiktoria, wyrwana z kontemplowania zamkowego ogrodu, zmartwiała. Poczwała, jak gwałtownie odpływa z niej krew i robi jej się słabo.

Eliza obróciła dziwny przedmiot i jej oczom ukazała się czarna maska z długim ptasim dziobem.

Nad zamkowym parkiem z wolna zapadał zmierzch. Słońce schowało się już za folwarkiem na zachodzie i tylko jaśniejsze jeszcze niebo nad dachami stojących przy dziedzińcu stodół i stajen przypominało o mijającym właśnie dniu.

Przez drzwi prowadzące do zamkowych kuchni wyszła opatulona w chustę kobieta i taszcząc kosz z jedzeniem, ruszyła przez podwórzec zamkowy.

Zamiast przejść przez leżący u stóp zamku most, a później przez folwark i dalej drogą iść do wsi, wybrała inny kierunek. Wąską ścieżką u stóp wieży obeszła zamek od północy i ruszyła w głąb ciemniejszego z wolna parku.

Hedwiga pracowała w kuchni zamkowej praktycznie przez całe swoje życie. Pamiętała nie tylko księcia Ludwika Ferdynanda, lecz także jego dziada Fryderyka Wilhelma, nazywanego szalonym margrabią, a to przez opętańcze żarty, które robił mieszkańcom pobliskich siół i pastorom z okolicznych kościółków. Pamiętała, a była wtedy jeszcze dziewczynką, jak księcia tak oburzyło, że pastor z sąsiedniej wsi w samej tylko bieliźnie chodził rano po swoim ogrodzie, że kazał go z niego wywlec, roznegliżowanego przywiózł na zamek i wepchnął do komnaty margrabin, która właśnie z kilkoma innymi damami plotkowała sobie przy kawie i ciasteczkach. Ileż to lat potem ludzie się z tego śmiali. Biedny pastor żadnego kazania wygłosić nie mógł, bo gdy tylko zaczynał, w kościele rozlegały się śmiechy. Musiał go w końcu ksiązę aż gdzieś pod Treptow przenieść, żeby ludzkie gadanie go nie dosięgło.

Po śmierci szalonego margrabiego krótko władał tutaj jego brat Fryderyk Henryk, a po jego bezpotomnej śmierci z kolei, na mocy starego, rodzinnego układu, zamek przeszedł na własność córki szalonego margrabiego Anny Luizy, a później jej syna, Ludwika Ferdynanda właśnie, męża aktualnej pani zamku, baronowej Henrietty.

Hedwiga znała tutaj każdy kamień i każde źdźbło trawy.

Znała też i mroczne opowieści. O tych nieszczęsnych kobietach

palonych na stosie na dziedzińcu lub topionych w studni. Do tej pory zaglądać do tej studni nie lubiła, tak jakby któraś z nieszczęśnic mogła z niej nagle wyrzeć i za kudły ją złapać.

Słyszała również te opowieści o wampirach, które rzekomo po lasach okolicznych, w czasie pełni zwłaszcza, na dobrych ludzi polowały, żeby im do gardeł się dobrać. I te straszne historie, które ludzie opowiadali o biedakach przez takie wampiry ukąszonych. Że ich skóra blada i przezroczysta jak papier się robiła, że słońca się bali jak święconej wody, a i rosły im kły i krew z ust ciekła.

Hedwiga minęła ogromny, przekrzywiony buk, któremu od lat wrócono upadek podczas burz letnich lub wichrów zimowych, a on wciąż stał, jak stał dawno temu za mnichów, którzy tu siedzieli jeszcze przed wojną z katolikami. Dalej była już tylko coraz ciemniejsza ścieżka na końcu parku i mur, za którym ciągnęły się bagna i las.

Hedwiga jeszcze zła była na Haralda, że tę straszną historię von Enckevortów z Dertzow przypomniał. Wielka to była tragedia, gdy młoda pani Georgina umarła tuż po tym, jak panicz Bruno się urodził. Chorowała biedaczka przez cały połóg i prawie z komnaty nie wychodziła. A już wtedy ludzie, którzy ją widzieli, potworne rzeczy opowiadali, że wyglądała jak zmora, że taka piękna niegdyś panienska, jak widmo jakie, umazana krwią teraz leżała.

Gdy umarła, hrabia przeniósł się do Hohenziethen, do Dertzow przyjeżdżać nie chciał i rządców tam tylko posyłał.

A teraz znowu zaczęło się gadanie. Jak tylko ta biedna Inga umarła, to już ludziom języki się rozwiązały. Bo przecie pełnia była wczoraj. Ktoś widział wampira z krogulczym dziobem, jak po parku przemykał, ktoś ponoć zauważył, jak jedna z dam, ze strachu wręcz oszalała, ucieka przez dziedziniec. Jakiś powóz ponoć przez las do Hohenziethen nocą jechał. No i panicz Bruno, który do zamku wielce wzburzony przybył dwa dni nazad, a później ta biedaczka Inga całą noc płakała.

Ludzie gadali, ktoś coś widział, ktoś coś słyszał i potem w jedną historię to motali. Bo przecie wiadomo, że jad wampirzy dziedziczny, że wraz z krwią go się dostaje, a zwłaszcza ponoć krew błękitna bardziej na niego podatna.

Hedwiga zacisnęła zęby. Minęła furtę w murze i weszła na wąską, leśną ścieżkę. Droga tędy do jej domu trzy razy krótsza była, a jeszcze

całkowity mrok nie nastał i światła było na tyle, że przejść dało się bez obaw. Zawsze uważała, że kto ma czyste sumienie, ten nie ma się czego obawiać. A знаła tutaj każdy kamień. Wiedziała, gdzie zaczynają się bagna i gdzie ze ścieżki lepiej nie zbaczać.

Ona akurat dobrze wiedziała, jaki to powód miały nocne szlochania Ingi. I wiedziała też, jaki w tym udział miał panicz Bruno. Tym bardziej złościły ją te szeptane bajdy i te kalumnie plugawe, które ludzie bez rozumu rzucali.

Hedwiga mocniej ścisnęła ze złości wiklinową rączkę kosza z jedzeniem i przyśpieszyła. Mrok szybciej zaczął się rozlewać między drzewami i wkrótce coraz trudniej będzie dojrzeć ścieżkę. Miała wyjść wcześniej, ale pani Henrietta poprosiła o przygotowanie na wieczór ziół na nerwy, a bardzo baronową lubiła i zostawiać tego jakiejś dziewczce nie chciała.

Ścieżka omijała pień starej olszy, za którą rozciągały się wyjątkowo zdradliwe łąki, z pozoru gładkie i niegroźne, a kryjące topieliska i bagna, w które niejedno zwierzę niejedną raz wpadło.

Hedwiga nagle zwolniła. Na ścieżce widziała wyraźne końskie ślady. Świeże w dodatku. Kto mógł się tutaj konno zapuścić? Może któryś z gości niepomny ostrzeżeń tędy postanowił jechać do miasteczka? Hedwiga przystanęła i usiłując wypatrzeć w mroczniejącej gęstwinie, dokąd mógł się ów jeździec udać, zauważyła nagle coś jeszcze dziwniejszego.

Zrobiła kilka kroków i przystanęła na miękkiej trawie, za którą coraz bardziej grząsko się robiło. I wtedy ujrzała to wyraźnie. I nogi się pod nią ugięły.

W bagnie, zatopiony do połowy, leżał człowiek. Z rękami zaciśniętymi na gałęziach, tak jakby ostatkiem sił próbował się jakoś wydostać.

Ale to, co Hedwidze naprawdę ścięło krew w żyłach, to jego szyja. Rozszarpana, jakby coś zębami ją poharatało. I wszędzie dookoła była

krew. Rozdział 15

Bagna Karoliny Północnej

Jennifer, nie czekając, aż kierowca ją wypuści, wysiadła z samochodu, trzasnęła drzwiami i pobiegła w kierunku stojącego przy nabrzeżu

samolotu.

Współpraca z Howe'em była, niestety, konieczna. Jej obecne dochody nie pozwoliłyby jej na wynajęcie z dnia na dzień samolotu. A co dopiero w ciągu godziny.

Rozwód z Lintonem wbrew pozorom był dla Jennifer całkiem opłacalny. Nawet mimo intercyzy, którą musiała podpisać, a którą wymusiła na Henrym Barbara. Jennifer nie miała żadnych praw do plantacji, ziemi, antyków ani dochodów, które przynosił majątek, ale przez lata wspólnego życia poczynili z Henrym wiele intratnych inwestycji. To za jej radą Henry kupił kilka nieruchomości w Richmond i Waszyngtonie, których wartość niezmiennie od lat wyłącznie rosła. Nikt przecież nigdy nie stracił na nieruchomościach. Z tego tytułu były też spore przychody, z wynajmu i dzierżawy. Gdzieś na początku nowego tysiąclecia pozbyli się wymagającej remontów kamienicy w Richmond, a za pieniądze z jej sprzedaży kupili kawał gruntu pod Waszyngtonem. Rozlewały się tam osiedla domków z gównianego amerykańskiego snu, więc po kilku latach grunt miał wartość trzy razy wyższą niż na początku. I praktycznie wszystko to przypadło jej po rozwodzie. Ale fortuna kołem się toczy i kolejne kilka lat później zainwestowała w coś, co nie wypaliło. Straciła mnóstwo pieniędzy i ze swojego punktu widzenia znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Oszczędności szybko topniały, koszty utrzymania jej apartamentu rosły z roku na rok, a praca w muzeum waszyngtońskim, umówmy się, nie przynosiła żadnych dochodów.

Tak więc widoki, które malowały się upiornie w nadchodzącej szybko przyszłości, oscylowały wokół sprzedaży apartamentu, zakupu jakiegoś skromniejszego mieszkania i życia z pensji kierowniczkii Oddziału Historii i Dziedzictwa Kulturowego Wirginii, Pensylwanii i Karoliny Północnej w muzeum w Waszyngtonie, a to kojarzyło jej się wyłącznie z nobliwą starszą panią z kotem, czyli prawdziwą tragedią. Gdy więc niedługo potem usłyszała po raz pierwszy, że Henry zaczął bredzić coś o oddaniu plantacji jakiejś narodowej fundacji, wiedziała, że nie może tego tak zostawić.

No a do tego wszystkiego była jeszcze ta legenda, z której przez połowę życia się natrzęsała, dopóki dokładnie dziesięć lat po rozwodzie przypadkiem nie natknęła się w archiwum Departamentu Spraw Zagranicznych na pewne archiwalne dokumenty.

Między pomostem a schodami prowadzącymi na ganek bagiennego domostwa było dobrych kilka metrów, porośniętych teraz gęstą mierzwą wysokich traw i uschniętych badyli.

Dom stał na palach wbitych w grząski grunt, a parter wyniesiony był jakiś metr ponad poziom terenu. Na otaczającą dom galerię prowadziły drewniane schody, po których podstępnie, między stopniami, wdrapywały się liany jakichś pnączy.

- Mówił pan, że jak długo nikogo tutaj nie było? - zapytał niepewnie Patryk, patrząc, jak Stary Sam oplata linę wokół słupa na pomoście. Wcale nie śpieszyło mu się z wysiadaniem z łodzi. Wąska plaża obok pomostu wprost zachęcała do tego, żeby wylazł na nią jakiś aligator.

- Dobrze dziesięć lat to na pewno. - Mężczyzna podrapał się w brodę. - Henry Linton bywał tutaj na studiach, potem kilka razy przyjechał jego dziadek. Skąd w ogóle znacie Lintonów?

Patryk, zaskoczony, przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Współpracujemy - odparła Karen wymijająco, wyskakując na pomost. - Wybieraliśmy się w te strony i przy okazji obiecaliśmy, że zajrzemy tutaj, żeby sprawdzić, czy dom jeszcze stoi.

- Stoi, co ma nie stać. - Mężczyzna podniósł się i przetarł spoconą twarz dłonią. - Turyści rzadko kiedy zapuszczają się tak daleko w głąb rezerwatu, myśliwi nie robią szkód, a miejscowym nie chciałoby się płynąć aż taki kawał, żeby coś ukraść.

Patryk wysiadł w końcu na pomost i zrobił kilka kroków za Karen.

Stanęli oboje na końcu pomostu i w milczeniu wpatrywali się w zabite deskami okna i drzwi.

- I co teraz masz zamiar zrobić? - zapytał w końcu cicho Patryk. - Będziemy się na jego oczach tutaj włamywać?

Karen wzruszyła ramionami. Sama nie bardzo wiedziała, jak wybrnąć z tej sytuacji.

- Chyba nie przemyśleliśmy tej eskapady - mruknął ironicznie Patryk. - Jak zwykle zresztą.

- Co to za język, którym się posługujecie? Jesteście Rosjanami? - Padło nagle pytanie za ich plecami.

Patryk odwrócił się i spojrział zdumiony na Starego Sama.

- Jakimi Rosjanami? - Powstrzymał się, żeby nie postukać się w czoło. - Co pan opowiada?

- Na boku rozmawiacie w jakimś słowiańskim języku. Ja głupi nie jestem.

Patryk patrzył z irytacją na przyglądającego mu się podejrzliwie mężczyznę.

- Jestem Polakiem - powiedział w końcu z naciskiem. - A ona Szwedką.

- Wskazał głową Karen.

- Czyli to polski?

- Dokładnie.

- I Szwedka mówi tak dobrze po polsku?

- Jest z pochodzenia Polką!

- A to ciekawe. I współpracujecie z Lintonem? - Stary Sam powiódł spojrzeniem po Patryku i Karen.

- To nie wiedział pan, że Henry Linton ma polskie korzenie? - zapytała Karen. - Zajmujemy się... - zawahała się - historią jego rodziny.

- Ach tak. - Stary Sam podrapał się w głowę. - O tej polskiej prababce Lintonów to coś tam słyszałem, rzeczywiście. Godzina wam wystarczy? - zapytał niespodziewanie.

- To znaczy? - Patryk spojrzał na Karen. - Co pan ma na myśli?

- Chcemy tylko rozejrzeć się tutaj i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. - zaczęła Karen.

- Mnie tam nic do tego. - Mężczyzna przerwał jej i podniósł rękę w obronnym geście. - Pytam, ile potrzebujecie na to czasu.

- Dwie, trzy godziny - powiedziała z namysłem Karen, spoglądając w kierunku domostwa.

- Aż tyle? - nie wytrzymał Patryk. - W Richmond będziemy o zmroku.

- W porządku. Poczekajcie. - Stary Sam odwrócił się i ukucnął przy burcie łodzi.

Przez chwilę grzebał w kufrze pod burtą i w końcu wyciągnął ciężki, przerdzewiały łom.

Rzucił go na pomost, cały czas grzebiąc w schowku.

- To się może przydać. - Patryk pochylił się i sięgnął po łom.

- Odsuń się, łobuzie!

Patryk zamarł.

- Co pan robi? - Karen, kompletnie zaskoczona, patrzyła na Starego Sama, który podniósł się gwałtownie i wycelował w nich strzelbę.

- Zwariował pan?! - Patryk, z rękami wyciągniętymi w uspokajającym geście w kierunku mężczyzny, ostrożnie się wyprostował. Obawiał się, że Stary Sam tyle wypił, że może nawet przez przypadek ich postrzelić.

- Spokojnie. Proszę się uspokoić i powiedzieć, o co panu chodzi.

- Trzymaj łapy przy sobie! - Stary Sam cofnął się i wskoczył do łodzi.

- Po co panu ta strzelba?!

- Nie słyszałeś, chłopcze, że tutaj są wilki i niedźwiedzie? - Mężczyzna uśmiechnął się drwiąco. - Nie mówiąc o aligatorach. Ostrożność nie zawadzi. To co w końcu? Jesteście Rosjanami?

- Jakimi Rosjanami?! Kurwa, nie jesteśmy żadnymi Rosjanami! Co panu się ubrdało?!

Patryk zaczął wpadać w panikę. Znowu miał wrażenie, że traci kontrolę nad swoim życiem. W towarzystwie Karen działo się to stanowczo za często.

- Henry mnie ostrzegał, że prędzej czy później pojawią się tutaj cholerni poszukiwacze skarbów i będą chcieli się dostać do domu.

- To po co w ogóle nas pan tutaj zabierał?! - Karen, osłupiała metamorfozą nieszkodliwego staruszka, wpatrywała się w wycelowaną w Patryka strzelbę.

- Początkowo myślałem, że naprawdę jesteście zwyczajnymi turystami, ale zaczęliście kręcić. - Mężczyzna potrząsnął strzelbą w kierunku Patryka. - Odwiąż linę! - rozkazał.

- Przecież nie zostawi nas pan tutaj!

- Nic wam nie będzie. - Mężczyzna machnął znowu strzelbą. - Odwiąż linę, powiedziałem!

Patryk ukucnął przy słupku i rzucił przestraszone spojrzenie Karen.

Co on ma niby zrobić? Rzucić się na tego dziadka i wyrwać mu tę jebaną strzelbę?!

- Nie kombinuj, łotrze! - Stary Sam czytał mu w myślach. - Dobrze strzelam. Kaczkę ustrzele z trzystu jardów.

Patryk rozwiązał linę i rzucił ją na pokład krypy.

- Nie może pan nas tutaj zostawić. - Karen spojrzała ze strachem na wodę. - Nie mamy jedzenia ani jak się ochronić przed zwierzętami.

Mężczyzna, nie wypuszczając z ręki strzelby, sięgnął za siebie, chwycił plecak Karen i rzucił go na pomost.

- Tu macie swoje bambetle i żarcie. Do czasu przybycia policji z głodu

nie umrzecie.

- Policji?! - Patryk zmarszczył brwi. Był coraz bardziej wkurzony. Miał ochotę złapać łom i walnąć tego wariata w łeb. - Jakiej policji?

- Wodnej, draniu! - Stary Sam ponownie machnął w kierunku Patryka strzelbą i uruchomił silnik.

Po wodzie rozszedł się terkot starego diesla i krypta zaczęła oddalać się od pomostu.

Ian Howe dyskretnie obserwował Jennifer Linton. Zastanawiał się, ile więcej wie na temat szkatuły i związanych z nią spraw, niż mu zdradziła.

Czy na to, co dla niego było oczywiste od pierwszego spojrzenia na dwa rysunki w sztambuchu Johna Lintona, także wpadła, tylko nie dała tego po sobie poznać?

Teoretycznie nadal przede wszystkim interesowała go farma. Dopóki istniało prawdopodobieństwo, że gdzieś u Lintonów znajdują się zaginione dokumenty z czasów wojny o niepodległość czy w jakikolwiek sposób związane z początkami Stanów Zjednoczonych, o niczym innym nie marzył jak o tym, żeby je zdobyć.

Ale jakie motywy kierowały Jennifer Linton?

Na początku był przekonany, że posiada taką samą pasję jak on. Jako historyczka, w dodatku szefowa oddziału historii Wschodniego Wybrzeża, musiała się interesować tym okresem. Sądził, że łączy ich ta sama chęć zdobycia bezcennych archiwalnych dokumentów.

Ian Howe był twardym człowiekiem, a przynajmniej za takiego się uważał. Potrafił być bezwzględny w interesach, w biznesie nie kierował się sentymentami, ale dla swojej pasji był w stanie przymknąć oko na rozsądek czy racjonalne oceny. Zapłacić więcej, niż było to warte, czy zrobić coś z pozoru irracjonalnego. Był gotów posunąć się do wielu rzeczy, naginać przepisy czy prawo, ale miał również swoje granice, których nie przekraczał.

Patrzył teraz na byłą żonę Lintona i coraz bardziej rosło w nim przekonanie, że Jennifer Linton takich granic nie miała.

Jennifer w milczeniu wpatrywała się w okno, przypominając sobie wczesną wiosnę sprzed paru lat, gdy wraz z kilkoma innymi pracownikami muzeum w Waszyngtonie została skierowana do przejrzenia

i skatalogowania dokumentów Departamentu Spraw Zagranicznych w celu wyłowienia tych, które powinny znaleźć się w zasobach muzeum.

Przeglądając akta rozmaitych mało ważnych spraw gospodarczych z początku dziewiętnastego wieku, natknęła się na pewien dokument z okresu, gdy sekretarzem stanu był Henry Clay. Był to protokół z marca 1829 roku, dotyczący jakiejś dziwnej oferty, którą departamentowi złożyło pewne małżeństwo. Dokument przez pewien okres musiał być utajniony, o czym świadczyły widniejące na nim pieczęcie. Nie wymieniono także żadnych danych owej pary, ale najbardziej frapująca była sama oferta. Otóż ni mniej, ni więcej dziwna para zaoferowała sprzedaż bezcennych klejnotów, między innymi ogromnych szafirów, z których jeden był największym egzemplarzem, jaki wówczas widziano. W dokumencie wspomniano o przeprowadzonych ekspertyzach, wobec oczywistych podejrzeń o to, że klejnoty mogły być fałszywe. Ekspertyzy nie potwierdziły tych podejrzeń, ale wszyscy eksperci byli nadal sceptyczni, zwłaszcza że rozmiary największego z szafirów oszacowano na ponad dwa tysiące karatów, co nie miało wówczas precedensu. Tajemnicze małżeństwo twierdziło, że klejnoty miały pochodzić z jakiegoś europejskiego skarbcza, o czym miał świadczyć królewski herb.

Departament odrzucił tę ofertę, a cała sprawa na kilkanaście następnych lat została utajniona.

Zaintrygowana Jennifer przeprowadziła kwerendę w Instytucie Smithsonian w Waszyngtonie, gdzie znajdowały się jedne z najcenniejszych kamieni szlachetnych na świecie, w tym największe znalezione szafiry. To tutaj przechowywano Gwiazdę Indii i Gwiazdę Bombaju, jedne z największych na świecie szafirów gwiazdzistych. To tu także przez pewien czas znajdowała się Czarna Gwiazda Queensland, zaginiony później i nigdy nieodnaleziony unikatowy czarny szafir^[11]. Przez instytut przewinął się również największy obecnie szafir, nazwany Gwiazdą Adama, który w 2015 roku, rzekomo za sumę dwustu milionów dolarów, zakupił pewien brytyjski kolekcjoner.

W materiałach archiwalnych instytutu nie było jednak żadnej wzmianki na temat szafirów z czasów Henry'ego Claya. Jennifer dotarła do wszystkich, do których tylko udało jej się uzyskać dostęp, archiwalnych raportów z wszelkich aukcji i licytacji drogocennych klejnotów. Nigdy

potem nikt nie próbował sprzedać całej kolekcji ogromnych szafirów. Zresztą, gdyby została wystawiona na jakiejś licytacji, byłoby o niej bardzo głośno. Nigdzie nie pojawił się także szafir tej wielkości. I to nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz także na całym świecie. Tajemnicze małżeństwo wraz z kolekcją bezcennych szafirów zapadło się pod ziemię.

Początkowo Jennifer interesowała się protokołem z czysto zawodowych powodów. Ciekawiły ją losy dziwnej transakcji i usiłowała dowiedzieć się czegoś więcej, ale nigdzie nie znalazła na jej temat żadnej wzmianki. Na początku nie wiązała jej z Lintonami. Jakoś zupełnie nie kojarzyła tej sprawy z durnowatymi legendami o wampirach, które powtarzała rodzina jej męża. Dopóki po raz pierwszy nie dostała do rąk szkатуły pastora Archibalda.

Łódź Starego Sama z terkotem silnika zniknęła właśnie za zakolem kanału. Znad przeciwległego brzegu wzniósł się w powietrze wielki ptak i głośno gdacząc, odleciał.

Karen pierwsza ochłonęła. Pochyliła się i chwyciła plecak.

- Idziemy. - Skinęła głową na Patryka i ruszyła przez trawę w kierunku domostwa.

- Co mu odbiło? - Patryk wpatrywał się w znikającą w gąszczu drzew łódź. - Może to jakieś takie żarty? Straszą turystów. Wróci za godzinę, dwie, a potem miesiącami będą się tutaj śmiać z mieszczuchów.

- A jak naprawdę wezwie gliny?

- Przecież nic złego nie zrobiliśmy. - Patryk wzruszył ramionami. - To on nas oszukał. Zapłaciliśmy za przewóz w obie strony.

Przedarli się przez gąszcz trawy i porostów i stanęli u stóp schodów.

- Sądzisz, że tu naprawdę są aligatory? - Patryk rozejrzał się po otaczających dom krzakach.

- Od dziecka słyszę o wilkach na Pomorzu, a nigdy żadnego nie widziałam.

- Pewnie będzie tak, jak w *Parku Jurajskim*. - Patryk złapał za poręcz i poruszył nią. Zatrzeszczała, a na schody posypały się wióry zmurszałego drewna i nasiona jakichś roślin.

- To znaczy jak? - zaciekawiała się Karen, wchodząc ostrożnie na pierwsze stopnie.

- Pamiętasz, jak w pierwszej części jechali z dziećmi tym samochodem elektrycznym? Żadnego dinozaura wtedy oczywiście nie

zobaczyli. Pojawiły się natomiast w najmniej pożądanym momencie.

Karen westchnęła i weszła po schodach na galerię.

- Nie chcesz się chyba włamać do tego domu? - zapytał Patryk, wdrapując się za nią i obrzucając dom niechętnym spojrzeniem. Miejsce oczywiście wywoływało mnóstwo nieciekawych skojarzeń. Głównie z amerykańskimi filmami klasy B. Powstrzymał się od wypowiedziania tego na głos.

- A jeśli ten stary pijak nie wróci? Zaleje się w tawernie i zapomni. Będziemy musieli gdzieś się schronić.

- Nie wymyślaj nawet takich scenariuszy.

- Może gdzieś będzie półotwarte okno albo jakaś obluźwana deska? - Karen wolno szła galerią, przyglądając się drewnianym ścianom domostwa.

- Zaczynam żałować, że sam ci podsunąłem tę nazwę Beerhead. Jak zwykle pakujesz nas w kłopoty.

- Przecież pomagamy tylko Henry'emu. - Karen powiedziała to bez przekonania. - Jego była żona położy łąpę na tych listach, jeśli nic nie zrobimy.

- I co z tego? To nasza sprawa? Ona i tak dostanie te zasrane listy, a nas zamkną za włamanie i zniszczenie mienia.

- Jakiego mienia? Nic jeszcze nie zniszczyliśmy!

- A baldachim nad knajpą w Richmond?

- Przecież uciekaliśmy przed bandziorami. - Karen odwróciła się i wyjęła z rąk Patryka łom. - Oderwanie starej deski to jeszcze nie włamanie. Poza tym może tam gdzieś jest kajak albo ponton.

- To już będzie kradzież.

- Chcesz siedzieć na pomoście i czekać, aż w końcu rzeczywiście zainteresuje się nami jakiś aligator?

Nie czekając na odpowiedź Patryka, Karen doszła do narożnika chaty. Galeria kończyła się w tym miejscu, a w rozlewające się pod domem morze liści i gałęzi prowadziły drewniane schody. Przy samej ścianie budynku widać było tylko fragment niepożartej jeszcze przez roślinność kamiennej ścieżki.

- A może obejdziemy dom dookoła? - niepewnie zapytała Karen.

Patryk wzruszył ramionami i powoli zszedł po schodach. Lepsze to niż włamywanie się. Miał tylko nadzieję, że w tej gęstwinie nic się nie czaiło.

- To nie jest podzwrotnikowa dżungla - uspokoiła go Karen. - Tu chyba

nie ma żadnych tarantul ani węży.

- Chyba - mruknął Patryk, ostrożnie stawiając stopy. - Ale na pewno nie wiesz.

W tylnej części domu królował kamienny, dostawiony do ściany komin i kilka zamkniętych drewnianymi okiennicami otworów.

Dobrnęli w końcu do kolejnego narożnika. W bocznej ścianie były schodki, a na ich podeście drzwi. Drzwi były oszklone, a jedna z szybek wybita. W ościeżnicy sterczały resztki szkła.

- No proszę. - Karen chwyciła poręcz i wdrapała się na trzeszczące schody. - Tak myślałam. Tubylcy tu jednak dotarli albo ci myśliwi nie są aż tacy uczciwi, jak twierdził Stary Sam.

Włożyła do środka rękę i przekreśliła zamek. Popatrzyła na Patryka i pchnęła drzwi.

Z cichym skrzypieniem otworzyły się do środka.

Stary Sam, gdy dotarł do portu przy moście na Outer Banks, był już niezłe wstawiony. Żeby powiadomić o tych podejrzanych łotrach, musiał jeszcze podjechać kawalek. Posterunek szeryfa mieścił się po drugiej stronie mostu, już na wyspie Roanoke. Sam postanowił zatem zjeść coś w tawernie i nieco się wzmocnić. Stwierdził, że tym złodziejom nic nie będzie, jak poczekają trochę dłużej. Może zresztą nauczy ich to czegoś na przyszłość. Zamówił burgera i kufel piwa i rozsiadł się wygodnie w swojej ulubionej łoży, tuż obok wejścia na zaplecze. Nikt mu tutaj nie przeszkadzał, nie łąził i nie biegał obok. Zwłaszcza te sfory bękartów turystów. A gdy miał ochotę na moment się zdrzemnąć, to mógł to zrobić i nikomu to nie przeszkadzało.

Karen spojrzała na Patryka, po czym pchnęła drzwi i weszła do środka domu. Patryk rozejrzał się dookoła, chociaż sam nie wiedział, kto miałby ich tutaj podglądać, i wszedł za Karen.

- No to napędźmy sobie jeszcze kłopotów - mruknął pod nosem.

Boczne wejście, jak szybko się zorientowali, prowadziło do kuchni. Na środku królowała potężna, nakryta grubym dębowym blatem wyspa, na której stało kilka porcelanowych kubków. Na szafkach i blatach zalegał wielomiesięczny, a może i wieloletni kurz, a drewniana podłoga przy drzwiach była zupełnie zniszczona przez wilgoć i wpadający do wnętrza

przez rozbitą szybę deszcz.

Karen podeszła do jednej z szafek i otworzyła drewniane drzwiczki. W środku ukazała się bateria talerzy i szklanek. W kolejnych było mnóstwo zakurzonych noży i widelców, kubków, a zwłaszcza kieliszków, od wielkich, pękatych do czerwonego wina po wysokie, smukłe szklanki do szampana.

- Od razu widać, do czego służyła ta chata - powiedział szeptem Patryk. - Może jeszcze jest tutaj piwo?

To mówiąc, otworzył drzwi lodówki. Całkowicie puste, jak się okazało.

- Skąd tutaj brali prąd? - zapytała Karen.

- Pewnie gdzieś jest prądnica. - Patryk zatrzasnął lodówkę. - Na olej.

Karen obeszła wyspę i weszła do salonu, w którym największe wrażenie robił ogromny kamienny kominek. Stały przed nim drewniany stół i kilka wielkich, starych foteli.

Przez okna widać było rozlewisko, przy którym mieściła się dacha.

- Czego szukamy? - Patryk rozejrzał się dookoła. - Kolejnej rzeźby czarnej niewolnicy?

- Nie musisz być kąśliwy. - Karen obeszła salon, przystając przed wiszącymi na ścianach oprawionymi zdjęciami, na których roześmiane grupy ludzi pozowały na brzegu rzeki lub przy ognisku.

- To chyba Henry. - Patryk stanął za plecami Karen, wpatrując się w czarno-białe zdjęcie.

- Możliwe. - Karen podeszła do kolejnych drzwi, dwuskrzydłowych, i szarpnęła za klamki. Drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze bardziej kameralnego pomieszczenia. Stały w nim wielkie biurko i kilka stalowych regałów, na których leżały jakieś szpargały.

Karen podeszła do biurka i otworzyła szufladę.

- To miałyby być takie proste? - zakpił Patryk. - John Linton miałby trzymać bezcenne listy prababki Josephine w szufladzie?

- A dlaczego nie? - Karen podniosła wzrok.

- A te dzikie imprezy studenckie Henry'ego? Nie sądzisz, że by się do tego dobrali?

- A po co mieliby to robić?

- Po pijaku? Bez powodu.

- W każdym razie tutaj niczego nie ma. - Karen zamknęła szufladę

i ukucnęła obok biurka. Otworzyła szafkę pod biurkiem i zajrzała do wnętrza. W środku leżało kilka skoroszytów, w których były wyłącznie zestawienia i tabele. Karen przekartkowała je po kolei, licząc w duchu na to, że znajdzie coś między kartkami.

Patryk podszedł do stalowych regałów i zaczął przeglądać stojące tam rzeczy.

- To wszystko to jakieś myśliwskie szpargały - mruknął, zaglądając do grubego skoroszytu, który okazał się rocznikiem łowieckim. - Pewnie Lintonowie polowali tutaj na kaczki.

Karen stanęła przy biurku, oparła się i rozejrzała dookoła.

- Jest jeszcze pięterko - powiedziała, spoglądając w kierunku sieni, gdzie wąskie drewniane schody wiodły na poddasze.

Patryk przeszedł przez salon, złapał za poręcz i postawił jedną nogę na pierwszym stopniu.

- Mam tylko nadzieję, że to wszystko się pod nami nie zawali. - Odwrócił się do stojącej za nim Karen. - Pamiętasz te filmy, w których zarywała się podłoga, a bohaterowie wpadali do bagna w fundamentach, gdzie pływały jakieś trupy?

- Patryk... - Karen westchnęła i przewróciła oczami.

- A nawet był niedawno taki horror. - Patryk zaczął wchodzić na schody, co chwilę odwracając się do Karen. - Na południu Stanów po jakimś huraganie pod domem zagnieździły się aligatory. No jak w morde! Wszystko się zgadza. Jaki to był tytuł.

- Patryk! - Karen szturchnęła go w plecy. - Przestań bredzić i włącz na te schody.

Piętro domu składało się z długiego korytarza, w którym tkwiły drzwi prowadzące do kilku pokoi. Po dwóch stronach korytarza w ścianach szczytowych były okna. Wpadało przez nie światło, rysując na deskach podłogi złociste prostokąty.

- To chyba największa sypialnia? - Patryk stanął w drzwiach ostatniego pokoju, do którego zajrzeli. W każdym były pojedyncze łóżka i proste drewniane szafy. W niektórych wisiała stara odzież, jakieś polary, kurtki przeciwdeszczowe i stały gumowce.

- Najgorzej, jeśli on te listy ukrył w jakiejś skrytce. - Karen weszła do dużej, wychodzącej na front domu sypialni i wyjrzała przez małe okienko, przez które widać było frontową galerię i wiodące na nią schody. -

W podłodze na przykład.

- Nie będziemy sprawdzać każdej deski. - Patryk kategoriycznie pokręcił głową.

- I tak nie mamy nic lepszego do roboty, dopóki ten wariat po nas nie wróci.

- Z policją - dodał Patryk sarkastycznie.

- Zdamy się wyjąć. - Karen wzruszyła ramionami. - Nie włamaliśmy się przecież. - Odgarnęła włosy i rozejrzała się po sypialni. - Gdzie on mógł trzymać takie rzeczy?

- Gdzie starzejący się dziwak mógł trzymać pochodzące sprzed dwustu lat listy? - mruknął sardonicznie Patryk i podrapał się po brodzie. - Zastanówmy się. Może w jakiejś starej, rozpadającej się budzie na bagnach aligatorów, gdzie wilgoć i woda błyskawicznie pożerają każdy papier?

- Pytanie zatem brzmi - zamyśliła się Karen, ignorując złośliwości Patryka - gdzie mógł to ukryć tak, żeby nie zamokło? Albo w czym?

Patryk pokiwał głową.

- Jakiś szczelny plastikowy pojemnik?

Karen nagle zamarła.

- Toż przecież w kuchni takie widziałam.

- Na ryż i cukier - prychnął Patryk. - W kuchni by trzymał papiery?

- Moja matka też ukrywała w kuchni kasę na niespodziewane wydatki.

W takim pudle z napisem kakao. Nadal tak robi zresztą. Ojciec i ja nie znosimy kakao.

- To my szukamy kasy? Chcemy ich okraść?

- Widziałam w spiżarni takie spore kubelki. - Karen, puszczając mimo uszu żarty Patryka, wyszła z sypialni i ruszyła na schody.

Spiżarnia przy kuchni stanowiła odrębne niewielkie pomieszczenie, do którego wchodziło się przez drzwi w narożniku. Wewnątrz na stalowych regałach stały puszki, kartony i duża liczba blaszanych oraz plastikowych pojemników.

Patryk sięgnął po pierwszy z brzegu. Otworzył i powąchał.

- To chyba ryż?

- Ryż nie ma zapachu, głuptaku.

- Ma, jeśli jest przeterminowany.

- Mądrała. - Karen otwierała po kolei wszystkie pojemniki.

- O kurde! - Patryk nagle zamarł nad kolejnym z metalowych pudełek.

- Co to? - Karen natychmiast zajrzała mu przez ramię.

Patryk włożył do środka rękę i wyjął owinięty w folię rulon starych dokumentów.

Addison zaniósła tacę z colą i plackiem z jabłkami do stolika przy oknie i wracała właśnie do baru, gdy spostrzegła, że w swojej ulubionej łoży przy wejściu na zaplecze siedzi Stary Sam. Chociaż siedzi to nie było właściwe określenie. Stary Sam leżał na stole i chrapał.

Addison westchnęła. Sam upijał się średnio dwa razy na tydzień. W sezonie myśliwskim miał sporo roboty i wtedy starał się sobie nie folgować, ale teraz miał więcej wolnego czasu. Turyści, zwłaszcza ci z dziećmi, nie chcieli z nim pływać, tak samo jak zakochane pary czy starsze małżeństwa. Wszystkim przeszkadzało to, że nawet na łodzi potrafił sobie popijać i najczęściej jechało od niego jak z gorzelni.

Addison przypomniała sobie, że jakaś para obcokrajowców szukała łodzi i osobiście posłała ich do Sama. Już wrócili?

Wyjrzała przez okno. Doskonale pamiętała, że przyjechali samochodem z wypożyczalni. Zwróciła na nich uwagę, bo chłopak jej się podobał. Właściwie to głównie dlatego wystąpiła z tą propozycją.

Ale toyota nadal stała na parkingu.

Wytarła papierową ścierką kilka szklanek i postawiła je w witrynie. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. O tej porze było tu także sporo miejscowych, którzy wpadli na obiad. Przy oknie siedzieli Mike i Noah i zaśmiewali się głośno. Jak zwykle był z nimi Terrence.

Po chwili namysłu, dręczona jakimś niepokojem, zdecydowała się pójść obudzić Starego Sama. Co za dużo, to niezdrowo. Przymykała zazwyczaj oczy na jego picie i spanie w łoży, bo był spokojny i prawie go nie było widać, ale teraz przy okazji chciała się dowiedzieć, co z tymi obcokrajowcami.

- Sam! - Szarpnęła mężczyznę za ramię. - Obudź się. Koniec spania!

Starzec otworzył oczy i spojrzał na Addison nieprzytomnym wzrokiem.

- Muszę iść na policję - wymamrotał.

- Na policję? - Addison zebrała z jego stołu talerze i poukładała na tacy. - A po co ci policja? Coś się stało?

- Żeby do tych złodziei podpłynęli! - Stary Sam chciał wstać od stolika,

ale zachwiał się i opadł z powrotem na siedzenie.

- Jakich złodziei? - Addison podniosła tacę i wbiła w Sama wzrok. - A gdzie ci turyści? Zostawiłeś ich gdzieś?

- No toż mówię... Bandziory! Chcieli grzebać u Lintonów.

Addison przypatrywała się przez chwilę starcowi, potem popatrzyła na stojącą na parkingu toyotę i pomyślała, że bandyci rzadko kiedy jeżdżą autami z wypożyczalni. Jeśli Stary Sam się upił i gdzieś tych biedaków zostawił. Kurwa! Przecież on wozi ze sobą strzelbę. Jeśli, nie daj Boże, coś im po pijaku zrobił. U Lintonów? To chyba ta stara rozpadająca się chata na południu rezerwatu.

- Siedź tutaj! - rzuciła do mężczyzny i ruszyła z tacą w kierunku baru.

Stary zgred jeszcze narobi sobie jakichś kłopotów. Nawet jeśli nic się nie stało i tylko zostawił ich gdzieś na bagnach, to go pozwą. Ktoś powinien popłynąć tam i sprawdzić, czy coś się jednak nie stało.

Postawiła tacę na barze i spojrzała w kierunku trzech młodych mężczyzn. Zobaczyła, że teraz było ich nawet czterech, bo dosiadł się do nich jeszcze Spencer, koleś od kajaków w East Lake. Przez chwilę biła się z myślami, po czym ruszyła w ich kierunku.

Karen wstrzymała oddech, gdy Patryk położył pękaty, owinięty w foliową torbę rulon dokumentów.

- Pojemnik jest w miarę nowy - powiedział, zaglądając do stalowej tuby. - Uszczelniany takimi gumowymi wkładkami, zobacz. - Podsunął Karen pod nos pokrywę.

- Mam gdzieś ten pojemnik. - Karen pokręciła niecierpliwie głową. - Pokazuj te papiery.

Patryk powoli wyjął zawartość foliowego worka i ostrożnie położył na stole.

Sięgnął po pierwszy dokument i rozłożył go. Przejechał po nim wzrokiem.

- No i wychodzi na to, że Barbara Linton miała rację - powiedział, kiwając głową.

- Dlaczego? - Karen pochyliła się nad trzymaną przez Patryka kartką. - To naprawdę te listy? Daj to! Sama zobaczę. - Wyrwała Patrykowi z rąk dokument i wbiła w niego wzrok.

- Te listy są po angielsku - prychnął Patryk. - Po co ktoś miałby pisać

po angielsku do niemieckich przesiedleńców?

- Czekaj. - Karen w skupieniu usiłowała przeczytać pismo.

- Pewnie rzeczywiście sfabrykował je ten zwariowany pastor Archibald.

- Trudno to odczytać. - Karen podniosła głowę znad pisma. - Odręczne pismo, same zawijasy. Posłuchaj tego, co mi się udało zrozumieć. - *My Dearest Loveliest...*

Freienwalde, [nieczytelne]

Moja najdroższa, kochana przyjaciółko, obiecałyśmy sobie, by dla bezpieczeństwa nie pisać do siebie listów, ale są takie chwile, że nie sposób ich zachować dla siebie i serce wyrywa się wprost, żeby się nimi z kimś podzielić.

Piszę do Ciebie z Freienwalde, gdzie z tatkiem na rodzinnej uroczystości właśnie jesteśmy. Jest tutaj i Wilhelm. Pamiętasz moje żarty na jego temat i listy, które pisałam. Pewnie nie uszło Twojej uwagi, że na listy od niego oczekiwałam jak na jakie święto niezwykle. Nie chciałam o tym mówić, o tym moim zauroczeniu, trochę, żeby [nieczytelne], a trochę, żeby się śmieszna nie wydać przed Tobą, zawsze taką racjonalną i kierującą się rozsądkiem. Twoja Froh, która jak całe te szwadrony młodziutkich i zakochanych w nim dziewcząt wyplakuje smutki przyjaciółce. Pewnie byś się śmiała ze mnie do rozpuku.

Ale stało się. Moja najdroższa przyjaciółko, jedyne, czego żałuję, to że Ciebie tutaj nie ma, wtedy od razu mogłabym się Tobie z tego wypowiadać.

Wilhelm wyznał mi miłość!

- I to wszystko? - prychnął Patryk. - Same babskie pierdoły? Nie wiem, w jaki sposób te listy mogą nam pomóc w znalezieniu skarbów Inków i Świętego Graala?

Karen obrzuciła chłopaka poirytowanym spojrzeniem i westchnęła ciężko.

- Gdybym jednak nie była pewna, że jesteś facetem, to podejrzewałabym, że masz dzisiaj okres - powiedziała z przekąsem.

- Jakaś laska pisze, że się zakochała. No weź.

- Wiemy, że miała na imię Froh. - Karen ponownie pochyliła się nad listem.

- A skąd Wilhelm w Freienwalde? Przecież rzekomo był wtedy w Stanach. Razem z Josephine.

- Pewnie to inny Wilhelm. Poczekaj, przeczytam do końca.

Bardzo dużo przed nami raf do pokonania, a nie wątpię, że jego rodzina robi wszystko, żeby nas rozdzielić, ale jestem dobrej myśli. Minęły jednak już trzy lata, odkąd go poznałam, gdy w naszym [nieczytelne] gościł, a zobacz - ten czas niewidzenia, oddalenia jedno od drugiego nie zaszkodził nam ani trochę i nie rozdzielił od siebie. Życz mi zatem wszystkiego dobrego, bym znalazła siły, by pokonać wszystkie przeciwności losu i ludzkie [nieczytelne].

[Nieczytelne] nadal Cię tropi. Wiem od przyjaciół, że prześladował wręcz ciotkę, żeby na jakiś ślad Twój trafić. Ale znasz ciocię. Twardy z niej orzech do zgryzienia. A skoro przy cioci jesteśmy, to wiedz, że bardzo zaprzyjaźniłyśmy się z jej córką. Polubiłabyś ją także, bo to mądre i kochane dziewczę.

Pozdrawiam Cię i życzę pomyślności na tym Twoim końcu świata.

Twoja Froh

- Froh? - spytał Patryk, gdy Karen skończyła czytać. - Jest w ogóle takie imię?

- To pewnie jakieś przezwisko. To już jest konkretna informacja!

- Ktoś ją tropił. - Patryk zająrzył Karen przez ramię. - To najciekawsza rzecz z tych babskich pierdół. Co tam jest napisane?

- No właśnie nieczytelne kompletnie. - Karen pokręciła głową. - Coś na M. Me... Matteo? Meda...

- Marian! - parsknął ironicznie Patryk.

- Może to jakiś dawny kochanek?

- Chryste. - Patryk westchnął i sięgnął po kolejny dokument. - I dla takich bredni narażamy życie? Wśród aligatorów i niedźwiedzi?

- Tych starych listów mamy jeszcze. - Karen ostrożnie przesunęła poźółkłe kartki po stole. - Jeszcze są trzy. A ten, który trzymasz, jest czwarty.

- Ale to już nie list. Jakieś pismo. To zwyczajna kserokopia. - Patryk obejrzał dokument z obu stron. - Ma nawet pieczęć z jakiegoś archiwum.

- Ale co to jest? - Karen spojrzała zaskoczona na chłopaka, który studiował pismo.

- Jakiś protokół. - Patryk zaczął czytać i po chwili zmarszczył brwi.

- No co to jest? - Karen nie wytrzymała.

- Dziwaczna sprawa. Nie uwierzysz. Ktoś w tysiąc osiemset dwudziestym roku usiłował sprzedać rządowi Stanów Zjednoczonych worek szafirów. Zobacz sama. - Patryk podał Karen dokument.

Karen przejechała wzrokiem po kartce i nagle podniosła głowę.

- Słyszałeś?

- Co takiego? - Patryk spojrzał z niepokojem w stronę drzwi.

Po chwili z zewnątrz dobiegł odgłos silników.

- Stary Sam wraca? - Karen nasłuchiwała. - To chyba inny silnik.

Patryk podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Na niebie pokazał się nagle samolot. Zatoczył wielkie koło, zawrócił i z łośkotem wzburzonej wody wylądował na rozlewiskach przed domem.

Rozdział 16

Przy dużym placu nad samym brzegiem Tamizy stał stary budynek fabryczny z czerwonej cegły. Wzdłuż brzegu ciągnął się pomost, przy którym stał spory kuter i cumowało parę mniejszych łódek. Przed budynkiem parkowało kilka samochodów, a w otwartej, prowadzącej do wnętrza magazynu bramie uwijało się kilku odzianych w granatowe kombinezony pracowników.

Na piętrze, w otwartej sali, której okna wychodziły na plac i Tamizę, wokół dużego stołu stało kilku mężczyzn i omawiało jakąś irytującą wszystkich obecną kwestię.

Igor Fleming wpatrywał się w makietę przedziwnych konstrukcji hydrologicznych. Wykonała ją firma, z którą on i jego wspólnicy właśnie nawiązali współpracę, i zastanawiał się, jak to możliwe, że zajmują się takimi rzeczami.

Miał wrażenie, że ich firmę eksploracyjną po początkowych spektakularnych sukcesach dopadła szara rzeczywistość. Statek badawczy trzeba było jakoś utrzymać, sprzęt, rozmaite skanery laserowe do mapowania dna morskiego, sondy, batyskaf Deep Explorer, który dwa lata wcześniej kupili wprawdzie okazyjnie, ale za przerażającą jednak cenę. To wszystko musiało jakoś na siebie zarobić. Tak więc rozpoczęli współpracę z różnymi przedsiębiorstwami, dla których wykonywali sondowanie dna, zdjęcia laserowe podłoża, profile geotechniczne i tym podobne rzeczy. I jako spółka nawet nieźle na tym wychodzili, ale poszukiwanie wraków i zawartości ich ładowni odsunęło się na plan dalszy.

- Igor! - Usłyszał nagle wołanie od strony wyjścia na galerię, która ciągnęła się nad parterem budynku. W przeszklonych drzwiach stał jeden ze wspólników, księgowy Jamie McGowan, a tuż obok niego Johann. Johann podniósł brwi i skinął mu głową.

Johann Carley, na co dzień dyrektor kreatywny w londyńskiej agencji reklamowej, prywatnie syn lorda Charlesa Carleya, był szefem

i fundamentem ich firmy. To jego entuzjazm i energia napędzały wszystkich pozostałych. Ośmioro wspólników, których kilka lat wcześniej połączyły dramatyczne wydarzenia na Bałtyku. A wśród nich on, Igor Fleming, i jego przyjaciółka Paulina Weber, dziennikarka ze Szczecina, dzięki której tak naprawdę wszyscy się poznali. Gdyby nie jej artykuł, pewnie do tej pory prowadziłby wiecznie balansującą na granicy opłacalności pracownię architektoniczną w Szczecinie.

Igor przeprosił dwóch inżynierów kontraktu, którzy właśnie roztaczali przed nim wizję planowanych konstrukcji geotechnicznych, i wyszedł na galerię.

- Co się dzieje? - zapytał, widząc dziwne miny kolegów.

- Twoja siostrzenica i jej chłopak są teraz w Stanach, prawda? - zapytał Jamie.

- Są. - Igor skinął głową. - Coś się stało? - zaniepokoił się.

Karen potrafiła być nieprzewidywalna. I sprawiała sporo kłopotów. Dopiero co, kilka dni wcześniej, musiał przelać na konto jakiejś galerii dziesięć tysięcy dolarów. Obiecała, że wszystko mu później wytłumaczy i odda co do grosza. Jej bank rzekomo nie obsługiwał jakichś płatności, czy coś tam.

Jamie podniósł swój laptop i postawił na balustradzie. Otworzył klapkę i wcisnął enter. Na monitorze ukazała się elegancka restauracja przy rozświetlonej wieczornymi światłami miejskiej ulicy. Nad restauracją rozpięte były wielkie markizy.

- Ale o co ci chodzi? - nie wytrzymał Igor.

- Patrz teraz - syknął Jamie.

Na nagraniu na YouTube widać było niezłe zamieszanie. Przed lokal wybiegli jacyś ludzie i nagle z okna nad restauracją zeskoczyła dziewczyna w króciutkiej indiańskiej sukience. A zaraz za nią chłopak w podartej koszuli.

Igor osłupiał.

- Kurwa!

Markiza na filmiku zwała się z hukiem na stoliki.

Hydroplan przetoczył się po powierzchni wody i zatrzymał przy pomoście. Śmigło na nosie samolotu jeszcze przez chwilę, terkocząc,

mieszało powietrze i w końcu stanęło.

W drzwiach samolotu pojawił się najpierw młody mężczyzna. Zeskoczył na pękaty pływak, a potem na pomost, który zatrzeszczał pod jego ciężarem.

Następnie po drabince zaczęła schodzić kobieta, ubrana w dżinsy i białą czapkę z daszkiem. Młody mężczyzna podał jej rękę i kobieta zeskoczyła na deski.

Z samolotu wyskoczyło jeszcze trzech młodych mężczyzn, a dopiero na końcu w drzwiach pojawił się Ian Howe.

- Więc to jest ta dacha Lintonów - powiedział, gdy stanął już na pomoście obok kobiety. - Była tu pani kiedykolwiek?

Jennifer Linton pokręciła głową.

Rozglądała się dookoła, usiłując dostrzec ślady pobytu dwojga awanturników z Richmond, ale dom był zamknięty, a drzwi frontowe i okna zabite deskami. Czyżby jeszcze nie udało im się tutaj dotrzeć? Jest sezon, wynajęcie łodzi nie jest takie proste. Może rzeczywiście utknęli w porcie nad zatoką?

- Proszę mi wytłumaczyć, z jakiego powodu dziadek Lintona akurat tu miałby ukryć ważne dokumenty? - Howe rozglądał się bez przekonania po buszu, który dawniej był trawnikiem przed domkiem. - Przecież ta buda ledwie stoi.

- To właśnie John Linton kupił to miejsce - odparła Jennifer. - Uwielbiał je. Przyjeżdżał tutaj nawet kilka razy do roku i pływał łodzią po tych kanałach. Mówiłam panu, że tych dwoje poszukiwaczy skarbów musi coś wiedzieć, bo od razu tu pojechali. Tak im się spieszyło, że nawet złamali zakaz opuszczania stanu, który nałożyła na nich policja.

- Ale jakoś nigdzie ich tutaj nie widzę. - Howe omiół spojrzeniem brzeg i szuwary, po czym ruszył w kierunku domostwa.

Jennifer podeszła do towarzyszących im mężczyzn i cicho coś do nich powiedziała. Czarnoskóry drągał skinał głową i po chwili dwóch jego ludzi ruszyło w ślad za Howe'em, a jeden został na pomoście.

Z samolotu wyrzwał pilot. Usiadł w otwartych drzwiach i zapalił papierosa.

Chwilę wcześniej, gdy samolot jeszcze dopływał do pomostu, Karen rzuciła się do stołu, na którym leżały stare dokumenty, i wyciągnęła

komórkę.

- Nie uciekniemy stąd! - Patryk wyglądał przez okno z malującą się na twarzy paniką. - Znajdą nas zaraz!

Karen zrobiła zdjęcia każdego dokumentu, a następnie zwinęła wszystko i wsadziła z powrotem do blaszanego pojemnika.

- Będziemy udawać, że nie udało nam się dostać do środka. - Wepchnęła pojemnik do szafy i zatrzasnęła ją.

- Od razu zobaczą wybitą szybę w drzwiach.

- Lepiej udawać głupiego, niż zostać przyłapanym na szperaniu w chacie.

- Może i masz rację! Tak przynajmniej nie udowodnią nam włamania. -

Patryk oderwał się od okna i ruszył w kierunku kuchennego wejścia. -

Ostrożnie - szepnął do Karen, która trzasnęła drzwiami.

Wsadził rękę do środka i zamknął drzwi. W tym samym momencie hydroplan dobił do pomostu.

- I co teraz? - zapytał Patryk. Karen przystanąła za narożnikiem domu.

- Tu nie ma zasięgu. - Zagryzła wargi. - Jeśli zabiorą nam telefony, to i tak zdjęcia listów przypadną.

- Jak masz ustawione automatyczne zapisywanie do Google, to przecież trafią tam same, jak tylko pojawi się zasięg.

- Chyba że mi je skasują. - Karen wyjęła telefon i zaczęła gorączkowo przesuwając palcem po ekranie.

- Cholera! - Patryk nagle drgnął i także schował się za narożnikiem. - Idą tutaj! Nie mam pojęcia, co robić.

- Schowajmy się! - Karen przebiegła kawałek przez gęste zarośla, wskoczyła za drzewo i przywarła do pnia. - Może nas nie zauważą. Znajdą te listy i zabiorą się stąd.

- Kurwa! - jęknął nagle Patryk. - Starłem cały kurz ze stołu. Od razu to zauważą.

Mężczyzna włożył łom między deskę a drzwi i mocno szarpnął. Od razu okazało się, że nie musiał wkładać w to nawet połowy siły, której użył. Zmurszała deska zatrzeszczała i oderwała się od drewnianej ościeżnicy. Długie, zardzewiałe gwoździe powoli wyszły z drewna i po chwili deska z łoskotem spadła na podłogę.

Na drzwiach została tylko wielka, brązowa od rdzy kłódka.

Mężczyzna zamachnął się i uderzył. Stalowy skobel, na którym wisiała

kłódka, wykrzywił się, a kolejne uderzenie wyrwało go ze zmurszałego drewna.

Mężczyzna pchnął drzwi i wszedł do wnętrza domu.

- Nikogo tu nie ma - powiedział po chwili, wracając z głębi korytarza. - Dom jest pusty.

- Może już tutaj byli? - zapytał Howe i przejechał palcem po poręczy schodów. Coś go zastanowiło.

- Przecież nie mieli kluczy. - Jennifer rozejrzała się wokół.

Z holu widać było salon z ogromnym kamiennym kominkiem, a dalej otwarte drzwi do kolejnego pomieszczenia.

- Nawet gdyby mieli, musieliby i tak najpierw zerwać deskę z drzwi - odezwał się czarnoskóry mężczyzna.

- Przeszukajcie dom. - Jennifer wskazała głową piętro. - Wy dwaj piętro, a ja i pan Howe dół.

Mężczyzna skinął głową i po chwili na schodach rozległ się tętent ciężkich butów.

Howe wszedł do salonu i podszedł do kominka. Włożył rękę do wnętrza paleniska i obmacał dokładnie wszystkie ściany. Wprawdzie chowanie starych dokumentów w kominku to nie był najlepszy pomysł, mógł przecież tutaj przyjechać ktoś z rodziny i puścić je z dymem, ale cholera wie, co stary John wymyślił.

Jennifer weszła do pokoju obok i zaczęła grzebać w ustawionych na regale książkach i segregatorach.

Howe obszedł cały salon, wyszedł na korytarz i ruszył w kierunku kuchni po drugiej stronie holu. Jego uwagę od razu zwróciła rozbita szyba w drzwiach. Ale, jak ocenił, nie stało się to ostatnio. Pod drzwiami na deskach widać było wielkie czarne plamy od wilgoci, dziura była tutaj już dobrych kilka lat. Podszedł do stołu i z namysłem dotknął ręką blatu. Pomyślał, że to jednak musiało się stać całkiem niedawno.

Blat był dokładnie wytarty z kurzu.

Karen przyciągnęła do siebie plecak, który na szczęście zabrała z pomostu. Zaczynała być głodna, a w plecaku mieli przecież to żarcie ze stacji benzynowej.

- Jak my się stąd wydostaniemy? - odezwał się nagle Patryk, cały czas skulony za pniem wielkiego cedru. - Może powinniśmy jednak stąd

wyleźć? Zabraliby nas przynajmniej na ląd. A co będzie, jeśli ten pijak w ogóle o nas zapomniał?

Karen przez chwilę miała przed oczami wizję spędzenia nocy w rozpadających się łózkach na piętrze domu, gdzie nie wiadomo co włąziło nocą przez szpary w ścianach i dachu, i wzdrygnęła się.

- Pamiętasz, że ci faceci mieli broń? - przypomniała sobie ucieczkę z hotelu w Richmond.

- A tam! - zachnął się Patryk. - W Stanach każdy ma broń, nawet dzieci w podstawówkach.

- I co, wyleziemy nagle i powiemy, że siedzieliśmy w krzakach?

- Przecież to akurat będzie prawda!

Karen wzniosła oczy ku niebu i wyjrzała ostrożnie zza rogu budynku.

Pilot hydroplanu wciąż siedział w drzwiach ze zwieszonymi nogami i wystawiał twarz do słońca.

- A może jakoś wleziemy do tego samolotu? Pewnie ma ładownię.

- Jasne! - syknął ironicznie Patryk. - I żaden z tych czterech bandziorów na pewno nas nie zauważy.

- Zaraz. - Karen nagle spojrzała na Patryka. - A co z twoim kursem pilotażu? Przecież go ukończyłeś.

- Oczywiście - warknął Patryk, wyglądając zza pnia cedru. - Już lecę porwać samolot. A tego pilota to zwiążemy i wrzucimy do tej twojej ładowni.

Nagle za plecami Patryka rozległ się szmer, jakby łamanej gałązki.

Pierwsze, o czym pomyślał Patryk, to był skradający się aligator, dopiero na drugim miejscu było podejrzenie, że któryś z bandziorów ich właśnie wytropił.

Zza drzewa wyłonił się nagle jeden z mężczyzn. Trzymał w ręku pistolet.

Igor oderwał w końcu telefon od ucha i rzucił go na biurko. Od dwudziestu minut usiłował się dodzwonić do Karen lub Patryka. Żadne nie odpowiadało. Oboje byli poza zasięgiem sieci.

- Na forach pod tym filmem piszą, że właściciel restauracji zgłosił to, a sprawców zdarzenia poszukuje policja. - Johann podniósł głowę znad laptopa, w którym grzebał od dłuższego czasu, i spojrzał na Igora.

- Super - prychnął Igor. - Że też oni zawsze muszą się w coś

wpakować. A wydawałoby się, że ten jej chłopak, jako prawnik, powinien mieć więcej oleju w głowie.

- Dermot jest prawnikiem i też po nim tego nie widać - skomentował Jamie, spoglądając w stronę potężnie zbudowanego mężczyzny w granatowym garniturze.

Dermot Carmondeley, jeden z ośmiu wspólników Sedinum Exploration, zwrócił się do kolegi z pobłażliwym uśmiechem.

- Nikogo nie interesuje opinia grubego księgowego na ten temat.

- Dajcie spokój. - Igor pokręcił głową z rozdrażnieniem. - Z jakiego powodu oboje nie odbierają?

- Zwiedzają jakieś zadupie? - Johann wzruszył ramionami. - Pewnie zupełnie niepotrzebnie się niepokoisz.

Telefon Igora odegrał nagle elektroniczną wersję finału uwertury do *Wilhelma Tella* Rossiniego, a Igor ciężko westchnął.

- No to zaczyna się - mruknął, odbierając. - No cześć, Natasza. Niestety, domyślam się, w jakiej sprawie dzwonisz.

Przez chwilę słuchał, jak jego mieszkająca w Szwecji siostra opowiada, że od rana dzwoni do córki i nie może się z nią połączyć.

- Nie robiłabym zamieszania, gdyby Swen nie znalazł na YouTube tego filmiku z Richmond.

- Może ich zamknęli. - Igor nie mógł się oprzeć, żeby nie poirytować starszej siostry. Czy chciał, czy nie chciał, zawsze wchodził przy niej w rolę głupiutkiego młodszego braciszka, za którego był brany przez większą część życia.

- Igor! Nie wydaje mi się, żeby to był dobry temat do żartów.

- Ale ja nie żartuję. Zatrzymali ich i zabrali im telefony. To wszystko wyjaśnia.

W słuchawce na moment zapadło milczenie.

- Czy ty zawsze musisz się zachowywać jak gówniarz? - odezwała się po chwili poirytowanym głosem siostra Igora. - Jesteś już dawno po trzydziestce!

- Dziękuję, że mi o tym przypominasz.

- Naprawdę się niepokoję. Cały dzień jest poza zasięgiem. Może ta twoja współpracownica, która wynajęła im apartament w Nowym Jorku, mogłaby się czegoś dowiedzieć?

- Gwen jest w Hiszpanii i nie ma o niczym zielonego pojęcia.

- Ale ma tam pewnie jakieś kontakty.

W tle rozległ się sygnał drugiego połączenia.

- Natasza, spróbuję się czegoś dowiedzieć. Muszę kończyć, mam tutaj drugi telefon.

Igor rozłączył się i spojrzał na ekran. Wśród połączeń było jedno przychodzące, nieodebrane. Od matki.

- Nie wierzę, że mama też znalazła ten film na YouTubie. - Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Mam tutaj coś dziwnego - odezwał się Johann znad swojego laptopa.

- Nie chcę cię straszyć, ale zobacz, to wygląda podejrzanie.

Dermot i Jamie od razu podeszli do Johanna i pochylili się nad jego plecami.

- Tu jest wywiad z Karen - powiedział Johann, wpatrując się w ekran. -

Ukazał się w „Richmond Times” dwa dni temu.

- Wywiad? - Igor zerwał się od biurka i podszedł do Johanna. - Jak to wywiad?

- Rozmowa z nabywczynią tajemniczego artefaktu z Arnim Creek, szkatuły łowców wampirów. - Johann podniósł wzrok i spojrzał znacząco na Igora. - To za to chyba zapłaciłeś dziesięć tysiaków.

- Szkatuła łowców wampirów? - powtórzył z niedowierzaniem Jamie.

- Zawartość szkatuły zaginęła w tajemniczych okolicznościach - przeczytał Dermot. - Według legendy wiązała się z tajemnicą z czasów uchwalenia Deklaracji niepodległości, o czym miała świadczyć inskrypcja oraz masoński symbol szachownicy.

Igor pochylił się nad Johannem i zaczął czytać artykuł. Szkatuła przechowywana na farmie Lintonów pod Williamsburgiem, rzekomo pochodząca z Pomorza, wykonana w szczecińskim warsztacie w drugiej połowie XVIII wieku.

- Ale tu jest coś bardziej niepokojącego. - Johann podniósł głowę, po czym kliknął w klawiaturę i otworzył kolejny artykuł. - To z dzisiaj, z tej samej gazety.

- Strzelanina na farmie Lintonów pod Williamsburgiem - przeczytał Jamie. - O kurwa.

- Właściciel plantacji w stanie ciężkim odwieziony do szpitala - czytał głośno Igor. - Postrzelony mężczyzna zmarł przed przyjazdem karetki.

- Karen nie musi mieć z tym nic wspólnego - powiedział Dermot. -

Zwyczajny zbieg okoliczności.

Wyciszona komórka Igora zaczęła drzeć i przesuwać się po blacie.

- Matka - jęknął Igor. - Jeśli zacznę z nią rozmawiać, od razu coś wyczuje. Ma szósty zmysł.

- Zadzwońię znajomych w Waszyngtonie. - Dermot wyjął swój telefon i zaczął przeglądać listę kontaktów. - To kancelaria. Może mi coś powiedzą.

Igor opadł na krzesło, wpatrując się z rezygnacją w brzęczący cały czas telefon.

Patryk, wepchnięty przez mężczyznę do pokoju, potknął się o próg i o mało nie wyłożył jak długi na zakurzonej podłodze.

- Znalazłem ich za domem. - Mężczyzna pchnął z kolei Karen. - Ukrywali się w krzakach.

Jennifer zacisnęła usta i podeszła do Karen.

- A mówiłam, żebyście nie mieszała się w nie swoje sprawy? - Obrzuciła dziewczynę uważnym spojrzeniem. - Znaleźliście te listy?

Karen wpatrywała się w kobietę, zastanawiając się, czy ukrywanie tego faktu ma w ogóle sens. Listy prędzej czy później i tak przecież znajdą, wystarczy, że przetrząsną wszystkie szafki w kuchni. Nie było ich znowu aż tak wiele.

Czarnoskóry mężczyzna, którego Karen pamiętała z cadillaca w Richmond, wyrwał jej plecak i wyrzucił całą jego zawartość na stół.

- Tutaj nic nie ma! - Przetrzęsnał wszystkie szpargały Karen i podniósł wzrok na Jennifer.

- Weszli przez kuchnię - odezwał się Howe, wchodząc do salonu. - Wybite okno w drzwiach i świeże ślady buszowania.

- A więc jednak. - Jennifer uśmiechnęła się samymi kącikami ust. - Jeśli ukryliście gdzieś te dokumenty, to wyciągniemy to z was. - Spojrzała zimno na Karen. - Nie mówiąc już o tym, że odpowiecie za włamanie.

- W świetle prawa to wy się tutaj włamaliście. Pani nie ma żadnych praw do tego domu - warknął Patryk, wyszarpując ramię z ręki trzymającego go za łokieć mężczyzny. - Spokojnie. - Podniósł dłonie w obronnym geście, widząc, że mężczyzna zmarszczył groźnie brwi. - Nigdzie przecież nie ucieknę.

- Czy nie mam żadnych praw, to się niedługo okaże. - Jennifer spiorunowała go wzrokiem.

- Weszliśmy do środka - przerwała jej Karen - i zdążyliśmy się tylko

rozejrzeć po kuchni, zanim się tutaj włamaliście - dodała złośliwie.

Jennifer zrobiła krok w stronę Karen i spojrzała na nią z wściekłością.

- Jeśli ukryliście dokumenty koło domu, to uprzedzam, że...

- Coś tu mam! - krzyknął nagle Howe, który w czasie rozmowy wyszedł z salonu i wrócił do kuchni.

Jennifer od razu poszła w ślad za jego głosem. Weszła do kuchni w momencie, gdy wyjmował z metalowego pojemnika plik starych, pożółkłych kartek, niedbale owiniętych w folię.

Howe podszedł do stołu i położył na nim to, co znalazł. Sięgnął po pierwszy dokument i szybko przebiegł po nim wzrokiem.

- To listy! - powiedział do Jennifer. - Są po angielsku.

- Po angielsku? - Jennifer sięgnęła po kolejne ze starych pism. - Więc to jednak prawda. Zawsze zadawałam sobie pytanie, dlaczego krewni Josephine z Niemiec mieliby pisać po angielsku. To nie był dobry znak. Przemawiało to jednak za teorią o sfalszowaniu listów przez pastora Archibalda.

- Ale nie ma na nich żadnych dat ani pieczęci. - Howe z rozczarowaniem oglądał jeden z dokumentów. - Na jednym data jest zatarta i nieczytelna, na pozostałych nie ma w ogóle dat.

- Cały czas spodziewał się pan, że będą to jakieś ważne dokumenty lub korespondencja z czasów Johna Jaya? - spytała Jennifer, spoglądając na mężczyznę z lekką ironią.

- A pani czego się spodziewała? Listów z Niemiec od rodziny von Arnimów?

- Froh. - Jennifer przeczytała podpis pod jednym z pism. - Nic mi to nie mówi.

- To prawdopodobnie skrót imienia albo przezwisko. Tym bardziej świadczy o prywatnym charakterze korespondencji, zakładając oczywiście, że nie są sfalszowane. - A to co takiego? - Howe nagle z zainteresowaniem wziął do ręki kolejny dokument. - Protokół departamentu Henry'ego Claya? Z marca tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego? - zaczął w skupieniu czytać pismo. - Znała to pani? To przecież kopia. - Wskazał palcem pieczęć archiwum na odwrocie pisma.

Jennifer pokiwała głową.

- Dotarłam do tego kilka lat temu. Jak widzę, John Linton także. Początkowo nie łączyłam tych spraw, ale najpewniej to od tego właśnie

zaczęły się te legendy o skarbach.

- Gubernator John Jay był już wówczas na emeryturze - powiedział Howe w zamyśleniu. - Zmarł na udar siedemnastego maja tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego. Miesiąc po tych wydarzeniach. - Potrząsnął pismem.

- John Jay tysiąc osiemset dwudziesty dziewiąty. - Jennifer przypomniała inskrypcję ze szkatuły. - To po prostu stwierdzenie faktu. Tylko czemu ta data znalazła się na kufierku?

Howe wpatrywał się w stary protokół. Rysunki Johna Lintona. Zdał sobie sprawę, że Jennifer w dalszym ciągu nie odgadła ich znaczenia. A to było takie prozaiczne...

Ale Albion, o którym wspominał jeden z listów, zatonał przecież w tysiąc osiemset dwudziestym drugim. Nic się nie zgadzało.

Nagle gdzieś na zewnątrz rozległ się cichy odgłos. Narastający. Z każdą chwilą lepiej było go słyszeć.

- To pewnie przewoźnik tych dwojga wraca. - Howe podszedł do okna i przetarł ręką brudną szybę. Na rozlewisku przed domem nic nie było jeszcze widać. Dźwięk dobiegał gdzieś z kanałów przecinających półwysep.

- Co z nimi zrobimy? - zapytała cicho Jennifer, spoglądając w kierunku holu, za którym był salon.

- Nic. - Howe wzruszył ramionami. - Przynajmniej my nie będziemy musieli ich odstawić do portu.

- Chciał pan ich odwieźć? - Patrzyła na niego zdumiona.

- A pani chciała ich tutaj zostawić?

Daleki odgłos silnika narastał i po chwili usłyszeli już wyraźnie terkot starego diesla.

Patryk spojrział porozumiewawczo na Karen.

- Stary Sam wraca? - zapytał po polsku.

- Mam nadzieję - odpowiedziała Karen. - Nie wiem, czy ci tutaj by nas odwieźli.

- Na posterunek policji pewnie. Słyszałaś, co mówiła ta baba?

Siedzieli na wielkiej, brudnej sofie, a pod drzwiami, wpatrując się w nich, stał jeden z mężczyzn. Karen, już gdy ich schwytali, zauważyła, że nie tylko ten wielki Afroamerykanin miał broń. Mieli ją także wszyscy pozostali.

Mike stał przy sterze w malutkiej nadbudówce swojej łodzi i obserwował, jak dziób pokonuje kolejne metry kanału, do którego właśnie wpłynęli z Rzeki Aligatorów. Bardzo dawno nie był w Beerhead. Turyści zazwyczaj chcieli płynąć dalej, na Wielkie Pośepne Bagna czy na rozlewiska na Północnym Jeziorze. Wąskie kanały, którymi płynęło się do Beerhead, nie cieszyły się wielką popularnością. Zwłaszcza że niczego ciekawego tutaj nie było. Chyba że ktoś lubił takie *creepy* atrakcje, jak rozwalająca się chata Samuela na brzegu jednego z kanałów. Zresztą dacza Lintonów wcale nie wyglądała lepiej. Jeszcze dwa, trzy sezony, parę porządnych ulew albo jakiś tajfun i też nic z niej nie zostanie.

Słyszał dochodzące z pokładu głośnie śmiechy. Noah i Terrence natrzęsali się ze Spencera. Jak zwykle. Wszyscy znali się od dziecka. Tylko Spencer wyjechał na kilka lat na północ i wrócił jak ten syn marnotrawny na stare śmieci.

Mike całą tę wyprawę uważał za potworną stratę czasu, ale nie potrafił odmówić Addison. Podobała mu się od dawna. Od kilku miesięcy przychodził do baru z zamiarem zaproszenia jej gdzieś i ciągle mu się to nie udawało. Noah i Terrence oczywiście za każdym razem, gdy wpadali na obiad, naśmiewali się z niego i z jego zalotów. Może teraz u niej zapunktuje i będzie łatwiej podejść i pogadać. Będą mieli wspólny temat - Wielką Akcję Starego Sama przeciw cwaniakom z północy.

Ale co prawda, to prawda. Stary Sam z roku na rok coraz bardziej dziwaczał i coraz częściej zdarzały mu się takie przygody. Jak, kurwa, można zostawić turystów w tym buszu?

Jeśli będzie miał szczęście, to tylko go zrugają, jeżeli pecha, to założą mu sprawę w sądzie i straci łódź.

Na lewym brzegu zza szuwarów wyłoniła się drewniana ruina. Chata Samuela.

Jeszcze kilka minut i będą na miejscu.

Gdy trzech inżynierów kontraktu z dużej spółki geotechnicznej zaczęło rozmawiać przyciszonymi głosami i stukać palcami w blat stołu, Dermot stwierdził, że nie mogą kazać im dłużej czekać, i razem z Jamiem wrócili do sali konferencyjnej.

Igor po raz któryś z rzędu usiłował się dodzwonić do Karen i Patryka i znowu bez rezultatu.

- Może rzeczywiście miałeś rację, że ich zamknęli - odezwał się Johann, który cały czas serfował po amerykańskich portalach i serwisach informacyjnych. - O, tu jest coś więcej. - Zatrzymał się nagle na jakiejś stronie z Richmond. - Podają więcej szczegółów. Policję na miejsce strzelaniny wezwała młoda kobieta, która twierdziła, że wraz ze swoim towarzyszem byli tylko przypadkowymi turystami - przeczytał. - Akcję ratunkową utrudniły trzy spuszczone rottweilery...

- Chryste! - Igor patrzył na Johanna z wypisanym na twarzy przerażeniem. - Co ty czytasz?

- Jakiś portal informacyjny. - Johann westchnął. - Ta strzelanina była tam, zdaje się, sporym wydarzeniem, bo co chwilę uaktualniają.

- Sądzisz, że to była Karen?

- Nie zakładaj od razu najgorszego.

Igor zaczął stukać palcami w blat biurka.

- Najpierw kupują porypany artefakt łowców wilkołaków.

- Wampirów - poprawił odruchowo Johann.

- Jeden pies! - Igor pokręcił głową z irytacją. - Potem jest film, jak wyskakują przez okna, a teraz strzelanina na jakiejś plantacji. Mam nadzieję, że Natasza nie dotarła do tych wszystkich wiadomości, bo pewnie teraz dzwoni do ambasady.

- Musimy poczekać, aż ci kolesie Dermota z Waszyngtonu oddzwonią.

- Johann oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na przyjaciela. - Nie denerwuj się na zapas.

Igor sięgnął po telefon i po raz setny wybrał numer Karen.

Łódź, terkocąc silnikiem, wpłynęła w niewielką deltę, która po chwili zamieniła się w szerokie rozlewisko. Mike dawno tutaj nie był, ale chatę Lintonów doskonale pamiętał. Stała w lekkim oddaleniu od brzegu i w czasach świetności miała nawet niewielką plażę z pomostem. Dzisiaj plaża wyglądała jak spłacheć piasku zarośnięta przybrzeżną roślinnością, stopniowo pożerana przez szuwar. Na temat pomostu można było powiedzieć tylko tyle, że jeszcze się trzymał.

Przy pomoście stał teraz mały hydroplan.

Mike zwolnił, a następnie wyłączył silnik. Łódź, dryfując, siłą rozpędu powoli zbliżała się do brzegu.

Na brzegu nagle pojawiło się dwóch mężczyzn. Obaj uważnie

przyglądali się łodzi Mike'a.

Gdy dopłynęła już na tyle blisko, że nie trzeba było zdzierać sobie gardła, żeby porozumieć się z ludźmi na brzegu, Mike wychylił się z nadbudówki.

- Wiecie, kto to? - zapytał kolegów, którzy stali przy burcie i wpatrywali się w brzeg. - To Lintonowie?

- Henry'ego Lintona i jego synalka bym poznał - mruknął Terrence. - Ci dwaj to jakieś randomy.

- To co robimy?

- Pytamy o tę parę od Starego Sama. - Terrence wzruszył ramionami. - Skoro Sam ich tutaj zostawił, to muszą tutaj być.

- Dobra. - Mike podszedł do burty, zasłonił dłonią usta i krzyknął: - Hej! Szukamy dwojga turystów!

Mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Nikogo tu nie ma! - odkrzyknął jeden.

- Dziewczyna i facet! Przewoźnik zostawił ich na pomoście! - wrzasnął Noah.

- Nie ma tu nikogo, powiedziałem!

Mike spojrzał na kolegów.

Noah wpatrywał się podejrzliwie w stojących na brzegu drabów.

- Coś kręcą. Ci dwoje nigdzie by się stąd nie ruszyli.

- Może ktoś ich stąd zabrał? - zastanowił się Terrence.

- To Addison by już o tym wiedziała - mruknął siedzący na burcie Spencer. - Zostawili przecież wóz przy barze.

- Aligatory ich chyba nie zeżarły? - mruknął Noah, który cały czas wpatrywał się podejrzliwie w mężczyzn na brzegu. - Oni mają spluwy - powiedział nagle. - Obaj. Jeden co chwilę ją maca.

Cała pozostała trójka spojrzała jak na komendę w kierunku pomostu.

Jennifer zebrała ze stołu stare dokumenty i wsadziła do metalowego pojemnika. Po chwili oboje wyszli przed dom.

- To wasi przewoźnicy? - Howe spytał Karen, która wraz z Patrykiem i pilnującym ich mężczyzną stała w holu.

Krzyk Mike'a dotarł do domu, Karen nie zrozumiała wprawdzie wszystkiego, ale słowo „turyści” usłyszała. Czyżby ktoś ich szukał?

Pokręciła głową, nie mając pewności, czy dobrze robi. Może powinna

powiedzieć, że tak.

- Słyszałaś? - szepnął do niej po polsku Patryk. - Szukają jakichś turystów.

- Zamknąć się! - warknął za jego plecami zwalisty Afroamerykanin i szturchnął Patryka.

- Odpieprz się! - burknął Patryk, rzucając mu wrogie spojrzenie.

Howe i Jennifer zeszli ze schodów i wolno ruszyli w kierunku pomostu.

- Może po prostu niech ich zabiorą - powiedział cicho Howe, wskazując głową kołyszącą się na wodzie łódź.

- Ta dziewczyna mi się nie podoba. - Jennifer spojrzała za siebie. - Przecież to oczywiste, że szukają tych legendarnych archiwaliów. Chce pan, żeby nas ubiegli?

- Nie wierzę w zrabowany przez piratów wór szmaragdów. - Howe parsknął pogardliwie. - Dobrze pani wie, że interesuje mnie wyłącznie plantacja.

Przeszło mu nagle przez myśl, że zmaterializowana w kolejnych artefaktach legenda o skarbach może powstrzymać Jennifer, a właściwie jej synalka, przed sprzedażą farmy. Może zechcą ją nagle przeszukiwać? Takie rodzinne paranoje bywają zaraźliwe. Albo na tych poszukiwaniach jakoś zarabiać? Ściągać różnych pomyleńców i reklamować się w mediach jako mekka poszukiwaczy skarbów z czasów Waszyngtona. Coś jak Money Pitt^[12].

Howe nie zdążył niczego przedsięwziąć w związku ze swoimi podejrzeniami, ponieważ niespodziewanie dla wszystkich Patryk rzucił się nagle ze schodów i pobiegł w kierunku pomostu.

- Halo! - wrzasnął w połowie drogi. - Jesteśmy tutaj! Zabierzcie nas!

Dwóch drabów na pomoście odwróciło się gwałtownie, patrząc to na Patryka, to na swojego szefa. Jeden automatycznie sięgnął po broń.

Tymczasem Patryk zaczął machać rękami do ludzi na łodzi.

- Skurwysyn! - krzyknęła głośno Jennifer. - Zatrzymać go!

- Zostawcie go! Nic nie róbcie! - wrzasnął Howe, biegnąc za nią z tyłu.

Jego ludzie nie bardzo wiedzieli, jak zareagować na dwa całkowicie sprzeczne rozkazy, i na moment stanęli zdezorientowani. Tymczasem potężny Afroamerykanin, który także automatycznie, jak wyszkolony pies

obronny, rzucił się za Patrykiem w pogoń, dopadł go i przewrócił na ziemię.

Cała czwórka na łodzi wpatrywała się zaskoczona w rozgrywające się na brzegu wydarzenie. Terrence nagle skoczył pod pokład i po chwili wrócił ze strzelbą myśliwską.

- Widziałeś? - Noah spojrział na Mike'a. - Co tam się dzieje? Najpierw gadali, że nikogo nie ma, a teraz? Porwali ich? Co to, kurwa, jest?

- Co się tam dzieje? - Mike wrzasnął głośno, przystawiając rękę do ust.

Dwaj mężczyźni na brzegu się odwrócili. Obaj trzymali już w dłoniach pistolety.

Widząc to, Noah i Spencer skoczyli do malutkiej kajuty pod pokładem i przynieśli sztucery myśliwskie.

- Nic się nie dzieje! - krzyknął jeden z mężczyzn na pomoście. - Zjeżdżajcie stąd!

- Widzieliśmy chłopaka! - wrzasnął Mike. - Mówiliście, że nikogo tam nie ma, a teraz widzieliśmy, że wzywał pomocy! Dlaczego go przetrzymujecie?! Wezwiemy gliny!

Na pomost wbiegła kobieta.

- Wdarli się na prywatny teren! - krzyknęła. - Już wezwaliśmy policję!

- Łże, suka! - mruknął Noah. - Tu nie ma zasięgu.

- Może lepiej dajmy teraz spokój - odezwał się Spencer. - Odpłyniemy stąd, złapiemy zasięg i wezwiemy gliny.

Na pomost wbiegł mężczyzna z jasnymi, związanymi na karku włosami i najwyraźniej zaczął się kłócić z kobietą.

Noah podniósł sztucer i wycelował w brzeg lunetę.

- Jest tam i dziewczyna - powiedział, przesuwając sztucer. - To na pewno tych dwoje, o których mówiła Addison.

Howe patrzył ze złością na Jennifer. Kobieta miała wybitne zdolności do generowania konfliktów. Linton musiał odetchnąć z ulgą, jak się od niej uwolnił.

- Przepraszam, panie Howe - tłumaczył się jeden z ochroniarzy, który przed chwilą kazał zjeżdżać załodze łodzi dryfującej kilkadziesiąt metrów od brzegu. - Poniosło mnie!

- Wypuszczanie tych szczeniaków to błąd! - upierała się Jennifer. - Jestem przekonana, że oni widzieli listy. - Kobieta nagle zamarła. - Przecież

oni mogli zrobić zdjęcia!

Odwróciła się gwałtownie w kierunku Karen i Patryka, idących właśnie pod obstawą potężnego Afroamerykanina.

- Pokażcie aparaty! - rozkazała.

Karen stanęła na pomoście i cofnęła się przed kobietą.

- Nie ma pani prawa...

I nagle wydarzenia gwałtownie nabrały rozpędu.

- Uwaga! - krzyknął nagle jeden z ochroniarzy i wpadł na pomost, odpychając swojego szefa i Jennifer. - Do samolotu! Strzelają! Celują w nas!

Drugi mężczyzna, który stał jeszcze na brzegu, podniósł pistolet i strzelił w kierunku łodzi.

Na łodzi rozległ się głośny krzyk, potem wystrzał i ktoś upadł na pokład.

Karen i Patryk instynktownie ukucnęli na pomoście.

- Nie strzelać! - krzyknął Howe, machając rękami do swoich ludzi i do mężczyzn na łodzi. - Nie strzelać!

- To przecież myśliwi! Mają celowniki! - wrzasnęła Jennifer i wskoczyła na pływak samolotu. - Wystrzelają nas jak kaczki! - krzyknęła jeszcze i wspięła się do kabiny.

Z łodzi dobiegł kolejny strzał i ochroniarz, który jako pierwszy otworzył ogień, złapał się za rękę i wrzasnął z wściekłością.

- Do samolotu! - rozkazał Patryk i popchnął Karen w kierunku otwartych drzwi kabiny, gdzie wspinał się właśnie Howe.

Mike odskoczył do tyłu i schował się za kabiną łodzi. Patrzył z przerażeniem, jak Noah łapie się za ramię i upada na pokład. Jego strzelba wystrzeliła w powietrze, gdzieś wysoko nad stojącym przy pomoście hydroplanem.

Mike upadł na kolana i podsunął się do Noaha.

- Dostałeś? - spytał cokolwiek bezsensownie.

- Nie, kurwa! - warknął Noah. - Nie dostałem w ramię! Ja pierdołę, jak boli! - Skrzywił się.

Terrence i Spencer na odgłos strzałów, gdy Noah przewrócił się na ziemię, natychmiast padli na pokład. Terrence podczołgał się do burty i wystawił nad nią strzelbę.

- Nie daruję łajdakowi - wysyczał przez zęby i wycelował. Padł strzał, a biegnący do samolotu mężczyzna zatoczył się i spadł z pomostu do wody.

Terrence strzelił jeszcze raz, tym razem trafiając wielkiego czarnego faceta, który krzyknął i upadł na pokład. Natychmiast jednak zeskoczył do wody za pomostem.

Nagle nad pokładem łodzi świsnęła kula, a szyba w nadbudówce rozprysła się w drobny mak. Druga kula trafiła niżej, rozbijając radio i roztrzaskując fragment drewnianej ściany kabiny.

Na brzegu rozległ się warkot silnika i śmigła samolotu zaczęły się obracać. Hydroplan oderwał się od pomostu i skierował na środek rozlewiska.

- Pierdolone bandziory! - Terrence przesunął się po pokładzie, celując w samolot.

- Nie strzelaj! - krzyknął Mike. - Musimy opatrzyć Noaha!

Skoczył na pokład, wczołgał się do kabiny i zaczął szperać w szafkach, szukając bandaży albo opasek uciskowych.

Samolot tymczasem zawrócił i zaczął mknąć w ich kierunku po wodzie.

Zrównał się z nimi, pływaki oderwały się od wody i maszyna wzbiła się w powietrze.

Z brzegu nagle rozległ się strzał i kolejna kula rozwalila jeszcze całą szybę we frontowej ścianie kabiny. Terrence zaklął, podniósł ponownie sztucer i strzelił we wzbijający się w powietrze samolot.

- Terrence! Kurwa! - wrzasnął Mike. - Tam są te dzieciaki!

Karen wbiła się w fotel i pochyliła głowę. Słyszała kolejne strzały na zewnątrz. W kierunku samolotu po pomoście biegł, trzymając się za rękę, jeden z ludzi Howe'a, gdy nagle krzyknął, upadł i spadł do wody.

Karen odwróciła wzrok i zobaczyła, jak w łodzi rozpryskuje się szyba w kabinie.

- Chryste! - jęknął obok niej Patryk.

Ze swoich siedzeń widzieli, jak biegnący w ich kierunku czarnoskóry kafar, który ich pilnował, dostaje kulkę i upada na kolana. Mężczyzna natychmiast się jednak zerwał i zeskoczył do wody po drugiej stronie pomostu.

Silnik samolotu zawył, Karen usłyszała warkot obracających się

śmigieł. Howe sięgnął do drzwi i zatrzasnął je dokładnie w tym momencie, gdy samolot zaczął płynąć w kierunku środka rozlewiska.

Skołowana Karen patrzyła, jak hydroplan zawraca i zaczyna się rozpędzać po rozlewisku, zbliżając się ponownie do łodzi. Na zewnątrz rozległ się kolejny strzał i nad łodzią rozprysnęła się kolejna fontanna szkła.

Samolot oderwał się od wody i zaczął się wznosić. Nagle usłyszała, jak w telefonach przychodzą powiadomienia i włączają się rozmaite aplikacje. Sięgnęła do kieszeni, kiedy wtem poczuła szarpnięcie. Odwróciła się i zobaczyła wykrzywioną wściekłością twarz Jennifer.

- Oddaj ten telefon! - wysyczała kobieta, szarpiąc Karen za ramię.

Karen zdołała wyrwać rękę i świadoma, że zaraz jej jednak ten telefon odbiorą, jeśli nie Jennifer, to któryś z mężczyzn, otworzyła galerię i wysłała ostatnie zdjęcia na pierwszy numer z brzegu, który miała akurat w ostatnich połączeniach.

Jennifer wychyliła się ze swojego fotela i złapała Karen za włosy. Obie zaczęły krzyczeć, szarpiąc się i wyrrywając. Patryk złapał kobietę za rękę i usiłował ją odepchnąć, ale przejechała mu paznokciami po policzku i zdołała pochwycić komórkę Karen.

Na chwilę na jej twarzy zagościł uśmiech, ale nagle rozległ się głośny wystrzał.

Karen zdążyła tylko zarejestrować, jak przednia szyba w kabinie rozpryskuje się na kawałki, a głowa ich pilota opada na oparcie fotela.

Samolot niespodziewanie znacznie się pochylił, a silniki zawyły. W przedniej szybie, w której Karen do tej pory widziała niebo, nagle pojawiło się morze zieleni, które zaczęło szybko zbliżać się do samolotu.

Hydroplan zdołał jeszcze podnieść nos do góry i poszybować nad drzewami rozlewisk.

Zatrząsał się, słyszeli, jak śmigła terkoczą nierówno, i nagle uderzył podwoziem w konary drzew, po czym podskoczył i rozprysło się kilka okien.

Samolot wbił się swoim stalowym cielskiem w gąszcz i rozcinając gęstą zielen, przedzierał się jeszcze przez chwilę przez zielono-brązową płataninę konarów i liści, wyrznął w wodę, wzbijając fontannę kropel,

i znieruchomiał. **Rozdział 17**

*Dawno, dawno temu.
W królestwie Prus.*

Gdy Wiktoria otworzyła oczy, pierwsze, co ujrzała, to siedzącą obok na krześle i czytającą książkę Elizę. W pokoju było już ciemno, a na stoliku obok paliły się świece.

Poruszyła się i poczuła, że boli ją głowa.

- Nareszcie się obudziłaś! - Eliza odłożyła książkę, wstała i podeszła do łóżka, patrząc z wyraźną ulgą na przyjaciółkę. - Spałaś chyba z sześć godzin.

- Jak to możliwe? - Wiktoria pomacała ostrożnie tył głowy.

- Zemdlałaś i upadając, uderzyłaś głową o kamień. - Eliza poprawiła poduszki i sięgnęła po kubek. - Doktor powiedział, żebyś to wypila, jak tylko wstaniesz. Jest jeszcze w domu, ciocia Henrietta go zatrzymała na wszelki wypadek. Zaraz po niego poślę.

- Poczekaj chwilkę. - Wiktoria wzięła z rąk księżniczki kubek i powąchała zawartość.

- To zioła. - Eliza usiadła na łóżku i wbiła wzrok w Wiktorię. - Napędziłaś nam niezłego stracha - powiedziała. - Doktor też się martwił, dlaczego tak długo śpisz i czy przypadkiem to z upadkiem na głowę się nie łączy.

- Upadłam na głowę. - Wiktoria westchnęła z udawaną rezygnacją. - W końcu są niepodważalne dowody.

Eliza zachichotała.

- Wraca ci humor. To bardzo dobra wróżba.

Wiktoria pomyślała, że jej długi sen nie miał oczywiście nic wspólnego z niewielkim stłuczeniem, ale z faktem, że poprzedniej nocy nie zmrużyła nawet oka, o czym nikt poza nią nie wiedział.

- Jak tutaj trafiłam? - Rozejrzała się po pokoju. Niewielka sypialnia dla gości, tuż obok pokoju księżniczki. Nie pamiętała, żeby sama tutaj przyszła. Co lekko ją zaniepokoiło.

- Straciłaś przytomność. Na szczęście w pobliżu był wuj August i przyniósł cię do zamku.

- O mój Boże. - Wiktoria westchnęła. - To musiało wywołać straszne zamieszanie zapewne.

- Większość gości była na poobiednim spacerze, więc tym razem ci się upiekło, chociaż służba będzie pewnie plotkować. Ciocia od razu posłała po doktora.

- Po raz drugi nazwałaś baronową ciocią. - Wiktoria uśmiechnęła się z ironią, spoglądając na uśmiechającą się Elizę.

- Obie z mamą ją lubimy. - Księżniczka wzruszyła ramionami. - Chociaż mama nigdy by się do tego oczywiście nie przyznała. Nasza pozycja w berlińskim towarzystwie wyklucza bliską zażyłość z córką kupca - dodała sarkastycznie.

- A nie uważasz, że twój wuj wybrał ją dla innych zalet niż doskonałe pochodzenie?

- Ależ oczywiście. - Eliza parsknęła śmiechem. - Jej ojciec jest bardzo bogaty, dzięki czemu wuj uniezależnił się od rodzinnej łaski, na pstrym koniu jeżdżąc.

Wiktoria pokręciła głową z przekąsem. Eliza, zazwyczaj słodka, niekiedy stawała się kąśliwa jak żmijka.

Przez chwilę śmiały się na wspomnienie miny Lothara, kiedy zobaczył, jak księżę August wnosi ją na rękach do sieni, gdy Eliza nagle spowaźniała.

- Słyszałaś? - spytała, patrząc na Wiktorię z niepokojem. - Ktoś chyba krzyczał?

Wiktoria powątpiewająco pokręciła głową.

Eliza przeżyła kiedyś bunt chłopstwa w majątku ojca w Wielkopolsce. Horda rozwścieczonych parobków wdarła się na dziedziniec pałacu i do sieni. Księżniczka była wtedy małą dziewczynką i do tej pory pamiętała, jak siedziała struchlała ze strachu, a niania zamykała jej usta dłonią.

- Wydawało ci się - uspokoiła ją Wiktoria. I nagle przypomniała sobie o czymś. Postać w ptasiej masce! Chryste! Ptasia maska!

Przecież Eliza ją znalazła w parku koło zamku!

Eliza wstała i podeszła do drzwi. Otworzyła je i przystawiła głowę do szpary.

Obie zamarły, a w całkowitej ciszy słychać było jedynie szum wiatru za oknem.

I nagle gdzieś z dołu dobiegło czyjeś wołanie. Jakaś kobieta głośno i rozpaczliwie krzyczała.

Henrietta stała przy oknie z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę.

Wpatrywała się w rozjaśniony światłem latarni dziedziniec zamku. Policzyła w myślach do dziesięciu i odwróciła się, uzbrojona już w pogardliwy i spokojny uśmiech.

- Nie wierzę ci! - rzuciła twardo do stojącego za nią mężczyzny. - Najpierw Anna von Walter wymyśliła sobie, że ktoś ją okradł, a teraz ty.

- Nie interesuje mnie, że mi nie wierzysz. - Mężczyzna patrzył zimnym wzrokiem na baronową. - Klejnoty zginęły pod twoim dachem. Tylko ty wiedziałaś o ich istnieniu.

- Nie sugerujesz chyba, że to ja je ukradłam? - Henrietta popatrzyła na mężczyznę z pogardliwym niedowierzaniem.

- Widziała je jeszcze twoja głupia pokojówka, ale zupełnym przypadkiem akurat zmarła.

- Ukradłam ci klejnoty i zabiłam swoją pokojówkę, żeby usunąć świadka. - Baronowa parsknęła nerwowym śmiechem. - Posuwasz się za daleko!

- Nie mam wyjścia. - Mężczyzna uśmiechnął się cynicznie. - Ponawiam tylko swoją propozycję, trzydzieści tysięcy talarów. To połowa tego, co dał mój ojciec. A klejnoty są warte o wiele więcej.

- Tyle że przez przypadek właśnie ktoś ci je ukradł. - Baronowa podniosła wachlarz i zasłaniając nim usta, przeszła przez bibliotekę. - Naprawdę sądzisz, że dam się na to nabrać?

Mężczyzna zacisnął zęby i podszedł do baronowej. W jego oczach płonęła wściekłość.

- To ja nie dam się okraść! Jedno jest pewne, tylko ty je widziałaś! Dziewka nie żyje! A więc tylko ty mogłaś je zabrać. Żądam jedynie tego, co mi się należy!

- Miarkuj się. - Baronowa ze złością złożyła wachlarz. - Wciąż jeszcze mam bardzo możnych i wpływowych protektorów!

- Księżna Fryderyka palcem nie ruszy w twojej obronie. Tak jak jej brat. Oboje mają za dużo własnych problemów, żeby ryzykować swoją pozycję towarzyską w Berlinie dla ciebie.

Baronowa westchnęła i spojrzała na mężczyznę z rezygnacją.

- Po co miałabym kraść te klejnoty? - zapytała z szyderczym uśmiechem. - Dobrze wiesz, że czego jak czego, ale pieniędzy mi nie brakuje. To dlatego wszak akurat do mnie z tym przyjechałeś.

- Powtarzam! - warknął mężczyzna. - Trzydzieści tysięcy! Jeśli nie

przystaniesz na tę propozycję...

- To co?! - przerwała mu hardo baronowa. - Powiadomisz żandarmerię? Przyznasz się, w jaki sposób sam wszedłeś w ich posiadanie? Miałabym okraść złodzieja?! Mordercę?!

- Nie waż się tak mówić!

- Bo co?

Przez chwilę patrzyli na siebie tak, jakby mieli się sobie rzucić do gardeł.

Mężczyzna pierwszy się uspokoił. Uśmiechnął się zimno.

- Twoja córka i syn mają się dobrze u księżnej, a Fryderyka jest ci przychylna - wycedził. - Ale mogę sprawić, że nigdy więcej już ich nie zobaczysz.

W oczach baronowej ponownie błysnęła wściekłość, ale na jej twarzy pojawił się cień niepokoju.

- Nie zdołasz mnie poróżnić z Fryderyką - powiedziała bez przekonania.

- To nie będzie wcale trudne. - Uśmiechnął się złośliwie. - A król może także jej odebrać prawo do wychowania twoich dzieci.

- Ty skończony łajdaku! - Baronowa straciła na moment swój pełen wyższości spokój i zacisnęła pięści.

Wachlarz upadł na podłogę biblioteki.

I w tym momencie rozległ się głośny, rozpaczliwy krzyk.

Anna von Walter siedziała w fotelu przy oknie i wpatrywała się w połyskujące między drzewami jezioro. Jej matka spała przy kominku, w którym trzaskały płonące drwa. Pokojówka nie była zbyt zadowolona, gdy Anna kazała jej rozpalić ogień. Rzekomo nikt o tej porze roku tego tutaj nie robił i kominy nie były jeszcze przeczyszczone przed zimą. Ale pokojówki są od tego, żeby słuchać poleceń, a nie wdawać się w dyskusje.

Matka Anny zresztą marzła nawet w lecie. Wystarczył chłodniejszy dzień, trochę deszczu, a ona już trzęsła się z zimna. Ich berliński dom był ogrzewany praktycznie cały rok, a piece rozpalano niekiedy nawet w sierpniu.

Anna niby czytała książkę, ale nie mogła się na niej skupić i bez przerwy spoglądała w okno lub wspominała wydarzenia ostatnich dni, a zwłaszcza te najnowsze.

Nie mogła powiedzieć, że nie ucieszyło jej odnalezienie koliai. To rzeczywiście była pamiątka rodzinna, odziedziczona po prababce, ale fakt, że ta bezczelna dwórka Wiktoria naprawdę nie miała nic wspólnego z jej zaginięciem, trochę ją rozczarował.

Była przekonana, że ta pewna siebie, arogancka Polka ma coś na sumieniu. Anna obserwowała ją dzisiaj i widziała, że dziewczyna jest wyjątkowo zmęczona i wygląda fatalnie. A przecież nie była na balu, co mogłoby od biedy tłumaczyć jej niewyspanie.

Może zresztą rzeczywiście była chora?

Annie nie umknęło, że książę okazywał jej zainteresowanie. Oczywiście nie przypuszczała, żeby miało ono jakieś romantyczne podłoże, książę był chyba wobec niej tylko miły. Bo co mógł zobaczyć w tej biednej dwórcie? Czy ona w ogóle była ładna? Anna niechętnie musiała przyznać, że tak. Ale co z tego? Ładnych dwórek było bez liku.

Tak samo zresztą jak ładnych młodzieńców, gotowych na jedno skinienie Anny stanąć z nią przed ołtarzem. Dla jej posagu.

Tak jak chociażby ten Bruno von Enckevort. Jego ojciec miał kłopoty finansowe nie od wczoraj i bardzo chętnie wydałby najstarszego syna za posażną partię. Tylko młody hrabia był dziwny. Te jego nocne spotkania z pokojówkami. Nie miała złudzeń co do mężczyzn w tej materii, ale wydawało się jej, że za tą rozmową na schodach kryło się coś o wiele bardziej nieprzyjemnego. Bardzo ją to ciekawiło.

Anna, skoro miałyby do cna wyzbyć się swoich marzeń o wielkiej miłości i zgodzić się na taki układ, chciałyby coś z tego mieć. Szlachectwo już miała. Ojciec dostał je wraz z tytułem. Za wyjątkowe zasługi dla Prus w okresie wojny z Napoleonem - Anna uśmiechnęła się sarkastycznie pod nosem. Tytuł świeży, bez wiekowych tradycji, zapewnił im wprawdzie wstęp na arystokratyczne salony, ale jeśli chciałyby wejść do naprawdę dobrze notowanej rodziny, to męża musieliby jej kupić. Tak bez ogródek powiedział ojciec, jednoznacznie dając do zrozumienia, że walory fizyczne nie dadzą jej ani jednego punktu.

Anna zacisnęła zęby.

Gdyby została księżną, to wszystkim od razu zamknęłaby usta. Pamięć berlińskiego towarzystwa w takich sytuacjach była krótka. Szlachectwo w pierwszym pokoleniu, kogo by to wtedy obchodziło? Księżna Anna de Montbeliard.

Tyle że jego pieniądze nie przekonały. Paradoksalnie, zadurzyła się w nim na amen z tego właśnie powodu.

Wiedziała na jego temat wiele. Znała kilka pikantnych szczegółów, które jednak nikogo by nie zainteresowały. Książę na swoją reputację zapracował dawno temu, zresztą mężczyznom uchodziło zazwyczaj o wiele więcej. Ale Anna wiedziała coś jeszcze i potrafiła połączyć jedne nitki z innymi, tak że wychodziła z tego rzecz, która na pewno mogłaby mu zaszkodzić. Nieważne, czy była to prawda, czy nie.

Tylko czy miłość usprawiedliwia szantaż? No cóż, niedługo się okaże.

Jej rozmyślenia przerwał czyjś krzyk.

Anna drgnęła i z niepokojem spojrzała w kierunku drzwi.

Tyle się mówiło ostatnio o buntach chłopów. Po rewolucji we Francji co chwilę wybuchały jakieś zamieszki.

Wstała i po cichu, starając się nie zbudzić matki, wyszła na korytarz.

I wtedy usłyszała wyraźnie krzyk kobiety. W holu, na parterze.

Eliza nie zdołała przekonać Wiktorii do pozostania w łóżku. Ale zanim ta się ubrała, minęła dłuższa chwila. Gdy więc obie dotarły do holu na parterze, była już tam baronowa. Pod drzwiami, na krześle, cały czas szlochając, siedziała kucharka, a obok wyprostowany jak struna stał kamerdyner Libitz.

- Pani baronowo. - Kamerdyner westchnął. - To na pewno tylko histeria. Hedwiga sama nie wie, co zobaczyła. Ludzie od kilku dni gadają niestworzone rzeczy, bo była pełnia. To i się zdało kobiecie, że co zobaczyła.

- Nic mi się nie zdało! - Hedwiga podniosła głos. - Wiem, co widziałam, i nie wierzę w żadne wampiry! Ale Bóg mi świadkiem, miał przegryzione gardło!

- Chryste. - Baronowa zrobiła kilka kroków po korytarzu. Jej pantofelki głośno stukały po starych dębowych deskach.

Wiktoria zatrzymała się na schodach.

Przegryzione gardło?! Boże! Co ta kucharka mogła zobaczyć?

- Przegryzione gardło?! - wyrwało się Elizie. - Na miłość boską!

Baronowa zatrzymała się gwałtownie i spojrzała w kierunku obu przerażonych dziewcząt. W pierwszej chwili zdezorientowana, szybko jednak się opanowała i zwróciła do kamerdynera.

- Trzeba posłać kogoś, żeby to zobaczył - powiedziała stanowczo. -

Może się Hedwidze wydaje, a może nie. Różnych zbójów tutaj pełne lasy. Może kogoś zabili.

- Tak jest, pani baronowo. - Libitz skłonił się i chciał odejść, ale baronowa zatrzymała go ruchem ręki.

- Medyk też niech tam idzie. Na wszelki wypadek. Gdzie on w ogóle jest? - dodała.

- Pan Schultz jest w pokoju gościnnym. Możliwe, że spać się już położył.

- To niech go obudzą! I woźnicę wołaj, pewnie siedzi jeszcze w kuchni. Niech odwiezie Hedwigę do domu.

- Kucharkę?! - Kamerdyner, przyzwyczajony do dziwactw swojej ekscentrycznej pani, wołał się upewnić. - Toż to dwie mile jeno.

- Nie będzie w takim stanie do wsi szła. - Baronowa pokręciła energicznie głową i spojrzała w końcu na stojące na schodach Wiktorię i Elizę. - Miejmy nadzieję, że to się tylko Hedwidze zdawało - rzuciła do nich, z założenia uspokajająco, i dostrzegła nagle Lothara, który miał szczególny dar pojawiania się tam, gdzie coś się działo, i wyrósł teraz niespodziewanie w holu, śledząc z ciekawością rozwój wydarzeń. - Lothar. Proszę podać do biblioteki gorącą herbatę - zwróciła się do chłopaka. - Dobrze nam robi. Zapraszam panie - zwróciła się do księżniczki i Wiktorii.

Nagle rozległ się stukot kroków i na schodach pojawiła się Anna von Walter.

- Co tu się dzieje, na Boga? - Obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem Wiktorię i Elizę, a następnie baronową. - Słyszałam czyjś straszliwy krzyk.

- Anno, proszę ze mną do biblioteki! - rzuciła gospodyni z rezygnacją i nie czekając, ruszyła w kierunku swoich komnat.

- Nie muszę paniom chyba tłumaczyć, że skandal jest tym, czego nam tutaj najmniej potrzeba - powiedziała, kiedy wszystkie cztery znalazły się w bibliotece, a pokojówka postawiła na stoliku tacę z filiżankami i herbatą. - Zresztą nie wiemy jeszcze nawet, co tak naprawdę zobaczyła Hedwiga.

- Rozumiem, że lepiej będzie, jeśli nie będziemy o tym za wiele rozmawiać - powiedziała cicho księżniczka i sięgnęła po filiżankę.

- Dokładnie to mam na myśli. - Baronowa pokiwała głową. - Może zresztą to tylko jakieś zwidy. Hedwiga nasłuchiwała się o wampirach i po nocy poniosła ją fantazja.

- Miejmy nadzieję. - Eliza podniosła filiżankę do ust.
- Doszły mnie słuchy, że pani zemdłała na spacerze. - Anna von Walter spojrzała krytycznie na Wiktorię.

Wiktorija skinęła głową.

- W istocie.

- Czy był jakiś szczególny powód, czy to tylko słabość?

- Pyta mnie pani, czy czegoś niezwykłego nie zobaczyłam? - Wiktorija spojrzała porozumiewawczo na Elizę.

- No i takich właśnie rozmówek z innymi gośćmi chcielibyśmy uniknąć - odezwała się z ledwie wyczuwalną ironią w głosie baronowa.

- Po prostu słyszałam te krążące już po wsiach plotki - wyjaśniła Anna.

- Ludzie mówią, że po nocach pod zamek podchodzi wampir. Ta pokojówka Inga to także ponoć przez niego umarła. A teraz to.

- Anno. - Baronowa spojrzała na dziewczynę z mieszaniną przygany i niedowierzania. - Co też ty opowiadasz?

- Zemdlałam na spacerze po obiedzie - odezwała się Wiktorija. - Zatem do nocy to jeszcze wówczas było daleko.

- Ale może wzrok ma pani wyjątkowo dobry?

- Wzrok zaiste mam doskonały, ale rzecz w tym, że wampiry za dnia ze swoich kryjówek nie wychodzą - wytłumaczyła Wiktorija. - Światło słońca rzekomo im szkodzi.

- Dużo pani wie na ten temat.

Wiktorija chciała coś odpowiedzieć, chociaż Bogiem a prawdą, nie bardzo wiedziała co. Z kłopotu wyratował ją Libitz, który zajrzał do biblioteki, obrzucił nerwowym spojrzeniem wszystkie cztery damy i utkwiał wzrok w baronowej.

- Pani baronowo - zawahał się. - Doktor Schultz czeka na panią w holu.

- Czy już wrócili? - Baronowa podniosła się i zwróciła do kamerdynera z niepokojem. - Czy. - urwała. - Te rzeczy, o których opowiadała Hedwiga...

Kamerdyner skinął spokojnie głową.

- W rzeczy samej. Potwierdziły się, niestety.

Baronowa jeszcze w bibliotece zdała sobie sprawę, że nie powstrzyma żadnej z towarzyszących jej dam przed zejściem do holu, i pełna złych przeczuc, idąc na czele niewielkiego konduktu, stanęła przed doktorem Friedrichem Schultzem.

- Proszę mi opisać sytuację, doktorze - zaczęła. - Oszczędzając jednak szczegółów - zastrzegła, wskazując swoje towarzyszki.

W tym momencie spojrzała przez otwarte drzwi ze zgrozą i zobaczyła leżący na ziemi u stóp schodów nakryty płótnem toból.

- Biedaka ktoś zamordował. Lub coś go zamordowało.

- Co też pan mówi?! - Baronowa patrzyła na doktora zszokowana. - Nie chce pan chyba powiedzieć... Że służba te nonsensy o wampirach opowiada, to jeszcze pojmuję, ale pan, doktorze?

- Nie zrozumiała mnie pani. Proszę się nie niepokoić. - Doktor pokręcił głową. - Ktoś po prostu rozszarpał temu nieszczęśnikowi gardło, ale mogło to być także jakieś zwierzę. W tutejszych lasach są przecie wilki.

Baronowa rzuciła szybkie spojrzenie trzem oniemiałym ze zgrozy dziewczętom i pomyślała, że jeśli doktor chciał, aby się nie niepokoiły, to osiągnął efekt wręcz przeciwny.

- Czy wiadomo, kto to jest. był?

- Berajter^[13] hrabiego von Enkevorta - odpowiedział doktor. - Z Hohenziethen. Franz Erdmann.

- Trzeba będzie powiadomić hrabiego - odezwał się stojący obok Libitz. - A właściwie jego syna, końmi on się zajmował.

- Będziemy musieli także wezwać żandarmerię z miasta - dodał doktor Schultz. - Albo i samego landrata powiadomić.

Wiktoria podeszła bliżej drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Wzdrygnęła się, gdy zobaczyła leżące na ziemi zwłoki. Nie był to przyjemny widok, ale gdy wojska Napoleona przechodziły przez Litwę, widziała więcej trupów niż większość ludzi przez całe swoje życie.

- To był narzeczony Ingi Franke - wtrącił nagle wyglądający zza pleców doktora Lothara, a Wiktoria zamarła. Poczowała, jak po plecach maszeruje jej stado zimnych jak lód mrówek.

- Jeszcze tylko tego brakowało. - Baronowa ciężko westchnęła, słusznie tracąc nadzieję na utrzymanie w tej sytuacji całej sprawy w tajemnicy. - Zabierzcie go do stodoły - rozkazała dwóm stojącym przy zwłokach i miętolącym w dłoniach czapki fernalom i odwróciła się do kamerdynera. - Każ siodłać konie i poślij kogoś do hrabiego i po żandarma do miasta. Proszę do mnie, doktorze. - Rzuciła znaczące spojrzenie Schultzowi, a następnie przeniosła wzrok na blade jak ściana Elizę i Annę. -

A wy, panienki, najwyższa pora udać się do pokojów.

Doktor Schultz wszedł do biblioteki, a baronowa starannie zamknęła za nim drzwi.

- A zatem co tak ważnego ma mi pan do powiedzenia, doktorze? - zapytała. - A czego jednocześnie mówić przy panienkach nie należało?

Baronowa miała wypisany na twarzy niepokój, jakby przewidywała rodzące się właśnie kolejne utrapienia.

- Czy to o tego nieszczęśnika chodzi? - ponagliła doktora. - Niech mi pan tylko o wampirach nie opowiada tutaj, bo już czuję, jak słabo mi się robi na samą myśl o plotkach, które niewątpliwie po wsi teraz się rozejdą. Widziałam to wymalowane na twarzach fernali, którzy tego biedaka pod zamek przytaszczyli.

- Śmiercią naturalną chłop nie zszedł. - Doktor westchnął. - Tego możemy być jedynie pewni. Może dokładniejsze zbadanie rany pomoże ustalić, czy zęby jakiegoś drapieżnika, czy też ręka zbrodniarza za tym się nie kryją, ale na tę chwilę tego nie wiadomo.

Schultz spojrział na baronową, jakby oceniając, czy pani na zamku zdoła przyjąć kolejne złe wieści.

- O tej biednej dziewczynie chciałbym pomówić.

- O Wiktorii? - zdziwiła się baronowa. - Toż na zdrową całkiem już wyglądała. Nie licząc bladości na widok zwłok.

- O pani pokojówce, baronowo - powiedział doktor z naciskiem.

- A cóż więcej na jej temat można powiedzieć? Wszak na suchoty umarła biedaczka.

- No więc, takie pewne to, niestety, nie jest. - Doktor wskazał baronowej krzesło. - Może niech lepiej pani usiądzie. Wiadomym jest, że zamek tutejszy to nie najlepsze miejsce dla cierpiących na suchoty. Lekarstwa na to diabelstwo nie ma wprawdzie, ale dobry klimat i ciepłe, suche powietrze mogą człowiekowi życie przedłużyć. A tutaj bagna, mokradła.

- Pojmuję, że ten wstęp ma nas do jakiejś konkluzji doprowadzić? - Baronowa nerwowo postukała w udo złożonym wachlarzem.

- W rzeczy samej. - Doktor pokiwał głową. - Otóż twierdzę, opierając się na mojej skromnej wiedzy, że ta biedna dziewczka na galopujące suchoty nie zesła.

- Jak to? - Baronowa otworzyła wachlarz i zatrzymała się w połowie ruchu, patrząc zaskoczona na lekarza.

- Otóż, jak wiadomo - podjął doktor - ostatnie stadium tego choroby to silne krwioplucie i osłabienie takie, że z łóżka człowiek już się dźwignąć nie jest w stanie. Chory jest wychudzony i zabiedzony tak, że jak szkielet wygląda. Tymczasem ta dziewczka całkiem krągła była jeszcze, a jedyne dolegliwości, o których słyszałem, to kaszel silny, z którym się zmagala.

- Zatem przeziębienie ją zabiło? - Baronowa zaczęła się wachlować. Intuicja jej podpowiadała, że rozmowa przybiera właśnie coraz gorszy obrót.

- Dwie charakterystyczne rzeczy zaobserwowałem. - Doktor wyjął z kieszonki surduta notes i przewrócił kilka kartek. - Dziewka miała zaciśnięte dłonie, do krwi prawie, i wytrzeszczone oczy. Dlatego też o braku powietrza pomyślałem od razu. Udusiła się najpewniej...

- Więc to płuca?

- Powiem wprost, baronowo. - Doktor ciężko westchnął i z trzaskiem zamknął swój notes. - Na mój rozum ktoś jej z tego świata zejść pomógł.

Eliza wpatrywała się w Wiktorię z otwartymi ustami. Wiktorii, której generalnie daleko było do wesołości, przemknęło jednak przez myśl, że jest to jedna z tych bardzo rzadkich chwil, w których Eliza zapomniała o tym, że noszenie tytułu jednego z najznamienitszych europejskich rodów do czegoś zobowiązuje.

- Jak to? - wydukała księżniczka. - Wczoraj w nocy? I widziałaś to na własne oczy? Ale. Jesteś pewna?

- Czy jestem pewna, że zadusił tę dziewczynę? - zapytała Wiktorii, nie bardzo wiedząc, co przyjaciółka ma na myśli. - Przez cały ranek nad tym się zastanawiałam. Łudziłam się, że mi się przywidziało, że to wina ponczu. - Pokręciła głową. - Ale gdy zobaczyłam tę maskę.

- To była ta maska?! - Eliza wytrzeszczyła oczy. - I ja wzięłam ją do rąk?!

- Nie ma pewności, że to ta akurat - uspokoiła ją Wiktorii. - Kilku panów miało takie maski.

- Przecież doktor powiedział, że zmarła na suchoty. - Eliza wciąż nie potrafiła zaakceptować tego, co usłyszała.

- Nie doktor, tylko twoja fraucymer - sprostowała Wiktorii. -

Wprawdzie sama słyszałam, że strasznie kaszłała, ale... - Spojrzała na Elizę z przerażeniem, jakby coś sobie uświadomiła. - Zadużył ją poduszką! Teraz jestem tego pewna.

- Teraz? - Eliza wciąż wyglądała na osłupiałą i skołowaną jednocześnie. - Dlatego że kaszłała?

- Dlatego że znaleźli tego biedaka.

- Tego koniuszego?

- Kawalkatora - sprostowała odruchowo Wiktoria. - Z Hohenziethen.

Wszak to nie może być przypadek.

- Na miłość boską! - Eliza nagle zakryła usta dłonią.

- W dodatku to był narzeczony tej pokojówki baronowej. To się musi jakoś łączyć.

- Wielki Boże! - Eliza spojrzała nagle z przerażeniem na Wiktoria. - A co z suknią i pantofelkiem?

Wiktoria, oderwana od swoich myśli, wpatrywała się w Elizę zdezorientowana. Nie bardzo wiedziała, co księżniczka ma na myśli. Nagle stwierdziła, że musi dostać swoją własność z powrotem? W takich okolicznościach?

- No są w moim pokoju - odpowiedziała w końcu.

- Wiki! Przecież tam łatwo można wejść. - Eliza wstała, zdenerwowana przeszła przez pokój i zatrzymała się przy drzwiach. - Twój pokój jest na uboczu. Ktoś się tam wkradnie i zobaczy ten pantofelek. Schowałaś go gdzieś? Suknię też, mam nadzieję?

Wiktoria, skupiona na sporej wartości zarówno sukni, jak i pantofelka, nie od razu zrozumiała, o co chodzi Elizie.

- Przecież widziałaś mordercę! - Eliza patrzyła na Wiktoria zniecierpliwiona.

- Nie widziałam. - Wiktoria pokręciła głową. - Był w masce.

- Ale on może się teraz obawia, że jakoś go skojarzysz. Po sylwetce, sposobie poruszania się. Przecież tobie grozi niebezpieczeństwo!

- Dopóki nie wie, kim jestem, nic mi nie grozi.

- Dlatego musimy schować suknię i pantofelek! - Eliza podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. - Najlepiej od razu!

- Ktoś morduje pokojówkę baronowej, a potem jej narzeczonego. - Wiktoria siedziała na krześle, wpatrując się w podłogę. - Wcześniej widziałam, jak Bruno rozmawiał z tą dziewczyną, a ona płakała. Co ich

mogło łączyć? - Podniosła wzrok na Elizę. - A co, jeśli to Bruno jest tym potworem w masce doktora plagi?

- Po co miałyby zabijać ich oboje? - Eliza podeszła do szafy i otworzyła ją z rozmachem.

- Aż wstyd mi o tym mówić. - Wiktoria spuściła wzrok, wbijając go w podłogę. - A jeśli ona była przy nadziei?

- Z nim? - zapytała zszokowana Eliza.

- Ten berajter, jej narzeczony, dowiedział się o tym. Może szantażowali hrabiego?

- Na jakim świecie ty żyjesz?! - Eliza ponownie zajrzała do szafy. - Mógł się wyprzeć. Nikt nie podważałby słów hrabiego przeciw oskarżeniom pokojówki. Świat jest pełen nieślubnych dzieci pokojówek i różnych hrabiów czy książąt.

- Jaki zatem motyw miał morderca? - Wiktoria się zamyśliła.

- O, to się nada! - Eliza wyciągnęła z szafy długi płaszcz z sobolowym kołnierzem. - To jest największy kawał materiału, jaki mam - powiedziała, rzucając płaszcz na łóżko. - Po co ja to w ogóle zabrałam na polowanie?

- Co ja mam niby z tym zrobić? - Wiktoria spojrzała zdumiona na piękny płaszcz Elizy.

- Pójdiesz i przyniesiesz w tym suknię. - Eliza zamknęła szafę. - Torby nie możesz zabrać, bo jak byś się wytłumaczyła, gdyby ktoś zapytał? Gdzie niby z torbą się udajesz?

- A twój zimowy płaszcz łatwiej będzie mi usprawiedliwić?

- Późnojesienny. Zawsze możesz powiedzieć, że wysłałam cię na dół, bo został pobrudzony.

- Przecież mogłaś wezwać służbę.

- Byłam zbyt wzburzona. Kazałam ci go zabrać i zażądać wyczyszczenia.

- To grubymi nićmi szyte. - Wiktoria wstała i stanęła nad łóżkiem, wpatrując się w drogi wełniany płaszcz księżniczki.

- Lepiej, żeby o mnie plotkowano, że jestem sekutnicą, niż żeby ciebie ktoś zabił. Zawiniesz suknię i pantofelek w płaszcz i przyniesiesz go tutaj. U mnie nikt nie będzie tego szukał ani mnie podejrzewał, bo połowę balu paradowałam bez maseczki.

Baronowa siedziała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń,

i analizowała w myślach straty i kłopoty, jakie mogą jej przynieść koszmarne rewelacje, które właśnie jej przedstawił doktor Schultz. Wśród obaw na pierwszym miejscu były oczywiście jej relacje z dwojgiem dzieci, które po śmierci męża, księcia Ludwika Ferdynanda, król na wychowanie oddał jej bratowej, księżnej Fryderyce. Skandal, który właśnie się tutaj szykował, mógł ją pozbawić możliwości ich widywania. Nawet bez specjalnego udziału w tym tego łajdaka, któremu miała zapłacić trzydzieści tysięcy talarów.

Baronowa zacisnęła dłonie na wachlarzu.

Nie miała w zwyczaju się poddawać. Związek z księciem, wzgarda i niedbałość ze strony jego rodziny, nadanie tego żalosnego tytułu baronowej tylko po to, żeby mniej wstydlivy był związek księcia z córką kapelusznika. A potem Ludwik zginął, zostawiając ją z tym wszystkim, a przede wszystkim zostawiając ją bez siebie. Przetrwała to, a i potrafiła się odplacić swoim prześladowcom. I gdy po latach utarła nosy berlińskiej śmietance i zdołała osiągnąć niekwestionowaną pozycję w tej napuszonej, arystokratycznej hałastrze, miałyby to stracić przez jakieś wiejskie kryminały?

Spojrzała twardo na doktora.

- Doktorze - powiedziała stanowczo. - To się nie może roznieść.

- Żandarmeria pewnie tu ściągnie nad ranem.

- Dla sprawy zabójstwa tegoż berajtera z Hohenziethen. I to także w największej tajemnicy musi pozostać.

- Nie rękę za pani fernali, którzy dźwigali ciało. - Doktor spojrzał na baronową z powątpiewaniem.

- Już przekazałam odpowiednie instrukcje. Mają pary z gęby nie puszczać pod groźbą odprawienia ze służby. Mają tutaj dobrze aż za bardzo, więc rozpowiadać nie będą.

- Pozostańmy dobrej myśli zatem, chociaż ja aż takiej pewności jak pani, baronowo, nie podzielam.

- Jaki ktoś mógł mieć powód, żeby to biedne dziecko zabijać? - Baronowa nagle westchnęła ze złością. - Jaki łajdak mógł to zrobić?

- Wydaje mi się, że mam pewne podejrzenia także i co do tego - powiedział doktor. - Ale nie jest to oparte na wiedzy medycznej, a jedynie na przeprowadzonym przeze mnie wywiadzie na temat denatki, więc pewności mieć nie będziemy. Chyba że na badanie *post mortem* rodzina by

zgode dała.

- Panie doktorze, proszę nie trzymać mnie w niepewności. - Baronowa utkwiała spojrzenie w lekarzu, który chrząknął i z lekka zakłopotany odpowiedział:

- Wszystko wskazuje na to, że Inga Franke była w stanie błogosławionym, chociaż w tej sytuacji to określenie jest mocno nie na miejscu.

- O Chrystusie! - Baronowa ukryła twarz w dłoniach. - Im dłużej rozmawiamy, tym gorzej to wszystko wygląda. - Spojrzała na doktora z rezygnacją. - Kto w ogóle panu to zdradził?

- Kucharka. Była, zdaje się, powiernicą tej biedaczki.

Baronowa przez moment wpatrywała się w milczeniu w przestrzeń.

- A być tak nie mogło, że to ten narzeczony, gdy się dowiedział, to ją zadusił? - zapytała, spoglądając na doktora. - Ten berajter, jak mu było? Erdmann. Z tego, co mi mówiono, aniołkiem nie był, a Inga to nie pierwsza dziewczyna, której w głowie zawrócił.

- A jego kto potem zaszła. Kto mu podciął gardło znaczy?

- Może to wilki rzeczywiście?

- Taka ewentualność jest oczywiście możliwa, baronowo, ale rzekłbym, że mało prawdopodobna.

Baronowa westchnęła. Intuicja jej podpowiadała, że kłopoty się dopiero zaczynają. Zawsze tak było. Biegały stadami, nigdy pojedynczo. Jak szczury.

Wiktoria, oglądając się co chwilę za siebie, szybkim krokiem przeszła przez długi, ciemny korytarz. Dotarła do swojego pokoju, włożyła klucz do zamka, przekręciła i wemknęła się do środka. Odetchnęła dopiero, gdy zamknęła za sobą drzwi. Sam fakt, że o tej porze gdzieś chodziła, mógł być wielce podejrzany, a co tu dopiero mówić o kontrabandzie z szynem z gronostajów.

Włożyła klucz do zamka od środka i przekręciła. Sprawdziła jeszcze klamką, czy drzwi są zamknięte, i dopiero wtedy dopadła łóżka, odrzuciła koc i kołdrę i odetchnęła z ulgą. Suknia leżała na prześcieradle, dokładnie tak, jak zostawiła ją rano. Na szczęście służba nie ścieliła pokoiów w tej części zamku. Dwórki musiały same o siebie zadbać.

Rozłożyła na pościeli płaszcz Elizy, a następnie położyła na nim złożoną suknię i bolejąc nad tym, że po takich przygodach pewnie do

krawcowej do renowacji będzie musiała trafić, zawinęła ją połami płaszcza.

Jeden ocalały po balu pantofelek też stał na dnie szafy - tam, gdzie go postawiła. Wyjęła go, owinęła ściereczką i także położyła na płaszczu Elizy.

Złożyła w końcu wszystko i przewiązała paskiem. Nawet gdyby jej gdzieś ten toból po drodze wypadł, to tak łatwo nie ujawniłby swojej zawartości.

Pozostawało przemknąć się z powrotem do pokoju Elizy.

Wiktoria spojrzała na drzwi i po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Zamek o tej porze był już całkiem ciemny. Jedynym źródłem światła był tylko kaganek, który ze sobą tutaj przyniosła.

Przypomniała sobie nagle te wszystkie opowieści o straszących tutaj duchach spalonych na dziedzińcu czarownic i upiorach pomordowanych mnichów. Wzdrygnęła się. O tym, że czekała ją jeszcze potem taka sama droga z powrotem, nawet teraz nie chciała myśleć.

Duchów specjalnie się nie bała. W każdym litewskim dworze, także w wielkim, starym dworzyszczu jej rodziców, straszyły jakieś duchy. Także w pałacu babci pod Kłajpedą widywano rzekomo upiory jakichś szwedzkich żołdaków. Wiktoria była zatem przyzwyczajona do gości z zaświatów i specjalnie jej nie przeszkadzali.

Gorzej z żywymi upiorami. W ptasich maskach.

Być może gdzieś w zamku przebywał właśnie ten potwór. Może czaił się w którymś z pokojów, przebrany za dnia w niegroźną, nobliwą powłokę jakiegoś gościa baronowej.

Oderwała wzrok od drzwi i westchnęła. Będzie musiała w końcu stąd wyjść i im szybciej to zrobi, tym lepiej. Wzięła związany w toból płaszcz Elizy, zabrała ze stołu kaganek i podeszła do drzwi.

Policzyła do dziesięciu i nacisnęła kłamkę.

Korytarz był spowity tą charakterystyczną ciszą starego domostwa, w której zawsze słychać trzaski i odgłosy rozmaitych domowych bóstw opiekuńczych.

Wiktoria cicho położyła pakunek na ziemi i ostrożnie zamknęła drzwi. Ogień kaganka lekko falował, rzucając na ściany długie, drżące cienie. Podniosła płaszcz i ruszyła w kierunku schodów. Światło wydobywało po kolei fragmenty korytarza - kolejne metry dębowej podłogi, sztukaterie na sufitach i ciemne, rozrzeźbione panele boazerii. Z ciemności wyłaniały się po kolei stare obrazy, na których pod wpływem światła świecy ożywały

jakieś dawno zapomniane postaci.

Korytarz kończył się sienią, z której schody prowadziły na drugie piętro. Wiktoria, stawiając kroki na kamiennej posadzce, poczuła chłód na plecach. To tutaj, kilka kroków dalej, było to koszarne, ukryte w ścianie przejście. Zamknęła na chwilę oczy i przemknęła przez sień, starając się nie patrzeć w tamtą stronę.

Wbiegła po schodach na górę i znalazła się w korytarzu głównej części gościnnej.

Miała do przejścia kilkanaście metrów dzielących ją od głównych schodów, za którymi mieściła się część piętra przeznaczona dla najbliższej rodziny. Ścisnęła pod pachą płaszcz i ruszyła, starając się stawiać kroki jak najciszej. Była w połowie drogi, gdy nagle jedne z drzwi zaczęły się powoli otwierać. Wiktoria zamarła, ściskając pod pachą swój tobołek i czując, jak trzęsie się jej dłoń, w której trzyma kaganek.

Drzwi z cichutkim skrzypieniem otworzyły się, zasłaniając skrzydłem kogoś, kto wyszedł z pokoju i zatrzymał się w zupełnej ciszy.

Wiktoria wstrzymała oddech.

Kobieta wyszła z zamku bocznym wejściem. Od tej strony zachowane były krużganki. Dostawione do starej ściany fortecy, kończyły się schodami prowadzącymi na wieżę.

Dziewczyna owinęła się połami peleryny i schowała za filarem krużganka. Niepokojnie spojrzała w kierunku wejścia do zamku.

Powinien już tutaj być, jak mógł kazać jej czekać? W końcu to on zaproponował to spotkanie. Schadzkę! Nie oszukujmy się, w oczach postronnych to była schadzka. Zgodziła się na schadzkę, czyli rzecz, która, gdyby ktoś ich zobaczył, mogła zrujnować jej dobre imię. Miała tylko nadzieję, że nikt o tej porze nie będzie tutaj chodził. Pochodnie płonęły tylko przy głównym wejściu, krużganek schowany był w ciemności, więc dekonspiracja była na szczęście mało prawdopodobna. Choć tak naprawdę było jej już wszystko jedno.

Rozejrzała się dookoła.

Dziedziniec zamku tonął w ciemności rozjaśnionej tylko drgającym światłem pochodni. Na drugim piętrze paliły się jeszcze świece w kilku pokojach, a na pierwszym jedynie okna biblioteki przy komnatach baronowej jarzyły się jasnym światłem.

Od strony jeziora słychać było głośny szum liści starych wierzb

i cykanie zachwyconych wyjątkowo ciepłą jesienią świerszczy. W ogrodzie za zamkiem śpiewały nocne ptaki.

Kobieta przeszła cicho pod sklepieniami krużganka i stanęła za kolejnym filarem.

Od strony mostu nad dawną fosą rozległy się nagle kroki i na dziedziniec wszedł mężczyzna w długim czarnym płaszczu i nasuniętym głęboko na twarz kapturze.

Kobieta wychyliła się zza filara. Serce waliło jej jak oszalałe i miała wrażenie, że wyrwie jej się z piersi. Nie kryły się za tym żadne romantyczne względy, nie tym razem. Raczej emocje wynikające z potajemnego spotkania i łamania konwenansów.

Mężczyzna spostrzegł ją i przystanął. Powoli zsunął kaptur. Był wyjątkowo blady. W ciepłym świetle pochodni jego twarz wydawała się wręcz biała. Zdziwiła się, ale gdy spojrział na nią, zobaczyła, że to nie błądność. Mężczyzna miał na twarzy maskę.

Wiktoria starała się nie oddychać. Jednocześnie miała świadomość, że trzyma w dłoni kaganek, którego światło w zupełnie ciemnym korytarzu i tak zdradza jej obecność.

Drzwi zaczęły się powoli zamykać. Wiktoria zamarła w oczekiwaniu, kogo za nimi zobaczy. Przemknęło jej przez myśl, żeby odwrócić się i uciec z powrotem do swojego pokoju. Ale jeśli ten ktoś miał złe zamiary, łatwo zdołałby ją dogonić. Do drzwi jej pokoju droga była stanowczo zbyt długa.

Drzwi uchyliły się na tyle, że ukazał się fragment jakiejś postaci. Ktoś wyjrzał zza skrzydła. Wiktoria zobaczyła przerażone oczy, świdrujące ją spod staroświeckiej szlafmicy z pomponem kołyszącym się na długim sznurku.

- Przenajświętsza Panienko! - zawołał głośno jegomość i złapał się za pierś. - Przecież ja prawie ze strachu trupem nie padłem. Co też panienka robi tutaj po nocy?

Wiktoria odetchnęła z ulgą. Gdyby miała się przyznać, to sama też o mało co nie padła trupem. Widok pokaźnej sylwetki tajnego, berlińskiego radcy Ernsta von Danckelmana był prawdziwym ukojeniem dla nerwów.

- Śpieszę do księżniczki - odpowiedziała. - Potrzebuje, biedna, mojej pomocy. Po wczorajszym balu dojść do siebie jeszcze nie może.

- No wcale się jej nie dziwię. - Tajny radca podrapał się po brodzie. - Ja

też nie mogę dojść do siebie po tej ilości znakomitych trunków, które nam zaserwowała baronowa. A cóż ty tutaj dźwigasz, panienko?

Radca obrzucił zaciekawionym spojrzeniem kontrabandę ukrytą w wykwinnym płaszczu Elizy.

Wiktoria zeszywniała i zacisnęła dłoń na trzymanym pod pachą tobołku.

- Płaszcz księżniczki, panie radco. Przy okazji go zabrałam. Jutro zapowiada się oziębienie i księżniczka chętnie się w niego ubierze.

- Oziębienie? - Radca zmarszczył krzaczaste brwi i zrobił krok w kierunku Wiktorii. - Pierwsze słyszę. Pogoda wszak dzisiaj piękna była jak latem.

Wiktoria odsunęła się pod ścianę.

- A pokaż mi no ten płaszcz, ptaszyno. - Tajny radca wyciągnął rękę i położył ją na talii Wiktorii. - Po cóż to dźwigać takie ciężary?

Wiktoria z przerażeniem się zorientowała, że mężczyzna przejechał grubymi palcami po jej boku z wyraźnym zamiarem przesunięcia ich wyżej, ku jej piersiom.

Przylgnęła do ściany, zachodząc w głowę, czy cenniejsza jest dla niej w chwili obecnej konieczność ukrycia tożsamości utrapionej Cinderelli z wczorajszego balu, czy obrona czci.

- Ależ co pan robi? Panie radco! - Odepchnęła go, silniej przyciskając do boku płaszcz i rzucając mu oburzone spojrzenie.

- No, no, tylko bez rezonowania tutaj. - Tajny radca zbliżył się ponownie do Wiktorii, a jego palce znowu wylądowały na jej pasie. - Czy ty przypadkiem czegoś nie wynosisz z zamku? Kto to widział, tak pod osłoną nocy po korytarzach biegać. Nie chcesz chyba, żebym księżniczki poszedł zapytać?

Wiktoria odwróciła się gwałtownie, odpychając od siebie natręta, i w tym momencie ze zwoju płaszcza wysunął się owinięty w ściereczkę pantofelek i upadł na podłogę.

Wiktoria zamarła, czując, że zbladła.

- A co my tu mamy? - Ernst von Danckelmann spojrział na Wiktorię z lubieżnym uśmiechem. - Jakieś małe tajemnice? - To mówiąc, pochylił się w kierunku zawiniątka.

Wiktoria z całej siły odepchnęła radcę. Mężczyzna zatoczył się i poleciał na przeciwległą ścianę. Gdy złapał równowagę, spojrział na

Wiktorię z wściekłością.

I nagle, gdzieś na zewnątrz, rozległ się rozziewający krzyk, a po chwili coś gruchnęło, tak jakby zawalił się fragment zamku.

Wiktor i radca znieruchomieli, wpatrując się w siebie z przerażeniem.

Wiktor pierwsza oprzytomniała. Pochyliła się, złapała ściereczkę z pantofelkiem i ruszyła biegiem w kierunku schodów.

Mężczyzna miał na twarzy jedną z tych białych teatralnych maseczek, jakie na wczorajszym balu miało wielu mężczyzn.

Pomyślała, że to paradne. Nie spodziewała się po nim takiej hipokryzji. Chciała z nim najpierw pomówić, dowiedzieć się, co miał na swoją obronę. Nie zamierzała wytaczać najcięższych dział, ale była przekonana, że tym się to jednak skończy.

Mężczyzna ruszył ku niej. Cofnęła się w głąb podcienia. Widziała, jak gdzieś w zamku zamigotało światło, jakby ktoś szedł korytarzem. Uśmiechnęła się pod nosem. Takie nocne eskapady miały oczywiście jeden cel, wiadomo jaki.

Mężczyzna minął filar i zatrzymał się o krok od niej. Słyszała jego oddech. Wciąż uważała, że maska to dziecinada, ale skoro koniecznie chciał być aż tak ostrożny, to tym lepiej wróżyło. Widać dbał jednak o swoją reputację.

Nagle mężczyzna chwycił ją wpół i przyciągnął do siebie. Poczula, jak wali jej serce i jakby woda sodowa uderzyła jej do głowy, a po całym ciele rozlało się gorąco.

Odchyliła głowę, a mężczyzna złapał ją mocniej i sięgnął pod połę swojego płaszcza.

Zamknęła na moment oczy. Zaskoczył ją. Tego się po nim nie spodziewała.

Nagle poczuła ból na szyi. W pierwszej chwili pomyślała, że ją ugryzł, i przebiegł ją dreszcz, ale ból stawał się coraz mocniejszy.

Usiłowała go odepchnąć, ale ścisnął ją mocniej. Zaczęła się szarpać, czując, jak w miejsce podniecenia pojawia się strach.

Szarpnęła jeszcze raz i wykorzystując to, że udało jej się wyswobodzić, kopnęła go z całej siły w piszczel.

Warknął głośno, a w jego oczach zobaczyła wściekłość. Dostrzegła też, że w jednej ręce trzyma nóż. Ostrze błysnęło w świetle pochodni, a strach

rozlał się w niej jak ogień.

Uśmiechnął się. Nie widziała tego, bo jego twarz była schowana za białą, upiorną maską, ale zobaczyła to w jego oczach.

Odepchnęła go gwałtownie i odskoczyła do tyłu. Chyba się nie spodziewał, że tak zareaguje, bo zatoczył się i stracił równowagę. Wykorzystała to i rzuciła się do ucieczki. Nie miała szans dobiec do bocznego wejścia, o głównym nawet nie wspominając. Ale tuż obok miała schody na wieżę, z których można było dostać się do starego skryptorium przy bibliotece. Rzuciła się w ich kierunku, złapała za drewnianą poręcz i nie oglądając się za siebie, wbiegła po wysokich kamiennych stopniach.

Za plecami słyszała stapanie jego butów. Nie śpieszył się.

Wpadła na pierwsze piętro i podbiegła do starych drewnianych drzwi, z których sterczała klamka, przypominająca mordę jakiegoś średniowiecznego stwora. Chwyciła za nią i w tym samym momencie domyśliła się, dlaczego jej prześladowca się nie śpieszył.

Drzwi były zamknięte.

Szarpnęła nimi raz jeszcze. Stare wierzeje nawet nie drgnęły.

Zrozpaczona rozejrzała się wokół. Jej wzrok padł na wąskie schody prowadzące gdzieś w górę. Z dołu dobiegł ją stuk kroków. Mężczyzna powoli wchodził na piętro.

Rzuciła się na schody, wbiegła na górę i stanęła przed wykutą w ceglanej ścianie wnęką, w której tkwiły kolejne, opancerzone stalowymi okuciami drzwi. Szarpnęła za klamkę i znalazła się wewnątrz wieży. Wzdłuż jej ścian wiodły na górę drewniane schody.

Rozejrzała się, szukając jakiegoś miejsca, w którym mogłaby się ukryć, ale wewnątrz przypominało ogromny ceglany komin. Na środku posadzki była wielka stalowa krata. Kazamaty - przypomniała sobie słowa ochmistrzini. To tam wrzucano więźniów.

Za stalowymi drzwiami na kamiennej posadzce rozległy się kroki.

Dziewczyna rzuciła się do schodów i trzymając się kurczowo drewnianej, spróchniałej poręczy, zaczęła wbiegać po trzeszczących stopniach. Była może w połowie drogi, gdy na dole rozległ się łoskot otwieranych drzwi. Zatrzymała się i spojrzała w dół. Akurat w momencie, gdy jej prześladowca podniósł twarz i w świetle wpadającego przez wąskie otwory strzelnicze światła zobaczyła koszmarną trupioblada maskę.

Przerażenie chwyciło ją za gardło jak dzikie zwierzę. Rzuciła się do

góry, myśląc jednocześnie, że stąd nie ma ucieczki. Nie było innego wejścia na wieżę.

Przecisnęła się przez ostatni, wykuty w ścianie fragment schodów, i ciężko dysząc, wypadła na wieżę. Nad głową miała niebo, na którym świecił ogromny, jasny księżyc, a dookoła szumiały ciągnące się całymi milami ciemne lasy. Tylko jezioro jaśniało srebrnym księżycowym blaskiem.

Nie spuszczać z oczu drzwi w ceglany kiosku, cofnęła się i dotknęła rękami zimnej ściany krenelażu, który obiegał wieżę dookoła.

W ziejącym ciemnością otworze usłyszała kroki i po chwili, zlewając się wręcz w swoim ciemnym, długim płaszczu z otaczającym go mrokiem, w wejściu na wieżę pojawił się on. Koszmarna biała maska błyszczała w świetle księżyca.

Dziewczyna przyłgnęła plecami do zimnej ceglanej blanki. Kątem oka zobaczyła podwórzec zamku. Światła pochodni drgały na wietrze, zamieniając dziedziniec w jakieś pogańskie miejsce kultu, zagubione w ciemnych po horyzont lasach.

- Czego chcesz ode mnie?! - krzyknęła zdesperowana do stojącej wciąż nieruchomo przy wejściu na wieżę postaci. - Nie ujdzie ci to na sucho! Będę wzywać pomocy!

Odwróciła się i wychyliła przez krenelaż. Nabrała powietrza w płuca.

- Pomocy! - krzyknęła na cały głos.

Mężczyzna ruszył i jednym susem znalazł się przy niej. Złapał ją za szyję i szamoczącą się i wyrywającą przyciągnął do siebie.

- Gdzie są klejnoty? - warknął, zbliżając maskę do jej twarzy.

- Nie wiem! - wycharczała dziewczyna. - Naprawdę nie wiem!

- Kłamiesz!

- Nie wiedziałam nawet, że zginęły!

Mężczyzna zacisnął dłoń na szyi swojej ofiary.

- Myślałaś, że można mnie oszukać? Powiesz, gdzie są klejnoty, albo zginiesz!

- Nie wiem! Uwierz mi! - Dziewczyna szamotała się, usiłując oderwać od swojej szyi rękę mężczyzny. - Nie wiem!

- Masz ostatnią szansę! - Mężczyzna warknął i wypchnął dziewczynę przez krenelaż, tak że wychyliła się do tyłu, kurczowo zaciskając ręce na jego ramieniu.

Nagle rozległ się łoskot i w dół posypały się okruchy cegły i zaprawy.

- Boże! - wrzasnęła przerażona dziewczyna. - Pomocy!

Fragment krenelażu nagle pękł. Wszystko na chwilę zatrzymało się, niczym obraz uchwycony przez camera obscura, po czym dwie blanki runęły w dół, zabierając ze sobą wrzeszczącą dziko dziewczynę.

Po chwili jej krzyk gwałtownie się urwał i słychać było tylko łoskot spadających na dziedziniec resztek cegieł i kamieni.

Rozdział 18

Bagna Karoliny Północnej

Gdy Karen otworzyła oczy, ujrzała klęczącego nad nią Patryka. W pierwszej chwili nie zrozumiała, dlaczego jest umorusany ziemią i błotem, a na policzku ma świeżą, niezagojoną jeszcze szramę. Dopiero gdy dotarło do niej, że leży na piasku, a wokół szumią jakieś powyginane drzewa i wysokie trawy, przypomniała sobie, gdzie jest i co się stało.

Gwałtownie uniosła się i zaczęła kaszleć. Rozejrzała się dookoła.

Wąska spłacheć piasku była malutką wyspą w morzu zieleni. Kilkanaście metrów dalej leżał wbity w gąszcz, częściowo zatopiony w rzece samolot.

- Chryste! - Patryk odetchnął z ulgą. - Wpadłaś do wody. Chyba się w coś uderzyłaś. Musiałem ci zrobić sztuczne oddychanie. To cud w ogóle, że pamiętałem, jak to się robi.

- A gdzie. - Karen nie skończyła, poczuła ból w okolicach skroni i skrzywiła się.

Patryk nie musiał odpowiadać. Przy samolocie pojawił się Howe, a za nim dwóch jego ludzi. Taszczyli z wnętrza hydroplanu jakiś wielki pakunek. Jennifer Linton siedziała na pniu zwalonego drzewa i trzymała w objęciach stalowy pojemnik.

- Zabrała mi komórkę. - Karen spojrzała z wściekłością w stronę kobiety.

- Twoja komórka leży teraz pewnie gdzieś na dnie rzeki. - Patryk westchnął i usiadł obok Karen na piasku.

- Co oni robią? To chyba ponton? - Karen patrzyła, jak dwóch mężczyzn rozkłada manele na trawie. W dziurze po urwanych drzwiach samolotu pojawił się ponownie Howe, taszcząc jakieś urządzenie. Podszedł z nim do swoich ludzi i zaczęli przy nim wspólnie manipulować.

- Przy chacie Lintonów zostało dwóch ludzi. - Patryk przyglądał się poczynaniom mężczyzn. - Ciekawe, czy będą po nich wracać?

- Tamci myśliwi na łodzi pewnie zawiadomili już policję. - Karen potarła dłonią czoło.

- O ile ich łódź nadawała się do płynięcia - mruknął Patryk.

Howe patrzył, jak ponton powoli napęnia się powietrzem. Na pokładzie hydroplanu musi być jakaś szalupa. Zawsze tak mówił i jak widać, miał rację. Jego mózg najlepiej działał w trybie stresu. Te kilkanaście minut, w czasie których wygrzebywali się z rozbitego samolotu, fragment jego umysłu poświęcił na szybkie oszacowanie strat, zysków, następstw i konsekwencji. Dobrze, że dziewczyna przeżyła. Jeszcze jeden trup tylko by sprawę bardziej skomplikował. Wystarczą ochroniarz i pilot. To była napaść. Chata należy do Lintonów, jest tutaj z Jennifer Linton, a ci pieprzeni myśliwi zaczęli do nich strzelać. Do tego wcześniej ci dwoje usiłowali się włamać do domu. Trzeba tylko jak najszybciej zawiadomić policję. Napad z włamaniem.

Oczywiście wszystko będzie dużo prostsze, jeśli Henry Linton nie przeżyje, ale bez tego jego prawnicy też go z tego wyciągną z łatwością.

Spojrzał w kierunku dwojga włamywaczy, jak zaczął ich już nazywać w myślach, po czym ruszył ku nim.

- Ponton jest za mały - rzucił bez wstępów. - Nas jest czworo, a mamy jeszcze dwóch ludzi, których musimy zabrać. Zostali postrzeleni, nie wiadomo, w jakim są stanie. Wam nic nie jest. Musicie tutaj poczekać na policję. Wezwiemy ich, jak tylko będziemy mieli zasięg.

- Nie możecie nas tutaj zostawić. - Patryk spojrzał z niepokojem w kierunku gęstych szuwarów przy brzegu.

- Przyplłynęliście tutaj z własnej woli. Wdarliście się na teren prywatnej własności. Nie wiem też, czy ci na łodzi to nie wasi wspólnicy. Zamordowali dwoje ludzi.

- To pana ludzie zaczęli strzelać!

- Pańskie słowo przeciw mojemu. A fakty są takie, jak wspomniałem. Ktoś was tutaj przywiózł przecież. Pewnie nie będzie kłamał.

Howe patrzył zimnym wzrokiem na Patryka.

Patryk zamilkł. Mężczyzna miał w ręku parę asów, rzeczywiście. A długi proces w Stanach to najgorsze, co mogłoby ich jeszcze spotkać.

Jakieś dwadzieścia minut wcześniej i pół kilometra na zachód Mike

z przerażeniem obserwował samolot, który, rzeżąc, pikował prosto w zarośla. Terrence musiał postrzelić pilota. Kurwa, co tu się działo. Oderwał wzrok od nieba i dostrzegł pojękującego Noaha. Terrence obwiązywał mu właśnie ramię znalezionymi w łodzi bandażami. Mike powiódł spojrzeniem po zakrwawionym ramieniu Noaha. Chłop musi trafić jak najszybciej do lekarza. Trzeba chyba wyjąć kulę.

Spencer stał na mostku i grzebał w jakichś urządzeniach.

- Trafili w radio! Kurwa! - zaklął. - A tu nie ma zasięgu.

- Musimy płynąć - odezwał się Terrence, patrząc z niepokojem na Noaha. - Przynajmniej do Rzeki Aligatorów musimy się dostać. Tam jest zasięg.

- A ci ludzie? - Mike wskazał ręką miejsce na horyzoncie, gdzie przed chwilą zniknął samolot.

- Masz do wyboru ratować kumpla albo pomóc bandziorem - warknął ze środka Spencer. Nagle silnik łodzi zaterkotał.

- Wezwiemy pogotowie i gliny, jak tylko złapiemy zasięg. Jeśli popłyniemy za nimi, to znowu zaczną do nas strzelać. - Terrence podniósł się i usiadł na burcie łodzi.

- O ile ktoś przeżył - stwierdził filozoficznie Mike.

Żał mu było tego chłopaka i dziewczyny. Miał jeszcze przed oczami, jak ten biedak biegnie i wrzeszczy, żeby ich zabrali.

Łódź drgnęła i terkocząc, popłynęła w kierunku zwężenia rozlewiska, gdzie zaczynał się kanał.

Patryk z bezsilną złością obserwował, jak ponton odbija od brzegu i odpływa. Jennifer pamiętała, żeby sprawdzić jeszcze jego komórkę. A zaraz potem jeden z bandziarów rzucił ją w wodę.

Zostali sami na spłachetku piasku, w samym środku rezerwatu aligatorów. No już lepiej chyba być nie mogło. Po krótkim namyśle stwierdził jednak, żeby wypluć te słowa. Takie złe autoprzepowiednie ostatnio wyjątkowo chętnie się sprawdzały.

Karen, nie czekając nawet, aż ponton zniknie im z oczu, zerwała się i pobiegła do samolotu.

Kadłub leżał wbity w gęstą zieleń, opleciony połamanymi gałęziami. Jego dziób tkwił w wodzie, tak że na powierzchni widać było tylko okna. Gdy weszła do wnętrza, samolot zatrzeszczał. Dziewczyna odruchowo

złapała się za futrynę wyrwanych drzwi. Na tyłach samolotu była niewielka ładownia, a właściwie otwarta przestrzeń, w której leżała masa porozrzucanych bambetli. Widać było wyraźnie, że Howe i jego ludzie, wynosząc ponton, torowali sobie drogę w najprostszy możliwy sposób - rozrzucając wszystko na boki. Karen weszła tutaj w nadziei znalezienia czegoś, co przyda im się w buszu.

Jeśli do wieczora nie nadejdzie pomoc, będą musieli gdzieś przenocować.

- Nawet go nie wynieśli - powiedział Patryk grobowym głosem, spoglądając na przód samolotu.

Karen podążyła za jego wzrokiem i wzdrygnęła się.

Od razu pomyślała, że nocleg we wnętrzu samolotu utrudni unoszące się na wodzie, zablokowane pasami w fotelu ciało pilota.

- Mam nadzieję, że to był bandzior z ich spółki, a nie zwykły wynajęty przewoźnik. - Patryk ukucnął przy jakimś tobole i szarpnął za zamek. We wnętrzu były sztormiaki i wysokie buty. - Widać samolot brał udział w bardzo urozmaiconych misjach - mruknął sarkastycznie, grzebiąc we wnętrzu worka. - Ale to się przyda! - powiedział z entuzjazmem, wyjmując długą latarkę.

Wcisnął przycisk i wnętrze samolotu załało jasne, ledowe światło.

- Musimy coś postanowić. - Karen usiadła na połamanym fotelu. - Zostajemy tutaj czy przedzieramy się do daczy Lintonów?

- Co przemawia za przedzieraniem się?

- Łódka. Leżała na brzegu przy pomoście.

- Ona tam leży od dwudziestu lat pewnie. Poza tym tam zostali ci dwaj. - Patryk skinął głową w kierunku, w którym, jego zdaniem, leżała bagienna posiadłość Lintonów.

- Obaj zostali postrzeleni. Howe mówił, że mają ich zabrać. Drugi argument to nasze plecaki z żarciem. Też zostały na pomoście.

Patryk podniósł brwi. Był głodny od dłuższego czasu, ale natłok wydarzeń nie pozwolił mu sobie tego uświadomić.

- No i to jest argument - powiedział.

- Tu za to jest transponder. - Karen skinęła głową w kierunku zatopionego pod wodą pulpitu pilota. - Będą szukać samolotu.

Patryk wzruszył ramionami.

- Nikt nie wie, że w nim byliśmy. Nas będą szukać wokół chaty

Lintonów.

- Już nas szukają. - Karen przypomniała sobie okrzyki myśliwych. - Ktoś musiał kazać im sprawdzić, co się z nami stało.

- A wiemy w ogóle, w którym kierunku jest chata Lintonów?

- Musimy po prostu dojść do kanału i iść wzdłuż niego na wschód. - Karen wyciągnęła z worków dwa sztormiaki i rzuciła jeden na kolana Patrykowi. - W nocy może być chłodno - odpowiedziała, widząc pytające spojrzenie chłopaka.

Igor wpakował plecak do miejsca na bagaż i spojrzał w okno. Lotnisko na Heathrow zalane było przedwiecznym słońcem, a do samolotu wchodzili ostatni pasażerowie, przeciskając się korytarzem między siedzeniami.

- Nie wiem, czy dobrze robimy, zostawiając Dermota i Jamiego z tym bajzlem.

- Prawnik i księgowy - parsknął Johann, nie odrywając oczu od laptopa. - Lepiej nie można.

- Znasz ich. - Igor westchnął, siadając obok Johanna. - Miejmy nadzieję, że nie wpakują nas w jakieś kłopoty. To konsorcjum wybrało nas dlatego, że jesteśmy małą i stosunkowo nieznaną firmą eksploracyjną, więc pewnie liczą na niższą cenę.

- Ale za to obsługę prawną zapewnia nam kancelaria Carmondeleyów. Nawet oni nie mają lepszej. Nie podskoczą.

Igor pokiwał głową. To była akurat prawda. Stryj Dermota prowadził jedną z najbardziej renomowanych kancelarii prawniczych w Londynie. Koneksje rodzinne zapewniały im klientów w najwyższych sferach i takie też stawki. Przypomniał sobie miny menadżerów z firmy geologicznej, którzy przyszli do nich na pierwsze rozmowy i usłyszeli nazwisko Carmondeley. Uśmiechnął się pod nosem. Jak to Kayah kiedyś śpiewała: „Rodzina to jest siła!”.

W tym momencie od razu przypomniał sobie, po co w ogóle leci popołudniowym lotem do Waszyngtonu, i ponownie się zdenerwował.

Znajomi Dermota z amerykańskiej kancelarii zdołali ustalić tylko tyle, że Karen i Patryk byli przesłuchiwanymi przez policję stanową w Richmond, a sprawę napadu na plantację Lintonów prowadzi biuro szeryfa hrabstwa James City w Williamsburgu. Tym samym jednak ustalili dwie rzeczy - złą,

że faktycznie Karen i Patryk byli na farmie w momencie napadu, ale i dobrą - że nic im się nie stało. Policja nakazała im pozostać kilka dni w Richmond. Nie zamknęli ich. Tym bardziej było zatem dziwne, że nie odbierali telefonów. Po zeszłorocznych wydarzeniach, kiedy Karen o mały włos nie zginęła w podziemiach pewnego zamku na Kresach, wolał zdusić w zarodku wszelkie nowe jej pomysły. Gdyby o wszystkim, co działo się rok wcześniej, dowiedziała się Natasza, nie odezwałaby się do niego do końca życia. A matka pewnie także nie dałaby mu żyć.

I choć nie było w tym jego winy, wiedział, że już sam fakt, że pozwolił, żeby Karen wciągnęła się w jego ciemne sprawy, jak ich działalność nazywała Natasza, byłby wystarczająco obciążającym dowodem.

- O tej szkatule łowców wampirów jest sporo informacji w necie - odezwał się Johann znad swojego laptopa. - To lokalna legenda.

- Lokalna, czyli jaka? - zapytał Igor tylko po to, żeby oderwać myśli od zamartwiania się o siostrzenicę.

- Tajemnice i legendy z okresu wojny o niepodległość, Waszyngtona i Deklaracji niepodległości. Posłuchaj tego.

Przechodząca między rzędami stewardesa wskazała z uśmiechem na pasy. Igor odwzajemnił uśmiech i posłusznie zapiął czerwoną klamrę na brzuchu.

- Jedna z legend z okolic Williamsburga jest związana z plantacją Arnim Creek, dzisiaj nazywaną farmą Lintonów - przeczytał Johann. - Przechowywana była tutaj znana miejscowym szkatuła łowców wampirów, którą przywieźli rzekomo z Europy pierwsi osadnicy na początku dziewiętnastego wieku.

- Dermot o tym czytał - mruknął Igor.

- Ale to nie wszystko. Słuchaj dalej. Według opowieści krążących po Wirginii pierwotna zawartość szkatuły była podobno niezwykle cenna. Nikt dzisiaj nie wie, czy były to arcyważne dokumenty, za którymi mógł stać jakiś dworski spis z czasów Napoleona, czy też niezwyklej wartości klejnoty pochodzące z jakiegoś europejskiego skarbcza...

- Boże - prychnął Igor. - To teraz już wiem, czemu Karen się tym zainteresowała. Zwłaszcza że jak pamiętam, Dermot czytał, że szkatuła pochodziła ze Szczecina.

- Zawartość szkatuły przepadła dokładnie w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku - kontynuował Johann. - Według jednej

z legend została skradziona przez piratów, których okręt zatonął gdzieś na Atlantyku, a według innych trafiła na pokład żaglowca Albion, który zatonął u wybrzeży Irlandii. Tajemnicę tę zabrał być może do grobu jeden z amerykańskich ojców założycieli John Jay, ponieważ to jego nazwisko znalazło się na inskrypcji, która wyryta została wraz z datą tysiąc osiemset dwadzieścia dziewięć na wieku szkatuły.

- Kupa bzdur - podsumował Igor. - Na Wschodnim Wybrzeżu Stanów jest od groma takich opowieści. O skarbach piratów, korsarzy, konfederatów wywożących złoto przed żołnierzami Unii i tak dalej.

- To jeszcze ciekawsze. - Johann uśmiechnął się pod nosem i spojrzał mimochodem na Igora. - Ej. nie przejmuj się tak. Pewnie nic im nie jest i tylko się wygłupimy, lecąc na pomoc.

- Miejmy nadzieję - mruknął Igor. - Co jest jeszcze ciekawsze?

- Słuchaj. - Johann ponownie utkwiał wzrok w ekranie laptopa. - Inna legenda związana z Arnim Creek mówi o wampirach. Według niej pierwsi właściciele plantacji uciekli z Europy, gdyż wyszło na jaw, że mają krew skażoną przez ugryzienie wampira.

Igor prychnął i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- W drugiej połowie dziewiętnastego wieku jeden z Lintonów, ekscentryczny pastor Archibald, przeprowadził nawet komisyjne otwarcie trumien założycieli plantacji. Zachowane archiwalia nie podają jednak, z jakim efektem.

Johann skończył i spojrzał na Igora.

- Nieźle, nie? - spytał. - I to tę szkatułę kupiła Karen! Sądysz, że ta afera to z jej powodu?

Igor wzniosł oczy do sufitu.

- Jeżeli znajdziemy Karen żywą i zdrową - powiedział z naciskiem - to wpakuję ją do samolotu i odeślę do Szwecji. Razem z tą cholerną szkatułą!

Patryk szarpnął za kolejne zagrządzające im drogę gałęzie i przedarł się pod nimi.

- Chyba się jednak zgubiliśmy - stwierdził i westchnął ciężko, opierając się o pień na w pół uschniętego drzewa namorzynowego.

- To, czym idziemy, wygląda jak jakaś ścieżka. - Karen otarła pot z czoła i rozejrzała się niepewnie. - Więc chyba idziemy w dobrym kierunku.

- Jest osiemnasta. - Patryk spojrział na zegarek. - Słońce zachodzi około dwudziestej pierwszej. Mam nadzieję, że znajdziemy do tego czasu chatę Lintonów.

- Nasłuchuj silników łodzi. Muszą nas zacząć szukać.

- Samolot spadł po siedemnastej. - Patryk wyciągnął dłoń i zaczął liczyć na palcach. - Zanim dopłynęli gdzieś, gdzie był zasięg, żeby kogoś powiadomić.

- Mogli mieć radio - przerwała Karen.

- Zgoda. - Patryk kiwnął głową. - Powiadomili kogoś o strzelaninie, do tego dochodzi rejwach w biurze szeryfa, ustalanie kompetencji, telefony.

- Nie przesadzaj. To nie Warszawa.

- Powiedzmy. godzinę - kontynuował Patryk. - Dwie godziny tutaj się płynie. To zaczną nas szukać dopiero koło dwudziestej pierwszej. A dodaj do tego, że nie wiemy, gdzie się mieści siedziba tutejszej policji i jak mają stamtąd daleko.

- To chyba hrabstwo Dare, o ile pamiętam mapę. - Karen rzuciła w wodę gałązkę, którą bawiła się od dłuższego czasu. - Coś właśnie przyszło mi do głowy. Nie będziesz zachwycony.

- Co takiego? - Patryk spojrział na nią podejrzliwie.

- Pomyślałam, że tę ścieżkę to niekoniecznie ludzie wydeptali.

Carter Moore rzucił na stół kilka wydruków, które przesłał mu rano Mike, usiadł na biurku i kiwając nogą, spojrział na swoich podwładnych.

- Ian Howe - powiedział, stukając długopisem w jeden z papierów. - Właściciel sporej firmy inwestycyjnej z Waszyngtonu. Żona zajmuje się handlem nieruchomościami.

- Ale bogacze - mruknął Mike.

- Kilka razy proponował, że odkupi farmę Lintonów. Henry nie chciał się zgodzić. Mam wrażenie, że zarówno była żona, jak i syn byliby natomiast z tego powodu bardzo szczęśliwi. Jennifer Linton sprawia wrażenie bogatej, ale jak się okazuje, miała ostatnio kłopoty, nietrafione inwestycje i w rzeczywistości ma spore problemy finansowe.

- Przecież nic by nie dostała ze sprzedaży farmy - wtrąciła Mia, przeglądając na komórce linki na temat Jennifer. - I tak dostała sporo po rozwodzie.

- Syn jest głównym spadkobiercą. - Carter sięgnął po wydruk.

Niby wszystko było na dysku. Mógł to obejrzeć na laptopie, ale wolał jednak papier. Zawsze można było wydruk przykleić na ścianie, żeby nic nie umknęło. Mieć pod ręką.

- James Oswald Linton - przeczytał. - Mieszka i pracuje w Nowym Jorku.

- Ten monitoring komputera Lintona to oni założyli - dodała Mia. - Jennifer się sama przyznała, że poprosiła o to syna, rzekomo w obawie przed oszustami.

Do pokoju zajrzał nagle młody policjant w granatowym mundurze biura szeryfa hrabstwa James City.

- Gadacie o Lintonach? Dobrze słyszałem? - zapytał.

- Pytasz z ciekawości? - Carter obrzucił młodego policjanta poirytowanym spojrzeniem. Liczył na to, że napad na farmę szybko da się zamknąć. W końcu była ofiara i był sprawca, a tymczasem przez wyczyny tych dwojga młodych idiotów sprawa stała się wiralem i miejscową sensacją. O napadzie na farmę napisały wszystkie gazety i co chwilę pojawiały się nowe wrzutki na różnych portalach. Ale co się dziwić. Tak naprawdę to tu się niewiele działo poza łamaniem przepisów podatkowych i przekraczaniem prędkości.

- Otóż nie. - Pucułowaty chłopak uśmiechnął się szeroko. - Przyszła wiadomość z biura szeryfa w Manteo. Pocahontas i John Smith wybrali się na wycieczkę i podobno zaginęli, a na bagnach była strzelanina.

- Co takiego? - Carter osłupiał. - Manteo? To Karolina Północna. Mieli, kurwa, nie opuszczać stanu!

Mia sięgnęła po laptop i otworzyła skrzynkę biura szeryfa.

- Strzelanina w rezerwacie aligatorów - przeczytała. - Jakiś samolot tam się też rozbił.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - Carter sięgnął po telefon i wybrał numer szeryfa hrabstwa Dare.

Karen poślizgnęła się na mokrej, bagnistej trawie i upadłaby, gdyby idący z tyłu Patryk nie wykazał się refleksem i nie złapał jej za ramię.

- To nie mogło być aż tak daleko - jęknęła, opierając się o pień zwalonego drzewa. - Samolot spadł tuż po starcie. Mam wrażenie, że kręcimy się w kółko.

- Możliwe. - Patryk pokiwał głową i wytarł czoło.

- Robi się coraz ciemniej. - Karen rozejrzała się dookoła. - Między tymi drzewami jest już cień. Jak nie znajdziemy tej cholernej chaty, to utknijemy tutaj w całkowitej ciemności.

- Nie w całkowitej. - Patryk zapalił latarkę i wycelował ją w ciemność między drzewami, które przed chwilą wskazała głową Karen. Snop światła wydobył z mroku poskręcane, uschnięte gałęzie i sterczące z wody konary.

- Może powinniśmy jednak wrócić do samolotu? - zapytała Karen.

- Ja nie wiem, czy my tam trafimy. - Patryk westchnął i usiadł na zwałonym pniu. - Może jednak trzeba było się stamtąd nie oddalać. Postępujemy jak typowi bohaterowie amerykańskiego slashera.

- Tylko nie zaczynaj z horrorami dziejącymi się na bagnach.

- Poczekaj. - Patryk podrapał się w głowę. - Tak od razu to żaden nie przychodzi mi do głowy. Poza *Rekinado*, *Szarknado* i tym podobnymi. Niech pomyślę.

Karen opuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

- Ale jestem zmęczona - powiedziała Karen, przecierając oczy. - Nawet nie mam siły, żeby cię wyśmiewać z powodu tego gówna, które oglądasz.

Patryk przejechał światłem latarki po najbliższych szuwarach i pniach drzew.

Karen nagle podniosła wzrok.

- Coś błysnęło - powiedziała, wpatrując się intensywnie w mrok. Pomyślała, że przyzwyczajenie Patryka do wyszukiwania podobieństw między słynnymi filmami jest chyba zaraźliwe, bo od razu przed oczami stanęły jej sceny z *Blair Witch Project*^[14] i grupa studentów błądzących po lasach stanu Maryland. Do diabła! To nawet niedaleko. Czy już do końca pobytu w Stanach będą ich prześladować cholerne amerykańskie horrory dziejące się na Wschodnim Wybrzeżu?

- A to nie okna? - spytał nagle Patryk.

Karen zdążyła pomyśleć, że jak w mordę - chata czarownicy, ale przypomniała sobie, dokąd idą.

- Dacza Lintonów? - Podniosła się gwałtownie i zaczęła wypatrywać ścieżki między drzewami. - Idziemy! - zakomenderowała.

Igor i Johann wylądowali na lotnisku Ronalda Reagana w Waszyngtonie około dwudziestej, co oczywiście zawdzięczali

pięciogodzinnej różnicy czasu. Po kolejnej godzinie, już mierzonej w ujęciu liniowym, znaleźli się z kolei w Richmond.

- Jednak lepiej byłoby chyba, gdyby Dermot z nami poleciał. - Igor rozglądał się po terminalu, szukając reklamy wynajmu samochodów.

- Nie doceniasz go - odparł ze śmiechem Johann, wskazując brodą młodego faceta w szarej marynarce i białej koszuli, który trzymał nad głową planszę z napisem Johann & Igor.

- Tom Willander z Pearson and Hardman - przedstawił się z szerokim uśmiechem.

- Szeryf z Williamsburga nie chciał nam za wiele powiedzieć, bo nie mieliśmy żadnego umocowania prawnego, ale coś tam zdołaliśmy ustalić - powiedział prawnik, gdy jechali już w stronę centrum miasta. - Pocahontas... to jest, przepraszam - uśmiechnął się - pana bratanica i jej chłopak, niestety, wbrew zaleceniom policji opuścili stan i. - zawahał się - są poszukiwani obecnie w hrabstwie Dary.

- Poszukiwani? - Igor zmarszczył brwi. Do tej pory myślał o Karen i Patryku w charakterze ofiar. Teraz okazało się, że amerykańska policja ma na ten temat trochę inne zdanie.

- Wybrali się na wycieczkę łodzią. - Prawnik sięgnął po tablet. - Zwiedzają Narodowy Rezerwat Rzeki Aligatorów, ale z tego, co wiemy, zaszły tam jakieś nieprzewidziane wydarzenia. Samolot spadł w bagna - skończył enigmatycznie.

- Dlatego są poszukiwani? - Igor zareagował jak każdy, kto słyszy słowo „aligator” w zestawieniu z członkiem swojej rodziny.

- Pół godziny temu miejscowy szeryf wszczął poszukiwania samolotu. Tyle nam powiedzieli.

Mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Po kilkudziesięciu metrach przedzierania się przez szuwary i brodeniu w sięgającej miejscami po kolana wodzie ujrzeni chatę Lintonów. Stała pod osłoną wielkich, rozczapierzonych na tle ciemniejącego nieba drzew. Na brzegu rozlewiska widać było odcinający się od wody pomost.

- Widzisz kogoś? - zapytał Patryk, wypatrując zza pnia drzewa.

- Howe mówił, że mają ich zabrać, więc pewnie to zrobili. - Karen weszła ostrożnie w szuwary porastające dawne trawniki wokół domku i ukucnęła nagle na syk Patryka. - Po co mnie straszysz? - zapytała

z irytacją po chwili ciszy, gdy oboje przestali oddychać.

- Wydawało mi się, że coś słyszałem - odpowiedział chłopak. - Stamtąd. - Machnął ręką w kierunku brzegu.

- Jakaś ryba albo jakieś stworzenie może się tam tapla. - Karen podniosła się i ostrożnie zaczęła iść w kierunku domku.

Od strony, z której wyszli, mieściło się owo boczne wejście do kuchni, którym dostali się do budynku za pierwszym razem.

Patryk, cały czas spoglądając w kierunku pomostu, poszedł za Karen. Boczne drzwi nie były zamknięte, a przyknięte jedynie, i w przeciągu z wnętrza domu uderzały we framugę.

Karen pchnęła je i znaleźli się ponownie w kuchni.

- Zanim obejrzymy tę łódź na brzegu, przeszukajmy dom. Nie pamiętam, czy tam były wiosła.

- Dziurawą łodzią bez wioseł - mruknął Patryk, wchodząc na skrzypiące schody. - Po rzece aligatorów.

- Widzę, że jednak twój sarkazm jest większy niż głód - zakpiła Karen.

- O rany! - Patryk zatrzymał się w połowie schodów. - Przypomniałaś mi! Sądzisz, że nie zabrali naszych plecaków?

- Mój nadal leży rozwalony w kuchni. - Karen, stojąc w progu, wskazała brodą stół.

Po chwili oboje przeglądali wysypaną kilka godzin wcześniej przez jednego z ochroniarzy zawartość plecaka Karen.

- Oczywiście tablet zniknął - powiedziała ze złością. - Pieprzeni złodzieje!

- Ale mi tego było trzeba - wymruczał z zadowoleniem Patryk, wbijając zęby w herbatnik. - Przecież wszystko masz w Google - dodał, widząc strapioną minę swojej dziewczyny.

- Nie jestem pewna, czy wszystko. Nie wiem, czy te ostatnie zdjęcia listów zdążyły się przenieść do chmury, jak się szarpałam z tą kurwą w samolocie. A moja komórka leży teraz na dnie kanału.

- Siła wyższa - mruknął bezmyślnie Patryk, skupiony na kolejnym herbatniku.

- Cała ta nasza eskapada wzięła w łeb, a ty się obżerasz herbatnikami!

- Kanapek boję się ruszyć - odpowiedział Patryk z pełnymi ustami. - Nie wiem, co tutaj po nich łążyło.

Karen spojrzała niepewnie na zawiniętą w folię kanapkę i irytując się

jednocześnie na siebie, że ulega podszeptom Patryka, odsunęła ją na bok. Resztę rzeczy wpakowała do plecaka i wyszła do sieni.

- Gdzie oni mogli trzymać kajak albo coś takiego?

- Przy pomoście - parsknął Patryk. - Jak tam nie ma, to gdzie chcesz znaleźć? W sypialni?

Karen, puszczając tym razem mimo uszu gadanie chłopaka, wspięła się na schody i zaczęła systematycznie zaglądać do każdej szafy i szafki.

Rozczarowana po kilkunastu minutach ruszyła na schody, trzymając się ostrożnie poręczy, ponieważ w domu było już prawie całkiem ciemno. Gdy była na dole, dostrzegła w kuchni światło latarki. Weszła do środka i zobaczyła otwartą klapę w podłodze, z której wydobywała się poświata.

- Patryk! - Podeszła bliżej i zajrzała do dziury, w której widać było drabinę.

Z wnętrza dobiegł jakiś rumor.

- Patryk! - krzyknęła głośniejszym głosem. - Jeśli chcesz mnie przestraszyć.

Nie skończyła, bo u stóp drabiny pojawiła się najpierw jakaś brudna paka, a zaraz potem Patryk.

- Co ty tam robisz? To jakiś loch? - Karen przez moment sama nie wiedziała, co ją bardziej interesuje.

- Żaden loch - sapnął Patryk, taszcząc po schodach tobół. - To takie fundamenty, jak w amerykańskich domach. Ta chata stoi na palach wyniesionych nad ziemię, pewnie zauważyłaś?

Patryk wyciągnął z dziury pakę i rzucił ją na podłogę.

- Voila! - powiedział i uśmiechnął się szeroko.

- Co to jest? - Karen wpatrywała się w brudne pudło.

- Ponton! - powiedział z dumą Patryk. - Dwuosobowy. I jest nawet pompka.

Niezrażony złapał pakę i wyniósł ją przed dom, gdzie było trochę jaśniej niż wewnątrz. Nad wodą unosiła się poświata odbijanych resztek dziennego światła.

- Chyba wolałabym jednak, żeby ta łódka, co leży na brzegu, była sprawna - powiedziała po kilku minutach Karen, obserwując, jak zielony ponton wędkarski powoli napęlnia się powietrzem.

- Nie marudź. - Patryk zablokował wentyl i się podniósł. - Mamy tylko jedno wiosło - powiedział, patrząc na dołączony do pontonu niewielki, plastikowy pagaj.

- Czy aby na pewno chcemy gdzieś płynąć? - zapytała pełna wątpliwości Karen. - Na wodzie jest ciemno, w tych wąskich kanałach dalej nie będzie nic widać.

- Nikt nas nie szuka. Albo ci myśliwi wszyscy nie żyją. - Patryk złapał za ponton i zaczął go ciągnąć w kierunku brzegu. - Albo policja ma gdzieś turystów.

- Nie gadaj głupot. Przecież rozbił się samolot. Na pewno szukają.

Jakby na potwierdzenie jej słów, na niebie rozległ się warkot i nad rozlewiskiem pojawił się śmigłowiec. Miał włączony reflektor, którym przeczesywał teren.

Patryk i Karen jak na komendę rzucili się do brzegu i zaczęli wrzeszczeć, machając jednocześnie rękami.

Patryk, który machał włączoną latarką, wszedł po kolana do wody i nagle potknął się o coś, o mały włos nie lądując nosem w przybrzeżnych szuwarach.

- Co za durnie! - jęknęła Karen, patrząc na oddalający się helikopter. - Nie widzieli nas.

- Karen... - Patryk nagle stanął i spojrzał pod nogi, a następnie zaczął ostrożnie się wycofywać, świecąc latarką w wodę.

- Co znowu? - Karen patrzyła na chłopaka z niepokojem.

Patryk nagle krzyknął i wyskoczył na brzeg.

Z wody wyłoniło się ciało mężczyzny. W jasnym świetle latarki widać było brudną, czerwoną od krwi koszulę i tył unoszącej się na wodzie głowy.

- Chryste! - Karen zasłoniła usta dłonią. - To jeden z tych dwóch bandziorów.

- Ale czemu tu jest tyle krwi? - Patryk spojrzał przestraszony pod nogi. Na brzegu, na fragmentach jasnego piasku i niskich przybrzeżnych trawach czerwieniały plamy i bryzgi.

- Został przecież postrzelony.

Patryk patrzył na Karen, przestraszony.

- Jakie to ma znaczenie. - Karen nie odrywała wzroku od plamy światła, w której pływał zakrwawiony trup.

- Bierzmy ten ponton i wynośmy się stąd! - Patryk odwrócił się i schylił po wiosło. - Na wodzie, na otwartej przestrzeni prędzej nas zobaczą.

- Nie tak szybko! - Nagle dobiegł ich czyjś głos.

Karen aż podskoczyła ze strachu. Powoli się obróciła i zobaczyła stojącego wielkiego czarnoskórego draba. Tego samego, który pilnował ich w chacie.

Mężczyzna miał przewiązane białą szmatą ramię i pobrudzone krwią rękawy koszuli.

- To przez ciebie, skurwielu, Barney nie żyje - warknął do Patryka, kiwając pistoletem w kierunku unoszącego się na wodzie trupa. - Gdybyś nie wydarł mordy, to nie byłoby strzelaniny.

- Strzelaniny by nie było, gdyby wasi nie zaczęli strzelać - odparł Patryk, cofając się o krok od pontonu.

- Zamknij się - rzucił mężczyzna. - Weź ponton i wepchnij go do wody - rozkazał. - I rzuć do niego wiosło. A potem oboje się odsuńcie!

- Chce nas pan tutaj zostawić?

- I to też wrzucić! - Afroamerykanin wskazał oczami trzymaną przez Patryka latarkę.

- Przecież już nas szukają. - Patryk miał na myśli, że facet nie zdoła uciec policji, ale zabrzmiało to nieco niejasno.

- To znajdą - prychnął mężczyzna. - Jazda! - Kiwnął głową do Patryka.

Patryk spojrzał na Karen, a następnie pochylił się nad pontonem, złapał za trzymadło na jego dziobie i pociągnął do brzegu. Wszedł po kolana do wody, wciągając za sobą łódkę.

Przez głowę przemykały mu różne scenariusze ucieczki, ale wszystkie rozbijały się o trzymany przez draba pistolet. Nawet jeśli wyrzuci latarkę, to ten w ciemności może ich wystrzelać. Nie uciekną. Zresztą dokąd mieliby uciekać?

Rzucił pagaj do kołyszącego się pontonu.

Mężczyzna wszedł do wody i stanął nad wciąż pływającym zakrwawionym trupem.

- Zabiorę jego dokumenty i broń - powiedział do Patryka. - A jeśli chociaż drgniesz, strzelę ci prosto w łeb. - To powiedziawszy, pochylił się nad martwym kolegą i nie spuszczać z oka Patryka, sięgnął do jego marynarki.

Karen zmartwiła nagle i nawet chciała ostrzec mężczyznę, ale zabrakło jej po prostu powietrza w płucach. Kilka metrów od brzegu najpierw pojawiła się smuga, a zaraz potem woda się zakotłowała. Niespodziewanie wyłoniła się potężna paszcza i bestia rzuciła się na

zakrwawione szczątki mężczyzny. Czarnoskóry drab wrzasnął dziko i upadł na plecy w wodę.

Rozdział 19

*Dawno, dawno temu.
W królestwie Prus.*

Henrietta nie mogła zasnąć. W zasadzie trudno było się temu dziwić. Najpierw śmierć pokojówki, potem jej fatyganta, chociaż to określenie raczej nie oddawało istoty ich związku.

Henrietta parsknęła w duchu. Berajter z Hohenziethen specjalnie fatygować się nie musiał. Owszem, kawaler niczego sobie. Rosły, gibki, mnóstwo dziewcząt wodziło za nim wzrokiem, a i dam podobno także.

Baronowa westchnęła. Biedna dziewczyna. Będzie musiała odnaleźć rodzinę biedaczki i jakoś im tę stratę zrekompensować. Jak większość służących, którzy mieli trochę szczęścia, żeby znaleźć dobrą pracę, dziewczyna wysyłała jakieś grosze dla rodziny. Pochodziła gdzieś spod Kolberga. Baronowa ponownie westchnęła. Jutro poprosi Grete, żeby popytała wśród służby o rodzinę tej biednej Franke. Ochmistrzyni będzie wiedziała, co robić, a ona tylko wyjmie sakiewkę, gdy będzie już wiadomo co i jak.

Henrietta powiodła spojrzeniem po stojącym na środku biblioteki globusie i regałach pełnych starych ksiąg. I po co właściwie jej to wszystko? Z jej pieniędzmi mogła mieć wygodną, piękną willę gdzie indziej. Może w Baden- Baden albo w Nadrenii, albo w Vichy we Francji nawet. Tymczasem dla pozycji towarzyskiej utrzymuje snobistyczny pałacyk w Berlinie i ten ogromny, upiorny zamek, w którym pracuje cała armia służących. Po śmierci Ludwika nie zwolniła nikogo, nawet kamerdynera, który był osobistym służącym księcia, a teraz nie miał praktycznie żadnych obowiązków. Jej przydawał się właściwie tylko jako głównodowodzący całą tą czeredą.

A rodzina Ludwika nie kwapiła się z łożeniem na utrzymanie zamku, mimo że formalnie to była ich własność, a do niej należał jedynie dożywotnio. Nie mogłaby go nawet zostawić ani Louisowi, ani Blanche

w spadku. Mimo to płaciła horrendalne kwoty za utrzymanie średniowiecznej fortecy na pomorskich bagnach.

Tylko dlatego, że było to ulubione miejsce Ludwika.

Niewesołe rozmyślenia baronowej przerwał nagle mrozący krew w żyłach krzyk, po którym na zewnątrz coś głośno łupnęło, a w bibliotece zatrzęsa się podłoga.

Wiktoria, taszcząc w objęciach tobół z suknią, przebiegła korytarz i wypadła na klatkę schodową. Usłyszała, jak w części dla gości otwierają się drzwi. Przebiegło jej przez myśl, że krzyk może nie, ale ten grzmot potężny gdzieś na dziedzińcu obudziłby chyba umarłego. Wszyscy tutaj mieli jeszcze w pamięci wojnę z Napoleonem, więc pewnie z wystrzałami z dział od razu hałas im się skojarzył.

Co też to mogło być, na Boga! Weszła do części dla najbliższej rodziny i zobaczyła, jak w pokoju Elizy otwierają się drzwi.

- Co się znowu dzieje? - spytała księżniczka. Miała wypisane na twarzy przerażenie.

- Pojęcia nie mam. - Wiktoria wyminęła ją i wpadła do pokoju.

W ostatniej chwili, ponieważ w pokoju obok otworzyły się kolejne drzwi i w progu stanęła zaspana księżna Fryderyka.

- A co też tu się wyprawia? - Obrzuciła spojrzeniem swoją córkę, ubraną jeszcze w zwykłą dzienną suknię. Tylko gwałtownemu wyrwaniu z objęć Morfeusza Eliza mogła zawdzięczać, że matka tego nie zarejestrowała.

- Chwileczkę, mamusiu. - Cofnęła się do pokoju, chwyciła szlafrok i ponownie stanęła w drzwiach.

- Dziecko, czy ty byłaś przed chwilą w negliżu? - Księżna Fryderyka patrzyła na córkę ze zgrozą. - Na korytarzu?!

- A cóż miałam mieć na sobie, wyrwana ze snu takimi hałasami? - Eliza od dawna doskonale wiedziała, że w relacjach z matką atak był najlepszą formą obrony.

W oknach zabłyśły nagle światła, a z dziedzińca dobiegły głośne okrzyki.

Wiktoria, która w tym czasie narzuciła na siebie drugi szlafrok z szafy Elizy, wyjrzała przez jedno z okien na korytarzu. Na podwórku pod zamkową wieżą stał już tłumek ludzi. Świeciły trzymane w rękach

pochodnie i lichtarze.

Nagle Wiktoria domyśliła się, co zaszło. Księżę przecież wspominał o dawno nieremontowanym zwieńczeniu wieży.

- To krenelaż się zważył! - powiedziała do stojących za nią księżnej i Elizy.

- Musimy to zobaczyć! - Eliza ruszyła w kierunku schodów.

- A wy dokąd?! - Księżna zawołała za córką. - W szlafrokach? Po nocy?

- Oj, mamó. - Eliza zrobiła zbolaną minę. - Pod twoim wpływem jestem tak rozsądna i zrównoważona, że dla samej równowagi powinnam czasem coś płochego zrobić.

- Znowu te głupoty! Eliza! - Księżna krzyknęła za zbiegającą po schodach księżniczką. - Na co się tak patrzysz? - syknęła do Wiktorii. - Biegnij za nią! Niech ona tam sama wśród służby się nie pęta!

Gdy zbiegły do holu, napotkały tam, także owiniętą szlafrokiem, baronową, która dzierżąc w dłoni wielki lichtarz, zmierzała w kierunku drzwi.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyście tam chodziły. - Spojrzała z troską na obie dziewczyny.

- Tylko rzucimy okiem. - Eliza zbiegła za baronową ze schodów i po chwili wszystkie trzy stały już na zewnątrz.

Dziedziniec zamku migotał w świetle płonących pochodni, a na ścianach drgały i falowały długie cienie sylwetek kręcących się wokół studni ludzi.

- Boże! - Baronowa westchnęła. - Cała służba wyległa! Dawno takiej atrakcji tutaj nie było!

Wiktoria zastanawiała się, czy baronowa nie żartuje. Dopiero co wszak przynieśli do zamku ciało zamordowanego berajtera.

- Opatrzność musi z nas sobie kpić - odezwała się myśląca jak widać o tym samym Eliza. - Tej samej nocy takie przypadki.

I w tym momencie jedna z kobiet pod wieżą, owinięta wielką, burą chustą pomocnica kuchenna, zaczęła głośno krzyczeć, wskazując coś palcem.

Kilku mężczyzn rzuciło się do niej i zaczęło przerzucać cegły.

- Co tam się stało?! - Baronowa owinięła się ciasniej szlafrokiem

i ruszyła w kierunku służby, która z szacunkiem rozstąpiła się przed nią.

- Jakiś człowiek tam leży, jaśniepani - odezwał się stary klucznik, którego Wiktoria pamiętała, jak trzy dni wcześniej w nocy snuł stare opowieści z przeszłości zamku.

Starzec nerwowo miał czapkę.

Baronowa wyminęła go i podeszła do leżącej pod wieżą sterty gruzów. Spomiędzy cegieł wystawały jasna suknia i fragmenty krótkiej pelerynki.

- Jezu Chryste! - Baronowa zasłoniła usta dłonią.

Służący odrzucili ostatnie cegły i oczom Elizy i Wiktorii, które przybiegły w ślad za baronową, ukazała się martwa, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w rozgwieżdżone niebo Anna von Walter.

Piekło, które rozpętało się chwilę później, trudno było porównać z czymkolwiek wcześniej, chociaż ostatnie dni w zamku obfitowały w tragiczne wydarzenia. Szlochającą pomocnicę kucharki odprowadzono do zamku, a baronowa kazała dać jej sole trzeźwiące, bardziej po to, żeby ją uciszyć, niż jej pomóc.

Służba nie chciała się rozejść, w podnieceniu obserwując rozwój wydarzeń i słusznie spodziewając się dalszych komplikacji. W końcu do akcji wkroczył kamerdyner Libitz i pod groźbą obcięcia pensji nakazał rozejść się do pokojów.

Baronowa poleciła zanieść ciało nieszczęśnicy do kaplicy zamkowej, a kaplicę zamknąć na cztery spusty. Wezwany na miejsce doktor Schultz mógł jedynie stwierdzić, że biedna Walterówna skreśliła sobie kark.

- Natychmiastowa śmierć. - Pokiwał głową, stojąc nad ciałem Anny von Walter. - Nie cierpiała, jeśli to może jakoś ukoić pani ból, baronowo. Matka biedaczki to ponoć pani przyjaciółka?

- To słaba pociecha. - Henrietta zakryła twarz rękami. - Nie wiem, jak ja to powiem Katarinie. Dobrze, że jeszcze śpi, nie mogę jej przerwać ostatnich chwil lekkiego snu. Prędko go już nie zazna.

- W końcu będziemy musieli to zrobić. - Doktor nagle zbladł i pochylił się nad zwłokami. - Jezu Chryste... - wyszeptał.

Baronowa oderwała dłonie od twarzy i spojrzała na lekarza zszokowana. Co jeszcze gorszego mogło się zdarzyć?

- To zakrawa na.

Doktor wymacał ławę i nie odwracając się, usiadł, a następnie otarł

czoło chusteczką.

- Co się dzieje? - Baronowa nie spuszczała coraz bardziej przerażonego wzroku z mężczyzny.

- Te ślady. - Doktor wskazał palcem szyję martwej dziewczyny. - Te ślady na szyi.

Baronowa pochyliła się nad trupem, a następnie gwałtownie się wyprostowała, złapała za gardło i zemdląła, upadając na marmurową posadzkę z łoskotem.

Dwadzieścia minut później, a dochodziła już druga w nocy, baronowa leżała na szezlongu w bibliotece, a doktor Schultz chował właśnie do swojej czarnej torby flakon z ciemnobrazowego szkła.

Księżna Fryderyka siedziała na sofie i wpatrywała się w baronową z troską.

- Takie nieszczęście nawet ciebie mogło doprowadzić do takiego stanu - powiedziała uspokajająco, poklepując niezręcznie bratową po dłoni. - Czy ten środek podziała wyciszająco, doktorze? - Spojrzała na Schultza. - Baronowa potrzebuje snu.

- To laudanum^[15], bardzo silny lek. - Doktor zamknął torbę i postawił ją na ziemi. - Pani baronowa będzie po nim spała jak zabita. To jest, przepraszam najmocniej.

Wiktoria i Eliza siedziały jak trusie na sofie bliżej wejścia. Nie chciały podkreślać za bardzo swojej obecności, żeby księżna nie oprzytomniała i nie kazała im natychmiast iść spać.

Na Wiktorii widok bladej jak płótno i omdlejącej baronowej zrobił spore wrażenie. Pani zamczyska sprawiała wrażenie stalowej damy o żelaznej woli i nerwach, widok zatem jej w takim stanie zszokował ją nieco. Śmierć córki przyjaciółki na pewno była dla niej ogromnym ciosem, ale Wiktoria zauważyła, że na dziedzińcu baronowa trzymała fason. Dopiero w kaplicy straciła przytomność. Co też takiego tam się stało? Czy doktor stwierdził coś aż tak niepokojącego?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do biblioteki wpadł książę Adam.

- Właśnie się dowiedziałem - powiedział do księżnej Fryderyki. - Co za straszna tragedia. A jeszcze kilka dni temu powtarzałem, że krenelaż jest w złym stanie. - Książę, zaciskając pięści, zrobił kilka kroków po

bibliotece. - Dawno trzeba było już coś z tym zrobić, a nie czekać na taki wypadek.

- Takie słowa nikomu już życia nie wróca. - Księżna westchnęła.

- Przykro mi to mówić, ale część winy za tę niepotrzebną śmierć ty ponosisz, Henrietto! - Księżę zatrzymał się i spojrzał surowo na baronową.

- Adamie! - Księżna spiorunowała kuzyna wzrokiem. - Miarkuj się, na Boga!

Wiktoria dyskretnie obserwowała baronową, ale kobieta nie otworzyła nawet oczu.

- To nieszczęśliwy wypadek. - Księżna ponownie poklepała bratową po ręce. - Nikt tu nie ponosi żadnej winy.

- Tłumaczę się tylko winni, co prawda - odezwała się w końcu baronowa, rzucając księciu chłodne spojrzenie - ale zaleciłam, żeby na wieżę nikt sam nie wchodził. I wszystkim przyjezdnym to samo powtarzała ochmistrzyni.

Wiktoria, o dziwo, dopiero w tym momencie zadała sobie pytanie, które wszak narzucało się od początku: co Anna von Walter robiła na wieży po północy?!

Drzwi ponownie się otworzyły i stanął w nich tym razem kamerdyner Libitz.

- Jaśniepani... - Ukłonił się baronowej. - Przyjechał pan hrabia von Enckevort. Rozmawia właśnie z.

- Z zarządcą? - Baronowa przerwała Libitzowi, a Wiktoria odniosła wrażenie, że zrobiła to po to, żeby nie powiedział za dużo. Uprzytomniła sobie, że ani księżna, ani księżę nie wiedzieli nic o zamordowanym berajterze z Hohenziethen.

- A co hrabia robi tutaj o tej porze? - zdziwiła się księżna Fryderyka.

- Może nie powinniśmy jednak o to dopytywać, ciociu. - Księżę rzucił baronowej przelotne spojrzenie i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Adamie! - Księżna miała na twarzy wypisane święte oburzenie. Natychmiast także przypomniała sobie o istnieniu córki i jej przybocznej. - A co wy tu jeszcze robicie?! Jest druga w nocy! W szlafrokach, przy panach! Proszę natychmiast do pokojów!

- Ale mamu - zaprotestowała Eliza, która z wypiekami na twarzy chłoneła rozgrywające się wydarzenia.

- Żadne mamu! Proszę do pokojów!

- Zdarzył się pewien wypadek - odpowiedziała baronowa uspokajającym tonem. - Chodzi o kawalkatora hrabiego, dlatego poleciłam, żeby po niego posłano.

- A to nie mogło poczekać do rana? - zapytał księżę.

- Niestety, to zbyt delikatna sprawa.

Ani Wiktorii, ani Eliza nie usłyszały dalszej części rozmowy, wypchnięte wręcz z pokoju przez księżną, która zdążyła jeszcze posłać Wiktorii spojrzeń bazyliuszka.

Kilku mężczyzn stało w cieniu drzew, tuż za kamiennym murem oddzielającym zamek od podwórca folwarcznego. Był wśród nich Lothar, lokaj z zamku, który po ostatnich wydarzeniach nie mógł spać. Księżyc świecił na tyle mocno, że konary wielkich buków rzucały cień na kocie łby drogi dojazdowej. W głębi podwórca, przy otwartych wrotach do ogromnej stodoły z pruskiego muru, stało dwóch innych mężczyzn. Jeden z nich, jasnowłosy, w długim czarnym płaszczu, mówił coś z ożywieniem do drugiego.

- Widziałeś, jak się tutaj panoszy? - odezwał się jeden z obserwujących całą scenę mężczyzn do Lothara. - Jakby już był tutaj panem. Na miejscu Conrada tobym go w diabły posłał.

Przez chwilę przyglądali się w ciszy, jak rządcą baronowej Conrad Wasser tłumaczy coś mężczyźnie w czarnym płaszczu.

- Gadanie, że on i baronowa, to tylko plotki - mruknął w końcu Lothar.

-

Gdyby coś takiego miało miejsce, pierwszy bym o tym wiedział. Poza tym sama baronowa go tutaj wezwała.

- Bronisz go? Przecie to. - Mężczyzna urwał i zmełł w ustach przekleństwo.

- Nie bronię, Hans. Nie zapalaj się tak. Wiem, co widziałem.

- A i Inga pewnie także przez niego zginęła. Słyszałeś, co mówiła Esterka z kuchni? Że przyjeżdżał tu do niej ze dwa razy na pewno. A słyszałem, jak gadali, że i w czasie balu się z nią spotkał.

- Ja tam nic nie wiem na ten temat. - Lothar wydał pogardliwie usta. -

Sprawy miłosne między nimi to nie moja rzecz.

- Miłosne - prychnął mężczyzna nazwany Hansem. - Już ja wiem, jaka to miłość między nimi się tliła.

- Chędożyła chyba - parsknął ktoś z tyłu i z kilku gardeł rozległ się rechot.

- Ciszej być! - warknął Hans. - Bo nas zobaczą razem.

- W oberży już nieraz widzieli nas razem - mruknął ten sam żartowniś.

- Ja tam wiem swoje. - Hans zacisnął zęby. - Trzy trupy w dwie noce to nie przypadek. A dwa miały ślady zębów. Pewnie Inga także, tylko ją zdążyli ukryć.

- Tę pannę z Berlina też ukryli - dodał Lothar. - Gdybym nie przecisnął się za baronową, to niczego bym nie zobaczył.

- Jesteś pewien, że to były zęby? - zapytał ktoś z tyłu.

Lothar pokiwał głową.

- Na grób ojca przysiąc mogę. Na szyi miała ślady dwóch kłów. Erdmann to był silny, duży chłop, to i się wyrywał skuteczniej, dlatego całą rozchełstana miał szyję. A ta biedaczka, co ona mogła przy takiej mocy?

- No to widzicie, chłopcy, że czas najwyższy, żeby te diabelskie nasienie posłać tam, gdzie jego miejsce.

Hans był kowalem we wsi. Dobrze wspominał księcia Ludwika i nie podobały mu się obecne porządki w zamku. Baronowa zbyt odważnie się nosiła, za harda była. Nie jak na białogłową przystało. I jeszcze te plotki, które dziewczki roznosiły, że młody hrabia do niej przyjeżdża. Bruno von Enckevort! Cholerny bękart wilkołaka.

- Za zamordowanie szlachcica wszystkim nam łby zetną - mruknął ktoś z tyłu.

- Za zabicie wściekłego psa powinni być nam wdzięczni.

Eliza pracowicie upychała mieniącą się wszystkimi odcieniami błękitu i turkusu balową suknię w swojej torbie podróżnej, nie bacząc w ogóle na to, że delikatny materiał gnie się, a wszystkie dekoracyjne fałdki, koronki i pliski płaczą się i kołtunią.

- Radca Danckelmann? - spytała z niedowierzaniem, odwracając się na moment do obserwującej jej poczynania ze zgrozą Wiktorii. - Ernst von Danckelmann?

- Innego tutaj nie ma - odpowiedziała Wiktorii, która chwilę wcześniej opowiedziała w końcu Elizie o wydarzeniach sprzed dwóch godzin. - Może na szczęście.

- A to stary satyr i lubieżnik. - Eliza zamknęła torbę i odetchnęła. - Czy

sądzisz, że to mógł być on?

Spojrzała na Wiktorię, która zdecydowanie pokręciła głową.

- Z pewnością nie. Dobry krawiec potrafi oczywiście poprawić pewne mankamenty figury, ale są jednak granice.

Eliza, mimo zdenerwowania całą sytuacją i strachu, parsknęła jednak śmiechem. Tylko Wiktoria umiała ją zawsze rozbawić, wcale się przy tym nie starając.

- To straszny plotkarz. - Westchnęła z ulgą, wpychając torbę pod łóżko.
- Aż boję się pomyśleć, co by się działo, gdyby zobaczył ten diabelski pantofelek.

Wiktoria przypomniała sobie oskarżenia, które rzuciła pod jej adresem Anna von Walter. Wzdrygnęła się, gdy przed oczami jej wyobraźni pojawiła się jej strojna suknia i peleryna pobrudzone i zniszczone przez cegły i gruz. I blada dłoń wystająca spod tego gruzu. A potem przypomniała sobie bladość baronowej, kiedy doktor przyprowadził ją z kaplicy. Co tam się wydarzyło?

- Co Anna robiła o pierwszej w nocy na wieży? - wypowiedziała na głos pytanie, które powstało jej w głowie dwadzieścia minut wcześniej.

- Mnie też to nurtuje - przytaknęła Eliza. - Ale obawiam się, czy wypada na ten temat w ogóle mówić, wszak o zmarłej rozmawiamy.

- Nie bądź hipokrytką, moja droga. - Wiktoria uśmiechnęła się lekko. - Dlaczego miałoby nie wypadać?

- Bo pewnie na schadzkę tam się udała - odpowiedziała przyciszonym głosem Eliza. - Miejsce romantyczne wielce i odludne w pewnym sensie.

- Ale to rodzi szereg kolejnych komplikacji. - Wiktoria otworzyła usta, zszokowana następstwami takiego faktu.

- Jakich?

- Gdzieś ukrywa się kawaler, który był przy tym, jak spadła z wieży.

- Jeśli tak właśnie było, to on nigdy się nie ujawni. - Eliza usiadła na łóżku obok Wiktorii. - Ma zbyt wiele do stracenia. Skandal z tym związany zrujnowałby życie nie tylko jemu, lecz także całej rodzinie. Dwóm rodzinom - poprawiła się po namyśle.

Wiktoria przez chwilę rozmyślała na temat konwenansów, które niczym ciasny gorset opinały wszelkie poczynania i krępowały myśli.

- Mam wrażenie, że baronowa zobaczyła w kaplicy coś, co nią wstrząsnęło - powiedziała, wpatrując się w skupieniu w przestrzeń. -

Wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

- Albo wampira.

- Nawet tak nie żartuj. - Wiktoria pokręciła głową.

- Możemy to sprawdzić - powiedziała niespodziewanie Eliza.

- Jak to? - Wiktoria popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Księżniczka była pełna sprzeczności. Potrafiła zastanawiać się, czy wypada mówić o schadzках, a zaraz potem proponować coś takiego. O wpół do trzeciej w nocy! Spojrzała na stojący w kącie zegar.

- Możemy pójść i sprawdzić - powtórzyła Eliza.

- Kaplica jest zamknięta.

- Wiki. - Księżniczka westchnęła i uśmiechnęła się pobłażliwie. - Zamek należał do mojej babci, a później do mojego wujka. Klucze do kaplicy są tam, gdzie były zawsze. Od ponad stu lat.

Przemknęły po cichu przez salę balową, słusznie zakładając, że wędrowni korytarzami w części mieszkalnej może kogoś zaciekawionego wypłoszyć z pokoju. Prawdopodobnie część gości i służby jeszcze nie zdążyła ponownie zasnąć. Niektórym pewnie w ogóle to się nie uda, a inni znowu wstawali do pracy przed szóstą.

Sala była ciemna i opustoszała. Przez ogromne okna wpadało do wnętrza srebrne światło księżyca i kładło się na posadzce długimi sztyletami. Dwie okutane szlafrokami postacie na tle okien wyglądały jak błakające się po zamku nocami duchy zakonników, którzy kilkaset lat temu dokonali tutaj żywota. Przez salę balową dostały się do kredensu, dalej na boczne schody i wreszcie na korytarz przy kuchni. Za kuchnią mieściły się spiżarnie i pomieszczenia gospodarcze, a wśród nich niewielka izba, w której królowała ogromna drewniana szafa z kolekcją kluczy do wszystkich sal i pomieszczeń zamku. Miał tutaj dostęp jedynie kamerdyner i ochmistrzyni. Teoretycznie szafa zamykana była na klucz, ale od wielu lat zamek był zepsuty, więc praktycznie stała otworem. Nie było tutaj kluczy do pokojów baronowej i rodziny, te wraz z drugim kompletem wiszącym tutaj miał klucznik, który mieszkał w stojącej przy głównej bramie wjazdowej stróżówce.

Wiktoria stanęła przed wielką szafą, wpatrując się w kolekcję większych, mniejszych i całkiem ogromnych kluczy. Wiele z nich miało główki rzeźbione w prawdziwe dzieła sztuki, smoki, splecione węże lub głowy orłów i innych drapieżnych ptaków.

- Skąd wiesz, który to klucz? - zapytała Eliza.

- Ponieważ jestem spostrzegawcza. - To powiedziawszy, Eliza sięgnęła po ogromny klucz w kształcie Róży Lutra^[16].

Kaplica mieściła się w narożniku głównego skrzydła zamku, na parterze. Przylegała do dwóch sal, w których straszyły dziesiątki poroży i tony szlachetnej stali, z której zrobiona była wisząca na ścianach kolekcja białej broni. Kaplica nakryta była sklepieniem, ze ścianami wymalowanymi na biało. Pod jedną z nich stał ołtarz przedstawiający sceny z Sądu Ostatecznego, ujęty w ogromne, rzeźbione ramy z piaskowca. Naprzeciw niego stały rzeźbione kunsztownie ławy. Między nimi, nakryte białym płótnem, leżało ciało Anny von Walter.

Wiktoria stanęła nad zwłokami i przeżegnała się. Sceny na ołtarzu wydały jej się nagle złowieszcze. Ukryci w ciemnej, wieloletniej patynie półnaczy ludzie oczekujący na werdykt, który pośle ich na niebieskie łąki lub zrzuci w wieczny ogień. Wiktoria się wzdrygnęła. Religia od jakiegoś czasu nie przynosiła jej wytchnienia, wprost przeciwnie, zdawała się duszna i posępna, zmartwiała w swoich sakramentach, obrządkach, smutnych pieśniach i pełnych niezrozumiałych słów i myśli modlitwach.

Oderwała wzrok od ołtarza i spojrzała w dół na zwłoki kobiety, która jeszcze dwa dni wcześniej robiła jej zgryźliwe uwagi.

- Musimy zajrzeć pod ten całun - odezwała się Eliza. - W drodze tutaj zaczęłam się domyślać, co mogło tak wstrząsnąć baronową. Boję się trochę tego, co zobaczymy.

Wiktoria spojrzała na nią zaskoczona. Sama też miała swoją teorię.

Eliza przeżegnała się i ukucnęła przy zwłokach. Sięgnęła po krawędź całunu i powoli odciągnęła go z twarzy zmarłej.

Lichtarz w rękach Wiktorii rzucał na ściany drgające w przeciągach światło, które jeszcze dodawało całej tej scenie dramatyzmu.

Wiktoria wstrzymała oddech, gdy płótno powoli odsłaniało twarz Anny. Wyglądała, jakby na moment zasnęła, jej skóra była wciąż różowa i gładka, tylko w oczach widać było zatrzymane przerażenie.

- Chryste! - Eliza zakryła usta dłonią, a Wiktoria poczuła, jak po plecach maszeruje jej stadko wściekłych mrówek.

Na szyi Anny widać było ślady jak po ugryzieniu i drobne plamki

zaschniętej krwi.

Esterka wytarła głośno nos i sięgnęła po kubek z gorącą herbatą, którą chwilę wcześniej postawiła przed nią ochmistrzyni.

Greta Mayer-Hirsch służyła na zamku już od czterdziestu lat blisko. Przybyła tutaj pewnej bardzo chłodnej wiosny, z polecenia hrabiostwa von Koellerów. Książę Ludwik miał wtedy osiem latek. Mały, rozkoszny urwis, który biegał po zamkowych ogrodach i znikał w tajemnych korytarzach. Lubił się chować tam przed nią, nieznającą zakamarków i ukrytych przejść. Potem dopiero dowiedziała się, że pokój zabaw dzieci był połączony tajnym przejściem z sypialnią księżnej Anny Luizy.

Mimo że rodzina przebywała tutaj góra kilka tygodni w roku, została przyjęta na cały etat, początkowo jako bona malców księżnej Anny Luizy, a później jako ochmistrzyni. Poza sezonem zamek pustoszał i zamieniał się w ponurą, ciemną fortecę na bagnach. Dookoła straszyły bezlistne drzewa, a bywało, że na pola wokół parku podchodziły wilki. Ale Greta lubiła i ten czas. Państwo pozwalali jej korzystać z przepastnej biblioteki, co powodowało, że wieczory przy kominku jesienią i zimą były nie tylko znośne, lecz także przyjemne. W przeciwieństwie do rodziny księcia, Greta od samego początku polubiła baronową. Chociaż początkowo baronowa była tylko panią Henriettą Fromme, córką kupca z Berlina, a służba za jej plecami dworowała sobie z niej bezlitośnie. Do czasu.

Greta oderwała myśli od wspomnień i spojrzała na podkuchenną.

- A teraz mów, co widziałas - powiedziała do niej surowo. - Tylko nie bezcz. Skup się i dokładnie sobie przypomnij.

Esterka pociągnęła nosem i wypila łyk herbaty.

- Nie spałam. Była może północ. Zeszłam do kuchni i wzięłam szklanek mleka na sen. Tak zawsze mówiła mi kucharka.

- Dla ciebie to pani Hedwiga, nie kucharka.

- Tak, pani Mayer, przepraszam. No więc wzięłam szklanek mleka i usiadłam przy oknie. Widziałam stąd cały dziedziniec. I wtenczas zobaczyłam, jak z zamku przez żydowskie wejście wychodzi ta panienka von Walter.

Dziewczyna wypila kolejny łyk herbaty.

- I co dalej? - zapytała niecierpliwie ochmistrzyni.

- No i ona czekała na kogoś, tam pod wieżą. I on w końcu przyjechał.

I widziałam go dzisiaj potem. Miał taki sam płaszcz czarny. I jasne włosy. Przysięgam.

- Jesteś pewna, że to był panicz Bruno?

Esterka chlipnęła.

- Wyglądał jak on, jak Boga kocham. I widziałam potem, jak oni się szarpali, a ta panienka uciekła na schody na wieżę.

Greta spojrzała w okno. Będzie musiała powiedzieć o tym baronowej. Zanim ta dziewczka rozpowie o tym po całej wsi.

Światło świec trzęsło się teraz w rytm oddechu Wiktorii, która czuła, że ma chyba dreszcze. Chłód wręcz rozlał się w niej, jakby wpadła zimą do stawu.

- Zęby - wymamrotała słabym głosem.

- Nie wierzysz chyba, że to rzeczywiście wampir grasuje w okolicy? - zapytała podobnym głosem Eliza, nie mogąc oderwać oczu od dwóch koszmarnych śladów na szyi martwej dziewczyny.

- Nie wierzę - szepnęła Wiktorii. - Ale wierzę w mordercę, który z jakiegoś powodu zabija ludzi.

- W jaki sposób zdołał namówić Annę, żeby weszła z nim na wieżę? - szepnęła Eliza i nerwowo rozejrzała się dookoła. Kaplica w świetle lichtarzy, w dodatku z trupem na posadzce, zaczynała być przerażająca.

- Ona chyba z własnej woli sama to tam nie weszła - powiedziała cicho Wiktorii.

- Lepiej chodźmy stąd. - Eliza spojrzała na Wiktorię ponagłajaco. - Ktoś może nas tutaj zaraz przydybać.

- Poczekaj! - syknęła nagle Wiktorii i złapała za rękę Elizę, która chciała nakryć ciało. - Zobacz. - Wskazała palcem długą, cienką szramę biegnącą od śladów zębów w kierunku obojczyka. - To wygląda jak ślad po jakimś cienkim ostrzu.

- Nóż?

- Broniła się. - Wiktorii oczami wyobraźni zobaczyła, jak Anna szamocze się, usiłując uciec mordercy. - Zęby nie zostawiłyby takiego śladu. Gdyby to był wilk na przykład - dodała, widząc spojrzenie przyjaciółki.

Wiktorii szarpnęła całun, odsłaniając resztę ciała.

- Matko Boska! Co my robimy? To chyba straszny grzech. - Eliza

odruchowo spojrzała w kierunku ołtarza i przeżegnała się ponownie.

Wiktoria powiodła spojrzeniem po zmaltretowanym ciele dziewczyny i nagle zatrzymała wzrok na dłoni. Zmarszczyła brwi i się pochyliła. Miała opory przed dotknięciem trupa.

- Co ty robisz? - Eliza zamarła, wpatrując się z osłupieniem w przyjaciółkę.

Wiktoria zamknęła oczy i złapała Annę za nadgarstek, usiłując rozprostować jej palce. Po chwili jej się to udało. Dziewczyna miała zaciśnięty w dłoni kosmyk włosów.

- Jasne - szepnęła pochylona nad jej uchem Eliza. - Boże! Morderca ma jasne włosy.

Wiktoria zabrała kosmyk i włożyła go do kieszeni swojej szarej sukni. Bruno miał jasne włosy.

- Uciekajmy stąd. - Eliza szarpnęła za płótno i nakryła nieszczęsną Annę von Walter. - Nawet boję się pomyśleć, co zrobiłaby mama, gdyby dowiedziała się, co tutaj robiłyśmy. Wylądowałabym od razu w klasztorze.

- To i tak dobrze - skomentowała Wiktoria. - Ja pewnie w pralni.

Od zachodu park pałacowy otoczony był przez lasy. Geometryczny ogród z kwaterami pełnymi kwiatów, niskimi żywopłotami z bukszpanu i mozaikami z kolorowego tłucznia rozciągał się od południa, przechodząc w ukwiecone łąki, a dalej schodząc aż nad brzeg jeziora. Ale od zachodu okalał rezydencję park angielski, pełen krajobrazowych otwarć, szpalerów drzew, osi wychodzących daleko w pola, świątyń i modnych ogrodowych altan. Biegła tędy droga, która stopniowo stawała się coraz bardziej dzika, aż w końcu wpadała w las, zamieniając się w mroczny dukt, który ciągnął się aż do sąsiedniej wsi.

O trzeciej w nocy park zalany srebrnym światłem księżyca przypominał malowidło. Mroczne i tajemnicze, pełne kryjących się po ciemnych zakamarkach, a nieukazanych przez malarza stworzeń. Wszystkie one na moment ucichły, gdy z lasu wyszła grupa mężczyzn okutanych w ciemne kapoty, z naciągniętymi na czoła kapturami. Trzymali w rękach wygaszone pochodnie, a na plecach nieśli worki. Czereda minęła stojącą na końcu parku bramę i ruszyła w kierunku widocznego między drzewami, oświetlonego światłem księżyca uspiętego pałacu.

Mężczyźni zatrzymali się na końcu alei. Dalej była polana, którą

zamykała boczna elewacja pałacu. Jeden z mężczyzn ściągnął z pleców wór i wyjął po chwili mały przedmiot.

- Dawno trzeba było to zrobić - mruknął cichym głosem. - Wykurzyć ich stąd!

- Napytamy sobie biedy - szepnął jeden z mężczyzn, przestępując z nogi na nogę. - Wsadzą nas do karceru.

- Nigdzie nas nie wsadzą - warknął pierwszy. - Nikt na nas nie doniesie.

- Skoro się bałeś, Lothar, to trzeba było zostać w zamku - odezwał się inny, stojący nieco z tyłu. - Sam żeś mówił, że widziałeś ślady zębów.

- Widziałem, jak matkę kocham. - Lothar przytaknął skinieniem głowy. - Ten biedak Franz miał całą szyję rozharataną. I ta panienska także!

- No więc widzisz. - Pierwszy z mężczyzn stuknął kilka razy krzesiwem i trzymana przez niego pochodnia zaskwierczała świeżym ogniem. - Ogień ich stąd wypędzi.

- Mają jeszcze zamek w Dertzow - mruknął Lothar. - Kilka kilometrów stąd.

- Stary hrabia tam nie pójdzie. Tam ta diaboliczna zmarła wszak, a on cały czas o niej pamięta. Zbyt straszny to cios, żeby żonę wampir przydybał. Prędzej wyniosą się stąd w diabły. I o to chodzi!

Po chwili, jedna za drugą, zapaliły się kolejne pochodnie. Krzewy i pnie drzew rozjaśniły się migoczącym i łapczywym światłem ognia.

Grupa ruszyła biegiem w kierunku pałacu. Jeden z mężczyzn podbiegł do budynku, zamachnął się i cisnął pochodnią w najbliższe z okien. Trzasnęła wybita szyba i po chwili z wnętrza dobiegł skwierczący odgłos pożeranego przez ogień drewna.

Rozdział 20

Bagna Karoliny Północnej

Gdy woda wokół zakrwawionych zwłok się zakotłowała, Patryk odruchowo odskoczył w tył, ale pechowo tkwiły tam akurat wystające z ziemi korzenie, więc potknął się i wylądował na plecach na piasku. Latarkę jednak trzymał kurczowo w dłoni, dzięki czemu i on, i stojąca jak zamurowana Karen mieli teraz przed oczami mrozące krew w żyłach widowisko.

Czarnoskóry bandzior, machając rękami i nogami, bronił się przed atakującym go przedpotopowym gadem. W drgającym świetle latarki widzieli rzędy zębów w otwartej podłużnej paszczy. Woda wokół zabarwiła się na czerwono, a spod cielska aligatora, który przygniótł pływającego przy brzegu trupa, wystawała, jakby to wszystko było jeszcze mało koszmarnie, zakrwawiona ręka.

Pierwsza oprzytomniała Karen. Gwałtownie odwróciła się w stronę domu i ponownie stanęła jak wryta. Na brzegu, tarasując drogę, stał drugi gad. Z otwartą szczęką i wbitymi w nich nieruchomymi szklistymi ślepiami.

Patryk, który zerwał się tymczasem z ziemi, widząc to, co Karen, zamarł i skierował latarkę na aligatora. Zwierzę drgnęło i ruszyło ku nim. Kiedy Karen głośno krzyknęła i odskoczyła, aligator zatrzymał się i powoli rozwarł szczękę. W świetle latarki w paszczy zwierzęcia lśniły rzędy białych zębów.

Karen kątem oka dostrzegła, że za plecami mają ową przecinkę, którą dostali się do dachy od strony samolotu. Droga do domu była zablokowana przez gada. Niewiele myśląc i dając się porwać panice, rzuciła się między chaszczki, krzycząc do Patryka, żeby biegł za nią.

Biegli przez gąszcz, wpadając co chwilę na jakiś konar lub grzęznąc w podmokłych przybrzeżnych brejach, a po twarzach chłostały ich gałązki drzew i krzewów.

Za plecami słyszeli ciągle krzyk czarnoskórego mężczyzny, który

w ciemnościach bronił się przed aligatorami.

Karen zatrzymała się dopiero, gdy hałasy za nimi ustały. Słyszeć było tylko trzask łamanych przez ich buty gałęzi i patyków. Patryk prawie wpadł na jej plecy. Przez chwilę oboje ciężko dyszeli.

- Chryste! - wydukał w końcu Patryk. - Aligator! A miały być niegroźne. Sądysz, że te bestie go pożarły? O ja pierdołę! - Pochylił się i oparł dłonie na udach.

Karen oparła się o pień drzewa, usiłując złapać oddech. Jednak bieganie po ścieżkach w mieście to co innego niż przedzieranie się przez przedpotopową namorzynową dżunglę.

- Może udało mu się uciec do domu - odpowiedziała bez przekonania.

- Co my mamy teraz robić? One chyba żerują w nocy. - Patryk rozejrzał się wokół.

Otaczały ich gęste szuwary, spomiędzy których wyzierał mrok.

- W wodzie było tyle krwi, że pewnie wszystkie tam popłyną. - Karen sama nie bardzo w to wierzyła.

- Musimy iść do samolotu. - Patryk skierował latarkę w kierunku rozszerzającej się między gałęziami przecinki. - W samolocie będziemy bezpieczniejsi niż tutaj.

- O ile tam trafimy. - Karen westchnęła, spoglądając w kierunku ciemnej, niknącej w gąszczu ścieżki.

Szeryf hrabstwa Dare zdjął kapelusz i przejechał palcami po włosach. No tego to się raczej dzisiaj nie spodziewał. Cudowny weekend. Nie dość, że na służbie, to jeszcze pierwsza grubsza sprawa od lat. No i nie dość, że jakiś samolot spadł w bagna, to jeszcze zaginęła jakaś parka. Przy czym ci ostatni byli do wyboru - albo zostawionymi niefrasobliwie na bagnach przez Starego Sama turystami, albo porwanymi przez bandziorów nieszczęśnikami, albo wreszcie podejrzanymi w sprawie o napad i włamanie gdzieś pod Richmond. Jako że tę ostatnią charakterystykę przekazał mu szeryf z Williamsburga, to postanowił trzymać się jak na razie tej wersji.

Dochodziła północ, a nad rozlewiskami Rzeki Aligatorów od prawie trzech godzin latał helikopter. Samolot wprawdzie udało się im od razu namierzyć, ale po dwójce ofiar czy uciekinierów nie było jak dotąd śladu. Co ich skłoniło, żeby zamiast siedzieć przy wraku, leżeć gdzieś na przelaj?

O ile byli w tym samolocie, bo co do tego także nie było pewności. Helikopter nie miał jak wylądować przy daczach Lintonów, ale nikogo tam nie zauważyli.

Szeryf wysiadł z samochodu i trzasnął drzwiami. Na nabrzeżu, przy knajpie, stała już cała grupa ciekawskich, a z parkingu błyskały światła pogotowia.

Idąc w kierunku karetki, pomyślał, że początek sezonu, a tu takie wydarzenie. Ludzie będą mieli o czym gadać do końca wakacji.

- Kto to jest? - Szeryf zatrzymał jednego z ratowników, wskazując głową nieprzytomnego mężczyznę, którego właśnie ładowali do karetki.

- Noah Branson - odparł sanitariusz. - Postrzelili go.

- A pozostali?

- Stoją tam. - Chłopak machnął ręką w kierunku nabrzeża i wskoczył do karetki, która od razu ruszyła.

Od strony tawerny nadszedł zataczający się jegomość i wyciągnął rękę w kierunku szeryfa.

- Szeryfie. - wystękał. - Musimy pogadać.

- Sam, nie teraz. - Szeryf westchnął niecierpliwie, widząc, jak Terrence opowiada coś z przejęciem jakimś ludziom. - Już wystarczająco narobiłeś bigosu.

- Ale ja myślałem, że to bandyci. A Terrence teraz coś gada, że ich porwali.

- Terrence za dużo gada. - Szeryf poklepał starca po ramieniu. - Idź lepiej do domu. Jest prawie północ.

Stary Sam zatoczył się i spojrzał na nabrzeże nieprzytomnym wzrokiem.

Szeryf zaś zostawił Sama i ruszył w kierunku zbiegowiska. Znał chłopaków oczywiście. Święci nie byli, kiedyś lubili się pakować w małe awantury, ale z wiekiem trochę im przeszło.

- Ilu ich było? - zapytał, gdy wysłuchał relacji Mike'a z wydarzeń w Beerhead. Nawet nie wiedział, że ta dacza jeszcze stoi.

- Dwóch postrzeliliśmy. - Mike zaczął liczyć na palcach. - Ale to oni pierwsi zaczęli strzelać, jak Boga kocham, szeryfie. Kiedy ten młody koleś zaczął wrzeszczeć, żeby ich zabrać.

- Jesteś pewien, że byli tam nie z własnej woli?

- Na moich oczach taki wielki czarny go dopadł i przewrócił na ziemię.

Szeryf skinął głową.

- I nie zabrali tych postrzelonych?

Mike pokręcił głową.

- Wskoczyli do samolotu i zostawili ich na brzegu.

- To na pewno nie był nikt od Lintonów?

- Tak twierdzili, ale ja znam Lintona i jego syna. To nie byli oni. Była z nimi za to jakaś kobieta.

Z bluzy szeryfa dobiegł nagle dźwięk telefonu.

Szeryf odebrał i przez chwilę słuchał.

Załoga helikoptera wypatrzyła pływający niedaleko daczy Lintonów pusty, zakrwawiony ponton.

Karen ze złością i z rezygnacją przypatrywała się, jak kilkaset metrów od nich znowu przelatuje helikopter.

Patryk jeszcze nadal wrzeszczał, machając latarką, ale już było wiadomo, że ich nie dostrzegli.

- Kogo oni tam zatrudniają? - warknął Patryk i usiadł na pniu zwalonego drzewa. - Ślepi są? Przecież latarkę chyba widać?

- Widziałeś? - Karen przetarła czoło rękawem sztormiaka. - Krążyli przez chwilę i świecili tymi szperaczami. Pewnie tam właśnie jest samolot.

Spodziewała się, że w nocy będzie zimno, tymczasem było gorąco jak w piekle. Pewnie przyczyniły się do tego emocje, ale temperatura też musiała oscylować w okolicach trzydziestki. Czyli jeszcze tylko brakuje tutaj tajfunu, huraganu albo czegoś w tym stylu.

- Jeśli wysłali motorówki, to one muszą wkrótce tam dotrzeć. - Patryk dźwignął się ciężko z pnia i wycelował latarkę w gąszcz.

Akurat w momencie, gdy przez szuwały przed nimi prześlizgnęło się wielkie cielsko i z chlupotem wody zniknęło w rzece.

Karen skamieniała. Czytała, że aligatory raczej nie atakują ludzi i trzymają się od nich z daleka. Możliwe, że te tutaj były podniecone krwią, trupem tego nieszczęśnika przy brzegu i tym, że biegali z Patrykiem, bez broni, łodzi, zupełnie jak ich ofiary. Podchodzili sobie do brzegów rzeki bezmyślnie, a może to były po prostu ich żerowiska.

Nie zdążyła się nawet ruszyć, gdy z szuwarów wypadł nagle ciemny kształt i z rozdziawioną paszczą rzucił się na Patryka.

Patryk przewrócił się na ziemię, wrzeszcząc przeraźliwie.

Karen, po chwili kompletnego osłupienia i zwierzęcego wręcz strachu, poczuła gwałtowny przyływ adrenaliny. Złapała za to, co miała w zasięgu ręki, i wyrznęła tym czymś w łeb gada.

Ian Howe, jeszcze zanim ponton dobił do nabrzeża w Manteo, zadzwonił do swojego prawnika. Mężczyzna wyrwany z rodzinnej imprezki poruszył niebo i ziemię, żeby ściągnąć skądś pełnomocnika jednej z zaprzyjaźnionych kancelarii z Manteo.

Mężczyzna czekał teraz na Iana przed hangarem, gdzie kilku uprzywilejowanych mieszkańców wyspy Roanoke trzymało łodzie i hydroplany.

- Nie znaleźliśmy Wesleya - rzucił do prawnika, zakładając z góry, że jego osobisty radca wprowadził swojego zastępcę we wszystkie sprawy. - Za to Barney, kurwa, już bardziej martwy być nie mógł.

- To źle, panie Howe - skwitował mężczyzna. - Martwy pilot i dwaj ochroniarze. Ale z tego, co już zdołałem ustalić, strzelaninę sprowokowali miejscowi myśliwi. Nawet jeżeli to niezupełnie prawda, to jest pan całkowicie poza jakimikolwiek podejrzeniami.

- Tak, to prawda. Strzelali do nas. Jakieś miejscowe łachudry nas zaatakowały. - Howe rzucił na ziemię przemoczony sztormiak, który zabrał z samolotu.

- Dzwonił pan na policję?

- Tak, od razu zgłosiłem ten napad.

- Bardzo dobrze. - Prawnik uśmiechnął się. - Niestety, musimy dzisiaj udać się do biura szeryfa i będzie pan musiał złożyć zeznania. Pani również. - Spojrzał na Jennifer.

Jennifer stała za mężczyznami, nie odzywając się. Przed chwilą odebrała telefon, który wytrącił ją z równowagi.

Telefon ze Szpitala Uniwersyteckiego w Richmond.

Uderzony konarem aligator odwrócił się do Karen i ruszył na nią z impetem. Karen zamachnęła się ponownie i walnęła gada w pysk. Zwierzę zatrzymało się i zmartwiało, patrząc nieruchomymi, szklanymi oczami na Karen.

Patryk poderwał się z ziemi i podpierając się ręką, wstał, zostawiając na trawie czerwoną plamę.

- Uważaj! - krzyknął do Karen i odskoczył przed ogonem zwierzęcia, który śmignął tuż przed nim.

Aligator, stojąc na wąskiej, wydeptanej przez wilki lub inne zwierzęta ścieżce, rozdzielił ich. Przez głowę Karen przemknęła myśl, że ta ścieżka, którą nazywała w myślach przecinką, nie była żadną przecinką, tylko drogą zwierząt do wody. Miała rację, gdy kilka godzin temu przyszło jej do głowy, że coś jest z tym nie tak.

Aligator drgnął i to wytrąciło oboje ze stanu stuporu. Patryk skoczył w bok i przedarł się przez chaszczę, trzymając się ręką za ramię.

Karen, trzymając przed sobą konar i poruszając nim groźnie, zrobiła kilka kroków do tyłu, nie spuszczając wzroku z aligatora.

Gdy zobaczyła, że Patryk znalazł się tuż obok niej, cisnęła konar w gada.

- Uciekamy! Teraz! - krzyknęła i rzuciła się do biegu.

Słyszała, jak Patryk, ciężko dysząc, biegnie tuż za nią.

Carter Moore patrzył z ukosa na trzech mężczyzn, którzy przyszli do jego biura. Jeden z nich był prawnikiem z jakiejś cholernej waszyngtońskiej kancelarii i Moore doskonale zdawał sobie sprawę, że musi ważyć słowa.

- Pańska siostrzenica wraz z partnerem złożyli wyjaśnienia na posterunku w Richmond - powiedział ostrożnie. - Niestety, wbrew zaleceniom...

- Wbrew prośbie jedynie - wtrącił Tom Willander. - Pani Lindberg i pan Nałęcz nie otrzymali żadnego formalnego nakazu pozostania na terenie stanu.

- W istocie ma pan rację. - Moore przytaknął ostrożnie. - Niemniej zlekceważyli polecenie. Przypominam panu, że na farmie Lintonów zginął człowiek. W nie do końca wyjaśnionych jeszcze okolicznościach. Chcieliśmy przesłuchać.

- Pani Lindberg złożyła w tej sprawie.

- Przepraszam panów - wtrącił się Igor, którego interesowało teraz właściwie tylko jedno. - Gdzie jest Karen? Zarówno media w Richmond, jak i portale oraz strony internetowe w całym hrabstwie Dare podały szereg informacji dotyczących wypadku jakiegoś samolotu oraz tego, że poszukuje się dwójki zaginionych turystów. Chcę wiedzieć, co się dzieje. Podobno była tam strzelanina?

- Nie mamy żadnych dowodów na to, że wypadek samolotu i zaginięcie pańskiej siostrzenicy są ze sobą powiązane - odparł szeryf. - Samolot został odnaleziony i dotarli do niego chyba już wszystkie służby. Nie było tam ani pani Lindberg, ani pana Nałęcza. Pasażerowie ewakuowali się pontonem. Okoliczności strzelaniny wyjaśnia szeryf hrabstwa Dare, nie my.

- Ale czy ktoś ich w ogóle szuka?!

- Oczywiście! Z naszych ustaleń wynika, że popłynęli łodzią do Beerhead, to taka mała prywatna dacza w samym sercu bagien, i tam zostali. Helikopter latał nad tą posiadłością, ale bez rezultatu.

- Jak to?!

- Proszę się nie denerwować. Z powodów logistycznych sprawę przejął szeryf hrabstwa Dare. Nie mamy najświeższych wiadomości.

- Dlaczego zostali w tym Beerhead? - zapytał Johann. - Z tego, co widzę - wskazał głową swój tablet - tam nic nie ma oprócz rozpadającej się starej budy.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł szeryf, wzruszając ramionami. - Proszę się uzbroić w cierpliwość, jak będziemy coś wiedzieć, to panów zawiadomimy.

- Ile tam się jedzie? - Igor spojrział na młodego prawnika.

Mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Cztery godziny, a na lotnisko w Dare latają tylko małe, czarterowe samoloty. Niczego teraz w nocy nie znajdziemy.

Łódź patrolowa powoli dobiła do pomostu. Reflektory wydobywały z ciemności porośnięty wysoką trawą brzeg i starą, zdezelowaną łódź leżącą na skraju światła. W mroku widać było zarysy zapuszczonego domostwa.

- Jest tam kto? - krzyknął jeden ze strażników na łodzi i skierował reflektor wzdłuż brzegu. Plama światła powoli przesuwała się po chaszczach i nagle zatrzymała się na obrzeżu dawnej polany. Trawa nad wodą była tam wygnieciona i pokryta ciemnym błotem.

Wymieszanym z czymś wściekle czerwonym.

- O ja pierdołę! - jęknął strażnik, wyglądając z łodzi. - To chyba jeden z tych zaginionych albo raczej to, co z niego zostało. Aligatory musiały się do niego dobrać.

- Musimy tam zejść i to obejrzeć. - Drugi ze strażników wyjął

radiotelefon. - Wzywam gliny. Koroner będzie musiał tutaj przyjechać. To mężczyzna?

- Nie mam pojęcia. - Pierwszy strażnik wyskoczył na pomost i rozejrzał się dookoła. - Może lepiej daj mi jakiś pagaj? Te bestie mogą gdzieś tu jeszcze być.

Drugi strażnik sięgnął do łodzi i podał koledze długi, zakończony ostrym grotem bosak.

Przy nabrzeżu zatrzymał się czarny GMC, ulubiona marka amerykańskiej administracji ze Wschodniego Wybrzeża. Wsiadł z niego wysoki, szpakowaty mężczyzna i rozejrzał się niepewnie dookoła.

- Koroner - mruknął szeryf do towarzyszącego mu policjanta. - Wołaj śmigłowiec, niech się pośpieszą - rzucił i ruszył w kierunku mężczyzny. - Witam, panie Bremer. - Wyciągnął rękę i przywitał się z koronerem. - Ale bajzel, co? Dawno pana u nas nie było.

- No, mało się u was dzieje. - Koroner uśmiechnął się półgębkiem. - Znaleźliście już tych dwoje?

Szeryf mimowolnie zerknął na zegarek. Dochodziła pierwsza.

- Niestety. - Pokręcił głową. - Mamy dwie łodzie. Przeczesują bagna wzdłuż kanałów wokół Beerhead. Przy samolocie też ich nie było.

- Jest pierwsza. - Koroner spojrział na drogi zegarek na rękę. - Szukacie ich od której?

- Śmigłowiec latał już od dziewiątej. Na brzegu przy Beerhead strażnicy znaleźli ich plecaki, a na rozlewisku niedaleko zakrwawiony ponton.

- To nie wygląda za dobrze. - Koroner pokręcił głową. - Z Europy przyleciał ktoś z rodziny tych dzieciaków. Czekają w Richmond na wieści.

- Nie skończyliśmy jeszcze poszukiwań. - Szeryf zdjął kapelusz i otarł pot z czoła. - Więc nie będziemy ich martwić na zapas.

- A ten trup na brzegu?

- Mamy już zeznania niejakiego Iana Howe'a. Ten martwy to jego ochroniarz, czy ktoś tam. Był tam jeszcze jeden, Afroamerykanin. Ale dotąd go nie znaleźliśmy.

- O rany - jęknął koroner na widok lądującego na brzegu niewielkiego śmigłowca z otwartą kabiną, w której z nogami wystawionymi na zewnątrz siedział strażnik. - Nie znoszę latać helikopterami.

Szeryf wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

Koroner uśmiechnął się, westchnął ciężko i pochylony ruszył w kierunku czekającego na niego śmigłowca.

Igor chodził tam i z powrotem po lobby hotelowym w Richmond. Johann siedział na kanapie z kieliszkiem szkockiej i tabletem i nerwowo stukał dłonią o kolano. Dochodziła trzecia, a wciąż nie było żadnej wiadomości z Manteo. Igor dzwonił do szeryfa z Williamsburga trzy razy, za każdym razem okazywało się to bezcelowe. Odpowiedź była wciąż taka sama: trwają poszukiwania.

Przy okazji jednak, gdy Igor zadzwonił po raz drugi, szeryf zadał mu kilka pytań.

- Wiedział pan, że pana siostrzenica bierze udział w aukcji w muzeum w Richmond?

- Dowiedziałem się o tym wtedy, kiedy poprosiła mnie o przelew. - Igor westchnął. - Miała jakieś kłopoty z bankiem.

- Czyli to pan zapłacił za wylicytowaną szkatułę.

- No to właśnie powiedziałem.

- Czy to prawda, że zajmuje się pan zawodowo poszukiwaniem skarbów?

- Nie, to nieprawda.

- Słucham? - Moore wydawał się zaskoczony odpowiedzią i nieco zbity z tropu. - Mam tutaj inne informacje.

- To nie moja wina. - Igor zaczynał się powoli irytować. - Jestem architektem i cały czas wykonuję swój zawód. Mam firmę zarejestrowaną w Szczecinie.

- Gdzie? - Moore z całą pewnością słyszał tę nazwę po raz pierwszy w życiu.

- W Polsce - wyjaśnił Igor, na co szeryf mruknął coś niewyraźnie.

Igorowi przemknęło przez myśl, że skoro przyleciał z Londynu i jest tam oficjalnie współnikiem firmy eksploracyjnej, to biuro architektoniczne w Szczecinie wydaje się zapewne szeryfowi firmą krzak zarejestrowaną na Wyspach Owczych.

- Słyszał pan kiedykolwiek wcześniej o farmie Lintonów? - pytał dalej niezrażony szeryf.

Igor przez chwilę milczał.

- Nie słyszałem wcześniej ani o farmie Lintonów, ani o muzeum w Richmond. Nie słyszałem także o szkatule ze Szczecina, a moja siostrzenica przyjechała do Stanów na wakacje. Czemu służą te pytania? - zapytał poirytowany.

- Musimy ostatecznie wyjaśnić, czy fakt, że pani Lindberg znalazła się na plantacji w czasie strzelaniny, rzeczywiście był tylko przypadkiem.

- Nie podejrzewa pan chyba, że to wszystko myśmy zorganizowali? Łącznie z zaginięciem na cholernych bagnach.

- Po prostu zadaję pytania. - Moore powiedział uspokajającym głosem. - Proszę się nie martwić na zapas - dodał. - Poszukiwania wciąż trwają. Nie przerwiemy ich, dopóki nie będziemy mieli pewności.

Igor zawrócił i ruszył kolejny raz wzdłuż leżącego na posadzce wzorzystego chodnika. Zza lady czynnego jeszcze baru obserwował go dyskretnie barman.

- Przestań w końcu łaźić, bo mnie wkurzasz - mruknął do niego Johann.

- Denerwuje mnie takie czekanie.

- Popatrz. - Johann nagle zatrzymał wzrok na jakiejś stronie. - Pewien portal podał najnowsze wiadomości.

Igor podszedł do Johanna i usiadł obok.

- Niejaki Ian Howe złożył zeznania, że wypadek samolotu został spowodowany przez myśliwych, którzy otworzyli do niego i jego znajomych ogień. Rzekomo przebywał w Beerhead za zgodą właścicieli posesji. W domku zastali dwoje włamywaczy i chcieli ich zatrzymać do czasu przybycia policji.

- Włamywaczy? - Igor podniósł brwi.

- Ian Howe to właściciel sporej firmy inwestycyjnej z Waszyngtonu. - Johann przesunął palcem po ekranie i otwierał kolejne linki. - Tu jest coś ciekawego.

- To portal o sztuce? - zdziwił się Igor, zaglądając Johannowi przez ramię.

- Google wyrzuciło mi przypadkowe linki na temat Iana Howe'a - odpowiedział Johann.

- Spadkobiercy kolekcjonera z Filadelfii opowiadają także o losach szkatuły z plantacji Arnim Creek pod Williamsburgiem - zaczął czytać. - Zakupił ją od Lintonów ich dziadek. Przez dziesięciolecia była wystawiona

w prywatnej kolekcji dzieł sztuki pod Filadelfią. Kilka lat temu ofertę jej zakupu złożył niejaki Ian Howe, znany przedsiębiorca z Waszyngtonu, który od lat inwestuje w dziedzictwo Wirginii Zachodniej...

- To jest ten sam Ian Howe? - Igor wpatrywał się w zdjęcie mężczyzny z długimi jasnymi włosami.

- Ten sam. - Johann skinął głową. - Obawiam się, że Karen weszła komuś w paradę, kupując tę szkatułę. Jak myślisz, skąd się ten facet wziął akurat teraz na tym zadupiu?

Szeryf odłożył na stół radiotelefon i spojrzał na rozłożoną na stole mapę Rezerwatu Rzeki Aligatorów. Tawerna na nabrzeżu, przy której w dalszym ciągu stała toyota Karen i Patryka, pełniła funkcję tymczasowego sztabu.

Dwie łodzie straży przybrzeżnej od kilku godzin szukały jakiegokolwiek śladu po dwojgu zaginionych. Tak samo jak pięć czy sześć prywatnych łodzi miejscowych przewoźników, którzy włączyli się do akcji.

Szeryf wpatrywał się w mapę. Powoli zbliżał się moment, gdy będzie trzeba pogodzić się z tym, że dwoje młodych ludzi zostało ściągniętych z pontonu przez aligatory. Gady mogły je zawlec do swoich gniazd, a w takiej sytuacji zwłok mogą nie znaleźć całe lata albo nawet nigdy. Już tak tutaj bywało.

Sięgnął znowu po radiotelefon. Spojrzał na mapę i pomyślał, że powinni jeszcze sprawdzić brzegi jeziora Swan Creek, chociaż to trochę za daleko na południe. Wątpliwe, żeby aż tam się przedarli.

Stary Sam płynął wzdłuż brzegu Rzeki Aligatorów i mętym wzrokiem usiłował wypatrzeć coś w świetle starego reflektora na dziobie.

Nigdy go nie słuchali. Bo jest stary, bo pije. Co tam stary pijak wie. Ani szeryf, ani Addison nie chcieli z nim gadać. A to wcale nie było takie pewne, że nie miał racji co do tych dwojga. Po co by tam płynęli? Według niego sprawa nadal była podejrzana. A potem te zbiry, o których opowiadał ten łapserdak Terrence. Wszystko to wyglądało na porachunki jakichś gangów.

Ale wszyscy teraz gadali za jego plecami, że stary pijak zostawił młodych ludzi na pastwę aligatorów. Że to przez niego. No to skoro nie słuchali, sam musi zrobić to, co należy.

Ci młodzi strażnicy nie znają tych rozlewisk. Kluczą tylko po głównych pławnych kanałach, bo te ich duże łodzie wplątałyby się w chaszczę. A do Beerhead można było się dostać także dawną drogą. Koło Chaty Samuela. A ten łapserdak Mike płynął tamtędy i teraz nie wpadł na to, że tych dwoje mogło się tam ukryć. Jedyne miejsce oprócz chaty Lintona, gdzie był jeszcze jako taki dach i podłoga z desek.

Szeryf przetarł oczy. O godzinie trzeciej był już porządnie zmęczony. Pół godziny temu jeden z miejscowych, którzy pływali po rozlewiskach od kilku godzin, znalazł fragmenty zakrwawionego ubrania. Indagowany, stwierdził, że mógł to być męski T-shirt.

Na nabrzeżu i w stojących przy pomostach jachtach i łodziach wciąż siedziało mnóstwo ludzi. Większość podekscytowana wakacyjną aferą, taką w sam raz na początek długiego sezonu. Szeryf zjadliwie pomyślał, że nic bardziej nie uszczęśliwiłoby niektórych, niż gdyby któryś z chłopaków przywiózł tutaj zakrwawione, do połowy zeżarte przez aligatora zwłoki. To dopiero byłaby rozrywka.

Jakby dla podkreślenia tych słów, na nabrzeże wjechały nagle dwa wozy transmisyjne jakiejś cholernej stacji telewizyjnej.

W końcu się zreflektowali, że coś się tutaj dzieje. Szeryf westchnął, wyszedł na zewnątrz i stanął na progu tawerny, przyglądając się zbiegowisku.

Wokół wozów od razu pojawiło się sporo gapiów.

Z samochodu ekipy telewizyjnej wysiadła blondynka w kusej dżinsowej kurteczce, a zaraz za nią trzej brodaci faceci z kamerami, którzy zaczęli ustawiać sprzęt na nabrzeżu.

Pozostawiony na stole radiotelefon nagle zaczął skrzeczeć i szeryf wrócił do wnętrza.

- Szefie, znaleźliśmy tego faceta - odezwał się strażnik z łodzi patrolowej.

- Johna Smitha?

- Chyba nie - odpowiedział strażnik. - Ten koleś nie był chyba czarny?

- To w takim razie to ten ochroniarz. - Szeryf przełożył telefon do drugiej ręki i sięgnął do kieszeni po komórkę. - Harold Wesley.

Tymczasem dziewczyna w dżinsowej kurteczce z ekipy telewizyjnej stanęła na tle samochodu Karen i Patryka, za którym widać było oświetlone

latarniami łodzie, i uśmiechnęła się do wycelowanej w nią kamery.

- Pamiętajcie ten filmik, w którym dziewczyna i chłopak, nazwani przez widzów YouTube'a Pocahontas i John Smith, uciekają z restauracji w Richmond? Nagranie nieoczekiwanie zdobyło wielką popularność w sieci.

Szeryf pokręcił głową z irytacją.

Jakby mało było atrakcji, na niebie pojawił się nagle helikopter, zatoczył koło nad nabrzeżem i wylądował, wzbudzając tuman kurzu na sąsiadującym parkingu.

Szeryf zobaczył wysiadającego koronera i zastanawiał się, jak przekazać mu informacje o kolejnym trupie. Będzie musiał poczekać, aż zwłoki przywiozą do portu.

Co ta dziewczyna plecie?

Koroner zeskoczył na ziemię i rozejrzał się. Szeryf ruszył w jego kierunku.

- Niestety, z naszych doniesień wynika, że cała historia skończyła się tragicznie. - Dziewczyna kontynuowała przekazywanie smakowitych newsów widzom stacji. - Oboje uciekinierzy zaginęli wczoraj wieczorem na bagnach Rezerwatu Rzeki Aligatorów...

- Panie Bremen, właśnie dostałem wiadomość o znalezieniu zwłok drugiego zaginionego ochroniarza. Łódź patrolowa wyłowiła ciało z wody.

- A niech to! - warknął koroner ze zniechęceniem. - Macie tutaj chociaż dobrą kawę? - Spojrzał w kierunku tawerny.

Wewnątrz przy ladzie stała Addison, która teoretycznie skończyła pracę o dwudziestej drugiej, ale rozwój wydarzeń skłonił ją do pozostania na miejscu. Na nabrzeżu i kryptach siedziało mnóstwo ludzi, oczekując krwawego finału poszukiwań, więc dawno już nie sprzedała tyle kawy i burgerów. Sporo ludzi zgłodniało i Addison już się cieszyła na premię, którą dostanie za robotę po nocy.

- Bardzo dobrą. - Szeryf kiwnął głową, uśmiechając się do dziewczyny.

- Jeszcze nie wiadomo, czym się skończy poszukiwanie tej dwójki. - Koroner skinął głową w kierunku ekipy telewizyjnej. - Chociaż oni chyba już ich pogrzebali?

- Wszystko wskazuje na to, że niestety, Pocahontas i John Smith zostali zaatakowani przez aligatory. - ciągnęła dzielnie blondynka.

Od strony wody dobiegł nagle głośny warkot silnika i zza zakrętu

zatoki wyłoniła się niewielka łódka z nadbudówką i stalowym pokładem dla myśliwych. Terkocząc straszliwie i zostawiając za sobą kilwater brudnej wody, zbliżała się do nabrzeża.

Łódź najpierw zwróciła uwagę Addison.

Dziewczyna doskonale pamiętała, że Stary Sam był napruty jak messerschmitt. Gdy przed północą wychodził z baru, ledwie trzymał się na nogach.

Miała nadzieję, że poszedł do domu, a tymczasem okazuje się, że gdzieś popłynął. Prędzej czy później narobi jeszcze większych problemów. Spowoduje poważny wypadek lub ktoś przez niego zginie. Chyba że już przez niego zginął. Ten uroczy przystojniak, którego nazwali Johnem Smithem, na przykład, i jego dziewczyna.

Addison skrzywiła się, patrząc z ciekawością w stronę nabrzeża, do którego zbliżała się łódź Starego Sama.

W grupie ciekawskich, która otaczała wóz transmisyjny ekipy telewizyjnej, nagle rozległy się szmery.

- To przecież ta dziewczyna - krzyknął jakiś mężczyzna, wskazując krypę.

Wszyscy na brzegu obrócili się w stronę łodzi.

Blondynka z telewizji przerwała, dała sygnał kamerzyście, że ma iść za nią, i szybkim krokiem przepchnęła się między tłumem na nabrzeżu.

- Z ostatniej chwili! - Uśmiechnęła się szeroko do kamery. - Wygląda na to, że jeden z tutejszych mieszkańców znalazł zaginionych. Może jest to przyczynek do rozmowy na temat jakości i ilości sprzętu, jakim dysponuje miejscowa straż wodna.

Szeryf z niedowierzaniem patrzył na łódź, na której siedzieli szatynka w sztormiaku i chłopak zakrwawionym ramieniem, wyglądający na wół nieprzytomnego.

- Ma poszarpane ramię! - zawołała dziewczyna, wyskakując na brzeg. - Potrzebna jest pomoc! - krzyczała.

- To pani jest Pocahontas? - spytała blondynka, wysuwając w kierunku Karen mikrofon.

- Zwariowała pani? - Karen, która nie zauważyła kamerzysty za plecami dziewczyny, wyminęła oboje i pobiegła w kierunku tawerny. - Proszę wezwać pogotowie! On potrzebuje pomocy! - krzyknęła do Addison.

- Potrzebna jest karetka na nabrzeże! - rzucił do radiotelefonu szeryf, idąc w kierunku dziewczyny. Kątem oka widział, jak Stary Sam rozmawia z dziennikarką. Nawet doszły do niego niektóre jego słowa.

- Mówiłem szeryfowi i tym ze straży, żeby płynęli do Chaty Samuela. Nikt nie słuchał.

Blondynka uśmiechnęła się do staruszka i do kamery.

- Proszę państwa. Doświadczenie i doskonała znajomość rezerwatu tym razem pozwoliły uratować życie ludzkie. Dwa ludzkie życia. Ale do rozmowy na temat niedoborów sprzętu w straży wodnej może należy także dodać kwestię stosunku naszych władz do osób starszych.

Szeryf pokręcił głową z niedowierzaniem i wzniosł oczy do nieba.

Karen wypadła z tawerny i pobiegła w kierunku łódki. Po chwili od strony mostu na Wyspę Roanoke dobiegł ich dźwięk syren karetki, a w oddali błysnęły niebieskie światła.

Rozdział 21

Strażnik szarpnął za kratę i otworzył drzwi celi.

- Karen Fleming Lindberg - krzyknął. - I Patrick. - Spojrzał do trzymanej w ręku karty. - Nalisz.

- Nałęcz - warknął Patryk, wstając spod ściany, przy której siedział oparty plecami. Przeciągnął się i ruszył za Karen w kierunku wyjścia.

- Wpłacono kaucję - rzucił do nich strażnik. - Wychodźcie. Tędy. - Wskazał ręką korytarz.

Karen pierwsza wyszła z budynku i jako pierwsza też zobaczyła stojących przy fordzie explorerze z wypożyczalni dwóch mężczyzn.

- Wujek? - Uśmiechnęła się zaskoczona. - Johann?

- Nie mów do mnie wujku - jęknął Igor na widok siostrzenicy. - W ogóle nic najlepiej nie mów.

- Ale co wy tutaj robicie? - Karen spojrzała na Johanna, słusznie zakładając, że będzie mniej obcesowy i bardziej jej przychylny.

- Johann? Igor? - Za plecami Karen rozległ się głos równie zaskoczonego Patryka, który właśnie wyszedł z budynku. - Wpłaciliście kaucję?

- Wpłaciliśmy - potwierdził Igor. - Ale nie cieszcie się za bardzo - powiedział kwaśno i spojrzał na Karen.

- Czy postawią nam jakieś zarzuty? - Patryk patrzył to na Igora, to na Johanna. - Dowiedzieliście się czegoś?

- Knajpa w Richmond wycofała zarzuty. - Johann uśmiechnął się do Karen.

- A w związku z tym wisisz nam nieco więcej kasy niż za to antyczne pudło. - Igor spojrzał na Karen i uniósł brwi. - Co się tak patrzysz? Musieliśmy im zapłacić za straty.

- Dzięki, wujku. - Karen uśmiechnęła się słodko. - Poważnie - dodała, widząc minę Igora.

- A pozostałe? - spytał Patryk.

- Najpoważniejszym zarzutem był udział w strzelaninie w Beerhead. Niejaki Ian Howe dowodził, że zostaliście przyłapani na włamaniu i kradzieży. - Johann otworzył drzwi forda. - Jedziemy. Pogadamy przy śniadaniu.

- O tak. - Patryk westchnął. - Jestem głodny jak wilk.

- Ty jesteś cały czas głodny - rzuciła Karen, wsiadając do samochodu.

- Wczoraj prawie nic nie jadłem - poskarżył się Patryk. Skrzywił się, dotykając obandażowanej ręki, którą odruchowo sięgnął do drzwi.

- Spaliśmy na więziennych pryczach - pochwaliła się Karen z zaaferowaniem, uśmiechając się do lusterka wstecznego.

- Mówisz tak, jakby to była wykwintna rozrywka - prychnął Igor. - Czyli jak widzisz - zwrócił się do Johanna - miałem rację, gdy chciałem ich zostawić tutaj na jeszcze jedną dobę. W tym czasie obejrzelibyśmy Williamsburg.

Godzinę później siedzieli w hotelowej restauracji w Richmond. Tak zwane śniadanie kontynentalne składało się z bajgli, tostów i jajecznicy z proszku. Do tego były syrop klonowy, masło orzechowe, mleko i płatki śniadaniowe. Do picia oczywiście kawa i sok pomarańczowy.

Karen, która już się zdążyła przyzwyczać, że amerykańskie śniadania są niejadalne, zjadła jednak bajgla i wypła sok pomarańczowy. Patryk jadł wszystko po kolei, tłumacząc się ciągle, że przecież zgłodniał.

- Policja nadal ma wobec was podejrzenia - powiedział Igor, patrząc na Karen. - Zgodzili się jednak na bardzo niską kaucję, dlatego że ten postrzelony człowiek przeżył.

- Henry Linton żyje? - Karen podniosła wzrok. - Całe szczęście.

- Policja jeszcze z nim nie rozmawiała - kontynuował Igor. - Lekarz na to nie pozwolił, ale przekazał, że Linton po odzyskaniu przytomności od razu zapytał - cytując: „Czy te dzieciaki przeżyły?”, a zaraz potem: „Co z psami?”.

Karen wymieniła się spojrzeniem z Patrykiem.

- Policja nadal ma wątpliwości co do tego, co tak naprawdę robiliście na farmie.

- Przecież złożyliśmy już zeznania w tej sprawie - wtrącił Patryk.

- Miejmy nadzieję, że ten człowiek w końcu dojdzie do siebie i wszystko wyjaśni - odezwał się Johann, który trzymał w ręku szkatułę

Arnimów i oglądał ją ze wszystkich stron.

- Poza tym jest jeszcze jedna kwestia - ciągnął Igor. - To wasze włamanie na tej wyspie, czy gdzie tam.

- Nie włamaliśmy się - zaprzeczyła Karen. - To znaczy, technicznie się nie włamaliśmy. Było otwarte.

- Czyli jednak. - Igor pokiwał głową ze zniechęceniem.

- Ten Stary Sam nas tam zostawił, co mieliśmy robić?

- Karen! - warknął Igor. - Tam zginęły trzy osoby! Policja nie odpuści, dopóki tego nie wyjaśni. Zwłaszcza że media trąbią o tym wszędzie. Po co wy się tam w ogóle wybraliście?!

Karen zamarła, jakby nagle sobie o czymś przypomniała. Sięgnęła po tablet i zaczęła gorączkowo przeszukiwać zawartość swojego konta na Google.

- Nie ma - stwierdziła rozczarowana.

- Czego nie ma? - zapytał poirytowany Igor.

- Listów - odpowiedziała Karen, spoglądając z rozczarowaniem na Patryka. - Przepadły.

- Jakich listów, Karen? - zapytał Igor, starając się zachować spokój.

- Listów, które rzekomo pierwsi właściciele Arnim Creek dostawali z Pomorza. W nich, według legendy rodzinnej Lintonów, kryły się wskazówki, gdzie szukać tych tajemniczych artefaktów z czasów wojny o niepodległość i Deklaracji niepodległości.

- Już czytaliśmy o tych bzdurach. - Igor pokiwał głową z sarkastycznym uśmiechem.

- Ale wszystkie pozostałe fotki na szczęście są. - Karen przesuwała palcem po ekranie tabletu. - Tego sztambucha także.

- Mogę zobaczyć? - zapytał Johann.

Karen podała mu tablet.

Johann zaczął przeglądać zdjęcia starego notesu.

- Jesteś pewna, że macie zgodę na wywóz? - Igor wziął do rąk szkatułę.

- Jeśli nie, to zostanieie tutaj z Patrykiem kolejne dwa tygodnie.

- Jestem pewna. - Karen skinęła głową i odstawiła szklanę z sokiem. - Ten sok ma więcej cukru niż cukier w kostkach.

- A więc to jest ta szachownica. - Igor zdjął małą tabliczkę wykonaną z masy perłowej i przypatrywał się starej inskrypcji.

- A to jest, według legend, herb Arnimów. - Johann pokazał mu tablet.

- I to był ten symbol, który widzieliście na kominku i grobowcu? - Igor uśmiechnął się pobłaźliwie i spojrział z ironią na Karen.

Karen skinęła głową.

- Jeśli wszystkie zawarte tutaj informacje są równie prawdziwe, to wywaliłaś pieniądze w błoto.

- Jak na razie ty wywaliłeś - parsknął śmiechem Johann.

- To nie jest herb rodziny von Arnimów. - Igor wziął komórkę i uruchomił przeglądarkę.

- Już to wiemy. - Patryk pokiwał głową. - Herb Arnimów to biało-czerwone pasy. Mówiłem jej to na początku.

- Autor tego szkicownika rozbił ten herb na dwa znaki. - Johann ponownie pokazał tablet Igorowi.

- No i właśnie dajemy się wpłatać w dywagacje, które autorom tych bzdur służyły do zarabiania pieniędzy. Słyszeliście o Money Pitt?

Igor nagle zmarszczył brwi, po czym sięgnął ponownie po swoją komórkę. Przez chwilę przeglądał jej zawartość, po czym zamarł nagle nad jakimś zdjęciem.

- Co to? - Johann zajrzał mu przez ramię. - To ten herb?

Karen zerwała się i pochyliła nad telefonem Igora.

- Skąd to masz? - zapytała zaaferowana, patrząc na herb na frontonie pałacu. - Gdzie to jest?

- Pałac w Karsznie, pod Nowym Warpnem - odpowiedział Igor. - Należał do starej niemieckiej rodziny, której jedna linia od połowy siedemnastego wieku żyła na Pomorzu. Zajmowaliśmy się tym pałacem kilka lat temu, stąd mam zdjęcia w pamięci. Oprócz Karszna stoi jeszcze do dzisiaj ich barokowy pałac w Sitnie, niedaleko Bań.

- Czyli jednak? - Karen otworzyła oczy. - Coś się jednak zgadza?

- To pewnie całkowity przypadek. - Igor prychnął pogardliwie. - Trzy orły to raczej mało oryginalny motyw. Zwłaszcza wymieszany z trzema krzyżami.

- A może oni złączyli dwa herby? - odezwał się nagle Johann. - To nawet oficjalnie się czasami działo. Król dawał zgodę.

- Jaki król w Stanach? - Igor postukał się palcem w czoło.

- Tylko mówię, że był taki zwyczaj. Oni mogli to zrobić sami z siebie.

- No dobra. - Karen wskazała palcem. - A w takim razie trzy krzyże? Jeśli to były dwa złączone herby dwóch rodzin, jego i jej, to jaki to herb?

Igor przeglądał po kolei linki, szukając podobnej grafiki. Zły sam na siebie, że daje się wciągnąć w te bzdury własnej siostrzenicy, uruchomił wyszukiwarke grafiki. Któryś z kolei link pokazał herb kresowego rodu Podhorskich.

Karen aż przysiadła na oparciu krzesła Igora.

- O rany! - powiedziała cicho. - Znaleźliśmy ich?

- Karen. - Igor pokręcił głową pobłaźliwie. - Nie podniecaj się. To tylko trzy krzyże i trzy orły. To kompletny przypadek. Równie dobrze ci przesiedleńcy mogli sklecić sobie herb z przypadkowych symboli.

- Jaka szkoda, że straciliśmy zdjęcia tych listów. - Karen wpatrywała się z żalem w przestrzeń. - Może Lintonowi uda się to odzyskać?

- Karen. - odezwał się nagle Patryk, patrząc na dziewczynę z dziwnym wyrazem twarzy.

Karen spojrzała na niego, cały czas pogrążona w myślach na temat grafiki ze sztambucha Lintonów.

- A do kogo ty właściwie wysłałaś te listy? - Patryk wpatrywał się w Karen z napięciem. - Wspomniałaś przecież, że w czasie bójki z Jennifer Linton ostatnie fotki do kogoś wysłałaś.

Karen pobladła. Rzeczywiście!

Przypomniała sobie, że gdy samolot wzbił się ponad drzewa, wrócił zasięg. Jennifer zaczęła się z nią szarpać, a ona wysłała ostatnie cztery zdjęcia do...

- Wysłałam je do babci - powiedziała w końcu słabym głosem.

- O Chryste! - westchnął Igor.

Rozdział 22

Pomorze Zachodnie, Polska

Edward Fleming usiłował właśnie wydobyć portfel ze swojej leżącej na tylnym siedzeniu samochodu torby, gdy usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości. W skomplikowanym ekwilibrystycznie manewrze zdecydowanie pomocny był korek, który ciągnął się od dobrych kilkunastu kilometrów, powodując, że samochód toczył się w tempie starszej pani idącej na spacer do parku. Starszej pani, która nigdzie się specjalnie nie śpieszy, dodał sarkastycznie w myślach Edward. Wybitnie przeszkadzał natomiast kręgosłup, który niejednokrotnie dawał już znać, że czasy beztrudnej sprawności zdecydowanie ma za sobą.

Edward zaklął i zrezygnował z prób dostania się do tkwiącego w głębi torby portfela, któremu wyjątkowa złośliwość, typowa dla przedmiotów martwych, kazała unikać jego palców i chować się głębiej za innymi manelami.

- Za chwilę wjedziemy w tył tej landary. - Siedząca na miejscu pasażera Anna Fleming, długoletnia żona Edwarda, a także babka bawiącej w Stanach Karen i matka robiącego - zdaniem Anny - nie wiadomo co w Londynie Igora, obserwowała męża z pobłażliwym uśmiechem. - Poza tym po co ci nagle portfel na środku drogi?

- Twój telefon brzęczał. - Edward skinął głową w kierunku trzymanej przez Annę na kolanach torebki. - Lepiej odbierz, a nie czepiaj się mojego portfela.

Anna spojrzała na swoją torebkę podejrzliwie.

- Im człowiek jest starszy, tym odbieranie telefonów staje się gorsze. Zupełnie jak kiedyś z telegramami - powiedziała pod nosem. - Nic dobrego z tego nie wynika.

- Przypomnij mi potem, żebym rozwiązał umowę na twoją komórkę. Zaoszczędzimy trochę pieniędzy. - Edward skrzywił się i zjechał na boczny pas.

- To po to był ci potrzebny portfel? - Anna obrzuciła Edwarda

oskarżycielskim spojrzeniem. - Znowu burger albo frytki?

- Chciałem sprawdzić, czy mam gotówkę. Tylko wtedy bym zjechał, ale skoro się nie dało...

Anna podniosła wzrok do nieba i sięgnęła w końcu do torebki.

- Pewnie pani Maria. - Westchnęła, mając na myśli gospodynię z gospodarstwa agroturystycznego, którym od lat z jej pomocą zajmowali się z Edwardem. - Pewnie dzwonią goście, że przyjadą dzień wcześniej albo później. Zawsze tak jest. Albo że przywloką ze sobą nadprogramowe dzieciaki lub psy.

Umilkła i przesunęła palcem po ekraniku komórki. Wiadomość była od operatora. Reklama jakichś nowych usług. Westchnęła z irytacją, gdy jej wzrok padł na poprzednią, która musiała przyjść w nocy, bo jej nie zauważyła.

Edward podjechał na parking i odpiął pas.

- Ledwie ten pas już dopinasz na sobie - mruknęła Anna, oglądając w skupieniu to, co przyszło do niej w wiadomości.

- Nie przesadzaj. - Edward wygramolił się z samochodu. - Jem tutaj raz na miesiąc, a tak to tylko sałata w twojej kuchni - rzucił jeszcze złośliwie i zamknął z trzaskiem drzwi.

Anna puściła mimo uszu zjadliwe uwagi męża. To, co właśnie oglądała, było zbyt zajmujące. I trochę dziwne. W wiadomości przyszło parę fotek, a oprócz nich jakiś link. Od Karen. Gdy go otworzyła, pojawiła się strona Google z udostępnionymi przez wnuczkę zdjęciami.

W katalogu były kolorowe kamienice w jakimś amerykańskim mieście, dalej kilka zdjęć wielkiego kolonialnego dworu, parku nad jakąś wodą, wściekle żółtego fordą mustanga, a potem dziwna skrzynka. Na kolejnych fotografiach widać było zbliżenia na jej wieko oraz zawartość - krucyfiks, różańce, jakąś dziwną buteleczkę.

Anna podniosła telefon do oczu, usiłując dojrzeć szczegóły. Cóż to mogło być, u diabła?

Przejrzała jeszcze kilka nocnych ujęć jakiegoś miasta, a zaraz potem zatrzymała się nieco skonfundowana na fotografiach leżącego na łóżku rozebranego Patryka. Nie żeby spodziewała się, że jej wnuczka z utratą cnoty będzie czekała do zamążpójścia. Po prostu z jednej strony nie była jeszcze na tyle stara, żeby nie docenić tego, że Patryk był niezłe zbudowany, z drugiej natomiast, oglądanie fotografii rozebranego chłopaka

własnej wnuczki wydawało jej się jednak jakimś przerażającym przestępstwem.

- A co ty, kobieto, tutaj oglądasz?! - Skupiona na zdjęciach nawet nie zauważyła, że jej mąż wrócił do samochodu z wielką torbą niezdrowego jedzenia. - Zdjęcia pornograficzne?

Zaskoczona Anna upuściła telefon, który z łoskotem spadł na podłogę.

- Edward - powiedziała z wyrzutem. - Przestraszyłeś mnie. Co ty za głupoty opowiadasz? Jak zwykle zresztą, ale czasem jak coś powiesz.

- No przecież widziałem. - Edward wskazał oczami leżący na podłodze samochodu telefon.

- To Patryk.

- A skąd ty masz jego zdjęcia? - Mąż na moment zaniemówił. - Takie zdjęcia - dodał, akcentując „takie”.

Anna obrzuciła Edwarda kpiącym spojrzeniem, wydobyła w końcu komórkę z zakamarków pod przednimi siedzeniami i ponownie weszła na udostępniony katalog ze zdjęciami.

- Karen przysłała mi link do swoich zdjęć - odpowiedziała w końcu. - Pojęcia nie mam po co. A Patryk jest całkiem niezłe zbudowany - dodała z wesołym uśmiechem. - Też mógłbyś coś ze sobą zrobić, a jesz takie świństwa - powiedziała z wyrzutem i wskazała brodą torbę z jedzeniem.

Edward parsknął.

- To ustalmy w takim razie. Karen to właściwie ile kilogramów jest od ciebie lżejsza?

- Świntuch. - Anna parsknęła śmiechem i wróciła do przeglądania fotografii. - Po co ona przesłała cały katalog zdjęć ze Stanów?

- Mogła się po prostu pomylić. - Edward sięgnął do wielkiej papierowej torby i wyciągnął pudełeczko frytek.

- Możliwe. - Anna zatrzymała nagle wzrok na całej serii zdjęć jakichś archiwaliów. - A to? Co to takiego? - Powiększyła jeden z dokumentów. - Chyba jakiś akt własności? A tu z kolei zdjęcia jakiegoś starego notesu z rysunkami wampirów. - Podniosła brwi, spoglądając na męża. - Twoja wnuczka najwyraźniej odnalazła się na archeologii.

- Zobaczmy - mruknął Edward, przypatrując się kolejnym fotografiom.

- Hotelarstwo też się jej na początku podobało. Potrafisz przeczytać te listy?

- Jakie listy? - Anna ponownie pochyliła się nad komórką. - Uważaj! -

Podniosła głowę, widząc, jak Edward pochyła się nad nią z opakowaniem frytek.

- Uważam.

- Straszne kulfony. Poza tym to przecież po angielsku. - Anna podniosła telefon, przyglądając się fotografiom starych listów. - Jakaś Froh je napisała. Nie mają dat. Tylko na tym pierwszym jest zamazana i nieczytelna.

- Froh to znaczy chyba radosna. - Edward rzucił okiem na podpis pod listem. - Z niemieckiego figlarka. To pewnie jej przezwisko.

Anna podniosła wzrok znad telefonu i się zamyśliła.

- Z czymś mi się to kojarzy. - powiedziała cicho do siebie.

- Może Karen natknęła się na te listy w jakimś muzeum. - Edward wrzucił pierwszy bieg i samochód powoli zaczął się wytaczać z parkingu.

- To dalej nie wyjaśnia, po co mi to przysłała.

- A dzwoniłaś w ogóle do niej? - Edward spojrzał na żonę tak, jakby rzeczywiście podejrzał, że Anna na to nie wpadła.

Anna dzwoniła z dziesięć razy. Do syna także. Żadne nie odbierało.

- Nie. - Pokręciła głową z udawanym zaskoczeniem.

- Nie? - Edward podniósł brwi ze zdziwieniem.

- Mam po prostu nadzieję, że znowu się pomyli i przyśle więcej zdjęć Patryka.

- Kobieto, ogarnij się.

- Jestem przekonana, że gdzieś już to Froh widziałam. - Anna puściła mimo uszu uwagę męża, który ku jej irytacji lubił przyswajać sobie powiedzonka młodych pracowników, i spojrzała w przednią szybę z namysłem. - Albo czytałam.

Kilka godzin później, gdy już wrócili do Dalewa, gdzie nad malowniczym jeziorem leżało gospodarstwo agroturystyczne, z pomocą pani Marii i jej syna rozładowali przywiezione do domu produkty, głównie rzeczy do kuchni dla letników, i wyrobili się z pozostałymi obowiązkami, Anna znalazła w końcu chwilę dla siebie.

Gospodarstwo w sezonie pochłaniało gros jej czasu. Zajmowanie się gośćmi, kuchnia, organizacja różnych imprez, w czym oczywiście uczestniczyła, bo musiała, kradły czas od świtu do nocy. Ale były to tylko letnie miesiące, począwszy od czerwca. Wiosną i jesienią było o wiele mniej gości, a poza sezonem czas się tutaj zatrzymywał, pozostawiając

Annie mnóstwo miejsca na różne inne jej zainteresowania.

A od lat była wśród nich historia. Rodziny, regionu, kraju. Sama nawet się dziwiła, że emerytowana nauczycielka matematyki, dorabiająca jeszcze w wiejskiej szkole, dała się aż tak porwać jakiejś pasji.

Trochę wiązało się to z tajemniczą działalnością Igora, która z samego założenia na historii się opierała, no i ze studiami Karen, z którą prowadziła długie rozmowy przez telefon.

Anna westchnęła.

A Karen wciąż nie odbierała. Tak samo jak Igor. Dodatkowo zdenerwowała ją trochę Natasza, dzwoniąc do niej z pretensjami, że nie może się dodzwonić do Karen i czy ona coś wie. Córka nie mogła się jeszcze pogodzić z tym, że Karen dwa lata temu rzuciła studia w Szwecji i przeniosła się na archeologię do Warszawy. Obwiniła o to Patryka, że jej zawrócił w głowie, tylko dla niego przeniosła się do Polski i że nic dobrego z tego nie wyniknie. Anna dla odmiany Patryka lubiła. Uważała, że to bardzo rozsądny młody człowiek, który trochę temperował temperament jej wnuczki.

Oderwała się od myśli o rozproszonej po Europie rodzinie i wróciła do intrygującej tajemnicy zdjęć przysłanych przez Karen. Zaczęła od przeczesania swojej rosnącej z roku na rok biblioteki. Froh, zdaniem męża, mówiącego dobrze po niemiecku, było żeńskim przydomkiem. Zaimki we fragmentach listów, które zdołała odczytać, także świadczyły, że nadawczynią była kobieta. A kobietę o przydomku Froh skądś kojarzyła. Czy to była jakaś postać historyczna? Wtedy listy mogły być wartościowym znaleziskiem. Czy to dlatego Karen je przysłała? Znalazła je gdzieś w Stanach, może na targu ze starociami albo w galerii. Tylko po co przysłała resztę tych fotek? Były wśród nich także dziwne znaki, jakby orły i krzyże. Może ten stary notes też gdzieś kupiła na targowisku i teraz po prostu szukała ich historii.

Anna zamknęła pamiętnik znanej podróżniczki, który okazał się ślepą uliczką, i popatrzyła z namysłem na swoją bibliotekę. Może powinna zacząć od najprostszej rzeczy.

Wstała z fotela i podeszła do biurka. Otworzyła swój laptop. Najprostszą rzeczą obecnie było skorzystanie z wyszukiwarki internetowej oczywiście.

Kilkanaście minut później była tak samo mądra jak na początku.

Słowo *Froh* otwierało od razu kilka słowników oraz odnośniki do stron, na których pojawiały się osoby o takim nazwisku. Anna zaczęła sprawdzać niektóre z tych linków, ale żaden nie dotyczył kobiety, w dodatku, oceniając po treści listów, kobiety z dziewiętnastego wieku.

Wpisała zatem w wyszukiwarkę słowa „Froh, kobieta, XIX wiek”, co zaowocowało pojawieniem się dziesiątek stron o roli kobiet w dziewiętnastowiecznych społeczeństwach, względnie traktatów religijnych lub feministycznych.

Rozczarowana zamknęła przeglądarkę i ponownie sięgnęła po listy, które wcześniej z pomocą syna pani Marii sobie wydrukowała.

Angielski Anny był średniej próby. Coś tam pamiętała z czasów studiów, potrafiła się porozumieć, ale tłumaczenie odręcznego pisma z dziewiętnastego wieku przerastało jej możliwości o całą skalę. Wprawdzie dzięki angielskim przyjaciółom syna, a zwłaszcza Gwen, narzeczonej Johanna, z którą rozmawiała często przez telefon, bardzo się ostatnio podszkoliła, ale niewiele to zmieniało w tej konkretnej sytuacji.

Wpatrywała się teraz w zapisane bardzo niewyraźnym pismem kartki i była w stanie wyłonić z tej plątaniny dekoracyjnych zawijasów jedynie pojedyncze słowa. Dość czytelne były tylko pojawiające się w tekście imiona lub rzadziej nazwiska, ponieważ zawsze uruchamiały ciągi skojarzeń, które potrafiły podpowiedzieć brakujące litery i prawidłowe brzmienie. Ta funkcja mózgu nosiła nawet jakąś nazwę, Anna pamiętała, że czytała o tym niedawno. Postanowiła, idąc tym tropem, wszystkie te imiona i nazwiska wynotować i zobaczyć, co z tego wyniknie.

We wszystkich czterech listach przewijały się dwa męskie imiona: Wilhelm i Medard. Kilka razy pojawiała się jakaś ciotka. A nieco dalej jakies kuzynki - Amelia, Malwina.

Nigdzie w liście nie pojawiało się natomiast ani imię adresatki, ani nadawczyni, tak jakby tajemnicza Froh unikała podawania zbyt szczegółowych danych.

Anna przebiegła wzrokiem wszystkie cztery kartki, ale zarówno jej znajomość angielskiego, jak i straszliwe, bogate w zawijasy dekoracyjne pismo odręczne nie pozwoliły już niczego więcej się dowiedzieć. No i brak dat bardzo utrudniał rozeznanie się w sytuacji. Chociaż, jeśli Figlarka nie była jakąś szczególnie ważną postacią historyczną, to może i konkretne daty także niewiele by wniosły.

Przez chwilę wpatrywała się w leżące na biurku cztery kartki i klepnęła się w czoło.

No oczywiście! Że też o tym nie pomyślała od razu. Paulina! Przyjaciółka Igora! Znała perfekcyjnie angielski i niemiecki. Pewnie bez problemu przetłumaczy te listy.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer szczecińskiej dziennikarki.

Gorący czerwcowy dzień skończył się ogniskiem na polanie nad jeziorem. Dwie grupy pensjonariuszy wróciły z kajaków na czas. Trzecia, która kończyła spływ kilkanaście kilometrów od Dalewa, mocno się spóźniła. Wysłany pracownik czekał na nich w samochodzie ponad godzinę, a Anna co chwilę spoglądała w kierunku bramy wjazdowej, denerwując się niefrasobliwością owej bandy względnie młodych mężczyzn, którzy wyrwali się na trzy dni z domów i puściły im hamulce.

Dopiero koło dwudziestej pierwszej w domu zapanował względny spokój, jeśli nie liczyć oczywiście muzyki i w miarę ubywania piwa coraz głośniejszych śmiechów przy ognisku.

Anna usiadła w kuchni z laptopem i otworzyła pocztę. Godzinę wcześniej Paulina przysłała jej wiadomość, że przetłumaczyła listy i czekają w skrzynce.

Najpierw oczywiście ściągnęła się cała utrapiona, nikomu niepotrzebna masa reklam i wiadomości od zupełnie obcych ludzi, którzy oferowali pomoc w pozycjonowaniu stron, oddłużanie firmy tudzież inne usługi, z pozbywaniem się kurn z poddasza włącznie. W końcu jednak cztery przetłumaczone epistoły tajemniczej Figlarki z dziewiętnastego wieku znalazły się w skrzynce Anny. Jeszcze tylko szybka pomoc Filipa, syna kucharki, i w końcu Anna wzięła do ręki cztery wydrukowane strony.

Pierwszy list był nieco ckliwą relacją z frontu jakiejś wielkiej miłości, której uległa nieszczęsna Froh i która właśnie znalazła ukojenie. Oblubieniec nazywał się właśnie Wilhelm. Dzięki tłumaczeniu Pauliny Anna poznała jednak nowe szczegóły tego romansu. Panna Froh mieszkała w pałacu w Berlinie, co lokowało ją w tym momencie albo w środowisku arystokracji, albo zamożnego mieszczaństwa, względnie bogatych warstw kupieckich.

Za przynależnością do mieszczaństwa lub kupiectwa przemawiał fakt, że rodzina Wilhelma krzywo patrzyła na ten związek jako na mezalians.

Froh bywała we Freienwalde, to stamtąd zostało wysłane pismo. Anna szybko sprawdziła, że były dwie miejscowości o tej nazwie: dzisiejszy Chociwel oraz Bad Freienwalde pod Berlinem. Jako miejsce akcji obie były równie prawdopodobne.

No i Medard - chyba Medard, bo imię było trochę nieczytelne - nazwany wampirem, który tropił adresatkę listu. A ona tymczasem była na końcu świata. Te dwa fakty były arcyciekawe. Czy to był zawiedziony wielbiciel? Rodzinny skandal?

Anna wynotowała sobie podstawowe informacje na kartce i podekscytowana sięgnęła po kolejne z pism.

Berlin

Moja Kochana Przyjaciółko! Mimo że już tyle lat upłynęło, odkąd wyjechałaś, wciąż jeszcze mam wrażenie, że spotkam Cię rano na korytarzu. Bardzo za Tobą tęsknię, zwłaszcza teraz, gdy wszystko wokół tak czarne się zdaje i nam nieprzyjazne.

Nie wiem, ile na Twój koniec świata dociera wieści z Berlina, ale pewnie i tam miejscowe pleciugi tę [nieczytelne] decyzję króla komentowały. Nie ma już nadziei, Wilhelm i ja nigdy nie będziemy razem. Boli mnie bardzo, że chociaż niezbadane są Jego wyroki, to tak akurat Bóg postanowił. Wilhelm, od momentu ojcowskiego werdyktu, zimny się zrobił jak gład, tak jak i cały Berlin, zatem na jesień do [nieczytelne (Poznań?)] zjeżdżamy, a do Berlina już chyba nie wrócimy. Całe szczęście, że zamek ciotki daleko na północ, bo mama jeszcze, nie daj Boże, zatrzymać by się tam chciała. A mnie jeszcze dzisiaj śnią się czasem te straszne chwile, które na ciocinym [nieczytelne] przeżyłyśmy. Troje nieszczęsnych ludzi bez litości zamordowanych dla tych błyskotek. Do tej pory mam przed oczami ciało biednej A. leżące na dziedzińcu. I Ty, Moja Kochana Przyjaciółko, która musiałaś uciekać aż za ocean, żeby w łapy tego bezwzględного wampira nie wpaść.

Miej się na baczności i nie rozmawiaj z ludźmi, których nie znasz ani którym nie ufasz. Medard ma wysoko postawionych krewnych, a i z Duchesse Marią [nieczytelne (Fridrichową, Fawelską?)] dobre relacje lotr utrzymuje, świetnie wiedząc, że to mnie szczególnie uwiera.

Straszliwe plotki doszły do nas tutaj, że za sprawą śmierci własnego ojca także Medard stać może, chociaż w to trudno aż uwierzyć. Napisała do

mnie nasza daleka kuzynka Amelia, że długo jeszcze po śmierci ojca rodzina pogodzić się z tym nie mogła, że takie plotki krążą. Mnie się wydaje jednak, że z utratą precjozów pogodzić się nie mogła bardziej, zwłaszcza że w tajemnicy to musiało pozostać. Jej [nieczytelne] E.vB. że Szczecina miała jednak rację.

Jego sprawką była też rzekomo kradzież, za którą wypędzeniem z prowincji ukarany został zmarły dopiero co mistrz Weber. Z tego wszystkiego zatem postać straszliwa i bezwzględna się wyłania, przed którą strzec się winnaś. A moja kochana mama tak dobrze wspomina ten stary zamek nad [nieczytelne], uwierzysz? Któż by pomyślał, że tak wszystko się ułoży.

*Twoja niezmiennie oddana
Froh*

PS Pamiętasz to śliczne dziewczę od wuja Augusta? Rok temu król uległ i kolejna moja cioteczka została baronową, a dzieci z tego mariażu nosić będą nazwisko od nazwy ich nowych włości pod Pyritz.

A to dopiero.

Anna przeczytała uważnie drugi list, a potem zrobiła to jeszcze raz. Kolejna odsłona wydarzeń sprzed dwustu lat. Mniej więcej oczywiście, bo nadal nie było wiadomo, kiedy ta historia się wydarzyła. Nie sposób było tego ocenić po treści listu. Czy tajemnicza grafika z tych zdjęć Karen - *John Jay? 1829?* - jest tu jakąś podpowiedzią?

Anna zamyśliła się na moment. Jeśli historia miała swoją kontynuację w Stanach i pojawiła się data tysiąc osiemset dwudziesty dziewiąty, a w liście na samym początku Figlarka pisze, że tyle lat upłynęło, odkąd jej adresatka wyjechała, to o czym to świadczy? Rzecz zatem miała miejsce wiele lat przed tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym. Figlarka, skoro wdała się w romans i myślała o zamążpójściu, nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. Powyżej trzydziestki w tamtych czasach rodzina położyłaby na niej krzyżyk w tej kwestii.

Ile więc może znaczyć owo „tyle” dla tak młodej osoby? Zakładając, że miała w momencie pisania około trzydziestu lat, to mogło to być maksymalnie piętnaście.

Anna spojrzała w okno. Chyba popełniła jednak szkolny błąd w rozumowaniu. Przecież nie wiadomo, ile lat upłynęło do tysiąc osiemset

dwudziestego dziewiątego roku od momentu napisania pierwszego listu. Mogło i znacznie więcej. Granicą jest chyba średnia długość życia w owych czasach. W tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym obie, adresatka i nadawczyni, mogły być równie dobrze po pięćdziesiątce. Wtedy pierwszy i drugi list mogły być napisane nawet trzydzieści lub trzydzieści pięć lat wcześniej. Czyli pod względem chronologii wydarzenia opisane w listach mogły się rozgrywać zarówno w latach dziewięćdziesiątych osiemnastego wieku, jak i w epoce napoleońskiej.

No proszę.

Anna uśmiechnęła się triumfalnie. Listy były jak zagadki logiczne, a jej, emerytowanej matematyczce, bardzo się to podobało. Pochyliła się ponownie nad pismem.

A dalej zaczynał się prawdziwy kryminał. Annę zagadka wciągnęła na dobre. Znowu pojawiał się ów Medard, niewątpliwie czarny charakter tej historii. Trzy ofiary śmiertelne jakiegoś wampira. Wszystko wskazywało na to, że owym wampirem był Medard właśnie, kimkolwiek był. Miał też zamordować rzekomo własnego ojca, chociaż sama autorka przyznawała, że krążyły tylko takie plotki. A kim mógł być mistrz Weber? Jeżeli Froh należała do bogatego kupiectwa, to może jakiś mistrz rzemieślnik?

No i miejsce akcji. „Straszne chwile” rozegrały się na czymś ciocinym? Cóż to mogło być?

Ciocinym dworze? Bogata kupcówna mogła mieć ciotkę z arystokracji, a jakże. Poza tym zamożne kupiectwo bardzo chętnie kupowało wówczas posiadłości ziemskie, ponieważ wiązało się to z podniesieniem prestiżu. A na końcu pojawia się nawet jakiś stary zamek nad czymś, pewnie rzeką albo jeziorem. Czy owo „straszne miejsce” i stary zamek nad czymś to jedno i to samo? No i jest jeszcze nazwisko od nazwy włości pod Pyrzycami. Czy to jedno i to samo miejsce? Miejsce tych mrocznych wydarzeń?

Niespodziewanie pojawia się także jakaś E.vB. ze Szczecina. Cóż znaczyło „jej” przed nieczytelnym słowem? Jej wysokość? A do tego jakaś *Duchesse Maria*. Czy jej wysokość i *duchesse* to były prawdziwe tytuły, czy też Figlarka żartowała w ten sposób z jakichś nobliwych ciotek lub kuzynek?

Anna przeczytała pismo po raz trzeci i znowu się zamyśliła.

No i kolejne pytanie. Po cóż król miałby podejmować decyzję

w sprawie małżeństwa kupcówny i jakiegoś arystokraty? Ten Wilhelm musiał być zatem bardzo wysoko notowany. Tylko małżeństwa naprawdę wielkich rodów interesowałyby króla. Może Figlarka miała jakąś wysoko postawioną ciotkę, może nobilitowaną? Może dzięki tej ciotce i jej koneksjom lub pieniądзом zaczęła bywać w towarzystwie i poznała jakiegoś hrabiego albo barona? Czy małżeństwa arystokracji podlegały jakimś państwowym regulacjom, że sam król albo może jakiś urzędnik w jego imieniu postawił weto?

Zaraz, zaraz...

Anna pochyliła się ponownie nad kartką. Postscriptum!

Cioteczka baronowa? Czy to jest ta sama ciotka, która przewija się przez wszystkie listy? Jej dzieci dostały tytuł od włości pod Pyrzycami, bo Pyritz to przecież Pyrzyce. Co to znaczy: tytuł od nazwy włości? Zaraz, zaraz.

Anna podniosła głowę i wbiła wzrok w przestrzeń. Historia coś jej mówiła, z czymś jej się kojarzyła. Boże, starość nie radość. Coś się jej kojarzy, tylko szczegółów nie może sobie przypomnieć. Najpierw ta Froh, a teraz jakieś włości pod Pyrzycami. Włości to mogła być nazwa wsi po prostu.

Sięgnęła po swój laptop i wpisała wieś pod Pyrzycami w wyszukiwarkę. Nic to nie dało oczywiście, bo hasło było zbyt ogólne. W kilku linkach pojawiły się wprawdzie jakieś nazwy, między innymi Brzesko ze słynnym sanktuarium maryjnym, ale nic tam więcej nie było poza kościołem.

Anna otworzyła mapę i wbiła wzrok w krzyżujące się linie dróg i linii kolejowych w okolicach Pyrzyc. Dziesiątki większych i mniejszych miejscowości i wsi. Może należy szukać pałacu. Anna zatrzymała wzrok na punkciku nad małym jeziorkiem. Pstrowice. Pamiętała, że stał tam właśnie pałac. Odnowiony jakiś czas temu. Pomyślała, że powinna sprawdzić nazwiska niemieckie o podobnym brzmieniu, gdy jej wzrok padł na nazwę innej wsi.

Przelewice!

Augusta von Prillwitz - pani na Przelewicach. Faworyta księcia Augusta Pruskiego, bratanka króla Fryderyka Wielkiego. Skandaliczny związek księcia z rodziny Hohenzollernów z córką kupca z Berlina. W dodatku Żydówką. Pałac w Przelewicach, który Augusta otrzymała od

księcia, stoi do dzisiaj. Niedawno odnowiony.

Anna oderwała wzrok od laptopa i spojrzała z nowym zaciekawieniem na wydruki starych listów. Czy to rzeczywiście mogło chodzić o tę wieś? Może to tylko zbieżność literek, zwykły zbieg okoliczności? Pomyślała, że jeśli listy rzeczywiście dotyczą utajnianego przez Hohenzollernów przez cały dziewiętnasty wiek megaliansu, to ich treść może być niezwykle ciekawa.

No i najważniejsze. Jeśli cioteczka baronowa to rzeczywiście Augusta von Prillwitz, to wreszcie można było ustalić datę wydarzeń.

Anna sięgnęła po laptop i już po chwili dowiedziała się, że Augusta Arendt, córka bogatego żydowskiego kupca i rentiera z Berlina, została nobilitowana w 1825 roku na baronową von Prillwitz.

Anna nagle uniosła brwi. Skoro Augusta dostała szlachectwo w tysiąc osiemset dwudziestym piątym, a Figlarka napisała, że stało się to rok wcześniej, to znaczy, że list pisany był w tysiąc osiemset dwudziestym szóstym!

Poza tym cioteczka baronowa wyjaśnia chyba kwestię Wilhelma. Figlarka najwyraźniej była kupiecką krewniaczką. Może poznała jakiegoś hrabiego albo księcia nawet, ale tym razem król postawił weto.

Anna uśmiechnęła się do siebie i spojrzała w okno.

Historia wylewała się z tych listów jak żywa. A kolejny pisany był dla odmiany z Poznania.

Poznań

Moja kochana! Bardzo dziękuję za Twój list, który uspokoił mnie w kwestii Waszych kłopotów. Bardzom rada, że tak dobrze wszystko się ułożyło w tym obcym, zdawać by się mogło, że dalekim i wrogim świecie. Pamiętasz, jak bardzo bałaś się tej podróży? Tamtej okropnej jesieni, po wydarzeniach na starym zamczysku cioci, które do tej pory jeszcze sprawiają, że chłód na plecach czuję. I te koszmarne bagna dookoła, gdzie żartowałyśmy, że wampir grasuje, a rzeczywistość przerosła nasze wyobrażenia po stokroć.

Przykro mi, że nie doszło do transakcji, w której pokładałaś takie wielkie nadzieje. Podziwiam Cię za ten gest i szczodrość i tym bardziej szkoda, że się nie udało. Gdybym ja jakoś pomoc mogła, ale swoich własnych pieniędzy mam bardzo niewiele, a wciągnięcie w to papy

groziłoby mu strasznymi konsekwencjami. Zwłaszcza po tej okropnej historii z Wilhelmem.

Ale mam dla Ciebie i dobre wieści w tej sprawie. I nie uwierzysz, kto zaoferował nam swą pomoc. Mama naszej Malwiny we własnej osobie. Gdy dowiedziała się o poczynaniach Medarda, z bólem serca, ale postanowiła, że sama nam pomoże. Zwłaszcza że bardziej znamienitej pamiątki dla jej panopticum znaleźć niepodobna. Czyż los nie jest przewrotny? Zemsta może mieć wiele imion.

Postaramy się zorganizować umyślnego, który z Nowego Jorku wracając, zdejmie z twych ramion ów ciężar i zabierze go do kraju, by wspomóc w potrzebie ojczyznę.

Pozdrawiam Cię i życzę, by wszystko dobrze się skończyło.

Twoja Froh

Anna ponownie przeczytała list dwukrotnie, zatrzymując się nad poszczególnymi akapitami i analizując ich treść.

Historia z Wilhelmem wydawała się najwyraźniej wątkiem pobocznym korespondencji. Figlarka opowiadała jedynie przyjaciółce o przykrym epizodzie swojego życia. Tym razem nawet nazywając relację z Wilhelmem okropną. Swoją drogą, czy to czas tak otworzył oczy dziewczynie, czy też romans ten miał jakieś przykre konsekwencje dla niej i jej rodziny?

Anna stwierdziła w duchu, że raczej do tego nie dojdzie tylko po lekturze listów, i skupiła się na wątku, który zdawał się pierwszoplanowy.

Froh ponownie wracała do wydarzeń na tajemniczym zamku, który należał do jej ciotki. W dalszym ciągu była to dla niej trauma. Jako nowy wątek pojawiły się Malwina i jej matka. Kolejne kuzynki?

I o jaką transakcję mogło chodzić?

Anna, coraz bardziej zafrapowana rozkręcającą się sensacyjną historią, sięgnęła po ostatni z listów.

Poznań

Moja Kochana Przyjaciółko! W ogromnym pośpiechu list ten piszę, bo umyślny już czeka, a najszybszą tutaj pocztą szczecińską list ten musi dotrzeć najpóźniej siódmego maja do Liverpoolu, żeby na statek do Nowego Jorku zdążyć.

To jest ostrzeżenie, moja kochana. Nie wiadomo, jakimi drogami, ale

Medard dowiedział się o tym, gdzie przebywasz. Możliwe, że największym błędem było nawiązanie kontaktu z amerykańskimi władzami, a tą właśnie drogą Medard wpadł na Twój trop.

Mam tylko nadzieję, że mój list zdąży dotrzeć do ciebie, nim z porucznikiem [nieczytelne (Drohojowskim?)], naszym posłańcem, się spotkasz. Są obawy, że Medard porucznika będzie obserwował i w ten sposób do Ciebie trafi.

Mam nadzieję, że przeczytasz to pismo wcześniej i wszystko dobrze się skończy, a Albion szczęśliwie do [nieczytelne]. Modlić się o to zacznę zaraz po napisaniu tego listu.

*Pozdrawiam Cię i boskiej opiece Was polecam
Twoja Froh*

Anna po przeczytaniu ostatniego listu zamarła, wpatrując się w przestrzeń. Ten był najbardziej tajemniczy. Ostrzeżenie. A więc Medard wpadł na trop adresatki. Zaraz. Największym błędem było nawiązanie kontaktu z amerykańskimi władzami?

Anna chwyciła telefon i zaczęła przeglądać wiadomości. Po chwili wpatrywała się w galerię zdjęć Karen. Piąta z ostatnich fotografii Karen - dziwny protokół z tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku. O próbie sprzedaży rządowi Stanów Zjednoczonych jakiejś wyjątkowej kolekcji klejnotów. Przypomniała sobie nagle słowa z drugiego z listów: „Troje nieszczęsnych ludzi bez litości zamordowanych dla tych błyskotek”. Czy to jest jedna i ta sama sprawa? Czy błyskotki to właśnie ta przedziwna kolekcja klejnotów z jakiegoś europejskiego skarbcza, jak opisywał ją protokół?

Czyżby tajemnicza adresatka, uciekinierka z Prus, chciała sprzedać kolekcję szafirów Stanom Zjednoczonym? Z historii jakiejś prowincjonalnej miłości zrobiła się nagle międzynarodowa afera szpiegowska. Czyżby adresatka Figlarki była jakąś pruską Matą Hari? A Medard szpiegiem władz pruskich, który ją ścigał?

Anna sięgnęła po laptop i otworzyła mapę.

Pomyślała, że dawno już nie trafił jej się lepszy pretekst, żeby wyciągnąć Edwarda z domu.

Rozdział 23

*Dawno, dawno temu.
W królestwie Prus.*

Wtedy, gdy telepiącą się na nierównościach brukowanej drogi karetą jechała z księżną do tego zamku na pomorskich mokradłach, przez głowę by jej nie przeszło, że wszystko tak się potoczy. Aż tak źle.

Teraz, gdy znowu jechała tą samą telepiącą się karocą, a za oknami widziała sosnowe lasy, łąki, wieże kościelne i bielejące w słońcu domy po wsiach, była w stanie myśleć tylko o jednym. Jak to możliwe, że ludzkie życie, tak z pozoru poukładane, ujęte w ramy codzienności, a przede wszystkim wystarczające, może się tak brutalnie zmienić?

Że wszystko, co cieszyło ją uprzednio, co napełniało ją radością lub przynajmniej nie nudziło, teraz takie bezbarwne i pozbawione sensu jej się wydaje. Nawet rozmowy z jej ukochaną przyjaciółką, która siedziała teraz naprzeciw niej i co chwilę patrzyła na nią z niepokojem, płytkie i bolesne w swoim braku podmiotu znajdowała. Głupie serce.

Koła stukały, to po bruku siól i miasteczek, to po szutrze leśnych duktów i dróg między polami, a ona wciąż miała przed oczami, niczym sceny w jakimś kalejdoskopie, wydarzenia poprzedniego dnia.

Z samego rana do zamku przyjechali żandarmi i kryminalny komisarz z Pyritz, którego jeszcze w nocy o wydarzeniach powiadomiono. Policja w Pyritz, cały powiat obejmująca, skromna była niezwykle. Przypadłość to była całej policji w Prusach, zorganizowanej jeszcze na stary osiemnastowieczny sposób, na której reformę wciąż nie było środków. Ale co innego występki po wsiach czy jakieś mordy między chłopami, czy dzierżawcami nawet, a co innego trzy wypadki w zamku baronowej. Na to ani czasu, ani środków nie żałowano. Czterech żandarmów, byłych wojskowych na rencie, ale sprawnych jeszcze, i komisarza, który im

przewodził, przysłano. Komisarz nazywał się Anton Grunner i był młodym, krewkim policjantem, któremu jednak, z uwagi na niezwykłą sytuację i towarzystwo z tytułami pruskiej arystokracji, wyjątkową delikatność nakazano.

Komisarz Grunner, zaprowadzony do kaplicy, obejrzał ciało nieszczęsnej Anny von Walter, do pokojów dla służby na strych poszedł i biedną Inge Franke obejrzał, a na koniec do stodoły został zaprowadzony, by kawalkatora z Hohenziethen Franza Erdmanna zbadać.

Po tych czynnościach, które wyjątkową ciekawość służby przyciągały, nienawykłej do takich ekscesów, kazał jedno pomieszczenie sobie wyznaczyć i tam rozmawiać ze wszystkimi po kolei zaczął.

Na pierwszy ogień zasięgnął fachowej opinii doktora Friedricha Schultza, z którym długo rozmawiał i z którym nawet do kaplicy ponownie się udał, żeby osądy własne zweryfikować.

Kucharkę Hedwigę przepytał dokładnie i opisać kazał punkt po punkcie, jak Erdmanna w bagnach za zamkiem znalazła. Służbę wypytywał o zwyczaje pokojówki baronowej i o to, jak się prowadziła, i o to, czy czegoś niezwykłego w te ostatnie dni nie widziano.

I w ten sposób dotarł do wyższych rangą mieszkańców zamku, tych stałych i tych jako goście przebywających.

Wiktoria, która niewyspana po ostatniej nocy przemykała się po zamku, unikając obcych, krytycznych oczu, liczyła na to, że jej osoba zbyt mało ważna się wyda komisarzowi, żeby z nią chciał rozmawiać. Ale tak się nie stało.

Tuż po tym, jak Anton Grunner przepytał kamerdynera Libitza, jedna z pokojówek odnalazła ją w pokoju Elizy i przekazała, że komisarz z nią chciałby rozmawiać.

Zdziwiona i podenerwowana zeszła na parter, gdzie w pakamerze przy holu głównym urządzono salę przesłuchań. Zastukała, a gdy usłyszała niskim barytonem wypowiedziane „wejść”, weszła.

- Panienska Wiktoria Podhorska? - Grunner pokaleczył straszliwie kresowe nazwisko Wiktorii i patrzył na nią z niechęcią. - Doszły mnie słuchy, że z panią Anną von Walter miała pani kilka spięć, a nawet o kradzież pani von Walter panią oskarżyła. Czy to prawda?

Wiktoria, rada nierada, musiała potwierdzić, po czym usłyszała pytanie, które ją poruszyło.

- Muszę o to zapytać, panienko, bo to istotne. - Grunner uśmiechnął się z zawstydzaniem. - Czy wiadomym pani jest, że pan Bruno von Enckevort jakieś związki z pokojówką Ingą Franke utrzymywał?

Wiktoria się zaczerwieniła. Komisarz zrozumiał to oczywiście opacznie, ale w tej sytuacji było to Wiktorii na rękę. Nie tylko przecież, że wiedziała o tym, lecz także widziała na własne oczy. Tyle tylko, że widziała to jako tajemnicza nieznajoma w turkusowej sukni, a nie jako Wiktoria Podhorska, dwórka księżnej Fryderyki.

I gdy stała tak, nie wiedząc przez chwilę, co odpowiedzieć, zreflektowała się, że to podejrzenie pewnie wygląda.

- Słyszałam, jak służba o tym mówiła między sobą - odpowiedziała w końcu, decydując się na półprawdę.

- Zwlekała pani z odpowiedzią dość długo. - Grunner patrzył na nią surowo.

- Bo temat do przyzwoitych nie należy.

- Muszę zadać pani jeszcze bardziej nieprzyzwoite pytanie, niestety. - Komisarz patrzył na Wiktorię tak, jakby chciał oszacować jej zimną krew. -

Czy wiedziała pani, że pokojówka baronowej była w stanie błogosławionym?

Wiktoria poczuła, jakby ktoś ją uderzył. A więc jednak miała rację. Eliza wyśmiała jej obawy, ale to ona miała rację. Dlaczego, zamiast przejmować się tym, że wygląda teraz straszliwie z tym przerażeniem wypisanym na twarzy, jest tak bardzo zrozpaczona?

Czy dlatego, że jej złudzenia właśnie się rozwiały jak poranna mgła? Co ona sobie wyobrażała?

- A więc widzę, że pani o tym słyszała. - Grunner obserwował ją uważnie. - Jakim sposobem się pani o tym dowiedziała? Czy pani o czymś wie i nie chce nam powiedzieć?

Wiktoria nie wiedziała, co ma robić. Jeśli przyznałaby, że podejrzewała taką ewentualność, musiałaby zdradzić dlaczego. Tak bardzo nie chciała zaszkodzić Brunonowi, ale poczuła, że nie ma wyjścia.

- Ja widziałam tego kogoś, kto zamordował Ingę Franke - powiedziała cicho.

- Co takiego? - Grunner aż podniósł się z krzesła. - Co pani mówi? Widziała pani i nic nie powiedziała do tej pory?

Wiktoria zaczerpnęła powietrza i trzęsącym się głosem odpowiedziała

komisarzowi o turkusowej sukni i mężczyźnie w ptasiej masce.

- A chwilę wcześniej widziała pani, jak Bruno von Enckevort rozmawia podniesionym głosem z tą dziewczką na tarasie?! Jest pani tego pewna?

- Nie tylko ja to widziałam. - Wiktoria miała ochotę się rozplakać. - Ale to przecież nie znaczy, że to on zabił tę dziewczynę!

- To my o tym zadecydujemy. Kto jeszcze ich widział?

- Była tam także Anna von Walter...

- Co takiego?! - Komisarz wymienił spojrzenia z notującym wszystko protokolantem. - Czyli nie ma pani świadków na potwierdzenie swoich słów? - zapytał już spokojniej.

- Razem z Anną von Walter była także Emma von Borck. Ona poświadczy.

Grunner usiadł na krześle i wytarł czoło kraciatą chustką.

- Może pani nam pokazać ten pantofelek jako dowód?

Wiktoria pokiwała głową.

Baronowa kazała wejść kucharce do biblioteki i zamknąć za sobą drzwi.

Przestraszona Hedwiga dygnęła w progu i nerwowo skubała palcami poły ciemnej sukni. Chyba nie chodziło o jej zachowanie po tym, jak znalazła ciało tego młodego koniuszego czy berajtera? A może jednak? Może jej histeria i krzyki przerażenia tak źle jaśniepani odebrała, że jej teraz precz każe iść. Dopiero co przepytął ją ten policmajster, a teraz szykowało się następne przesłuchanie.

- Hedwigo. - Baronowa skinęła na nią dłonią. - Mam pytanie bardzo delikatnej natury. Nie chciałabym, abyś się skonfundowała za bardzo.

- Tak, jaśniepani. - Hedwiga podeszła bliżej baronowej i słuchała z szeroko otwartymi oczami. Jakie pytanie delikatnej natury może mieć do niej jaśniepani?

- Wiem, że Inga była w ciąży - wypaliła baronowa bez ogródek. - I wiem, że ty też o tym wiedziałas. To prawda, mam rację?

Kucharka, w pierwszej chwili zaskoczona, westchnęła i pokiwała głową.

- A czy zdradziła ci, z kim ten stan dzieliła? - Baronowa prychnęła. - Jeśli można to tak nazwać? - dodała.

Hedwiga pokręciła głową.

- Kluczyła i nie chciała się przyznać, ale ja podejrzewałam, że ojcem był ten jej berajter oczywiście.

- A czy mówiła coś. wspominała o panu hrabim von Enckevorcie? - spytała baronowa. - W tym kontekście oczywiście. Albo i nie. - dodała. - Ogólniejszym.

- Pani baronowo, ja wiem, co się tutaj mówi na ten temat. - Hedwiga pokręciła głową. - Ale ja nie chcę wierzyć, że pana hrabiego coś łączyło z Ingą. Chociaż widziano go z nią raz czy dwa, a i ja sama go widziałam.

- Mam do ciebie gorącą prośbę. - Baronowa ściszyła głos. - Jeśli komisarz cię o to jeszcze nie pytał, to nie mów mu nic o tym. Nie potrzebujemy tutaj polowania na czarownice.

Hedwiga pokiwała głową.

Gdy kucharka zniknęła za drzwiami, baronowa podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Widziała stąd, że przy wejściu kuchennym zebrała się spora grupa służby i o czymś dyskutowała. Widziała energiczne machanie rękami i nawet stąd, z biblioteki, słyszała podniesione głosy. Byli wśród nich żandarmi, którzy przyjechali z komisarzem z Pyritz.

Bardzo chciała uratować tego chłopaka przed tymi rozplenającymi się jak perz za jego plecami oskarżeniami. Albo uratować go przed nim samym. Nie wiedziała do końca, jak to jest.

Baronowa westchnęła. Miała wrażenie, że walczy z ogarniającym dom ogniem. Gdy ugasiło się jakieś małe ognisko, w innym miejscu wybuchało jeszcze większe.

Zawsze uważała, że Bóg ma wyjątkowo sarkastyczne poczucie humoru, bo akurat w tym momencie usłyszała, jak ktoś głośno krzyczy, że się pali.

Eliza wysłuchiwała uważnie relacji Wiktorii, po tym jak komisarz skończył ją przesłuchiwać.

- Dobrze, że powiedziałaś prawdę. - Westchnęła, siadając przy toalecie. - Teraz w rękach Boga, żeby znaleźli mordercę. Od tego przecież jest żandarmeria. Jedno jest pewne: jeśli to nie on, to nie ma się czego obawiać.

Wiktorii wytarła nos, uśmiechając się blado na tę wątpliwą próbę poprawienia jej humoru.

- Komisarz, zdaje mi się, rozważa także ewentualność, że każdą z tych osób zabił ktoś inny - powiedziała. - Właściwie można to sobie nawet tak wyobrazić. Że ktoś wykorzystał pierwsze dwa morderstwa, żeby dokonać trzeciego.

- A ślady zębów na szyi? - Eliza spojrzała na drzwi i ściszyła głos. - Nie wiemy, czy miała je pokojówka baronowej.

- Służba plotkuje, że miała oczywiście. - Wiktoria westchnęła. - Ale służba już od rana plotkuje także, że to wampir morduje w zamku. Że się zaczął na bagnach i nie odpuści, bo tutaj łatwy żer, dużo błękitnej krwi i dziewic.

Eliza przełknęła ślinę.

- Mam nadzieję, że powtórzyłaś to słowo w słowo, bo nie chcę wierzyć, że sama to wymyśliłaś.

- Zaczynam sama podejrzewać, że to mógł być Bruno. - Wiktoria pokręciła głową z żalem. - Właściwie przecież w ogóle go nie znam, tylko...

- Jeśli nie wierzysz w wampirzą krew, to dlaczego on akurat miałby zabijać? Jaki miałby motyw?

- Cięża pokojówki - powiedziała cicho Wiktoria. - Może razem z berajterem Erdmannem szantażowali go? Taka rzecz mogłaby mu bardzo zepsuć opinię.

- Mężczyźni żyją z takimi łatkami bez problemów. - Eliza prychnęła szyderczo. - To tylko nam życie radykalnie odmienia.

- Pamiętam też, że tuż po tych wydarzeniach, gdy dowiedział się, że pokojówka nie żyje, natychmiast się pożegnał i odjechał. - Wiktoria potarła skroń, usiłując sobie przypomnieć spotkanie z rodziną Enckevortów. - Tak jakby nagle coś postanowił. A wcześniej także wspomniął, że Anna von Walter do osób ceniących dyskrecję nie należy.

- Dalej nie wiem, jaki miałby motyw. - Eliza wzruszyła ramionami, po czym się zamyśliła. - Zakładając jednak, że Enckevortowie mają problemy finansowe, plotki na temat ciąży z pokojówką mogłyby rzeczywiście zepsuć mu nieco notowania u bardziej konserwatywnych matek, to prawda. Ale czy posuwałyby się do takiej krwawej...

Eliza nagle podniosła brwi i spojrzała na Wiktorię.

- Pamiętasz tę potworną książkę, którą czytałyśmy w tajemnicy przed mamą?

- *Diable eliksiry*^[17] - domyśliła się od razu Wiktoria, kiwając głową.

- Medard, ten główny bohater mnich, miał rozdwojoną psychikę - mówiła z zaaferowaniem Eliza. - Bliskim mu ludziom wydawał się dobrym i pobożnym człowiekiem, a tymczasem jakaś siła przemożna kazała mu mordować.

Wiktoria pokręciła głową z powątpiewaniem.

- To zbyt fantastyczne, nawet w porównaniu z rojeniami służby o wampirach. Uważasz naprawdę, że Bruno mógłby być takim Medardem?

- No właśnie o tym mówię. - Eliza pokiwała głową. - To jedyne, co przychodzi mi do głowy jako motywacja takich zbrodni.

Nagle z okien dobiegł do nich jakiś hałas i głośne krzyki na dziedzińcu.

Wyszły na korytarz, by spojrzeć, co się znowu dzieje, i Wiktoria pomyślała, że opatrność złośliwa jest wybitnie lub sarkastyczne ma poczucie humoru.

Na schodach zobaczyła Brunona. On też ją dostrzegł, zatrzymał się i ruszył zdecydowanie ku nim.

- Księżniczko. - Ukłonił się Elizie. - Panno Wiktorio.

Jasne, długie do ramion włosy miał w nieładzie. Zawsze zebrane w kucyk na karku, teraz opadały niesfornymi puklami na policzki. Nie miał nieodłącznego jak do tej pory fularu, a białą koszulę nosił rozpiętą na piersiach. I długi czarny płaszcz. Pachniał sianem.

- Przepraszam za mój wygląd. - Jakby domyślił się, o czym obie myślały. - Przyjechałem po. - zawahał się. - Przyjechałem zabrać tego nieszczęśnika, który u nas pracował, ale kazano mi czekać na żandarmów. To straszne, co się wydarzyło.

Nagle przerwał i spojrzał na Elizę.

- Księżniczko - zwrócił się do niej. - Wiem, że to źle może wyglądać, ale czy pozwoliłaby nam pani porozmawiać na osobności?

Eliza otworzyła szeroko oczy i rzuciła porozumiewawcze spojrzenie zaskoczonej Wiktorii.

- Właśnie szliśmy zobaczyć, co się dzieje na dziedzińcu - powiedziała, uśmiechając się niepewnie. - Może po prostu pójde przodem, a wy mnie dogonicie.

To powiedziawszy, rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Wiktorii i ruszyła ku schodom.

- Wiktorio. - Bruno zagryzł wargi i westchnął. - Wiem, że była tutaj moja matka i strasznie przeprosić za tę wizytę chciałbym. Proszę mi wierzyć, że nigdy nie wysłałbym nikogo, żeby takie sprawy za mnie załatwiał. Zwłaszcza że zgoła inne zdanie mam w tej materii.

Wiktorcia, spłoszona, z głową wciąż pełną kryminalnych teorii Elizy, patrzyła na hrabiego z niedowierzaniem, że wraca do tej przykrej, zaiste, ale.

- Do tej pory nie mogę przeboleć, że nie mieliśmy szansy zatańczyć na balu.

Na samą wzmiankę o balu przed oczami Wiktorcii stanęła ciemna postać w ptasiej masce. Poczowała, jak zimno rozlewa się jej po karku.

- I nigdy nie mieliśmy szansy, żeby dłużej porozmawiać, a ja o niczym innym nie marzyłem, odkąd po raz pierwszy zobaczyłem panią na drodze, tamtej nocy.

Wiktorcia po raz kolejny odtwarzała w pamięci scenę, którą widziała z ukrytych w ścianie schodów. O czym on mówi, na Boga?!

- I chciałbym zapytać, czy zechciałaby pani, czy zechciałabyś.

Bruno stał tuż przed nią, widziała, jak niespokojnie oddycha, jak faluje mu koszula na piersi. Poczowała zimno i gorąco jednocześnie.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, a zaraz potem pochylił się i zbliżył usta do jej ust.

Wiktorcia odsunęła się i rzuciła na schody. Zbiegając, słyszała, że Bruno biegnie za nią i coś do niej krzyczy.

Zatrzymała się dopiero, gdy na dole w holu, tuż przed drzwiami wyjściowymi, zza których do mrocznego wnętrza wpadało jasne, słoneczne światło, złapał ją za rękę.

- Przepraszam za moją śmiałość - powiedział, ciężko dysząc. - Może założyłem błędnie, że nie jestem ci obojętny i że mogę starać się.

- A Inga? - Wiktorcia wypowiedziała ze złością na głos słowa, których od razu pożałowała.

- Inga? - Patrzył zbity z tropu.

- Inga Franke! - Pomyślała, że trudno, wyrzuci z siebie swoje obawy. Boimy się wszak nieznanego. - Była przy nadziei! Jak możesz teraz.

- Słyszałaś te plotki na mój temat? I od razu dałaś im wiarę? - Bruno patrzył na nią z malującą się na twarzy urazą, ale w jego oczach dostrzegła błysk gniewu.

- Nie słyszałam. - Chciała powiedzieć, że widziała go z nią, nie tylko słyszała, ale urwała w pół słowa.

Przez chwilę patrzyli się na siebie z mieszaniną urazy, żalu, zawodu i nagle z dziedzińca ktoś krzyknął.

- To on! Widziałam go!

Wokół studni kłębił się tłum ludzi. Służba z zamku, ale i gapie z miasteczka, których ściągnęło toczące się śledztwo i żandarmi, którzy przejechali w mundurach przez ulice. Kobiety i dzieci, wpatrujące się z fascynacją i zawiścią w okna zamku, jak niegdyś, gdy dokładnie w tym samym miejscu palono na stosie czarownice.

- To on! - krzyczała podkuchenna Esterka, trzymając chustę zasłaniającą jej piersi niczym tarcza. - Widziałam go w nocy, jak tutaj przyjechał! A potem to on pobiegł na wieżę za tą nieszczęsną panienką!

Tłum ludzi zafalował, a ktoś z tyłu krzyknął:

- To wampir!

Skądś wyskoczyli nagle trzej żandarmi i stanęli przed ludźmi, krzycząc, żeby się uspokoiłi. Jeden podniósł muszkiet i trzymał go w pogotowiu.

Tłum, szemrząc, cofnął się pod ściany północnego skrzydła.

- Bronicie tego psa! - krzyknął ktoś z tyłu. - Troje biedaków rozszarpał!

- Pan komisarz jest tutaj od tego, żeby winny poniósł karę! - krzyknął jeden z żandarmów. - Albo się uspokoić, albo wyładujecie w karczerze!

Na moście do zamku pojawiła się nagle jakaś postać. Jeden ze stajennych, wzburzony i zaaferowany, wpadł na środek dziedzińca, zobaczył na schodach Brunona i krzyknął do niego, ciężko dysząc:

- Pali się! Pałac w Hohenziethen w ogniu! W nocy ogień wybuchł!

Bruno drgnął i rzucił się biegiem w kierunku stajni.

Żandarmi odgradzili go od zaaferowanego nowym wydarzeniem tłumu. Wstrząśnięta tym, co się przed chwilą stało, Wiktoria patrzyła, jak Bruno biegnie przez most, a potem drogą na folwark, a długi czarny płaszcz rozwiewa się za nim, zupełnie jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

Kareta podskoczyła na wybojach, a Wiktoria oderwała się od ciągłego wspomnienia scen z poprzedniego dnia i wróciła do rzeczywistości. A rzeczywistość była szara i dżdżysta, zupełnie jak świat za oknem karety. Gdy rano mijały zamkową bramę, nad podzamczem świeciło jeszcze

słońce. Gdy zaś wjechały między domy pobliskiego miasteczka, na niebie pojawiły się chmury, a im bardziej zbliżały się do Stettina, tym ciemniej się robiło. Tak jakby nastrój Wiktorii jakaś tajemna siła nadprzyrodzona odmalowała na niebie w mrocznych barwach.

Gęsty las ustąpił miejsca otwartym przestrzeniom, gdzie stały pojedyncze domy i rozlewały się rozłożystymi dachami stodół i oborami z pruskiego muru gospodarstwa, i wreszcie wjechały na most z drewnianych bali. A w tle, za szeroką rzeką, wyrosły wielkie ceglane mury twierdzy. Karetą przetoczyła się pod wysoką, sklepioną bramą i wjechała w ciżbę kłębiących się tutaj ludzi. Takich tłumów Wiktoria nie widywała nawet w Berlinie, gdzie rozległe przestrzenie rozpraszały ludzi, a i schować się przed pospółstwem można było łatwiej. Tutaj miasto ujarzmione z każdej strony cyklopowymi obwarowaniami i cytadelami dusiło się na wąskich, wyłożonych kocimi łbami uliczkach, przez które przelewały się tłumy gawiedzi, wozy kupców i przemykające chyłkiem karety bogatego mieszczaństwa.

- Tutaj - księżna Fryderyka wskazała ręką wieżę kościoła i spojrzała na pogrążoną w myślach Elizę - za tym kościołem urodziła się nasza kuzynka Zofia Dorota, ciotka Adama.

Karetą wjechała na rynek, minęła stary ratusz i potoczyła się wąską ulicą w kierunku majaczącej u jej końca wieży.

- A nad nami zamek. - Księżna skinęła głową w kierunku wyłaniającej się zza dachów kamienic najeżonej attykami i szczytami bryły. - Kuzynka, do której jedziemy, mieszkała tu przez kilkanaście lat, dopóki nie wyprowadziła się pod miasto.

- Następny skandal w rodzinie - cicho syknęła Eliza, puszczając do Wiktorii oko.

- Im mniej na ten temat mówimy, tym lepiej - skomentowała księżna, marszcząc z niezadowoleniem brwi. - Przynajmniej trochę światła Wiktoria zobaczy, chociaż co to za świat. - Wyrzała przez okno z dezaprobatą, odprowadzając wzrokiem stojące w głębi portowej uliczki kobiety.

Wiktoria odwzajemniła uśmiech Elizie, która od samego rana usiłowała poprawić jej humor. Bez specjalnych sukcesów. Po wczorajszych wydarzeniach księżna zdecydowała o wyjeździe, stwierdzając, że atmosfera w zamku nie nadaje się już zupełnie dla młodych pań i dalsze tam przebywanie może skończyć się poważnym deliktem na

zdrowiu. Pełna zrozumienia dla tej decyzji baronowa pożegnała je serdecznie, zaopatrując w prowiant na drogę. Wiktoria, wyjeżdżając z zamku, miała wrażenie, że zostawia za sobą swoje dziewczęce marzenia i od tej pory oficjalnie jest już starą panną.

Kareta przejechała przez kolejną sklepioną bramę, zostawiła za sobą ogromne obwarowania twierdzy i starą drogą, przy której pojawiły się rybackie chaty, wyjechała na północ.

Kilka kilometrów dalej przy drodze wyrosły pierwsze zabudowania miasteczka, wielkie ogrody za murami i niskie kamienice.

Kareta wjechała w stylową bramę, za którą ciągnął się ocieniony drzewami ogród, i po chwili wyłonił się cel ich podróży - niewielki, przebudowany ze starego młyna piętrowy pałacyk, z drewnianym gankiem zarośniętym zupełnie przez dzikie wino i wisterię.

- *Friedrichsgnade*^[18]. - Eliza znowu uśmiechnęła się do Wiktorii. - Za remont pałacyku zapłacił były małżonek - dodała wyjaśniająco.

- Eliza! - Księżna storpedowała wzrokiem córkę. - Nie waz się robić podobnych uwag przy kuzynce Elżbiecie.

Harald zeskoczył z kozła i otworzył drzwi karety. Od razu pojawił się przy nich lokaj oraz kamerdyner, który nakazał służbie zabrać torby i walizy.

- Elizo. - Księżna Fryderyka patrzyła podejrzliwie na kolekcje skórzanych i materiałowych bagaży. - Nie zapomniałaś przypadkiem tej dużej torby w kratę?

Eliza i Wiktoria wymieniły się spojrzeniami.

- Nie zapomniałam - odpowiedziała księżniczka. - Po prostu udało mi się spakować w cztery. Tamtą nam odeślą.

- A co też ty opowiadasz, moje dziecko. - Księżna patrzyła na córkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. - Jak mogłaś tego dokonać?

- Nie wiem, mamusiu, czy naprawdę się dziwisz, czy to tylko złośliwość.

Wiktoria weszła po schodach za Elizą. Wyjeżdżając w pośpiechu, poganiane przez księżną, zwyczajnie zapomniały o torbie, w której ukryły turkusową suknię. Tak już jest, kiedy amatorki biorą się do szpiegostwa.

W saloniku przywitała ich gospodyni - wysoka kobieta w słusznym już wieku, z włosami upiętymi w finezyjny kok. Towarzyszyła jej przyjaciółka.

- Wasza Wysokość. - Księżna Fryderyka skłoniła się gospodyni, a Eliza i Wiktorii dygnęły za jej plecami.

- Ależ co też, Fryderyko, wyprawiasz. - Dama podeszła do księżnej i serdecznie ją objęła. - Taka ze mnie wysokość, jak z tego tutaj młyna pałac. Dziewczęta - podeszła do Elizy i Wiktorii - bardzo miło będzie mi was gościć u siebie. Możecie zostać tak długo, jak tylko zechcecie. W Stettinie nie znajdziemy wprawdzie aż tylu rozrywek, ile Berlin oferuje, ale postarać się postaramy. - To powiedziawszy, uśmiechnęła się figlarnie, czym od razu zaskarbiła sobie przychyłność Wiktorii.

Następne dni upłynęły zatem na koncertach i wieczorkach poetycko-literackich, wycieczkach do Stettina do galerii i teatrów, na pokazach strzeleckich w miejscowym bractwie kurkowym i na przyjęciach ogrodowych u przyjaciół gospodyni, która z przyjemnością chwaliła się kuzynkami z Berlina.

Wiktorii powoli odzyskiwała dobry humor i zdawało się jej, że będzie mogła przestać myśleć o sprawach, na które nie miała żadnego wpływu, a zwłaszcza o tym mrocznym, jasnowłosym mężczyźnie, którego z Elizą ochrzciły imieniem powieściowego Medarda.

Któregoś wieczora, a mógł to być tydzień od znamienego dnia u baronowej Henrietty, na wieczorku, na który księżna Elżbieta zaprosiła kilka brylujących w szczecińskim towarzystwie pań, miała miejsce pewna rozmowa. Początkowo jednak nic nie zapowiadało jej burzliwego przebiegu.

Chociaż mógł to zrobić liścik, który tymczasem dotarł do Elizy.

- A któż to do ciebie napisał, moja droga? - zapytała córkę księżna Fryderyka, gdy tylko lokaj zniknął za drzwiami salonu.

Wiktorii uśmiechnęła się pod nosem. Znała te gierki Elizy i jej matki doskonale. Wiedziała, że w głowie księżnej nigdy nie powstałoby nawet, żeby nie móc zajrzeć do listów córki. Eliza natomiast wymyślała coraz to nowe fortele, żeby jej to uniemożliwić. Między innymi temu służyła pilna nauka języka angielskiego, który przez pruską arystokrację traktowany był po macoszemu, a bardziej popularny był nawet rosyjski, nie mówiąc o obowiązkowym na salonach francuskim.

- Ciocia - odparła Eliza beztrąsko - pozdrawia cię i wyraża swój żal, że tak szybko wyjechałyśmy.

- To przeczytaj nam, kochanie. - Księżna uśmiechnęła się. -

Wszystkieśmy ciekawe, co wydarzyło się w zamku po naszym wyjeździe.

- Baronowa na ten temat specjalnie się nie rozpisuje. Przesyła także pozdrowienia od księcia Adama. - Eliza wzruszyła ramionami i schowała list do kieszonki. - To zwykła grzeczność z jej strony. Tak szybko kazałaś nam się pakować, że nawet z wszystkimi pożegnać się nie zdążyliśmy.

Wiktoria spuściła głowę, żeby ukryć uśmiech. Stara metoda - atak, najlepsza obrona. Eliza doprowadziła ten sposób unikania wścibstwa matki do perfekcji.

- Adam, księżę de Montbeliard? - upewniła się księżna Elżbieta.

- Tak, kuzynko - potwierdziła mama Elizy. - Uroczy młodzieniec. Niestety, nie udało im się z moją córką porozumieć.

- Słyszałam, że twoja córka ma znacznie większe ambicje. - Księżna Elżbieta uniosła żartobliwie brwi.

- Nawet tak nie żartuj, kuzynko. Ty sama wiesz najlepiej, czym to się może skończyć. - Księżna Fryderyka miała to do siebie, że niekiedy najpierw mówiła, a dopiero potem myślała. Toteż gdy w saloniku zapadła mroząca krew w żyłach cisza, podniosła wzrok i zdała sobie sprawę, że palnęła straszliwą gafę.

- I to właśnie zawsze w tobie lubiłam, Fryderyko. - Roześmiała się, może tylko z odrobiną sztuczności, gospodyni, rozładowując jednak skutecznie atmosferę. - Ani grama fałszu. Co w sercu, to na języku.

- Najmocniej cię przepraszam. - Księżna, cała czerwona, westchnęła. - Troska matki o córkę każe czasami głupoty opowiadać.

- W moim wieku tak zwanej prawdy się już specjalnie nie przecenia, ale powiem wam, moje drogie, skoro już ten temat poruszyliśmy, że jednak co prawda, to prawda. - Księżna uśmiechnęła się do przyjaciółek, widząc ich konsternację. - Moje małżeństwo z Wilhelmem to była czysta tragedia. Nie ma tutaj jego szpiegów, więc bez pardonu mogę stwierdzić, że gorszego gbura, bawidamka i hipokryty ten świat nie nosił.

- Ale niezbadane są wyroki pańskie. - Jedna z dam desperacko próbowała skierować rozmowę w bezpieczniejsze regiony. - Gdyby nie on, nigdy byśmy ciebie, pani, tutaj w Stettinie nie gościły.

- Może i nie, ale jak wiesz, kochana, moje pierwsze lata po rozwodzie do szczęśliwych nie należały. Zdradzę wam zatem coś, o czym od niedawna w berlińskim świątku się mówi, a o czym ja od dawna wiedziałam.

W saloniku zapadła cisza jak makiem zasiał.

- Ciebie, moja kochana, to szczególnie zainteresuje zapewne. - Księżna spojrzała na Wiktorię, która zamarła, czując na sobie wzrok wszystkich pań w saloniku. - Otóż to mój małżonek, były na szczęście, we własnej osobie był bezpośrednim wykonawcą tej zbrodni, którą w Berlinie zjadliwie nazywają skokiem stulecia.

Wiktorcia zamilkła. W salonie zapadła taka cisza, że przy odrobinie tylko wytężonej uwagi mogłaby usłyszeć, jak krew z impetem odpływa jej z twarzy.

- Tak, tak, moje panie - kontynuowała beztrąsko księżna Elżbieta, sięgając po kolejną lampkę francuskiego merlota. - Wprawdzie stało się to ponad dwadzieścia lat po naszym rozwodzie, ale ja w dalszym ciągu mam swoich informatorów. Teraz, gdy sprawa stała się skandalem grożącym kolejną wojną, biedny król miota się, gdyż to on pozbył się dowodów przestępstwa, jednocześnie jednak skarb korony zasilając. Słynne królewskie rozporządzenie z czerwca tysiąc osiemset jedenastego to nie bajdy i plotki, moje panie. Sama prawda, skoro już o prawdzie rozmawiamy.

- Co ty mówisz, kuzynko? - zapytała ściszym głosem wstrząśnięta księżna Fryderyka, po czym pochyliła się nad stołem, wpatrując się w gospodynię z przerażeniem.

- Ja nawet widziałam te klejnoty. Przez chwilę jedynie, ale widziałam. Nie pytajcie mnie tylko, gdzie i kiedy. Część z nich nawet jak klejnoty nie wyglądała, takie były stare. Jeszcze z czasów, gdy złotnicy inaczej kamienie szlifowali.

I w tym momencie Wiktorcia upuściła szklaneczkę z ponczem. Cisza w saloniku była taka, że brzdęk tłuczonego szkła zagrział prawie jak artyleryjski wystrzał, a kilka pań, mających jeszcze świeżo w pamięci francuską okupację Stettina, głośno krzyknęło, zasłaniając się rękami.

A na to wszystko wpadł przerażony krzykami kamerdyner i stanął w progu wstrząśnięty widokiem kilkunastu bladych lub czerwonych z emocji dam z najwyższych kręgów towarzyskich Stettina, które wyglądały, jakby im rozum odjęło.

Godzinę później trzymająca emocje na wodzy, ale bliska eksplozji Wiktorcia zamknęła dokładnie drzwi i odwróciła się do Elizy.

Przez zasłonę podniecenia zdołała jednak dostrzec, że przyjaciółka ma

dziwną minę, wyrażającą z jednej strony niepokój, z drugiej zaś troskę.

- Coś się stało? - zapytała Wiktoria.

- Miałaś mi coś powiedzieć?

- Wyglądasz, jakby coś cię dręczyło. - Wiktoria usiadła na brzegu łóżka obok Elizy. - Mów pierwsza. Moje rewelacje mogą poczekać.

- Chodzi o list od cioci - powiedziała cicho Eliza. - Nie chciałam go czytać przy wszystkich, żeby ci przykrości nie robić. Baronowa pewnie dlatego też nie napisała do mamy, tylko do mnie.

- Mnie? Przykrości? - Wiktoria patrzyła na przyjaciółkę z rosnącym niepokojem. - A cóż baronowa miała do napisania na mój temat?

Eliza sięgnęła do kieszonki przy sukni i wyjęła list. Powoli go rozłożyła i zaczęła czytać.

Droga Elizo, tak szybko wyjechałaś, że nawet przyzwolicie pożegnać się nie zdążyliśmy. Mam nadzieję, że szybko znowu spotkamy się przy jakiejś rodzinnej okazji.

Straszliwe rzeczy tutaj się działy po waszym wyjeździe. Ledwieśmy pospółstwo ze wsi przed linczem powstrzymali. Żandarmi kilku prowodyrów zamknęli w areszcie.

Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć, że nieszczęsny Bruno von Enckevort został aresztowany. Komisarz stwierdził, że wobec zeznań świadków jego wina jest bezsporna.

Siedzi biedak w karczerze w Pyritz. Nie ma dla niego ratunku już najpewniej i niechybnie grozi mu topór.

Wiktoria przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń, a potem schowała twarz w dłoniach i rozpłakała się. Eliza na ten widok objęła ją, sama bliska płaczu.

- To przecież moje zeznania tak go obciążęły - szlochała Wiktoria. - Gdybym tego wszystkiego nie powiedziała, może wszystko ułożyłoby się inaczej, a on.

Przypomniała sobie, jak tego feralnego ranka w zamku wyznał jej.

- On wyznał mi, że mnie kocha, a teraz przeze mnie czeka go kara śmierci. - Schowała ponownie twarz w dłoniach i dalej płakała.

- Pamiętaj, że była jeszcze Emma von Borck i podkuchenna Esterka, która go widziała z Anną von Walter. Twoje zeznania nie były kluczowe.

Eliza wytarła dyskretnie oczy.

Rozum nakazywał jej myśleć, że jeżeli Bruno był mordercą, to fakt, że kogoś kocha, nie może być żadnym usprawiedliwieniem i nie ma czego żałować. Ale rozum kieruje się innymi zasadami niż serce.

- Co mi chciałaś powiedzieć? - zapytała, próbując oderwać Wiktorię od tego koszmarnego dramatu, który stał się jej udziałem.

Wiktorija wytarła oczy rąbkiem sukni i odetchnęła głęboko.

Potem będzie się zastanawiać, jak będzie z tym żyła.

- To teraz wydaje mi się tak strasznie nieważne - powiedziała, wzdychając. - Ale kiedy słuchałam opowieści księżnej Elżbiety o skoku stulecia, coś mnie tknęło.

- Co takiego? - Eliza schowała feralny list do kieszonki sukni i wbiła wzrok w przyjaciółkę.

- Księżna mówiła o tych klejnotach. Że były tak stare, że nawet nieszlifowane na współczesną modłę. Ja zdałam sobie sprawę, że chyba już gdzieś coś takiego widziałam, i nie dawało mi to spokoju, gdy tak słuchałam księżnej, aż sobie przypomniałam.

- Co sobie przypomniałaś? - zapytała niecierpliwie Eliza.

- Tego samego dnia, gdy zginął naszyjnik Anny von Walter. - Wiktorija umilkła, ponieważ nagle coś jeszcze sobie przypomniała. Rozmowy przy stole, żarty, niby żarty, groźby. Anna von Walter, która pytała ją, co sądzi na temat stosunku Prusaków do Polski. I jeszcze księżę August Fryderyk, brat księżnej Fryderyki, schodzący nocą z poddasza. Jeden z najbogatszych właścicieli ziemskich w Prusach. To byłby potworny skandal!

- Boże. - Wiktorija szepnęła słabym głosem.

- Co się dzieje? - Eliza słuchała przyjaciółki, ale powoli zaczynała tracić cierpliwość.

- Muszę jechać do Hohenziethen! - Wiktorija nagle wstała i zaczęła krążyć po pokoju jak ranne zwierzę.

Eliza patrzyła na nią ze strachem. Pomyślała, że ta straszna wiadomość mogła jej po prostu zaszkodzić. Pomieszała jej w głowie. Ludzie tracili rozum z bardziej błahych powodów, a Wiktorija ewidentnie bredziła.

- Moja kochana, powinnaś się położyć. Jest dziewiąta wieczór - powiedziała delikatnie. - Sen jest naturalnym lekarstwem.

- Eliza! - Wiktorija się zatrzymała. - Ja wiem, co było motywem tych zbrodni! Teraz mi się wszystko układa w głowie. Bruno jest niewinny!

- Skąd możesz mieć pewność.
- Żeby mieć pewność, muszę jechać do Hohenziethen!

Harald właśnie szykował się do wyjścia. Tutejsi pracownicy księżnej zaprosili go do szynku i akurat polerował buty, a koszula wisiała już przygotowana na krześle, gdy ktoś cicho zastukał do drzwi jego pokoju.

Chwilę później z sakiewką grubszą o kilka ciężkich monet przemykał cichcem do powozowni. Nie śmiał odmówić księżniczce, ale obawiał się, że wyleci za to z roboty i tak.

W pałacu światła już pogasły, paliły się tylko okna suterren, gdzie jego niedoszli towarzysze przygotowywali się do wyjścia na miasto. Obiecał im parę groszy, jeśli pomogą mu zaprząć powóz i będą trzymać gęby na kłódkę.

Chwilę później powóz wytoczył się wolno na drogę, a potem pognął w kierunku Stettina.

Rozdział 24

Pomorze Zachodnie, Polska

Do pałacu wiodła długa lipowa aleja. Prosto jak strzełił, przez ogromny dziedziniec, przy którym stały wielkie budynki gospodarcze z kamienia i cegły. Po prawej stronie wznosił się najstarszy tutejszy budynek - spichlerz z granitowego kamienia, pamiętający jeszcze pierwszych właścicieli majątku, rodzinę von Schacków, stary niemiecki ród, który przybył na Pomorze jeszcze w trzynastym wieku i za sprawą księcia Barnima I otrzymał majątek w Przelewicach. Von Schackowie rządzą tutaj do końca osiemnastego wieku, gdy ostatni z rodu, Otto Friedrich, hulaka i utracjusz, musiał sprzedać należące od trzystu lat do rodziny dobra, żeby spłacić hazardowe długi.

- Co mi tutaj jakieś historyczne opowiadki wciskasz - zirytował się Edward, wjeżdżając na przypałacowy parking. - Lepiej mi wytłumacz, po co w ogóle tu przyjechaliśmy. Byłaś tutaj milion razy! Ostatni raz raptem miesiąc temu, żeby zobaczyć to kwitnące drzewo ścierkowe, czy jak ono tam się nazywa.

- Chusteczkowe - poprawiła odruchowo Anna, wznosząc oczy do nieba. - Dawidia chińska, wschodnie drzewo pożegnań. To jedno z drzew zagrożonych całkowitym wyginięciem. W naturze już prawie nie występuje...

- Anno. - Edward zgasił silnik i spojrzał na żonę z ironicznym uśmiechem. - Ogrodnictwo też mnie specjalnie nie kręci.

- Kręci - parsknęła Anna. - Znowu ten młodzieżowy slang.

- Nie odwracaj kota ogonem. Zostawiliśmy gospodarstwo na barkach Filipa i jego matki. A rano wypłynęły dwie grupy kajakarzy. Trzeba będzie ich odebrać, przygotować ognisko.

- Tak mówisz, jakbyś sam osobiście się tym zajmował. - Anna wysiadła i zatrzasnęła drzwi octavii. - Raz na jakiś czas ja również potrzebuję odskoczni, a nie tylko te gary, kuchnia i obiady dla letników.

- Tak mówisz, jakbyś osobiście się tym zajmowała - odbił piłeczkę Edward, idąc za żoną w kierunku kasy biletowej.

Chwilę później szli wokół gazonu w stronę głównych schodów, których strzegły dwa kamienne owczarki niemieckie.

Anna przystanęła, wyjęła telefon i zrobiła zdjęcie frontowej elewacji pałacu.

- Ten pałac projektowali najlepsi architekci i budowniczowie z Berlina - powiedziała, odwracając się do Edwarda. - Wprost z kręgów królewskich.

- Czytałem, że niedawno chciała go przejąć zorganizowana grupa przestępcza z Warszawy - mruknął Edward. - Też z najwyższych kręgów.

- Na szczęście pozostał we władaniu władz wojewódzkich. - Anna uśmiechnęła się cierpko.

- I co będziemy tutaj oglądać? - zapytał Edward. - Widzieliśmy wszystko po sto razy.

- Topografię - odpowiedziała enigmatycznie Anna i ruszyła po schodach do wnętrza budynku. Edward, rad nierad, ruszył za nią.

Tuż za drzwiami mieścił się wielki, dwukondygnacyjny hol, w którym stało osiem kolumn podpierających galerię na piętrze. Nad drzwiami do poszczególnych pomieszczeń w supraportach rozpościerały skrzydła niemieckie orły.

- Topografia topografią - powiedział Edward, kierując się na schody do piwnicy - ale jeśli jeszcze da się uratować ten dzień, to tylko w ten sposób.

Anna spojrzała za nim zdezorientowana, dopóki nie spostrzegła stojącej na schodach wielkiej tablicy z informacją o pysznej kawie i domowym cieście. Wzniosła oczy ku niebu i poszła w ślad za mężem.

Dziesięć minut później siedzieli na ogromnym tarasie pałacowym nad filiżankami z kawą. Między stolikami przechadzały się dwa pawie, tak zblazowane podziwem, który wzbudzały, że całkowicie ignorowały robiących im dziesiątki zdjęć ludzi, skupione wyłącznie na sobie nawzajem.

- Co takiego? Czy ty już całkiem nie masz co robić? - Edward zamarł, gdy jego żona roztoczyła przed nim wizję afery szpiegowskiej z udziałem pruskiej Maty Hari i ścigającego ją agenta Hohenzollernów. - I wymyśliłaś to na podstawie tych listów, które przysłała Karen? Tych, które nadal przeglądasz, mimo że nasza wnuczka wyraźnie powiedziała, że to była pomyłka? Już o zdjęciach gołego Patryka nie wspomnę nawet.

- Edward, przestań w końcu bredzić. - Anna wyjęła z torebki plik

kartek, efekt swojego dotychczasowego śledztwa, i rozłożyła przed sobą na stoliku.

Do stolika podszedł młody chłopak w przewiązanym na biodrach białym fartuchu i omijając szpargały i papiery Anny, postawił na blacie filiżanki z kawą i talerzyki z ciastem.

- Skąd ty właściwie wzięłaś tę historię szpiegowską? - zapytał po chwili udobruchany wielkim kawałem sernika Edward. - Wytłumacz mi to raz jeszcze.

Anna postukała palcem w jeden z wydruków.

- Po pierwsze, mamy dziwny weksel z Pruskiego Banku Państwowego, opiewający na zawrotną sumę sześćdziesięciu tysięcy talarów. Był w tej szkatule, której zdjęcia przysłała Karen. - Po drugie mamy protokół z marca tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku - kontynuowała Anna, widząc, że Edward jak na razie słucha z uwagą. - Z amerykańskiego Departamentu Spraw Zagranicznych w sprawie oferty sprzedaży wyjątkowo cennej kolekcji klejnotów pochodzących rzekomo z jakiegoś europejskiego skarbcza, o czym miał świadczyć królewski herb.

- Skąd założenie, że te dokumenty wiążą się z tymi listami? - Edward sięgnął po filiżankę z kawą. - Były tylko razem w katalogu ze zdjęciami. Mogą dotyczyć innych spraw.

- Z notatek ze starego notesu, który także był wśród fotografii Karen. - Anna sięgnęła po jedną z kartek i położyła przed Edwardem.

- Co to jest? - spytał Edward, spoglądając podejrzliwie na rysunek w starym sztambuchu.

- Nie widzisz? - Anna postukała palcem w grafikę. - Szachownica.

- No widzę, że szachownica, ale co z tego?

- Edward - jęknęła Anna. - Szachownica to herb Hohenzollernów.

Przy stoliku na krótki moment zapadła cisza. Edward wpatrywał się w notatki żony, a z parku dochodziły wrzaski pawi i śpiewy zwykłych plebejskich ptaków.

- Przecież te wszystkie twoje wymysły to jakaś przerażająca spiskowa teoria dziejów - skomentował w końcu Edward, podnosząc wzrok znad notatek. - Gdzie ty tu widzisz herb? To zwykła szachownica.

- Edward.

- A gdzie labry, korona.

- To uproszczona grafika! Ale wszystko się logicznie układa.

- Z logiką to ma tyle wspólnego, co. - Edward umilkł, widząc poirytowany wzrok żony. Następnie sięgnął po kolejny kawałek sernika. - Mam jednak pytanie zasadnicze. - Podniósł brwi i manifestacyjnie spojrzął na imponującą fasadę pałacu w Przelewicach. - Co my tutaj robimy?

Anna, przygotowując się duchowo na kolejne kpiny męża, wypila łyk kawy.

Faktem było, że żadnych żelaznych dowodów na powiązania Figlarki z Augustą von Prillwitz nie miała.

- No więc właśnie - powiedziała w końcu. - Ta Figlarka pisze, że jakaś jej cioteczka została baronową, a jej dzieci nosić będą nazwisko od nazwy wsi pod Pyrzycami.

- Co takiego?

- Baronowa Augusta von Prillwitz z Przelewic. Faworyta księcia Augusta.

- Chryste. - westchnął Edward. - I na takich wątpliwych założeniach oparłaś swoją nieprawdopodobną teorię? Wsi pod Pyrzycami są zapewne setki.

- Sprawdziłam. - Anna obrzuciła męża poirytowanym spojrzeniem. - Wcale aż tyle ich znowu nie ma.

- Co? Wsi aż tyle nie ma? Co ty opowiadasz, kobieto? Łyse pola są?

- Jakie łyse pola, Edward? Już mnie nie denerwuj. Miejsc, które mogłyby w jakiś sposób się z tym wszystkim łączyć.

Edward ponownie skinął brodą w kierunku pałacu.

- Ale niby dlaczego? - zapytał. - Ta tutejsza Augusta miałyby być ciotką Figlarki?

- Figlarka nazywa ją ironicznie cioteczką. Augusta to była córka kupca z Berlina, Żydówka w dodatku. I taki nikt wychodzi nagle za mąż za księcia z Hohenzollernów. Dla dworu to był prawdziwy dramat, ale dla środowiska berlińskiego źródło niekończących się plotek i kpin.

- Pomijając na chwilę zupełny brak dowodów na związki Figlarki z Augustą. - Edward sięgnął łyżeczką do sernika. - Czemu właściwie to miał być aż taki dramat? Ten pruski książę znaczy. Co to, pierwsze książątko ożeniło się dla pieniędzy? Zwłaszcza wtedy. Po wojnach, recesjach. Ponadto wszędzie podają, że ta Augusta była niezwykle piękna.

Anna westchnęła i sięgnęła po czystą kartkę.

- No więc właśnie. - Pokiwała głową. - Wszędzie piszą o nim: książę

August Pruski. Nikt nigdzie tego dokładnie nie tłumaczy, w żadnych przewodnikach, folderach. Tymczasem określenie „Pruski” może i jest zgodne z jakimś tam historycznym nazewnictwem polskim, ale zaciera wagę problemu.

- Jak mniemam, zaraz mi wytłumaczysz dlaczego.

Anna spiorunowała męża wzrokiem.

- Rzecz w tym, że w Prusach panowało prawo pierwszeństwa do tronu według urodzenia i stopnia pokrewieństwa. Dla synów oczywiście, córki nikogo nie interesowały.

- Biorąc pod uwagę kłopoty, jakie niedługo potem sprawiła im niejaka Zofia Augusta ze Szczecina, to byli trochę krótkowzroczni - zakpił Edward.

Anna pokiwała głową.

- Rzadko to mówię, ale w tym akurat przypadku całkowicie się z tobą zgadzam. Wracając do królów Prus. - Anna spojrzała na męża znacząco. - Najstarszemu synowi króla przysługiwał specjalny tytuł *Kronprinz* - księcia koronnego. Kolejni synowie oraz ich synowie nosili natomiast tytuł *Prinz von Preussen*, czyli książę Prus. To był tytuł następców tronu, niesłychanie ważny.

- I jak to się ma do faworyty z Przelewic?

Anna spojrzała na męża z irytacją.

- No co? Skąd ja mam wiedzieć cokolwiek o pruskiej genealogii. Do diabła! - Edward odsunął się nagle z talerzykiem. - I jeszcze ten cholerny paw! Sio! - Machnął ręką do ptaszyska, które obrzuciło go beżmiernie pogardliwym spojrzeniem i z godnością odeszło.

Anna cicho westchnęła i uśmiechnęła się koncyliacyjnie do spoglądającej w ich kierunku od sąsiedniego stolika kobiety.

- Czyli... - Edward przekrzywił głowę, wpatrując się w rysunki Anny. - Ten tutejszy książę August z Przelewic był jednym z następców tronu? - upewnił się.

- Właśnie! - Anna pokiwała głową z wymuszonym entuzjazmem. - I jako najbliższa rodzina króla nosił tytuł księcia pruskiego. Zostałby królem, gdyby pierwszoplanowym sukcesorem coś się przydarzyło.

Obok stolika ponownie przedefilował paw, spoglądając urażonym wzrokiem na pusty talerzyk Edwarda.

- Boleję nad tym od lat, jak my nie potrafimy czerpać z historii - powiedziała Anna, sięgając po filiżankę z kawą. - Wykorzystywać jej

komercyjnie. Zobacz, co tutaj piszą o tym pałacu na tablicy informacyjnej. Suche fakty, z naciskiem na głównego budowniczego zespołu, radcę Augusta Borgstedeego, który kupił te włości pod koniec osiemnastego wieku i postawił ten pałac...

- No ale to przecież fakt.

Anna machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

- Ale kogo to obchodzi poza konserwatorami zabytków? - spytała. - Tymczasem fenomenalna historia księcia, który kupuje ten pałac dla swojej faworyty, jest zaledwie wspomniana. To autentyczna historia z gatunku płaszcza i szpady. Książę, najbogatszy ziemianin w Prusach, awanturnik, który wszczywał liczne pojedynki i miał dziesiątki romansów, zakochuje się w końcu w córce kupca. Anglicy zrobiliby z tego stylowy dramat albo pasjonujący serial kostiumowy. - Anna westchnęła. - No i to nazewnictwo. Wszędzie piszą: książę August Pruski. Myślisz, że ktoś to rozumie? Z tego, co słyszałam, tutejszym gościom i turystom kojarzy się to z Prusami Wschodnimi. Tymczasem to był August Fryderyk Hohenzollern, *Prinz von Preussen!* Książę Prus! To był wówczas potworny skandal! I to nie towarzyski, a o randze państwowej. Książę był trzeci w kolejce do tronu, a przy ówczesnej śmiertelności było to bardzo niewiele. To dlatego panujący wówczas Fryderyk Wilhelm III nadał Augustcie tytuł baronowej, a historiografom niemieckim zakazano pisać na ten temat bez mała przez cały dziewiętnasty wiek.

- A skoro o pisaniu mowa. - wtrącił niewinnie Edward. - To prowadzi nas to do oczywistego w tym kontekście pytania, które już zresztą zadałem. - Edward podniósł brwi. - Co my tu robimy?

- Edward. - Anna sięgnęła do leżących przed nią na stoliku szpargałów. - Listy, które znalazła Karen, to jakaś fascynująca afera z początku dziewiętnastego wieku! W najwyższych ówczesnych kręgach. Nie chciałbyś wiedzieć, o co chodziło i gdzie to się wydarzyło?

- Zakładając oczywiście, że Augusta to rzeczywiście ciotka Figlarki - wtrącił Edward.

- Niech będzie, że zakładając. Na jakimś pomorskim zamku na początku dziewiętnastego wieku wydarzyło się coś niezwykłego. „Troje nieszczęsnych ludzi bez litości zamordowanych dla tych błyskotek”. - Anna przeczytała ustęp z jednego z listów. - Nieznana dama ucieka do Stanów Zjednoczonych, gdzie po jakimś czasie usiłuje sprzedać kolekcję

największych na świecie szafirów pochodzących rzekomo z królewskiego skarbcza! Być może Karen wpadła na trop sensacyjnego dworskiego spisku?

Edward pokiwał głową.

- Ale to wszystko opiera się na założeniach - powiedział po chwili.

- Każda historyczna teza opiera się na założeniach. Myślisz, że na czym opierają się teorie o początkach państwowości polskiej? Na bajdach i mrzonkach o piastunie Popielidów, który przejął władzę w państwie.

- Ja jednak muszę wyjaśnić w Dalewie, czego ty właściwie tam uczysz. Do tej pory myślałem, że matematyki i fizyki. Powinni ci podwoić pensję.

- Oj, Edward. - Anna pokręciła głową ze zniecierpliwieniem. - Dobrze wiesz, że to moja pasja. Ja za to muszę wysłuchiwać twoich ciągnących się godzinami opowieści na temat fascynujących aspektów remontu stodoły w Dalewie.

- Stodoła przyniesie nam niezły dochód, jak zaczniemy tam urządzać imprezy dla gości. Poza tym historycznie to także będzie nawiązanie do tutejszej tradycji domów ludowych.

- Edward!

- No dobra. - Edward sięgnął po pierwszy z listów. - A o co chodziło z tą topografią, o której wspomniałaś na początku?

- Chcę ustalić, gdzie miały miejsce te wydarzenia z listów, może wtedy dowiemy się, kim były te dwie piszące do siebie kobiety. A jedyną pewną przesłanką są Przelewice.

- Wieś pod Pyrzycami, a nie Przelewice.

- Zakładamy, że to Przelewice. Cioteczka Figlarki otrzymała je od księcia w. - Anna pokiwała głową. - No właśnie, dokładnie to nie wiadomo kiedy. Książę poznał Augustę Arendt w tysiąc osiemset osiemnastym, rok później, w czerwcu, urodziła mu córeczkę Malwinę. Zaraz!

- Jeśli ostatni z listów jest z tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego - Edward zaczął liczyć na palcach - a zgodnie z tym, co piszą na tablicy przed wejściem, książę kupił pałac w tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym, to niewiele czasu zostaje. Musieli go jeszcze urządzić, wyposażyć. Tymczasem ta Figlarka pisze coś o latach, które upłynęły.

Anna, nie słuchając męża, zaczęła gwałtownie szperać w stercie papierów na stoliku.

- Przecież tu była jakaś Malwina. - Wyciągnęła wreszcie jeden z listów i zaczęła czytać. - „I nie uwierzysz, kto zaoferował nam swą pomoc. Mama

naszej Malwiny we własnej osobie. Gdy dowiedziała się o poczynaniach Medarda, z bólem serca, ale postanowiła, że sama nam pomoże”.

- Mama Malwiny zatem to byłaby ta Augusta właśnie? - zapytał Edward.

- No więc właśnie. - Anna skinęła głową.

- Tylko czemu ona pisze „naszej”? - Edward od niechcienia przeglądał notatki żony. - Przecież w tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym, zakładając, że to się wtedy działo, ta cała Malwina miała dwa latka.

Anna wzruszyła ramionami.

- Może właśnie o to chodziło? Nasza Malwinka.

- I co? Myślisz, że Przelewice to ten zamek z listów?

Anna skinęła głową.

- Przeszło mi to przez myśl, ale pewne rzeczy się nie zgadzają.

- Nie pewne rzeczy, kobieto, tylko zasadnicze - prychnął Edward. -

Twoja Figlarka pisze przecież o starym zamku cioci, a Przelewice to był wtedy nowiusieńki pałac. Poza tym nie ma tutaj dziedzińca.

- Jakiego dziedzińca? - Anna spojrzała na Edwarda zdziwiona.

- No jak wół jest napisane. - Edward wskazał żonie palcem odpowiedni ustęp w liście. - *Do tej pory mam przed oczami ciało biednej A, leżące na dziedzińcu.* - przeczytał. - Gdzie tu masz dziedziniec? - Spojrzał na Annę.

- Po angielsku mówię bardzo słabo, ale *courtyard* można równie dobrze odnieść do podjazdu przed pałacem - odparowała Anna.

- No niech ci będzie. - Edward machnął ręką i ponownie pochylił się nad kartkami. - A bagna? - zapytał triumfalnie. - Twoja Froh napisała przecież: „I te koszmarne bagna dookoła, gdzie żartowałyśmy, że wampir grasuje.”. A gdzie tu masz jakieś bagno?

- Bagna to akurat by się znalazły. - Anna skinęła głową w kierunku rozciągającej się u stóp tarasu, ginącej daleko w parku polany widokowej. - Na końcu ogrodu są teraz stawy, ale dawniej to były rozlewiska na rzece Płoni, która płynie za parkiem. A w jednym z listów jest o tym, że zamek stał nad jakąś rzeką.

- I co? To według ciebie jest Płonia? - Edward pochylił się nad jednym z wydruków. - „A moja kochana mama tak dobrze wspomina ten stary zamek nad.”. Tu wcale nie jest napisane Płonia.

- A co? - zapytała Anna. - Paulina mi powiedziała, że nie dała rady odczytać. Ale na początku to może być P.

Edward przekrzywił głowę i ściągnął usta.

- Mam wątpliwości, czy tu jest napisane Płonia - powiedział w końcu. - Pierwsza litera to równie dobrze może być R, a potem pokrętne zawijasy.

- No nie wiem. - Anna spojrzała powątpiewająco na wydruk.

- Lepiej uporządkujmy fakty. - Edward wziął kartkę i położył obok starych listów. - Trzeba to zsyntetyzować - powiedział znacząco do Anny. - Kobiety lubią rozkładać wszystko na czynniki pierwsze w nieskończoność, a tu potrzeba syntezy.

Anna uśmiechnęła się cierpko, patrząc, jak Edward pisze jakieś punkty.

- Zebrałem do kupy wszystkie dane na temat tego zamku ciotki - odpowiedział. - Po pierwsze, Figlarka nazywa go starym zamkiem, prawdopodobnie nie bez powodu.

- Chociaż przyszło mi do głowy - wtrąciła Anna - że Figlarka mogła być w ten sposób trochę złośliwa wobec ciotki Augusty, nazywając jej nowiutki pałac faworyty „starym zamkiem”.

- O, właśnie o tym mówię. - Edward pokiwał palcem. - Komplikujesz wszystko. Załóżmy, że stary zamek to stary zamek. Po drugie - Edward wskazał palcem drugi punkt - Figlarka, po tych wydarzeniach mająca najwyraźniej traumę związaną z tym miejscem, obawia się, że jej matka w drodze z Berlina do Poznania zechce się w nim zatrzymać.

- To jest w tym liście z Berlina? - Anna zajrzała przez ramię mężowi, upewniając się, że dobrze zapamiętała.

- Tak właśnie. - Skinął głową Edward. - I tutaj pojawia się ważna informacja. Figlarka uspokaja siebie, że na szczęście zamek ciotki leży daleko na północ. Droga z Berlina wówczas wiodła przez Kostrzyń nad Odrą i Gorzów, a zatem stare zamczysko leżało gdzieś na północ od tej trasy.

- Czyli właściwie może chodzić o całe Pomorze - stwierdziła z westchnieniem Anna.

- Po trzecie - kontynuował Edward - w ostatnim liście jest kolejna informacja. Koszmarne bagna, gdzie miał grasować wampir. To właściwie dwie informacje. Wokół włości były rozlewiska, a wśród miejscowych mogły krążyć legendy o wampirach.

- Żeby znaleźć to miejsce, trzeba dysponować dogłębną znajomością regionu - powiedziała rozczarowana Anna. - Prawdopodobnie legendy o wampirach są gdzieś opisane, ale jak do tego dotrzeć?

Edward podniósł nagle jeden z wydruków i spojrzął na niego pod światło.

- Tu na pewno nie jest napisane Płonia. - mruknął. - Pierwsza litera to na osiemdziesiąt procent R. Te bazgroły dalej to może być natomiast wszystko, ale.

Przerwał i spojrzął na Annę z namysłem.

- A może to chodzi o Regę?

Anna w tym momencie wpadła wreszcie na to, z czym, a właściwie z kim przez chwilę skojarzyła się jej kilka minut wcześniej Malwina z listów.

Malwina, czyli domyślność serca.

Dwa dni później granatowa skoda octavia wjeżdżała na staromiejski rynek, na środku którego stał ratusz, bezstylowy obecnie, chociaż pochodzący z początku osiemnastego wieku budynek z wieżyczką na dachu i zachowanymi w ścianach ceglanymi relikdami z czasów średniowiecza. Na dziedzińcu wewnętrznym można było także zobaczyć pozostałości miejskiej szubienicy.

Edward minął rynek i ulicą Wojska Polskiego pojechał w kierunku wylotu na Kołobrzeg. Słuchając piąte przez dziesiąte historycznego wprowadzenia żony, z góry martwił się o miejsce parkingowe. Obawiał się, że piątek i początek lata mogły przygnąć do pałacu mnóstwo zwiedzających, a jemu strasznie nie chciało się drałować piechotą z parkingu przy Netto kilka przecznic dalej.

- Wszystko się zgadza! - mówiła podekscytowana Anna. - Pałac w Trzebiatowie to stary, średniowieczny zamek, jeszcze po Gryfitach. Potem był tutaj klasztor, a w połowie osiemnastego wieku został przebudowany na barokowy pałac z trzema skrzydłami i wewnętrznym dziedzińcem. Koło pałacu były barokowe ogrody, a dalej rozciągały się podmokłe łąki i pola, na których urządzano polowania na kuropatwy.

- Przecież wszystko to można było stwierdzić, nie ruszając się z kuchni w Dalewie - mruknął Edward, który nigdy w życiu nie przyznałby się żonie, że jemu te krajoznawcze wycieczki także zaczęły się podobać. Tak jakby wyrwali się z codzienności i wrócili do lat, gdy z małą Nataszą i narzekającym Igorkiem jeździli starym volvo po całym Pomorzu.

- Bezpośrednie zetknięcie z historią czasem daje więcej pożytku niż

ślęczenie nad książkami - zauważyła filozoficznie Anna.

- W internecie znaczy - uzupełnił Edward. - Nikt już nie czerpie wiedzy z książek.

- Dlatego potem trudno oddzielić prawdę od całkowitych bredni, które niekiedy wypisują dziennikarze na turystycznych portalach.

Samochód przetoczył się obok niskich kamieniczek i skręcił w aleję wjazdową.

- Bagna może i teraz nie ma, ale i tak jest niezły burdel - mruknął sarkastycznie Edward, mijając bramę wjazdową na teren pałacu. - Kto pozwala, żeby przy głównym wjeździe wisiały na sznurku gacie i różowy biustonosz?

Po prawej stronie alei wjazdowej, oddzielony byle jakim płotem, graniczył z pałacowymi gruntami ogródek należący do jednego z przylegających do drogi budynków. Przykra pozostałość nieuregulowanych stosunków własnościowych po czasach słusznie minionych.

Gdy mijali płot, Anna zrobiła bolesną minę, uświadamiając sobie jednocześnie, że z boku musi wyglądać trochę jak pani Bukiet z angielskiego serialu *Co ludzie powiedzą*.

Skoda zaparkowała na jednym z wolnych miejsc i po chwili oboje szli w kierunku pałacu.

- Tam trochę dalej płynie Rega. - Anna wskazała głową główny budynek. - Ale sam zamek stoi nad rzeczką Młynówką, dopływem Regi. Możliwe, że w osiemnastym wieku obie rzeki rozlewały się w pobliżu, tworząc mokradła.

- Kolejne założenia. - Edward rozejrzał się dookoła.

Stali na środku dziedzińca pałacowego, przed sobą mając główne wejście poprzedzone schodami. Po lewej stronie wznosiło się boczne, północne skrzydło. Po południowym, które spłonęło i zostało wyburzone na początku dziewiętnastego wieku, nie było dzisiaj śladu.

- Zasadnicze pytanie, które oczywiście pojawia się na samym wstępie. - zaczął Edward.

- Co my tutaj robimy zapewne? - skończyła za niego sarkastycznie Anna.

- Zaskoczę cię tym razem. - Edward uśmiechnął się do żony. - Jeśli to miałyby być ten zamek z listów, to kim była cioteczka Figlarki?

Anna ostatnie kilka wieczorów spędziła na grzebaniu w tak zwanych źródłach historycznych. Przeczytała opracowania na temat trzebiatowskiego pałacu, historię jego fundatorów, kolejnych właścicieli, losy związanych z nim postaci. Za fasadą kolejnej pomorskiej rezydencji skrywała się kolejna historia miłości, wielkiego dramatu i kolejna niezwykła kobieta. Czy to mogła być cioteczka Figlarki?

Jeśli tak było, to akcja opisanego w listach thrillera musiała się rozegrać o wiele wcześniej. Na pewno przed tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim rokiem.

Edward wpatrywał się powątpiewająco w ponownie rozłożone przed nim na stoliku listy. Malutka kawiarenka, stylizowana na wnętrza z początku dziewiętnastego wieku, urządzona była starymi meblami, a przez otwarte okna wlewał się do wnętrza zapach jakichś czerwcowych kwiatów.

- Ale to wszystko zmienia. - Edward pokręcił głową.

- Co znaczy wszystko? - zapytała Anna, która chwilę wcześniej zdradziła mężowi kolejną kandydaturę do tytułu cioteczki Figlarki.

- Po pierwsze - Edward wysunął kciuk - przenosi akcję o kilkadziesiąt lat wstecz. Po drugie, przenosi wydarzenia już definitywnie w środowisko arystokracji. No i rzecz najważniejsza, nadal pozostaje przecież cioteczka spod Pyrzyc. W tym momencie ciotka od zamku na północy i cioteczka spod Pyrzyc to dwie inne osoby.

- Ale żeby było ciekawiej - uśmiechnęła się Anna - spokrewnione!

- Spokrewnione? Augusta z Przelewic była spokrewniona z Marią Czartoryską?

- Poniekąd. - Anna skinęła głową. - Spowinowaczone przez mężów. Matka księcia Augusta z Przelewic i matka księcia Ludwika z Trzebiatowa były siostrami i obie pochodziły z Hohenzollernów.

- Szachownica - powiedział cicho Edward.

- Właśnie - potwierdziła z uśmiechem Anna.

Maria Czartoryska przyszła na świat w należącej wówczas do jej rodziny Pałacu Błękitnym w Warszawie. Tam spędziła dzieciństwo, a dopiero jako czternastoletnia panienka, w atmosferze nieporozumień Czartoryskich z królem, przeniosła się do Puław. Przez złośliwych

nazywana była „Ciołkówną” od herbu Stanisława Augusta, który - jak głosiła stugębna warszawska plotka - był jej biologicznym ojcem.

W wieku lat szesnastu wydana została za mąż za księcia Ludwika Fryderyka von Wirtemberg, wnuka siostry króla Prus Fryderyka II Wielkiego, brata przyszłego króla Wirtembergii Fryderyka Wilhelma i brata przyszłej carycy Marii Fiodorownej. W ten oto sposób romantyczka marząca o idealnej miłości, trochę może naiwna i egzaltowana, niewątpliwie jednak wykształcona i wyrafinowana, trafiła do Trzebiatowa. Przesiąknięta oświeceniowymi poglądami odwiedzających dom jej rodziców artystów i polityków, rozmiłowana w literaturze, zakochana w sztuce trafiła na sztywny, surowy dwór Wirtembergów pod pieczę męża, dowódcy miejscowego regimentu dragonów, potrafiącego, co prawda, robić dobre wrażenie, ale w rzeczywistości prymitywnego i okrutnego żołądaka.

- Możliwe, że te oceny są trochę jednostronne - mruknął Edward, przypatrując się na ekranie swojego smartfonu portretem Ludwika i Marii. - Tak twierdzą źródła polskie. Jestem ciekaw, co na jego temat piszą Niemcy.

- Nie ma co go bronić. - Anna wzruszyła ramionami. - Piszą o nim, że potrafił być brutalny, a nawet bywało, że uderzył żonę.

- Pamiętaj, że wtedy to było dopuszczalne i akceptowalne. Także w tych warstwach. Nie było jeszcze w ogóle takich pojęć jak przemoc domowa.

- Tak czy siak, źródła podają, że był zadłużony po uszy, a pałac po tym, jak się tutaj wprowadzili, wyglądał tragicznie. To Czartoryscy dali pieniądze na jego remont, a sama Maria odnalazła się w jego urzędowaniu, zakładaniu ogrodów, ściąganiu tutaj artystów i literatów.

- Lepiej popatrz, jak to się ma do tych listów. Czartoryska sprowadziła się do Trzebiatowa w tysiąc siedemset osiemdziesiątym piątym, a już w tysiąc siedemset osiemdziesiątym ósmym oboje wyjechali do Polski i zamieszkali w Warszawie - przeczytał Edward. - A zatem tylko te trzy lata to przedział czasowy, w którym mogły się odbyć tutaj te twoje wydumane, spiskowe wydarzenia. Na jesieni.

- Coś mi w tym wszystkim nie pasuje. - Anna ściągnęła usta i zapatrzyła się w przestrzeń.

- No co nie pasuje? - Edward spojrzał na nią z urazą. - Wikipedia nawet podaje, że w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim rozwiedli się.

Tuż po tym, jak w czasie wojny polsko-rosyjskiej ksiązę, jako dowódca wojsk litewskich, symulując chorobę i szpiegując na rzecz Rosji i Prus, przyczynił się do zwycięstwa Rosji.

- Nie o tym mówię. - Anna pokręciła głową. - Mam wrażenie, że coś pominęłam i znowu robię jakiś błąd logiczny...

- Swoją drogą, nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że ten pruski ksiązę zgodził się przyjechać do Polski i objąć jakąś funkcję w armii? Co go do tego skłoniło?

- No jak co? - prychnęła pogardliwie Anna. - Pieniądze. Wszędzie można przeczytać, że był bankrutem. Miał tylko doskonałe pochodzenie, ale poza tym same długi. Czartoryscy mu wyremontowali zamek i prawdopodobnie załatwili posadę dowódcy Armii Wielkiego Księstwa Litewskiego. Zdrada pewnie była motywowana jego urażoną dumą i męską ambicją.

- A po rozwodzie Maria, jak to się teraz mówi? - Edward uśmiechnął się ironicznie. - Rozwinęła skrzydła, wzięła życie w swoje ręce i napisała tę swoją powieść *Malwina* coś tam, która stała się międzynarodowym bestsellerem. To historia prawie jak z polskiej komedii romantycznej.

- *Malwina, czyli domyślność serca*. - Anna spojrzała na Edwarda z pobłażliwym uśmiechem. - Pomyśl, że to była jedna z pierwszych tego typu książek w Europie. Dokładnie w tym samym roku, w którym Maria ją ukończyła, w tysiąc osiemset trzynastym, wyszła *Duma i uprzedzenie* Jane Austen. Poza tym Maria zapłaciła dużą cenę za tę wolność. Musiała się pogodzić z utratą dziecka.

- Biorąc pod uwagę, jaka szumowina z niego wyrosła, to może nie miała czego żałować.

Anna westchnęła ciężko.

- Czasami mam ochotę cię czymś walnąć, słowo daję. Nigdy się nie zdradziłeś z takimi deterministycznymi poglądami. To wpływ księcia przecież spowodował, że chłopak stał się takim łotrem i wrogiem Polaków.

Edward prychnął.

- Może za łatwo z niego zrezygnowała? Czartoryscy mieli wtedy tyle pieniędzy, że mogli ubiec o pół wieku Stany Zjednoczone i odkupić od Rosji Alaskę, a oddali chłopaka bez walki.

- Jak bez walki? Walczyli o niego cały rok, ale mając przeciwko sobie cały klan Hohenzollernów, raczej nie mieli szans. A do tego jeszcze

rodzona siostra księcia Zofia Dorota była już wtedy żoną Pawła I. Carycą Rosji!

- Ta Zofia Dorota urodziła się w Szczecinie, jak widzę. - Edward przesunął palcem po ekranie. - Przy placu Orła Białego.

- W Pałacu Pod Globusem. - Skinęła głową Anna. - Zgadza się.

Edward nagle zamarł, po czym podniósł do góry brwi.

- Co się stało? - zapytała Anna. - Wyglądasz, jakbyś miał mieć udar.

Edward sięgnął po listy i wyciągnął po chwili jeden z nich.

- Czytaj tutaj! - powiedział, podtykając papier pod nos Annie.

- „Medard ma wysoko postawionych krewnych, a i z Duchesse Marią [nieczytelne (Fridrichową? Fawelską?)] dobre relacje łotr utrzymuje, świetnie wiedząc, że to mnie szczególnie uwiera” - przeczytała Anna i spojrzała na męża ze zdumieniem.

- Sądysz, że to chodzi o Marię Fiodorowną? - zapytała.

- No skoro Medard miał być tajnym agentem Hohenzollernów. - zakpił Edward. - Ale z tego robi się już taka teoria spiskowa, że tylko bursztynowej komnaty i repitilian w tym brakuje.

- A mi cały czas się wydaje, że coś jest nie tak. - Anna pokręciła głową i sięgnęła po listy.

- Ja wiem, co jest nie tak - szepnął Edward, pochylając się nad pustą filiżanką. - Zaraz nas stąd wyrzucą. Siedzimy już nad tymi małymi kawkami od półtorej godziny.

- Nie ma zakazu. - Anna spojrzała w kierunku stylowego biureczka, za którym mieścił się zaimprovizowany barek. - Klientów też za wielu nie ma.

- Dzisiaj jest zwyczajny, powszedni dzień. Nikt tutaj nie zwiedza zabytków. Ludzie wolą siedzieć nad morzem.

- Czekaj. - Anna nagle chwyciła jedną z kartek. - Mój Boże! - Westchnęła.

- Co znowu? - syknął Edward, spoglądając na żonę z niepokojem.

- Już wiem, co mi umknęło. Kolejny szkolny błąd logiczny. - Anna położyła listy przed sobą, dwa pierwsze osobno i dwa kolejne obok nich.

- W tych dwóch listach jest mowa o tej amerykańskiej transakcji. - Postukała palcem w kartki. - Jeśli to jest ta sama operacja, którą opisuje protokół amerykańskiego Departamentu Spraw Zagranicznych, to znaczy, że oba te listy zostały napisane w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym.

- No i? - Edward skinął głową.

- Zakładałam natomiast, że te dwa - Anna położyła palce na dwóch sąsiednich dokumentach - mogą być dużo wcześniejsze. Przy założeniu, że obie damy w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym miały koło pięćdziesiątki, ale to był właśnie ten błąd.

Anna pokręciła głową.

- W pierwszym i drugim liście Figlarka opisuje swoją niefortunną przygodę miłosną. To ile mogła mieć wtedy lat? W tamtych czasach za mąż wychodziły piętnastolatki. Założmy, że miała trochę więcej, dwadzieścia. Ale w drugim liście jest przecież to postscriptum z cioteczką z Przelewic. O tym, że rok wcześniej została baronową. Zatem albo Augusta to nie była cioteczka Figlarki, albo drugi i pierwszy list były pisane w okolicach tysiąc osiemset dwudziestego szóstego roku. Zatem skoro w tysiąc osiemset dwudziestym szóstym Figlarka miała dwadzieścia lat i rozpacziała właśnie po zerwaniu zaręczyn, to nie ma mowy, żeby brała udział w spisku między tysiąc siedemset osiemdziesiątym piątym a tysiąc siedemset osiemdziesiątym ósmym. - Anna znowu westchnęła.

- Że też takie oczywistości człowiekowi umykają. Starość nie radość.

- No tak. - Edward zgodnie pokiwał głową, wpatrując się z namysłem w listy. - Więc albo Prillwitzowa, albo Czartoryska. Nie ma wyjścia, albo rybki, albo akwarium.

Kolejne dwa dni w Dalewie, jako że był weekend, oznaczały dla Anny dwa razy więcej obowiązków. Oprócz letników i kajakarzy wpadali tutaj bowiem także przejezdni turyści. Przede wszystkim ci, którzy chcieli obejrzeć zabezpieczone ostatnio i częściowo odtworzone ruiny dawnego dworu, który stał w głębi parku nad jeziorem. Dom Anny i Edwarda był tylko dawną rządcówką. Prawdziwa siedziba dawnych właścicieli gospodarstwa, które zrujnowane kupili wiele lat temu, stała w zarośniętym parku i długo nie było do niej nawet dojścia. Kilka lat pracy kosztowało ich uporządkowanie parku i remont ruiny, która teraz przypominała już dawny dwór i górując neogotycką wieżą nad polanami parkowymi, stała przy oczyszczonym podjeździe. Dobrze widoczna z drogi, ściągała przypadkowych przejezdnych, którzy pytali o możliwość obejrzenia.

Anna zatem na historyczno-genealogiczną kwerendę miała jedynie wieczory. Przejrzała większość stron w internecie poświęconych pomorskim zamkom, przeczytała wszystko, co się dało, na temat

Hohenzollernów i w niedzielę wieczorem była właściwie w punkcie wyjścia. Listy nie dawały więcej wskazówek niż te, które już z Edwardem wypunktowali.

Cały czas pozostawały dwa imiona lub nazwiska, które się pojawiły w korespondencji - Medard i Weber. Sprawa oszukanego Webera była najwyraźniej sprawą mniej ważną, jakimś wspomnieniem z przeszłości tego listowego „wampira”, ale Anna domyślała się, że znalezienie tych powiązań pomogłoby w odgadnięciu najważniejszego - kim były korespondujące ze sobą panie.

W niedzielny wieczór zatem, korzystając z błogiego spokoju, który rozlał się po folwarku, gdy grupy najbardziej hałaśliwych gości spakowały manele i wróciły do swojej korporacyjno-urzędniczej rzeczywistości, Anna robiła to, co znacznie młodsze od niej osoby nazywały serfowaniem. Skacząc z tematu na temat, otwierając kolejne linki w długich listach znalezionych powiązań rodzinnych Hohenzollernów, spisków dworskich, wiejskich zamków nagle trafiła na stronę na temat wampirów.

Ten konkretnie artykuł dotyczył grobu w Kamieniu Pomorskim, gdzie archeolodzy odnaleźli szczątki człowieka, któremu włożono w usta cegłę, a nogi przybito kołkami do trumny. Początkowo sądzono, że był to mężczyzna, a media szybko nazwały go „wampirem z Kamienia”. Drobiazgowe badania antropologiczne wykazały jednak pomyłkę i pozwoliły stwierdzić, że była to kobieta, która na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku uznana została za czarownicę. Badania te potwierdziły także makabryczny fakt, że kobietę przybito do trumny prawdopodobnie jeszcze za życia.

Anna przeczytała artykuł i otworzyła kilka innych linków, które dotyczyły podobnych tematów. Okazało się, że na Pomorzu w kilku co najmniej miejscach odkryto tak zwane pochówki wampiryczne. Łączył je sposób grzebania zmarłego, a najpewniej brutalnie zamordowanego człowieka. Odcinano mu głowę i wkładano ją między nogi, odcinano także kończyny, przybijano kołkami, a wszystko to, żeby uniemożliwić powstanie z grobu i atakowanie ludzi. Wiara w wampiry była bardzo stara, a w Europie Środkowej i Wschodniej sięgała czasów przedchrześcijańskich, ale w okresie polowań na czarownice przesady te splotły się z innymi w jeden wielki węzeł ludzkiej głupoty, podłości i strachu.

Pochówki wampiryczne odkryto również w Cedyni, gdzie archeolodzy

natknęli się na groby ze szczątkami ludzi poprzebijanych osikowymi kołkami, a także w Drawsku, gdzie odnaleziono groby wielu ludzi z odciętymi głowami i nogami. Wielu z nich miało włożone w usta kamienie i poprzebijane fornalami kości. Tym sposobem Anna dotarła do analizy powodów, które skłaniały ludzi do uznania innych za wampiry. W wielu miejscach mogła to być epidemia cholery, która powodowała błyskawiczne zmiany na ciele i koszmarne rany, ale pojedyncze przypadki mogły dotyczyć także chorych na porfirię, ciężką chorobę krwi. Nieszczęśnik lub nieszczęśnica dotknięci tą chorobą bledli, zanikał im naskórek, odstaniały się dziąsła, ukazując zakrwawione zęby, unikali światła i chowali się w ciemnościach.

Anna wzdrygnęła się na myśl o ludziach dotkniętych ciężką chorobą, którzy zamiast uzyskać pomoc, byli okrutnie mordowani i chowani jako wampiry, strzygi czy upiory.

Skończywszy czytać o wampirach, Anna, której temat, dzięki listom, kojarzył się z Medardem, o którym wspominała Figlarka, wpisała w przeglądarkę to imię.

Było pochodzenia germańskiego i oznaczało silnego, mającego władzę człowieka, w domyśle oczywiście mężczyznę. Google wytropiło całe kilometry różnych noszących to imię panów z rozmaitych epok i krajów. Nieusatysfakcjonowana wynikami Anna wpisała w przeglądarce „Medard XIX wiek”. Jako jeden z pierwszych wyskoczył link do książki z końca dziewiętnastego wieku, zatytułowanej *Carska rozszada*, autorstwa Melchiora Medarda. Stara ramota, dziejąca się w carskiej Warszawie, której autora fascynowali schizofrenicy, psychopaci i mordercy, a zwłaszcza Kuba Rozpruwacz.

Anna nie знаła tej książki, ale uruchomiła ona u niej ciąg skojarzeń, który Medarda postawił w jednym szeregu obok schizofreników, psychopatów i morderców właśnie. I jakieś jedno z nich nie dawało jej spokoju, miała wrażenie, że ma coś na końcu języka, ale złośliwa pamięć nie pozwalała wypłynąć temu na wierzch.

Myślała o tym, robiąc ostatnie porządki w kuchni, myślała, szykując się do snu i leżąc już w łóżku, aż zmoęła ją ta nieuchwytna myśl tak, że około pierwszej zasnęła.

Obudziła się godzinę później i zlna potem, nieprzytomna usiadła na

łóżku. Śniły jej się poćwiartowane szczątki i dziwne wywary, które podawano maltretowanym, oskarżonym o czary kobietom. I nagle w głowie pojawiły jej się te słowa, które przez cały wieczór miała na końcu języka - diable eliksiry.

Zerwała się i ostrożnie, żeby nie obudzić Edwarda, nałożyła szlafrok, zeszła na dół i rozłożyła się z laptopem na kuchennym stole.

Diable eliksiry, jedna z pierwszych książek w literaturze opisujących rozdwojenie osobowości i schizofrenię. Koszmarny horror, przez który w swoim czasie nie mogło spać po nocach wiele dziewcząt.

Dwie godziny później wiedziała już, jak miała na imię ta Figlarka, która na początku dziewiętnastego wieku z Berlina i Poznania słała dziwaczne listy do Stanów Zjednoczonych.

Eliza.

Rozdział 25

*Dawn
o,
dawno
temu.
W król
estwie
Prus.*

Wtedy, na początku jesieni, gdy leśnymi duktami gnał galopem do starego zamczyska na mokradłach, tej zapadłej dziury na Pomorzu, przez głowę by mu nie przeszło, że wszystko tak się potoczy. W najśmielszych wyobrażeniach.

Doskonale urodzony kawaler, z bogatej, utytułowanej i wpływowej, osiadłej na Pomorzu rodziny. Tej zapuszczonej po wojnach z Francuzami krainy na wschód od Berlina, którą kochał i do której zawsze wracał z sercem przepełnionym szczęściem. Gdy wjeżdżał w lasy w okolicach Wildenbruch i widział wieżę zamku nad drzewami, a potem szerokie pola nad zamkowym jeziorem, miał wrażenie, że cała ta kraina lat dziecięcych wychodzi mu naprzeciw. Stąd było już tylko kilka minut galopem i wreszcie wjeżdżał w znane od lat dukty, a później szerokie aleje i wreszcie w głębi starego parku ukazywał się dom. Gdy widział wychodzących na próg rodziców, a nigdy nie nazywał macochy inaczej jak matką, miał wrażenie, że przepełnia go niekończąca się miłość. Do tego domu, do tych ludzi. Że odcisnęła się w jego oczach na stałe. Że płonie w nim nieustającym ogniem jak pochodnia.

Matka umarła, gdy był malutkim dzieckiem. Nawet nie pamiętał, jak wyglądała, ale nigdy nie dano mu o niej zapomnieć. W wielu tego słowa znaczeniach.

Ojciec przez dłuższy czas nie chciał chodzić do starego mauzoleum

przy zamku w Dertzow, zbyt wiele go to kosztowało. Zaczął go tam zabierać, dopiero gdy minęły całe lata, i razem kładli kwiaty na płycie z białego marmuru.

Ale była też miejscowa ciemnota, która plotła niestworzone rzeczy na temat śmierci matki.

Przez całe dzieciństwo towarzyszyły mu szeptane za jego plecami bajdy o wampirach, o tym, że Georgina von Arnim została za młodu ugryziona przez wampira i odtąd skażona krew w niej płynęła. I w nim. Gdy przetrącił kilka karków i obił parę pysków, nikt nie śmiał w jego pobliżu nawet wspomnieć o jego matce, ale wiedział, że ludzie nadal gadają. Po karczmach, po wsiach, po kościołach. Nauczył się z tym żyć.

Kiedy jego ojciec powtórnie się ożenił, zyskał nową rodzinę i wszystko się ułożyło.

Zatem na dwa lata przed ową jesienią straszliwą i bogatą w wydarzenia najstarszy syn szacownej arystokratycznej rodziny, ukochany kompan berlińskich towarzyszy, z którymi studiował prawo, a także pożądaný kawaler do wzięcia skończył dwadzieścia wiosen i miał przed sobą całe życie.

Które płonęło w nim jak pochodnia.

Wiedział, że ojciec szykuje go na swojego dziedzica i napelniało go to wielkim entuzjazmem. Jedyne, co mąciło radość z tego płynącą, to młodszy bracia przyrodni. Ale nie miał zamiaru ich skrzywdzić. W Berlinie odkrył w sobie żyłkę do interesów i poczynione doskonałe inwestycje przynosiły mu już teraz spore dochody. Starczyłoby na spłatę braci, a nawet wyposażenie ich na przyszłość. Poza tym do majątku należało sporo ziemi, sporo folwarków. Może z czasem Eugen lub Aleksander chcieliby gdzieś osiaść. Zadbałby o to, żeby unowocześnić i rozbudować któryś z dzierżawionych teraz dworów.

Tak więc widoki, które malowały się w nadchodzącej z wolna przyszłości, były wyśmienite. I tak płynęło to jego życie, spokojnie i szczęśliwie, i tak minęły kolejne dwa lata.

A gdzieś w połowie września śmietankę towarzyską Berlina poruszyła wieść o polowaniach organizowanych w dobrach księcia Ludwika Ferdynanda, okupowanych przez ich dożywotniczkę i owdowiałą żonę księcia, baronową Henriette, z którą jego rodzina utrzymywała doskonałe

stosunki.

Kiedy więc, na początku jesieni gnał leśnymi duktami do starego zamczyska na mokradłach, cieszył się po prostu na polowanie i na to, że zobaczy znowu swoich braci. I bawiła go myśl o tym, jak bardzo podekscytowana będzie balem u baronowej jego matka. Nadzieją, że może znajdzie mu tam jakąś posażną, doskonale urodzoną pannę.

Kto mógł przewidzieć, że w lasach nieopodal Wildenbruch natknie się na karocę księżnej Fryderyki, a jego poukładane, pełne doskonale przemyślanych planów życie wywróci się do góry nogami. I że poczuje się tak, jakby ktoś wypchnął go z tego życia na moment, żeby mógł dostrzec, jak bardzo będzie mu brakować tych wielkich zielonych oczu, jeśli czegoś z tym nie zrobi.

Z głębi więzienia doszedł hałas przesuwającego się po kamieniach łańcucha, trzask zamykanych drzwi i czyjś nerwowy rechot. Strażnik więzienny szarpnął kilka razy za kratę celi, jakby sprawdzał, czy są dobrze zamknięte, i poszedł dalej.

Powóz wtoczył się przez otwartą bramę do parku, a potem objechał gazon i zatrzymał się przed frontem pałacu. Nad drzwiami paliła się jedna latarnia, ale pałac był całkiem ciemny. Wiktoria, wyglądając przez okno karety, podziękowała opatrności, że jednak ocalał, a pożar dało się ugasić.

Księżniczka, w krótkiej pelerynce obramowanej futrem z soboli, rzuciła przyjaciółce pytające spojrzenie. Przez całą drogę słuchała teorii, jakie Wiktoria miała na temat wydarzeń w zamku, i miała wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa. Była też przekonana, że po tej ekspedycji matka nieodwołalnie już zamknie ją w klasztorze. Cokolwiek jeszcze dzisiaj się wydarzy, to było akurat pewne.

Harald zeskoczył cicho z kozła i stanął grzecznie koło karety, czekając, co jego panie zadecydują o dalszej części wieczoru.

- I co teraz robimy? - spytała Eliza, patrząc na zamknięte drzwi frontowe. - Jest jedenasta wieczór. Raczej nie spodziewają się tutaj gości o tej porze. Nigdzie nie spodziewają się gości o tej porze! - dodała z naciskiem.

- Nie mamy wyboru. - Wiktoria chwyciła za klamkę i wyszła na zewnątrz.

Rada nierada, Eliza wysiadła za nią.

Wspięły się na schody i po krótkiej chwili wahania Wiktoria chwyciła wielką kołatkę i wyrznęła nią kilka razy w dębowe wierzeje.

Minęła dłuższa chwila, nim usłyszały wewnątrz czyjeś kroki, a w szybach drzwi zobaczyły migoczące światło kaganka.

Drzwi się powoli uchyliły i stanął w nich zaspany, owinięty szlafrokiem wiekowy kamerdyner. Obrzucił zdziwionym spojrzeniem Elizę i Wiktorię i podniósł wysoko brwi.

- Czym mogę służyć panienom? - zapytał. - Pora jest, powiedziałbym, nieszablonowa.

- Musimy się zobaczyć z kimś z domowników - odezwała się Wiktoria.

- Najlepiej z panem hrabią.

- To wykluczone, panienko. - Kamerdyner pokręcił zdecydowanie głową. - Hrabia zabiłby mnie, gdybym go obudził z tak błahego powodu. Przy czym, nie chcąc pań urazić, wyjaśniam, że niebłahym powodem byłaby na przykład wojna.

- Rudolfie! - Z wnętrza domu dobiegł nagle kobiecy głos. - Z kim ty, na miłość boską, rozmawiasz w drzwiach o tej porze?

- Nie wiem, jaśniepani. - Rudolf odwrócił się do gospodyni.

- Co ty pleciesz, Rudolfie?

Wiktoria, wykorzystując moment nieuwagi kamerdynera, weszła do holu i stanęła oko w oko z hrabiną Johanną von Enckevort.

- Pani?! Tutaj?! - Hrabina po chwili zaskoczenia spojrzała na Wiktorię ze złością. - Jak pani ma czelność tutaj się pokazywać?!

- Przepraszamy, pani hrabino - odezwała się zza pleców Wiktorii Eliza.

- Wiemy, że to niedopuszczalne najście, ale zrozumie pani, gdy wyjaśnimy, o co chodzi.

Eliza dyskretnie szturchnęła Wiktorię.

Hrabina, zobaczywszy księżniczkę, nieco złagodniała.

- No więc zamieniam się w słuch - powiedziała z ledwie zauważalną ironią.

Wiktorii, która przypatrywała jej się z nieśmiałością, nie uszło uwadze, że kobieta ma podkrążone oczy, a wyzywające zachowanie to tylko poza.

- Pani hrabino, może zabrzmie to nieprawdopodobnie, ale chciałabym porozmawiać z pani córką Weroniką.

- Z moją córką? - Hrabina otworzyła szeroko oczy. - O czym pani chce

rozmawiać z siedmiolatką, na Boga?

- To ważne! - Zdesperowana Wiktoria postanowiła zagrać najwyższą kartą. - I może życie pani synowi pozwoli uratować.

- Panna Wiktoria? - Na schodach rozległ się zaspany głos Aleksandra, który wpatrywał się z zaaferowaniem w scenę w holu. - Zaraz ją obudzę! - Rzucił się biegiem na górę.

Chwilę później Wiktoria uklękła na dywanie przed zaspaną dziewczynką, która wycierała piąstkami oczy.

- Kochanie, muszę cię o coś zapytać. - Wiedziała, że dziewczynka może się bać powiedzieć prawdę po wydarzeniach z udziałem jej siostry i klejnotów Anny von Walter. - Pamiętasz, jak w czasie polowania bawiłaś się z dziećmi w zamku?

Dziewczynka skinęła głową.

Wiktoria odwróciła się do stojących za nią domowników i Elizy i wskazała im oczami drzwi. Przez twarz hrabiny przemknęła złość, ale pod wpływem spojrzenia księżniczki wyszła na korytarz.

- Powiedziałaś, że lubisz zbierać kamyki?

Dziewczynka przytaknęła i westchnęła, nie podnosząc głowy.

- Czy nie znalazłaś może w zamku takich kolorowych? Wyglądały jak szklane, kanciaste kamyki. Wszyscy ich szukamy, a księżniczka bardzo się martwi.

- Księżniczka? - Dziewczynka podniosła głowę.

- Tak, kochanie, bo to takie kamyki, które przynoszą pecha. Dlatego właśnie były schowane.

Wiktoria zaryzykowała, domyślając się, że do kogokolwiek należały, na pewno nie trzymał ich na wierzchu.

- Ale ja nie chciałam. - Dziewczynka zasłoniła oczy. - Tam był taki pan, który je schował. A ja bardzo chciałam zobaczyć, co to jest.

Wiktoria zmartwiała. Dziewczynka musiała widzieć mordercę.

- Pamiętasz tego pana? Jak wyglądał? - zapytała ostrożnie.

Weronika pokręciła głową.

- Bardzo się bałam na niego patrzeć.

- Pokażesz mi te kamyki? - zapytała Wiktoria.

Weronika podniosła się i pobiegła w kierunku łóżka. Położyła się na podłodze i zaczęła manipulować przy jednej z desek podłogowych przy ścianie.

No tak, znak czasów, chyba każde dziecko miało skrytkę w podłodze.

Weronika wyczołgała się spod łóżka i położyła przed Wiktoria niewielki woreczek z fioletowego adamaszku.

Wiktoria drżącymi rękami odwiązała sznurek i po chwili po podłodze rozsypały się niebieskawe i turkusowe kamienie. Małe, większe i ogromne, w kształcie kurzego jajka. Zalśniły w świetle migoczącej w kaganku świecy.

Kareta gnała przez las. Gdy wypadła na drogę między polami, na horyzoncie na tle księżyca ukazała się wieża zamku.

Eliza, owinięta szczelnie pelerynką, jakby chciała się w niej ukryć, usiłowała pogodzić się z wszystkim, o czym mówiły, odkąd kareta minęła bramę pałacu w Hohenziethen.

- Nie wierzę, że to wuj August zamordował tych troje ludzi. - Pokręciła zdecydowanie głową.

- Po pierwsze - Wiktoria odgięła kciuk - widziałam go schodzącego ze strychu nocą, na dzień przed balem. Po drugie, jest jednym z najbogatszych ziemian w Prusach. Klejnoty mógł kupić w prezencie dla tej swojej nowej ślicznej faworyty, a dopiero co wzięli wszak ślub. I po trzecie, jest żołnierzem, zabicie trojga ludzi nie byłoby dla niego jakimś szczególnym wyzwaniem.

- Ale to mój wuj! - broniła się Eliza. - I po co miałyby to robić?

- Słyszałaś, co mówiła twoja kuzynka? - Wiktoria westchnęła. - Skok stulecia jej byłego małżonka stał się politycznym skandalem, grożącym wojną. Klejnoty pewnie okazyjnie kupili stojący blisko tronu, a wiemy, kim jest twój wuj.

- Ale ja nie mogę w to uwierzyć! - Eliza ciaśniej obwinęła się pelerynką. - Mógł podejrzewać pokojówkę, mogła coś widzieć, owszem. Mógł podejrzewać, że ukradli je razem z jej narzeczoną, też możliwe. Ale czemu zginęła Anna von Walter?

- Pamiętasz pytania, które zadawała mi przy obiedzie. Dopiero potem sobie uświadomiłam, że wykorzystwała mnie tylko jako pretekst, w rzeczywistości dawała komuś znać, że sporo wie. Mówiła, że wiele się mówi o tej skandalicznej kradzieży. Powoływała się na kuzynki, przyjaciółki, tak jakby chciała komuś dać do zrozumienia, że wie i może to wykorzystać.

- Po co?! - Eliza prychnęła. - Co mogłaby chcieć od wuja? Jej ojciec jest bogaty jak szach perski.

- Ich szlachectwo jest świeżej daty. Wiesz, że w Berlinie z takich rodzin kpi się bezwzględnie, nawet pieniądze nie pomagają. Może chciała dostać tytuł? Albo żeby umożliwił jej małżeństwo z kimś bardzo wysoko postawionym, co zamknęłoby usta plotkarom?

- Nigdy się nie zdradziłaś, że masz takie rewolucyjne poglądy. - Eliza patrzyła na przyjaciółkę zaskoczona.

Wiktoria wzruszyła ramionami.

- To nie są poglądy, tylko spostrzegawczość. Kto by się przejmował tym, co mówi przy jakiejś polskiej dwórcie.

- A ślady po zębach? - Eliza uczepiła się ostatniej deski ratunku.

- O wampirach gmin plecie od lat. A historia matki Brunona jest tutaj miejscową legendą, którą straszy się dzieci. Wykorzystał to, żeby odsunąć podejrzenia od siebie.

- Nie wierzę, że wuj mógłby tak postąpić. Wyzwać kogoś na pojedynek, zabić w walce, ale takie podstępne, diabelskie pomysły? To mi się nie mieści w głowie!

Wiktoria zacisnęła dłoń na woreczku z klejnotami, które cały czas, jak jakieś magiczne artefakty, za pomocą których dałoby się odwrócić bieg wydarzeń, trzymała tuż obok.

Kareta wjechała na drogę na podzamcze, minęła bramę, most nad fosą i wpadła na dziedziniec. Nad drzwiami świeciły dwie pochodnie, rzucając rozedrgane cienie na ściany zamku.

Wiktoria minęła osłupiałego Libitza i wpadła do holu. Eliza weszła za nią, rozglądając się z mimowolnym strachem po wnętrzu. Nie mogłaby powiedzieć, że wyjechała stąd z żalem.

- Księżniczko! - Na schodach na dolny taras pojawił się Lothar i patrzył zdziwiony na niespodziewanych gości. - Panienska Wiktoria! Co się stało?

- Musimy się widzieć z baronową! - Wiktoria, nie czekając, ruszyła na schody.

- Proszę poczekać, obudzę pokojówkę! - Lothar wyprzedził Wiktorię i pognął na górę. - Sam przecież nie będę budzić jaśniepani! - zdążył jeszcze krzyknąć.

- Nie lubię tego lokaja - szepnęła Eliza, idąc za Wiktoria. - Strasznie wścibski. Wszędzie go pełno.

Kilka minut później weszły do biblioteki, pokojówka i Lothar zostali wyproszeni, a zaskoczona baronowa wpatrywała się w Wiktoria, jakby zobaczyła ducha.

Chwilę później opadła na otomanę i sięgnęła po wachlarz.

- Matko Boska! - powiedziała, wpatrując się w rozsypane po stole szafiry.

- Musi nam pani pomóc! - Wiktoria patrzyła na baronową z napięciem. Przyjechała tutaj, wierząc, że tylko ona zdoła wyciągnąć Brunona z więzienia.

- Nie mamy czasu. Wyrok ma być wykonany pojutrze - dodała Eliza, siadając na sofie obok Wiktorii. - Publicznie, na rynku w Stettinie.

- Ja przez chwilę nawet uwierzyłam, że to Bruno zabił Erdmanna - powiedziała cicho baronowa, tak jakby mówiła do siebie. - Nic go nie łączyło z Inga. - Pokręciła głową, patrząc na Wiktoria. - Po prostu chciał jej pomóc. Czuł się odpowiedzialny za tego łobuza, który u niego pracował. Erdmann był tutaj na dzień przed śmiercią Ingi. Mógł ją zabić, żeby pozbyć się problemu.

- A jego zabił Bruno - uzupełniła Eliza.

- A Anna von Walter? - spytała Wiktoria. - Ją kto by zabił w takim układzie?

- Wypadek? - Eliza podniosła brwi. - Pamiętasz, jak mówiłyśmy, że umówiła się z kimś na schadzke? Krenelaż był w złym stanie. Kawaler nigdy się już do tego nie przyzna.

- Podkuchenna widziała Brunona.

- Przemaglowałam ją po tym wszystkim - odezwała się baronowa. - Widziała jasnowłosego mężczyznę w długim czarnym płaszczu.

- Byłoby to wszystko nawet możliwym, gdyby nie ten drobiazg. - Wiktoria wskazała brodą lśniąca w światłach świec szafiry.

- Muszę się wam do czegoś przyznać - powiedziała nagle baronowa i wstała. Podeszła do kominka i wbiła wzrok w żarzące się jeszcze drwa. - Ja już widziałam te klejnoty.

W ciszy, która zapadła po tym stwierdzeniu, słychać było rechot zab znad jeziora.

- Chciał, żebym je od niego odkupiła. Potrzebował pieniędzy. -

Baronowa mówiła z namysłem, wpatrując się w ogień. - Ale ja jestem córką kupca. - Uśmiechnęła się do siebie. - Nie pożądam błyskotek i nie robię aż tak złych interesów. Klejnoty zostały skradzione dwa lata temu. Rodzina jednak utrzymywała to w tajemnicy, prowadząc wyłącznie prywatne śledztwo. Teraz wiem już dlaczego.

- Kto chciał je sprzedać? - zapytała Wiktoria i gdy powiedziała to głośno, domyśliła się sama. Nagle stanęły jej przed oczami wszystkie te wydarzenia, które poukładała prawie dobrze, ale jednak nie do końca. Rozsypane klocki, które teraz dopiero wskoczyły na swoje miejsce.

- Wuj August akurat pieniędzy nie potrzebuje - odezwała się skołowana Eliza.

- August pętał się po całym zamku przez dwa dni. - Baronowa westchnęła. - Zastanawiał się, czy go nie kupić dla tej swojej faworyty. A wczoraj pojechał obejrzeć nowy zamek czy pałac pod Pyritz.

Wiktoria przypomniała sobie ten dzień, gdy usłyszała dobiegający z pokoju baronowej głośny płacz, a potem zobaczyła wybiegającą z biblioteki pokojówkę Inge.

- Inga weszła z herbatą, nie czekając - powiedziała baronowa, jakby czytając w myślach Wiktorii. - Często to robiła, roztrzepana była. I zobaczyła te klejnoty. Nie mogła od nich oderwać wzroku. Zrobił mi o to potworną awanturę.

- Kto? - zapytała księżniczka.

- Ale nigdy bym nie przypuszczała, że posunie się aż do tego - kontynuowała baronowa. - Myślałam, że tych dwóch spraw nic nie łączy. Zwłaszcza że szantażował mnie i to mnie oskarżał, że to ja je ukradłam!

- Ale kto?! - zapytała Eliza.

Wiktoria wpatrywała się w baronową. Wtedy, w ten sam dzień, była na wieży. I widziała, jak z zamku wyjeżdża wzburzony Bruno. Ale wcześniej w bibliotece to był on właśnie. Dlatego nagle pojawił się w archiwum obok biblioteki.

- Bawialnia dla dzieci jest połączona sekretnym korytarzem z dawną sypialnią księżnej Anny Luizy, matki Ludwika - ciągnęła zamyślona baronowa. - To tamtędy Weronika dostała się do jego pokoju. To dawny pokój księżnej...

- Ale kto, na miłość boską?! - krzyknęła zdesperowana Eliza.

- Adam - odpowiedziała baronowa.

Wiktoria spojrzała na leżące na stole kamienie. Może rzeczywiście przynosiły nieszczęście?

- Annę von Walter z nim swatano - powiedziała cicho. - Sama mi o tym mówiłaś - zwróciła się do Elizy. - Pewnie nie mogła przeboleć takiego afrontu i znalazła coś, czym mogła go szantażować. To nie do Augusta były te aluzje przy obiedzie, tylko do niego. Nawet jej groził. Teraz przypomniałam sobie, jak powiedział: „To może lepiej jednak, żeby pani tego nie powtarzała. Ujmę to może i pani przynieść”.

- Ale skąd Anna by wiedziała, że to klejnoty ze skoku stulecia? - zapytała Eliza.

- Ona nie wiedziała, że to klejnoty ze skoku stulecia. - Baronowa uśmiechnęła się blado. - Ale wiedziała, że jakieś klejnoty skradziono ojcu Adama i że on jest o to podejrzewany.

- Ale skąd by wiedziała o tym, że on je tutaj przywiózł?

- Niestety, wspomniałam jej matce, że zaproponował mi interes. Mogła podsłuchiwać.

Przez chwilę ciszę przerywał tylko stojący w bibliotece zegar. On też przypomniał Wiktorii, że czas jest czymś, czego im brakuje.

A przede wszystkim czymś, czego Bruno nie ma w nadmiarze.

- Co mamy robić?! - Zerwała się, spoglądając na baronową. - Trzeba to wszystko przekazać komisarzowi z Pyritz! Jechać do landrata!

Baronowa powoli usiadła i pokręciła głową.

- Przecież mamy tutaj dowód! - Wiktoria wskazała rozpaczliwie głową klejnoty.

- Ty nic nie rozumiesz - odezwała się niespodziewanie Eliza. - Ani landrat, ani komisarz nie kiwną w tej sprawie nawet palcem.

- Ale co ty mówisz?! Przecież Bruno jest szlachcicem! To znana tutaj rodzina.

- Eliza ma rację - powiedziała smętnie baronowa. - Nie dopuszczą do tego, żeby skandal z klejnotami ze skoku stulecia wyszedł na jaw. I nikt nie oskarży o potrójne morderstwo księcia z Hohenzollernów - stwierdziła.

- O wiele wygodniej, jeśli karę poniesie Bruno, o którym w dodatku od lat pospółstwo opowiada brednie - uzupełniła Eliza. - Same korzyści. Sprawie skoku stulecia, która nagle wypłynęła z tego bagna, ukreśli się łeb, a miejscowa gawiedź będzie szczęśliwa, że władza rozprawiła się z wampirem. A ponadto, przenosząc egzekucję do Stettina, pokażą sprawną

i bezwzględną rozprawę z mordercą - siłę państwa Hohenzollernów.

- I on dobrze o tym wie. - Baronowa pokiwała głową.

- Medard - szepnęła Eliza.

- Czyli nic nie można zrobić?! - Wiktoria zerwała się i zaczęła nerwowo chodzić po bibliotece. - Jak to możliwe?! Bruno ma umrzeć, mimo że jest niewinny?!

- Jest pewien sposób.

Wiktoria zatrzymała się i wbiła wzrok w baronową.

Pokojówka ziewnęła i spojrzała dyskretnie na Lothara. Dochodziła pierwsza. Jak można tak sobie poczynać? Nie dość, że robota od rana do wieczora, to jeszcze w nocy potrafią człowieka obudzić. I po co w dodatku? Po to, żeby ona obudziła baronową! Jakby nie mógł zrobić tego Libitz. Albo Lothar.

Pomyślała, że ją Lothar mógłby budzić nawet codziennie. Od dawna wodziła za nim wzrokiem, ale był zbyt skupiony na tych swoich krętaństwach. Wszędzie musiał wtykać nos. Spojrzała na niego ponownie. Ale akurat miała chyba coś, czym mogłaby go zainteresować.

- Jak chcesz, to coś ci pokażę - powiedziała, uśmiechając się zalotnie.

Lothar rzucił jej nieuważne spojrzenie. Wodziła za nim wzrokiem od dawna, ale nie miał na to żadnej ochoty. Nie żeby mu się nie podobała, po prostu nie chciał mieć tutaj kłopotów. Robota była dobra.

- Jak to jest to, co myślę. - Uśmiechnął się lubieżnie.

- Nie bądź idiotą - parsknęła śmiechem. - To chcesz zobaczyć?

- No dobra, chcę.

Dziewczyna wstała i skinęła głową, żeby szedł za nią.

Gdy weszli do części mieszkalnej dla gości, trochę się zdziwił. Myślał, że zaprowadzi go do swojego pokoju.

Pokojówka rozejrzała się dyskretnie wokół siebie i wyjęła z kieszeni klucz. Weszli do pokoju, a dziewczyna podeszła do łóżka i rzuciła się na kolana. Po chwili wyciągnęła spod łóżka wielką kraciastą torbę.

Lothar patrzył zawiedziony. Głupia ta Hazel. Ktoś zostawił walizę i to miało być takie ciekawe?

Dziewczyna odpięła guziki i otworzyła torbę. Sięgnęła do środka i wyciągnęła fragment turkusowego materiału.

- Wiesz, co to jest? - zapytała z przejęciem. - To jest tej królowny, co to

ją wszyscy tutaj szukali.

Ale Lothar doskonale o tym wiedział i wiedział też, komu to pokazać, żeby zarobić pół talara.

Dwaj jeźdźcy, ubrani w mundury gwardii przybocznej regimentu muszkieterów garnizonu w Magdeburgu, wsiedli na konie i dołączyli do dwóch oficerów w mundurach tej samej jednostki. Jeden z żołnierzy trzymał dodatkowego konia.

Dowodzący czteroosobowym oddziałem jeździec o szlifach rotmistrza poprawił wysoką czarną czapkę i wydał rozkaz do wymarszu.

Oddział ustawił się w niewielkim szyku i ruszył galopem w kierunku bramy wyjazdowej na trakt. Do Pyritz mieli jakieś czterdzieści minut drogi.

Adam wpatrywał się zimnym wzrokiem w pantofelek, który przyniósł mu lokaj.

Podniósł głowę i obrzucił chłopaka chłodnym spojrzeniem.

- Skąd to masz? - spytał.

Lothar się uśmiechnął.

- Powiem, jaśniepanie. Nawet więcej, pokażę, gdzie jest suknia od tego pantofelka.

- Jest pierwsza w nocy! Wiesz, że możesz dostać chłostę za takie żarty?

Lothar się skłonił.

- Ma pan rację, książę. Przepraszam najmocniej, nie wiem, co mi przyszło do głowy. Pokażę to pani baronowej.

Adam stał w progu i patrzył ze złością na odchodzącego chłopaka. Cenniejsza była oczywiście informacja, gdzie znalazł tę suknię, a nie sama suknia. A hultaj dobrze o tym wiedział.

- Czekaj! - krzyknął i ruszył za chłopakiem.

W oknie na korytarzu mignęli mu jeźdźcy z miejscowego garnizonu, których przysłano baronowej do ochrony po ostatnich zamieszkach.

Lothar wszedł na korytarz przy pokojach rodziny książęcej i zatrzymał się przed drzwiami do jednego z nich.

- Tutaj znalazłeś suknię? - zapytał z niedowierzaniem książę.

- Tak, jaśniepanie. - Lothar przepuścił przodem księcia, który od razu zobaczył leżącą na podłodze walizkę. Dobrze wiedział, kto mieszkał w tym pokoju i do kogo należała torba.

Gdy oddział gwardii zbliżał się do murów miejskich Pyritz, dochodziła powoli druga. Minał przedproża Bramy Bańskiej i wjechał na teren miasta. Pod murami kościoła Świętego Ducha siedzieli żebracy, a wąskimi uliczkami przemykali podejrzani jegomości i przedstawicielki najstarszej profesji na Ziemi.

Oddział przejechał obok kościoła Świętego Maurycego, minął rynek i zatrzymał się przy ratuszu.

Dowódca zeskoczył z konia, wyjął z juków przy siodle teczkę z dokumentami i ze swoim przybocznym skierował się do siedziby żandarmerii.

Dyżurny kapral podniósł się energicznie na widok wyższego ranga oficera i zasalutował.

- Rotmistrz Hans von Versen z czwartego regimentu garnizonu w Magdeburgu - przedstawił się oficer. - Przybyłem po jeńca. Mamy go odstawić do twierdzy Stettin! - To powiedziawszy, wyjął plik papierów z chlebaka i podał kapralowi.

- Bruno von Enckevort? - Kapral spojrzał na dokument. - To ten wampir? - Kapral uśmiechnął się, ale widząc, że rotmistrz zachował surową minę, spoważniał.

- Myślałem, że przyjedziecie po niego dopiero jutro - mruknął, przeglądając papiery.

- Rozkazów się nie komentuje, kapralu! - warknął rotmistrz.

- Tak jest, panie rotmistrzu. - Kapral oddał dokumenty, trzasnął butami i ruszył do podziemi ratusza. - Więźnia z czwartej celi wypuścić! - krzyknął do strażnika, który zerwał się na równe nogi, zdjął z pasa koło z kluczami i zaczął je przerzucać w poszukiwaniu właściwego.

Bruno von Enckevort siedział pod ścianą w rozchełstanej koszuli. Pod głowę podłożył sobie zmięty i zrolowany płaszcz. Spojrzał obojętnie w kierunku żołdaków i dźwignął się z posadzki.

Szczękneły kraty, na ręce więźnia założono kajdany i wyprowadzono go na mały dziedziniec przy ratuszu, przy którym stały konie.

Chwilę później oddział ruszył w kierunku Bramy Bańskiej.

Eliza owinęła się peleryną i zbiegła po schodach, gdzie cały czas czekała kareta. Woźnica uklonił się i otworzył przed nią drzwi. Serce waliło jej jak oszałałe. Cały ten plan był szalony. Ciotka była szalona, ale miała

rację. Nie było innego sposobu.

Nawet gdyby nakłoniła matkę, żeby spróbowała wywrzeć nacisk na kogoś, nic by to nie dało. Ta sprawa była zbyt kompromitująca i polityczna. Skok stulecia, morderstwa i okradzenie własnego ojca. Nawet Hohenzollernowie nie udźwignęliby takiego skandalu. Za wiele tłustych kotów, które upasły się bezcennymi klejnotami ze skoku stulecia, stało za nią w tle. Śmierć Brunona była wszystkim na rękę.

Eliza pomyślała, że jeśli będzie miała trochę szczęścia, dotrze do pałacu księżnej Elżbiety, jeszcze zanim wstanie jej matka. Boże! Co za noc. I czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Wiktorię?

Nagle ktoś szarpnął drzwi karety, niemalże wyrywając je z zawiasów.

Przerażona Eliza gwałtownie obróciła się i poczuła, jak ktoś brutalnie łapie ją za rękę i wyciąga z karety. Próbowwała krzyknąć, ale zrozumiała, że napastnik zamknął jej usta dłonią.

Strach rozlał się w niej jak gorący olej.

Słyszała, jak z kozła krzyczy woźnica, po czym kątem oka widziała, jak zeskakuje na dół i rusza jej na pomoc. A chwilę potem pada na ziemię dźgnięty szablą.

W świetle płonących pochodni zobaczyła, jak na szarym granitowym bruku rozlewa się czerwona plama.

Mężczyzna szarpnął ją i szamoczącą się jak szmaciana lalka powlókł za sobą w cień arkad pod północnym skrzydłem.

- A więc to byłaś ty? - warknął nad jej uchem. - I nie dałaś po sobie poznać? Niezłe z ciebie ziółko, kuzyneczko. Prawdziwe stalowe nerwy.

Eliza szarpnęła się, ale ucisk prześladowcy był niczym żelazna obręcz.

- Najpierw powiesz mi, co tutaj robisz. - Mężczyzna warczał szeptem do jej ucha. - Jakoś nie mogę uwierzyć, że wróciłaś tutaj po tę niebieską kieckę. I gdzie jest twoja dwórka?

Eliza przestała się szarpać, a gdy poczuła, że ucisk rąk napastnika lekko zelżał, szarpnęła się ponownie, wyswobodziła i ugryzła go z całej siły w rękę. Krzyknął niczym ranne, wściekłe zwierzę. Z całej siły kopnęła go w goleń.

Rzuciła się do ucieczki, gdy poczuła na szyi ostrze.

Stała teraz naprzeciwko swojego napastnika. Naprzeciwko swojego kuzyna Adama.

Adam pchnął ją ostrzem szabli. Cofnęła się i po chwili poczuła za

plecami zimne cegły ściany krużganka.

- Jesteś szaleńcem! Zapłacisz za to! - syknęła ze złością.

- Myślisz, że ciebie nie mógłbym zabić? - Adam uśmiechnął się zjadliwie. - Że nie uszłoby mi to na sucho? Już teraz jesteś problemem. Odetchnęliby z ulgą. Zdziwiająco szczęśliwe zakończenie polowania na Dzikich Błotach.

Eliza wpatrywała się w Adama i czuła, jak stalowe ostrze szabli wbija się coraz mocniej w jej szyję.

- Gdzie są klejnoty?!

- Jesteś szaleńcem! - powtórzyła Eliza.

- Ty wiesz, gdzie są klejnoty?

- Spóźniłeś się! Tu już ich nie ma!

- Ona je zabrała?! Wiktoria?!

I po raz pierwszy Eliza pomyślała, że ta noc może być naprawdę ostatnią w jej życiu.

A więc to koniec? To tak wszystko się kończy?

I wtedy padł strzał.

Kapral wpatrywał się w rozkaz na piśmie, na którym pyszniły się herby Hohenzollernów i zamaszyste podpisy księcia oraz dowódcy garnizonu w Magdeburgu barona Wilhelma Filipa von Marwitza-Ruttenberga. Coś mu nie pasowało.

Dumał tak dłuższą chwilę. Rotmistrz był bardzo młody. Wprawdzie wielkie pruskie rody wypychały na generałów nawet osiemnastoletnich synalków, ale ten chłopak i tak sprawiał podejrzane wrażenie. I ten jego przyboczny, zlany potem.

Kapral szarpnął szufladę, potem gwałtownie obszukał kieszenie munduru, wyjął klucz i włożył go w zamek. Przez chwilę grzebał wśród papierów i wyciągnął rozkaz podpisany przez barona von Marwitza-Ruttenberga.

Zerwał się i podbiegł do płonącej przy zejściu do lochów pochodni i po chwili zbladł jak ściana.

- Zatrzymać ich! Natychmiast! Zamknąć bramę!

Chwilę później z ratusza wypadło kilku gwardzistów i rzuciło się w pogoń za odjeżdżającym oddziałem.

Brama Bańska była kilkaset metrów dalej, a oddział właśnie tam

dojeżdżał.

- Zamknąć kraty! - wrzeszczał na cały głos kapral, poganiając konia.

Strażnik na czatowni przy bramie otworzył szeroko oczy, widząc zbliżające się do niego w szaleńczym galopie dwie grupy jeźdźców. Zerwał się i szarpnął za linę, zwalniającą kratę.

Krata z łoskotem opadła na bruk.

Tuż za ostatnim z uciekinierów.

Eliza zacisnęła oczy, ale zamiast poczuć ból, usłyszała ryk Adama. Otworzyła oczy i zobaczyła, że jego szabla leży na posadzce, a on sam trzyma się kurczowo za ramię.

- Ty wiedźmo! - wrzasnął.

Eliza zorientowała się, że to nie ją tak nazwał. I że ktoś przecież strzelał!

Na końcu krużganków, pod bocznym wejściem do zamku, stała baronowa i trzymała w ręku muszkiet, z którego jeszcze wydobywał się dym.

- Zabiję cię, czarownico! - Adam złapał się mocniej za ramię i sięgnął po szablę.

- Nie radzę! - Baronowa pokręciła głową. - Nie znałeś Ludwika. W swoim gabinecie zawsze trzymał pod ręką dwa nabite muszkiety. Strzelał na tyle dobrze, że jeden by mu wystarczył, ale wypijał wtedy po dziesięć butelek szampana dziennie i nie ufał sobie, a nabijanie muszkietu trochę trwa. Pielęgnuję tę tradycję, chociaż ja nie potrzebuję drugiego strzału. Gdybym chciała, pierwszy by cię zabił.

Henrietta podniosła drugi muszkiet i wycelowała w Adama.

- Nadużyłeś już mojej gościnności wystarczająco. Wynoś się, bo następnym strzałem rozwalę ci łeb!

- I tak ją dopadnę! - warknął Adam. - Nie ucieknie mi!

Zataczając się, wyszedł na dziedziniec, posłał Elizie ostatnie nienawistne spojrzenie, po czym pobiegł w kierunku stajni.

Eliza dopiero teraz odetchnęła i złapała się za szyję. Popatrzyła na baronową z wdzięcznością.

- Dziękuję, ciociu - szepnęła.

W oknach zapaliły się światła, a z wnętrza zamku dobiegły zaniepokojone okrzyki.

Minęła dobra chwila, nim na dziedziniec wypadł Lothar, a tuż za nim Libitz.

Rozdział 26

London

Platforma powoli wyjeżdżała przez ogromne wrota dawnego magazynu przy Riverside - niegdysiejszej dzielnicy przemysłowo-portowej, obecnie w szybkim tempie przekształcającej się w dzielnicę biurową z siedzibami wielkich koncernów i korporacji. Wokół platformy, przekrzykując się nawzajem, kręciło się kilku pracowników mającej tutaj swoją siedzibę spółki eksploracyjnej Sedinum Exploration. Należąca do rodziny Johanna posesja, pomijając to, że warta była majątek, miała także własne nabrzeże nad Tamizą.

Kołysało się tutaj kilka małych łódek oraz wielki statek badawczy, przerobiony z dawnego trawlera. Na statku przesuwano się właśnie ramię dźwigu, który miał podnieść z platformy wściekle pomarańczowy batyskaf Deep Explorer i umieścić go w ładowni.

Na piętrze, w sporej sali, przy jednym z okien wychodzących na plac przed budynkiem stał Igor i obserwował całą operację.

Negocjacje z dużym koncernem energetyki wiatrowej wreszcie się zakończyły i trwały właśnie przygotowania do prac głębinowych, których podjęła się ich spółka jako podwykonawca.

Może i nie miało to charakteru wielkiej przygody, ale przynajmniej przynosiło spory dochód.

Zwłaszcza że dysponowali batyskafem i kilkoma mniejszymi, zdalnie sterowanymi pojazdami podwodnymi.

Zadanie miało polegać na sporządzeniu dokładnej dokumentacji dna morskiego w miejscach, gdzie koncern planował swoje inwestycje.

W zasadzie - pomyślał Igor - to także jest przecież eksploracja. Badanie dna, sondowanie, kto wie, na co się właściwie natkną w północnych częściach Morza Irlandzkiego.

Rozmyślenia przerwał sygnał komórki. Igor ze zdziwieniem zobaczył na wyświetlaczu imię Johanna.

- Zejdź na dół. Jestem w hali na parterze - rzucił tajemniczo współnik.
- Ale po co? Coś się stało?
- Zejdź, to zobaczysz.

Igor wyszedł na galerię nad parterem i zbiegł po stalowych stopniach na dół. Na tyłach budynku mieściła się tutaj hala, która - według pierwotnych założeń - miała służyć jako wielki magazyn wydobytych artefaktów i bambetli. Pod ścianami stały oświetlone wiszącymi nad nimi lampami długie stalowe stoły.

Obecnie sala była wykorzystywana jako podręczny magazyn sprzętu, który przestawiało się w miarę potrzeb z miejsca na miejsce.

Przy jednym ze stołów siedział nad laptopem Johann. Obok niego na blacie leżało kilka grubych tekturowych segregatorów.

- Kiedy wyjeżdżasz do Szczecina? - zapytał, gdy Igor wszedł do magazynu.

- Za kilka dni. - Igor stanął nad stołem i zajrzał do jednego z leżących na wierzchu segregatorów. - Co to jest? - zapytał.

- Roboty dla tej firmy wiatrowej zaczynamy w połowie lipca. - Johann patrzył w ekran laptopa. - Chcą, żebyśmy pierwsze prace wykonali na północ od wyspy Man.

- Niestety, Karen też się uparła, żeby to zobaczyć. Przyjeżdżają na początku lipca. Nie odpowiedziałeś, co to jest. - Skinął głową w stronę kupy segregatorów.

- Właśnie przywieźli nam archiwalia dotyczące dna morskiego. Stare protokoły różnych robót, prowadzenia kabli i takie tam.

- Nudziarstwo. - Igor usiadł naprzeciwko Johanna.

- Ale także dokumentacje różnych statków, które tam zatoneły.

- Przecież mamy dokładnie naniesione miejsca z wrakami.

- Tutaj są również protokoły ze śledztw w sprawie zaginionych jednostek. Częściowo mają to zdigitalizowane oczywiście, ale to tutaj to są jakieś starocie.

Igor spojrzał na Johanna. Do czego on zmierzał?

- Te dokumenty mają klauzulę tajności. Podpisaliśmy cyrograf o bezpieczeństwie udostępnionych dokumentów i danych. Oni to wyciągnęli przecież z Ministerstwa Gospodarki Morskiej.

- No wiem przecież. - Skinął głową Igor. - O co ci właściwie chodzi?

- Przejrzałem te akta. - Johann sięgnął po jeden z segregatorów. -

I natknąłem się na coś ciekawego. - To powiedziawszy, przerzucił kilka stron i odwrócił dokument w stronę Igora.

Na dużej, starej grafice widać było dziwny żaglowiec z dwoma masztami i wysokim kominem dokładnie na środku jednostki. Po bokach żaglowca natomiast umieszczone były ogromne koła.

- Co to jest? - Igor wzruszył ramionami. Zaczął podejrzewać, że Johann wpadł na trop jakiejś ciekawej sprawy i właśnie ją rozgryza.

- Żaglowiec z silnikiem parowym - odparł Johann. - Pierwsze takie jednostki pływały już na początku dziewiętnastego wieku. Początkowo opalane drewnem, później węglem. Ten konkretnie wypłynął dwudziestego pierwszego lipca tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku z Liverpoolu i płynął do Stettina.

Johann podniósł brwi i uśmiechnął się tajemniczo do Igora.

- Zaginał dwa dni później i nigdy nie został odnaleziony. Według protokołu ze śledztwa w tej sprawie - Johann skinął głową w kierunku segregatora - statek musiał pójść na dno w północnej części Morza Irlandzkiego, ponieważ ostatni raz widziano go z latarni morskiej w Corsewall, zbudowanej w tysiąc osiemset siedemnastym roku przez inżyniera Roberta Stevensona, notabene dziadka Roberta Louisa Stevensona^[19].

- Nomen omen? - spytał Igor.

- Właśnie - parsknął śmiechem Johann.

- Ten parowiec przewoził coś cennego? Pewnie chodzi ci po głowie, żeby korzystając z tego, że badania dna i tak finansuje koncern od energetyki wiatrowej, przy okazji się rozejrzeć?

- Zgadłeś. - Johann wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Ale to nie wszystko. Ten parowiec nazywał się Albion.

W hali na moment zapadła cisza. Z zewnątrz dochodziły tylko hałasy dźwigu podnoszącego właśnie batyskaf i transportującego go na pokład statku.

- Kolejny zbieg okoliczności? - zapytał w końcu Igor.

- Każda firma eksploracyjna poszukuje przecież takich właśnie zbiegów okoliczności. - Johann uśmiechnął się, a Igor zauważył, że oczy przyjaciela podejrzanie entuzjastycznie błyszczą. - Poszedłem tym tropem zatem i popatrz, co odkryłem jeszcze. To nawet było dość oczywiste i chyba

autor tego sztambucha też o tym wiedział. Potrzebna była po prostu inna perspektywa. - Johann przekreślił ponownie laptop i pokazał Igorowi jakąś stronę internetową.

- Dwa tajemnicze rysunki ze sztambucha. - Pokazał palcem pierwszy, purpurowy prostokąt z czarną kropką. - Dziadek Lintona zanotował obok: „Albion 1819-1822” i postawił znak zapytania. I drugi, biały prostokąt z czerwoną gwiazdą, a obok: „John Jay? 1829?”.

Igor wpatrywał się w rysunki, czekając, aż Johann powie coś, co widać było, że strasznie chce powiedzieć.

- Purpurowy prostokąt z wielką kropką to jest bandera pierwszej, regularnej linii żeglugowej Black Ball Line, która pływała od tysiąc osiemset siedemnastego roku z Nowego Jorku do Liverpoolu.

Igor nic nie mówił. Usiłował przetrwać rewelacje, które właśnie opowiadał mu Johann. Zwłaszcza że przyjaciel najwyraźniej jeszcze nie skończył.

- A biała z gwiazdą to druga, konkurencyjna linia Red Star Line, która powstała niedługo potem. W tysiąc osiemset dziewiętnastym w Black Ball Line zaczął pływać żaglowiec Albion. W tysiąc osiemset dwudziestym drugim zaginał u brzegów Irlandii.

Johann otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się do Igora.

- Natomiast w linii Red Star Line pływał żaglowiec, który został zbudowany w maju tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku i na cześć zmarłego w marcu Johna Jaya nazwany John Jay.

Johann kliknął w klawiaturę i pokazał Igorowi stronę z historią linii żeglugowej.

- John Jay wypłynął z Nowego Jorku dwudziestego piątego czerwca tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku. Pokonanie tych tras zajmowało wówczas średnio dwadzieścia trzy, dwadzieścia pięć dni. Parowiec Albion wypłynął natomiast z Liverpoolu dwudziestego pierwszego lipca. Wszystko się zgadza.

Przez chwilę obaj milczeli. Igor wpatrywał się w ekran laptopa i układał sobie wszystkie wiadomości w głowie.

- Legendy powstały pewnie na podstawie zdania z tego ostatniego listu - powiedział w końcu cicho. - Autorka napisała, że ma nadzieję, że Albion dotrze szczęśliwie na miejsce.

- W dodatku ten protokół był długo tajny. - Johann postukał w okładkę

skoroszytu z Ministerstwa Gospodarki Morskiej Wielkiej Brytanii. - To przecież dokumenty rządowe, a Anglicy mieli na tym punkcie zawsze hopla. Zwłaszcza przed Amerykanami.

- Tylko kim byli ci przodkowie Henry'ego Lintona i autorka listów, nigdy się pewnie nie dowiemy - powiedział wciąż zszokowany Igor.

- I skąd pochodziła ta kolekcja szafirów - dodał cicho Johann.

Ciszę, która zapadła ponownie w hali magazynu, przerwał Dermot, wchodząc z rozmachem do środka i z trzaskiem zamykając drzwi.

- No! Deep Explorer już w ładowni! - krzyknął, a jego głos rozszedł się echem po kątach wielkiego pomieszczenia. - A co wy macie takie miny? Stało się coś?

Rozdział 27

Zamek na Dzikich Błotach

Do wsi prowadziła wąska, asfaltowa szosa, taka, jakich kiedyś sporo było na Pomorzu. Bez poboczy, ocieniona przez stare drzewa i rozrośnięte krzewy, które wdzierały się na jezdnie i których gałęzie zwisały miejscami nad dachami samochodów. Ostatnia prosta przed zieloną tablicą z nazwą miejscowości prowadziła przez żółte i zielone pola, prosto jak strzełił na wznoszącą się we wsi wieżę kościoła.

Wieś, a właściwie urokliwa spora miejscina, ustrzegła się budowlanego boomu z czasów pegeerów. Nie było tutaj bloków - prostopadłościennych koszmarów mordujących krajobraz większości polskich wsi - jedynie stare i zamożne niegdyś domy oraz wielkie budynki gospodarcze z czerwonej cegły, poprzątykane gdzieś powojennymi willami z katalogów.

W połowie wsi, na wzniesieniu, stał granitowo-ceglany kościółek z wysoką, neogotycką wieżą z zegarem. Do głównego wejścia wiodły kamienne schody wykute w skarpie, nad którymi szumiały wielkie, stare drzewa. A potem zabudowa stawała się coraz bardziej rozsiana i wreszcie po lewej stronie ustępowała szpalerowi starych buków, za którym w dole rozciągały się porośnięte drzewami łąki i mokradła. Później zaś wiejska szosa skręcała w lewo, a na wprost wiodła wąska granitowa droga, ukryta między rozrośniętymi drzewami.

Samochód potoczył się po starym bruku i zatrzymał przed nową bramą z siatki zawieszoną na kamiennych, pękających filarach.

Edward rozejrzał się przez przednią szybę. Dalej rozpościerała się wielka przestrzeń porośnięta młodymi samosiewami, pomiędzy których wystawały resztki zrujnowanych budynków i okaleczonych ceglanych ścian.

- Nigdy tu nie byliśmy? - zapytał Annę.

- Ja na pewno nie byłam, ale nie wiem, jak ty. - Anna spoglądała z ciekawością w kierunku wieży majaczącej w głębi gęstego zdziczałego

parku.

- Można tam w ogóle wjeżdżać? - Edward się rozejrzał. - Nie ma żadnej tablicy, informacji ani czegoś?

- Brama jest uchylona. - Anna wysiadła z samochodu. Podeszła do stalowego skrzydła i pociągnęła.

- Napytamy sobie biedy - syknął Edward przez okno. - To przecież do kogoś należy? Nie odzyskali tego Hohenzollernowie przypadkiem?

- Należy do gminy - odpowiedziała Anna, wsiadając do samochodu. - Jest wystawiony na sprzedaż.

Edward wjechał na dawne podzamcze i jadąc wzdłuż kamiennego murku, skręcił w brukowaną drogę wiodącą między rozrośniętymi drzewami w kierunku majaczącego na wzniesieniu ogromnego budynku.

- Dawna forteca joannitów - powiedziała cicho Anna. Podświadomie ściszyła głos, ponieważ wjechali bez pytania na teren posiadłości i spodziewała się trochę, że za moment natkną się na ciecica, któremu będą musieli się tłumaczyć.

Brukowana droga kończyła się przed wiodącym na dziedziniec zamku podjazdem. Anna rozejrzała się wokół. Przeczytała o tym miejscu wszystko, co znalazła w internecie. W zamierzchłej przeszłości zamek stał na wyspie na środku bagien, a prowadził do niego przez fosę most, otwierający się jak w bajkach Disneya.

Edward zaparkował na wydeptanym trawniku tuż przed podjazdem i po chwili stali oboje na środku dziedzińca, zadzierając głowy i przypatrując się pięknym niegdyś, barokowym elewacjom.

- W latach sześćdziesiątych przerobiono zamek na spichlerz - odezwała się Anna. - Wyobrazasz sobie? - Spojrzała na męża. - Nawet znalazłam w necie takie zdjęcie, jak przez rozbite okna wsadzano do wnętrza dmuchawę i sypano zboże na intarsjowane parkiety.

Edward wzruszył ramionami.

- Za to po robocie wszyscy komuniści łącznie z dyrekcją pegeerów i urzędnikami leżeli krzyżem w tym tam domu Bożym. Dzisiaj nie ma winnych. - Skinął brodą w stronę wsi. - Wchodzimy na wieżę?

Anna spojrzała na stalowe schody wspinające się po ceglanej ścianie do umieszczonego kilka metrów nad ziemią wejścia. Doczytała, że kiedyś dostęp do wieży był wyłącznie z drewnianych ganków strzelniczych, ciągnących się wzdłuż murów.

Wieża w środku przypominała ogromny, wydrążony krater, na którego dnie za stalową kratą widać było tonące w mroku lochy.

- Więźniów spuszczano tam na linie. - Anna pochyliła się, usiłując dostrzec coś we wnętrzu lochów. - Podobno nadal leżą tam ich kości.

- To bzdury oczywiście. - Edward przypatrywał się schodom prowadzącym na szczyt wieży. Niedawno musiano chyba przeprowadzić remont, zbudować nowe schody i udostępnić taras widokowy na jej szczycie.

Gdy Anna dotarła w końcu na górę i wyszła na zewnątrz, westchnęła. W Polsce były oczywiście setki piękniejszych zamków, ale widok z tej wieży obezwładniał. Głównie przez ciągnące się dookoła po horyzont lasy i pola. Tak jakby czas zatrzymał się tutaj w dziewiętnastym wieku. Za zamkiem mieniło się w słońcu jezioro, a dziedziniec z tej wysokości wydawał się podwórkiem przed domkiem dla lalek.

- Kto właściwie zbudował ten zamek? - zapytał Edward, podchodząc do muru okalającego wieżę. - Templariusze?

- Templariusze mieli zamek kilka kilometrów stąd, w Rurce. Niepotrzebny był im drugi. Po kasacie zakonu wszystko przejęli joannicy, ale coś tam przeszkrobali i miejscowa ludność z zemsty spaliła zamek. Wówczas dostali zgodę od księcia szczecińskiego na budowę nowego tutaj.

- Wildenbruch - powiedział nosowym głosem Edward. - Dzikie Błota.

- Ta nazwa jest starsza niż wieś i zamek. - Anna wyrzała ostrożnie przez dawny krenelaż. - Jeszcze zanim cokolwiek tutaj zbudowano, nazywano to miejsce właśnie Dzikimi Błotami.

- A potem przejęli to Hohenzollernowie, tak?

- Najpierw zamek wpadł w ręce Szwedów, a później został sprzedany Hohenzollernom z linii von Brandenburg-Schwedt. Na początku osiemnastego wieku Fryderyk Wilhelm, zwany tutaj Szalonym Margrabią, przebudował zamek w stylu barokowym. A teraz posłuchaj najlepszego. - Anna odwróciła się do męża i uśmiechnęła tajemniczo.

- Zamieniam się w słuch.

- Szalony Margrabia był rodzonym dziadkiem zarówno księcia Fryderyka Augusta z Przelewic, jak i Ludwika z Trzebiatowa. Był także dziadkiem trzeciego księcia - Ludwika Ferdynanda, który na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku był właścicielem tego tutaj zamku w Swobnicy. A wszyscy ci trzej panowie byli z kolei wujami Figlarki, czyli

Elizy Radziwiłłówny.

Edward spojrział na żonę. Pomyślał, że albo się przesłyszał, albo zaszkodziło jej słońce.

- Ty chyba się źle czujesz?

- Schodzimy na dół. - Anna z tajemniczym uśmiechem wyminęła męża i skierowała się na schody. - Zrobimy sobie piknik na trawie pod zamkiem.

- Teraz mów, skąd wzięłaś tę Elizę? - zapytał Edward, gdy rozłożyli się już na trawie, a Anna wyciągnęła z samochodu wielki kosz z jedzeniem. - Eliza Radziwiłłówna? Tutaj? - Edward wciąż patrzył na żonę podejrzliwie. - Może pomyliły ci się po prostu nazwiska? Źle odczytałaś, a tam był jakiś von Radewill albo von Radewolf?

- Nie ma takich nazwisk. Nie wydziwiał. - Anna postukała się palcem w czoło. - Nie słyszałeś nigdy o berlińskiej linii Radziwiłłów?

- Nie musiałem, na pewno zaraz mi o niej opowiesz. No dobra, dobra, nie obrażaj się. - Edward parsknął śmiechem. - Żartowałem.

- Wszystkie kawałki sernika są dla mnie. - Anna przez chwilę próbowała wyrwać koszyk z jedzeniem śmiejącemu się Edwardowi. - Nie żartuję!

- Zniemczona gałąź Radziwiłłów - podjęła po chwili, sięgając po termos z kawą. - Założycielem był Antoni Radziwiłł, dwunasty ordynat na Nieświeżu, który spędził całe dzieciństwo i młodość w Berlinie, a pod Poznań, gdzie miał swoje dobra, uciekał tylko w sezonie. W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym szóstym ożenił się z Fryderyką Luizą Hohenzollern, rodzoną siostrą Fryderyka Augusta z Przelewic i Ludwika Ferdynanda ze Swobnicy oraz siostrą cioteczną Ludwika z Trzebiatowa, i w ten sposób związał się z Hohenzollernami. Jego córką była właśnie Eliza.

- Ale skąd pomyśl, że ta Froh z listów to może być akurat ona? - Edward włożył do ust porcję ciasta.

- Dedukcja. - Anna wyciągnęła wydruki listów i rozłożyła je na kocu. - Przemawia za tym kilka faktów. Przede wszystkim historia miłości Elizy, o której wspomina w pierwszym z listów. Tajemniczy Wilhelm to był przecież królerych Wilhelm Fryderyk Hohenzollern, następca tronu Prus i późniejszy pierwszy cesarz Niemiec. Eliza i Wilhelm znali się od dzieciństwa, ale wyznali sobie miłość na rodzinnym zjeździe pod Berlinem. Dokładnie w czerwcu tysiąc osiemset dwudziestego roku. To był wielki

skandal, który towarzysko pograżył Radziwiłłów w środowisku berlińskim, uważającym Elizę za uzurpatorkę.

- Dlaczego? - spytał Edward z pełnymi ustami.

- Wilhelm przez dobrych kilka lat usiłował przekonać ojca i jego doradców, że Eliza jest godna być żoną króla Prus. Zlecał nawet ekspertyzy genealogiczne, które miały dowieść, że Radziwiłłowie są równi Hohenzollernom. Natomiast jego przeciwnicy dowodzili, że ślub z Elizą to mezalians, i koniec końców to oni wygrali, a Wilhelm położył uszy po sobie i zerwał zaręczyny z Elizą.

- To taka odwrotność historii o Wandzie, która nie chciała Niemca - zakpił Edward.

- Niezupełnie, bo Wilhelm podobno kochał Elizę do śmierci.

- A to nie ten sam Wilhelm, którego pomnik na koniu stał na placu Żołnierza w Szczecinie?

- Ten sam. - Skinęła głową Anna.

- Ale Wilhelm to bardzo popularne niemieckie imię. - Edward skrzywił się powątpiewająco. - Froh, czyli Figlarka, to też mało oryginalne przezwisko.

- Mnie przekonała poczta szczecińska. - Anna wypła łyk kawy i pokazała palcem ustę w ostatnim liście. - I Medard.

- Co takiego? Poczta?

- No wiesz, pewne rzeczy po prostu zapamiętujesz lepiej. Czytasz coś i wbija ci się w pamięć, ponieważ dotyczy ciebie bezpośrednio.

Anna wyciągnęła z torebki niewielką książeczkę, bardziej skrypt, i położyła na stole.

- Eliza Radziwiłłówna przez całe życie z uwielbieniem korespondowała. Część tych listów się zachowała, część, niestety, zaginęła, a kilka lat temu wyszło takie małe dziełko. - Podsunęła książeczkę Edwardowi. - Listy żony i córek Antoniego Radziwiłła^[20]. Fantastyczne kompendium wiedzy na temat początków dziewiętnastego wieku, mody, literatury, plotek.

- Ale co z tą pocztą? - nie wytrzymał Edward, patrząc podejrzliwie na dziełko literackie.

- Radziwiłłówna z Poznania wysyłała listy pocztą szczecińską. Listy szły via Szczecin. Do Berlina trafiały w trzy dni, a gdy wysyłała je do

Poznania z majątku ojca w Antoninach, to dochodziły jeszcze tego samego dnia. Wyobrażasz sobie? - Anna popatrzyła na Edwarda znacząco. - A wtedy przecież pocztę odbierał pocztylion, a przewoziły ją konne zaprzęgi. Porównaj to do godzin spędzanych dzisiaj na poczcie, a potem wielodniowych opóźnień.

Edward starannie wytarł usta. Poczta kojarzyła mu się ostatnio ze sklepikami z dewocjonaliami, gdzie można kupić różaniec świętej Faustyny, kartki pocztowe z wizerunkiem Chrystusa lub poradniki giełdowo-depozytowe sióstr z zakonów żebraczych, ale nie chciał poruszać tego wątku, bo wiedział, że straciliby pół godziny na czcze narzekania.

- Nie sądzisz, że to jednak trochę spiskowa teoria dziejów? - zapytał. - Te podobieństwa z listów to w dalszym ciągu może być tylko przypadek. I pytanie zasadnicze. - Podniósł brwi i manifestacyjnie spojrzał na imponujący masyw ścian dawnej fortecy joannitów i Hohenzollernów.

- Niech zgadnę. - Anna westchnęła z sarkazmem. - Co my tutaj robimy?

- Znowu cię zaskoczę. - Edward uśmiechnął się z zadowoleniem. - Figlarka pisała w kółko o cioteczce z tego zamku. No więc kim była ta cioteczka? Czartoryską, jak już powiedziałaś, skojarzyłem, o Augustie von Prillwitz też coś tam czytałem, ale kim była pani tego zamku? Nigdy nic mi się nie obiło o uszy.

- Bo nikt o niej nie pisał. Jedna z fascynujących, związanych z Pomorzem kobiet zupełnie przez wszystkich zapomniana. Pani na Dzikich Błotach.

- Czyli? - Edward spojrzał na żonę niecierpliwie.

- Nazywała się Henrietta Fryderyka Fromme i była kolejną córką kupca.

- To się braciszkanie dobrali - zakpił Edward.

- Córką kupca, a właściwie znanego ówczesnego producenta kapeluszy z Berlina, Augusta Antona Fromme. Bogata z domu nieprzyzwoicie, ale księżę Ludwik nie potrzebował posagu. Tak jak brat, miał wielki majątek i sprawiał rodzinie sporo kłopotów. Miał mnóstwo kochanek i rzeszę nieślubnych dzieci. Henrietta była jednak tą jedyną.

- Kolejna baronowa?

- Zgadza się. - Anna pokiwała głową. - Historia analogiczna jak w przypadku księcia Augusta z Przelewic, ale skandal mógł być nawet

wiekszy, bo Ludwik był starszy i bliżej tronu niż brat. Dziewczę dostało szlachectwo, tytuł baronowej von Wildenbruch i ten zamek w dożywocie. - Anna skinęła głową w kierunku wznoszącej się za nimi fortecy. - Tyle że pechowo księżę zginął na wojnie, zostawiając Hohenzollernów z kłopotliwą synową z dwojgiem dzieci i zamkiem. Za Augustą z Przelewic do końca życia stał potężny i bogaty małżonek, Henrietta natomiast została sama wobec całej potęgi Hohenzollernów. Ale coś mi mówi, że trafiła kosa na kamień. - Anna uśmiechnęła się pod nosem. - Chociaż musiała iść na wiele ustępstw oczywiście - dodała, widząc pytające spojrzenie Edwarda. - Król odebrał jej córkę i syna i przekazał je na wychowanie siostrze ksiąząt, Fryderyce - matce Elizy. Miała jednak szczęście. Radziwiłłowie traktowali jej syna i córkę jak własne dzieci i nigdy nie wzbraniali jej wizyt. Blanche von Wildenbruch szybko stała się najlepszą przyjaciółką Elizy i to właśnie listów między nimi dwiema najwięcej się zachowało.

- I naprawdę sądzisz, że to rzeczywiście mogła być ta Eliza? - Edward trącił palcem wydruki listów. - Trzy morderstwa? W tym zamku? Taka afera w królewskim kręgu?

- No właśnie, jak czytałam o Hohenzollernach z tego okresu, to oni mieli wyjątkowe szczęście do afer. Przełom osiemnastego i dziewiętnastego wieku to były praktycznie same skandale. Dzisiejsze afery Windsorów to prawdziwa dziecinada przy ich kłopotach.

Anna naląła sobie kolejny kubek kawy i usiadła wygodniej na kocu.

Z zapuszczonego parku na tyłach zamku dochodził głośny śpiew ptaków.

- O skandalach zawsze chętnie posłucham. - Edward spoglądał na ostatni kawałek sernika, zastanawiając się, czy Anna przypadkiem nie zechce dzisiaj akurat dbać o linię.

Anna westchnęła i sięgnęła po czystą kartkę.

- Masz coś do pisania? - spytała męża, który sięgnął do kieszonki swojej kamizelki i wyjął długopis. - Weź ten sernik, ja nie muszę.

Edward skwapliwie sięgnął po ciasto.

- No więc wszystko zaczyna się od króla Prus Fryderyka Wilhelma I. - To mówiąc, Anna zapisała na kartce tytuł władcy. - Fryderyk Wilhelm I miał łącznie czternaścioro dzieci, ale większość, niestety, nie dożyła nawet wieku młodzieńczego. Liczyli się zatem tylko czterej synowie. Córki wówczas nikogo nie interesowały.

- Już to słyszałem.

- Fryderyk I miał zatem czterech synów, którzy przeżyli dzieciństwo: Fryderyka, przyszłego króla, nazwanego później Wielkim, Augusta Wilhelma, Henryka i Augusta Ferdynanda. Ten ostatni właśnie był ojcem naszych dwóch braci z Przelewic i Swobnicy oraz matki Elizy Radziwiłłówny.

Anna naszkicowała elegancką gałąź w drzewie Hohenzollernów, a Edward przypatrywał się, z trudem powstrzymując się od zadawania pytań.

- I kłopoty zaczęły się chyba od wuja naszych książąt, króla Fryderyka II Wielkiego. - Anna narysowała małą gwiazdkę przy imieniu władcy. - Jeden z największych pruskich królów, twórca militarnej potęgi Prus był najwyraźniej gejem.

Edward podniósł brwi.

- Wtedy to się chyba jakoś inaczej nazywało - skomentował.

- Wtedy była za to kara śmierci. - Anna pokiwała głową. - Ojciec nie znosił pierworodnego syna. Uważał go za lenia, nie pochwałiał jego zamiłowania do muzyki, sztuki, zmuszał do ćwiczeń fechtunku, ciągłej musztry, a edukację generalnie uważał za domenę kobiet. Chłopak nie wytrzymał, gdy stary Prusak przerwał naukę i zwolnił nauczycieli.

- No i co dalej? - Edward nalał sobie kawy i spoglądał na Annę z zainteresowaniem.

- Wraz ze swoim młodym przyjacielem Hansem von Kattem zaplanowali ucieczkę do Francji. Niestety, szpiedzy donieśli o tym królowi i dwaj młodzi kochankowie zostali zatrzymani na granicy i przewiezieni do twierdzy w Kostrzynie. Król chciał dla obu chłopaków kary śmierci, ale jego doradcy mu to wyperswadowali. Obawiali się bowiem reakcji sąsiednich księstw na synobójstwo. Stary Prusak, żeby wynagrodzić sobie to ustępstwo, kazał ściąć kochanka syna na jego oczach.

- Stary degenerat - mruknął Edward. - Zaraz, zaraz. - Nagle spojrzął na żonę. - A to nie posąg tego geja stoi dzisiaj w muzeum na Staromłyńskiej?

- Stoi, oczywiście. - Anna pokiwała głową. - Dobrze, że historia jest mało znana, bo pewnie długo by tam nie postał.

- Ale królem był, jak widzę, niezłym. - Edward przejechał palcem po ekranie telefonu.

- Dlatego Niemcy nazwali go Wielkim, ale za to nie miał następców.

Jego młodszy brat Henryk także był bezdzietny, zostawali zatem dwaj bracia, czyli August Wilhelm i ojciec naszych książąt, August Ferdynand. Ten pierwszy miał trzech synów, z których dwaj zmarli w dzieciństwie. Pozostał zatem jeden, Fryderyk Wilhelm II, którego Fryderyk Wielki mianował księciem koronnym, ale którego nie znosił. Rozumiesz teraz, dlaczego związek dwóch synów Augusta Ferdynanda z kobietami niższych stanów był takim dramatem? Byli następni w kolejce. Najpierw Ludwik ze Swobnicy, a zaraz po nim August z Przelewic. Przez pewien czas to był prawdziwy kryzys państwowy. Zwłaszcza że na tym się nie skończyło.

- A co było dalej? - Edward wyciągnął się na kocu. Słońce grzało przyjemnie, wokół nikt się nie kręcił, co było aż dziwne, bo siedzieli przecież u stóp niezwyklego zabytku, ale po chwili przypomniał sobie, że jest wtorek i normalni ludzie byli w pracy. Wyrwanie się z folwarku okazało się przyjemnością, chociaż do tego także nie przyznałby się żonie.

- Fryderyk Wilhelm II zdawał się beznadziejnym kandydatem na króla. - Anna, szczęśliwa, że ma słuchacza i może w pełni oddać się swojej historycznej pasji, ciągnęła swoją opowieść o Hohenzollernach. - Cenił przede wszystkim bale, ucztę, miał dziesiątki kochanek, bękartów, a przy tym był nieposkromionym żarłokiem i, co często idzie w parze, dewotem oraz hipokrytą. Jego pierwsze małżeństwo okazało się farsą, głównie z jego powodu. Zdradzał żonę wręcz na jej oczach, ale żeby się jej pozbyć, oskarżył ją o cudzołóstwo i zesłał do Szczecina... Boże!

Anna nagle zbladła.

- Co się stało? - Edward podniósł się gwałtownie na łokciach, podejrzewając, że ktoś się zbliża albo coś złego dzieje się z samochodem.

- Gdzie to było. - Anna na kolanach zaczęła grzebać w swoich notatkach.

- Co ty robisz najlepszego? - Edward patrzył na nią z niepokojem.

- Jest! - Anna zatrzymała się nagle w pół ruchu z kartką w ręku. - Jedno zdanie z listu. Słuchaj. - Spojrzała na Edwarda. - „Jej...”, i tu jest coś nieczytelnego, ale sądzę teraz, że to jest wysokość, jej wysokość: „E.vB. ze Szczecina miała jednak rację... ”.

- I co to niby, u diabła, ma znaczyć?

- No jak co? Jej Wysokość Elżbieta von Braunschweig! - Anna patrzyła na skołowanego Edwarda. - Elżbieta Brunszwicka! To przecież żona tego grubego knura Fryderyka Wilhelma II, który ją oskarżył o cudzołóstwo

i zesłał na resztę życia do Szczecina!

- I tylko po tych inicjałach do tego doszłaś? - Edward parsknął. - To wszystko robi się tak naciągane, że dobrze, że nikt nas nie słucha, boby nas uznali za niebezpiecznych wariatów. Siedzą na kocu pod zamkiem i plotą androny o Hohenzollernach.

- Edward! - Anna westchnęła niecierpliwie. - Przecież to właściwie nic dziwnego. W tamtych czasach nie było internetu, telewizji, telefonów, więc jedyną formą rozrywki były podróże.

- O ile kogoś było na nie stać.

- No kogo jak kogo. - Anna prychnęła. - Można ze stuprocentowym prawdopodobieństwem założyć, że księżna Fryderyka odwiedzała i Trzebiatów, i Szczecin, a będąc w Szczecinie, z całą pewnością widywała się z Elżbietą Brunszwicką. Możliwe przecież, że przyjechała na chrzciny Zofii Doroty. Zresztą nawet z tych wydanych listów - Anna potrząsnęła skrypcem z listami Radziwiłłówny - wynika, że one w kółko podróżowały. Berlin, Poznań, Królewiec, Wiedeń.

- W czym Elżbieta Brunszwicka miałaby mieć rację? - zapytał nagle Edward, przerywając żonie.

- Słucham? - Anna spojrzała na niego zdeorientowana.

- W liście Figlarki jest przecież - Edward wziął kartkę do rąk i zaczął czytać - Jej Wysokość i tak dalej miała rację. W czym miała rację?

Anna pochyliła się nad listem i poprawiła okulary.

- Piszą o utracie precjozów - przeczytał Edward. - Że jacyś ich krewni nie mogli się z tym pogodzić, ale musiało to pozostać w tajemnicy. Co może łączyć Brunszwicką z jakimiś precjozami? Rodzinne pamiątki? Knur wywalił ją z Berlina i zostawiła tam coś cennego?

- A co, jeżeli połączymy te precjoza z szafirami ze Stanów Zjednoczonych? - Anna nagle zamarła ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. - Kolekcja największych szafirów, jakie wówczas widziano.

- No i co z tego połączenia ma wynikać?

- Powiem, ale teraz to już uznasz mnie za wariatkę. - Anna wciąż wpatrywała się w przestrzeń.

- Nikt nas nie słyszy. Nie mam świadków, gdybym chciał wsadzić cię do Tworek.

- Elżbieta Brunszwicka była już wtedy prawdziwą królową salonów Szczecina. - Anna zaczęła mówić, cały czas pogrążona jednak w myślach. -

Początkowo nałożono na nią zakaz opuszczania zamku, potem gdy knur umarł, jej sytuacja się poprawiła i otrzymała nawet stałą pensję i prawo do swobodnego poruszania się po mieście i prowincji. Nieco później zakupiła stary młyn pod Szczecinem i przebudowała go na pałacyk, nazywając złośliwie *Friedrichsgnade*, Łaską Fryderyka. Musiała bardzo wiele wiedzieć.

- Co z tymi szafirami? - dopytywała się Edward.

- Wiesz, kto wydał rozkaz włamania się do skarbcza wawelskiego?

Edward otworzył usta i na chwilę zamarł. Przez moment milczał, po czym spojrzął na żonę wstrząśnięty.

- No teraz to już pojechałaś.

- Tak właśnie. - Anna pokiwała głową. - Gruby knur. W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym wojska pruskie włamują się do skarbcza na Wawelu i całą jego zawartość wywożą najpierw do Wrocławia, a potem do

Królewca. Knur umiera rok później, a wszystkie jego kłopoty dziedziczy syn Fryderyk Wilhelm III, tatuś tego Wilhelma, w którym zakochana była Eliza.

- Nie mieszaj. - Edward pokręcił głową. - Wystarczy, że każdy z tych knurów nazywał się Fryderyk Wilhelm.

- Dwór przez następne lata konsekwentnie zaprzeczał temu, że skradziono polskie regalia. Dopiero w tysiąc osiemset siódmym roku, pod naciskiem Napoleona, król zobowiązał się do wyjaśnienia sprawy i zwrotu regaliów. Wobec wojen napoleońskich sprawa jednak przycichła i wypłynęła ponownie dopiero po kategorycznym żądaniu zwrotu regaliów, które wystosował car Aleksander I. Tymczasem Hohenzollernowie w tysiąc osiemset dziewiątym roku potajemnie postanowili zniszczyć regalia, złoto kazano przetopić, a kamienie szlachetne sprzedać, czym miało się zająć przedsiębiorstwo handlu morskiego Hohenzollernów, później przemianowane na Pruski Bank Państwowy.

Anna sięgnęła po swój telefon i po chwili wyciągnęła go w kierunku Edwarda.

- Weksel ze szkatuły - powiedziała cicho.

- Skąd by się wziął. To znaczy. - Edward zamilkł, wpatrując się w żonę. Z jednej strony był zły na siebie, że dał się porwać tej absurdalnej rozmowie, z drugiej jednak pożerała go ciekawość. - Skąd to się wzięło

w Stanach?

- A szkatuła miała przecież nawet herb Hohenzollernów.

- Ale jak się dostała do Stanów?

- Musiały to ukraść. - Anna się uśmiechnęła. - Któryś z wujków Elizy musiał kupić klejnoty, a dziewczyny je ukradły. To dlatego później były śledzone przez tego całego Medarda, którego nazywały wampirem. I to musiało się stać przed tysiąc osiemset dwudziestym rokiem, bo wtedy Eliza się zakochała i pisała o tym do Stanów. Mógł być rok tysiąc osiemset dziewiętnasty.

- To skoro już jedziemy po bandzie, to kim mógł być Medard?

- Adam Karl Wilhelm, książę von Wirtemberg de Montbeliard! Adam Wirtemberski - odpowiedziała Anna. - Na przykład - dodała, widząc zdziwiony wzrok Edwarda. - Ten syn Marii Czartoryskiej-Wirtemberskiej.

- Dlaczego niby on? - Edward patrzył na żonę zdębiały. - Czytałem, że to była straszna kanalia, owszem, ale dlaczego akurat on? I dlaczego one nazywały go Medardem?

- Eliza czytała *Diable eliksiry*, wspomina o tym w swoich listach. Głośna w owym czasie książka Ernsta Hoffmanna. Można ją nazwać pierwszym horrorem psychologicznym o rozdwojeniu jaźni i schizofrenii. Bohater, mnich z zakonu kapucynów, tropi mordercę ludzi, których napotyka w swoim życiu, po czym okazuje się, że sam był tym mordercą.

- Ale dlaczego to akurat ten Adam?

- Skojarzyło mi się przez Webera. - Anna sięgnęła po jeden z listów. - Carl Maria von Weber, ten słynny kompozytor. Znalazłam to w niemieckiej Wikipedii - dodała, widząc minę Edwarda. - Zanim stał się sławny, pracował na dworze księcia Ludwika z Trzebiatowa jako sekretarz. Książę oskarżył go o kradzież i wyrzucił, z zakazem powrotu do Wirtembergii. Jak widać z listu, plotkowano wówczas, że za sprawą kradzieży mógł stać synalem księcia. Swoją drogą, jeden z najbardziej demonicznych czarnych charakterów w polskiej historii. Po latach, w czasie powstania listopadowego, stanął po stronie Rosji i wydał rozkaz ostrzelania z armat pałacu w Puławach, w którym ukrywały się jego matka i babka.

- Zastanawiam się teraz, czy ta historia - Anna z namysłem skinęła głową w kierunku wydruków starych listów - nie wpłynęła dodatkowo na jego nienawiść do Polaków i rodziny matki.

- Powstanie listopadowe - powiedział nagle Edward. - Zaczęło się

w tysiąc osiemset dwudziestym ósmym roku od spisku w warszawskiej szkole podchorążych piechoty. Tyle to nawet ja wiem - dodał, widząc podniesione brwi Anny. - Co tam było w przedostatnim liście? - Sięgnął do sterty kartek Anny i zaczął je przerzucać.

- Mój Boże! - Anna pochyliła się nad ramieniem Edwarda. - Możesz mieć rację! Przecież Figlarka pisze o wspomoczeniu ojczyzny. Może zdecydowały się spieniężyć te klejnoty, a pieniądze przeznaczyć na pomoc powstańcom. Dlatego uciekinierka zaoferowała sprzedaż amerykańskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych i stąd protokół.

- I stąd porucznik Drohojowski. - Skinął głową Edward. - Nie, czekaj. Skąd on się wziął nagle? Figlarka pisze o matce Malwiny, że zaoferowała pomoc.

- Matka Malwiny to nie Augusta z Przelewic. - Anna się uśmiechnęła. - Figlarka nazywała tak matkę Marii Wirtemberskiej, autorki tego romansidła, z którego się natrząsałeś. O Boże! Oczywiście! - Anna westchnęła z niedowierzaniem. - Wszystko się teraz układa sensownie! Izabela Czartoryska, twórczyni muzeum pamiątek narodowych w pałacu w Puławach.

- Za chwilę tym sposobem dojdziemy do Świętego Graala - zakpił Edward.

- Czytaj, co pisze Figlarka. - Anna pokazała palcem odpowiedni ustęp. - „Zwłaszcza że bardziej znamienitej pamiątki do jej panopticum znaleźć niepodobna”. Panopticum to przecież właśnie to muzeum. Ona zaoferowała odkupienie szafirów z polskich regaliów. To była znana filantropka. Ale również rodzona babka tego łotra Adama i dlatego Figlarka napisała, że uczyniła to z bólem serca i że to była zemsta.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w szumiące dookoła drzewa i pogrążeni w rozmyśleniach.

- Ale to oczywiście wyłącznie przypuszczenia. - Anna westchnęła. - Wszystko może być tylko przypadkiem.

- Popatrz, co znalazłem. - Edward podsunął Annie pod nos telefon. - Opis zaginionych polskich regaliów. Koronę Chrobrego zdobiło czterysta osiemdziesiąt siedem kamieni szlachetnych - przeczytał. - A drugą koronę moskiewską wieńczył ogromny szafir wielkości kurzego jaja. - Edward się zamyślił. - Tylko dlaczego w takim razie klejnoty nie trafiły do muzeum Czartoryskich? Te zbiory były dość dobrze zarchiwizowane. Nikt nigdy

o tym słowem nie wspomniał. Co się w takim razie z nimi stało?

- Według amerykańskich legend skarb zatonał gdzieś na Atlantyku - odpowiedziała Anna. - Figlarka wspomina nawet przecież o jakimś żaglowcu Albion, który miał dokądś dotrzeć. To jest wprawdzie nieczytelne, ale to raczej oczywiste, że chodziło o Europę.

- Pozostaje jeszcze jedna kwestia. - Edward cały czas wpatrywał się w telefon. - Kim mogła być ta dziewczyna, do której pisała Figlarka?

- Jedyne, co wiadomo, to że na pewno nie była równa stanem ani Hohenzollernom, ani Radziwiłłom. O takiej ucieczce kogoś z tych rodów w takich okolicznościach byłyby jakieś wzmianki. Według tego amerykańskiego sztambucha nazywała się Józefina, a ten jej banita Wilhelm.

- Z takim imieniem to na pewno musiał być Prusak - mruknął sarkastycznie Edward.

- Wilhelm von Arnim - dodała Anna. - Ale sądzę, że oni zmienili raczej imiona i nazwiska w obawie przed agentami Hohenzollernów. Dziewczyna to mogła być dwórka albo nauczycielka lub nawet pokojowa Elizy. Nigdy się nie dowiemy, jak się nazywała. - Westchnęła.

Anna odsunęła na bok kosz z jedzeniem i leżące obok papiery i położyła się na kocu przy Edwardzie.

- Ale wiesz co? - powiedziała po chwili, wpatrując się w niebo. - Zaraz pewnie powiesz, że jestem ckliwa i romantyczna.

- Bo jesteś.

- Mam nadzieję, że wszystko się dobrze skończyło i że żyli na tym swoim końcu świata długo i szczęśliwie.

Na niebie nad zamkiem na tle czystego błękitu płynęły pojedyncze białe chmury, od strony starego parku dochodził świergot ptaków, a znad jeziora słychać było rechot żab.

A stara, średniowieczna forteca, pamiętająca krwawe wojny, zajazdy, okutych w zbroje rycerzy, mnichów i spętanych więźniów, których wrzucano do jej lochów, niezliczone dworskie spiski, wielkie miłości i dramaty, wznosiła się nad zielonymi, zapuszczonymi trawnikami, duchami barokowych ogrodów i koronami starych drzew niczym niemy świadek setek lat mrocznych występków i zbrodni, które się tutaj rozegrały.

I chociaż minęło prawie tysiąc lat, odkąd stanęła na dzikich błotach, wciąż była niemym świadkiem wydarzeń, które działy się u jej stóp.

Epilog

*Nowy Jork, Stany Zjednoczone
Początek lata 1829 roku*

Jeździec minął bramę wjazdową i galopem wpadł na podjazd przed dworem. Dom z czerwonej cegły poprzedzony był czterema śnieżnobiałymi kolumnami, a po dwóch stronach portyku rosły dwa młodziutkie, mieniące się w słońcu purpurą liści szkarłatne dęby.

Jeździec odrzucił poły jasnego płaszcza i zeskoczył z konia. Stojący przed schodami czarnoskóry służący ukłonił się mężczyźnie, odebrał od niego wodze i ruszył z koniem w kierunku stajen.

Mężczyzna wszedł do holu, zdjął płaszcz i podał go kamerdynerowi. Powiódł spojrzeniem po wnętrzu domu. Po prawej stronie szeroka wstęga schodów wiodła na piętro, a u ich stóp stała smoliście czarna hebanowa rzeźba niewolnicy trzymającej nad głową dzban. Uśmiechnął się do siebie. Wszystko tutaj było takie nowe. Drewno jeszcze pachniało żywicą, dębina na schodach nie zdążyła zszarzeć, pokryć się patyną. Inaczej niż na Starym Kontynencie, gdzie wszystko, co go otaczało od dzieciństwa, było wiekowe. Dom. Jego dom. Nie. Ich dom. Na krańcu świata...

Wtedy, na początku jesieni, gdy leśnymi duktami gnał galopem do starego zamczyska na mokradłach, tej zapadłej dziury na Pomorzu, przez głowę by mu nie przeszło, że wszystko tak się potoczy. W najśmielszych wyobrażeniach...

Oderwał myśli od wspomnień z Pomorza. Na tacy na małym stoliku leżała korespondencja. Od razu zauważył list z pieczęciami z Europy. Wiedział, że Wiktoria dostaje listy z Prus. Nie miał jej tego za złe, ale bał się, że w końcu księżniczce powinie się noga i list wpadnie w niepowołane ręce. Po tej historii z królewiczem Wilhelmem kręciło się wokół niej sporo podejrzanych osobników. Także szpiedzy Hohenzollernów.

Pamiętał tę szaleńczą ucieczkę z Pomorza. Zakuty w kajdany, więziony przez czterech gwardzistów. Myślał, że jedzie na spotkanie śmierci. Zatrzymali się na popas przy jakimś jeziorku, nad którym księżyc świecił tak jasno, że widział twarze eskortujących go żołnierzy. Ich dowódca podszedł do niego i rozkuł go, a gdy rozcierał obolałe nadgarstki, niespodziewanie zarzucił mu ręce na szyję i przywarł do niego ustami.

Bruno był tak zaskoczony, że minęła dobra chwila, nim złapał gwardzistę za ręce i odsunął od siebie.

- Co ty robisz najlepszego, kawalerze?! - krzyknął do niego, wycierając usta. - Grozi za to kara chłosty, a gdzieś jeszcze i szubienica!

- Wolisz chłostę czy topór? - zapytał gwardzista i zobaczył, jak jego trzech towarzysze parsknęli śmiechem.

I wtedy zobaczył, że coś jest nie tak z tym rotmistrzem. Konno jeździł wyśmienicie. Bruno potrafił to ocenić po każdym jego ruchu, ale teraz, gdy na niego patrzył, te oczy. Zielone?

Gwardzista zerwał czapkę i przy wtórze śmiechów swoich kolegów rozwiązał długie kasztanowe włosy, które opadły mu na ramiona.

Bruno, cały czas uśmiechając się do swoich wspomnień, podszedł do stołu. Na kopercie były nic niemówiące, stylizowane inicjały. Dla bezpieczeństwa oboje zmienili tutaj imiona i nazwiska. Posługiwali się drugimi imionami, a nazwisko przyjęli po jego zmarłej matce. Wiktoria Józefina Magdalena i on, Bruno Wilhelm Karl.

Ludwik Ferdynand zostawił na Dzikich Błotach całą kolekcję mundurów swojego garnizonu w Magdeburgu. Został po nim także papier listowy z nagłówkami Hohenzollernów i oficjalne pieczęcie. I broń oczywiście, a zwłaszcza jego muszkiety.

Henrietta odziedziczyła zaś po ojcu spory kupiecki interes, w tym trzy parowce, które pływały między Stettinem a Liverpoolem. Jeden z nich nazywał się Albion. On i Wiktoria musieli tylko przeczekać w Stettinie do czasu jego wyjścia w morze.

Wziął do ręki kopertę i przez chwilę jej się przyglądał. Jeśli istnieje coś takiego jak przeczucie, jakaś tajemna siła, która podpowiada czasem, co zrobić, lub przed czymś ostrzega, to chyba właśnie w tym momencie zadziałała. Wpatrywał się w kopertę i czuł coraz większy niepokój. Nie

mieli przed sobą tajemnic, więc Wiktoria nie miałaby do niego pretensji, że otworzył list, ale i tak miał opory.

Szarpnął w końcu zalakowaną kopertę i wyciągnął małą białą karteczkę. Przeczytał list raz, a potem jeszcze dwa razy. A z każdym kolejnym serce zaczynało mu mocniej walić.

Wiktoria wyjechała dzień wcześniej. Chciała się zatrzymać po drodze w Waszyngtonie. W Nowym Jorku miała być dzisiaj przed ósmą wieczorem. Żaglowiec linii Red Star Line wypływał z portu o dziewiątej.

Bruno spojrzął na wielki zegar stojący pod ścianą. Była dokładnie dziewiąta rano. Będzie musiał kilka razy w drodze zmieniać konia. Ma dwanaście godzin, żeby zdążyć!

Nie przybyli do Nowego Świata z pustymi rękami. Zostawił baronowej swoje pełnomocnictwa, toteż zdążyła spieniężyć wszystkie jego osobiste aktywa, zanim Hohenzollernowie położyli na nich łapę. Dlatego zdecydowali się ukryć klejnoty ze skoku stulecia na czarną godzinę.

Gdy Bruno mijał kościół Świętej Teresy, na zegarze na wieży wybijała właśnie godzina dwudziesta. Przemknął galopem obok ratusza, rozpędzając stada niezadowolonych kupców i pieszych, i skręcił na brukowaną drogę prowadzącą do portu. Z okien i drzwi tawern wylewały się pijackie śpiewy we wszystkich możliwych językach.

Bruno minął kilka kołyszających się na wodzie i pobrzękujących takielunkiem żaglowców i zatrzymał się w cieniu, tuż obok, pogrążonego w ciemności drewnianego magazynu.

Zeskoczył z konia i zobaczył, jak Harald, którego nazywali tutaj Jamesem, idzie w kierunku żaglowca, a Wiktoria zostaje sama i po chwili podchodzi do niej mężczyzna w długim czarnym płaszczu.

Bruno wyrwał z juków przy siodle strzelbę i ruszył biegiem w kierunku karety.

I wtedy padł strzał.

KONIEC

Posłowie

Na początku był tylko taki luźny pomysł, żeby opowiedzieć jakąś historię, w której uda się połączyć losy kilku znanych pomorskich dam. Pomorze obfitowało bowiem w niezwykle, nietuzinkowe kobiety. Wystarczy wspomnieć tylko dwie szczecińskie czarownice - Sydonię von Borck i Zofię von Anhalt-Zerbst, czyli Katarzynę Wielką. A są jeszcze przecież niezwykle pisarki - popularna w całej Europie Elizabeth von Arnim, autorka wspomnień z lat spędzonych w zamku męża w Rzędzinach *Elżbieta i jej ogród*, i Maria Wirtemberska, autorka jednego z pierwszych w Europie romansów - powieści *Malwina, czyli domyślność serca*, która powstała dokładnie w tym samym roku co *Duma i uprzedzenie* Jane Austen. Czarownice, cesarzowe, księżniczki, faworyty, skandalistki. Łączy je jedno - mało się nimi, my, Pomorzanie, chwalimy.

Szperając jednak w różnych archiwaliach i zapuszczając się w rozmaite zapomniane miejsca w sieci, w których mało kto bywa, natknąłem się na pewną skromną broszurę. Wydane przez Wielkopolskie Muzeum Niepodległości w 2020 roku raptem listy Elizy, córki namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego Antoniego Radziwiłła, do przyjaciółki i kuzynki zarazem Blanche von Wildenbruch. Z tych listów wyjrzała jednak nie wielka dama, która o mały włos, a zostałaby cesarzową Niemiec, a zwyczajna, żyjąca na początku XIX wieku dziewczyna, interesująca się modą, imprezami, uwielbiająca muzykę, z wypiekami na twarzy czytająca ówczesne plotkarskie dzienniki i głośnie wówczas amerykańskie powieści przygodowe Jamesa Coopera o przygodach Sokolego Oka, a także zakazane dla młodych dziewcząt, skandalizujące *Diable eliksiry* Ernsta Theodora Hoffmanna.

Ta broszura wywróciła mój pierwotny pomysł na książkę do góry nogami. Zwłaszcza że adresatka listów, tajemnicza Blanche, urodziła się w pewnym ustronnym pomorskim zamczysku, a jej matka była jeszcze jedną ekscentryczną pomorską damą.

Pozostało jeszcze znaleźć jakiś czarny charakter.

A opowiadając historię dziejącą się na początku XIX wieku na Pomorzu, aż się prosiło, żeby wyciągnąć z zapomnienia Adama, syna kolejnej pomorskiej damy - Marii Czartoryskiej-Wirtemberskiej - i na nim zbudować postać powieściowego szubrawca. Był Adam prawdziwym draniem i jedną z najmroczniejszych postaci polsko-pomorskiej historii.

W efekcie powstał zupełnie nowy plan powieści, a na kilku wcześniej wymyślonych scenach musiałem postawić krzyżyk.

Czy młoda Radziwiłłówna i książę Adam Wirtemberski mogli być w zamku na Dzikich Błotach? Trudno to udowodnić oczywiście, ale jest to bardzo prawdopodobne. Eliza wszak kilka razy do roku przemieszczała się między Berlinem a Poznaniem, a Swobnica jest prawie po drodze. W dodatku zamek należał do jej rodzzonego wuja Ludwika, a w swoim czasie był atrakcyjną rezydencją myśliwską, w której bawiła się cała śmietanka towarzyska Berlina. Zatem historia opisana przeze mnie ma dość solidne podstawy i właściwie mogła się wydarzyć.

No i tym sposobem postawiłem pierwsze niewprawne kroki w gatunku czegoś w rodzaju romansu historycznego 😊.

W tak zwanym międzyczasie wybuchła wojna w Ukrainie i w momencie, gdy wszyscy żyli doniesieniami z frontów, ujawnianymi kulisami kompromitujących działań naszych władz, aktualnymi skandalami politycznymi, temat mojej książki mnie samemu wydawał się tak absurdalny i oderwany od rzeczywistości, że trudno mi było chwilami uwierzyć, że kogokolwiek jeszcze zainteresuje.

Trzymając się jednak twardo z daleka od współczesniania czy nawiązywania do aktualnych wydarzeń, zdołałem dotrzeć do końca i postawić ostatnią kropkę.

Z wyjątkowo dużym poślizgiem, wynikającym także i z tego, że i dla mnie osobiście rok 2022 okazał się bardzo trudny. W tym miejscu zatem należą się ogromne podziękowania mojemu wydawnictwu za zdzierzenie wyjątkowo mocno przewalonego terminu i okazane mi zaufanie.

W książce ogromna część akcji dzieje się na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, w miejscach, w których nigdy nie byłem, ale które zawsze mnie fascynowały. Plaże, do których przybywały pierwsze żaglowce z osadnikami z Europy, amerykańskie legendy i tajemnice z tego

okresu, plantacje Wirginii i Północnej Karoliny z wielkimi dworami, których architektura czerpała z europejskiego klasycyzmu, dostosowując się jednocześnie do miejscowego klimatu i kultury.

W Nowym Jorku od lat mieszka mój stary kolega z liceum Tomek Szafko, z którym kiedyś dzieliłem zamiłowanie do języka polskiego. Był pierwszym redaktorem „amerykańskiej” części mojej książki. Notabene, my dwaj, zakochani wówczas w polskim i wybierający się na jakieś humanistyczne kierunki studiów, zostaliśmy odpowiednio architektem i prawnikiem. Mały przyczynek do tego, jak układa się życie i jak nie zawsze dostosowuje się do naszych planów.

Tradycyjnie już dziękuję Olce, mojej koleżance z Berlina, za znalezienie czasu na lekturę i korektę oraz pierwsze krytyczne uwagi, a pani redaktor Małgorzacie Burakiewicz za profesjonalną redakcję, dzięki której tę książkę będziecie mogli przeczytać bez poważnych błędów stylistycznych i ortograficznych.

- [1] *Conocarpus erectus* (powszechnie zwany Buttonwood) - odmiana drzewa namorzynowego (mangrowego), porastającego wybrzeża morskie i ujścia rzek. (wszystkie przypisy pochodzą od autora)
- [2] Buttonwood Agreement.
- [3] Gorzów Wielkopolski.
- [4] Lyndon LaRouche - zmarły w 2019 roku amerykański polityk, wielokrotny kandydat na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, znany z nagminnego łączenia głoszonych poglądów politycznych z rozmaitymi spiskowymi teoriami dziejów.
- [5] *Skarb narodów* (ang. *National Treasure*) - amerykański film przygodowy z 2004 roku w reżyserii Jona Turteltauba.
- [6] Według legendy biżuterię z okradzionego skarbcza na Wawelu miała na sobie Luiza Meklemburska podczas koronacji Fryderyka Wilhelma III. Gdy zwrócił jej na to uwagę pewien obecny na uroczystości polski szlachcic, przyrzekła nigdy nie założyć klejnotów z pruskiego skarbcza i do końca życia nosiła biżuterię z żeliwa. Rzekomo wiele elegantek w Prusach poszło w jej ślady.
- [7] Kammerfrau - najważniejsza z pokojowych zajmujących się garderobą i szafą swojej pani.
- [8] Volant - wymyślona w czasach Ludwika XVI we Francji gra, będąca pierwowzorem badmintona. W odróżnieniu od tego ostatniego, grano w nią nie tylko na zewnątrz, lecz także w salonach.
- [9] Świece stearynowe pojawiły się na początku XIX wieku. Wynalazł je francuski chemik Michel Eugene Chevreul, który jako pierwszy przeprowadził hydrolizę łoju wołowego, wytrącając kwas stearynowy, a w 1825 roku opatentował swoje odkrycie.
- [10] Outer Banks - archipelag wysp barierowych na wybrzeżu Karoliny Północnej.
- [11] Black Star of Queensland - słynny czarny szafir znaleziony został w latach trzydziestych w Australii, gdzie przez kilka lat służył nieświadomym jego wartości ówczesnym właścicielom jako dekoracyjny przycisk w drzwiach. Został odkryty całkowicie przypadkowo dopiero w latach sześćdziesiątych przez pewnego jubilera. Obecnie rzekomo znajduje się w Szwajcarii.
- [12] Money Pitt - potoczna nazwa odkrytej w 1857 roku na niewielkiej wyspie Oak Island przy brzegach Nowej Szkocji studni, w której

piraci rzekomo ukryli gigantyczny skarb. Poszukiwania skarbu prowadzone przez kolejnych właścicieli wyspy trwają do dzisiaj. W ich efekcie rozkopano całą wyspę wzdłuż i wszerz, odkrywając sieć podziemnych kanałów i kilka tajemniczych artefaktów, co tylko wzmogło zainteresowanie tematem. Jedną z hipotez krążących wokół Money Pitt głosi, że cała sprawa jest mistyfikacją przygotowaną dla zdobycia pieniędzy ze sprzedaży licencji na dokonywanie poszukiwań.

- [13] Berajter (niem.) - kawalkator (z włoskiego *cavallo* - koń), zawodowy trener ujeżdżający konie pod wierzch; także nauczyciel jazdy konnej. Na magnackich dworach stał niżej w hierarchii niż koniuszy, ale wyżej niż służba stajenna.
- [14] *Blair Witch Project* - amerykański horror z 1999 roku o grupie studentów nagrywających amatorski film o legendarnej czarownicy mieszkającej w lasach Black Hills w stanie Maryland.
- [15] Laudanum - stosowana od końca XVII wieku nalewka z opium, którą zalecano w leczeniu wielu chorób. Oryginalna receptura opracowana w 1676 roku składała się z sherry, opium oraz wschodnich przypraw, takich jak szafran, goździki i cynamon.
- [16] Róża Lutra - symbol religii protestanckiej, zaprojektowany w 1530 roku przez samego Martina Lutra.
- [17] *Diabli eliksiry* - powieść gotycka z 1815 roku, autorstwa Ernsta Theodora Amadeusa Hoffmanna. Uważa się ją za pierwszą powieść w dziejach wykorzystującą motyw schizofrenii.
- [18] *Friedrichsgnade* - łaska Fryderyka.
- [19] Robert Louis Stevenson (ur. 1850, zm. 1894) - urodzony w Edynburgu szkocki powieściopisarz, autor między innymi *Wyspy Skarbów* z 1883 roku.
- [20] *Antoni Radziwiłł oraz jego epoka w listach żony i córek*, Wielkopolskie Muzeum Niepodległości w Poznaniu, Poznań 2020.